

Olga Gromyko
Najwyższa Wiedźma

Wiedźma -3

Adnotacja

Co jest potrzebne do szczęścia Najwyższej Wiedźmie najzwyczajszej doliny, zamieszkaney przez same najzwyczajsze wampiry? Ulubiona praca? Szybka kariera? Stopień arcymaga? Lub ... Przyjaciele nie są w stanie udzielić poprawnej odpowiedzi (mimo szczerych chęci), a wrogowie czekają tylko na to, aby udzielać rad.

I tak, czarna kobyłka została osiodłana, czarodziejski miecz naostrzony - i Wolha Redna znowu udaje się psuć nastroje stworom, a tym samym konkurentom, rycerzom a nawet świętym.

Czarna kobyłka z podejrzenie niewinnym wyglądem stoi przy ganku, leniwie machając wspaniałym ogonem. Za wcześnie ją osiodłali i przyprowadzili; prawdopodobnie jednak spóźnili się z jej odprowadzeniem. Znam tego uparciucha — minuty na jednym miejscu nie postoi, zdążyła już gdzieś pobiegać i wrócić. Dopiero co się rozwidniło, dolina jeszcze śpi, otulona kołderką mgły, nie po wiosennemu gęstej i zimnej. Jeżeli kobyłka gdzieś weszła w szkodę, prędzej czy później wyjdzie to na jaw tak, więc trzeba będzie ponieść za nią karę – właścicielka konia zdecydowanie potrząsa głową, odrzucając włosy na ramiona i przymierza się do strzemięcia.

— Nie wyjeżdżaj.

Ona opuszcza podniesioną wcześniej nogę, obraca się. Z wyrzutem, a zarazem ze zrozumieniem patrzy na niego. Prosto w oczy, nie próbując ukryć się za rzęsami albo postronnymi myślami. Mało kto ośmiela się tak robić. Wiatr rozwiewa jej długie, złocisto-rude włosy — jedyna jasna plama pośrodku tego szarego, chłodnego ranka.

— Dlaczego?

— Mam złe przeczucia.

— Przestań! — Ona beztrąsko się uśmiecha poklepując konia po kłębie. — Dawno wszystko omówiliśmy. Muszę zebrać praktyczny materiał do swojej dysertacji¹ i otrzymać tytuł mistrza trzeciego stopnia, dla takiego odpowiedzialnego stanowiska to po prostu niezbędne. Przecież jestem Twoją Najwyższą Wiedźmą, zapomniałeś?

— Nie, jak i tego, że jesteś jeszcze moją narzeczoną - zażartował ponuro.

— Wróć, przecież wiesz.

On delikatnie przeciąga koniuszkami palców od jej skroni do podbródka, mimochodem zakładając za ucho wymykający się kosmyk. Ona żartobliwie wykręca się, wymacuje strzemień i wskakuje na siodło.

— Wiem.

Czarny koń ochoczo rusza z miejsca. Nadzwyczaj ochoczo, a to oznacza, czekaj prędko nieproszonych gości, na wskroś niezadowolonych z nieoczekiwanych wizyt czarnego konia w ich dopiero co zasianym ogrodzie, w sadzie, a także i na strychu z nieostrożnie przystawioną do niego drabiną...

Jeżeli ją zawoła, zrobi krok naprzód lub opuści głowę, pokazując, jak ciężko mu na sercu, ona natychmiast zawróci.

On wie i to, ale milczy.

¹ **Dysertacja** – pisemna praca naukowa (praca dyplomowa) pisana w celu uzyskania stopnia naukowego, zazwyczaj w formie rozprawy. W przypadku dysertacji pisanej w celu otrzymania stopnia doktora (rozprawy doktorskiej), oczekuje się, aby zawierała ona oryginalne wyniki autora, wnoszące istotne, nowe treści do rozwoju nauki. Dysertacja pisana jest pod kontrolą i z pomocą promotora.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Życie św Fendulija

Jaki dajń, taka świątynia

Starożytne belorskie przysłowie

Wiosną nawet szumiący bór, pełen jest dzikiej zwierzyny i upiorów, język boi się nazwać go ciemnym i złowieszczym. Mroczne skrzypienie omszałych pni utonęło w ptasim trelu, a ziemia — w kwitnących przesiekach, nadających staremu lasowi niespotykane radosny, czarujący i tajemniczy wygląd. Tylko patrzeć, jak zaraz za tej sterty wiatrołomu wyłoni się przepiękna driada jadąca wierzchem na śnieżnobiałym jednorożcu (może być i pojedynczo) lub dobra czarownica omdlała na słoneczku i dlatego gotowa bezinteresownie uszczęśliwić pierwszego napotkanego, spełnieniem jego trzech skrytych marzeń (przynajmniej jednego).

Ostatecznie, w najgorszym razie ujdzie i zła wiedźma na czarnej kobyle.

— Tak więc, Smółka, czym dysponujemy?

Kobylka stuliła uszy i w nieokreślony sposób podzwoniła uzdą. W tym momencie jej właścicielka odznaczała się rzadko spotykaną złośliwością – parę minut temu na przekór wszystkiemu odpadła podeszwa, od wydawałoby się całkiem nowego buta. Strzemię, nieprzyjemnie chłodziło bosą nogę. Popuściwszy cugle, zaczęłam kręcić w rękach felerny but, rozmyślając, czy plunąć na wszystko i podkleić go z pomocą magii, czy też wrócić do wioski i natłuc nieuczciwego szewca ze zgniłą dratwą. Wracać czy nie, — w sumie daleko, nie chciało się. Trzech kładni także było szkoda, a zaklęcie trzeba będzie odnawiać codziennie. Dobrze, pojedę do tego chałturszczyka później, w

drodze powrotnej. Pamiętam doskonale, jak z przekonaniem zapewniał „jak nie sto lat w nich będziesz chodzić!”. W każdym bądź razie do końca okresu gwarancyjnego jeszcze daleko.

Ze wstrętem poszeptałam na but i wcisnęłam go na nogę. Niby się trzymał i był wygodniejszy, i w nosku nie cisnął. Zrobił się nawet troszeczkę lepszy i w końcu mogłam sobie pozwolić, aby się rozejrzeć na wszystkie strony i pozachwycać się budzącą się do życia przyrodą, ale było już za późno — las się skończył, a trawa na jego skraju dopiero co zaczęła rosnąć z rzadka wyglądając spod zeszłorocznych kępek.

— Mamy tylko to, — powiedziałam w zamyśleniu, nie doczekawszy się odpowiedzi od kobyłki.

Pięć kroków od brzegu, na wprost stojącej na uboczu brzozy, przybity był roztrzaskany drogowskaz z odłamanym czubkiem. Tak, że nie udało mi się z sensem zrozumieć startych w połowie deszczami i czasem run – czy to „Malinniki”, czy to „Małe Lipki”. Ani malin, ani lipek po drodze nie zauważyłam i na mapie niczego ciekawego nie ustaliłam. Dziwne, czyżby moja mapa była starsza od tego drogowskazu. Trzeba będzie popytać kogoś z miejscowych, gdzie to mnie zaniósł. Wczoraj wieczorem, dla urozmaicenia zaufałam nieznannej drodze, logicznie rozumując, że w szczerym polu ona chyba się nie skończy, a praca dla wiedzy znajdzie się wszędzie. No, prawie wszędzie.

Pod pierwszą deską wisiała druga, nowiuteńka, z ozdobnym napisem: „Czarować, wróżyć i tworzyć inne biesowe rzemiosło zabrania się pod groźbą kary śmierci”

— Nie zupełnie o to mi chodziło, — półgłosem zawarczałam.

Prawdopodobnie, gdzieś w pobliżu znajduje się duża świątynia, i takim to prostym sposobem odstraszać konkurentów.

Dzieje się tak pomimo królewskiego dekretu, zrównującego w prawach magię i religię. Niestety, tylko na papierze. Jeśli w stolicy i miastach magowie z świętoszkowatymi uśmieszkami wymieniali ukłony z dajkami (duchownymi), to w bardziej odległych miejscach władza Magów wyraźnie słabła, przechodząc w ręce duchowieństwa. Nic w tym dziwnego – przecież duchownym mógł zostać prawie każdy, a stanowisko to lekkie i popłatne, tych, co pragnęli nimi zostać starczało na wszystkie wsie, nawet te najgłuchsze. Zaś magiczne zdolności ujawniały się daleko i nie u każdego, a jedyna na całą Belorię Szkoła Magii, Pytii i Zielarek znajdowała się w stolicy, gdzie i zostawała pracować większa część absolwentów.

Pieniądze jeszcze miałam, ale z doświadczenia wiedziałam: warto

przejechać dwie, trzy niegościnnie wsie – to w czwartej okazała czarownicy bardzo ciepłe powitanie, przy czym potajemnie zbiegną się tutaj mieszkańcy z trzech poprzednich. Można zakazać magii, ale zaklęcia modlitwami nie zastąpisz, a słowa „niezbadane są wyroki boskie” stanowią słabą pociechę dla młodego wdowca, którego żona spodobała się upirowi lub zmarła od połogowej gorączki.

Rozejrzałam się unosząc się w strzemionach. Tak, oto i Małe Lipki — dość duża wieś, nawet z targowym placem, pustym w danym momencie. Świątyni jak na razie nie widać. Bardziej na lewo, za brzoźowym laskiem, w dolince znajdowało się nieduże jezioro, bardziej na prawo — przecięty rzeczka nieużytek, po którym w małych grupkach wędrują krowy i owce, z żalem patrząc na brunatną ziemię z rzadka nakropkowaną zielenią. A dalej, za wsią, na lesistej górze... oho!

Zamek był ogromny. Pozostało do niego nie mniej niż pięć wiorst, kopułka ośmiu wież dumnie wznosiły się nad lasem, przyciągając spojrzenie jaskrawym murem z cegły. Na iglicach trzepotały zaostrzone języczki flag. Nie chciało się wierzyć, że wszystkie baszty wzniesione są na jednej ścianie — miejsca między nimi wystarczyłoby na osiem zamków, — ale komu przyszłoby do głowy stawiać je w rzędzie?

W mgnieniu oka zorientowałam się, gdzie się znajduję. Nie Malinki, a Mael-ine-Kirren, po gnomiu – Kruczy Szpon, największy rycerski zamek w Belorii. A wieś, prawdopodobnie, nazywa się – „Rozdroże” – tu na słupie znajduje się jeszcze jeden sztyl.

Podjechawszy bliżej, przekonałam się, że miałam rację. Rozdroże było jedną z tych wsi, która wzięło początek od wybudowanego na skrzyżowaniu dróg zajazdu. Jedna droga — ta, po której przyjechałam, — obecnie prawie nie używana, przeobraziła się w zwykłą wiejską uliczkę, za to druga przez lata rozszerzyła się prawie do rozmiarów traktu i prowadziła w górę do zamku.

Wieśniacy patrzeli na mnie nieprzyjaźnie, nie wychodząc zza furtek, no i nie odlepiając się od nich. Wielu demonstracyjnie się żegnało i pluło przez ramię, ktoś nawet pokazał figę, gest jakby odstraszający „złe oko” (nie pozostałam dłużna, zademonstrowawszy inny, nie mniej symboliczny palec). O tym, żeby ukrywać swój zawód nawet nie pomyślałam, wręcz przeciwnie — zrzuciłam kaptur kurtki i dumnie wyprostowałam się w siodle, żeby wszyscy mogli zobaczyć rozwiane na wietrze rude włosy i rękojeść, wiszącego za plecami miecza. Nikt mi nie zabraniał przejeżdżać przez wieś, ani reklamować „biesowego rzemiosła”. Zauważyłam parę zainteresowanych spojrzeń i z zadowoleniem się uśmiechnęłam. Może by tak, wyjechać za obrzeża i się

zatrzymać w najbliższym lasku, oczekując na klientów?

I wtedy zauważyłam karczmę, i natychmiast zmieniałam plany. Siodło, które wytrzymało mnie podczas jazdy i czerstwe kanapki, dały się we znaki mojej wątrobie — dobrze by było raz na sto lat dogodzić i żołądkowi, a za jednym zamachem rozprostować nogi i miejsce powyżej.

Ani czystością ani obfitością odwiedzających, karczma nie mogła się pochwalić. Jak tylko się w niej pojawiłam, wyludniła się do końca, a karczmarz, nie zainteresowawszy się, o co poproszę, brzęknął przede mną talerzem napełnionym jedzeniem.

Ziemniaki okazały się przesolone, ogórki zwiotczałe, a schabowy podejrzenie przypominał moją podeszwę. W jakiś sposób nadziałam to kulinarne arcydzieło na widelec, ale zdjąć go już nie mogłam. Ugryzienia także nie zaryzykowałam, malowniczo wystawiwszy dwa rzędy zębów w sąsiedztwie z widelcem. I wydaje mi się, że z jednego brzegu, ktoś już gryzł, ale także nie zdążył. Kolejny raz stuknęłam widelcem i kotlet, niespodziewanie się poddał. Ze złowieszczym świstem przecinając powietrze, na niskim poziomie lotu, kotlet przemknął przez karczmę, chlapanął do wiadra z pomyjami i zatonął. Karczmarz się skrzywił — widocznie, unikalne jedzenie od rana koczowało od stołu do stołu i wchodziło w menu nie tylko obiadu, ale i kolacji.

Widelec znów był wolny, więc zajęłam się smutnym rozmazywaniem ziemniaków po talerzu. Jeść zachciało mi się jeszcze bardziej, ale oczywiście nie na tyle, żeby zmusić się do przełknięcia przynajmniej kawałeczka tej breji, obrażającej dobre imię jedzenia.

Odłożywszy widelec, popatrzyłam w okno. Nie opodał karczmy, z markotnymi minami wałęsali się jacyś mężczyźni, co i rusz spoglądając na drzwi, i przerzucając się słowami. Wydaje się, że nie mieli by nic przeciwko wypiciu kufelka piwa, ale przywiązana przy drzwiach kobyłka, jedynymi w swoim rodzaju żółtymi oczami, odstraszała cierpiących na kaca, nie mówiąc już o siedzącej w karczmie wiedźmie.

Karczmarz już kilka razy przechodził obok mojego stołu, a przechodząc kolejny raz, stanął koło mnie i zaczął wymownie sapać mi nad uchem. Przesunęłam się na róg stołu i udawałam, że niczego nie zauważam. A w ogóle to zebrało mi się na małą drzemkę...

— Ej, szanowna pani! — Nie wytrzymał, chłop przesunął się do przodu. Szacunku w jego głosie jakoś nie zauważyłam, tylko niezadowolenie, troszeczkę powstrzymywane, strachem przed wiedźmą. — Pani zamierza się rozliczyć, czy jak?

— Zamierzam — chętnie potwierdziłam, dla jasności obracając w palcach srebrną monetę. Karczmarz wyciągnął rękę, ale pieniędzy zniknął równie nagle, jak się pojawił. — Płacić powinno się przed samym wyjściem, nieprawdaż?

Chłop, niechętnie skinął głową.

— Niech pan będzie tak uprzejmy, idzie i zajmie się własnymi sprawami, nigdzie się nie śpieszę, — dobrodusznie zapewniłam, ponownie przysiadając się do stołu. — Tu jest taki miły zakład i tak smacznie karmią, że chciałoby się jak najdłużej przedłużać tą przyjemność. Powiedzmy, do wieczora. A może i zanocować? Przecież nie ma pan nic przeciwko, mam rację?

Karczmarz zasapał, jak smok porywający księżniczkę, kiedy w legowisku, wyszło na jaw, że pomylił ją z dziewięćdziesięcioletnią służącą. Przy czym o wiele łatwiejsze okazało się pozbycie, zadowolonej babki, niż bezczelnej wiedźmy, która przeszkadza truc bardziej uległych klientów. Nie wiem, jak tam wykręcał się smok, ale przede mną, już po piętnastu minutach, stał talerz z ekskluzywną pierśią z kurczaka, w gęstym sosie, świeżuteńką, jeszcze się dymiącą.

— Mam nadzieję, że tym pani wiedźma nasyci się szybciej — ponuro mruknął chłop.

Delikatny kurczak naprawdę rozpląwał się w ustach. Chciałam się delectować, przedłużając przyjemność jeszcze przez pół godzinki, ale haniebnie przegrawszy ze zdrowym apetytem, połknęłam wszystko w ciągu kilku minut i z ubolewaniem rzuciłam w opróżniony talerz poszukiwaną monetę.

Odwiązawszy kobyłkę, z ogromnym trudem wpakowałam na siodło swoje dobrze odżywione ciało i wyjechałam za bramę, postanawiając działać według wcześniej wytyczonego planu, ale nie było mi dane.

Okazało się, że spragnieni piwa chłopcy nie tracili na darmo czasu. Dopóki siedziałam w karczmie, zdążyli posłać gońca i jakby tego jeszcze było mało – on zdążył wrócić z posiłkami.

W moją stronę zbliżało się, patrząc na oko, co najmniej, pięć pudów² żelaza – dwa pudy pokrywały rycerza, jeszcze trzy – jego wiernego konia powoli i majestatycznie stawiającego nogi. Spod długiego srebrzysto-siwego czapraka wyglądały tylko kosmate pęciny z masywnymi kopytami. Górna część bitewnego rumaka była niezawodnie zapakowana w hełm z szczelinami dla oczu, uszu i nozdrzy, od którego do samego łęku siodła schodził kołnierz z wypolerowanych na wysoki połysk blach. Zad był przykryty rodzajem metalowego szkieletu ze stalowych pasów³, tak, że jedynym nie odsłoniętym

² 1 Pud – rosyjska jednostka wagowa. 1 pud = 16,38 kg = 40 funtów = 1280 łutów = 3840 zlotników = 368640 doli.

³ Wygląd końskiej zbroi - http://pl.wikipedia.org/wiki/Zbroja_ko%C5%84ska

miejszem został tylko machający się nerwowo ogon.

Jeździec wyposażył się jeszcze bardziej solidnie – było go łatwiej spłaszyc, niż zranić. Kolczaste elementy na zmianę z litymi, u siodła wisiał ogromny dwuręczny miecz, ledwie nie szurając po ziemi. Wszystko to wesoło brzęczało i szcekało przy najmniejszym poruszeniu, płosząc kury i powodując wściekle ujadanie psów.

Za rycerzem, na znak szacunku, o pół długości w tyle, na małym myszaty⁴ koniku jechał giermek – ciemnowłosy chłopak lat piętnastu ze skórą do śmiechu, pozbawioną jeszcze zarostu twarzą. Żadnej broni, rzeczywiście, ani nie niósł ani nie wiozł, a ze zbroi miał tylko na sobie lekką kolczugę sięgającą do połowy biodra, przepasaną w pasie prostym skórzanym rzemieniem. Procesję zamykały dwie dziesiątki wiejskich piesków, na próżno próbujących przeschekać pobrzękiwanie rycerskiej zbroi.

Moją uwagę zwrócił złoty order na srebrnym łańcuchu, wygodnie leżący we wgłębieniu napierśnika. Podobnie jak u magów, rycerzy zakonu z najwyższą rangą nazywano mistrzami. Zresztą, nie warto było się łudzić – rycerze byli bezgranicznie oddani świątyni i nazywali magię nie inaczej jak „ohydnym czarodziejstwem” lub „nikczemnymi czarami”. Do wiedźm odnosili się odpowiednio.

Przesunęłam się na skraj drogi, ale oba konie skręciły naprzeciw mnie i się zatrzymały, jednoznacznie zagradzając mi drogę. Mistrz, jawnie to pokazując, zmusił swojego „ognistego” perszerona, aby stanął dęba i ociężale pomachał przednimi kopytami. O ziemię szcęknęli z takim hukiem, że na serio się przestraszyłam, aby jeździec wraz koniem nie rozsypali się na oddzielne segmenty. Warto dodać — obie ze Smółką nawet się nie poruszyłyśmy, spoglądając na rycerza z takim szczerym zdumieniem, że giermek, wstydliwie spuścił wzrok.

— Ja łyczę łuić z łydną łydmą! — Głośno, z powtarzającym się wyciem, dochodziło spod hełmu.

Zdumienie przeszło w nie mniej szczerze oszołomienie, kobyłka nawet po psiemu obróciła głowę na bok, wsłuchując się w hulające pod zbroją echo.

— Zapewne mistrz miał na myśli, że życzy rozmawiać z wiedźmą, — z pomocą przyszedł chłopak.

— łydną? — Uściśliłam podejrzliwie.

— Istotnie tak! — Rycerz wreszcie zorientował się, w czym rzecz i

⁴ **Konie myszate** mają sierść o zabarwieniu od popielatej do ziemistej, z ciemniejszym, niemal czarnym kolorem na grzywie i ogonie, to wyróżniki maści myszatej. Często u koni o tej maści występuje dodatkowo czarna pręga wzdłuż grzbietu oraz poprzeczne pręgi na kończynach. Jeśli chodzi o odcienie tej maści, to wyróżniamy dwie jej odmiany: jasno-myszata, typowa dla koni o jasnopopielatej sierści; ciemno-myszata, czyli ciemnoszara. <http://www.galopuje.pl/masci.myszaty.70>

odrzuć przyłbicę. — Albowiem wiedźma jest tworem ciemności, nasieniem zła i ośrodkiem mrocznej siły na tej grzesznej ziemi i dlatego inaczej niż ohydną, nazywać ją jest niedopuszczalne!

— To dla mnie bardzo pochlebne, — wymamrotałam. — I co z tego? Postanowił pan urozmaicać ponure życie tej przyzwoitej wsi modelowo-wzorcowym spaleniem mnie na stosie?

— Niestety, nie, — ze szczerym zmartwieniem przyznał się mistrz. — My, to znaczy Zakonem Białego Kruka w mojej osobie, pragniemy cię wynająć.

Z jeszcze większą uwagą przyjrzałam się złotemu orderowi. Uczciwie mówiąc, ptaszek bardziej wyglądał na kurę, przy czym daleko jej było do dobrej formy. Odnosiło się wrażenie, że nieszczęsnica zakończyła życie samobójstwem, powiesiwszy się na srebrnym łańcuchu, gdzie i zwisała po dziś dzień z rozpostartymi skrzydłami, wyciągniętymi łapami i nienaturalnie skrzywioną szyją.

Zasadniczy sens wypowiedzianego zdania doszedł do mnie troszeczkę później.

— Wynająć? Mnie?! Pan chyba żartuje?

Po mrocznej fizjonomii mistrza było widać, że także chciałby tak myśleć, ale, niestety, nie może.

— Nie chcę pana za bardzo martwić, — zaczęłam przymilnie, — ale przy wyjeździe z lasu wisi nader wiele obiecująca tabliczka...

— Wiem, — odpowiedział rycerz. — Sam ją tam przybiłem.

— Oryginalny ma pan sposób obwieszczania przejeżdżnym magom o wolnym wakacie, — parsknęłam śmiechem. Kobyłka zawtórowała mi analogicznym, tylko jeszcze bardziej zjadliwym i dudniącym dźwiękiem.

— A zbawcie nas bogowie od waszego biesowego plemienia! — nerwowo podniósł głos mistrz. — Nam potrzebna Jedna wiedźma do wykonania Jednego zadania. Potem, choć to wbrew naszym przekonaniom, uwolnimy ją...

Rycerz i giermek z zakłopotaniem spojrzeli na siebie nie rozumiejąc, co mnie tak rozśmieszyło. Zgiąwszy się od chichotu nad łękiem siodła, z trudem wykrztusiłam:

— To znaczy chce pan powiedzieć... żeście mnie... złapali?! Oj, nie mogę...

— No, prawie złapali, — poprawił się giermek, niknąc pod ciężkim spojrzeniem dowódcy. — Można by tak powiedzieć, w trakcie procesu...

— Aha. — Delikatnie poklepałam się po piersi, wyganiając resztki kołającego tam śmiechu. — Jeżeli się nie przesłyszałam, z początku chodziło o najem, a to słowo wskazuje na opłatę za moją zawodową działalność, nieprawdaż?

— Słusznie, — jeszcze bardziej wyniośle potwierdził mistrz, — wyświadczysz nam jakąś usługę a my darujemy ci życie i wolność. Moim zdaniem, to zupełnie godna cena za twoje bogom wstrętne czyny.

— To znaczy, pan chce rozliczyć się ze mną z odebranej ode mnie sakiewki? Nie, to nie przejdzie. Spróbuj ją najpierw odebrać.

Rycerzowi nerwowo drgnął policzek. Widocznie, do tej pory stykał się tylko z wiejskimi znachorkami, nie zdolnymi stworzyć nawet prościutkiego pulsara. Sprawdzać, do czego zdolny jest mag praktyk z wyższym wykształceniem, bardzo mu się nie chciało. Wycofać się, było już za późno.

Mistrz opuścił przyłbicę i z patosem uderzył ostrogami po stalowych końskich bokach. Wierny rumak, szybko zareagowawszy na dobrze znany mu dźwięk, z narastającą szybkością ruszył do przodu.

— Drzyj nieczysta, albowiem w głównej mojego miecza jest zamknięty paznokiec z lewej nogi świętego Fendulija i jedno nim dotknięcie obróci cię w proch!

— Drzę, — uczciwie się przyznałam. — Paskudztwo jakieś, oto oczywisty powód, dla którego nie chce mi się go dotykać.

Rycerz zaryczał z oburzeniem i rzucił się do ataku.

Mój miecz, żadnych Fendulijów nie zawierał, więc i obnażać go nie zamierzałam. Po pierwsze, uczciwy pojedynek (w moim rozumieniu) powinien się odbywać przy użyciu najbardziej odpowiadającej każdemu z przeciwników broni, a zaliczyć do takiej mojego miecza, niestety, nie mogłam. Po drugie, z pochwy sterczała w sumie tylko zbyteczna rękojeść z odłamanym kawałkiem klingi, dla której w żaden sposób nie mogłam znaleźć zastępstwa. Przez półtora roku pracy na traktach zmieniałam, co najmniej z tuzin najrozmaitszych mieczy — od gnomich po elfie. Zło-wredne klingi, kategorycznie odmawiały ze mną współpracy: gubiły się, łamały, wyginały albo topiły się w trującej krwi stworzeń; były kradzione, przypadkowo potrafiły zaplątać się w zajazdach, pożyczano je i zapominano zwrócić, a także zabierano z sobą do grobu, zostało mi jedynie „nie pocieszenie” zgrzytać zębami i znowu sięgać po sakiewkę.

Tak więc, najzwyczajniej w świecie pstryknęłam palcami i rycerz z Fendulijem przemknął obok, bez żadnego skutku machnąwszy mieczem nad moją głową. Zamydląc oczy człowiekowi — najprostszy trik, opanowaliśmy go jeszcze na piątym roku, podbierając jabłka u skąpych handlarek. Przegalopowawszy do końca ulicy, mistrz ściągnął cugle, z zaniepokojeniem potrząsnął głową, wycelował mieczem jak kopią i zawrócił na drugie okrążenie... trzecie... czwarte...

Wzdłuż całej ulicy unosiły się tumany kurzu. Wieśniacy, podzieliwszy się

na dwie grupy wsparcia, z krzykami entuzjazmu lub rozczarowania witali każde okrażenie. Wspólnie ze Smółką, nie ruszając się z miejsca i z niewielkim zainteresowaniem, obracaliśmy głowy tam i z powrotem.

W końcu mistrz postanowił zmienić taktykę i ruszył na nas z groźną powolnością ciężkiej balisty⁵, załadowanej dwuręcznym mieczem. Wyglądało to nader efektowne, nawet trochę się zaniepokoiłam, ale w tym momencie Smółka wygięła zalotnie szyję i cieniutko, pytająco zarżała.

W procesie polowania na wiedźmę zaszła nieduża przerwa — koń rzeczywiście okazał się koniem i przejawiał duże zainteresowanie Smółką, wierząc tak, że rycerz zadźwignął wszystkimi przegubami zbroi. Mistrz zdecydowanie szarpnął cugle, ale ogier postanowił wykazać narowisty charakter i zaczął się kręcić w jednym miejscu, próbując stanąć dęba już z własnej inicjatywy.

Byłam bardzo ciekawa, jak też oni mimo wszystko zamierzali mnie łapać, dlatego nie spieszyłam się do opuszczenia miejsca polowania, wymawiając się pilnymi sprawami, wymagającymi mojej natychmiastowej obecności. Giermek podjechał bliżej i razem, synchronicznymi ohami-ahami witaliśmy każdy wybryk ogiera. Mistrz stracił już nadzieję na jego ujarznienie, rzucił cugle, miecz i chwycił się końskiej szyi, kurczowo uczepiwszy się za nią obiema rękami.

— E-e-e-e... pani wiedźma, — niepewnie zaczął chłopak, nie odrywając spojrzenia od pasjonującego widowiska. — A może pani podda się dobrowolnie?

— Za nic, — odezwałam się w roztargnieniu, patrząc z aprobatą jak rycerz powolutku zaczyna zsuwać się w lewo. — Będę walczyć do ostatniego...

— A jeżeli wyznaczymy za ujęcie pani pewną sumę i pani jako pierwsza zechce ją otrzymać?

Spojrzałam na giermka z nieco większym zainteresowaniem i uwagą niż z początku. Prostolinijna, dobrodusznna i szczerą twarz, ale z podwójnym podbródkiem. Piwne oczy, jednak za poważne dla tak młodego wieku. Tacy chłopcy wyrastają z czasem na wiernych towarzyszy broni albo groźnych wrogów. W każdym bądź razie, póki co, to on nawet nie uzyskał prawa do noszenia własnego miecza, a siwy konik bardziej nawykł do wózka rozwożącego wodę niż do siodła.

— To zależy od wielkości sumy, — powiedziałam ostrożnie.

Chłopak, chętnie odpiął od pasa sakiewkę i rzucił w moją stronę.

⁵ **Balista** - to neurobalistyczna, starożytna machina miotająca używana do czasów średniowiecza, najczęściej przy oblężeniach miast i umocnień, wystrzeliwująca pociski po torze płaskim. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Balista>

Woreczek, nieoczekiwanie przyjemnie zaciążył mi w rękę. Rozwiązałam i zajrzałam. Oho! Na oko, nie mniej niż pięćdziesiąt złotych kładni. Oczywiście, najpierw zobaczymy, co za robótkę mi podsuną, a w razie czego zawsze można zażądać dopłaty za ryzyko. Albowiem łapanie wiedźmy, jak się okazało, to nader niebezpieczne, skomplikowane i niewdzięczne zajęcie... W tym momencie rozległ się niesamowity gruchot! Mistrz rozpląszczył się na ziemi, wbijając się w nią na kilka dobrych piędzi⁶. W tym momencie koń przestał zataczać kręgi i stanął jak wryty, zachwycając się rezultatem swoich działań.

— Dobrze, — odpowiedziałam krótko, wepchnąwszy sakiewkę do torby z ziołami. — Niczego nie obiecuję, ale spróbuję złapać tą łajdaczkę.

Rzuciwszy mi wdzięczne i przepraszające spojrzenie, chłopak zeskoczył z konia, pośpiesznie podbiegł do rozpląszczonego rycerza, przykucnął i z szacunkiem odsłonił mu przyłbicę:

— Panie zwyciężyliście, wiedźma się poddała!

— Bardzo dobrze, — wymamrotał mistrz, tarzając się na plecach, jak przewrócony żuk. — Pomóż mi się podnieść, Tiwalij!

Chłopak z chęcią chwycił rycerza pod pachy, poczerwieniał od wysiłku i z bożą pomocą ustawił w pozycji pionowej. Nawet nie spojrzawszy, na z takim powodzeniem złapaną wiedźmę, mistrz sapiąc polazł do pokornie stojącego w miejscu konia. Najbardziej skomplikowane okazało się podniesienie nogi do strzemienia, a wsunąć ją tam przyszło się giernkowi, tym bardziej, że żelazny nosek były specjalnie zaostrzony. Mistrz trochę poskakał na jednej nodze, ale mimo wszystko w końcu usadowił się w siodle i dopiero wtedy raczył zwrócić na mnie uwagę.

Obdarowałam go czarującym uśmiechem. Rycerz poczerwieniał, ale na prowokację nie zareagował.

— I jeszcze, — rzucił sucho. — Skoro już się pomodliliśmy i z ciężkim sercem zdecydowaliśmy się uciec do pomocy sił nieczystych, to te powinny być siłami wyższej konieczności, a nie nędznymi wysiłkami wędrownych szarlatanów!

Wzruszyłam ramionami. Zupełnie rozsądne żądanie, choć wolałabym, aby wypowiedziano je innym tonem. Ryjąc w przytroczonej do siodła torbie, dosięgam porządnie podniszczzonego zwoju, z tłustymi plamami i przyklepionymi okruszkami — świadectwa ukończenia Szkoły Magów z wykazem późniejszego przebiegu służby — i podałam go mistrzowi.

Rycerz z obrzydzeniem, dwoma palcami chwycił za róg zwoju, potrząsnął,

⁶ Piędź – dawna jednostka miary długości, określana jako odległość między końcami kciuka i palca środkowego. W dawnej Polsce jej wartość, zróżnicowana lokalnie, wynosiła w zależności od regionu: 1 piędź = 1/3 łokcia ≈ 19,8 cm lub 1 piędź = 3/4 stopy ≈ 22,3 cm <http://pl.wikipedia.org/wiki/Pi%C4%99d%C5%BA>

aby ten się rozwinął i zaczął czytać. Już po pierwszej linijce oczy zaczęły mu wyłazić ze zdziwienia, po drugiej, pergamin wyśliznął się z osłabłych palców i na powrót się zwinawszy, skoczył w moją nadstawioną dłoń.

— No, to jak tam, panie mistrzu, moje rekomendacje was zadawałają? — Zapytałam najbardziej niewinnym tonem.

— T-tak, pogań... pani wiedźmo, więcej niż bym chciał.

— Doskonale — ściągnęłam lejce i wstrząśnięty mistrz bez sprzeciwu pozwolił mi stanąć na czele „łowczego” oddziału.

* * *

Z bliska zamek robił nie byle jakie wrażenie — oszałamiał swoją wielkością, wyrastając nade mną jak skała. Oczywiście, nie do zdobycia. Wzdłuż fortecznych murów ciągnął się szeroki rów, wypełniony wodą z wkopanymi w dno palami. Wielu wrogów w najbliższym czasie nie przewidywano, rów znajdował się w rekonstrukcji i wody w nim było tyle, co kot napłakał. Spędzeni z Rozdroża chłopcy sprawnie posługiwali się szerokimi łopatami, wydobywając nagromadzone przez lata wodorosty, pokrywające muliste dno. Nad brzegiem rowu stał wóz z ociosanymi palami — do wymiany tych, co nadgniły. Po górcie, wyrzuconego na brzeg szlamu skakały oburzone grube żaby. Zardzewiałych zbroi, czaszek i innych świadectw sławnych bitew jakoś nie zauważyłam. Wrogowie (zazwyczaj stepowe orki, chociaż, bywało, że na Belorię łasili się jej najbliżsi sąsiedzi — Winessa z Wolmenią) podchodzili do zamku, zadzierali tak jak ja głowy, pogwizdywali i mówili: „Znaleźli durniów!” — i nawet nie próbując zacząć oblężenia, szli wojować w inne miejsce. Rycerzom, przeklinającym pod nosem, przychodziło się (wyłazić zza murów fortecznych) i doganiać niesumiennego przeciwnika w szczerym polu albo maszerować na przelaj w celu połączenia się z regularnym wojskiem.

Zamek wznosiły gnomy, powoli i solidnie. Całe sto trzydzieści lat, dopóki kolejny król nie zdał sobie sprawy, że należy zamienić formę płatności z godzinowej stawki na akord. I nie minęły trzy miesiące, jak Kruczy Szpon został uroczyście oddany do użytku. W związku z tym, iż wielu wrogów nie mogło docenić wykonanej ze względu na nich pracy, obronny bastion został przekwalifikowany w szkołę rycerską, sprawnie dostarczającą belorskiemu legionowi dzielnych wojaków.

Przedostać się na drugi brzeg można było po jednym, jedynym zwodzonym moście (nie licząc, ma się rozumieć, sekretnych przejść, w które obfitowała

każda szanująca się twierdza). Oprócz masywnej, wzmocnionej stalowymi pasmami bramy, wejścia do twierdzy broniła krata ze sterzcącymi na zewnątrz, długimi na dłoń kolcami. To jeszcze nie wszystko — za kratą zaczynał się długi, wąski korytarz, z którego było widać również otwarte na oścież skrzydła następnej bramy. Pod pułapem czerniały prostokątne otwory strzelnicze, z których stojący na dziedzińcu łucznicy mogli bez przeszkód zabijać strzałami, pochopnie wkraczających w korytarz najeźdźców. Bronić się w tym miejscu to sama przyjemność, tylko wielka szkoda, że wrogowie ani razu jej nie doświadczyli.

W tej chwili most był opuszczony, wszystkie furty otwarte, a krata podniesiona. Obok niej, podpierając ściany i ospale rozmawiając, pełnili wartę dwaj rycerze. Na nasz widok, wyprostowali się z takim pośpiechem, że aż im zadźwięczały zbroje.

Nagle uświadomiłam sobie, że nie słyszę już odgłosu kopyt ani pobrząkiwania zbroi za plecami. Osadziłam konia i się obejrzałam. Rycerz i giermek stali pięć kroków od mostu, obserwując mnie z jakąś podejrzaną, chciwą ciekawością.

— O co chodzi? — Nieufnie zapytałam — Tylko nie mówcie, że podpiłowaliście go specjalnie dla mojej skromnej osoby!

— Ależ skąd, pani wiedźmo! — Pośpieszył zapewnić mnie chłopak i objechawszy Smółkę, jako pierwszy wjechał na most. Zatrzymał się przed bramą, zawrócił koniem i stanął naprzeciwko mnie.

Co ciekawe: twarze wartowników zastygły w oczekiwaniu. Szepnęli coś między sobą uderzając się w ręce, przypieczętowując tym zawarcie jakiegoś zakładu.

Obok mnie, demonstracyjnie, nie śpiesząc się i nie oglądając się, przejechał mistrz.

Dłużej upierać się byłoby głupio. Zwyczajny most, szeroki, pewny, na dwóch grubaśnych łańcuchach. Mogła po nim swobodnie przemaszerować ustawiona w cztery rzędy pancerna jazda, a most nawet by nie drgnął. Wzruszywszy ramionami rozkazująco cmoknęłam i potrząsnęłam lejcami. Praca to praca, dziwactwa klientów nie powinny mnie wyprowadzać z równowagi.

Gdy tylko kobyłka przekroczyła most i znalazła się na drugim brzegu, wszyscy odetchnęli z ulgą, spojrzeli na siebie znacząco i mistrz, dawszy znak do podążenia za nim, skierował konia pod spiczaste sklepienie, długiej ciemnej galerii.

— Możesz mi to wszystko wyjaśnić? — Poprosiłam szeptem, pozostając trochę w tyle i zrównując się z jadącym za mną giermkim. Chłopiec spojrzął z

ukosa na mistrza i także półgłosem odpowiedział:

— Uważa się, że na most rzucono klątwę, która sprowadza na wkraczające na niego kobiety natychmiastową śmierć.

— Co?! — Z oburzenia aż się zatrzymałam, a rycerze w ślad za mną. — A wcześniej nie można było tego powiedzieć?

— Ależ pani jest wiedźmą, — z zakłopotaniem mruknął chłopak.

— Otóż właśnie! Wiedźma, a nie czarodziej! A może „ośrodek zła”, ale dla was to wszystko jedno.

— To nie tak, — pośpiesznie poprawił się Tiwalij, — pani przecież rozumie, że jest także i czarującą kobietą, ale czyż wiedźmie może zaszkodzić jakaś tam klątwa?

„Jeszcze i jak może!” — ledwo mi się nie wyrwało, ale w porę ugryzłam się w język. Nie warto podważać własnej reputacji, tym bardziej, że klątwa nie zadziałała i żadnej magii na moście nie wyczułam. Prawdopodobnie, tą pogłoskę puścili sami mistrzowie, żeby pomóc pozostałym rycerzom przestrzegać świętych ślubów czystości — przynajmniej w granicach zamku.

— A gdybym niespodziewanie odbiła klątwę na kogoś z was? — zapytałam zgryźliwie.

Ta kusząca perspektywa z jakiegoś powodu nie spodobała się rycerzom. Chłopak, pośpiesznie cofnął się ku ścianie, a mistrz, tak na wszelki wypadek opuścił przyłbicę.

Korytarz się skończył, a zamek nawet się jeszcze nie zaczął. Mur forteczny łączył osiem strażniczych wież — Szponów, a w odstępach między nimi a właściwym zamkiem, bez trudu mieściły się kuźnia, stajnie, ogrodzona arena i niska piekarnia z dwoma kominami, z której dolatywał smakowity zapach świeżego chleba.

W pośpiechu podjechaliśmy do zamkowych wrót, niczym nieustępującym tym z zewnętrznych murów. Od stajni już biegło dwóch chłopców, którzy odebrali od nas konie. Jeszcze jeden długi korytarz (tym razem bez otworów strzelniczych, ale z trzema zakratowanymi drzwiami) i znalazłam się w samym sercu Kruczych Szponów — wewnętrznym dziedzińcu.

Było tu cicho i chłodnawo, z góry dochodziło tkliwe gruchanie turkawek. Bujny, zimozielony bluszcz zarzucał pędy aż do samego gzymsu. W centrum dziedzińca stała nieduża, sześciokątna altana z krytym dachówką dachem, zwieńczonym drewnianym wizerunkiem kruka. Przypatrzwszy się bliżej, zorientowałam się, że altana to studnia z wysokim zrębem⁷ w środku.

Z centralnego dziedzińca cztery powitalne bramy odsłaniały widok na

⁷ Zręb – w tym przypadku drewniana obudowa studni inaczej cembrowina lub cembrzyna,

nieco mniejsze dziedzińce. Do zamku prowadziło szesnaście jednakowych, dwuskrzydłowych drzwi – każde z trzema schodkami (od razu nasunęło mi się podejrzenie, że połowa z nich jest fałszywa i zamurowana, aby zmylić szturmującego przeciwnika). Mistrz skierował się do jednych z nich.

Mogłoby się wydawać, że w takim ogromnym zamku i korytarze powinny być szerokachne — nic podobnego! Wysokie — tak, na trzech ludzi mojego wzrostu, ale iść nimi wypadało gęsiego. To prawda, że często się rozszerzały w nieduże pokoiki z sufitami o łukowych sklepieniach i z drzwiami w bocznych ścianach. Niektóre z nich były otwarte dając początek takim samym korytarzom, różniącym się tylko sposobem oświetlenia — ściennymi pochodniami albo słonecznymi promieniami przechodzącymi przez zakratowane okienka. W pojedynkę zablądziłabym tutaj już w kilka minut — a że niezbadany jest smutny los dziesiątek innych rycerzy, to nie wiem, czy nie natkniemy się na ich spróchniałe szczątki idąc z powrotem...

— Gdzie są wszyscy? — spytałam, zaskoczona panującą w korytarzach ciszą.

— Pora obiadowa, — wyjaśnił chłopak. — Bracia przebywają w refektarzu, dokąd zmierzamy.

Wypadało kierować się po krętych, spiralnie skręcających się w kamiennej rurze schodach. Czy też gnomy, zapomniawszy, zbudowały je dla siebie, czy też w planach figurowały, jako pułapka dla dobrze odżywionych wrogów, ale już po pierwszym okrażeniu doświadczyłam na sobie wszystkich uroków klaustrofobii. Opuszczonym łokciem lekko dotykałam lewej ściany, a bokiem — środkowego słupa, pochylając się instynktownie, tak, aby nie uderzyć głową o niski sufit. Mistrz najwyraźniej zapominał tego robić, albowiem z przodu, raz po raz dochodził niemelodyjny dźwięk walenia hełmem, a co za tym idzie przekleństwa o wcale niemiłym brzmieniu.

— Czy to jedyna droga na górę? — Sapnęłam, kiedy dziesięć tuzinów stopni w końcu zostało uwiecznione drzwiami i się zatrzymaliśmy, żeby zaczerpnąć tchu.

— Nie, pani wiedźmo. To tajemne przejście, z niego korzystają tylko mistrzowie albo honorowi goście. Wszyscy inni wchodzą na drugie piętro po czterech zwyczajnych drabinach. Ale na trzecie, gdzie żyją mistrzowie, prowadzą tylko kręte.

— A czwarte jest?

— Tak, wieża. Tam panią i ulokujemy... znaczy, zamkniemy, — pośpiesznie poprawił się chłopak, rzuciwszy okiem na mistrza.

Zajęczałam w myślach, wyobrażając sobie trzy piętra schodów do

pokonania za jednym zamachem. Znowu ruszyliśmy w drogę a giermek z natchnieniem kontynuował:

— Istnieje legenda o sławnym rycerzu, który pierwszy dostrzegł wojsko nieprzyjaciela okrążające w nocy zamek jak złodziej skradający się po lesie. Żeby jak najszybciej zanieść tę ważną wiadomość, modlącym się w wieży mistrzom, ten dzielny mąż bez zatrzymywania się przebiegł wszystkie trzysta osiemdziesiąt siedem stopni i padł bez ducha!

— A nie ma tu pokoju... to znaczy ciemnicy... gdzieś w podziemiach? — Spytałam żałośnie. — Albo jakiegoś lochu do tortur, co?

— Jest, ale umarli błakają się tylko po górnych piętrach, więc pani tak czy siak przyjdzie się... — Chłopak zaciął się, zdając sobie sprawę, że wypaplał za dużo.

— Co to za um... — zaczęłam, ale wtedy mistrz, nie zmniejszając kroku, z irytacją pchnął dwuskrzydłowe drzwi.

Te niespodziewanie lekko otworzyły się na oścież, głośno trzasnąwszy o ściany, odbiły się od nich i pomknęły z powrotem. Przemknąć w ślad za rycerzem nie zdążyłam i wystawiłam przed siebie ręce, z przyzwyczajenia zastępując zwykle pchnięcie — magicznym. Albo odrobinę źle wyliczyłam, albo skrzydła drzwi okazały się spróchniałe, ale w rezultacie, niespodziewanie dla mnie samej z traskiem się rozleciały na grube szczapy, rozsypując się po podłodze w promieniu dwudziestu łokci przede mną.

Zrozumiałam jest, że pojawienie się w tak efektowny sposób, nie mogło przejść niezauważonym. Skierowały się na mnie, co najmniej cztery setki oczu, przy czym dwie dziesiątki — od najbliższego stołu. Właściciele tych ostatnich, widocznie, siedzieli w zasadzce, bo rycerz i tchórzostwo — to słowa się wykluczające, aczkolwiek w rycerskim regulaminie, mające taką samą siłę, co królewski edykt o magach i duchownych.

— Przepraszam, — kaszlnąwszy, mruknęłam na tle zapadłej ciszy. — To niechący.

Otoczające mnie twarze się wydłużyły, wyrażając najgłębszą wątpliwość w tym względzie.

— To jest wiedźma. — Mistrz z obrzydzeniem wskazał na mnie palcem.

Z takim zamyśleniem spojrzałam z ukosa na wyżej wspomniany organ, że mistrz pośpiesznie go cofnął i ściągnąwszy żelazną rękawiczkę, ukradkiem zaczął sprawdzić, czy nie doznał on, aby uszczerbku.

Szczególnego zdziwienia ta nowość nie wywołała. Widocznie, wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie i po co pojechał mistrz. Młodzież przyglądała mi się z bojaźliwym zainteresowaniem, starsi rycerze, bezskutecznie starali się ukryć

takież same uczucie za wyniosłą pogardą. Zresztą, było i kilka prostych, spokojnych, oceniających spojrzeń. Ci nawet trochę się pokłonili, witając damę.

Sala była ogromna, nawet większa od królewskiej. Przy ścianie, za najbliższymi stołami siedzieli giermkowie, w drugim rzędzie — młodzi rycerze, w trzecim — ci z doświadczeniem wojennym, okazale rozwalający się na krzesłach. W środku stołowali się mistrzowie. Pięć z dziewięciu krzesel stało pustych, jedno wyróżniało się wyższym i masywniejszym oparciem, inkrustowanym szlachetnymi kamieniami. „Mój” mistrz, nie zatrzymując się, z przesadną skromnością podszedł majestatycznie do krzesła, giermek z szacunkiem wysunął mi sąsiednie i stanął za jego oparciem.

Gwar głosów niespodziewanie ucichnął. Nawet mistrzowie zerwali się z miejsc i wyprężyli się jak struny, odprowadzając oczami siwowłosego mężczyznę w wieku lat sześćdziesięciu, bez pośpiechu kroczącego do środkowego stołu. Nie miał na sobie ani broni, ani zbroi — tylko białą, długą riasę⁸ z złocistym haftem z przodu. Oczywiście, Kruk.

Ze zdumieniem spjrzałam na Tiwalija.

— To głowa zakonu, Najwyższy Mistrz, — z głęboką czcią wyszeptał chłopak. — Ostatnie dwa tygodnie, gorliwie umartwiał ciało głodówką i samobiczowaniem, modląc się do świętego Fendulija o wybawienie nas od utrapienia.

Ciała u Najwyższego Mistrza było naprawdę trochę za dużo, wystarczyłoby jeszcze na pół roku umartwiania się. To taki dobroduszny tłuszcioszek, który bardzo dawno temu skończył machać swoim mieczem i zasłużenie spoczął na laurach. Przecinając salę, mimochodem potargał czuprynę speszzonego podrostka, zamienił parę słów z rycerzem, który momentalnie oblał się pasem i o dziwo, dość uprzejmie skinął mi głową. Siedzącej, oczywiście bezczelnie na krześle.

Zanim zajął swoje miejsce, Najwyższy Mistrz złożył ręce na piersiach i pochylił głowę.

— Módlmy się, bracia, i podziękujmy świętemu Fenduliju za zesłane nam jedzenie!

Rozejrzałam się wokół stołu. Wyglądało na to, że święty był bardzo blisko spokrewniony z karczmarzem z „Rozdroża”: na większości półmisków leżały przekrojone na cztery części cebule, grubo pokrojony chleb i ser wątpliwej świeżości, a w rozstawionych między nimi dzbankach pluskała zwykła woda, bezczelnie pochyliłam się nad jednym i powąchałam.

Gdzieniegdzie samotnie marniały pieczone kury, przywodzące na myśl

⁸ Riasa – rodzaj sutanny duchownego

ptasi pomór, podczas którego pierwsze zdychają kurczęta i honorowi emeryci. Samotny szczupak z przerażeniem spoglądał na tłum głodnych rycerzy, którzy już mieli zamiar urządzić turniej w celu wzięcia w posiadanie jego zimnego ciała.

Rycerze widząc w czym rzecz także nie ociągali się z podziękowaniami. Lecz gdy tylko opuścili ręce i wycelowali w najbliższe kurczaki, Najwyższy Mistrz jeszcze bardziej uroczystym głosem obwieścił:

— Bracia moi! Kiedy spoglądam na tą obfitość jedzenia, jednocześnie raduję się i ubolewam, albowiem trwamy w grzechu obżarstwa...

Na wszelki wypadek jeszcze raz obejrzałam to, co było na stole, próżno starając się odkryć przypuszczalną obfitość.

—...óry ciężkim kamieniem kładzie się na i bez tego przepelnioną czarę naszych grzechów, dając dodatkowe siły gnieżdżącemu się w zamku złu. Wobec tego proponuję ogłosić trzydniowy, ponadplanowy post, na chwałę świętego Fendulija i na pohybel umarłakowi. Oczywiście, to absolutnie dobrowolna rzecz i w żadnym razie nie będę nikogo ganił za brak silnej woli.

Nikt nie okazał się być słaby duchem, chociaż aprobujący uśmiech mistrza był słabą pociechą dla umykających sprzed nosa kalorii. Usługujący w sali przy stołach chłopcy szybko zebrali i odnieśli do kuchni podstępne kury, przyłapane na pomaganiu umarłakowi. Rycerze, posępnie chrupali cebule, starając się nie patrzeć i nie chuchać na siebie nawzajem. Nie zdążyłam jeszcze zgłodnieć, gdy Najwyższy Mistrz, gorliwie się samoudręczył, nie zjadając nawet cebuli, tak żeby nic nie przeszkadzało nam zacząć rzeczowej rozmowy. Oczywiście, po kwiecistym wstępie na temat, mojej ohydnej profesji. Pamiętając, że klient ma zawsze rację, wysłuchałam go z wielką uwagą, ale przekwalifikowania na dajna uprzejmie odmówiłam. Zresztą, mistrz zbytnio i nie nalegał, bowiem wiedźma była mu teraz dużo bardziej potrzebna.

Okazało się, że osławiony umarłak błąkał się po zamku w zgoła nie spacerowym, a raczej w rozrywkowym celu. Czyli, może i dobrze się bawił, ale nader osobliwie. Przez trzy miesiące, zakon stracił siedmiu ludzi! Szczególnie nie szczęściło się mistrzom i rycerzom, giermek umarłakowi nawinał się tylko jeden, bo akurat znajdował się razem z przełożonym.

— A pan naprawdę jest przekonany, że to umarłak, a nie, powiedzmy upiór? — uściśliłam.

— Upiór, umarłak, zjawa — tego nie wiem, — westchnął Najwyższy Mistrz. — Ale ukazuje się nocami, w zardzewiałej zbroi, wierzchem, na w połowie zgniłym koniu, przenikając nawet do zamkowej wieży, po czym znika bez śladu, przechodząc przez ściany.

Zamyśliłam się na dłuższy moment. Z jednej strony, przez ściany... z drugiej — na w połowie zgniłym... I jeszcze na koniu, którego podnieść z grobu można tylko przy pomocy magii, bo konie nie mają niezdrowego przyzwyczajenia, aby zjawiać się z tamtego świata z powodu polowania na rycerzy. Nie, trzeba samej popatrzeć na ten cud przyrody. Dobrze byłoby zza winkła, a wtedy się zastanowię, czy nie zażądać dodatku za szkodliwość.

— Czy on ich je? — Rzeczowo się zainteresowałam. — No, przynajmniej nadgryza?

Połowa rycerzy odłożyła łyżki, podziękowawszy świętemu Fienduliju, że nie ulegli pokusie sytniejszej strawy, która teraz ze zdwojonym entuzjazmem cofnęłaby im się z powrotem.

Najwyższy mistrz powoli pokiwał głową:

— Jedyne zabija. Zatrutą klingą, prosto w serce, ale cios przenika aż do pleców.

„Wygląda na to, że to mimo wszystko umarłak. Czyli chodzący trup, z jakiegoś powodu porzucił przytulny grób. Upiór nie potrafiłby się pohamować i przynajmniej nadgryzłby troszeczkę, a zjawy nie posługują się materialną bronią”.

— A zanim postanowił pan mnie wynająć... czyli złapać, nie próbował pan sam znaleźć na niego sposobu?

— Oczywiście, wypróbowaliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby: trzykrotnie po trzydzieści razy odmówiliśmy oczyszczające modlitwy, pokropiliśmy zamek święconą wodą i okadziliśmy go odpędzającymi biesa wonnościami, a także złożyliśmy mnóstwo podniosłych ślubowań, ale nadaremnie...

— A nie próbowaliście stawiać pułapek przy drzwiach?

Oburzeni mistrzowie wszczęli wrzawę, ale głowa zakonu powstrzymała ich jednym ruchem dłoni i niespodziewanie się uśmiechnęła:

— Przyznaję się, że przychodziły mi do głowy podobne myśli. Ale, ponieważ umarłak jest w zamku jeden, a żywych braci z tysiąc razy więcej, stawiając pułapki naraziłbym ich na pokusę użycia przekleństw i sądzę, że mało kto potrafiłby się przed takowymi powstrzymać...

Po sali przetoczyła się fala śmiechu, potwierdzająca, że głowa zakonu sądzi prawidłowo.

— Dobrze, a jeśli by tak po prostu zamknąć się od wewnątrz?

— Zamknięcia umarłakowi nie przeszkadzają. Może pojawić się bezpośrednio pośrodku pokoju, już parę razy musieliśmy wywazać zamknięte od wewnątrz drzwi. A czasem, nie zważając na najsurowszy zakaz, bracia otwierali mu sami! To dla mnie całkowicie niezrozumiałe...

Uczciwie mówiąc, dla mnie także. Wszystkie umarlaki, z którymi do tej pory się zetknęłam, wcale nie były skłonne do zawierania bliskiej znajomości i przyjacielskich uścisków. Dobre w nich było tylko jedno — bezgraniczna tępota, pozwalająca bez szczególnego wysiłku zapakować ich z powrotem do grobu. Do przejścia przez ścianę tym bardziej nie są zdolni, jeżeli, oczywiście, nie ma tam magicznego portalu albo banalnego ukrytego przejścia. Bardziej skłaniałam się ku drugiemu wariantowi — sądząc po zbroi, za życia umarłak siadywał za jeden z tych stołów, a to oznacza, że znał Krucze Szpony jak zły szeląg.

— Da mi pan mapę zamku?

Najwyższy mistrz z żalem rozłożył ręce:

— Niestety, nie mamy jej. Gnomy przekazały nam jeden, jedyny egzemplarz, ale podczas fałszywego alarmu, razem z planem miejscowości został bohaterko zjedzony przez jednego z naszych braci, żeby te tajne dokumenty nie wpadły w ręce wroga. Zrekonstruować go, tak i się nie udało, gdyż zamek jest ogromny a jego korytarze niezbadane...

— Zauważyłam.

Posepnie pomyślałam, że po tutejszym wikcie mapa w zupełności mogła uchodzić za specjal. Więc pomysł z ukrytym wejściem odpada. Znając gnomy, zrozumiałam, że szukać go mogę do usranej śmierci – póki zaintrygowany umarłak nie poklepie mnie z tyłu po ramieniu. Zbadać zamek na ślady magii będzie prościej — od tego i zacznę. W każdym razie, odsypiać będę musiała w ciągu dnia, żeby wszechobecny szkielet nie miał szansy otrucia mnie podczas nocnego odpoczynku. Większa część rycerzy tak właśnie postępowała, teraz po kryjomu poziewując w kułaki.

— Ale damy pani coś znacznie lepszego, — uroczyście obiecała głowa zakonu, promieniejąc wyćwiczonym na „braciach” uśmiechem. — Tiwalij! Póki pani wiedźma przebywa w zamku, będziesz wszędzie jej towarzyszyć.

I mnie, i giermkowi tak samo opadły szczęki.

— On?! Po co?!

— Ja?! Za co?!

— Dla bezpieczeństwa, — mgliście objaśnił Najwyższy Mistrz.

Czyje bezpieczeństwo miał na względzie nie uściślił, ale pewnie nie moje. Sprzeciwiać się byłoby nadaremnie, a i tak byłam zdziwiona, że zdecydowali się wpuścić lisa do kurnika, czyli wiedźmę do zamku. Tiwalij, wyglądając jak kupka nieszczęścia, skinął głową potwierdzając gotowość podążenia za rozkazem. Niech i tak będzie, w razie czego przeszkodzić mi mimo wszystko nie był w stanie, a jeżeli co godzina będzie biegać do mistrzów z raportem — na

zdrowie, nie mam nic przeciwko. Zwłaszcza, jeśli przypomnę sobie o...

* * *

— ...Dwieście dziewięćdziesięciu jeden... Dwieście dziewięćdziesiąt dwa...

Giermek, potulnie włókł się za mną, pobrzękując koleczuga i sapiąc mi w plecy.

— Niech to leszy! — Potknęłam się i pomyliłam. — Ile tam było?

— Trzysta siedem, pani wiedźmo.

— Jesteś pewny?

— Pragnie pani wrócić i przeliczyć od nowa?

Byłam tak wyczerpana, że odpuściłam mu tę kpinę. Na czwarte piętro wlałam dosłownie na czworaka. Czemu zbudowano schody naokoło słupa, czy nie można było zbudować normalnych? Wyszłyby z pięć, albo i z dziesięć razy krótsze! Na drugim i trzecim piętrze sufity znajdowały się niżej niż na pierwszym, na wysokości wzrostu dwóch ludzi z podskokiem, ale, według mojego odczucia, wspięłam się na dobre sto sążni.⁹ Nie chodzi o to, że się zmęczyłam, ale że zakreśliło mi się w głowie.

Na ostatnim piętrze, płynnie przechodzącym właściwie w wieżę („do widokowego tarasu zostało razem wszystkiego cztery tuziny stopni, a stamtąd otwiera się wspaniały widok na okolicę!” — zająknął się chłopak, bo mój wygląd spodobał mu się jeszcze mniej niż mi), znajdowało się w sumie pięć pokoi, a dokładniej, cela zakonna miała rozmiar półtora na dwa sążnie. Zaproponowali mi którąkolwiek do wyboru, przy czym różnica między nimi była mniej więcej taka sama, jedna była warta drugiej. Smętnie obejrzałam bardziej niż ubogie umeblowanie, w postaci jedynej, drewnianej ławki z brzozowym polanem na brzegu, w której za późno rozpoznałam łóżko z poduszką.

— Jeszcze deskę w miejsce kołdry położylibyście! — nie na żarty się oburzyłam — I to ma być gościnny pokój?! Specjalnie, żeby goście nie przesiadywali, to jest nie wylegiwali się?

— Ależ pani wiedźmo, mistrzowie okazali wam wielki zaszczyt! W tej celi bracia medytują, kiedy pragną odseparować się od próżnego świata, pomodlić się i pomyśleć o wieczności.

— A jeśli mój program kulturalny jest zupełnie inny?

— Dobrze, zaraz przyniosę pani poduszkę i materac, — beznadziejnie

⁹ Sążeń – stara rosyjska miara długości równa 2,13 metra.

westchnął chłopak obracając się w stronę trzystu stopniowej dziury.

Metodą wtykania głowy z pokoju do pokoju, wybrałam jedną z cel i podniósłszy torby z podłogi (w jednej rzeczy, w drugiej ziółka, para książek i zdekompletowane strzępy podróжных notatek, które w perspektywie powinny stać się dysertacją) zawlokłam je do środka. Z jedyne go okna odsłaniał się, bądź co bądź, dosyć ponury widok na wewnętrzne podwórka, arenę i forteczne mury z kawałeczkiem nieba.

Dziwnie, jeśli do wierzchołka wieży zostało w sumie pół setki schodków, czy naprawdę można stamtąd dostrzec cokolwiek, co by wzbudziło zainteresowanie? Może są tam schodki na mój wzrost?!

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam to ostukałam ściany — oczywiście, nie wszystkie, a pięć najbardziej podejrzanych kamyczków; z niezadowolaniem podmuchałam na odbite kostki i postanowiwszy nie tracić czasu po próżnicy, i palców, nałożyłam na ściany cementujące zakłęcie. Niech teraz umarlak napoci się w swoim ukrytym przejściu, próbując otworzyć „zaklinowane” drzwi!

Chłopak wrócił podejrzanie szybko, jak gdyby stoczył się na dół koziółkując, a na górę odprowadził go, skaczący mu po piętach umarlak. Zasławszy łóżko, szczodrym gestem zaproponowałam mu polano („podłóżysz pod głowę dwa naraz, będzie bardziej miękko”), ale giermek z zakłopotaniem, wyznał, że myśli o wiecznym, który jego na razie jakoś nie odwiedza i dlatego on przyniósł kołdrę i dla siebie.

— Pani wiedźmo, a czym się teraz zajmiemy? — nie wytrzymał chłopak, widząc brak jakichkolwiek działań przygotowawczych w celu złowienia umarlaka.

Zrzuciwszy buty, zdążyłam rozciągnąć się na leżącej na łóżku kołdrze i dopiero teraz, z niezadowolaniem uchyliłam powieki patrząc na zbliżającego się Tiwalija:

— Osobiście mam zamiar się zdrzemnąć. Tak, więc bądź dobry — wyjdź i zamknij za sobą drzwi.

— Ale przecież umarlak? — zmieształ się chłopak.

— Jeśli go spotkasz, powiedz, żeby wstąpił do mnie trochę później.

— Ale....

— Posłuchaj, — zaczęłam z maksymalną cierpliwością, — wczorajszy dzień wydał mi się ciężkim z powodu ogarniętej krowim pomorem wsi, nocą coś się niezbyt spodobałam gromadzie leśnym dziwadeł, a do obiadu wytrzymałam się na siodle i teraz zupełnie nie jestem skłonna uganiać się za waszym chamskim szkieletem. Tak, że do jutra jesteś wolny.

— Do rana?! Ale jeszcze nawet się nie zmierzcha!

— To doskonale, jak raz zdążę odespać obie noce, tę i poprzednią.

Giermek nieśmiało podreptał koło łóżka, z wyrzutem powzdychał, ale nalegać się nie zdecydował.

* * *

Gdzieś koło północy cichutko uchyliłam drzwi. Rozejrzałam się. Aha, uwierzył! Patrzcie go jak chrapie w sąsiedniej celi, nawet przez ścianę słychać. Zabieranie chłopaka na polowanie nie wchodziło w moje plany — zbyt dużo mocy zużyję na jego obronę, i jeszcze zaczniesz przeraźliwie krzyczeć w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Zabrałam ze sobą tylko parę amuletów. Dobrze by było, oczywiście i miecz... ale czego nie ma, tego nie ma. Zresztą, przeciwko zjawie, on wcale by nie pomógł.

Umarlak, rozumie się, nawet nie pomyślał pomylić drzwi z moimi, w oczekiwaniu końca nocy. Przekonawszy się o tym bolesnym fakcie, zesłam na trzecie piętro. Niekończący się korytarz rozwidlał się w prawo i w lewo, czarne otwory bocznych odgałęzień przeplatały się z plamami światła dookoła ściennych pochodni. Odgłos płomienia dodawał i bez tego przygnębiającej nocnej ciszy, szczególnie złowieszczy odcień.

Na początku zdecydowałam, że przejdę się po prostu po korytarzu tam i z powrotem, nigdzie nie skręcając. Jeśli on ciągnie się po obwodzie całego zamku zamykając się w pierścień — tym lepiej. Gdzieś na piętrze powinny być błąkać się dwa rycerskie patrole, składające się z pięciu ludzi, ale uwzględniając rozmiary Kruczych Szponów, w ciągu nocy oni mogli ani razu nie napotkać ani mnie, ani sobie nawzajem. Umarlakowi także całkowicie nie przeszkadzali.

Buty na skórzanej podeszwie pozwalały mi stapać po kamiennej podłodze, praktycznie bezszelestnie i czujnie wychwytywać najdrobniejszy, obcy szmer. W strefie cieni kręciły się i popiskiwały niewidoczne szczury, wtórował wyciem wlatujący przez okienka wiatr. Jeden raz, wydało mi się, że słyszę takie same ostrożne kroki gdzieś za ścianą, nawet się zatrzymałam i przysłuchiwałam, ale widocznie, coś mi się przesłyszało. Za to po lewej stronie, zauważyłam drzwi z prostą runą, zrozumiałą nawet dla analfabetów. Pod nią, znajomym kaligraficznym charakterem pisma zostało napisane: „Tylko dla mistrzów”.

„W samą porę”, — pomyślałam zjadliwie. Tytuł Mistrza czwartego stopnia w bojowej magii otrzymałam niedawno, tej zimy i jeszcze nie zdążyłam do końca odczuć wszystkich przysługujących mu przywilejów. Szczególnie, takich jak prawo korzystania z wewnętrznej toalety rycerskiego zamku. Zresztą, kto powiedział, że nie skorzystałabym z niej i w innej chwili?! Poszukiwania

umarłaka, mające się zakończyć sukcesem — to nerwowa i uciążliwa sprawa, więc przed tym zajęciem nie zaszkodzi...

Uchyliwszy drzwi i się rozejrzawszy, przekonałam się, że pokój trafia w pełni w mój gust — prawdopodobnie, umarłak w szybki sposób zmusił mistrzów do zaopatrzenia się w nocniki. Wewnątrz zobaczyłam cztery kabinki z desek wzdłuż odległej ściany, umywalkę z podstawionym pod spodem wiadrem i dwie, w połowie wypalone pochodnie w pierścieniach na podstawkach. Wzruszona takim niebywałym komfortem, udałam się do znajdującej się z brzegu kabinki, ale nie zdążyłam zrobić i dziesięciu kroków, jak ze zdumieniem odkryłam, że już nie idę, a lecę, przy czym gdzieś w dół, z coraz bardziej narastającą prędkością.

Zakłęcie lewitacji wyrwało mi się całkowicie odruchowo, jak wygibas u ześlizgującej się z dachu kotki. Kłopot w tym, że zakłęcie działało nocą tylko u nekromantów, magowie żywiołów tacy jak ja... dokończyć myślenia nie zdążyłam.

Zadziało.

Zawisnąwszy w powietrzu, w półleżącym położeniu, z zadartymi w górę nogami, z zamartwym sercem, opuściłam rękę na dół i pomacałam zimne główki brukowców. Do ziemi pozostało nie więcej niż półtora łokcia. No to kłapa. Kurczowo przełknęłam, straciłam koncentrację i dość mocno walnęłam łopatkami o kamienie. Cóż, mogłam i bardziej mocno...

Powoli wracał mi oddech, wzrok stopniowo przyzwyczajał się do półmroku. Prawdopodobnie, spadłam na jedno z wewnętrznych zamkowych podwórek — małą klitkę ze ścianami na wysokość, mojego podwójnego wzrostu i jedynymi drzwiami, wzmocnionymi na krzyż sztabami żelaza. Pośrodku podwórka bujnie i aromatyczne, kwitła purpurowa elfia śliwa, szemrała mała fontanna i stała ławeczka do odpoczynku. Zamkową ścianę oplatał niezmienny bluszcz.

Pięć sążni nade mną — nie mniej — malowniczo czerniała prostokątna dziura o wymiarach dwa na trzy arszyny¹⁰. Zachwycałam się nią około minuty, nie czując się na siłach, aby zebrać myśli i przynajmniej usiąść, nie mówiąc już o godniejszej pozycji. Trzeba przyznać: do kabinki szłam dość beztrzesko — kto by się spodziewał podstępu w takim miejscu? — ale nie na tyle, żeby przy świetle pochodni nie zauważyć ogromnej dziury w podłodze. Może nadepnęłam na jakąś ukrytą sprężynę?

Wtem z góry dobiegał niezrozumiały, ale wcale przez to nie mniej wstrętny zgrzyt. Dziura zaczęła powoli się zamykać, jak gdyby zasuwano ją ciężką

¹⁰ **Arszyn** – stara rosyjska miara długości = 0,71 m

pokrywą z niemałym wysiłkiem. Sprężyna sprężyną, ale na miejsce przywracano ją ręcznie nie śpiesząc się wyrażać współczucia, rozpląszonemu na dole ciała. W górze, wprost nade mną, coś podejrzliwie zahuczało, głucho i złowieszczo, jak gdyby do dziury toczono wielgachny kamień. Ta myśl migiem postawiła mnie na nogi, dokładniej, na czworaka. Nie mając aspiracji do wstania, żwawo odpełzałam w centrum podwóreczka. W samą porę — na to miejsce gdzie tylko, co leżałam, spadł... nie, nie kamień, lecz paląca się pochodnia, wyraźnie oświetliwszy ziemię pod dziurą.

Zawahawszy się na parę minut, wróciłam i podniosłam pochodnię. Nasmołowane na jej końcu gałgany, nie zdążyły nawet szernieć i płomień radośnie tańczył po niej ze wszystkich stron. Widocznie, zapalili ją od jednej ze ściennych pochodni i natychmiast zrzucili w dół. Ciekawe, komu przyszło do głowy włóczyć się po zamku z zapasową pochodnią, jeżeli są one tutaj w każdym kącie?

Spojrzałam z ukosa w górę i jeszcze raz wymruczałam zaklęcie lewitacji. Bezskutecznie. Strach — straszna siła, innego wyjaśnienia nie widziałam. Wszystko jedno, w każdym razie z powrotem mnie nie wpuszczą. Aczkolwiek, nie zaszkodziłoby zawołać z oburzeniem „ej, co za idiotyczne żarty?!” i załomotać pięścią w kuchenny komin, a rankiem posłuchać, który z rycerzy się jąka...

Opuściwszy pochodnię, poszłam do furtki, ale tam oczekiwało mnie kolejne rozczarowanie. Drzwi okazały się zamknięte. Pociągnęłam za kółko i na zewnątrz, nieprzekupnie szcęknęła żelazna zasuwka. Z hakiem, zamkiem albo lekką zasuwką, jeszcze bym sobie poradziła, ale odsunąć tej ciężkiej lagi magią chyba mi się nie uda, prościej będzie same drzwi zniszczyć.

Rozstrzygać problemu wyjścia w tak radykalny sposób nie chciałam, jak i tłumaczyć zbiegającym się na odgłos hałasu rycerzom, jak tu trafiłam. Można, oczywiście, otworzyć teleport i przejść przez drzwi, ale kto zaręczy, że tam nie będzie, drugiego takiego samego podwórza? A i to też bardziej dzienne zaklęcie, nocą wystarczy go tylko na dwa, trzy razy. Uważnie popatrzyłam w górę, gdzie przyzywająco, delikatnie kołysało okiennicami na czwartym piętrze okienko. A co, nie tak znowu wysoko — osiem sążni. I wydaje się jakby niżej niż po schodach.

Szarpnęłam za bluszcz obiema rękami. Mocny. Zgrubiały pień nie był cieńszy od pnia drzewa, co prawda, składał się z kilku zrosniętych pędów, które rozrastały się na boki na wysokość około arszyna.

Zacisnąwszy w zębach koniec pochodni, z obawą zaczęłam wspinaczkę. Wspinać okazało się nad wyraz wygodnie, chociaż strasznie. Bluszcz na amen

wrósł w ceglany mur, giętkie gałązki były na trwale i gęsto posplatane ze sobą, tak, że z trudem zasadzałam w nich nosek buta. Za to potem, noga tkwiła jak wmurowana. Podstawa to nie patrzeć w dół.

Do drugiego piętra dojechałam szybko i bez przygód. Zostało trzecie, najkrótsze, to znaczy niskie. Przedostałam się w pobliże kolumny okien wygodnie umieściłam nogę na brzegu parapetu trzeciego piętra i gdy tylko zebrałam się, aby nieco odetchnąć, w głębi pokoju mignął słaby ogień — świeca albo kaganek. Rozlegający się w ślad za tym wizg o mało nie wysłał mnie w powrotny lot. Mocniej uczepliwszy się rękami gałązek, zajrzałam w okno i zobaczyłam grubą babę w białej nocnej koszuli, zastygłą pośrodku pokoju z nadgryzionym baranym udźcem w owłosionej ręce. Zdaje się, że baba, zobaczyła mnie niewiele wcześniej...

Nie zdążyłam się zdziwić, co robi w zamku jeszcze jedna kobieta, gdy rozpoznałam w niej Najwyższego Mistrza, przykład świętości, ascezy i wierności ślubowaniu, gorliwie umartwiającego, jak się okazało nie tylko swoje ciało, ale i baranie.

Nie wymyśliwszy niczego mądrzejszego, pomachałam mu ręką na powitanie i poszłam dalej.

Wizg rozległ się z nową siłą, po korytarzu zadudniły kroki, ale już zdążyłam przesunąć brzuch przez brzeg parapetu i ciężko runęłam na podłogę w swoim pokoju. Wypluwszy pochodnię i nabrawszy tchu, z rozmachem rzuciłam zgasły kij jak najdalej w ciemność i cichutko przymknęłam okiennice. A niech to ghyr psia jego mać, lepiej by było, gdybym rzeczywiście nie wyłaziła z łóżka!

... Panika nie cichła jeszcze przez dobre dwie godziny, jak i potem, w całym zamku, do samego ranka trzaskały drzwi. Oczywiście, umarłak odmówił kategorycznie ukazania się w tak nerwowej sytuacji. Na wszelki wypadek, doczekawszy świtu, z czystym sumieniem położyłam się i spróbowałam pomyśleć o wiecznym, ale karygodnie szybko usnęłam.

* * *

Na śniadanie, gościnny Fendulij zesłał właściwie chleb i sól, przy czym pajdy wyglądały tak, jakby święty krajał je własnoręcznie jeszcze za młodu. Za to, duchowa strawa stanęła na wysokości zadania! Najwyższy Mistrz, stojąc pośrodku refektarza, z wzniesionymi ku sufitowi rękoma, z natchnieniem przepowiadał:

— Bracia moi, uważajcie i drzyjcie, albowiem nocą nawiedził mnie umarłak! Wisiał w powietrzu przed oknem, ale nie miał siły przestąpić przez

stojącą na parapecie szkatułę z zębem świętego Fendulija i tylko zostawił na niej ślad swojego kopyta!

Zdumieni rycerze wydając ochy i achy przekazywali osławioną szkatułę z rąk do rąk. Hm, w ciemności uznałam ją za skrzynkę na kwiaty...

— Pani wiedźmo, — Tiwalij z widocznym wysiłkiem przeżuł i połknął kawałek chleba, jak najszybciej popiwszy wodą, — naprawdę niczego pani nie słyszała?

Niewyraźnie wzruszyłam ramionami, zawijając swoją porcję w chusteczkę i wpychając do kieszeni. Mam nadzieję, że Smółce uda się posilić szczodrym fendulijowym darem z mniejszym uszczerbkiem dla zębów i żołądka niż mi.

— I nigdzie pani nie wychodziła? — Zaniepokoił się chłopak, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

— Tylko do ubikacji, — niewzruszenie przyznałam się. — A co?

— Ale gdyby pani jeszcze gdzieś poszła, to by mnie pani zawołała, prawda? — Dopytywał się bezczelnie Tiwalij.

— Bezapelacyjnie — Podniosłam się z miejsca. — Uprzedzam: teraz idę na cmentarz.

— Po co?! — Zakrztusił się giermek.

— Chować swoje marzenia o śniadaniu, — dociełam, podążając do drzwi. — Tak że zabieraj jego smutne szczątki i zamykaj procesję!

* * *

— Tak-tak, nie pomylił się pan — to ja, wasza stała i najbardziej ukochana klientka! — Radośnie wykrzyknęłam zdążywszy wsunąć czubek buta w szparę między futryną a drzwiami, które w przeciwnym razie, jak podczas nieporozumienia, próbowały zatrzasnąć mi się przede nosem.

Karczmarz niezbyt dobrze opanował sztukę fałszywych uśmiechów. Taki grymas na jego twarzy mógł prowadzić prosto do cyrulika.

— Cieszę się, że pan na mnie poczekał! — Kontynuowałam w tym samym tonie, promieniejąc nie gorzej niż królewska gwiazdka na słoneczku i niedbale odwróciłam wiszącą na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”.

Karczmarz niechętnie puścił bezużyteczną zasuwę, wpuszczając nas do środka. Od razu podążyłam do upatrzonego poprzednim razem stolika przy oknie, usiadłszy twarzą do pustej sali. Tiwalij nieśmiało przysiadł na brzeżku krzesła ułożywszy ręce na kolanach.

— Więc szanowny, czym mi pan dzisiaj dogodzi?

Po ponurym sapaniu można było przypuszczać, że trutką na szczuty, ale na

podanym półmisku wznosiła się złocista górką pieczonej ryby.

— Częstuj się. — Przesunęłam półmisek na środek stołu.

Chłopak przełknął napływającą do ust ślinkę.

— Ale Najwyższy Mistrz powiedział...

— Nie przejmuj się, dla ciebie zrobił wyjątek. Za szkodliwość w pracy.

— Naprawdę?! — Ożywił się Tiwalij.

— Naprawdę, możesz sam go spytać. Tylko najpierw przekaż mu, że jestem bardzo ciekawa, czy post obejmuje także baraninę w nocy.

Przez następne dziesięć minut od stołu dochodziło pośpieszne mlaskanie i łapczywe chrupanie. Przez pięć godzin zdążyłam zbadać całe dwa cmentarze — rycerski i wiejski, a także znaną w lasu końską czaszkę, — ale umarlakiem i jego wiernym biegunem tam nie pachniało. Za to razem z giermkim tak szalenie zgłodnieliśmy, że gdyby wyskoczył z krzaków jakiś nieopatrny ghul albo potwór, nie wiadomo, kto kim by się pożywił.

— A dlaczego właśnie kruk? — Zaspokoiwszy pierwszy głód, bezceremonialnie wskazałam palcem wytłoczony order zakonny, przypięty do kolczugi Tiwalija. — Wydaje mi się, że nazwa „Zakon Świętego Fendulija” pasowała by dużo bardziej.

— Ale, pani wiedźmo, Fendulij sam założył ten zakon! Nie mógł przecież nazwać go swoim imieniem.

— Mógł uwieńczyć wiernego konia albo damę serca. W najgorszym razie jakąkolwiek ozdobną rozetkę. A po co tu ten, wykończony przez tarczę albinos?

— Kruk symbolizuje mądrość, a biały kolor — dobro. — Chłopak, uczciwie próbował oddać natchnione spojrzenie i głos mistrza, który uczył go regulaminu zakonu. Z ustami pełnymi ryby, okazało się to nie takie proste. — Fendulij był pierwszym Najwyższym Mistrzem, głową dla całego zakonu a mistrzowie — pazurami, to znaczy jego wsparciem i groźną bronią.

— A skrzydła? — Z zainteresowaniem uściśliłam.

— Jak pióra w skrzydłach, duże i małe, tak i prości rycerze z giermkami niosą Białego Kruka, do świętego zwycięstwa nad wrogiem.

— Genialne. O ogon i inne organy, zakładam, pytać nie ma potrzeby. Fendulij na pewno przewidział jakieś górnolotne określenie i dla nich.

Odchyliłam się na oparciu krzesła, głaszcząc syty brzuch. Pomimo wielkiej gorliwości i niekłamanego entuzjazmu, zjeść całej ryby nie byliśmy w stanie. Tym razem karczmarz działał na zasadzie: „żebyś się udławiła, przeklęta!”, nie omieszkawszy przy tym zażądać od mnie pełnej ceny, za dobre sześć funtów ryby.

Rozliczywszy się, postawiłam w połowie pełny półmisek na parapet, gdzie

z miejsca zainteresowała się nim czarna końska morda z wszystkożerną orientacją. Karczmarz tak wykrzywił gębę, jakbym pozbawiła kolacji nie parę czy trójkę prosiąt, a przynajmniej jego drogą matulę.

— Dokąd teraz? — Tiwalij, widząc, że wstaje, ledwo nie przewrócił krzesła, śpiesząc się otworzyć przede mną drzwi.

— Do zamku. Skoro nie znaleźliśmy fizycznych śladów umarlaka, znaczy, że trzeba szukać magicznych. — Na progu odwróciłam się. — Do zobaczenia, szanowny! Było mi bardzo przyjemnie, robić z panem interesy.

Wyraźnym zgrzytaniem zębów, karczmarz dał do zrozumienia, że nie podziela mojego entuzjazmu, ani z powodu naszej znajomości, ani następnego spotkania.

Do południa ledwie zdążyłam obejrzeć pierwsze piętro. Za to bardzo sumiennie: korytarze były połączone ze sobą w taki sposób, że kluczyły i się rozgałęziały, a potem schodziły się z powrotem tak, że po niektórych przechodziłam dwu albo i trzykrotnie, nie zauważając różnicy. Do jednej wielkiej sali, z prowadzącymi na górę schodami, w ogóle trafiłam z dziesięć razy, z czego wywnioskowałam, że znajduje się ona w centralnej części piętra.

Tiwalij, myśląc, że tak i trzeba, w milczeniu maszerował za mną. Trzymał się w pewnym oddaleniu, żeby nikt nie posądził go o związek z czarodziejskimi gestami i słowami, z rzadka wyrrywającymi się z moich warg na zmianę z bardziej zrozumiałymi i barwnymi.

Magiczne ślady rzeczywiście znalazłam, przy czym — w wielu miejscach. Po pierwsze, na cholernych kręconych schodach. Gnomy, zmuszone ostatecznie do oddania zamku pod klucz (i to po tym, jak kilka ich pokoleń szczęśliwie utrzymywało się z przeciągającej się budowy!), mściwie nałożyły na schody zaklęcie potrojenia. Okazało się, że tak naprawdę, to między każdym piętrem jest po trzydzieści — czterdzieści stopni. Za to schody na wieżę, po przeliczeniu, zmniejszyły się pięciokrotnie — nie na próżno się dziwiłam niezgodności między ilością schodków, a jej wysokością. Ale, ponieważ ze schodów między piętrami korzystano częściej, tym prostym przestawieniem gnomom udało się, bądź co bądź, porządnie napaskudzić mieszkańcom. Zdjęcie zaklęcia zabrałoby mi zbyt wiele sił i czasu (być może, potem, za dodatkową opłatą...), tak że ograniczyłam się do indywidualnego portalu.

Po drugie, magią i tak cuchnęło od przechodzących obok rycerzy. „W Fenduliju miej nadzieję, a sam nie pokpij sprawy”, — myśleli sensownie i na wszelki wypadek zaklinali miecze od wyszczerbienia, a zbroje od rdzy i ześlizgujących się ciosów. Z prostymi sprawami było gorzej, gdyż „na łom nie ma sposobu”. Oczywiście, swoje wizyty w „przybytku zła”, to znaczy, w

sklepiku maga, rycerze skromnie pomijali milczeniem.

A po trzecie — i to już jest bardziej interesujące! — Po całym zamku, gdziekolwiek, ledwie widoczne, a miejscami wystarczająco wyraźne, wyczuwało się magiczne zakłócenia, zupełnie niezrozumiałego dla mnie pochodzenia i przeznaczenia. Podobne do czystej, żywiołowej magii, ale jakby już przez kogoś zużytej i dla innego maga, niezdatnej.

Rozmyślając, zatrzymałam się naprzeciw bardzo wysokich, dębowych drzwi, z wymyślną rzeźbą w obramowaniu futryny. W skupieniu przygryzłszy wargę przebiegłam wrażliwymi koniuszkami palców po skrzydłach drzwi.

— Pani wiédźmo, tutaj nie wolno! — Niepewnie usiłował protestować chłopak.

— Dlaczego?

— No... tu znajdują się święte relikwie ojców-założycieli zakonu, w tym samego Fendulija!

— I co? — Obojętnie się odezwałam, szarpiąc obiema rękami za odlany pierścień, o wygładzie kruka ze złączonymi nad głową skrzydłami. Drzwi ze skrzypieniem ustąpiły, wionęło grobowym chłodem. — Oni mogą mieć coś przeciwko mojej wizycie?

— Oni — nie wiem, ale mistrzom to naprawdę się nie spodoba! Mistrzowie uznali, że pani znieważa świętości!

— Cóż to za świętości, jeśli można je znieważać jednym spojrzeniem? — Odmruknęłam krytycznie, badając rząd, składający się z pięciu sarkofagów.

Nad każdym wisiało płótno w pozłacanej ramie, przedstawiające świętego w momencie największej chwały jego żywota. Ktoś gorliwie uzdrawiał całą cizbę żebraczek, które nie miały władzy ani w nogach ani w rękach; ktoś z pełną wyrzutą twarzą i dobrymi-przedobrymi oczami przebijał na wskroś smoka lśniąca kopią; ktoś z natchnieniem czytał modlitewnik, wruszonemu do łez upiorowi...

— A co, pani akurat zebrało się na nich patrzeć?! — powiedział z jeszcze większym przerażeniem chłopak. Zamknął za sobą drzwi, nawiasem mówiąc, młodzieniec nie zapomniał.

— A jak inaczej dowiemy się, czy któryś z nich nie rusza po nocach wieka? — Nieustraszenie zapukałam kłykciami po marmurowej płycie. Święty Fendulij był przechowywany w środkowym sarkofagu, zamkniętym na ogromny zamek spichrzowego typu (prawdopodobnie, żeby rycerze nie rozwłóczyli go doszczętnie na amulety). Obraz nad nim był pędzla innego malarza, wcześniejszego i bardziej realistycznego: Fendulij, w drodze wyjątku, po prostu mu pozował, złożyłszy ręce na głównej pionowo ustawionego miecza. Żadnych

aureoli, białych skrzydełek i społecznie pożytecznych czynów — ciemnowłosa mężczyzna w prostej kolczudze, ze znużeniem uśmiechał się z portretu, przy tym tak przewrotnie przymrużywszy oczy, jak gdyby przejrzał mnie na wskroś.

Nie mogłam przysiąc, że dziwna magiczna moc wychodzi właśnie od niego, ale koło grobowca jej ślady były o wiele wyraźniejsze.

— Ależ, pani wiedźmo! — Przeraził się giermek. — Święci strzegą spokoju mieszkańców zamku, a nie jeżdżą po nim w gorszącym, w połowie zbutwiałym wyglądzie!

— Tak, więc zaraz to sprawdzimy, — oświadczyłam niepodważalnym tonem zdejmując z sarkofagu srebrny wazonik z przyłasczkami.

Postawiwszy go na podłodze, pochyliłam się i uważnie obejrzałam zamek. Była w nim szczelina, ale zalana pomarańczowym woskiem z odciskiem zakonnej pieczęci. Ostrożnie pokręciłam zamkiem, poszarpałam za zaczepy kombinując jakiego by użyć zaklęcia. Najprościej, na pewno... co za głupstwo? Dolny zaczep zamka jakoś podejrzliwie się zakołysał raz w jedną, raz w drugą stronę. Wzmocniłam nacisk i ze zdumieniem odkryłam, że zapomniano go przekręcić, czy też, odkręcono później.

— Odsuń się od mnie — zakasałam rękawy i trochę szerzej rozstawiłam nogi, jakbym zamierzała otworzyć sarkofag gołymi rękami.

— Oj, pani wiedźmo, a może, mimo wszystko nie trzeba? — Z uczuciem bezradności pisnął giermek. — A jeśli święty Fendulij oburzy się, że pani bez potrzeby narusza jego spokój?

— Przepraszę i skłamię, że pomyliłam wieka. Jeśli się boisz wyjdź na korytarz.

Tiwalijski zamknął oczy i się odwrócił. Po paru magicznych pchnięciach, wieko przesunęło się bezdźwięcznie na bok, i ja, świecąc sobie pochodnią, z zainteresowaniem pochyliłam się nad szczeliną szeroką na dwie dłonie.

— Nic dziwnego, że na zamku panoszy się siła nieczysta, — mruknęłam, badając wnętrza głębokiej marmurowej skrzyni. — Fendulij taki owaki fiu fiu...

Giermek podskoczył jak ukąszony. Wlepił w sarkofag tak wytrzeszczone oczy, że zaniepokoiłam się, żeby ich tam nie upuścił.

— Jak to?! A on gdzie?

Wzruszyłam ramionami:

— Przypuszczam, że wyjechał na przejażdżkę. Czy tutaj nie ma przypadkiem sarkofagu ze świętym koniem?

Ale Tiwalijski był w takim stanie, że nie mógł docenić moich żartów:

— Co za okropność! Trzeba natychmiast zawiadomić Najwyższego Mistrza!

— I przyznać się, że bez zaproszenia wdarliśmy się do łożnicy Fendulija? Nie radzę. — Dla pewności jeszcze raz zajrzałam do sarkofagu. Święty, rozumie się, nie pojawił się.

— My?! To pani tam polazła!

— A dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Na takie wiarołomstwo chłopcu opadła szczeka. Może za parę minut i zdołałby dać mi godną reprimendę, ale wtem z korytarza dały się słyszeć czyjeś ożywione głosy. Twarz giermka i bez tego nie płonęła rumieńcem, nabrała delikatnego zielonkawego odcienia.

— O bogowie, to mistrz Tieren. Rano wspomniał, że przyprowadzi do świątyni kilku pielgrzymów, którzy wcześniej uzyskali pozwolenie pomodlenia się w świętym miejscu! Jeśli on panią tu znajdzie, zabije mnie!

Westchnęłam. Wiedzmy mistrz nie ruszy — będzie się bał, a te chłopaczysko rzeczywiście może oberwać. Innego wyjścia ze świątyni nie było, rozstawione wszędzie świece oświetlały każdy kącik. Jak na złość korytarz w tym miejscu nie raczył zrobić ani jednego skrętu i wyjść tą drogą nie mogłam, mistrz od razu by mnie zobaczył. Użyć zaklęcia niewidoczności nie było czasu, ale coś niecoś, w każdym bądź razie zdążyłam wymyślić.

Kiedy podjęłam już decyzję, nie lubiłam zwlekać z jej realizacją więc śmiało zarzuciłam nogę na brzeg sarkofagu.

Giermek wydał drżący jęk podobny w tonacji do przedśmiertnego. Odwracać się i sprawdzać, czy nie poraził go paraliż od takiego bluźnierstwa, nie było czasu. Za prawą nogą podążyła lewa, a za nią i moje całe trzy i pół puda, które klapnęły na brzuch. Wieko z trzaskiem wróciło na miejsce.

W sarkofagu, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, okazało się nader komfortowo. Żyłki w marmurze, na zewnątrz węglowo-czarne, przepuszczały słabe niebieskawe światło do grobowca. Powietrze i dźwięki przenikały, przez starannie wywiercone u wezłowia dziurki. Przewróciłam się na bok i zaczęłam nasłuchiwać.

Akurat w tej chwili, łaknący fendulijańskich relikwii pielgrzymi, hałaśliwą gromadą wpakowali się do świątyni.

— Co ty tutaj robisz, Tiwalij? — Nieco zdziwiony, ale bez rozdrażnienia zainteresował się Tieren. Przypomniałam go sobie po głosie — wysoki, kościsty mężczyzna, lat czterdziestu, z ciemnymi, zwisającymi wąsami przydającymi twarzy ponury wygląd.

— A... ja... przyniosłem świętemu Fenduliju świeże kwiaty! — Sprostął sytuacji chłopiec, stawiając wazonik na miejscu.

— Nader, nader chwalebnie. — Mistrz, życzliwie potargał włosy na głowie

Tiwalija. — Z tego pacholęcia wyrośnie zacny mąż, odważny i wspaniałomyślny!

Pielgrzymi głośno wyrazili swoją aprobatę. Sądząc po głosach, przy sarkofagu tłoczyło się ich nie mniej niż tuzin. Chłopak, nie czekając aż mistrz przypomni sobie o powierzonych jego opiece wiedźmie, skłonił się i wyleciał ze świątyni, zamknąwszy za sobą drzwi.

Pielgrzymi zbliżyli się i obstąpili sarkofag ze wszystkich stron. Mistrz, zajmąwszy honorowe miejsce w moich nogach, to jest Fendulija, skromnie zakaszłał przyciągając ogólną uwagę i wczuwszy się w rolę zaczął przemowę:

— Bracia moi! Widzicie przed sobą największą relikwię i świątynię — w tym skromnym grobowcu z czarnego marmuru spoczywa założyciel zakonu Białego Kruka święty Fendulij...

Na kilka chwil jego głos utonął w pełnych zachwyty westchnieniach i szeptach. Strasznie korciło mnie, żeby dokonać sprostowania, że na tą chwilę spoczywam tu ja, w niczym nie ustępująca świętemu, do tego zaś młoda i piękna. Nawiasem mówiąc, czarny marmur w Starminie był na wagę srebra, więc grzechem by było narzekać.

—... wzór bogobojności, czystości, łagodności i pokory, — wchodząc w ciąg, z wielkim uniesieniem opowiadał mistrz, — a także innych cnót, niezliczonych i niezmiernych, których nadmiar wystarczyłby na wszystkich naszych braci! I kiedy stoję na wprost miejsca jego ostatniego wiecznego spoczynku, czuję, jak spływa na mnie łaska, a dusza przepelnia się nieziemską radością!

— Tak, tak, bracie, także to czujemy! — Z głęboką czcią podchwycił bezładny chór.

— Czasami nawet wydaje mi się, — z udręczeniem kontynuował mistrz wyciskając łzę, — że słyszę jego oddech...

Siedmiu pielgrzymów równocześnie przyłożyło uszy do wieka. Instynktownie zamarłam na wdechu, chociaż doskonale rozumiałam, że przez ciężką marmurową płytę, można usłyszeć najwyżej chrapanie.

— Tak! Słyszę go!!! — po upływie trzymającej w napięciu minuty rozległ się czyjś egzaltowany krzyk, zmuszający mnie do drgnięcia.

— I ja! I ja także! — Zawtórowali pielgrzymi. Ktoś, radując się ze szczęścia, padł na kolana i zaczął tłuc głową o bok sarkofagu. Bracia rzucili się go odciągać (troszcząc się więcej o święty grobowiec, niż o głowę) i skorzystawszy z okazji, także stuknęli po raziczku...

— No, a teraz, — rzeczowo zabrzmiał głos mistrza, — ofiarujcie świętemu Fenduliju, kto ile może, a jego łaska na zawsze zostanie z wami!

Pielgrzymi chętnie zadzwonili sakiewkami. Pieniądze na zbożny cel zbierał mistrz i coś mi podpowiadało, że procent za pośrednictwo mało się różnił od wspólnej sumy datków.

Zachwyceni pielgrzymi, wymieniając wrażenia, powoli przesunęli się na korytarz. Mistrz, dziękując za współpracę, z aprobatą poklepał Fendulija po wieku, i wyszedł ich śladem.

Odczekawszy dla pewności parę minut, wylazłam z sarkofagu.

— A czy w ogóle był Fendulij? — w zamyśleniu zapytałam portret.

Kogoś mi przypominał, otóż właśnie, ale kogo... Leszy go wie, może i był, ale nie tutaj. Zapachu gnicia w sarkofagu nie poczułam i wnioskując z idealnie czystych ścianek, okazałam się jego pierwszym lokatorem. Prawdopodobnie, święte relikwie Fendulija były świetną przynętą dla łatwowiernych pielgrzymów z wypchanymi sakiewkami. I wiedzieli o tym tylko pojedynczo wtajemniczeni we wszystko, mistrzowie. Ktoś też, z rzadka wylegiwał się w „zamkniętym” sarkofagu, gorliwie sapiąc, przepowiadając albo po prostu podglądając przez szparkę...

Tiwalij wałęsał się koło drzwi, cierpiąc męki z niepokoju:

— No i jak, pani wiedźmo?!

— Jeśli pytasz o Fendulija, to go się nie doczekałam. Może, kartkę warto było zostawić? — W zamyśleniu dorzuciłam.

— To nie on!!!

— Nie uwierzę, dopóki osobiście z nim nie porozmawiam.

Chłopak zasepił się z obrazą. Otworzył usta, ale rozmyśliwszy się niczego nie powiedział.

— Przestań się dąsać, — powiedziałam pojednawczo, delikatnie trącając go łokciem w bok. — Chodź, najpierw znajdziemy waszego świętego i skłonimy go do powrotu na miejsce, a już potem opowiemy o wszystkim Najwyższemu Mistrzowi. Póki co myślę, że on i bez Fendulija ma wystarczający ból głowy.

Giermek jeszcze trochę pomilczał w roztargnieniu szarpiąc swój kruczy znak, ale potem, mimo wszystko kiwnął głową i spróbował się uśmiechnąć.

* * *

Elfia śliwa zwykle zakwitła o parę tygodni wcześniej, pamiętając o ciepłej wiośnie w swojej ojczyźnie, Jesionowym Grodzie. Niewysokie, rozłożyste drzewa, gęsto obsypane purpurowymi kwiatami wielkości pięści, tradycyjnie ozdabiały pałacowe i świątynne parki, ale, złapane przez zdradzieckie belorskie

przymrozki, owoców nie wydały. A szkoda — elfy pędziły z purpurowych śliwek, wyborną nalewkę, którą spożywały podczas jakiegoś rytualnego święta, właściwie w celu konsumpcyjnym i rozrywkowym.

Stojąc przy szerokim oknie galerii, w zamyśleniu zachwycałam się płomienistym drzewem. Promienie zachodzącego słońca, rozpryskane na kamieniach mostu tworzyły dla niego zdumiewające tło w odcieniach purpurowego i pomarańczowego, jakby rosło dookoła ogromnego ogniska.

Badanie drugiego i trzeciego piętra odłożyliśmy na jutro. Tiwalij, gdzieś popędził wyprosiwszy ode mnie uczciwe rycerskie słowo (cha, cha!), że za dziesięć minut zastanie mnie na tym samym miejscu. Zresztą, nigdzie się i nie śpieszyłam. Trochę postoję, ułożę w głowie dzisiejsze wrażenia i ruszę do swojego pokoju. A nóż uda mi się zdrzemnąć godzinkę lub dwie, przed drugą próbą nawiązania znajomości z zagadkowym umarlakiem.

Giermek trochę się spóźniał. Zwolniwszy siebie ze złożonej obietnicy, oderwałam się od okna i poszłam w stronę schodów.

— Pani wiedźmo, poczekajcie! — Zawołał mnie czyjś głos. Ze zdziwieniem pokręciłam głową i zauważyłam ulokowanego w kącie malarza do połowy zakrytego przez sztalugę. Prawdopodobnie, stał tu od dawna, jeszcze przed moim przyjściem, w porywie natchnienia zdążywszy pobrudzić farbami nie tylko ręce, ale i twarz. — Nie mogłaby pani jeszcze troszeczkę postać w tej pozie? Tak, i głowę w lewą stronę obrócić, żeby światło na twarz padało! Otóż tak, cudnie!

Rycerz ze zdwojonym entuzjazmem zaszurał pędzlem. Zadowolona, zamarłam posłusznie jeszcze na parę minut. Z żalem, że nie mogę poświęcić więcej czasu procedurze utrwalenia mojego miłego wyglądu i oszczędzając sztalugę, z ciekawością zajrzałam malarzowi przez ramię.

Wielka siła sztuki spowodowała, że stanęłam jak słup soli z otwartymi ustami.

U góry, jakby przyszpilony, znajdował się rozpląszczony biały kruk. Po bokach fruwała para świętych ze skrzydłami, brzękających na gęślach¹¹ z natchnieniem. Pośrodku pstrokato kwitnącego pola, w kółeczku rozmieścili się klęczący mistrzowie, czule spoglądając na rozpalające się ognisko. Na twarzy przywiązanej do słupa wiedźmy zastygł surowy, złośliwy i jednocześnie marzycielski wyraz, którego u siebie w żaden sposób nie mogłam dostrzec.

— Proszę się nie niepokoić, to tylko szkic! — Zaczął się szybko

¹¹ Gęśle – stary, prymitywny, ludowy instrument smyczkowy, którego kształt i strój zmieniał się zależnie od epoki i terenu. Dźwięki wydobywa się przez szarpanie lub częściej przez pociąganie strun prymitywnym smyczkiem. <http://pl.wikipedia.org/wiki/G%C4%99%C5%9Ble>

usprawiedliwiać malarz. — I w ogóle, zaledwie artystyczny wizerunek!

— Ach tak, szkic? — Od mojego zamysłonego tonu, twórcza osobowość malarza jakoś posmutniała i przygasła, nie przeszkadzając mi odrywać płótna od sztalugi. — Ach tak, obraz?!

Rycerz zrozumiał, że nie znam się wcale na sztuce i, pochwywszy pędzle, dał dyla, póki nie porwałam go razem z płótnem, które, nawiasem mówiąc, starannie zwinęłam w rulon i wsunęłam za pas. Podaruję je Szkole Czarodziejów — śmiechu będzie, co nie miara! Zwłaszcza, jeśli wreszcie zgodzę się wykładać tam przez rok magię praktyczną i osobiście poprowadzę studentów na wycieczkę do muzeum...

* * *

Sądząc po dopalającej się świecy, obudziłam się koło północy. Bezszelestnie się ubrałam, poupychałam po kieszeniach zawczasu wystawione na stół flakoniki i amulety, włosy związałam i spięłam z tyłu głowy. Z przyzwyczajenia sięgnęłam po miecz, ale już dotknąwszy pochwy, z niezadowoleniem cofnęłam rękę.

Nie warto było ostrożnie otwierać drzwi, bo i tak z tamtej strony, coś zadzwoniło i zadudniło. Z oburzeniem odkryłam konstrukcję ze stalowego rycerskiego buta nasadzonego na przystawiony do drzwi kij. Konstrukcja runęła. Tiwalij wyleciał z sąsiedniej celi, jak kamień z procy.

— Aha, tak i wiedziałem! Nie znowu, pani wiedźmo, dwukrotnie mnie pani nie oszuka, dzisiaj idę z panią!

— No to idziemy, — zgodziłam się chętnie, — A ty spać nie chcesz?

— Nie, ani w jednym ok... — Pod moim uważnym spojrzeniem giermek posmutniał, ziewnął i cofnąwszy się do tyłu, powoli usiadł na łóżku.

— A według mnie, jednak chcesz, — z uśmiechem zakończyłam nakrywając go kołdrą. — Też mi znalazł się bohater! Jak niby zdołam zorientować się bez ciebie...

... Z umarlakiem, może bym się i zorientowała, ale tutejsze korytarze dały mi się we znaki. Zszedłszy na trzecie piętro, pochopnie skręciłam w boczny korytarz i rozumiem się, że nie minęło dziesięć minut, jak definitywnie i beznadziejnie zabłądziłam. Poblądziwszy jeszcze przez półgodziny poddałam się i przysiadłam na skraju, jednej ze ściennych wnęk pod palącą się pochodnią. Oczywiście, śmierć z głodu i pragnienia mi nie groziła, ale krępowalam się pukać do drzwi i długo udowadniać, że to nie zdradziecki umarlak. Ostatecznie, co za różnica gdzie urządzę zasadzkę? A nuż, stwór postanowi przespacerować

swój bezcielesny żywot jak raz w tym korytarzu.

Zgasiwszy pochodnię, żeby pozbyć się zdradzieckiego cienia, wlałam we wnękę w całości, tj. razem z nogami. Skosy bocznych ścianek, chociaż i zasłaniały mi widok na większą część korytarza, to również w pewny sposób zasłaniały mnie przed cudzym spojrzeniem, dając możliwość zobaczenia jego właściciela o sekundę wcześniej. Skorzystałam z maskujących zaklęć nie zaryzykowałam — inne stwory wyczuwam magią jeszcze lepiej niż zapach żywych istot.

Ledwie zdążyłam pogodzić się z myślą o długim i nudnym oczekiwaniu, jak najbliższa pochodnia, gniewnie prychnęła, kichnęła dymkiem i zgasła. Szybko wystawiłam do przodu dłoń. Tak, są! Ślady prościutkiego, ale efektywnego zaklęcia, które rozpląnęło się poprzednim razem, nim zdążyłam ustalić poziom mistrzostwa i podstawowy żywioł maga. Zaklęcie przyszło gdzieś z daleka, z lewej strony, w niecałą sekundę pogrążając korytarz w ciemności.

Zamarłam jak mysz pod miotłą, cała zamieniwszy się w słuch. I prawie natychmiast rozróżniłam spokojny stukot kopyt. Dziwny, bardzo niezwykły i jednocześnie znajomy dźwięk. Zbyt głośny dla zjawy, za cichy i nie z tego świata, jak dla prawdziwego rycerza. Koń jak gdyby szedł na palcach, przy czym nie podkutych, a ciche pobrzękiwanie, z rzadka przeplatające się z postukiwaniem, w żaden sposób nie mogło należeć do rycerskiego opancerzonego konia. I nic więcej nie było. Ani chrapania, ani sapania ani skrzypienia siodła... ani jakiegokolwiek magii.

Nie mogąc się powstrzymać, wyjrzałam zza skraju wnęki. Za kołnierz wśliznął się ohydny chłodek, gęsią skórką rozchodząc się po plecach. Dostrzec cokolwiek w panującej na zewnątrz ciemności, nie potrafiłby i kot. Drżącą ręką stworzyłam rozpoznawczy impuls, puściłam wzdłuż korytarza... i właśnie wtedy naprawdę ogarnął mnie strach!

W korytarzu nikogo nie było. I cóż to za paskudztwo jeśli nie wytwór magii i nie żywa istota?!

Stukot kopyt przyspieszył, jakoś udało mi się gwizdnąć, zdradzając swoje miejsce pobytu. Koń zmierzając konsekwentnie do celu, ruszył na mnie nie tracąc już czasu na obwąchiwanie podłogi!

Do źródła dźwięku pozostawało nie więcej niż sążeń, kiedy moje nerwy nie wytrzymały. Pochodnie buchnęły płomieniem prawie do sufitu, jaskrawo oświetlając korytarz, po którym niespiesznie tupała... Smółka. Prawdopodobnie szła po moich śladach, a zwęszywszy znajome zaklęcia, już bez wahania podskoczyła naprzeciw. I przecież sama na dniach wplotłam jej w ogon

zaczarowaną wstążeczkę, żeby tej paskudnicy nie można było namierzyć za pomocą czarów!

Wylazszy z wnęki, złapałam kobyłkę za uzdę. Z zakłopotaniem podrapałam ją za uchem:

— Jak się tu dostała moja przyjaciółka?

Smółka zagadkowo przymrużyła żółte oczy. Ze skórzanego kantara zwiisał kawałek łańcucha na końcu jakby spłaszczony przez młot. To on brzęczał w rytm kroków. Ponieważ rycerze korzystali wyłącznie z ogierów, nie umieścili klaczy we wspólnej stajni, przywiązawszy ją w komórce koło kuźni. Zerwać się z łańcucha, udać się na nocną przejażdżkę, jak i wspiąć się po schodkach było zupełnie w jej stylu. Ale kto otworzył jej bramę? Kraty? Drzwi wejściowe? I jakim cudem udało jej się przecisnąć po krętych schodach?!

Przynajmniej teraz, chociaż mniej więcej wiedziałam, z której strony znajdują się te kręte schody. Ponownie wchodzić w wnękę nie było sensu. Nieznany mag nie porywał się więcej na pochodnie — widocznie go spłoszyłam, a do pełnego powodzenia zasadzki na umarlaka nie wystarczyłaby mi wałęsająca się klacz choćby z rzędem! Trzeba jak najszybciej wypędzić tą paskudę z zamku, tylko jak?

Ze Smółką przeszliśmy nie mniej niż czterdzieści sążni, korytarz wcale się nie skończył, a schody, odpowiednio się nie zaczęły. Na koniec, ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu znalazłyśmy się w galerii z oknami wychodzącymi na wewnętrzne podwórze. Pamiętałam dokładnie, że koło niej nie ma schodów. Lepiej by było, żebym pamiętała, gdzie one są...

Gdy próbowałam zorientować się w sytuacji, kobyłka odeszła na bok i nie robiąc hałasu stanęła na tylnych nogach wyciągnęła się ku wiankowi ze świerka, przybitemu nad jednymi drzwiami. Pospiesznie syknęłam na bandytkę i Smółka, prychnąwszy z rozczarowaniem, opadła na wszystkie cztery nogi, zdążywszy jednak zaczepić wianek kłami.

Troszeczkę poprzeciągałyśmy jej łup między sobą. Nie mogłam powiedzieć żeby mój autorytet zwyciężył... szybciej, że przegrał wianeczek rozdzieliwszy się na dwie nierówne części. Mniejsza natychmiast znikła w żołądku kobyłki, a większą za czwartym podejściem zarzuciłam z powrotem, ale na gwoździu zawisła krzywo.

Właściwie, to dokąd prowadzą te drzwi? Do tych z mieszkalnego pokoju nie są podobne i z zasuwą na zewnątrz. A wewnątrz... pośpiesznie, ale zupełnie niepotrzebnie odskoczyłam w tył. W przestronnej celi znajdowały się w sumie tylko puste zbroje, założone na zbite z kijów konstrukcje.

Na wszelki wypadek uniosłam rycerzowi przyłbicę, ale umarlaka pod nią

nie było.

— „Ta zbroja jest pancerzem i bronią świętego Fendulija, i jego błogosławionego konia”, — przeczytałam, przysunawszy trzaskającą pochodnię do stojącej obok tabliczki. — Że też nawet jego koń potrafił się wyróżnić. Smółka, nie chcesz wziąć przykładu?

Kobyłka prychnęła sceptycznie, dając mi do zrozumienia, że z taką gospodynią jak ja, w „błogosławione” mimo wszystko jej nie wezmą.

— No przymierz przynajmniej. — Zdjęłam z podstawki, żelazną końską mordę z długim rogiem na czole i nasunęłam ją na Smółkę. — Widzisz, pasuje!

Klacz ponuro spojrzała na mnie z ukosa przez trójkątne wycięcia. Przesunawszy się, jednocześnie przełożyłam przez nią pelerynkę z kolczugi i siodło z szerokimi strzemionami na łańcuchach. Do tylnego łęku był przyspawany wygięty, stalowy pas, z grzebieniem w rodzaju smoczego, dochodzący do jednej trzeciej długości ogona. Z oburzeniem machnąwszy pozostałą długością ogona, kobyłka wykonała zwrot i niezgrabnie stawiając nogi pomaszerowała do drzwi.

Moja uwaga skierowała się na jeszcze jeden unikatowy eksponat. Obok rycerza, na poduszce z frędzlami, leżał potężny miecz. Sądząc po nim, Fendulij był co najmniej tak silny jak trzej giermkowie — dwaj nadwreżyliby się przy podnoszeniu tej lagi, a jeden by jej po prostu nie dał rady podnieść. I zbroja, i miecz wyglądały na nowiusieńkie, jak gdyby dopiero co wyszły z kuźni. Albo z jubilerskiego warsztatu — kosztownych kamieni było na nim nie mniej niż funt, plus złota rękojeść. Wrogowie z pewnością stawali w kolejce, żeby stoczyć bój właśnie z Fendulijem i chapnąć to kuszące trofeum. Zaraz, zaraz ... a co to za znak na jego głowni? Zwinięty w kłębek bazyliszek, znak cechowy znanego gnomiego zbrojmistrza, jeśli się nie mylę, cieszącego się dobrym zdrowiem do dnia dzisiejszego. Przynajmniej, przed trzema miesiącami był nawet bardzo żywy i nie tak dawno zdarł ze mnie, za niby „wieczny” miecz ze „specjalnego” stopu. Celowo nie wyrzuciłam rękojeści, żeby przy następnej wizycie podetknąć mu ją w kuźni pod nos, jako kupon na zniżkę. Fendulijowi poszcęściło się bardziej: nie dożył do zostania klientem gнома, zabrakło mu jakichś stu lat. Inaczej, być może, po bohatersku padłby w walce gdzieś wcześniej...

— Wygląda na to, Smółka, że to taka sama fałszywka, jak i sarkofag. Jeszcze jedna przynęta dla łatwowiernych pielgrzymów. — W zamyśleniu po obracałam w rękach hełm z dwoma srebrnymi skrzydełkami po bokach. Nie mogąc się pohamować, nałożyłam go na głowę i spróbowałam przejrzeć się w wypucowanej do połysku tarczy. — Madam... z drugiej strony, po prostu bezcenna rzecz do psychicznego ataku... tak i o fryzurę można się nie martwić.

A ty jak uważasz, Smółka? Smółka! Ej!

Kobyłka znikła. W pośpiechu wyjrzałam na korytarz. Nikogo! Niepewnie zagwizdałam. Cisza! Jak i gdzie ona mogła bezdźwięcznie pogalopować w takiej kupie żelaza? A co, jeśli wpadnie komuś w oczy?!

— Smółka!!! — Przerażliwie krzyknęłam, zapomniawszy o konspiracji. Wracaj tu zaraz, w tej sekundzie, bo źle będzie z tobą.

Korytarze jeszcze nie zdążyły wchłonąć rozchodzącego się w nich echa, jak z przeciwnej strony powstał i zaczął szybko narastać znajomy szcękający huk.

— A, oto i ty, gd... — Odwróciłam się, i słowa uwięzły mi w gardle. Coś plasnęło miękko o mój czubek głowy, ale dzisiejszy limit zdziwienia został wyczerpany, i nawet nie chciało mi się sprawdzić, kto i czym mnie uszczęśliwił.

To nie była Smółka! Potrząsając ogromnym mieczem, na potężnym koniu w zbroi z kolcami, pędził na mnie długo oczekiwany umarłak, blade świecąc się wszystkimi kośćmi, w tym i końskimi. Oczy jeźdźca płonęły purpurowym ogniem, konia — zielonym. Dźwięk zbroi mieszał się z suchym stukotem kości.

Wypadałoby podpuścić słodką parkę bliżej i dopiero wtedy uderzać, ale im udało się wyrzucić na mnie tak trwałe wrażenie, że wystrzełam w nich ani myśląc i nawet prawie nie celując.

Pulsary odbiły się rykoszetem od zbroi i rozeszły się zygzakami, skacząc wzdłuż korytarza, od ściany do ściany, krzesząc na kamieniach iskry. Umarłak triumfująco, ale, niestety, na próżno ryknął — i bez tego przestraszony koń z przenikliwym rzeniem stanął dęba, po czym zrobił zwrot i popędził z powrotem w przeciwną stronę. Ku jawnemu niezadowoleniu jeźdźca, który wyraził swój protest zwaliwszy się na podłogę.

Przez parę minut w oszołomieniu gapiliśmy się na siebie nawzajem, potem umarłak (prawdopodobnie także wyrobiwszy sobie o mnie nie najlepsze zdanie), zręcznie skoczył na nogi, złapał miecz i dał drapaką, a dokładniej oddalił się skokami w stronę okna.

Zatrzymać go, mimo wszystko nie zdążyłam i rzuciwszy się ku najbliższemu otworowi niebezpiecznie przewiesiłam się przez parapet.

W tym momencie umarłak bez zastanawiania się skoczył w dół.

Wycelował dobrze, fachowo, ale cóż, nie uwzględnił tylko, że pod oknem znajduje się nie jego kościste bydlę i nawet nie flegmatyczny rycerski perszeron...

Podjeżdżanie znajomy koń w rogatym hełmie, w ostatniej chwili perfidnie postąpił naprzód i umarłak wylądował nieco dalej za tylnym łękiem, na grzebieniu.

Szkielet szkieletem, zbroja zbroją, a od podążającego za skokiem krzyku na wrażliwej elfiej śliwie została się nie więcej niż połowa kwiatów. Smółka w pierwszej chwili przysiadłszy na tylnych nogach, gwałtownie je wyprostowała, podrzuciwszy zadem pasażera. Umarlak, zakreśliwszy piękny łuk, razem z odłamanym grzebieniem odleciał głową naprzód pod łuk bramy, gdzie, sądząc po dźwięku, rozpadł się na oddzielne kości. Rzucić w niego pulsarem nie zdążyłam. Klnąc pod nosem, wciągnęłam się z powrotem w korytarz i z całych sił pobiegłam w tę stronę, gdzie, moim zdaniem, powinny być znajdować się schody. Czy to nie dziwne, że one tam i były. Skacząc przez trzy schodki naraz, w jednym miejscu się potknąwszy i przeleciawszy przez siedem (uratowała mnie poręcz, w zamian uczepiwszy się jej o mało co nie zwichnęłam ręką), w jakieś pięć sekund pokonałam oba przesła łukowe. Na pierwszym piętrze przynajmniej się orientowałam i bez wahania skręciłam w lewo, a potem na prawo i w średnie drzwi.

Naturalnie, umarlaka w nieprzytomnym czy też w jakimkolwiek innym stanie nie zastałam już pod łukiem bramy. Pod ścianą poniewierał się tylko pogięty kawałek zardzewiałego żelaza, w którym po długich rozmyślaniach rozpoznałam nałokietnik z oderwanym uchwytem. Nieco dalej, obejmując się, snem umarłego odpoczywali dwaj strażnicy i jedna pusta butelka. Kółko z kluczami od trzech korytarzowych krato-drzwi sterczało w zamku tych ostatnich. Oczywiście, wszystkie były otwarte. Zagwizdałam przywołując Smółkę, wskoczyłam na siodło i zawczasu się pochyliwszy, uderzeniem pięty posłałam ją w galop. Z wietrzykiem przeleciawszy korytarz, przyhamowałam i się rozejrzałam. Nikogo! Zewnętrzne podwórze tonęło w ciemności, na tle fortecznych murów świeciła się zaledwie dziura zewnętrznych wrót. Leżący pokotem koło mostu strażnicy, nie z mniejszym powodzeniem niż ich koledzy, przeprowadzili degustację, zagadkowego alkoholowego napitku. Nawet nie próbowałam się koło nich zatrzymywać — ukojonych niezgranym chrapaniem — choć może i powinnam, ale tylko zwolniłam, zaś po drugiej stronie rowu znów pociągnęłam za cugle. Wzburzona kobyłka przebierała nogami w miejscu, nie mogąc się doczekać, aby pędzić dalej. Tylko dokąd?

W oddali mignęła sylwetka jeźdźca, oddalającego się od zamku. Raczej niewiadomo skąd, ale może być, że od strony lasu, stara się o zapasowy koński szkielet. Potrząsnęłam głową, przepędzając z niej idiotyczny obrazek: zdyszany umarlak w pośpiechu odkopuje swojego wiernego bieguna zardzewiałą łopata, zawczasu schowaną w krzakach.

Kobyłka także go zauważyła i pozwoliwszy zwisać cuglom, zerwała się w cwał. Zbroja wydała niewyobrażalny zgiełk, od którego w mgnieniu oka

ogłuchłam. Żelazne siodło, obliczone na opancerzony rycerski tyłek nielitościwie kopało mój własny. Żeby tego jeszcze było mało — nie zaznajomiona z budową końskiej zbroi — nie umocowałam jak należy na końskim zadzie pelerynki z kolczugi. I teraz ona latała w dół i w górę, waląc — to mnie po plecach, to kobyłkę po zadzie.

Zresztą, Smółkę to tylko popędzało. Zwykłego konia dogoniłybyśmy już dawno temu, a ten jechał tak jakby się niezbyt śpieszył, jednak odległość między nami prawie się nie zmniejszała. Kilka minut temu mogłam przysiąc, że to taka sama zjawia lub umarłak jak i ja, ale teraz znowu zwątpiłam. Zanadto płynnie i bezszelestnie się poruszał, chociaż jeśli sądzić po ostatnio otaczającej mnie kakofonii, było to nader trudne.

Z przodu zamajaczyło widziane poprzednio jezioro. Pięknie, z prawej strony las, z lewej strony — droga na wieś, on nie ma gdzie się podziać! Leśna gęstwina rozpieszczą obcych nie lubiła a wiejskie psy z zadowoleniem przyłączają się do pościgu za wędrownymi kośćmi.

Umarłak także to doskonale rozumiał i dlatego w pełnym galopie wjechał w jezioro i... zniknął. Bez najmniejszego plusku jak gdyby w mgnieniu oka się rozpląnął.

Naciągać cugli nie było potrzeby — kobyłka sama zwęszyła coś niedobrego i przeszła w stępa, ostrożnego i bezszelestnego. Podkradłszy się prawie do samego brzegu, Smółka prychnęła i odskoczyła w tył. Nie ze strachu, ale dając do zrozumienia: niech gospodyni najpierw wywie się sytuacji, a wierna kobyłka w razie czego zanieśie bolesną wiadomość przyjacielom i bliskim.

Zrozumiawszy aluzję, zesłam z konia, postąpiłam krok do przodu... i naprawdę w podobny sposób jak Smółka, odsunęłam się od niespodzianki.

To nie było jezioro, a... mgła. Biała i gęsta, jak mleko, pluskała równo z brzegami parowu, z rzadka obmacując je krótkimi języczkami fal. Nad nim, jak i nad wodą, unosiła się lekka mgielka, wiało ciepłem. I magią. Taką samą, jak w zamku przy grobowcu Fendulija. Tylko tu jej było dużo — tak dużo, że aż mnie ścisnęło w dołku od skoncentrowanej w parowie mocy.

Spróbowałam jej zaczerpnąć i wchłonąć, jednak mgła niespodziewanie zgęstniała jeszcze bardziej, stając się prawie namacalną i uprzejme, ale niezłomne uchyliła się od mojej ręki. Nie dla ciebie. Wybacz.

A dla kogo? Umarłaka? Nie, ta magia nie miała nic wspólnego z nekromancją. Do naturalnego źródła także nie była podobna. Istniała jakby sama z siebie, jako żywa istota, pobłażliwie spoglądając na zaskoczoną wiedźmę.

Wygląda na to, że umarłak, po prostu się w niej schował, jak w zwyczajnej mgle. Wjechał trochę głębiej i się zatrzymał, złośliwie chichocząc pod nosem

lub tym, co się tam u niego utrzymało.

Namotawszy na nadgarstek sznurek od amuletu, zdecydowanie weszłam we mgłę. Ale, kiedy ona skłębiła się równo nad moją głową, zrozumiałam, jaka to beznadziejna sprawa. Nie można w niej było dostrzec — nie tylko umarlaka — ale i własnych kolan.

„Niech Ci będzie, kochanieńki, — pomyślałam ponuro, włączając bieg wsteczny. — Wądół nieduży, wszystkie brzegi są widoczne. Zobaczymy, ile tam wysiedzisz. Osobiście, nigdzie się nie śpieszę, a ty, to dopiero wraz ze świtem będziesz mieć og-g-gromne problemy!”

* * *

Poranek okazał się jasny i bezwietrzny. Po nocnym przymrozku, który sumiennie wybielił trawę, na horyzoncie przedarło się słoneczko, wyglądające na szczerą drwinę nad zeszywniałą z zimna wiedźmą. Czy warto było liczyć na to, że umarlak raczy zjawić się przed moimi szklistymi oczami?!

Sterczeć dalej nad jeziorem nie było sensu. Jeśli umarlak nie wylazł z niego nocą, to za dnia tym bardziej się nie odważy. Nie Kocham ani prostych słonecznych promieni, ani żywych nieboszczyków ani zjaw, a zacienionego miejsca, którym on mógł się przedostać do zamku, obok nie było. Wkrótce w Kruczych Szponach zatrąbią pobudkę, jak nas złapią, to chyba nie pogłoszczą po główce za samowolne wypożyczenie zbroi Fendulija.

Opamiętawszy się, ściągnęłam z głowy hełm i umieściłam go pod pachą. Na jednym z skrzydełek wisiał zardzewiały wieniec — widocznie, upadł na mnie w momencie pojawienia się stwora. Zamachnąwszy się ze złością rzuciłam go w mgłę, mając nadzieję trafić umarlaka w czerep. Niech będzie, wróć wieczorem, nigdzie się przed mną nie schowasz!

Wskoczyłam na konia, i poczłapałyśmy truchcikiem z powrotem, grzechocząc, jak cały szereg katorżników z kajdanami na nogach.

A niech to leszy! Przy zagajniku, w połowie drogi do zamku, majaczyła samotna figurka, która z napięciem wpatrywała się w czyste pole. O co właściwie chodzi, nie trzeba było nawet zgadywać.

— Pani Wiedźmo, to nieuczciwe! — Z daleka zaczął lamentować Tiwalij i, potykając się o kępy, wybiegł mi naprzeciw. — Pani znowu mnie okantowała!

— Zaczarowałam, — spokojnie poprawiłam, podjeżdżając bliżej. — W zamku wszystko w porządku? Strażnicy doszli do siebie?

— A co im się stało? — Zmieszał się chłopak, na pewien czas zapomniawszy o swoich pretensjach.

— Jeśli bym wiedziała, nie pytałabym.

— Pół godziny temu, z nimi było wszystko w porządku! A cóż pani... — Tiwalij w końcu zwrócił uwagę na ekwipunek Smółki i ponownie zbiło go to z pantaląku. — Ale to przecież...

— Tak, — przerwałam gwałtownie. — Możesz popędzić do wsi i zdobyć jakiś worek?

— Po co?

— Żeby wepchnąć tam ten chłam i odnieść go na miejsce.

— To nie chłam! To...

— Wiem, co to takiego, — przerwałam. — I także nie doznałam żadnej radości od zetknięcia się z ich łaską! A, i poprosz o pogryziony worek na ziemniaki, żeby straży przy bramie nie przyszło czasem do głowy go sprawdzać.

— To niebawale świętokradztwo! Przecież wszystko do niego nie wlezie!

— Mogę zmniejszyć wszystko pięciokrotnie, ale lżejsze to się od tego nie stanie. Tak że, pośpiesz się, dopóki któryś z rycerzy nie namyśli się bladym świtem pomodlić się do tego skrzydlatego wiadra.

— To nie wiadro!!!

— Zgoda, przekonałeś mnie. — Niedbale rzuciłam mu w ręce hełm i zsiadłam z konia. — Siadaj na moje miejsce i jedź na zamek jak jest. Nie mam wątpliwości mistrzowie będą zachwyceni!

Tiwalij także nie miał złudzeń, co do tego wyniku.

— Pani wiedźmo, a pani dokąd? — z zakłopotaniem zakrzyknął w ślad za mną.

— Kupić worek i jednocześnie zjeść śniadanie. Jeśli zaczekasz na mnie, przyniosę ci parę kanapek.

Giermek dał mi odejść na trzydzieści sążni i krzyknął jeszcze bardziej przenikliwym głosem:

— Z kielbasą!!!

Tylko się uśmiechnęłam, przyśpieszając kroku.

* * *

— Czego sobie życzy, pani wiedźmo?

Ze zdumieniem spojrzałam na karczmarza, uniżenie przestępującego z nogi na nogę, koło mojego stolika. Nawet ręcznik na łokieć narzucił, coś podobnego! To nic, że ręcznik był bardziej podobny do szmaty od podłogi, ale taka niebawala obsługa... Mężczyzna w oczywisty sposób się denerwował, oczy mu biegały, jak karaluchy po pustym talerzu.

— Dziwne, — głośno pomyślałam, nie spuszczać z karczmarza badawczego spojrzenia, — rankiem przejeżdżałam przez las, ale nie zauważyłam żeby tam zdechło coś na tyle dużego...

Ten, w wymuszony sposób zachichotał. Może widział nasze nocne wyścigi i wreszcie nabrał szacunku? Grzech nie skorzystać.

— Tak więc... w takim razie, niech będzie, kaczka z jabłkami.

— Jeden moment! — Karczmarza zdmuchnęło. I z taką samą szybkością przyniosło z powrotem.

Zajrzałam do miski i z jeszcze większym zdziwieniem znalazłam tam wielgachny kęs kaczego mięsa w oprawie kruchych pajdek chleba. Tak szybko?! On je piekł na smoczym płomieniu, czy co? Czy też znowu od jakiegoś klienta odebrał, żeby szybciej się mnie pozbyć? Zresztą potrawa wyglądała na nietkniętą i pachniała nader apetycznie.

Powąchawszy, wzięłam się za jedzenie. Karczmarz kontynuował sterczenie koło mojego stołu, jak kołek wbity w ziemię, odprowadzając spojrzeniem każdy kawałek.

— O co chodzi, szanowny? — Nie wytrzymałam. — Jeśli pan tak już nie może wytrzymać, proszę wziąć drugi widelec i się przyłączyć!

Chłop potrząsnął głową, jak niemowa w odpowiedzi na groźne pytanie strażnika: „Czy to nie ciebie widziałem nocą z zakrwawionym toporem nad trupem zasieczzonego kupca?!”

— W takim razie niech pan idzie lepiej zrobić mi na drogę kanapkę z kielbasą, — przypomniałam sobie.

Zamówienie, wykonane w tak rekordowym terminie, wyglądało nie mniej imponująco: całe kółko kielbasy w przepołowionym bochenku białego chleba, nawet sznureczek z boku zwisał.

— N-na r-rachynek z-zakładu! — z krzywym uśmiechem wydukał karczmarz.

Do reszty przestałam cokolwiek pojmować i zaczęłam szybciej pałaszować kaczkę, aby śpiesznie opuścić nazbyt gościnny lokal. Niech go leszy, kupię worek u któregośkolwiek z mieszkańców wsi, a niech ten nienormalny przyniesie mi z wialni pokrowiec o długości dwóch sążni! Ale swoją drogą, co też tak go wystraszyło?! Nawet na ganek odprowadzić wyszedł, mało bez czego, a na pożegnanie rącznikiem pomachałby...

* * *

Podrzucić zbroję na miejsce udało się nam zadziwiająco łatwo. Na pobudkę mimo wszystko się spóźniliśmy, ale na czas śniadania zamek jakby wymarł. Strażnicy przy bramie, naprawdę próbowali żartować: niby, że pani wiedźma pracę z cmentarza do domu wzięła? Wyraziłam mocne zdziwienie na taką przenikliwość a im migiem odeszła ochota na żarty.

Uchwyciwszy ciężki worek za rogi, powlekliśmy go po krętych schodach, co jakiś czas utykając w zakrętach i wspominając świętego Fendulija, bynajmniej nie w modlitwach (to znaczy, ja wspominałam na cały głos a chłopak ponuro sapał, wyrażając swoją solidarność ze mną).

Przy samych drzwiach Tiwalij niespodziewanie się zaparł, głęboko zraniony moim następnym poleceniem:

— Nie, pani wiedźmo, i nie proście! Stanie na straży jest niegodne prawdziwego rycerza!

— Pokaż, że stoisz na honorowej warcie, — mrugnęłam porozumiewawczo, zaciągając worek do pokoju.

Porozwieszawszy zbroje (w ostatnim momencie spostrzegłam, że coś jest nie tak i zamieniłam rycerski, i koński hełm miejscami), jak najszybciej wyskoczyłam z powrotem i zatrzęsłam drzwiami. Oboje z Tiwalijem jednakowo przytuliliśmy się do ściany po obu stronach futryny i z ulgą westchnęliśmy. Wymieniliśmy spojrzenia, roześmialiśmy się i pośpieszyliśmy do refektarza póki mistrzowie nie zauważyli naszej nieobecności na kolejnym dietetycznym posiłku na cześć Fendulija.

Ale tam i bez nas się nie nudzono. Tym razem, w centrum uwagi znalazł się przyszczaty rycerzyk lat dziewiętnastu.

— Bracia moi! — Przerażliwie jazgotał, dla lepszego rozchodzenia się dźwięku wspiąwszy się na ławę. — Dzisiejszej nocy nie chciało mi się spać — ogarniały mnie myśli o niedoskonałości tego świata i bezowocnie przewracając się w łóżku do północy opuściłem zamek żeby pospacerować mając nadzieję, że nocne powietrze wyrzuci na mnie należyte wyciszające działanie...

Na policzku chłopaka, wyraźnie widniał własnej roboty ślad buraczanej pomadki, z czego wywnioskowałam, że w procesie wyciszenia brało udział nie tylko powietrze, ale i ogarnęło go także coś innego.

— I oto, leżąc w krzakach koło zagajnika, zobaczyliśmy — to jest, ja i mój wierny koń, któremu także czemuś nie chciało się spać! — Jak z zamkowej bramy wyjechał święty Fendulij, goniący umarlaka!

Rycerze przysłuchiwali się mu z zachwytem dzieciaków na jarmarcznym widowisku. Nawet Tiwalij rozdziawił gębę z zachwytem, ale potem spojrzął na mnie z ukosa i z urazą zamknął ją z powrotem.

— Przecięli pole, — z natchnieniem nadawała ofiara, młodzieńczej bezsenności. — I skryli się w parowie!

Pomyślałam, że, chyba było by warto, zamieścić w moim załączku pracy następujący zapis: „Mael-ine-Kirren. I. o. Św. Fenduliju”.

— A wracając do zamku znalazłem to! — Rycerz triumfująco potrząsnął fatalnym grzebieniem.

Grzebień natychmiast poszedł w obieg, tak samo, jak niedawno szkatułka. Wstrząśnięci rycerze z uwielbieniem a niektórzy i na poważnie, po całej długości, całowali świętą relikwię sypiąc ślubowaniami, jak suszonym grochem z dziurawego worka. Dołączyć do owej rozkoszy nie zapragnął tylko Najwyższy Mistrz. Pozostali mistrzowie także odnieśli się do tego rozrywkowego przedsięwzięcia bez specjalnego entuzjazmu, głośno cmoknąwszy powietrze w odległości pół wiorsty nad żelastwem.

Z jawną ulgą pozbywszy się dowodu kolejnego fendulijańskiego cudu, Najwyższy Mistrz przywołał mnie palcem:

— Pani wiedźmo, czy opuszczała pani nocą obręb zamku?

— Tak. — Wszystko jedno, wartownicy opowiedzą.

— A chłopiec był z panią?

— Tak. — Nawet brew mi nie drgnęła, za to Tiwalij oblał się gorącym rumieńcem po sam kołnierz.

Głowa zakonu nadal przewiercała mnie na wylot spojrzeniem:

— Dziwne, straż przy bramie was nie zauważyła.

— To całkowicie zrozumiałe, straż była w takim stanie, że nie mogła w ogóle kogokolwiek zauważyć.

— Bezczelna potwarz! — Zerwał się zza sąsiedniego stołu rycerz, który tylko co powrócił z warty. — Razem z towarzyszami całą noc nie zmrużyliśmy oka! Owszem, przyznaję, osuszyliśmy buteleczkę, słabego czerwonego wina, ale wyjątkowo, w leczniczych celach, dla podniesienia czujności! Klnę się na świętego Fendulija!

Korciło mnie żeby palnąć, że święty, niestety, nie może poświadczyć jego przysięgi z powodu nieobecności w miejscu pracy, ale powstrzymałam się w samą porę. Nie tacy z nich durnie, żeby upijać się na posterunku. A i zbyt mało było do tego jednej butelki, niechby nawet najczystszej gorzałki z wina. Widocznie, do niej coś domieszano.

Ograniczyłam się do lekceważącego ruchu ramion, nie mając zamiaru czegokolwiek udowadniać albo się tłumaczyć. Rycerz jeszcze troszkę poburczawszy, ale także nie płonąc chęcią nawiązania bliższych stosunków z wiedźmą, usiadł na miejscu.

— Wychodzi więc na to, że święty Fendulij już wybawił nas od umarlaka?
— Wykombinował ktoś z jego kolegów. — Na co wtedy nam ta ...

„Ta” odwróciła się i obdarowała aroganta, takim znaczącym spojrzeniem, że postanowił nie śpieszyć się ze swoim prywatnym zdaniem.

Niestety, ziarno upadło na podatny grunt i bujnie zakiełkowało, w kilku miejscach jednocześnie, tak, że dowiedziałam się o sobie dużo nowego i interesującego. Nie przejęłam się, oczywiście, ale przyjemność była maleńka.

— Poczekajcie, doczekamy nocy i sprawdzimy. — Najwyższy Mistrz powiedział to miękko i niegłośnie, ale narastające szemranie od razu ucichło. — Pani wiedźmo, czy mogłaby pani zejść do mnie od razu po śniadaniu?

Posępnie kiwnęłam głową, gwałtownie zawróciłam i opuściłam refektarz. Na bogów, będę miała mniej problemów. Niech sami łapią swojego umarlaka, tylko potem nich nie narzekają, że on sprzeciwia się ujęciu jeszcze bardziej stanowczo, niż obrzucana błotem wiedźma!

* * *

— Wejdz. — Głowa zakonu sama otworzyła mi drzwi. — Tiwalij, idź tymczasem potrenować mieczem. My z panią wiedźmą trochę pogawędzimy.

Już miałam zamiar usiąść na koślawy taboret jedyne partnera ławki z poduszką z polana, jako niezmiennego wystroju każdej celi, gdy Najwyższy Mistrz, odsunawszy wiszący na ścianie gobelin z jeszcze jedną wariacją na temat wielkich czynów tutejszych świętych, gestem zaprosił mnie do drugiego pokoju.

— Przytulnie tu u pana, — chrząknęłam przekraczając próg.

Na podłodze leżał dywan, w kącie stało ogromne łóżko z baldachimem a na ścianie wisiał obraz z rusalką o obfitych kształtach, swawolnie zakrywającą pierś ogonem. Zresztą, ogon był mniejszy od piersi, co najmniej o dwa rozmiary tak, że szczególnie nie przeszkadzał.

Głowa zakonu beztrąsko rozsiadła się w fotelu, wyciągnęła spod stołu butelkę z winem i szczerze nalała z niej do srebrnego pucharu. Mistrz upił trochę, z przyjemnością się po delectował patrząc na mnie, i niespodziewanie spytał:

— Mam nadzieję, że zwróciłaś zbroję na miejsce?

— Zwróciłam... — z oszłomieniem potwierdziłam. — Jak pan się domyślił?!

— Moja droga! — Najwyższy Mistrz otwarcie się ubawił. — Oboje doskonale wiemy, że Fendulij nie ma do tej zbroi żadnego stosunku. Dlaczego

więc jego duch by się w nią przyoblekał? Nasi bracia nie powazyliby się na takie świętokradztwo, umarłak ma własną, znaczy, pozostajesz tylko ty!

— I co? — Zapytałam wyzywająco. — Mam zaczynać zbierać chrust czy też sami się zakrzątniecie?

— Ile masz lat, wiedźmuszko? — Zamiast odpowiedzi zapytała głowa zakonu. — Dwadzieścia, dwadzieścia pięć?

— Dwadzieścia dwa, — zaokrągliłam z przyzwyczajenia.

— Cóż, w twoim wieku także byłem przekonany, że świat dzieli się tylko na czarne i białe. Ale z wiekiem zrozumiesz, że nadmiernej świętości niestety bliżej do tego pierwszego. — Namiestnik mienia świętego Fendulija w zamyśleniu pokręcił pucharem w palcach. — I dlatego pomysł zaproszenia cię do zamku wyszedł właśnie ode mnie, przy czym doskonale zdawałem sobie sprawę z następstwa tej decyzji. I teraz chcę zaledwie poprosić cię, żebyś zachowywała się bardziej... e-e-e... rozważnie. To jest, nie wpadała nikomu w oczy ani w aspekcie Fendulija, ani... umarłaka. Albowiem, nie szukając daleko, nie wszyscy mistrzowie podzielają mój punkt widzenia, a regularna nocna panika mało sprzyja mojemu autorytetowi...

Poczułam, że się rumienię. Ze zmieszania zakasłałam:

— Postaram się. Czy mógłby pan opowiedzieć mi w skrócie o tym przekle... to jest o świętym Fenduliju?

Najwyższy mistrz westchnął i niezbyt długo się wahając, dołał sobie wina:

— Sam chciałbym się o nim trochę więcej dowiedzieć. Niestety, nasze wiadomości są zawile i sprzeczne ze sobą, gdyż oryginalne rękopisy z tych lat prawie się nie zachowały a spisane w nich czyny są tak upiększone, że wzbudzają wątpliwość. Ktoś pisze, że Fendulij mógł położyć smoka jednym uderzeniem pięści ktoś, — że wyróżniał się rozumem i zręcznością, umiał przepowiadać przyszłość, a także, uwielbiał wszelakie żarty i rozgrywki. Istnieje nawet legenda, że jego duch dotychczas błąka się po korytarzach na zamku, wyglądając jak jeden z braci i na tego, kto go pozna spłynie łaska nie do opisania. Hm... pamiętam, w młodości i sam się przyczepiałem z pytaniem, do idących w przeciwnym kierunku rycerzy, czy któryś z nich to nie Fendulij... Kronikarze zgadzają się tylko w jednym: był zacnym człowiekiem, odważnym wojownikiem i założył zakon Białego Kruka, powołany w celu obrony prostych mieszkańców Belorii przed złem i niesprawiedliwością. Ale my nawet nie wiemy, gdzie znajduje się jego grób, gdyż pewnego razu opuścił zamek na cowieczorną przejażdżkę i nie wrócił. Prawdopodobnie, natknął się na czołowy zwiad orków i padł w nierównej bitwie — po upływie kilku godzin rycerze musieli pośpiesznie zbierać się na wyprawę przeciwko całej armii tych stworzeń

bez uprzedzenia przekraczającej granice Belorii. Poranione ciało Fendulija mogło zdradzić ich przed czasem, dlatego, najszybciej, przykryli go gdzieś ziemią. W panującym zamieszaniu nie było czasu go szukać, potem spadł śnieg, a wiosną urosła nowa trawa i ostatecznie zatarła wszystkie ślady.

— Ale to nie przeszkodziło wam w postawieniu w zamku skarbonki z czarnego marmuru — nie wytrzymałszy, wtrąciłam się.

— Co robić?! — Uśmiechnął się Najwyższy Mistrz. — Rycerzom także czasem chce się jeść. A jakich forteli nie wypada zastosować, żeby nakarmić cały tłum zdrowych chłopaków, chociażby czarnym chlebem! Zamek potrzebuje remontu, a i gnomy nie chcą dawać nam stali z kuźni bezpłatnie. I po to był nam potrzebny symbol, relikwia, która zjednoczyłaby braci zakonu. Fendulij świetnie nadawał się do tego celu. Kierować takim ogromnym zamkiem wcale nie tak prosto dziewczynko... Oczywiście, mistrzowie w miarę swoich sił wspierają mnie, ale od niedawna wśród nich zaznaczył się rozłam. Niestety, wszystkim, jak by się nie starać, nie dogodzisz — i tobie to powinno być wiadome lepiej, niż komukolwiek! — a na takim wysokim stanowisku nawet maleńkie niepowodzenie obraca się w katastrofę... Tak, że nie zawieźdź mnie, wiedźmuszko.

— Postaram się, — powtórzyłam już bardziej szczerze.

— Tedy nie śmiem cię dłużej zatrzymywać. Idź, dziecię moje i niech święty Fendulij będzie z tobą! — Odruchowo dodał Najwyższy Mistrz i natychmiast się roześmiał.

* * *

— Powinieneś był potargować się z nią, Tiwalij! — Dochodzący zza drzwi głos wydał mi się jakby znajomy. Aha, odważny myśliwy na wiedźmę z zawiązanego komitetu na spotkaniu! — Wiedźmy chciwe, i od razu proponować jej całej wydzielonej przez zakon sumy, w żadnym wypadku nie należało. Zdaje się, że ona doszła teraz do wniosku, że może urabiać nas jak glinę.

Jak najszybciej otworzyłam drzwi. Mistrz z jawnym żalem zamknął usta, nie zdążywszy oznajmić zamierzonego paskudztwa.

— Czy u pana nie zgubił się mój ochroniarz? — Bezcelnie się zainteresowałam. Tiwalij jak najszybciej przemknął w stronę drzwi, za moje plecy. — To dobrze, bo jak raz, ucieczkę miałam zamiar organizować, a ukrócić tego ohydztwa nie ma komu.

Mistrz złowieszczo błysnął oczami, ale się nie sprzeciwił. Uznawszy rozmowę za zakończoną, uprzejmie zamknęłam drzwi.

— Pani mnie naprawdę szukała? — Z nadzieją, zainteresował się Tiwalij.

— Nie, przypadkowo przechodziłam obok. Tobie przypadkiem nie kazano trenować, czy coś w tym rodzaju?

Chłopak znowu zaczął się rumienić, jak niedojrzały pomidor na okienku. Wszystko jasne, znalazł wolną chwilkę i poszedł zanieść swojemu panu wiadomości z pierwszej ręki. Wariant skrócony, rozumie się, w przeciwnym razie mistrz by dostał zawału.

— Zgoda, — zlitowałam się, nie nalegając na odpowiedź. — Jeszcze będziesz miał czas, z nóg padam i do obiadu z pokoju nie wyjdę.

— Uczciwe rycerskie? — Nieufnie uściślił chłopak.

— Uczciwe wiedźmowskie! — Z uśmiechem poprawiłam.

* * *

Przekartkowawszy książkę do końca z rozczarowaniem chrząknęłam i poobracawszy ją w rękach, rzuciłam na łóżko do już przejrzanych. Jak rozwiać zwyczajną mgłę wiedziałam sama. O magicznej nie było w nich ani słowa.

Jeden mag w zamku jest — to wiadome. Ale jego zaklęcia nie miały nic wspólnego z mgłą. Po co gasił pochodnie? Po prostu zabawiał się, chciał postraszyć strażę? Czy też wybrał zaciszne miejsce i nocną porę cyzelował nabytą sprawność? Magia w zamku jest zakazana.

I jeszcze ten rozsypujący się na kawałki umarłak... Uważnie przyjrzałam się nałokietnikowi — miał z trzysta lat, nie mniej, ale rdza pokrywała go tylko na zewnątrz. Stał błyszcząca wewnątrz jakby została wypolerowana kurtką lub koszulą. A on co, specjalnie przed atakiem rozebrał się do kości i czaszki?

Gdyby jednak to był człowiek z tak oryginalnym poczuciem humoru, jakim cudem udało mu się skoczyć w dół z wysokości piętnastu sążni, nie rozpołowiwszy się o grzebień? I potem galopować szybciej od Smółki, a nie z jęczeniem, przebierać nogami na rozkraczonych nogach? Konia na podwórzu nie było, a do lasu z parę wiorst...

O swojej własnej kobyłce w ogóle zmilczę. Albo Smółka nabrała od umarłaka złego przyzwyczajenia przechodzenia przez ściany, albo plan zamku rycerze zjedli nie tak sumiennie, jak mnie o tym zapewniano. I ktoś z niego bezczelnie korzystał.

Ze zmęczenia potarłam czoło. Mózg ogłosił strajk, żądając rekompensaty za nieprzespaną noc. Leszy z nim, sen przynosi dobrą radę. Umieściłam na kolanach torbę i zaczęłam wpychać książeczki z powrotem, sprzątajac łóżko.

I to mnie uratowało. W przeciwnym razie po prostu nie zdążyłabym jej

rozwiązać. Ból w brzuchu skręcił mnie tak nagle i strasznie, że nawet nie zdążyłam jęknąć — gardło jakby ścisnęła napięta pętla, nie przepuszczając ani powietrza, ani krzyku.

Głupia nadzieja na niestrawność lub nieplanowe kobiece dni błysnęła i zaraz znikła. Zamiast niej, przed oczami stanął paragraf „Trucizna” z podręcznika od zielarstwa.

„Podstawa — nie panikować” — pouczał mistrz Goralt, na naszych oczach upijając z ozdobionego skrzyżowanymi kośćmi flakonu i podobnie bez pośpiechu wyciągając korek z drugiego, z zieloną trójlistną koniczynką na etykietce. (Na przerwie, kiedy wykładowca wyszedł, w ramach zakładu powtórzyłam niebezpieczną degustację i z oburzeniem odkryłam w obu buteleczkach czystą wodę; co prawda, dla żartu przedstawiłam takie wiarygodne konwulsje, że mistrz, przybiegłszy na przestraszone krzyki mojej paczki, na zawsze wyrzekł się udawania przed adeptami.)

Ale tym razem z pierwszą buteleczką nie oszukano, znaczy, i z drugą pomylić się nie wolno.

Myśl, wiedźmo, myśl... trucizna zaczyna działać, co najmniej po trzech godzinach — po powrocie z karczmy niczego nie jadłam i nie piłam... bez smaku, bez zapachu, w przeciwnym razie bym ją wyczuła... przeszywający ból z prawie nie ustającymi szturmami... Nalewka z pazurów nietoperza albo „Eliksir Szybki Odlot”, jak ironicznie nazywały elfy ekstrakt z pąków rdzawo-płatkowej mandragory, rosnącej tylko w matecznikach Jesionowego Grodu?..

W mojej torbie znajdowały się odtrutki na obie trucizny, ale mieszać ich nie można było w żadnym wypadku. Śmierć od „Eliksiru” następowała po upływie półtorej minuty od wystąpienia symptomów, od nalewki — po pięciu, sześciu. Cóż, szybko dowiem się na pewno... albo się nie dowiem. Jeśli ktoś zdecydował się otruć wiedźmę, powinien był działać szybko, żeby wiedźma nie zdążyła nawet pisnąć. Dokładniej, wypowiedzieć zaklęcia albo dotrzeć do torby z ziołami.

Znaczy, „Eliksir”. Gdzie ja mam tą przekletą odtrutkę?! Sztywnymi palcami po rozgarniałam zawartość torby; torba wyśliznęła mi się z rąk, plasnęła na podłogę i flakony potoczyły się w różne strony.

Zaszlochawszy z rozpaczy, przechyliłam się i krzywo, bokiem, spelzłam z łóżka. Ostatkiem sił wyciągnęłam rękę do kręcącej się o jakiś łokieć ode mnie buteleczki, ale, już dotknąwszy zimnego szkła zrozumiałam, że nie zdążę...

* * *

Ocknęłam się z zimna. Obok wyciągniętej ręki, przewracała się pusta buteleczka. Strużki obok niej nie było, prawdopodobnie jednak wszystko popłynęło we mnie. Zgadłam. Zabijcie, ale nie pamiętam, jak zdołałam ją otworzyć i wypić!

Kamienna podłoga podobała się mojemu bokowi coraz to mniej i mniej. Z jękiem przewróciłam się na brzuch i kończyzna za kończyzną usiłowałam przesunąć się chociażby do pozycji siedzącej. Mięśnie jakoś się podporządkowały, ale tak ospale i bezwładnie, że byłabym skłonna podejrzewać czy nie przybyło w zamku o jednego umarlaka więcej. Zresztą, sądząc po narastającym w nich bólu, ciało po prostu zdrętwiało z bezruchu.

Ktoś zapukał do drzwi. Niedobrym słowem wspomniałam swoje zaklęcie, które nie pozwalało umarlakowi przejść przez ścianę bez dodatkowych ceremonii i uwolnić mnie od cierpień najbardziej radykalnym sposobem.

Musiałam osobiście dotrzeć do drzwi, opierając się o ścianę.

— Co tam, młody fendulijańcu?

— Pani wieźmo, już zmierzch. — Zatrakotał Tiwalij. — Pani nie przyszła na kolację, i zaniepokoiłem się, co się mo...

— Wystarczyło mi poranne śniadanie, — skrzywiłam się, wpuszczając go do celi. — Pomilcz chwilkę, dobrze?

Giermek, posłusznie przysiadł na brzeżku łóżka, patrząc, jak mieszam w szklance, dokładnie odmierzone krople z różnych buteleczek. Od ziółek ściągało kości policzkowe, za to rezultat następował w mgnieniu oka — znowu poczułam się żywiej, chociaż za martwą uznać mnie było jeszcze za wcześnie.

— Czy pani dobrze się czuje? — Ze opóźnieniem spostrzegł się chłopak, jakoś dziwne przyglądając się mojej twarzy. No, blada. Możliwe, że nawet biała jak płótno, z rozszerzonymi źrenicami i odciskiem kamienia na policzku. Najbardziej nadający się widok żeby o północy poskrobać w okienko karczmy i obnażywszy sztuczne kły, pieszczotliwie zapytać się gospodarza gdzie zdobył takie zadziwiające przyprawy. Wszystko wyśpiewa jednym tchem.

— Nie, — ucięłam, zbierając butelki z powrotem do torby. Do karczmarza jeszcze zdążę, a teraz trzeba spieszyć do zamglonego jeziora. Przy dziennym świetle umarlak nie odważy się i nosa stamtąd wysunąć; znaczy, będzie siedzieć w nim aż do zmroku.

Maga i wszechobecną kobyłkę także odłożyłam na potem. Ten węzeł ma zbyt wiele koniuszków; być może, jeżeli uparcie ciągnąć za jeden, sam się rozplącze.

Chłopiec jakby odgadł moje myśli:

— Pani wieźmo, a dokąd teraz pójdziemy?

— My? — Sarkastycznie uściśliłam, obracając się w jego stronę.

Tiwalij na wszelki wypadek zamknął oczy. Naiwny! Wiedźma nie musi koniecznie patrzeć swojej ofierze w oczy, uspić mogę i na odległości. Ale nie w swoim przecież pokoju! Potem ciągnij go do sąsiedniej celi... Trzeba wymyślić jakiś pretekst, żeby sam się tam wyniósł.

Uśmiechając się odwróciłam wzrok i podniosłam z podłogi flakonik, w którym była odtrutka. Tak i zamarłam zacisnąwszy go w pięści. Magia... znowu ta sama magia! Pokrywała flakon, jak ślad czyjejś dłoni delikatnie pulsując pod moimi palcami. Szybko przyłożyłam do niego wolną dłoń. Innych śladów cudzej magii nie znalazłam, ale zaręczyć, że ich całkiem nie ma, także nie mogłam. Coś niewyraźnego i wymykającego się wisiało w powietrzu, jak aromat liściastych perfum driad. Spokojnie nabierzesz powietrza — poczujesz, zaczniesz oswajać się zapachem — znika.

W zamyśleniu zatkałam flakonik i wrzuciłam do torby. Tiwalij, nie doczekawszy się uspienia, nieśmiało uchylił jedno oko:

— Ale Najwyższy Mistrz kazał mi...

— Nic podobnego, — prychnęłam, gwałtownie ściągając gardziel torby. — Jeśli się nie mylę, odpowiadasz za to, żebym nie wyrządziła szkody w zamku?

Chłopak ze zmieszaniem przemilczał. Bezlitośnie skończyłam myśl:

— Znaczy, możesz z czystym sumieniem poczekać na mnie przy bramie. Tylko zdobądź mi normalny miecz, bo sam widzisz... — Wytrząsnęłam atrapę rękojeści miecza z pochwy.

Tiwalij zawahał się:

— Wątpię, czy którykolwiek z rycerzy zgodzi się powierzyć pani swoją klingę, a w zbrojowni są tylko miecze ćwiczebne i bojowe dwuręczne. Ale...

— Ale?

— Mam miecz, który dostałem w spadku. Co prawda, to do pasowania na rycerza nie mam prawa go dotykać, ale, jeśli weźmie mnie pani ze sobą, mogę go pani pożyczyć!

— Pokaż, — nakazałam z zainteresowaniem.

Tiwalij rzucił się tam i z powrotem, i przywłókł długi pakunek, owinięty żółkniętym, grubym płótnem. Troskliwie rozwinął miecz z powijaków i podał mi go na wyciągniętych rękach, jak weselny bochen na ręczniku.

— Mam nadzieję, że bez paznokci jako amuletu? — mruknęłam oglądając głownię.

Ostrożnie podniosłam, drugą ręką przytrzymując za środek ostrza. Dziwne, w oczywisty sposób zrobiony na zamówienie mężczyzny — prosty krzyżak, opleciony wąskimi skórzanymi rzemykami, nie grawerowane ostrze, tylko ze

srebrnym znakiem przy samym jelcu. Ale przeznaczony raczej dla damskiej ręki — lekki, cienki, doskonale wyważony.

Chłopak pokręcił głową:

— To trzymająca ręka powinna mu być amuletem.

— Tym razem tobie się nie poszczęściło, — złowrogo zakomunikowałam mieczowi, robiąc próbny zamach.

Srebrzysty zakrętas, bezdźwięcznie mignął w powietrzu. Ostrze podobało mi się coraz bardziej i bardziej. Pewnie, zobaczywszy go na targowisku — kupiłabym bez namysłu. Tak i do pochwy za moimi plecami wśliznął się jak do siebie do domu. Obróciłam się do Tiwalija i łaskawie oznajmiłam:

— Niech będzie, namówiłeś mnie. Ale żebyś nie ośmielił się nawet kichnąć bez mojego rozkazu!

Chłopak rozpromienił się, spokojnie puściwszy ostatnie słowa pomimo uszu.

— Pani wiédźmo, a jaki ma pani plan?

— Podkradniemy się do jeziora, zaczaiemy się w krzakach i będziemy czekać. — Sprawdziłam sznurowanie na butach i pochwyciwszy z łóżka kurtkę, dla ochrony przed chłodem, narzuciłam ją na ramiona. — Biegnij siodłać swoją szkapę. Na ciebie, w odróżnieniu od umarlaka, nie zamierzam czekać.

„A w razie czego zdrzemniesz się i w zasadzce, w krzakach.”

* * *

Znaleźć odpowiednie do ukrywania się krzaki okazało się nie takie proste. Wierzbowy lasek sięgał do skraju wąwozu — wygląd mizernych, dopiero co obsypanych zielenią witek nie zachęcał do ukrywania się za nimi, ponieważ oznaczałoby to jawne lekceważenie wroga.

— Eh, szkoda, do lasu daleko... — rozmarzył się chłopak, chciwie spoglądając na świerkowy podrost wzdłuż skraju. — W nim to już mogłoby się ukryć całe wojsko, nawet konne.

— A dlaczego by i nie? — Ożywiłam się, wyjmując miecz.

Po upływie pół godziny w łożynie wyrosły trzy puszyste choinki, ciasno przytulające się do siebie nawzajem. Wyglądały bardzo miło, chociaż i nieco osobliwie.

— Pani wiédźmo, a pani jest pewna, że to zadziała? — Chłopak głośno wyraził nasze wspólne wątpliwości.

— Przynajmniej zobaczy choinki, a nie nas, — rozsądnie zaoponowałam. — Może, zechce popatrzeć na nie z bliska, podjedzie, wtedy dobierzemy się mu

do skóry!

— A jeśli domyśli się, że za nimi ktoś się ukrywa?

— A czy tobie przyszłoby do głowy, że ktoś będzie się ukrywał za wkopanymi pośrodku pola choinkami?

— Nie, — uczciwie przyznał się chłopak. — Ja bym za nic nie uwierzył, że bogowie zesłali mi na tyle głupiego przeciwnika!

— No to doskonale, — uśmiechnęłam się. — Będziemy mieć nadzieję, że u wszystkich absolwentów tutejszego zakonu mózgi działają tak samo. Nawet, jeżeli z tych mózgów została tylko czaszka pod rogatym hełmem!

* * *

Przez dwie godziny zdążyły ze mnie zrobić kolację, wszystkie okoliczne komary. Na szczęście, późną wiosną było ich niewiele, ale ilość wygłodniałych w ciągu zimy stworzeń skutecznie przechodziła w jakość a żadne krwi bzyczenie to nad jednym to nad drugim uchem bez przerwy odwracało moją uwagę od celu nocnego czuwania, zmuszając do wściekłego bicia się po nieosłoniętych częściach ciała, po osłoniętych także gryzły, ale trochę mniej.

— Pani wiedźmo — nieśmiało przerwał ciszę chłopak — póki mamy chwilkę wolnego proszę pozwólcie mi odmówić modlitwę i być może, pani serce zmięknie a dusza zwróci się ku światłu! Albowiem po pani oczach widzę, że ciemność jeszcze nie zdążyła pochłonąć pani bez reszty, a droga szczerzej skruchy, zdolna jest doprowadzić do nieba najbardziej zatwardziałego grzesznika...

— Lepiej będzie jak wypowiem zaklęcie i będę czekać na zjawę w samotności, jak i planowałam, — z rozdrażnieniem przerwałam, rozgniatając kolejnego komara.

Giermek, pokornie westchnął, wzniosł oczy ku niebu i bezdźwięcznie zaczął ruszać wargami. Widocznie, zdecydował się po obcować z bogami bez mojego udziału, ale może przy okazji szepnie za mną słówko. W oddalonej wsi zmysłowo rozdarły się koty, przyłączając się do wezwania.

W beznadziei podparłam ręką policzek, posepnie wpatrując się w kłębiącą się nad wąwozem mgłę. Dzisiaj było niewiele cieplej i Tiwalij grzał mi lewy bok, ale to nie przydawało sympatii dla spóźniającego się umarlaka. A jeśli i dzisiaj nie wylezie? Zagrzebał się tam do lepszych czasów, dalej od grzechu... Może pójść i poszukać go po omacku? Chociaż, jeżeli rzeczywiście odnajdę, wiele nie zobaczę...

Tak usilnie wypatrywałam umarlaka, że pierwszy zauważył go Tiwalij:

— Pani wiedźmo! — Zapiszczał na granicy ultradźwięku. — Proszę

spojrzeć tam!

Spojrzałam i poczułam, że zaczynam pomału wariować. We wskazanym kierunku umarłak rzeczywiście był obecny, tylko jechał... we mgłę! I skrył się w owej, przy mojej pełnej pobłażliwości.

— Ani ghyra tobie! — Wyrwało mi się.

— Worra ta kyndyk¹², — odruchowo przytaknął Tiwalij i jęknąwszy, obiema rękami zakrył sobie usta.

Zrobiłam to samo — żeby się nie roześmiać. Nie wszystko stracone, chłopak może jeszcze wyjść na ludzi!

Nie pozostało nam nic innego, jak kontynuować obserwację zza choinek. To prawda, nudzić się już nie mogliśmy. Było słychać, jak umarłak błąka się po wąwozie, dzwoniąc zbroją. To bliżej, to dalej. Nad nim, jak płetwa grzbietowa krążącego pod wodą rekina, przesuwiał się garbik mgły.

Można było zaryzykować, strzelić pulsarem na oślep, ale nie wiadomo, co może się wydarzyć przy zderzeniu dwóch magii. Trudno, zaopatrzyłam się w cierpliwość na całą noc, starczy jeszcze i na półgodzinki. Poczekamy.

Garbik zamarł i powoli opadł, jak chleb w za wcześnie otwartym piecu. Złowrogi jeździec wyjechał z wąwozu na wprost nas i zatrzymał się na jego skraju, powoli obracając głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę.

Tiwalij tak wcisnął się w ziemię, jakby miał nadzieję w nią wrosnąć, ale odważnie milczał. Oglądanie umarłaka na własne oczy również nie sprawiało mi szczególnej przyjemności. Na tle księżycy umarłak zdawał się czarnym i ogromnym, tylko oczy świeciły się jak dwa rozżarzone węgielki. Koń z głuchym rżeniem gryzł wędzidło, kręcąc masywnym łbem.

Za to celować do niego było bardzo wygodne. Czym się i zajęłam, splatając palce obu rąk w „kuszę” — małe i serdeczne palce razem w pięść, średnie wysunięte na boki w „pałak”, wskazujące i kciuki wyprostowane, jak do celowania i miejsce na strzałę. Po właściwym zaklęciu, można z tej konstrukcji wypuścić do dwunastu szybkich pulsarów z rzędu i ghyr się uchyliasz!

Chłopak drgnął jak oparzony. Szturchnął mnie w ramię:

— Pani wieźmo, co pani tam mamrocze?

Pomyliłam się, bezdźwięcznie zaklęłam i żeby nie powiedzieć czegoś za dużo, syknęłam przez zęby:

— Czaruję, czy to nie jest jasne? I nie waż mi się więcej przerywać, inaczej nie ręczę za rezultat!

— Oj, poczekajcie, odpelzną na bok żeby nie kalać słuchu dźwiękiem

¹² **Worra ta kyndyk** – słowa z języka trolli, jest to przekleństwo i oznacza "żebyś/zebyś zdechl!", ponoć ma i drugie znaczenie, posiadające konotacje seksualne.

biesowych słów!

— Tak zatkaj uszy! — Warknęłam.

Chłopak, w jak najlepszej wierze przycisnął dłonie do głowy, zmrużywszy oczy dla większej pewności. Zresztą, wystarczyło jej na krótko. Jak tylko zebrałam myśli i przyszykowałam się powtórzyć „słowa”, Tiwalij znowu się ocknął:

— A co pani chce z nim zrobić?

— Wysłać do nieba nieco inną drogą, — odezwałam się zjadliwie — Zastanawiam się, oczywiście, czy jego tam wpuszczą, ale do tamtejszych bram podrzucę...

— Ale to sprzecznie z rycerskim honorem! — z zakłopotaniem zapiszczał chłopak, zrywając się na równe nogi. — Powinniśmy wyzwać go na pojedynek i pokonać w uczciwej walce, po czym przynieść ulgę duszy modlitwą i zapewnić mu godny pochówek...

W ostatniej chwili zdążyłam złapać chłopaka za rękaw i z całych sił pociągnęłam w dół, zmusiwszy do ponownego położenia się.

— A napadać na nieuzbrojone kobiety jadąc wierzchem na końskim szkielecie — niesprzeczne z honorem? I jeden raz już go chowali — nie pomogło!

Jak raz w tym momencie szkielet zadarł ogon i zrobił kupę. Sądząc po dźwięku i zapachu — bardzo jakościową i wielgachną.

Migiem zaprzestaliśmy kłótni, z oszołomieniem skupiając uwagę, na wyżej opisanym procesie.

— Pani wiedźmo, a pani jest pewna, że to nasz umarlak?

— Przecież to jasne, że nieprzypadkowy przechodzeń — szepnęłam w odpowiedzi, próbując dostrzec, skąd w końskim szkielecie mogło zebrać się tyle wartościowego nawozu. Kości kośćmi, ale pod nimi ciemniała jakaś gęsta masa, jak gdyby je... zawieszono po wierzchu. — Nasz albo nie nasz — uśmiercimy dla podtrzymania kondycji i dopiero potem się zorientujemy!

Z tymi słowy zuchwale wyprostowałam się na całą wysokość, mimochodem, koncentrując między dłońmi bojowy pulsar, i drwiąco się zainteresowałam: — Co, nie śpi się? Ukołysać?!

Ale umarlak nie zapragnął mężnie po siłować się ze mną. Gwałtownie zawrócił cofającego się do tyłu konia i bez zbytecznych słów, (ale już nie całkiem milcząco, gdyż „ghyr” zbytecznym nigdy nie bywa) pomknął precz, minąwszy choinki tak blisko ode mnie, że poczułam nawet cierpki zapach męskiego potu, nie mówiąc o końskim.

Odróciwszy się i drapieźnie wyszczerzywszy zęby, gwałtownie

rozłączyłam ręce, rozdzielając i jednocześnie rzucając w ślad za umarlakiem, świecące się kule płomienia.

Pulsary, sprawnie uderzyły w opancerzony koński zad i znowu się odbiły. Wygląda na to, że sedno sprawy leżało nie w rykoszecie, a w nałożonym na zbroję zakłęciu. Z „kuszy” z bliskiej odległości niemal na pewno bym go przebiła, a tak i próbować nie było warto. Koń zadarł gnijący ogon i z podwójnym entuzjazmem pocwałował do zamku, zostawiając za sobą ciemną smugę dymu, jak postrzelony smok.

Szybko obróciłam się w stronę zagajnika i z całej siły gwizdnęłam na dwóch palcach. Czarny, szybki cień przesunął się po polu i zamarł obok mnie, niecierpliwie przebierając nogami. Wskoczyłam na siodło, nie tracąc czasu na poszukiwanie drugiego strzemienia i łapanie cugli, obiema rękami uczepiwszy się przedniego łęku, i w biegu wydając komendę:

— Dawaj, Smółka!

Kobyłka po wilczemu zaskowytała i rzuciła się naprzód.

Umarlak zdążył pogalopować wystarczająco daleko, ledwie mającąc w pół drogi do zamku. Dopędziłyśmy go bardzo szybko, ale przez bramę wjechał na dziesięć sążni przed moim nosem i krata od razu zaczęła opadać. Smółka ledwie zdążyła zahamować, żeby nie najechać na sterczące z niej kolce.

— Zaraza! — Zsiadłam z konia i wyrażając niezadowolenie kopnęłam gruby stalowy pręt. Zawołać, czy co? Może miłośnicy świeżego powietrza, śpiący z otwartymi oknami i usłyszą. Ot tylko, czy wyjdą? Pomyślą, że przy bramie rozrabia jakiś pijany troll, no a po co są wartownicy?

Tą samą nogą, ale już delikatniej, poruszyłam chrapiących obok kraty strażników. Na darmo. To nie przez wino — dzieci uspioło zakłęciem. Pewnie, poszperawszy z kwadrans w zbiorze przydatnych zakłęb, zdołałabym ich obudzić, ale czy to ma sens? Bęben z łańcuchem i tak znajduje się po tamtej stronie kraty. Nawet jak będę krzyczeć trzy razy głośniej, umarlak sto razy zdąży ukryć się w zamku, a tam bezkarnie wyjedzie na polowanie, złośliwie chichocząc nad wystrychniętą na dudka wiedźmą.

Ryknęłam tak, że jakaś drobna psinka, przenikliwie szczekająca po tamtej stronie muru, nagle zamilkła, jak gdyby zdechłszy na miejscu. Jeśli tego ghyrowego zamku nie zdołano zdobyć przez tyle setek lat, to jakie ja mam szanse uporać się z nim w ciągu kilku sekund?!

I wtedy Smółka zawróciła, i bez pośpiechu pobiegła truchtem po skraju rowu wzdłuż zamkowego muru. Nieobecnym wzrokiem obserwowałam kobyłkę, dopóki ta nie wsparła się o kamienny występ zagrządzający drogę. Ani trochę się nie zmartwiwszy, Smółka obróciła się pyskiem do muru i... weszła

bezpośrednio w mur.

Rzuciłam się w ślad za koniem i zdążyłam tylko dostrzec szybko zamykającą się szczelinę. Nie namyślając się długo, wetknęłam w nią wyszarpięty w biegu miecz. Kamienne skrzydła ze szczękiem zamknęły się na ostrzu, za murem coś zachrząściło i z piskiem się urwało, ale miecz, zdaje się, wytrzymał. Napałam na rękojeść próbując odepchnąć sekretne drzwi. Pod palcami zrobiło się cieplej, mur zaczął powoli się rozstępować. Podepchnęłam nogą w szczelinę parę poniewierających się w pobliżu brukowców i gwałtownie wyrwawszy miecz czmychnęłam do środka. Kamienie długo nie utrzymały ukrytych drzwi — skrzydła głośno zeszyły się bezpośrednio za moimi plecami, prysnąwszy po nogach odłamkami z głazów.

Wstrzymawszy oddech, chwilkę postąpiłam w miejscu, przyzwyczajając się do ciemności. Od powoli wylaniających się z mroku ścian wiało chłodem i pleśnią. Skądś z przodu, dochodził daleki stukot kopyt, przesuwających się jak gdyby z lewej strony na prawo. Ale Smółka stała obok mnie, błyskając żółtymi oczami, jak kotka. Otaczał nas wąski, ale dość wysoki korytarz, w sam raz na rozmiar konia z jeźdźcem. Ze ścian wystawały puste obręcze na pochodnie.

Stukot ucichł. Skrzypnęły i natychmiast trzasnęły drzwi, wzdłuż ściany przemknął wystraszony szczur.

Zdecydowawszy się, pokazałam kobyłce przyciśnięty palec do warg i skradając się ruszyłam naprzód, wzdłuż korytarza. Wygląda na to, że korytarz ciągnął się pod całym zamkiem i wkrótce zrozumiałam, dlaczego nikt do tej pory nie był w stanie od nowa sporządzić dokładnego planu Kruczych Szponów.

Zamki były praktycznie dwa. W grubych murach pierwszego znajdował się drugi. Takie same korytarze, schody i cele (w większej części — bez drzwi albo ze zgniłymi, otwartymi szeroko na oścież skrzydłami), tylko wilgotne, nieoświetlone i nie otynkowane. Za to ze szkieletami, malowniczo przytwierdzonymi wzdłuż ścian, jak strażnicze psy na łańcuchach.

Ogarnął mnie lęk. Jak gdybym na chwilę wyszła z zamku, a wróciwszy, zastała go nieoczekiwanie wyludnionym i postarzałym o kilkaset lat. Prawda, drzwi były tu trochę mniejsze, a i pokoiki całkiem maleńkie. Prawdopodobnie, była to ostatnia linia obrony Kruczych Szponów — wiedząc gdzie się znajdują sekretne przejścia, rycerze mogli uprawiać partyzantkę w grubych murach zamku jeszcze długie lata po jego zdobyciu, ale z braku potrzeby, porzucili te korytarze i ze szczętem o nich zapomnieli. Może, sekret początkowo był znany tylko budowniczym i Fendulijowi, który próbował go zachować na czarną godzinę, a i tak zabrał go ze sobą do grobu...

I tu zza jednych drzwi doszły do mnie przyciszone głosy:

— Przecież zapewniłeś mnie, że wiedźma nie żyje!

— Tak, panie. Słyszałem jak zaczęła jęczeć i upadła na podłogę, a potem z pokoju przez całą godzinę nie dochodził żaden dźwięk. Dłużej podsłuchiwać było niebezpieczne — tam kręcił się ten przeklęty chłopak.

— Kto w takim razie według ciebie podpalił mojemu koniowi ogon?! Umarlak?

— Może Fendulij? — Nieśmiało przypuścił głos.

Pogardliwe prychnięcie dało do zrozumienia, że nie byłam osamotniona w swojej opinii na temat świętego. Pomilczawszy i czymś pobrzękawszy, „Pan” kontynuował:

— I podkusił mnie leszy pchać się w tę mgłę! Ale jak bardzo chciało się popatrzeć, jak ghyrowa wiedźma sterczała tam całą noc, jak wmurowana.

— I co, panie?

— A nic! Pobłądziłem na oślep, trawa za nogi się czepiała, kępy jakieś, na jednej o mało nogi nie złamałem... Ledwo się wydostałem, kompletnie nic nie widać! A ta przeklęta baba jak na zawołanie i szczeniak z nią. Jeśli nie odwróciłby jej uwagi, ubiłaby, jak amen w pacierzu! W każdym razie, mnie wystarczy. Niech nasz czarownik sam się za nią ugania, ja już mam po dziurki w nosie tej rudej paskudnicy!

— Sam żeś czarownik, — leniwie odezwał się trzeci głos. — Jestem obdarzony boskim darem, żeby czynić cuda na chwałę i rozkwit zakonu. Lepiej byś podziękował za amulety, bez nich ghyr byś się wczoraj wydostał z zamku!

— A co ja winny, że z okna się na mnie gapiła? Nie mogłem przecież na jej oczach ukrytych drzwi otwierać, wypadło za zamkowe mury pędzić, do zapasowego wejścia. Ledwo zdążyłem dać nurka w korytarz — jak przeleciała obok, do tej mgły. Nawet trucizna jej, rudej hwybu¹³, nie wzięła... a może, karczmarz spartaczył? Pieniążki chapnął, a w ostatnim momencie stchórzył?

— Przysięgał na bogów, że wsypał wszystko, do ostatniego ziarenka. Ale widocznie od jego pichcenia, wcześniej ją zemdlilo, zanim trucizna zdążyła wnikać...

— Ale wiedźma mogła coś podejrzewać. Karczmarz nie wygada się?

— Chyba, że przed nekromantą, — podle zachichotał „boski” czarownik. — Niech będzie, kończ i będziemy się rozchodzić. Wkrótce wiedźma obudzi szturchańcami śpiących strażników i znowu pobudzi cały zamek.

— A co ze staruszką?

— Zajmę się nią bliżej świtu, kiedy panika przycichnie i wszyscy rozejdą się po celach. Jak zwykle — zapukam, powiem, że mam ważną wiadomość,

¹³ **Hwyba** – słowo z języka trolli: baba, kobieta, dziewczyna

podsunę byle jaki zwitek, a kiedy on się obróci w stronę pochodni, żeby przeczytać — pchnę kindząłem i ucieknę przez tajemne przejście. Wiedźma poświadczy, że umarłak jest znowu w zamku,. Dobrze by było, żeby dzisiaj go zobaczył ktokolwiek jeszcze, ale nie będziemy ryzykować.

Zaskrzybiały krzesła i zdecydowałam, że dłużej tu tkwić nie warto. Oni zaraz się rozejdą — potem łap ich pojedynczo i udowadniaj, że się nie pomyliłam! Wątpliwe, żeby mag-samouk posiadał wystarczająco wysoki poziom, żeby się ze mną mierzyć. A z trzema przeciwnikami jakoś się uporam, chociaż i spocic się przyjdzie.

Chwyciwszy za pierścień u drzwi, z całych sił pociągnęłam je na siebie. Tak jak oczekiwałam, drzwi okazały się zamknięte od środka, ale zasuwa przeszła przez zmurszałe deski, jak nóż przez masło. Efektownie otworzyłam je na całą szerokość i zamarłam w progu, zakrztusiwszy się wstępną mową w stylu: „Co, nie spodziewaliście się?!”

W pokoju znajdowało się nie trzech, a dobry tuzin rycerzy! Jeden jak raz zdejmował z siebie zbroję z namalowanymi świecącą się farbą kośćmi, niedawno spotkany malarz, pośpiesznie zmywał farbę ze zbroi jak i z konia, z całkiem jeszcze dymiącym się ogonem. Smagły długowłosa brunet, przelotnie widziany przeze mnie w jadalni, leniwie przerzucał z ręki do ręki bojowy pulsar w trupio-zielonym kolorze. Był wśród nich i mistrz, który „złapał” mnie w Rozdrożu.

Rycerze oniemieli od takiej bezczelności, a ja ugodzona ich ilością. Przez pewien czas nikt nie podejmował żadnych działań, nawet koń przestał wierzgać i ze zdziwienia strzygł uszami.

Ze zmieszaniem kaszlnąwszy — niby to, wybaczcie, jeśli przeszkodziłam, wstąpię innym razem! — Zatrzasnęłam drzwi i przesunęłam zewnętrzną zasuwę we wpusty. Po krótkiej pauzie, wynikającej z obopólnego zaskoczenia, wybuchła tak burzliwa działalność, że żywo można ją było sobie wyobrazić po dźwiękach! Rycerze jednocześnie zerwali się z miejsc i kipiąc z oburzenia, całą masą szturmowali drzwi, wybiwszy je od pierwszego uderzenia, ale natychmiast je zakorkowawszy sprasowanymi ciałami. Kiedy oni, poszarpawszy się, wypadli na korytarz, zdążyłam już dobiec do krętych schodów. Niosące się w ślad za mną krzyki mało miały wspólnego z powitalnymi. „Gołymi rękami na części rozerwę zarazę!” — te było z nich najbardziej przyzwoite i humanitarne.

Schody ukrytego zamku zakręcały się dookoła zwykłych (nie na próżno zastanawiałam się, dlaczego gnomy zamknęły je w takiej masywnej obudowie?!). Okrążenia okazały się dwa razy szersze, odpowiednio przybyło i schodków. Gnomie zaklęcia działały i tu, jak i moje portale, tak, że udało mi się

niewiele oderwać od pogoni.

Ghyr go wie: czy też nie zauważyłam drzwi na drugie piętro, czy też schody, nieprzerwanie ciągnęły się do trzeciego, ale znalazłam się od razu na nim. Pokręciłam głową, wypatrując, czy nie można by czymś podeprzeć drzwi, ale zatrzymać się i bardziej dokładnie szukać nie zatrzymałam się, kontynuując bieg już do prostej.

Okazało się, że z krętych schodów skorzystała tylko część rycerzy. Pozostali rzucili się do zwykłych, trochę krótszych, i rozjuszoną gromadą wypadli na korytarz, na dziesięć sążni przede mną.

Nie zwlekając zawróciłam i pomknęłam z powrotem obok drzwi na kręte schody, skąd jak raz, ze stękaniem, na czworakach, wpełzały ofiary gnomiej architektury. Balansując mieczem w wystawionej ręce, z łoskotem przebiegłam się po ich opancerzonych plecach, do reszty rozpląszczywszy nieboraków na podłodze. Nad głową z ohydny, zjadliwym szelestem, przeleciał pulsar, rozpryskawszy się o ścianę. Kamienie, bezdźwięcznie się zagotowały, w dół od zagłębienia rozpełzło się kilka momentalnie zastygłych zacieków.

Nie zamierzając powtarzać dwukrotnie tej samej drogi, pośpiesznie skręciłam w najbliższy boczny korytarz, taki sam mroczny i zapleśniały, jak poprzedni. Zresztą, o nieprzeniknionej ciemności nie można było mówić — światło przesączało się do ukrytego zamku przez szpary między kamieniami, od tej strony wyglądające jak proste pęknięcia w rozeschniętej zaprawie. Naciągniętego przy podłodze sznura nie dostrzeżesz, ale i w ścianę z rozpędu nie wyrznieś.

Jak tylko przystosowałam się do panujących warunków pomknęłam w te pędy, gdy wtem, w poprzek korytarza przemknął ogromny biały ptak wyleciawszy bezpośrednio z ceglanego muru i w nim też zniknąwszy.

Gwałtownie zahamowałam. W tej samej sekundzie przed moim nosem harmonijnie gwizdnęło i uderzyło w przeciwległą ścianę około tuzina, długich samo strzelnych bełtów. Kilka sztuk usadowiło się w szparach między kamieniami, pozostałe odskoczyły, z brzękiem zasypując podłogę.

Otrząsnąwszy się z chwilowego odrętwienia, rzuciłam się dalej. Ta pułapka już rozbrojona i chyba za nią nie czeka na mnie druga, prawdopodobnie mogłabym się na taką nadziać w sąsiednim korytarzu. Gdyby nie ptaszek... stop, skąd się tu wziął ptak? Jeszcze jeden umarłak z nawykami przelatywania przez ściany? Albo po prostu magiczna pułapka, albo kusza, która przedwcześnie uległa zużyciu. Jak to trolle mówią, „i na popasie bez suszonego muchomora¹⁴ nie zrozumiesz o co chodzi”, tym bardziej w biegu...

¹⁴ **Suszony muchomor** – coś, co rozwiązuje trollom języki, jak alkohol ludziom

Chwilowo wyrzuciwszy ptaka z głowy, kontynuowałam swoją triumfalną ucieczkę. Co za leszy podkusił mnie pchać się w to gniazdo os?! „Staruszek” — to z pewnością Najwyższy Mistrz, czymś nie dogodził spiskowcom. Och, mój dumny łeb, byłoby znacznie prościej złapać ich na gorącym uczynku, urządziwszy zasadzkę w pokoju z rusalką! A teraz udawaj zająca, którego poproszono, aby popracował, jako naganiacz w obławie na wilki...

Wkrótce okazało się, że nie ja jedna całkowicie nie orientowałam się w tutejszych korytarzach. Prześladowcy, automatycznie podzielili się na pięcio-, sześćoosobowe grupy uganiające się po piętze, co jakiś czas, zderzające się ze mną lub z sobą nawzajem. W obu przypadkach spotkanie wywoływało szczere zdumienie, a dalej to jak popadło. Na razie udawało mi się wykręcać moralnym uszczerbkiem i parą prostych ciosów, zwalających rycerzy z nóg i dających mi krótkie odroczenie.

Ale wszystko, co dobre w końcu się kończy. Wliczając w to mnie. Gdy wyskoczyła na mnie trójka liderów: czarownik — mistrz — umarłak, moje rezerwy optymizmu, jak i magii, nieco się zmniejszyły. Rzucac zaklęcia na wyścigi z konkurentem przeszkadzali mi jego towarzysze, z radosnym wyciem, rzucające się na upragniony cel, tj. pożądaną łajdaczkę. Jeszcze jeden cios, niezbyt pomyślny, ale posyłający absolutnie żywego umarłaka pod nogi mistrzowi. Czarownik nagle wysunął do przodu prawą rękę, otwierając pięść. Przyjęłam pulsar na środek miecza, gotowa odrzucić rękojeść, jak tylko ostrze zacznie się topić, ale wytrzymało i zawibrowało, odrzuciło gniewnie iskrzącą się kulkę z powrotem. Czarownik rzucił się w kąt, pulsar zrobił bruzdę w kamieniu i odbiwszy się, potoczył się dalej, wzdłuż korytarza, eksplodując już gdzieś w jego końcu.

Drugi koniec korytarza był dwa kroki ode mnie, oddzielony jednymi, jedynymi drzwiami, za którymi widniały schodzące w ciemność stopnie. Po raz pierwszy w życiu pożałowałam, że jest ich tak mało — jakieś dwieście sztuk, a na zakąskę — jednolita ściana, o którą boleśnie stłukłam kolano.

Gorączkowo pomacałam wilgotne kamienie, wymacałam jakąś dźwignię, pociągnęłam, i część ściany, bezdźwięcznie odsunęła się na bok. Chłodny wiatr z taką radością rzucił się przez otwór, że ledwo nie zdmuchnął mnie po schodkach na dół. Uparcie pochyliwszy głowę, przekroczyłam próg i znalazłam się w centralnej wieży Kruczych Szponów. Ścian, jako takich tu nie było — ośmiokątny taras widokowy przypominał ogromną altanę: masywny dach, osiem kolumn i łącząca je barierka, na wysokość nie większą niż półtora arszyna. I filar ze schodami w centrum. Obok ukrytych drzwi, znajdowały się zwykłe, prowadzące do mieszkalnej części zamku, ale niestety zamknięte z

tamtej strony.

Cofnęłam się do barierki, spojrzałam w dół i spazmatycznie przełknęłam. Trzydzieści sążni, nie mniej. Na takiej wysokości nie pomoże nawet lewitacja, w najlepszym razie — na dole znajdzie się malowniczo rozplaszczony trup, a nie mokra plama na bruku.

Do wiatru dołączyły się rzadkie krople, padające pod skosem. Z południa na zamek nadciągała pierwsza w tym roku burza, która zaścieliła całe niebo kłębiącymi się obłokami i zachłannie rozdziawiła szkarłatną paszczę horyzontu z kłami-błyskawicami.

— Skacz, wiedźmo, — serdecznie poradził czarownik za moimi plecami. — Zapewniam cię, istnieją o wiele bardziej nieprzyjemne sposoby rozstania się z życiem!

Nie spiesząc się, włożyłam miecz do pochwy i lekko wskoczyłam na barierkę. Zachwiałam się, ale utrzymałam równowagę i nie śpiesząc się zrobiłam „jaskółkę”, obróciłam się twarzą do prześladowców, jak raz, tłoczących się w wieży, w pełnym, chociaż i w nieco uszkodzonym składzie.

— A pożegnać się, chociaż z nim mogę?

— Po co? — zmieszał się czarownik.

— Przed swą męczeńską śmiercią pragnę pomodlić się do świętego Fendulija, — wyjaśniłam, pokornie składając dłonie i wznosząc oczy do nieba. — Mam nadzieję, że nie odważycie się odmówić mi tej prośby?

— Odważymy się! — Jednym głosem ryknęli mistrz i czarownik, ale ich zagłuszyło przychylne mamrotanie pozostałych rycerzy.

— Módl się, wiedźmo! — polecił jeden z nich, opuszczając miecz. — Albowiem naszym świętym obowiązkiem jest — nie uśmiercić ciała wroga a zbawić jego duszę!

— O święty Fenduliju! — Zaintonowałam przejętym recitativo¹⁵, naśladując mistrza Tierena, który dawał takie świetnie występy przed pielgrzymami. — Usłysz swą niegodną córę, wspominającą ciebie tylko w godzinie trudów i prób! Przebacz mi! Byłam złą wiedźmą! To jest dobrą i dlatego przyniosłam wiele nieszczęść i cierpienia nic nie winnym ludziom, kusząc ich bogom wstrętnymi czarami i czyniąc za ich pomocą najrozmaitsze świństwa! Spędziłam życie na nikczemnych przestępstwach i grzesznych uciechach, ale teraz, w obliczu nieuchronnego końca, oglądam się za siebie, a

¹⁵ **Recytatyw** (*recitativo*) – pośredni rodzaj pomiędzy deklamacją a pieśnią (mówić, śpiewać recytatywem) <http://pl.wikipedia.org/wiki/Recytatyw>, <http://portalwiedzy.onet.pl/93679,...recitativo.haslo.html> <http://www.gutenberg.czyz.org/word,65193>

wstyd i ból rozdziera moje serce! Gdybym tylko mogła naprawić wyrządzone przez mnie zło! Modliłabym się przez całą dobę na okrągło, chodziła w łańchmanach z pokrzyw, żywiła się jedną lebiodą i biczowała wszystkie dostępne miejsca z rana i wieczora, a w święta — i po obiedzie!

Rycerze słuchali z wielką uwagą. Jeden z nich nawet przyklęknął na kolano żegnając się w rytm mojego przepojonego uczuciem zawodzenia. Zwłaszcza jeden wrażliwy chłopiec zacisnął miecz między kolanami, wyjął z rękawa kolczugi, ogromną kraciatą chusteczkę i zaczął głośno w nią łkać i smarkać.

— Idioci, przecież ona z was szydzi! — Nie wytrzymał, wrzasnął mistrz, wychodząc naprzód i zasłaniając im moją natchnioną sylwetkę. Nie zmieszawszy się, patetycznie wzniosłam ręce do nieba. — Żadnego Fendulija nie ma i nie było, i ona o tym doskonale wie!

— Jak to nie?! — Krzyknęłam, ogarnięta sprawiedliwym gniewem. — Bracia moi, czy słyszycie, co mówi ten człowiek?! Ośmielił się zwątpić w naszego świętego! W naszą duchową nadzieję i oparcie!

Rycerze z niezadowoleniem zaburczeli, obracając się do mistrza.

— Kogo słuchacie?! — Ten gwałtownie ochrypl, uświadomiwszy sobie, że dzieci nie żartują. — Nie, źle mnie zrozumieliście! Miałem na myśli, że Fendulija nigdy nie było dla tej wiedźmy, gdyż nie jest nawet godna wypowiadać jego świetlanego imienia, swoimi kłamliwymi ustami! Zabijcie ją!

Rycerze, ponownie obrócili się w moją stronę.

— O święty Fenduliju, Ty widzisz tę samowolę? Mnie, słabej kobiecie, nie pozwalają na szczerą skruchę mej duszy.

Chłopcy do reszty się spieszyli i plunąwszy na obie strony, wycofali się pod drzwi i zbili się w szepczącą między sobą kupkę, pozostawiając nam zrobienie porządku ze sobą nawzajem i z nieszczęsnym świętym.

— Kończ grać komedię, wiedźmo, — syknął mistrz przez zęby.

Z drugiej strony zbliżał się czarownik, znacząco rozprostowując palce. No tak, nie doceniłam jego „boskości”. Mag Żywiołów, takiego samego rodzaju jak ja, specjalizujący się tylko w powietrzu. Na zawodowca, co prawda nie wygląda, szybko bym się z nim rozprawiła jeden na jednego, ale czy te pochmurne dzieci będą obserwować nasz pojedynek z filozoficznym spokojem. A mistrz w ogóle zdążył podkraść się na długość miecza...

Jeszcze raz spojrzałam za barierkę. Poniżej nic nie było.

— Mistrzu, naprawdę przywlekliście mnie do tego zamku, tylko po to żeby popatrzeć, jak latam?

— Wykonywałem rozkaz głowy zakonu. — Rycerz skrzywił się, ale natychmiast jego twarz znowu zajaśniała: — Natomiast to — moja osobista

inicjatywa!

— No dobrze, nie podobam się panu, a pozostałych to za co?

— Za to samo. Wtykali nos w nie swoje sprawy i nie słuchali dobrych rad... póki nie było za późno.

— A panu, jak widzę, podoba się dawanie rad? A nie przyjemniej było by to robić w białej sutannie ze złotym krukiem, zawczasu zatroszczywszy się o innych pragnących ją przymierzyć?

— A widzisz, więdźmo... — Mistrz bez pośpiechu, ze smakiem wyjął zza pleców, swój dwuręczny miecz. Szeroko rozstawił nogi, wygodniej ujął rękojeść. — Jesteś nie tylko za natrętna, ale i za domyślna. A takie niestety długo nie żyją...

— Przypuszczam, że w istocie zobaczyliśmy już dość. — Spokojny, miękki głos rozległ się niczym uderzenie pioruna. — Schodź z parapetu, więdźmuszko, przeziębisz się!

Spiskowcy szybko się obejrzel, cofając się i rozstępując przed gęstą zaporą z wyszczerzonych mieczy. Jak najszybciej skorzystałam z uprzejmej propozycji Najwyższego Mistrza i zeskoczywszy na podłogę, oparłam się o kolumnę, wszystko to robiąc na jednym wydechu. Tiwalij, bez ceregieli, roztrąciwszy zapelniających plac rycerzy, rzucił się do mnie.

— Pani więdźmo, wszystko w porządku? Mój Bławatek nie nadażył za pani kobyłką, straciłem panią z oczu i pobiegłem prosto do Najwyższego Mistrza!

— Chłopak zawiadomił, że pani wyśledziła legowisko umarlaka, — potwierdził tenże, obracając się do mnie i tak dobrodusznie się uśmiechając, jakbyśmy jak dawniej rozmawiali w jego dobrze wyposażonej celi, a nie w przeszywanej przez wiatr i w całości obficie zalewanej przez deszcz wieży. — I pomyślałem, że nieduża pomoc dla pani nie zawadzi. Nie mogłem tylko przewidzieć, że umarlaków tu tak dużo... Jak mogłeś, Gies? Przecież sam rekomendowałem Cię do zakonu pięć lat temu...

Jeden z rycerzy spuścił wzrok, a potem i miecz.

— A ty, Torak? Czyż naprawdę roczne odroczenie w pasowaniu na rycerza było warte... tego?

Kraciasta chusteczka znowu została poddana okrutnej eksploatacji. Najwyższy mistrz w milczeniu wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej — przestraszone, zmieszane, nienawistne... nieczułe, jak u czarownika.

— Jeśli już naprawdę byliście tak niezadowoleni z mojego rządu, dlaczego nie przedstawiliście swoich pretensji osobiście mnie, podczas rady, gdzie oprócz mistrzów, każdy z braci może wypowiedzieć się swobodnie? Jeśli

oni mieliby słuszność, sam ani przez chwilę nie pozostawałbym na tym zaszczytnym, ale, niestety i nader odpowiedzialnym stanowisku. Wy zaś woleliście uderzyć w plecy — podle i skrycie, niegodnie prawdziwych rycerzy... i oto, co wam na to powiem: dopóki żyję, umarłak tym zakonem kierował nie będzie! Brać ich!

Rycerze towarzyszący mistrzowi posepnie zrobili krok na przód i wtedy czarownik nie wytrzymał, jednym długim zwierzęcym skokiem rzucił się do krawędzi tarasu. Pięciu-sześciu chłopaków zgodnie poderwało zabrane ze sobą kusze, trzy bełty z głuchym, mlaszczącym dźwiękiem trafiły cel, ale zatrzymać ich już nikt nie zdążył.

Rozstawiwszy ręce, mag zachwiał się, przechylił się przez barierkę i powoli runął na dół. Rzuciłam się, aby popatrzeć, ale w tej samej chwili nastąpiło takie oberwanie chmury, że przy brzegach tarasu jakby wyrosły białe ściany, a donośnie huczący grzmot mógł zagłuszyć nawet upadek z samej wieży.

Za to dźwięk, padających na podłogę mieczy usłyszałam bardzo wyraźnie. Tylko mistrz-odstępca, zamachnąwszy się, ze złością rzucił swój dwuręczny miecz przez barierkę i wyniośle skrzyżowawszy ręce na piersi, nie ruszał się z miejsca, dopóki dwóch ponurych rycerzy nie chwyciło go pod łokcie i bez zbytecznych ceremonii nie powlekło do wyjścia...

* * *

— Pani wiedźmo!

Obejrzałam się i przytrzymałam konia. Myszaty konik gnał klusem za nami, co sił na swoich krótkich, grubych nóżkach.

— Poczekajcie, odprowadzę panią przynajmniej do rozwidlenia! — Chłopak zrównał się ze mną. — Do zachodu słońca została mniej więcej godzina, dlaczego pani nie zgodziła się przenocować w zamku?

— A czy mnie ktokolwiek o to prosił?

— No...

Sceptycznie chrząknęłam, dotykając cugli. Tak, dziękczynna mowa Najwyższego Mistrza była wysokich lotów, rycerze grzecznie oddali cześć na kolanie, ale nie przestałam być od tego bogom wstrętną wiedźmą. Słowa słowami, a myśli myślami. Zresztą, a po co mi to potrzebne?

“... to powinno być ci lepiej wiadome, niż komukolwiek...”

— Głupstwo, w ciągu dnia wyspałam się, teraz przejadę się nocą traktem. A ty, czym się zajmowałeś?

Giermek tylko na to czekał, nie mógł usiedzieć w siodle od rozpierających go wieści:

— Spiskowcy przyznali się do wszystkiego. Najwyższy Mistrz z pomocnikami badają teraz drugi zamek... a dokładniej, ich żałosne krzyki już bitą godzinę dochodzą przez ścianę na trzecim piętrze, tak, że tam udał się drugi oddział, tym razem zaopatrzone w kłębek sznurka i kawałek kredy do stawiania znaków na rozwidleniach. Wyobrażacie sobie, że ukryte wejście pod murem otwierało się tylko pod ciężarem konia, który następował na przysypaną piaskiem płytę! Strażnicy codziennie chodzili do przodu i do tyłu, i niczego nie zauważali!

— Jego tak i nie znaleźli, — ni w pięć, ni w dziesięć powiedziałam, rozmyślając. — Trzydzieści sążni, równusieńka, pionowa ściana i brukowane podwórze u podnóża... Gdzież mógł zniknąć?! Nie lewitował i nie teleportował się — sprawdziłam. Wiatr też go w las nie zniósł...

Chłopak z poczuciem winy zamilkł, jak gdyby był główną osobą, materialnie odpowiedzialną na zamku i zaginiony trup płątał się u niego po rejestrach.

— A, ledwo nie zapomniałam. Dziękuję. — Wyjęłam miecz i, odwróciwszy go w rzucie rękojeścią do przodu, skierowałam do Tiwalija. — Wspaniała klinga. Chyba, najlepsza ze wszystkich, jakie trzymałam w ręku. Wyjaśnij mi tylko, skąd wiedziałeś, że pobiegnę właśnie na wieżę? A także, jak mnie znalazł święty Fendulij!

Giermek ledwo dostrzegalnie drgnął. Odczekawszy chwilę, ironicznie chrząknął, podnosząc na mnie wzrok:

— Zgadłem.

Kontur twarzy powiększył się, włosy wydłużyły się do poszerzających się ramion i lekko pojaśniały, nie utraciwszy intensywnego kasztanowego odcienia. I tylko spojrzenie zostało takie samo — zbyt poważne jak na wyrostka, a za szczerze i otwarte dla stojącego przede mną mężczyzny.

I w końcu zrozumiałam, kogo przypomniał mi wiszący w świątyni portret.

— Bardzo pani dziękuję, pani wiedźmo. — Rycerz uroczyście a zarazem naturalnie, jakby robił to setki razy, opadł na jedno kolano i delikatnie dotknął wargami, mojej bezwładnie zwisającej ręki.

Poczułam tylko słabe ciepło i znajome ukłucie magii.

— Oj... pan co, ten... jak pan tam... e-e-e... święty zmarły, oj, czyli Fendulij? — Wybelkotałam w oszołomieniu.

— Daleko mi do świętego. — Na wargach rycerza pojawił się lekki uśmiech. — Jak, zresztą, i pani. Ale to nie przeszkadza nam obojgu uczciwie

wykonywać swojej pracy, w co byśmy nie wierzyli.

— A ja — owszem. — Narastające oburzenie pomogło mi wziąć się w garść i przejść do ataku: — A to coś, pan spartaczył! Zamek — pana, zakon — pana, znaczy się, i umarłak także był pana! Po co mnie pan w tę sprawę wciągnął? Zakpił pan sobie z głupiej wiedźmy?!

— Niestety, ja mimo wszystko... — Rycerz przygryzł wargę powstrzymując gorzkawy uśmieszek. —... Święty, a nie umarłak. Nie mogę wtrącać się w wydarzenia tak radykalnie. Moją władzą mogę tylko z lekka na nie wpłynąć, nadawszy potrzebny kierunek.

— Zapropnowawszy wiedźmie tyle złota żeby nie była w stanie zrezygnować z nawijającej się w ręce chałtury? Zwabiwszy ją do jeziora i zmusiwszy do sterczenia tam bitą noc? Ustawicznie płacząc się pod nogami i przeszkadzając czarować? A ta pana idiotyczna magia, której ślady znajdowałam tylko tam, gdzie pan tego chciał? — Zacięłam się, przypomniawszy sobie, że poczułam ją i na flakonie z odtrutką. Ech, szkoda, nie pomyślałam żeby sprawdzić garderobę... — A może, pan i mojej kobyłce ukryte wejście pokazał? To możliwe — istotnie!

Rycerz położył rękę na grzywie myszatego konika... nie, siwo-jabłkowego¹⁶ bojowego ogiera, pieszczotliwie wsuwającego chrapy pod ramię właściciela.

— Przyznaję, nieco przesadziłem. Ale z „jeziorem” to pani przeholowała — od czasu do czasu powinienem wracać do niego, żeby odbudować siły. Z pani pogonią za umarłakiem to zbiegło się całkowicie przypadkowo. Gdybym nie zatrzymał waszej ręki i umarłak padł na miejscu, pozostali spiskowcy pozostaliby bezkarni i kontynuowaliby czynienie zła.

— Na tym świecie nawet świętym nie można wierzyć, — zaburczałam. — Tak i szukają okazji do gaszenia pożaru cudzymi rękami!

— Skandal! — Przytaknął rycerz. — Na tym świecie wiedźmy nie chcą przyczynić się do triumfu dobra nawet za sześćdziesiąt kładni.

Odruchowo dotknęłam dostatnio brzęczącej sakiewki. Wszystko to słuszne i prawdziwe, ale... jak, mnie, smarkatą adeptkę, owinął sobie dookoła palca jakiś Fendulij... jeszcze i butersznyt¹⁷ za darmochę zżarł! Zasepiłam się, tak i nie pogodziwszy się z tym faktem, ale wyczerpawszy wszystkie sprzeciwy.

— Niestety, ptasiego mleka za szkodliwość nie mogę pani dać, — kontynuował beczelnie święty, jakby czytając mi w myślach. — Ale, mam

¹⁶ **Maść srebrno-jabłkowa** - jest to maść „pozłacana” bułana lub jabłkowa. W jabłkowej, koń prawie niczym się nie różni. Jest to rozjaśniona maść jabłkowa, koń ma bursztynowe oczy, a w słońcu wydaje się, że błyszczy. W bułanej srebrnej, koń ma czarny grzbiet, czarne skarpetki i chrapy. Tułów jest ciemnym kolorem bułanym. Tak jak w jabłkowej wydaje się, że błyszczy w słońcu.

¹⁷ **Butersznyt** – dawniej kanapka (kromka chleba lub bułki z masłem i plasterkiem mięsa lub sera)

nadzieję, że ten skromny prezent, chociaż w niewielkim stopniu odkupi moją winę?

Nie zdążyłam zapytać, jaki właściwie, gdyż rycerz lekko wskoczył na konia. Pozdrowił mnie podniesioną ręką, ledwie dostrzegalnym ruchem kolan posyłając ogiera w parów i ten bezdźwięcznie pobiegł truchtem w dół, po łagodnie pochylonym zboczu. Mgła szybko pochłonęła jeźdźca i już stamtąd dobiegł do mnie drżący od śmiechu głos:

— A modli się pani lepiej, aniżeli czaruje! Może jednak, pomyśli pani o karierze kaznodziejki?

Ponuro pokazałam mgłę figę i w tej samej chwili biaława mgielka zaczęła niknąć, osiadając i prześwietlając się w oczach. Po upływie paru minut nie zostało po niej ani śladu, jak i nie zostało śladów po kopytach złudnego ogiera.

Pośrodku parowu wznosił się trawiasty pagórek — prawie niedostrzegalny gdyby nie sterczący z niego miecz.

Powoli podeszłam, przebiegłam palcami po rzemykach na rękojeści, jeszcze zachowującej lekkie ciepło. Wtedy zdecydowałam się, zacisnęłam dłoń i miecz, jakby żywy, zaczął sunąć w górę. Pod krzyżakiem ostrze zmatowiało, ale zagłębiona w ziemię część jaskrawo błyszczała w świetle księżyca, jak gdyby tylko co została wypolerowana.

Znak w postaci srebrnej pajęczyny mrugnął i splótł się na nowo. Kruka zastąpił pulsar o sześciu ramionach, dwie runy zamieniły się miejscami.

Uśmiechnęłam się i nie dbając o bezpieczeństwo, przerzuciłam miecz za plecy, za pierwszym razem trafiając do pochwy. „I będzie on amuletem w ręce go trzymającej!”

* * *

CZEŚĆ DRUGA

Urlopowe tułaczki

Smok — to nie tylko cenna skóra, ale i dwa, trzy pudy wysokiej jakości kłów!

Metodyka po ziólkach

Topielec, płynnie unosił się na maleńkich falach, osiadłszy na dryfującym drewnie na płyciźnie, znajdującej się dziesięć sążni od brzegu.

— Trza wyciągnąć, — któryś już raz, niepewnie powtórzył Gdyń, drapiąc się po płowowłosym czubku głowy.

W kolczudze było bardzo gorąco, ale emerytowany setnik uparcie nosił ją nawet w nużące, letnie południe, żeby ludzie pochodzący z tej samej wsi, nie zapomnieli, kto wśród nich jest głównym wojakiem. Ci i nie zapominali, ale cichaczem się podśmiewali.

— Ano trza, — jak echo powtórzył starosta, wysoki, kościsty mężczyzna, mimo poważnego wieku z czarnymi jak węgiel włosami i brodą. Gdyń z przyzwyczajenia słuchał jednym uchem, rzucając trafne repliki, żeby tylko ten się odczepił.

— I to jak najszybciej, — zmierzał do swego Gdyń, przestępując z nogi na nogę, dokładniej, na obciosane drewnienko, zastępujące lewą goleń. — Wiatr się zerwie, wtenczas fala odpędzi go od brzegu i fiuuu!

— No i niechaj sobie robi fiuuuu, — cynicznie powiedział basem barczysty dryblas w czerwonej koszuli i powalanych przez obornik spodniach. — Dla niego to już bez różnicy, a nam także na nic się nie przyda, gdziekolwiek by nie przybił to tam, miejscowi zakopią.

— A ty skąd możesz wiedzieć, że się nie przyda? — Aż podskoczył setnik, wyszukując wzrokiem aroganta. — Sam myśl, co chcesz a za wszystkich nie mów!

— A oto i ona, łódeczka na brzegu, — kąśliwie zauważył dryblas. — Siadaj i wiosłuj, mogę cię i odepchnąć, żebyś prędzej odpłynął!

Gdyń umilkł niechętnie, obawiając się, żeby rzeczywiście nie powierzono mu tej społecznie pożytecznej pracy.

Dziewięć par oczu kontynuowało pochmurnie, zachwycanie się niedostępną płycizną.

— Nie, nie odpędzi, — autorytatywnie oświadczył kowal, opuszczając obśliniony palec i wycierając go o połę koszuli. — Przeciwnie, jeszcze dalej na dryfującym drewnie zniesie. A dziś dzionek upalny, na wieczór zapaszek się rozejdzie... i wiatr jest w stronę wsi...

Prawdę mówiąc, jakaś podejrzana woń miała miejsce już teraz. Niestety, wyciąganie topielców z naturalnych zbiorników wodnych nie wchodziło w poczet ulubionych zajęć nikogo z obecnych. Tym bardziej z tego konkretnego zbiornika wody — szerokiej rzeki o prozaicznej nazwie Pstrąg. Na brzegach o łagodnym spadku, płynnie przechodzących w zalewane łąki, kołysała się wypłowiała od słońca trawa, gdzieniegdzie zieleniły się niskie szuwary, po płyciźnie, stadkami śmigał narybek, a w górze krążyły meszki. Ale ani jednego kąpiącego się, praczki, rybaka albo przynajmniej chlapiących się przy brzegu gęsi.

Niestety, nawet dziewięć patrzących osób nie zastąpi tej jednej, co by wyciągnęła trupa. Topielec kontynuował beztróskie opalanie się na płyciźnie i ani myślał wiosłować na spotkanie komitetu, bardzo zmartwionego tą okolicznością.

— A oto wiedźma traktem jedzie, — zauważył ktoś. — Może ją poprosić?

Idea wyciągania trupa cudzymi rękami przypadła wszystkim do gustu. Poszeptawszy między sobą, na pertraktacje posłali starostę w parze z Gdyniem. Pierwszego — właściwie do rozmowy, drugiego — żeby, chociaż na krótko się od niego uwolnić (według oficjalnej wersji — dla moralnego wsparcia).

Czarna kobyłka wlokła się noga za nogą i wieśniacy zdążyli wyskoczyć na trakt przed samą jej mordą. Wzajemnej radości ze spotkania nie było: oburzony koń zgrzytnął kłami nie gorzej od wilka, ledwo nie obciachawszy nosa staroście. Drzemiąca w siodle wiedźma natychmiast się ocknęła i ze zdumieniem powiodła szarymi, zaspanymi oczyma po mężczyznach.

„Zupełnie młodziutka, — ze zdziwieniem zaznaczył Gdyń. — Pewnie i trzeciego tuzina nie zaczęła. Chociaż kto je, tam wiedźmy zrozumie — może ziółek swoich się nałykała i od razu o połowę odmłodziła. Ubrana przeciętnie, jak to w podróży, miecz, sądząc po rękojeści, całkiem prosty. Długie, rude włosy niedbale spływały na ramiona, grzywka zapleciona w dwa cienkie

warkoczyki, założone za uszy.”

— A to dziś wypadł miły dzionek, pani wieźmo, — od pochlebstwa zaczął starosta. — Prawdziwa łaska, czego i pani z całej duszy życzę. Pani nam z utopielczykiem nie pomoże?

— Kogo topić? — Spokojnie zainteresowała się dziewczyna.

Gdyń na wszelki wypadek się cofnął, ale starosta dostrzegł, jak leciutko drżą w uśmiechu kąciki ust, umalowane srebrzystą elfią szminką i już śmieiej kontynuował:

— Akurat już jednego mamy, może racycie go do brzegu podpędzić?

Wiedźmuszka przymrużyła oczy, przypatrując się zgromadzonym nad rzeką ludziom i obiektowi ich ogólnego zainteresowania. Ze zdziwieniem, ale na znak zgody wzruszyła ramionami i w milczeniu ruszyła cugłami.

Kobyłka nie śpiesząc się, pobiegła truchtem do brzegu. W odróżnieniu od wiejskich szkap nienawykłych załatwiać formalności na płyciźnie, jej bynajmniej to nie peszyło — wręcz przeciwnie, powąchała, oblizała się i pochyliwszy głowę, łapczywie przypadła do wody.

Właścicielka kobyłki pogłaskała ją po kłębie i z niej zsiadła.

— A po co on wam, szanowny?

— Zgodzicie się, — uparcie powtórzył Gdyń, tak jak poprzednio trzymając się w oddaleniu - tak od wieźmy, jak i od wody.

* * *

W butach driad można było śmiało wejść do wody po kolana, ale nie bezpodstawnie obawiałam się, że zrobiwszy jeszcze jeden krok, wpadnę tam razem z głową. Pstrąg — to płytka, ale zdradliwa rzeka, obfitująca w wiry. Jeden z nich jak raz stykał się z samym brzegiem, rozmyta ciemna plama ostro wyróżniała się na tle, ogólnego przejrzystego błękitu i tu, i ówdzie prześwitującymi przez wodę pniakami.

Zaparłszy się wygodnie nogami na samym skraju brzegu, wyciągnęłam rękę i zrobiłam kolisty ruch dłonią, jakbym nawijała na nią sznur. Trup poruszył się i zaczął powoli spływać z płycizny. Tłum z zachwyty zasapał. Ciekawe, co oni z nim będą robić?! Zepchnęliby w bystrzynę — no i było by po sprawie. A może się boją, że sąsiedzi mieszkający w dole rzeki, odbiorą splawionego do nich trupa, jako osobistą obrazę?

Tymczasem wyżej wymieniony majestatycznie dryfował do brzegu. Opuściłam rękę, usiadłam w kucki i za drugim podejściem, zaczepiałam głowę za brzeżek lewego rogu. Podciągnęłam bliżej, złapałam za prawy i

przygotowałam się do końcowego szarpnięcia, ale wtedy woda wzburzyła się i topielec prawie całkowicie — z wyjątkiem łba — zniknął w zębatej paszczy, płynnie przechodzącej w czarny śliski tułów. Maleńkie, czerwone, głęboko osadzone oczka wwiercały się we mnie nieczułym spojrzeniem.

Okazało się, że od niespodzianki ludzie nie tylko drętwieją, ale się i rozzuchwalają. Tym bardziej, że paszcza u potwora była zajęta, a łap czy też macek wcale nie dawało się zauważyć.

— Poszła precz, gadzino jedna! — ryknęłam złowieszczo, zapierając się obcasami w piasku.

Potwór zasapał z oburzeniem i mocniej ścisnął szczęki, przegryzłszy cienką szyję u zdobyczy. Po czym, zadowolony zniknął pod wodą, a ja z głową w objęciach, koziółkując, potoczyłam się po ziemi. Plusnąwszy mściwie ogonem, ochlapał mnie wodą aż po czubek głowy, na którym malowniczo zawisło pasmo, czarnych poplątanych wodorostów.

— Co to takiego było?! — oszołomiona wypuściłam powietrze, patrząc na rozchodzące się po wodzie kręgi.

To dziwne, ale wieśniacy ani myśleli oddawać się panice. Na widok stworzenia cofnęli się zaledwie o kilka kroków od wody, żeby nie zostać ochlapanymi razem ze mną i teraz skręcali się ze śmiechu przyglądając się przemoczonej na wskroś wiedźmie, i jej zdobytemu w boju trofeum.

— A tak, żyje w tej zatoce jakieś, — filozoficznie zauważył starosta. Pomyślał i dodał: — Mocno nie napastliwe, tylko nerwowe troszeczkę i czarów nie lubi. Rozmyślnie pewnie spałaszowało, żeby pani nie przypadło w udziale. Tak, więc ono tak w ogóle to padliny nie żre, większymi ptakami się trudni...

Straciłam oddech z oburzenia:

— Co uprzedzić trudno było?!

— A na co tam uprzedzać? — Z opóźnieniem zdobył się na odwagę, płowowłosa mężczyzna w kolczudze. — Za dnia ono w wirze przy brzegu siedzi, nikogo nie rusza, jednakże łodzi nie lubi, a wpływ — rozbierać się nikt nie miał ochoty, pijawek tu niezliczona ilość. Koziół był znamienity, zdrowiuteńki, szkoda było zostawiać. Patrzysz na niego i myślisz, że może przydałby się...

— Przydał się, mówisz? — podniósłszy się jakoś, z rozdrażnieniem wepchnęłam mu w objęcia czarny, rogaty łeb. — Tak zabieraj sobie na zapasowy! W niczym nie będzie gorszy!

Zawróciwszy się, szarpnęłam ostro za cugle, złośliwie szczerzącą zęby kobyłkę i powlekłam ją w zarośla z wikliny. W ślad za mną poleciały zdławione śmiechy.

— Nie odjechała, — tajemniczo zawiadomił Gdyń, bez pozwolenia chwytając za uszko drugiego kufła obficie ociekającego pianą. — Poszła w krzaki odzienie wyzymać, a kobyłka, paskudztwo jakieś, stanęła w poprzek drogi — ani przejść, ani przejechać!

— Która to droga — na Pad czy na Krukowiec? — Naiwnie uściślił karczmarz, nie zapominając zresztą kliknąć kostkami liczydła.

— W krzaki! — Gdyń nabrał z miski garść solonych sucharków i zaczął po jednym wrzucać do ust, jak ziarenka. Czujny karczmarz jeszcze raz kliknął w liczydła. — Powiadają, że każda wiedźma ma z tyłu ma-a-achający się ogonek, ot, popatrzyłoby się.

— Tylko kobyłka jego samego za tyłek capnęła, — chichocząc dodał starosta, przypadając do swojego kufelka. Karczmarz tylko westchnął — w wsi starostę szanowano i trochę się go bano. Zresztą, ten nie nadużywał swojej pozycji i chociaż zachodził codziennie, na drugi kufelek nigdy się nie skusił. — Nie ugryzła, raczej, przytrzymała odrobinę. Żebyś sam się z krzykiem nie wyrywał, może i ocaliłbyś spodnie...

— A potem wyszła — aż usiedliśmy z wrażenia! — Kontynuował nieco zmieszany Gdyń, starając się trzymać prosto plecy. — Odzienie suchutkie, jak gdyby z godzinę na słońcu wisiało, długie włosy nastroszone, a sama ponura, jak teściowa, co o trzeciej nad ranem, z żeliwnym uchwytem do patelni zięcia ukochanego na progu czeka. „Gdzie tu, — pyta — karczma jest?” Tak, więc jej na „Smocze legowisko” i skinęliśmy głową. Jeszcze i o twojej karczmie słóweczko szepnęliśmy... chociaż i nie należało, — zasepiwszy się, dodał były setnik, po bezwzględnym kliknięciu cofając rękę od trzeciego kufelka.

Karczmarz, flegmatycznie przesunął kosteczkę z powrotem. W „Rybaku i Piwku” i bez wiedźmy interes nieźle się kręcił. Prawda, duszny kołosieński¹⁸ upał nieco zmniejszył apetyt bywalcom, za to wzmógł pragnienie. Żeby drogocenny płyn nie wyparował z kufelków jeszcze w czasie drogi na stoły, dwa tygodnie temu karczmarz zaradnie przeniósł swój interes na dół, do przestronnej piwnicy. I chociaż tam czuć było mocno kiszonymi ogórkami, to panował upragniony chłód, a piwo można było nalewać prosto z ogromnej beczki, w której leżakowało od wiosny. Tak, że wdzięczni klienci pili i jednocześnie zawąchivali się, doskonale obchodząc się bez zakąski.

Po stromych stopniach ktoś pewnie stapał w butach driad. Miejscowe modnisie celowo umieszczały na nich głośnie stalowe podkówki, ale gospodyni

¹⁸ **Kołosień** — drugi letni miesiąc w języku belorskim [przypis Olgi Gromyko]

tej pary wołała nie ściągać na siebie zbytnej uwagi. A i tak nie mogła narzekać na jej brak.

— Na lekkie wspomnienie, — wtykając nos w swój kufel, półgłosem stwierdził wcześniej milczący dryblas w czerwonej koszuli.

— Też mi wiedźma! — z rozczarowaniem chrząknął karczmarz, oglądając delikatną kobiecą figurę, prześlizgującą się wzdłuż ścianki do odległego stolika. Gdyń, skorzystawszy z chwili nieuwagi, chwycił jeszcze parę sucharków i szybko wepchnął do gęby. — Zdejmuje urok, wiesz za uszy! Co będzie to będzie, pójdę i obsłużę.

Karczmarz, ku wielkiemu niezadowoleniu Gdynia, zebrał na tacę wszystkie napełnione kufle, w środek wetknął sucharki i bez pośpiechu poszedł do nowej klientki, po drodze obchodząc i częstując starych.

* * *

Dlaczego nie mogę mieć urlopu, jak wszyscy normalni ludzie i nieludzie?! Oczywiście, nikt nie zmusza mnie do pracy od świtu do nocy, ale czy nie warto byłoby się zbuntować i upatrzwszy sobie jakieś sympatyczne miejsce, z zapalem przystąpić do odpoczynku, jak od razu zaczyna się: „Oj, pani wiedźmo, jak już w nasze progi zawitaliście, czy nie posiedzielibyście nocki w tym wąwozie? Ojej, do tego tam lecznicze powietrze — lepsze, niż na uzdrowiających Okmeńskich Bagnach, jednocześnie i tamtejsze upiory po pokrzywie poganiacie, a to już trzech ludzi zagryzły na śmierć, bezecniki jedne”!

I ja, nieuchylająca się od pracy, bezapelacyjna idiotka, uzdrawiam się — to pokrzywą, to mułem, to najświeższym grobem pośrodku żalnika¹⁹...

Ponuro podparłam policzek dłonią, oczekując na zamówiony chłodnik na zakwasie²⁰ — przy takim upale nic innego przez gardło nie przechodziło. Udać się do pustelni, czy co? Tylko i tam nie ma pewności, że nie dotrze do mnie jakiś zaradny wieśniak, przypoehlebnie ugadując „z wilkołakiem odrobinę pomóc, tutaj całkiem obok, tuż tuż, i dwudziestu wiorst nie będzie”... A może powinnam pogodzić się z myślą, że nieosiągalność mojego urlopu konkuruje tylko z takimi anomaliami jak niewidzialność uszu czy nie gryzący łokieć, i znowu ruszać na trakt, a wtedy pracodawców jakby wiatr zdmuchnął! Jeszcze i podśmiewają się zza płotu: a wiedźma to nie ma innych zajęć niż podróżowanie w taki upał?

¹⁹ Żalnik – po staropolsku cmentarz

²⁰ Chłodnik na zakwasie - chłodnika na bazie kwasu chlebowego

Podając na stół, karczmarz nie wytrzymał i pochyliwszy się do mnie, szepnął dławiąc się ze śmiechu:

— Powiadają, że pani dzisiaj miała znakomity połów?

Tylko pogardliwie prychnęłam. Zapamiętajcie: bezinteresowne czynienie dobrych uczynków jest szkodliwe dla zdrowia. I twierdzę to wcale nie dlatego, że jestem taka chciwa i zła, a po prostu dlatego, że z doświadczenia wiem — bezpłatnych przysług ludzie nie cenią. Otóż, jeśli bym zażądała za tego, ghyrowego kozła, chociaż by jedną srebrną monetę, trzy razy zastanowiliby się, czy potrzebny on im czy też nie!

— Rzeczywiście, — odpowiedziałam powoli i patrząc na chłopca z wiele znaczącym przymrużeniem oka, dodałam: — Mam dzisiaj po prostu zadziwiające szczęście do kozłów!

Ten migiem starł z twarzy złośliwy uśmiech i kaszlnąwszy ze zmieszaniem, pośpiesznie wrócił za bar.

Ale spokojnie zjeść mi jednak nie dano. Nie zdążyłam rozmieszać wysepki śmietany, samotnie dryfującej wśród szczypiorku, pietruszki i desperacko pluskającej się muchy, jak kątem oka uchwyciłam w połowie pustej karczmie jakieś ożywienie i podniosłam głowę.

W kierunku mojego stołu przemieszczała się znajoma trójca z grona amatorów zdechłych kozłów: opanowany starosta, kędzierzawy chłop typu „barczysty kawał durnia” o kaczkowatym chodzie z rękami w kieszeniach i jednonogi płowowłosy facet w kolczudze setnika, ale bez odznaki legionisty. Doszli, ustawili się w rzędzie i poszturchawszy się nawzajem łokciami, pozostawili rozmowę staroście.

— Pani wiedźmo! — Chłop zastanowił się i ściągnął czapkę. — My tego... chcieliśmy pani podziękować. Nie każdy swojak nam by tak chętnie i bezinteresownie pomógł, a pani, człowiek obcy, nie wzgardziła. A to przy tym, sama do tego blada, chuda i mizerna, że po prostu żal serce ścisnąć!

Wyłowiona mucha znowu chlapnęła do miski razem z łyżką. Utkwiłam wzrok w staroście, nie wierząc własnym uszom. Co do bladej i chudej, oczywiście, można się było pospierać, gdyż bez przerwy świecące od traworoda²¹ słońce sumiennie zamalowało wszystkie narażone na nie miejsca, a ze swej figury byłam bardziej niż nawet zadowolona. Ale dyskutować z nim w żadnym wypadku nie zamierzałam, zadowolona z schlebającego współczucia w głosie rozmówcy.

— Otóż chcieliśmy pani zaproponować, — starosta, natchniony moim przychylnym pochrząkiwaniem, ponownie naciągnął czapkę i przysiadł się na

²¹ **Traworod** — maj w języku belorskim [przypis Olgi Gromyko]

sąsiednie krzesło, — pożylibyście u nas we wsi z tydzień, odprężyli się: do lasu na jagody pochodzili, poopalali się, na połów ryb popłynęli — jak raz łódeczkę na nowo uszczelniłem, korzystajcie kiedy tylko chcecie, mnie nie szkoda. Stołować się możecie tu, ja karczmarzowi słoweczko szepnę, żeby pani jak bywalcowi liczył.

„A dlaczego by i nie? — Przyszło mi do głowy, że to podniosłoby mnie na duchu. Okolica tu malownicza, pogoda doskonała, a łowić ryby od dzieciństwa lubię. I ludzie tacy mili, serdeczni — troszczą się o całkowicie nieznaną kobietę, i do tego jeszcze wiedźmę!”

— Mamy tutaj wyspę pośrodku rzeki, — nie przestawał kusić starosta, — a na niej ruiny pustelni. Powiadają, że wcześniej żyli tam dajnowie, którzy odseparowali się w pustelni od doczesnych spraw. Kto na zawsze, a kto tak, na tydzień odetchnąć i z nowymi siłami w tę marność ponownie się zanurzyć. Modlili się po trochu, rybkę łowili, ogródek swój uprawiali, bojowe sztuki studiowali, żeby, znaczy się, nie tylko kadzidłem na biesa nasienie pomachać, ale i rękami-nogami słuszność podkreślić. I jeśli zaszła potrzeba, dla miejscowych ludzi, odprawiali tam nabożeństwa nad trumną, udzielali ślubów czy to spowiadali. Z chorób położeniem rąk leczyli, a patrząc w oczy — i od niepłodności... Wszystko było by dobrze, gdyby nie załagał się w Wąwozie Mariny — pustkowiu porożytym wądołami, pięć wiorst na północ — smok, a na wyspę do wodopoju latać się przyzwyczaił. Rudy, potężny, całe podwórce cieniem nakrywał, no i prowadził się przepisowo: wypieś — przekąś! To w jednej wsi owcę połknął, to w drugiej krowie skrzydła przyprawił. Chłopi już i pałki na niego przygotowali i wszyscy w żaden sposób do tego Wąwozu wybrać się nie mogli: to sianie, to żniwa, to strach. Ociągali się i ociągali, dopóki smok kozą dajnow się nie pożywił i nad ichnią świątynią przelatując, z góry nie napaskudził. Wtedy już pustelnicy się za niego wzięli; szkoda tylko, że nie znaleźli wolnej chwili, żeby się nas poradzić, żywo byśmy im wyjaśnili, dlaczego właśnie na pustkowie maszerować trzeba, a nie czekać, dopóki on do nich przyjdzie raczy. Z początku oni pomodlili się za smoka, zażyczyli mu różnych chorób, wewnętrznych i zewnętrznych, ale gad z całej listy tylko kichnął na nich, znalazłszy wolną chwilę. Zobaczyli dajny, że nie pokona smoka święte słowo i dawaj go z łuków zawstydzaj! Ten najpierw we wstydzie się upierał, nad wyspą krążył i ogniem pluł, a potem doznał skruchy, jednak zdechł i prosto na pustelnię runął. Czego wcześniej nie spalił, to połamał i swoim odkarmionym ciałem rozgniótł na amen. Tak, więc pustelnicy zdecydowali, że łatwiej im nową pustelnię wybudować, niż tą spod smoka wydobywać. Tym bardziej, że był on nieco większy od kozła, w ciągu pół godziny go nie

zakopiesz, a te lato przykładowie gorące było. Zgarnęli, znaczy się dajny, dobytek swój prosty, rozsiedli się po łódeczkach, pobłogosławili wszystkich w pośpiechu z tamtego brzegu i na wiosła szybciej naparli, dlatego jak nasi chłopcy taką sprawę zobaczyli, również dulkami²² zaskrzypieli. Do Rusałkowego Nurtu odprowadzili, słowami wszelakimi chcieli pożegnać, a i tak nie dogonili. Nie na próżno widać, pustelnicy każdego ranka naokoło pustelni biegali i po kamieniu dziesięciofuntowym każdą ręką wyciskali... No a smok, wiadoma sprawa, na świeżym powietrzu długo przechowywać się nie chciał i dawaj na znak protestu najbardziej powietrze psuć. Długo, z miesiąc... od tamtej pory naszą wieś Zaduchowieje wołają, wcześniej to ją Wędziskiem nazywano... Ta sprawa to przeszłość, a dziś tam raj nie do opisania! Cisza, nikt nie niepokoi, ptaszki śpiewają, ryby biorą przy brzegu jak wściekle, jednocześnie i smoczych kłów na swój napój na wrywać będziecie mogli. No to jak? Zostajecie?

Przybrałam taki wyraz twarzy, jakbym się zastanawiała, chociaż najbardziej chciałam z radosnym piskiem rzucić się staroście na szyję i zamasyżować go w oba policzki. Zdarza się, takie szczęście! Upragniona pustelnia i jeszcze na wyspie, z osobliwością w rodzaju smoka!

Z trudem wytrzymawszy chwilkę dla przyzwoitości, uśmiechnęłam się i kiwnęłam:

— Cóż, dziękuję za propozycję — przyjmuję z wdzięcznością!

— Doskonale! — Rozpromienił się starosta. — Jednocześnie i sprawdzicie, co tam po nocach tak wyje i huczy, że aż spokoju uczciwym ludziom nie daje!

Jęknęłam i złapałam się rękoma za głowę.

* * *

— Stchórzyła, pewnie, wiedźma, — po długim milczeniu powiedział basem kawał chłopca, z obawą obmacując czubek głowy. Czub już się nie dymił, ale spalenizną jeszcze zalatywało.

— A po co było mleć jęzorem po próżnicy — Starosta podniósł z ziemi, z opóźnieniem wyrzuconą z karczmy czapkę. Powoli i dokładnie otrzepał ją z kurzu używając do tego łokcia. — No powiedziałem jej, że w takim razie, to ona nie nadaje się na wiedźmę, ale jednym słowem... a pokazywania, co jeszcze oprócz wyciągania kozła umie, nie prosiłem!

— Baba, jak z niej kpisz... — Smutno przytaknął Gdyń, opierając się łokciami o płot. Na wszelki wypadek — stając po przeciwnej stronie karczmy, żeby móc szybciotko się za nim ukryć przed rozgniewaną wiedźmą.

²² **Dulka** - metalowe oparcie dla wiosła. Rodzaj przegubu umieszczonego w nadburciu.

Przyjaciele postali jeszcze troszeczkę, poplotkowali, z obawą zezując na otwarte szeroko drzwi, ale wrócić do karczmy tak się i nie zdecydowali. Jak zresztą i rozejść się do domów...

* * *

Przekąsiwszy i ochłonąwszy w zimnym półmroku piwnicy, uspokoiłam się i nawet zachichotałam nad pechowymi „współczującymi ludźmi”. Ot cholerniki! Nie można było uczciwie powiedzieć: niby, że tak i tak, na środku pobliskiego jeziora ma miejsce jakaś dźwiękowa anomalia, od której chcielibyśmy się uwolnić przy pomocy wynajętego mistrza praktycznej magii z późniejszą wypłatą, uzgodnionej wcześniej sumy. Bo ja nie mam niedobrego zwyczaju „za jednym zamachem” przetrząsać wyjące po nocach wyspy. A mając w pamięci żalosne doświadczenie z wyciągania kozła — tym bardziej. Może tam ktoś po nocach bimber pędzi, a starosta dla żartu zdecydował się napuścić mnie na miejscowych pijaków, żeby wyrzekli się nadużywania napitku?

A przyroda tutaj rzeczywiście wspaniała — naprzeciwno wsi, Pstrąg rozlewa się do rozmiarów niedużego jeziora, prawda, płytkiego i mulistego, ale dość okazałego. Na tym brzegu ciemnieje świerkowy bór, zaraz za nim gęste zarośla osławionej wyspy. We wsi jest parę sklepików i jeżeli zatrzymam się w Zaduchowiejach na trzy, cztery dzionki, miejscowy krawiec zdąży uszyć mi nową kurtkę. W taki upał, prawda, nawet myśleć o niej jest wstrętne, ale trzeba. Niedawno obejrzałam starą kurtkę pod światło i, zobaczywszy obficie prześwitujące się przez nią światło, ponownie już nie włożyłam, ofiarowując ją dołowi kloaczemu (żebracy oceniliby podobną jałmużnę, jako szyderstwo). Lato zaś bywa w Belorii bardzo zdradliwe — teraz upał, a za pół godziny deszcz, tak że bez kurtki w żaden sposób nie można się obejść.

A i ziółka się pokończyły, trzeba popytać, czy nie ma w okolicy zielarza i dokonać zakupów. Niektórych eliksirów nie można długo przechowywać, a kosztują sporo, dlatego robi się je tylko na zamówienie i niekiedy zabiera to nie mniej czasu, niż uszycie kurtki. Oczywiście, jakiś napój mogę sporządzić i sama, ale za skutek, uczciwie się przyznaję, nie rękę. Jak i zielarz nie zaręczy za wynik starcia z upiorem, chociaż oboje dumnie zwiemy się dyplomowanymi magami.

Na razie moje rzeczy znajdowały się w jednym z pokoików „Smoczego legowiska”, a koń konsekwentnie pałaszował owies w stajni tej wątpliwej instytucji w rzeczywistości bardziej przypominającej legowisko niż karczmę — przy czym niedźwiedzia, gdyż za nocleg tam obdzierano ze skóry. Dobrze

byłoby znaleźć tańsze miejsce, czystsze i bardziej zaciszne — powiedzmy, chatkę jakiejś samotnej babki, koniecznie na uboczu i przy samej rzece, żeby bez przeszkód opalać się i kąpać, a do tego i łódkę u kogoś wynająć. Ale na wyspę na złość nie popłynę! Znaleźli durnia...

Rozliczywszy się z karczmarzem, (który życzliwie mrugnął do mnie porozumiewawczo: widocznie, żulikowe towarzystwo i u niego stało kością w gardle), z niechęcią pograżyłam się w jeszcze większym upale. Słońce stało w zenicie, wydawało się, że jeżeli zatrzymam się w jednym miejscu, to koszula zacznie się dymić. Poprawiwszy kołnierz i z trudem powstrzymawszy się od pokusy rozwiązania sznurowania jeszcze bardziej, powlokłam się wzdłuż ulicy, bezskutecznie wypatrując cienia. Nawet psy nie miały siły mnie obszczekiwać: z takim zdychającym wyglądem rozłożyły się w pyłe koło bramy, że trzeba było je omijać albo przez nie przechodzić. Nieliczni przechodnie krzywili się na mnie jak na nienormalną — osądzając po połyskującym po wierzchu krzyżaku i klindze w pochwie za plecami, która powinna była rozżarzyć się do białości, ale na razie przyjemnie chłodziła łopatki.

Ulica ściśle odtwarzała brzegową linię Pstrąga płynnie wyginając się to w prawo to w lewo. Po jednej stronie drogi stały domy, po drugiej — dochodzące do samej wody ogrody warzywne. Niskie grzywki fal atrakcyjnie iskrzyły się w słońcu. Nieprawdopodobną siłą woli zmusiłam się do oderwania spojrzenia od upragnionej rzeki i zaczęłam wypatrywać krawieckiego sklepiku, przelotnie zobaczonego przy wjeździe do wsi. Najpierw uporam się z bieżącymi sprawami, a potem będę mogła się wykapać. I woda nagrzeje się do tej pory.

Znużony upałem krawiec nawet nie zaczął się targować i tylko niemrawo machnął ręką, kiedy zaproponowałam o parę kładni mniej. O wiele więcej czasu zajęło zdjęcie miary (nawet niejednym raz wydawało mi się, że krawiec nieraz zasnął z miarką w rękach, pochyliwszy się w celu zmierzenia mojej tali i oparłszy głowę o plecy). Fason wybrałam jak najbardziej prosty, obcisły, z kapturem, poprosiwszy mistrza by rozmieścił srebrne nity na kołnierzu pod szyją, łokciach i na trzech pasach prowadzących od nich do dłoni, żeby chroniły przed zbyt blisko podkradającymi się stworami. Nie wszystkie stwory obawiały się srebra, ale uderzenie w oko łokciem nabitym kolcami zepsuje apetyt komukolwiek bądź. Krawiec obiecał uporać się z robotą za pięć dni, tak, że zapłaciłam zadatek i udałam się szukać sobie bardziej godnego mieszkania.

Niestety, samotne babki z wolną powierzchnią mieszkaniową w żaden sposób się nie trafiały. Doszłam prawie do krańca wsi, dalej droga stromo schodziła w dół, zwążając się do rozbitej przez owcze kopyta dróżki i zanikając w gęstych zaroślach trzciny, za którymi daleko było widać błękit wody. Ostatni

dom okazał się chatką zielarza, o czym informował narysowany na drzwiach znak — liść paproci z kwiatem w środku o spiczastych płatkach.

W taki upał wspinać się na wysoki ganek było ponad moje siły (a jeśli gospodarza nie ma w domu, potem jeszcze trzeba i schodzić?! To wprost nie...). Podeszłam do niego z boku, precyzyjnie rękę i delikatnie zapukałam do drzwi.

— Won stąd, — złowrogo i nieuprzejmie odezwał się młody, kobiecy głos. — Sto razy mówiłam — miłosnymi napojami nie handluję!

Trochę się spieszyłam, tym nie mniej powtórzyłam próbę nawiązania znajomości. Wewnątrz rozległ się stłumiony ryk i drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że gdybym stała na ganku, a nie obok, po prostu zmiotłoby mnie z niego. Zresztą, na progu pojawiło się coś na tyle strasznego, że sama poczuwszy nadzwyczajny przypływ rzeźkości, z krzykiem odskoczyłam na dobry sążeń, potknęłam się i klapnęłam na tyłek, nie czując się na siłach oderwać spojrzenia od zaduchowiejskiej zielarki.

A popatrzeć było na co! Niewysoki wzrost miejscowej specjalistki z powodzeniem kompensowały stojące dęba włosy, bardziej przypominające ulepione z brudu sople. Połowę pozbawionej brwi, pokrytej purpurowymi guzami twarzy i upstrzonej kropkami zajmowały ogromne jasnozielone oczy z ciemną obwódką. Nogi szkarady lśniąc mieniły się sinymi smugami a pokryte strupami ręce ścisnęły ogromny zachlapany krwią nóż. Zielarka ubrana była tylko w stareńki, połatany letni szlafroczek przepasany w talii paskiem innego koloru.

Zaczęłam po cichutku odpełzać w tył, mając nadzieję stoczyć się z góreczki i zawieruszyć się w trzcinię.

Tymczasem gospodyni chatki ze zmieszaniem zakasłała, wymacała oczy, odlepiała je, wsunęła do ust i zaczęła chrupać.

— Oj, panienska, wybaczcie, myślałam, że to znowu ci łajdacy... Wolha?!

Z opóźnieniem dotarło do mnie, że to zaledwie plasterki ogórka z wyciętymi w środku dziurkami. Zebrałam w sobie resztki męstwa i wpatrzyłam się w ukazujące się pod warzywami oczy o intensywnym piwnym kolorze.

— Welka?! O bogowie, co ci się przydarzyło?!

— A niech to leszy, całkiem zapomniałam... Wchodź szybciej, póki jeszcze ktoś nie zobaczył! — Zaczęła się śpieszyć zielarka, bojaźliwie rozglądając się wokoło. — Upał, klientów nie ma, więc postanowiłam trochę się odmłodzić. Żadnej alchemii, wszystko wyłącznie naturalne — maseczka z ogórków i malin, białko z jajka, krem z borówki bagiennej... nie chcesz spróbować?

— A walerianki nie masz? — Jakoś utrzymałam się na drżących nogach i poszłam z powrotem na ganek. Welka szczerze spróbowała się zaczerwienić,

ale to już nie miało sensu.

— Po prostu, przez pół godziny, tak wysmarowanej, nudno stać, więc, myślę sobie, za ten czas barszcz ugotuję, — ze zmieszaniem wyjaśniła, rzucając na stół nóż tuż obok przekrojonych w połowie buraków. — Zapaliłam się do pomysłu, a wtedy ty stukasz... poczekaj, zaraz to wszystko z siebie zmyję i się przebiorę!

Welka złapała wiadro z wodą i schowała się za zasłoną. Było słychać, jak w pośpiechu chlapie się i prycha. Tymczasem ja rozglądałam się po niedużej, ale bardzo przytulnej kuchni, na wskroś przesiąkniętej szczypiącym w nos dymem, znajomym mi jeszcze z zajęć praktycznych z zielarstwa. Wzdłuż ścian ciągnęły się liczne półki z rzędami różnego kalibru flakonów, butelek, drewnianych dzbanów i koszałek²³ z brzoźowej kory, wypełnionych gotowymi ziółkami i samymi składnikami. W centrum, na okrągłej kamiennej płycie, stał konieczny trójnóg z niedużym kociołkiem u góry. Z sufitu, wyłącznie w celach reklamowych, zwisał wypchany nietoperz z rozczapierzonymi skrzydłami.

Odmyta i odmłodzona Welka wreszcie wyszła z za zasłony, w biegu zaplatając warkocz. Zaklęcie błyskawicznego suszenia włosów zawsze wychodziło jej o wiele lepiej niż mi, jak i inna życiowa magia. Już nie wspomnę o nazwach tysięcy roślin, bez wysiłku przez nią zapamiętywanych, a także o ich podstawowych cechach i sposobach wykorzystania, które z powodzeniem zapomniałam w ciągu roku od zakończenia Szkoły Magów. Zresztą, każdy swoje — Welka z takim samym szacunkiem spojrzała z ukosa na mój miecz.

Nie widziałyśmy się około dwóch lat, ale moja dawna koleżanka z roku prawie się nie zmieniła — te same gęste kasztanowe kędziory, energiczny uśmiech, pulchniutka figurka mimo wszystkich dietetycznych sztuczek i zdumiewająco równa opalenizna, w której Welka paradowała od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Zielarka przyglądała mi się z nie mniejszym zainteresowaniem i zachwytem:

— Wolha, pięknie wyglądasz! I włosy jakie długie zapuściłaś, dobrze ci się powodzi... Jak się tu znalazłaś?

— Zbieram materiał do dysertacji. A co ty robisz w Zaduchowiejach? Nie przydzielili Cię przypadkiem do głównej starmińskiej lecznicy?

— A Ciebie — do królewskiego pałacu, — odburknęła Welka. — Nie mniej prestiżowa i nie bardziej jakościowa instytucja jak się okazało. Prawda, utrzymałam się nie dłużej niż — całe trzy tygodnie. Potem sprzykrzyło mi się wydawać podrabianą wodę, jako eliksir na schudnięcie i nakapałam tam środka

²³ Koszałka - wyraz z gwary, oznaczać koszyczek, kobiałkę.

na przeczyszczenie... efektywność napoju znacznie wzrosła, ale klienci z jakiegoś powodu nie byli zadowoleni i dali mi odpawę. Gdzie się zatrzymałaś? W „Smoczym legowisku”?! No coś ty, tam w zeszłym roku, jakiś mag będąc gościem, egzorcyzm na pluskwy przeczytał, tak pluskwy kolumną o długości trzech sążni wzdłuż ulicy do lasu maszerowały, a kiedy wyjechał — z powrotem wróciły! Natychmiast przeprowadzaj się do mnie!

Z przeogromną przyjemnością przyznałam Welce status, nieuchwytniej samotnej babki i udałam się po rzeczy i konia.

* * *

W asortyment, świadczonych przez „Smocze legowisko” usług wchodziły nie tylko pluskwy, ale i „darmowa” kromka chleba (wliczona w koszt potrójnie zawyżonego noclegu), a także właściwy nocleg w jednoosobowym pokoiku zamykającym się od środka i do tego z rozklekotanymi drzwiami, w które pukać należało ze skrajną ostrożnością. Biedniejsi goście zadowalali się wspólnym pokojem, pokotem układając się na podłodze. Zimą palił się w nim kominek a program rozrywkowy zapewniali przejezdni gęślarze i bazarze, dzieląc się honorarium z gospodarzem.

Teraz ludzi w karczmie było mało — przy takiej pogodzie, nawet w polu pod krzakiem nie zamarzniesz... jeżeli, oczywiście, boisz się tylko mrozu. Za Wąwozem Mariny zaczynały się oficjalne ziemie orków — Wilcze Stepy. Bieda w tym, że same orki o tym nie wiedziały i regularnie przecinały istniejące tylko na mapie granice, bynajmniej nie w turystycznych celach. Sukcesem było, jeżeli z dobroci serca zostawiali ofierze, swojego kryminalnie karalnego czynu przynajmniej majtki. Lekkonogie stepowe wilki, srebrno-piaskowego koloru także okazywały zwiększone zainteresowanie oszczędnym podróżnikom, którzy zaryzykowali obejście się krzakami. „A żeby ci w Wąwozie Mariny przyszło zanocować!” — W złości mówili miejscowi mieszkańcy i idąc tam paść krowy, śpieszyli się wrócić przed nastaniem ciemności. A co się już działo za samym Padem...

Właściciel karczmy, bardziej dla pozorów szurając po podłodze, startą do samego kija miotłą, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie gнома nieokreślonego wieku i zawodu, obdartego staruszka-pielgrzyma, mieszkańca wsi Krukowiec, co ze wschodnim brzegiem Wąwozu Marina sąsiaduje, ubogiego handlarza rybą, żującego „darmową” kromkę chleba i jasnowłosego chłopaka strojącego lutnię. Grubej przekupki z głupekowatą twarzą, wydającej na zmianę achy: „o bogowie!” i „o wszyscy święci!”, można było nie brać pod

uwagę. Wiedźma, która dopiero co rozliczyła się z karczmarzem, z zainteresowaniem zatrzymała się na progu, położywszy na podłodze torby.

—... a jeszcze powiadają, — tym samym tajemniczym tonem kontynuował mieszkaniac wsi, — że niby podczas pełni księżyca wyłazi jedna baba ze swojego grobowca i włóczy się po okolicy i jeśli ktoś się jej napatoczy z naprzeciwka — ręce rozstawi... — chłop pogładowo zademonstrował szeroką rozpiętość ramion umarlaka, zmusiwszy sąsiadów do uchylenia się, — ...obejmie i dawaj środek wygryzać, dopóki jedne buty nie zostaną!

Pokaz był bardzo sugestywny. Całkiem przypadkowo dostała się w niego nie brana pod uwagę przekupka, która zaczęła tak przenikliwie piszczeć i się wrywać, jak gdyby ją naprawdę próbowano zużytkować, jako pożywienie.

— ... gryzła jej rączki, gryzła jej nóżki... — dobrze zaintonował barytonem chłopak, akompaniując sobie na lutni.

Przesunąwszy się, opowiadacz pośpiesznie wypuścił „ofiare”, ale od policzka uchylić się nie zdążył.

— A-a... — Gnom pogardliwie machnął ręką. — babskie gadanie. Po co po ciemnicy po pustkowiu się szwendać, a obrotną babę o dużych rękach i bliżej można znaleźć, chociażby w domu na piecu...

Towarzystwo roześmiało się głośno.

— Nie odzywaj się, młodzieńcze. — Staruszek statecznie splótł ręce na szczycie kostura. Brodaty gnom ze zdziwieniem spojrział na pielgrzyma, ale ten, widoczne, był ślepowy i pomyłki wcale nie dostrzegł. — Przyszedłem z południa i tam mi także opowiadano bajdy o niejakim — niech wybaczą mi damy (staruszek wykonał ceremonialny gest w stronę długowłosego lutnisty) — cmentarnym ghyriszczu, które jakoby zaciągało tych wędrowców, którzy tam zamurdzili, do swojego grobu i ogryzało do czysta, tak że nikt ich już nigdy więcej nie widział...

Pielgrzym mówił cicho i z wielką powagą, dlatego jego opowiadanie zrobiło większe wrażenie na słuchaczach, niż namacalny pokaz krukowczjanina. Zapadła ciężka cisza. Handlarz ugrzązł zębami w chlebie, baba szybko się przeżegnała, gnom sceptycznie prychnął, a chłopak zastanowiwszy się, wycisnął z lutni, niski wyjący dźwięk, zmuszający wszystkich do otrząśnięcia się i rzucenia się z wymysłami na młody talent. Wiedźma złapała torby i wyszła. Gospodarz pogardliwie splunął na tylko co „zamicioną” podłogę. Czego to ludzie nie wymyślą, jęzorami młóćąc po próżnicy. Kupa śmiechu. Chwała niech będzie bogom, że tutaj, w Zaduchowiejach, całkowity spokój... no prawie.

* * *

Podchodząc do stajni, z przyzwyczajenia nasłuchiwałam, ale wszędzie było cicho. Może tym razem Smółka zdecydowała się pobyć spokojnym konikiem i nie uganiała się za pochopnie włączającym do jej boksu stajennym, dopóki ten nie usiadł okrakiem na belce pod dachem i siedział już tam, bojąc się nie tylko poruszyć, ale i zawołać. Różnił się od pozostałych mieszańców tym, że na nim nie było widać skutków upału — pysk miał szczelnie zamknięty, a boki, zdaje się, w ogóle się nie poruszały. Dla żartu zagwizdałam. Pies podniósł tępy pysk z uniesionymi do góry uszami i spojrzał na mnie żółtymi, niemrugającymi ślepiami. Wrogości ani życzliwości w nich nie było, ale z jakiegoś powodu zrobiło mi się dziwnie.

— Ejże, kochanieńki, czyj to pies? — Zawołałam jakiegoś tam chłopka, drzemiącego na siedząco w wąskim pasku cienia pod ścianą stajni.

— Który? — Wieśniak leniwie uniosł nasunięty na oczy kapelusz.

— A ten... — ponownie skierowałam wzrok na próg i drgnęłam. Pies zniknął. Na zakurzonej ziemi zostało kilka śladów dużych łap i kilka kłaków krótkiej sierści. — Niech to leszy, gdzie on się podział? Tylko co tu był! No to ładnie, wybaczcie, że przeszkodziłam...

— Nie ma za co, od upału i nie takie rzeczy mogą się przywidzieć, — dobrodusznie zauważył chłop, ponownie skrywając się pod rozległym rondem słomianego kapelusza. — Niedawno widziałem jak krowa po niebie latała! Leżę sobie na polu, co z północnej strony wsi się znajduje, dlatego, że nie dam już rady więcej sikać — u szwagra na pogrzebie winem domowym za jego zdrowie wypiwszy, się uraczyłem, no i ono mnie odrobinę rozebrało. Słyszę — coś muczy, nie wiadomo skąd. Spoglądam w niebo — leci krasula! Nogami przebiera, jak gdyby naprawdę w powietrzu skakała, a ogonem tego, kierunek wskazuje... I dlaczego to tak, a? Może, omen jakiś?

— Aha, zakąsić trzeba było, — półgłosem mruknęłam wchodząc do stajni.

* * *

Zanim pozbierałam rzeczy i przywiązywałam kobyłkę na polance za domem (Smółka z wykrzywioną złośliwie mordą obserwowała w tym czasie, skazane na niepowodzenie przedsięwzięcie), Welka zdążyła rozpuścić w kotle jakieś ziółka i teraz w skupieniu mieszała je dębową łopatką, bez przerwy patrząc na wypływające z dna pęcherzyki. Specyfik migotał blado, na skutek czego, twarz pochylającej się nad nim zielarki wydawała się trupio-zielona. Odrywanie przyjaciółki od tego odpowiedzialnego zajęcia było bardzo niewskazane, żeby nie przytrafiło się tak, jak studentom na ósmym roku, którzy

z bojowym zawołaniem „Ratuj się, kto może!” wypadali z gęsto zadymionej sali wykładowej pod sufitem, której ryczało i głośno biło skrzydłami coś niezaplanowanego.

Nałożyłam lekkie, z brzozonej kory klapki i wyjęłam z torby ręcznik.

— Wel, na razie schodzę się wykapać.

— Aha, — nie odwracając się, z roztargnieniem przytaknęła przyjaciółka, — tam w trzcinie są położone deski do samego pomostu, ale tuż za nimi dno się urywa, i prawie nie ma płycizny.

— Cudownie. — Dobrze pływam i lubię czuć pod sobą głębokość. — Tutaj wirników lub jeziornic się nie spotyka?

— Nie... chociaż w wirze naprzeciwko placu mieszka jakieś stworzenie, ale ludzi nie atakuje i daleko od wiru się nie oddala. Tam źródła z dna tryskają, woda jest zimniejsza i czystsza; z pewnością, to je i przyciąga.

— Widziałam, co je przyciąga, — chrząknęłam, zarzucając ręcznik na ramię.

Kładkę znalazłam prawie od razu — kilka skośnie połączonych desek, przybitych do w połowie zatopionych szczątków łodzi. W trzcinie zajeżdżało wilgocią i zgnilizną, nogi ślizgały się na deskach, a życzliwie bzyzące bąki zdradzały zamiar degustacji, mojego apetycznie spoconego ciała (ciało kategorycznie się sprzeciwiało, przeklinając i opędzając się).

Rozklekotana kładka przechodziła w szeroki pomost i słońce znowu runęło na mnie z mocą smoczego oddechu. Stąd Pstrąg jeszcze bardziej przypominał jezioro — z lewej i z prawej strony koryto znikało w trzcinach, a do przeciwległego brzegu było nie mniej niż wiorsta. Przez zielonkawą, ale przejrzystą wodę prześwitywały wszystkie kamyczki z głębokiego dna. Przy powierzchni śmigał ławicą narybek, z daleka wydając się jedną ogromną srebrzystą rybą.

Nie miałam więcej sił, żeby się dłużej powstrzymać, w biegu odrzuciłam ręcznik i dodając sobie odwagi okrzykiem, skoczyłam z brzegu pomostu, wywołując chmurę bryzgów wody.

Dno okazało się być niespodziewanie głęboko — głową poszłam pod wodę i dopiero wtedy dotknęłam go nogami. Odbiwszy się od dna i wynurzywszy się prychnąwszy, odrzuciłam włosy z twarzy i popłynęłam naprzód. Pierwsze uczucie chłodu szybko minęło, zmieniając się w upajającą świeżość i zdumiewającą lekkość w całym ciele.

Przez pół godziny, nasiąkając wodą do woli i doszedłszy do wniosku, że życie bezghyrowe jest dobre, przewróciłam się na plecy, rozłożyłam ręce i zaczęłam bezwładnie dryfować z prądem w dół rzeki, rozkoszując się cichym

szelestem trzciny i płynnym kołysaniem fal.

Nie zdążyłam przepłynąć tym sposobem pięćdziesięciu sążni, kiedy w otaczającą mnie harmonię wdarł się jakiś podejrzany plusk. Refleks wiedzmy w mgnieniu oka sprawił, że znalazłam się w pozycji pionowej; usilnie pracując rękami i nogami, szybko rozejrzałam się na wszystkie strony i mój błogostan migiem wyparował.

W moją stronę posuwała się łódź. Dokładniej, próbowała. Trzech wioślarzy nie wiadomo, jakim sposobem zmieściwszy się na jednej ławie, bezskutecznie starało się okiełznać dwa wyszczerbione wiosła, to rwące się dać nurka na dno, to unieść łódź w niebiosy.

Lewym posługiwał się Gdyń, prawym — milczący dryblas, a w środku, objąwszy kumpli za ramiona, w takt pieśni podobnej do krzyków w duchu: „Nie chodźcie dziewczki za mąż!”, kołysał się starosta. Za rufą ciągnęła się sieć, a za nią — długi ogon z wodorostów, które zaplątały się oczkach sieci.

W łodzi, jedynym zauważalnym wynikiem, burzliwej rybackiej działalności była tylko ogromna butla samogonu, z chlupiącymi na dnie resztkami, zatkana nadgryzionym małosolnym ogórkiem. Butla stała na dziobie łodzi i prawdopodobnie służyła wioślarzom, jako przewodnia latarnia morska, gdyż inne nieistotne punkty orientacyjne w rodzaju brzegu, wgardliwie ignorowali. W sumie i bez tego, nie bardzo wytrzymały stateczek wypisywał po wodnej tafli zawilego precla, przesuwając się do przodu wszystkimi stronami na zmianę. Ogólny kierunek wyznaczał słaby prąd Pstrąga, który powoli, ale nieustannie porywał łódź z sobą.

— Pa-a-ani wie-e-edźma!!! — Gdyń, nie namyślając się, rzucił wiosło i wstał. Łódka zaskrzypiała i niebezpiecznie przechyliła się na lewy bok, a ponieważ dryblas nadal wiosłował, majestatycznie zakręciła się dookoła własnej osi. — Oj, gdzież ona? Niemożliwe, utopiła się?! (Łódź zrobiła jeszcze jeden obrót.) A! Jak woda?

— Wspaniale, — wycedziłam przez zęby, przechodząc z rozluźniającego pluskania się, na nastawiony na osiągnięcie wytyczonego celu styl pływacki „elfie ostrze”. Naturalnie, skierowałam się bynajmniej nie do łodzi.

— Dokąd to pani? — Z rozczarowaniem zaczął przeraźliwie lamentować w ślad za mną starosta. — Stąd do wyspy jest już całkiem blisko i stu sążni nie będzie! A tam za pięć, sześć godzin ściemniać się zacznie!

Ale już wymacałam nogami dno i nie oglądając się za siebie, skryłam się w trzcinie. Kładka została daleko z boku, tak że na brzeg wy dostałam się cała podrapana, pogryziona przez meszki i po pas wymazana śmierdzącym mułem. Ogólne mniemanie o życiu i wyjątkowym charakterze pewnych jednostek

zmieniło się z „bezghyrowego” na „ghyrowe”.

Jakoś się opłukawszy we wpadającym w jezioro strumyku, krzaczkami, żeby nie przyciągać niezdrowej uwagi mieszkańców wsi, przedostałam się do domu Welki... i ze zdumienia stanęłam jak wryta koło furtki.

Przed gankiem siedział czarno-rudy pies. Na mój widok z pogardą wypluł na ziemię, zapomniany przeze mnie na pomoście ręcznik, wstał i pobiegł truchtem w trzciny, zastępujące czwartą stronę płotu. Niezdecydowanie zagwizdałam, ale bestia nawet uszami nie poruszyła, jak gdyby rozplynęła się w szeleszczących łądygach.

— Co? — Wyrzała przez okno Welka.

— A nic. — Pochyliłam się i podniosłam ręcznik. — Może wiesz, do kogo należy taka potężna, podpalana psina z obciętym u nasady ogonem? Jakby rasowa, ale nigdy takiej rasy nie widziałam.

— Nie wiem. Może należy do kogoś z przyjezdnych? — Obojętnym głosem wysunęła przypuszczenie przyjaciółka. — Słuchaj, Wolha, wpadłam na wspaniały pomysł: urządzmy babski wieczór z okazji naszego spotkania! Znam niedaleko położone cudowne miejsce: ciche, malownicze, chłodnawe, z jeziorem dookoła. Rozpalimy ognisko, upieczemy ziemniaki, pogadamy, no i jednocześnie...

— Welka!!!

Przyjaciółka zacięła się i z konsternacją skupiła na mnie swoją uwagę.

— Powiedz mi, że nie masz na myśli wyspy! — Zaczęłam błagać.

— Tak więc... ogólnie to...

— I ty też tam się pchasz? Czy wy wszyscy się zmówiliście?! — Z oburzeniem krzyknęłam, zraniona w samo serce taką zdradą. — Niczego „jednocześnie” nie będę robić!

— O co ci chodzi — teraz z kolei obraziła się Welka, nie rozumiejąc, dlaczego tak się wściekam. — Chciałam powiedzieć, że jednocześnie jakiegoś ziółka tam nazbieram... na twoje napoje, między innym!

— Wybacz, — zmieszałam się szczerze. — Miałam dziś ciężki dzień, jestem bardzo zmęczona i nie chcę płynąć na żadną wyspę.

— Niech ci będzie, — zmiękła przyjaciółka — urządzimy babski wieczór w najbliższym lasku, a jutro sama tam pojedę. Chociaż wiosłowanie nie idzie mi najlepiej, a i łódź nie bardzo...

— Poproś kogoś z rybaków, — zaproponowałam. — Słyszałam, że koło wyspy ryby dobrze biorą, znaczy, tam na pewno stawiają i sieci. Rano wysadzą cię na brzeg, a wieczorem przyplyną po połów i zabiorą.

— Miejscowi do wyspy i na pięćdziesiąt sążni się nie zbliżą, — ponuro

mruknęła zielarka. — Uważają, że wyspa jest przeklęta i po nocach tam jakoby wyje nie mogąca zaznać spokoju dusza smoka...

— A co, rzeczywiście wyje? — Zainteresowałam się, źle wspominając skierowane do mnie słowa starosty z „nieopisanym rajem”. Zresztą, w jednym nie skłamał — tam by mi już naprawdę nikt nie przeszkadzał!

— A i owszem, zawyje czasem, — wzruszyła ramionami Welka. — Ale osobiście uważam, że to czyjeś głupie żarty. Po pierwsze, sądząc po głosie, do smoczego ryku nie podobny ani odrobinę. Po drugie, nikt tego widma nigdy nie widział. A co to za widmo, jeżeli ani razy nie zatrulo spokoju komuś z miejscowych? Przecież bez pożywki w postaci emocji, za parę miesięcy samo ulegnie destabilizacji i się rozwieje!

— A do czego to podobne? — Nie wytrzymałam, chociaż przysięgłam sobie nawet palcem nie ruszyć dla spokojnego snu starosty.

— Jakiś dziwny łoskot... czy to szloch, czy to plusk, jak gdyby batem po wodzie smagano. Na wyspie, być może, zachowały się pieczary pustelni, a po jeziorze dźwięk daleko się niesie, rezonuje i bardzo silnie się zniekształca.

— Czyż w okolicy nie ma ani jednego rozgarniętego maga-praktyka? — Zauważyłam, wyrażając niezadowolenie. — Za takiego się im podałam?

Welka niespodziewanie się roześmiała:

— A, oto chodzi! Starosta z pomocnikami już i do ciebie podchodził? To dlatego tyś taka nerwowa... Widzisz, tu taka historia: tutejsi mieszkańcy do wycia mniej więcej się przyzwyczaili, ale krowy — ani jak nie mogą: nerwowe, chude, mało mleka dają. Dlatego wieśniacy postanowili wreszcie zrzucić się na maga. Zebrali się w karczmie, puścili czapkę w koło i rezultat — dwadzieścia trzy kładnie — uroczyście powierzyli staroście. Ten uczciwie doszedł do wniosku, że trzy kładnie wiosny nie czynią i zaproponował przepić je za powodzenie zbliżającego się przedsięwzięcia. Ludzie chętnie się zgodzili, wszystkim przypadło w udziale po kufelku, a staroście, jak autorowi genialnego pomysłu — dwa, po których zaczął się przechwalać: powiada, nie potrzebny nam żaden mag, sam tego widma gołymi rękami się pozbędę! Tak więc ludzie i za to wypili. Pięć razy, żeby na pewno. Krótko mówiąc, nad ranem w czapce nic nie zostało, oprócz chrapiącego na niej starosty. Kiedy go obudzili i powiadomili o czekającym wyczynie, z jakiegoś powodu nie pobiegł takowego dokonywać i w ogóle pośpiesznie zmienił temat. Tak ta sprawa dotychczas się i ciągnie. Pili przecież wszyscy, a staroście teraz z własnej kieszeni płacić nie mają zamiaru, tak i niesolidnie — obiecywał przecież! Więc teraz chodzi i szuka ochotników-zapaleńców, ale jakoś nieskutecznie. Tutejsi magowie już się przed nim chowają, a przejezdni otwartym tekstem zawiadamiają, z jakiego miejsca

starosta powinien zacząć znajomość ze smokiem...

Zielarka przypadkowo spojrzała na moją prawą rękę i aż się zachłysnęła:

— Wolha!!! Ty co, tego?!

— Nie, to zaręczynowy. Ślub jesienią, a ty będziesz moją starszą druhną i tylko nie wąż się odmówić! Ale, wydaje się, że ja rzeczywiście tego...

Welka, gotowa już z przepojonym zachwytem piskiem rzucić się do wypytywania, gratulowania i omawiania przyszłego przedsięwzięcia, odskoczyła i ze zdziwieniem spojrzała na mnie.

— O co chodzi?

— Ślub! Zgroza! Koszmar! — Zerwałam się z miejsca i nerwowo przeszłam się po pokoju. — Od jednego słowa robi mi się słabo... To przecież już na zawsze, aż po grób!

— Ale za to jaki! — Rozważnie zauważyła Welka.

— Ale ja jeszcze chcę użyć życia!

— Nie rozumiem, czym się tak przejmujesz? — wzruszyła ramionami przyjaciółka. — Zwróć mu pierścień, powiedz, że się rozmyśliłaś i w ogóle, że on ci się nigdy nie podobał!

— Ale on mi się podoba!

— No to wychodź za niego za męża!

— Nie chcę!

— Dlaczego?

— Boję się. — Przygryzłam wargę i odwróciłam się w stronę okna.

— Czego?

— Tego, że zanadto się od siebie różnimy. On — wampir, Władca Dogewy, a ja — zwyczajna ludzka wiedźma w podartej kurtce. On widzi mnie na wskroś, a mi pozostaje tylko zgadywać, co on myśli. I w ogóle, za pięćdziesiąt lat zestarzeję się i on mnie przestanie kochać!

— O bogowie... — zajęczała Welka. — Wolha, ty dopiero jesienią skończysz dwadzieścia dwa lata! Jak możesz zgadywać, co zdarzy się za pół wieku? Może i tyle nie pożyczysz!

— Wielkie dzięki, aleś mnie i pocieszyła! A moja praca? Od pierwszego roku marzyłam żeby zostać arcymagiem, jak Profesor!

— To nim zostań, kto ci przeszkadza? — Nie zrozumiała zielarka.

— Gdzie widziałas męża, który pozwoli żonie jeździć po traktach, w towarzystwie nieznanym upiorów?!

— No, na razie przecież pozwala, — słusznie zauważyła przyjaciółka.

— Otóż właśnie, na razie! Potem nakryje mnie pokrywką i zadowolony, usiądzie na niej z góry!

— A może, ułoży się obok? — Chytrze zmrużyła oczy zielarka. — Wolha, w małżeństwie są i jasne strony! Lepiej pomyśl, jak efektownie będziesz wyglądać w sukni ślubnej...

— Pogrzebowy całun!

— A weselna uczta?

— Stypa!!

— E-e-e... Pierwsza noc poślubna?

— Uroczyste wniesienie trumny do grobowca i wstęp do eksploatacji!

Zamiast okazać współczucie dla umierającej przyjaciółki, Welka spojrzała na moją męczeńską twarz i zatoczyła się ze śmiechu. Z urazą zacisnęłam wargi.

Propozycję „grobu” otrzymałam jeszcze w zeszłym roku, po powrocie z Arlissu, ale na szybki ślub Len z jakiegoś powodu nie nalegał. Także nie napomykałam, woląc obchodzić ten temat z daleka i dopóki Kella nie zapytała prosto z mostu, co my sobie myślimy, sprawa tak i nie ruszyłaby z martwego punktu. Jakoś niepewnie wymieniliśmy się spojrzeniami i powiedzieliśmy, że nam w ogóle to wszystko jedno. I w taki to sposób zostaliśmy postawieni przed faktem jesiennego ślubu.

Przez tydzień podle uciekałam z Dogewy pod pretekstem zbierania materiałów do dysertacji. Jedna sprawa — dumnie manifestować znajomym złoty pierścień z zawiałą pieczęcią i w niedbały sposób nazywać Lena narzeczonym, a całkiem inaczej — tak naprawdę dostać go za męża. Ten przeklęty ślub wyrósł między nami jak mur i jeżeli wcześniej swobodnie wylegiwaliśmy się na jednym łóżku, omawiając sprawy na jutro albo głośno śmiejąc się z czyjegoś żartu, to teraz jakoś dziwnie z ukosa patrzyliśmy na siebie nawzajem, bojąc się spojrzeć sobie w oczy! A cóż to będzie dalej?!

— Wolha, uspokój się. To normalne, — skończywszy się śmiać, spróbowała pocieszyć mnie przyjaciółka. — Wszystkie panny młode denerwują się przed ślubem. Przede wszystkim, zdecyduj sama — ten to czy nie ten człowiek... tfu, wampir, u boku którego chcesz zgodnie iść przez resztę swojego życia? Czy też już za pół roku będziesz gotowa udusić go poduszką za głośne chrapanie nad uchem?

Tylko westchnęłam. Len nie chrapał. A pewne wredne przyzwyczajenia w rodzaju rzucanej gdzie popadnie kurtki, jedzenie w łóżku i uchylanie się od służbowych obowiązków (obecność Władcy i Najwyższej Wiedźmy na cotygodniowych naradach było tylko symboliczna, Starsi Rodu doskonale radzili sobie z bieżącymi sprawami, a o poważnych problemach dowiadywaliśmy się i bez nudnego trzygodzinnego sprawozdania), gorąco popierałam i podzielałam, ku sprawiedliwemu oburzeniu Kelly. Ale mąż... brr!

Kształciłam się na wiedźmę, żeby uniknąć tej żalostnej doli! Kto mógł przewidzieć, że na mnie, mimo to i tak wszyscy polecą?!

— Niech ci będzie, — zmieniła temat Welka. — Wchodź i przebieraj się, a ja tymczasem nabieram koszyk wisienek. Dobrze się złożyło, że mam akurat zrobioną nalewkę z wiśni, szybko wyleczymy cię z chandry!

* * *

Batem po wodzie?! Podskoczyłam na łóżku tak, że aż deski się wygięły. Przez parę sekund w oszołomieniu wpatrywałam się w nieprzenikniętą ciemność, próbując się zorientować, na jakim jestem świetle, potem koziołkując, stoczyłam się na podłogę i chwyciwszy leżący pod ręką miecz, rzuciłam się do okna.

To w ogóle było niepodobne do niczego — przenikliwy krzyk, przechodzący w bulgoczące uderzenie, jak gdyby ktoś uniósł jezioro i rzucił z powrotem. I — cichnący, oddalający się świst.

Dźwięczne odgłosy niosły się po rzece i gubiły w szeleście trzciny. Powtarzały się na zmianę, ale nie były od tego bardziej zrozumiałe, wręcz przeciwnie, tylko tak samo złowieszcze.

Welka, beztriosko przesypiała zwykły zaduchowiejski fenomen, obudził ją dopiero brzęk flakonu, niechcący zaczepionego przez mnie łokciem.

— Wolha, co tam robisz?

— Psy, Wel. — Stałam z boku uchylonego okna, żeby na wszelki wypadek móc na odlew dźgnąć nieproszonego gościa, który zlekceważyłby drzwi. — Słyszysz? W całej wsi psy wyją.

— No i co z tego? — Sennie mruknęła zielarka. — One często podnoszą hałas, ledwo gdzieś coś stuknie — nakrywaj głowę poduszką...

— Na zwykłe stukanie po prostu by ujadały. Psy wyją na stwory, Welka.

Przyjaciółka podeszła do okna, troszeczkę posłuchała i ziewnąwszy, sennie oparła się o moje ramię.

— Wolha, masz skrzywienie zawodowe. Idź spać, tu nie ma żadnego stwora. Dzisiaj pełnia księżyca, psy po prostu skorzystały z okazji, żeby potrenować gardła.

Nie odpowiedziałam. Psie głosy brzmiały ochryple i były przytłumione, jak gdyby wyły ze środka bud albo spod ganków, skąd nie mogły patrzeć z upodobaniem na księżyc. Ostrożnie wyciągnąwszy miecz z pochwy, popchnęłam okienne skrzydło ostrym koniuszkiem. Te chętnie zakołysało się w przód i w tył, i przez chwilę przywidziały mi się żółte, nie mrugające oczy w trzinie, wyglądającej jak czarna, grzywiasta ściana kołysząca się naprzeciw

chatki. Ten pies nie wył. W ogóle dotąd nie słyszałam, aby wydał z siebie choć jeden dźwięk.

— Co robisz? Oj... — Welka otworzyła oczy i zobaczyła przed swoim nosem blado połyskujące ostrze.

— Stawiam ochronny krąg. — Podniósłszy miecz ostrzem go góry, wolną ręką nakreśliła parę znaków.

— Nie wygłupiaj się idiotko! — Przyjaciółka próbowała chwycić mnie za łokieć i odciągnąć od okna, ale wyrwałam się z rozdrażnieniem.

— Wel, przecież ja nie pluję do twoich ziółek? Więc i ty nie przeszkadzaj mi pracować!

Przyjaciółka machnęła ręką i wróciła do łóżka. Psy także stopniowo się uspokajały. Co by tam nie było, obeszło wieś bokiem, w przeciwnym razie w jednym jej końcu byłaby martwa cisza, a w drugim — zespołowy atak psiej hysterii. W odróżnieniu od wilków, psy panicznie bały się nocnych stworzeń i wyły na nie już z daleka.

Cichutko uchyliwszy drzwi, wyszłam na podwórze i przysiadłam na ganeczku, położywszy miecz na kolanach. Bardziej dla oczyszczenia sumienia niż z potrzeby, puściłam parę zwiadowczych impulsów i ze zmieszaniem zakaszlałam, dowiedziawszy się, że u sąsiadów w sadzie, niektórzy wyśmienicie obchodzą się bez Welkowych napojów miłosnych.

Niech będzie, posiedzę, pooddycham świeżym powietrzem. Urlop bądź co bądź.

I doczekałam się — przed samym świtem wszystko się powtórzyło, ale w odwrotnej kolejności. Najpierw niewiadomo z jakiego powodu podniosły lament psy, potem znowu ryknęło i huknęło, puściwszy echo po wodzie. Miecz rozgrzał się odczuwalnie, a znak cechowy u nasady ostrza zamigotał i powoli zgasł.

Na miejscu starosty nie oszczędzałabym na magach.

* * *

Zasnąć byłam w stanie dopiero o wschodzie słońca, kiedy w zaduchowiejskich kurnikach po kolei zaczęły pisać koguty, zerwało się na codzienne oblatywanie krzykliwe stado gawronów, a na ulicy zaskrzypiały koła od wozu. I nie minęły dwie godziny, gdy obudził mnie aktywowany krąg ochronny i bardzo barwne wypowiedzi Welki z tego powodu (wydaje się, że przesadziłam w swej gorliwości — zrobiłam go dwustronnym i na dodatek zamknęłam na sobie, tak że zielarka trochę się dymiała i pałała pragnieniem zemsty).

Bitwa dwóch magów, będących mniej więcej na tym samym poziomie — to atrakcyjne widowisko, więc kiedy, wyczerpawszy rezerwę, zremisowałyśmy, rozłożywszy jedna drugą na trawie, zza płotu rozległy się burzliwe oklaski i nawet rzucono na podwórze parę drobnych, srebrnych monet. Zawstydzona Welka ukryła się w domu, a ja spokojnie pozbierałam monety. Gdyby zielarka była śmielsza, mogłaby żądać takiej ceny, jakiej żądają magowie-praktycy — często razem trenowałyśmy, a czasem po prostu upuszczaliśmy pary, z siłą jednej czwartej mocy zarzucając serdeczną przeciwniczkę bojowymi zaklęciami. Niestety, po jednym spojrzeniu na coś zębatego i pazurzastego — sięgającego Welce tylko do kolana i wydającego ostatnie tchnienie, — wszystkie jej praktyczne nawyki wyparowywały w nieznanym kierunku, zostawały tylko te piszczące i uciekające.

Wśród gapiów znaleźli się klienci Welki, dziewczyna przyjęła parę zamówień i znowu zajęła się gotowaniem ziół. Gryzący smród wypędził mnie z domu i spędziłam dzień, wylegując się na trawce przy rzece, popijając kwas chlebowy, delektując się zakupionym na rynku wędzonym linem i doprowadzając do porządku swoje zapiski, na daną chwilę bardziej wyglądające na zbiór humorystycznych bajd, niż na rozprawę naukową. Kiedy słoneczne promienie przybrały przyjemny, pomarańczowy odcień i upał zaczął się zmniejszać, odszukała mnie Welka.

— Oto. — Przyjaciółka wygodniej ułożyła na ramieniu dwa długie wiosła i oswobodziwszy prawą rękę, nakreśliła w powietrzu świecący, szybko zanikający znak. — Podstawowa runa na zakłęcie wejściowych drzwi. Za parę godzin wrócę, przygotuj sobie sama coś na kolację, dobrze? Dla mnie możesz nie zostawiać, po wczorajszym jestem na diecie.

Osobiście „po wczorajszym” po kryjomu zjadłam długo przeleżaną bez użytku w torbie przylepkę, dlatego, że pięć pieczonych ziemniaków na dwie osoby, nawet z dodatkiem w postaci trzech listków sałaty, mój żołądek ocenił jako kpinę i żałośnie podniósł krzyk o przedłużenie bankietu. Ale dyskusowanie na ten temat z Welką było bez sensu.

— Zgoda. A ty dokąd?

— Na wyspę.

— Poczekaj. — Zaczęłam w pośpiechu wpychać pergaminy do torby. — Płynę z tobą.

— Cóż starosta się ucieszy! — Uszczypliwie przypomniwała zielarka.

— Nie doczeka się, nawet z łodzi wysiadać nie będę. Po prostu popilnuję, żeby ci się nic nie przytrafiło.

— Wo-o-olha... — z wyrzutem wypuściła powietrze z płuc przyjaciółka. —

Ty znowu swoje? Myślisz, jeżeli tu żyłoby coś niebezpiecznego, to już dawno ludzie by tego nie zauważyli? Kilkakrotnie już tam jeździłam!

— Kilkakrotnie? — Podejrzliwie spojrzałam na zielarkę. — I co?

— I nic. Chodziłam wzdłuż brzegu, wypchałam torbę ziołami i odpływałam. I teraz zamierzam zrobić tak samo. Ty jesteś przecież na urlopie, nie zawracaj sobie głowę, opalaj się dalej.

— Poopalam się w łodzi. — Na jedno ramię zarzuciłam pasek od torby, na drugie — pas od pochwy.

Sądząc po zadowolonej fizjonomii przyjaciółki, odradzała mi po prostu dla przyzwoitości, w skrytości ducha mając nadzieję, że dotrzymam jej towarzystwa. I bardziej ryzykować, odwodząc mnie — nie zamierzała.

* * *

Łódź Welki tkwiła w trzcinach koło starej kładki. Nic dziwnego, że wczoraj jej nie zauważyłam — można się było w niej kapać, a nie opalać. W połowie wypełniona wodą praktycznie leżała na dnie. Łańcuch z wiszącym zamkiem bardziej nie dawał jej ostatecznie utonąć, niż chronił przed uprowadzeniem. Zresztą, dno wydawało się całe i zanim moja przyjaciółka uporała się z kluczami, położyłam swoje manatki na pomoście, podwinęłam rękawy i skoncentrowałam się na formule szybkiego osuszenia.

— Wolha, nie! — Obejrawszy się przypadkowo, tak rozdierająco zaczęła krzyczeć Welka, że straciłam równowagę i nader wiarygodnie przedstawivszy rękami wiatrak, runęłam na płask z pomostu. — Nie waż się czarować koło łodzi! Zamówiłam ją, ale zakłęcie jest bardzo niestabilne i rozsypuje się od najmniejszego muśnięcia obcej magii. Weź ten czerpak spod ławki i zacznij wylewać wodę.

— Ty byś jeszcze w trąbę nad moim uchem zadęła, — zaburczałam, włączając do podwodnego statku. Oczywiście, dodatkowe mycie przy takiej spiekocie nie zaszkodzi, ale nie zaszkodziłoby wcześniej chociażby zdjąć buty.

Po dziesięciu minutach połączonych wysiłków, łódź wynurzyła się i z jawną niechęcią wyraziła chęć do startu, z własnej inicjatywy ustawivszy się przodem do otwartej wody. Za wiosła, musiałam zabrać się sama — rezultat wysiłków Welki mało różnił się od zygzakowatego dryfu niezapomnianej trójki.

— A od czego ją zamówiłaś, jeżeli to nie tajemnica?

Zielarka ze zmieszaniem podrapała się w nos:

— Od przeciekania. Gdybyś ją widziała wcześniej!

Zabrakło mi słów.

W czasie drogi Welka od czasu do czasu musiała chwytać za czerpak, ale ogólnie, wszystko okazało się nie takie całkiem złe. Łódeczka, mimo że rozpadająca, czujnie i chętnie słuchała się wiosła. Słaby wiatr wiał ku wyspie, pomagając wiosłować. Mokra koszula przyklepiła mi się do ciała, przyjemnie chłodząc, rozrzucone buty schły na rufie. Do brzegu pozostawało nie więcej niż pięćdziesiąt sążni, kiedy postanowiłam zrobić przerwę i umieściwszy wiosła na burtach łodzi, z rozkoszą przeciągnęłam się do tyłu, masując krzyż.

— Wel, a dlaczego z rana nie popłynęłaś? Przecież do karczmy chcieliśmy pójść, tam wieczorem jakiś minstrel zamierzał występować. Jeśli wczorajszy lutnista — będzie wesoło!

Welka powykrzywiła się na tej części swojego ciała, którą mężczyźni jednomyślnie uznawali za najbardziej pociągającą a sama zielarka — za najbardziej potrzebującej diety. Żywo pokazałam, jak Welka, ku niezadowoleniu karczmarza, cały wieczór będzie smutno wędznąć nad pęczkiem, przyniesionej ze sobą pietruszki.

— Jeszcze zdążymy. Potrzebne mi jest rzadko spotykane zioło, które należy zrywać blisko zachodu słońca.

W zasadzie nie było już potrzeby wiosłować — prąd i wiatr powoli popychały łódź we właściwym kierunku, ale chciałam szybciej uporać się z robotą i wrócić na tamten brzeg. Oszczędny starosta osiągnął bezpośrednio przeciwny efekt: jeśli wcześniej z czystej ciekawości zanocowałam na wyspie, to teraz na złość nie zamierzałam tego robić. Nie chce płacić — niech śpi pod poduszką, jego problem!

— Przecież nie będziesz się tam grzebać aż do zmroku, prawda?

— Uporam się w pół godziny! — Pod przysięgą obiecała zielarka, biorąc zawczasu przygotowaną żelazną szufelkę właśnie do grzebania w ziemi.

Obejrzałam się, (Kto nieobeznany z tematem — wiosłarz w łodzi siedzi plecami do kierunku jazdy) wypatrując dogodnego miejsca do zacumowania i jak tylko przymierzyłam się do odpowiedniego miejsca wśród sitowia, to nagle przed samym czubkiem łodzi wynurzyło się i z tryumfującym wyglądem czujnego stróża, walącego w dziurę w płocie na widok dwóch złodziejasków, zawisło nad nami znajome, czarne stworzenie.

Przeklęty refleks!!! Nie mogłabym, jak wszyscy normalni ludzie, zapisać i zdzielić go wiosłem!

A tak, łódź nie dopłynęła — po prostu rozleciała się na części, i to tak efektownie, jak gdyby pod jej dnem wybuchł bojowy pulsar. Rzeczy, na zmianę

z deskami, wiosłami i pasażerami poleciały w różne strony, buty, całkiem jak jaskółki wzbiły się w niebo, jak gdyby przywołało je do siebie jakieś bóstwo o niszczycielskiej mocy.

Stworzenie (sądząc po jego zaskoczonych mordzie, niespodziewającej się po nas takiej samo destrukcyjnej nikczemności) rzuciło się w bok i trochę dalej ze wstydu skryło się pod wodą.

— Wolha, nie umiem pły... — tragicznie zabalgotała zielarka.

„Widzę” — posepnie pomyślałam, nurkując jej śladem. Coś namacawszy (mając wielką nadzieję, że nie stworzenie albo jakiegoś obcego topielca), rozpaczliwym szarpnięciem wyrwałam to w górę na powietrze, sama idąc głową pod wodę. Trafiłam. Welka rozkasłała się i tak kurczowo uczepliła się mojej szyi, jakbym była boją, a ona próbowała usiąść na niej okrakiem). Woda szczypała w oczy i zalewała usta, ledwie zdążałam ją wypluwać, nie mówiąc już o wyraźnej deklamacji zaklęć. Najlepiej, na pewno, byłoby strząsnąć z siebie przyjaciółkę i wyrównawszy oddech, nałożyć na nią czar niezatapialności, ale nie mogłam zagwarantować, że zdążę to zrobić wcześniej, zanim ona zniknie pod wodą. I, że będę w stanie ponownie ją tam namacać. I dlatego, bohatercko zaciskając zęby, tonęłam w imię przyjaźni. Na razie zielarka (widocznie, zainspirowana moim przykładem poświęcenia się), nie otwierała zaciśniętej ręki.

Taki obrót sprawy całkiem mi nie odpowiadał. Zbyt pochopnie zmieniłam pozycję i... wetknęłam nos w sprzączkę od paska Welki.

— Wydaje mi się, że już nie tonę... — ze zmieszaniem oznajmiła przyjaciółka, przecierając oczy. Tak wspaniałe sukcesy w pływaniu wstrząsnęły mną do głębi i od takiej niespodzianki przestałam się szamotać w wodzie, i... usiadłam na dnie. Okazało się, że łódź rozpadła się przy samym brzegu wiru, skąd wyciągnęłam Welkę i wystarczyło parę zamachów wiosłem, żeby wydostać się na płyciznę. Zamiast tego, na długości pięciu sążni, odważnie walczyliśmy o życie nad odmętami o głębokości półtora arszyna.

— Pięknie, — mruknęłam i nie mając siły żeby się podnieść, na czworakach zaczęłam pełznąć do brzegu. Przyjaciółka, potykając się, poszła za moim przykładem.

Zwaliwszy się na trawę dwadzieścia minut przeleżałyśmy plackiem tępo patrząc na szybko zachodzące słońce. Potem Welka ze skrucą pociągnęła nosem:

— Wolha, przecież ja także zachowałam się nieodpowiedzialnie używając na łódce zaklęcia Arwaden, a tak naprawdę to dopiero zaczynałam je splatać...

Roześmiałam się i usiadłam. Zachód słońca, nawiasem mówiąc, był

niesamowicie piękny — szczególnie, jeżeli uwzględnić, że mógł stać się dla nas ostatnim. Woda, naśladując niebo, zabarwiła się wszystkimi odcieniami złotego i miedzianego koloru, do których już zaczęły dołączać się szkarłatny, malinowy i purpurowy. Nieprzemakalne buty znajdowały się gdzieś na dnie wiru, a miejscowe płotki z zainteresowaniem zapoznawały się z moją rozprawą naukową. Natomiast miecz jak dawniej wisiał w pochwie za plecami. Namacawszy rękojeść, z niesamowitą ulgą wzniosłam oczy ku niebu, żeby podziękować świętemu Fenduliju, ale przypomniawszy sobie jego złośliwą minę, powstrzymałam się.

Welka wyszła z katastrofy z jeszcze mniejszym uszczerbkiem — nie rozbierała się, a torbę na zioła, w której na wszelki wypadek wałało się kilka flakonów z lekami, jeszcze na pomoście przypięła do pasa. Wsuszyć się było sprawą paru sekund.

— I co teraz zrobimy? — Żałośnie zapytała zielarka. — Łódka się rozpadła, a rybaków w pobliżu nie widać... oczywiście mam wątpliwości, czy oni tutaj dobrowolnie by podpłynęli, ale dla takiej sprawy można i przymusowo.

— Będziemy musiały tu zanocować, — z westchnieniem zdecydowałam. — Rano pewnie będę w stanie dopłynąć do tamtego brzegu i wypożyczyć łódź, ale teraz chyba nie jestem zdolna do takiego wyczynu. A i fale coś się rozhulały.

— Nocować? Tutaj?! — Wpadła w przerażenie Welka. W szkole nie można jej było nawet zawlec na dwudniową wyprawę, uroki szałasów w zestawie z komarami całkowicie nie inspirowały mojej przyjaciółki.

— No, nie dokładnie w tym miejscu. Możemy pójść i poszukać ruin pustelni, dopóki jest jasno. Będzie przynajmniej dach nad głową. Jednocześnie...

— Wolha!!!

— Niech będzie, już milczę. — Wstałam i wyciągnęłam do Welki rękę. — Miejmy nadzieję, że ono nie zacznie dzisiaj wyć.

* * *

Jeśli bym na własne uszy (a co tam uszy, do szpiku kości przeszło!) nie usłyszała, co się tu nocami wyprawia, lepszego miejsca na odpoczynek nie mogłabym sobie wymarzyć, ani zapragnąć. Przy końcu łagodnie opadającego brzegu, idealnie nadającego się do rozpalenia ogniska, pieczenia szaszłyków i towarzyszącej im zabawy, zaczynała się luźno rosnąca brzezina, przechodząca w gęsty, świerkowy las. Dopóki Welka, wypatrzywszy jakąś bujnie rosnącą florę, wykopywała ją w upojeniu z ziemi, przespacerowałam się po lasku, żeby zbadać sytuację. Rozesłałam kilka impulsów, tak żeby przyjaciółka nie widziała.

Splotłam standardowe zaklęcie przywołania, prowokujące stwory do zawarcia bliższej znajomości z bezczelną wiedźmą, ale je oburzająco zignorowano. Zresztą, to jeszcze nic nie znaczyło — stworzenie mogło drzemać w podziemnym legowisku albo w ogóle posiadać odporność na zwiadowczą magię. Ale przynajmniej zwyczajnych upiorów, czy też harpii, jak i wilków z niedźwiedziami, można się było nie obawiać.

W zamyśleniu przeszłam się wzdłuż choinek, szukając między nimi jakiegoś prześwitu, ale z marnym skutkiem. Drzewa tak szczelnie posplatały się ze sobą kłującymi gałązkami, że nawet zającowi nie udałoby się przemknąć. Czyżby cały środek wyspy tak beznadziejnie zarósł?

Zwiadowczy impuls wykrył coś innego. Solidny płot ze świerków, gruby na trzy sążnie, a dalej pustka. Wyglądało na to, że dajny siali nie tylko „ziarna prawdziwej wiary”, ale i banalne szyszki. Tylko, w jaki sposób sami się przez nie przedostawali!

Przyłączyła się do mnie zadowolona ze swojej zdobyczy Welka. Przyjrzałam się i z oburzenia aż jęknęłam:

— To jest to twoje rzadkie zioło?!

— Aha. — Zielarka z błogim wyrazem twarzy, jak u młodej matki, tuliła do piersi ogromny krzak łopianu, z długim wykopanym korzeniem.

— Wel, a na pustkowiu za wsią całe połacie tego rosną, ze Smółką ledwie się przedarliśmy! Potem przez pół godziny spodnie z rzepów czyściłam!

— Tak? — Nieco zmieszana się przyjaciółka. — Że też i nie wiedziałam... Z mojej strony wsi on nie rośnie. Tylko spójrz, jaki wspaniały!

Potulnie pozachwyciłam się unikatowym egzemplarzem, uczynnie podsunęty pod sam nos.

— A choinki nie potrzebujesz?

— No, żywicę i nasiona wykorzystuje się do sporządzenia pewnych napojów... — na poważnie zamyśliła się zielarka.

— Tak, to wykop kilka sztuk, jednocześnie i drogę oczyścisz.

Welka znacząco pogroziła mi pięścią, mimochodem badając wzrokiem, nieprzystępny świerkowy las.

— A może zaklęciem rozsunać?

— Nie rozsunie się, zbyt ściśle się splótł. I pnie jakieś grube, złamią się. Trzeba szukać przełazu²⁴.

— Może, lepiej w brzeźniaczkę zanocujemy? — Nieśmiało zaproponowała przyjaciółka — Nie podobają mi się te choinki...

— Mi także. Dlatego trzeba popatrzeć, co też takiego znajduje się za nimi...

²⁴ **Przełaz** - miejsce umożliwiające pokonanie jakiejś przeszkody w trudnym terenie

dopóki stworzenie samo nie wylazło na nas popatrzeć.

Welka tęsknie spojrzała na jezioro. Niestety, odważnych rybaków, śpieszących na wyścigi nam z pomocą, nie było tam widać, a fale w stanowczy sposób atakowały brzeg. Zielarce nie pozostało nic innego, jak tylko dogonić mnie i iść razem ze mną, wzdrygając się na każdy dźwięk szmeru.

Czy dzisiejsze pasmo niepowodzeń wreszcie się skończyło, czy też wręcz przeciwnie, dopiero zaczęło nabierać rozmachu, a my jeszcze się tego nie domyśliłyśmy, ale po jakichś sto krokach natknęłam się na przejście — o wysokości około łokcia i dziesięciu werszkach²⁵ szerokości. Tuż nad samą ziemią, prawie równusieńko z nią, jakby z rozpędu przebiła je kula z roziskrzonym wnętrzem. Na amen szczepione gałązki nie pozwoliły przewrócić się ściętym pniom, a igły uschły przyciągając uwagę.

Dziwna dziura spodobała się nam jeszcze mniej, niż ogrodzenie.

— Jesteś pewna, że to główne wejście dajnow? — Roztrzęsionym głosem spróbowała zażartować Welka.

— Może zrobiono je w celu przejrzenia słynnego świątynnego wina. — Przeciągnęłam po gałązce palcem, która w mgnieniu oka wyłysiała. — Wejście nie ma więcej niż rok, w przeciwnym razie igły osypałyby się same, a pień zaczął gnić. Ale i nie mniej niż miesiąc.

— A wyc zaczęło mniej więcej pół roku w tył — zorientowała się Welka. — Myślisz, że to jest ze sobą powiązane?

Lubię opierać się na faktach a nie na czczych domysłach. Tak więc przywłaszczyłam sobie wątpliwy zaszczyt pierwszego podróżnika, dokładniej, pierwszego przełaza, na wszelki wypadek wystawiwszy przed siebie miecz.

Po tamtej stronie miecz znowu wrócił do pochwy. Za choinkami znajdowała się ogromna polana, zarośnięta po kolana burzanem²⁶, jak to bywa z porzuconymi ogrodami. Prawdopodobnie, niegdyś jej środek zajmował niewysoki pagórek, ale pustelnicy pracowicie obgryźli go w koło, zrywszy zbocze o łagodnym spadku aż do pionowych ścian, wysokich na półtora wzrostu człowieka i wzmocniwszy je murem z granitu. Pomiedzy dużymi kamieniami były wmurowane drobniejsze odłamki, układające się w oryginalne desenie — szczególnie wokoło niskich, na wzrost gнома, otworów. W jednym miejscu zachowały się nawet drzwi, a na wprost nas — przystawione do dachu schody, w postaci dębowej kłody z nacięciami.

Smok wcale tu aż tak nie napaskudził, pustelnia zawałiła się zaledwie w

²⁵ **Werszek** – stara rosyjska miara długości 1 werszek = 4,4 cm

²⁶ **Burzan** – (ukr. *Бур'ян* – burján) – wysokie, bujne zarośla roślin zielonych złożone przede wszystkim z chwastów: ostów i łopianów, występujące dawniej na stepach ukraińskich. Dziś w wielu miejscach Polski używa się jeszcze słowa burjan.
<http://pl.wikipedia.org/wiki/Burzan>

dwóch albo trzech miejscach. Widocznie, najbardziej ze wszystkiego przygnębiła dajnow zagłada świątyni, zbudowana ciężką pracą dającą się wyczuć w malowniczej stercie zwęglonych kłód porośniętych trawą i krzakami.

Sprawdziwszy impulsem, jeden z otworów pochyliłam się i czmychnęłam do środka. Korytarzyk o długości jednego sążnia doprowadził mnie do niedużego, dosyć przytulnego pokoiku z kominkiem, resztkami zbutwiałego dywanika na glinianej podłodze, szerokim stołem, zapomnianym na nim lichtarzem i z drewnianym łóżkiem z jednolitej kłody z góry do dołu obrośniętej wyblakłymi, niejadalnymi grzybami, na cienkich, krzywych nóżkach. Całkowicie nadające się na nocleg miejsce.

Przy wyjściu zderzyłam się z Welką.

— No i jak?

— Na razie nie znalazłam niczego co by się nadawało na nocleg.

— I dlatego nie mogłaś ograniczyć się do dwóch słów? — Westchnęła przyjaciółka. Tylko się uśmiechnęłam i balansując rękami, lekko wbiegłam po drabinie zbudowanej z okrągłych kłód.

— Oho! Welka, chodź tu szybko!

Zielarka, nie rozstając się ze swoim ukochanym łopianem, podeszła do ściany, zamknęła oczy i powoli uniosła się w górę.

— Przelot — powiedziałał uszczypliwie, zachwycając się jej piętami. Welka szybko skorygowała zakłęcie i opuściła się na trawę tuż za mną.

Wzgórze nie miało wierzchołka. Wewnętrzne zbocza płynnie schodziły w dół do leżącego pośrodku idealnie okrągłego jeziorka. Niedużego, o średnicy pięciu sążni, ale wyglądającego na niezgłębione, a za sprawą zachodzącego słońca — jakby wypełnione gryczanym miodem, ciemnym, lepkim i nieruchomym. Między brzegiem i zboczami pozostawał pasek równej ziemi porośniętej brzozaami.

— Jak pięknie... — Welka jak oczarowana ruszyła na obchód jeziorka, nie odrywając od niego wzroku.

W tym czasie odkryłam jeszcze coś ciekawego. Opadłam na kolana, obmacując ziemię świerzbiącymi koniuszkami palców. Jest! W dole brzucha poczułam znajomą, słodkawą i jednocześnie bolesną falę. Zresztą, nic w tym dziwnego — dajny celowo wybierają podobne miejsca na świątynie. Tutaj, zarówno ich modlitwy, jak i nasze zaklęcia, osiągają pomyślniejsze cele.

— Wel, tu jest energetyczny punkt. I jaka potężna moc!

— Tu też! — Ze zdziwieniem odezwała się Welka. — Akurat na nim stoję!

Podniosłam głowę, oceniłam odległość i szybko zamachałam przyjaciółce ręką, pragnąc jak najszybciej potwierdzić swój domysł.

— Podejdz jeszcze troszkę do przodu i policz kroki!

— Dlaczego? Oj, jeszcze jeden... Siedemnaście, ale jak to odkryłaś?!

— Domyśliłam się. A teraz — do mnie.

— Siedemnaście i pół. — Welka zatrzymała się tuż koło mnie, i z opóźnieniem do niej dotarło: — Naturalny trójkąt! Marzenie każdego maga — trzy symetryczne źródła mocy, nie trzeba czerpać z siebie, stawaj po środku i czaruj!

— I jak ty to sobie wyobrażasz? — Z niezadowoleniem spojrzalam z ukosa na ciemną wodę. — Obcej magii w centrum trójkąta, jak i koło twojej łodzi, nie należy używać, a tratwa, nawet na dwóch kotwicach, zacznie się kołysać i zaklęcie ulegnie destabilizacji albo wymknie się spod kontroli.

— Można byłoby osuszyć jezioro.

Welka podsunęła mi wspaniałą myśl:

— A można i wykopać. Popatrz jak gwałtownie urywa się dno. Albo ktoś już tu czarował i trochę przesadził w gorliwości, albo jezioro stworzono celowo, żeby nikt nie mógł skorzystać z trójkąta.

— Dajny?

— Możliwe. Pustelnia to nie świątynia gdzie kapłani rozmyślają o życiu duchowym, ale wolą świat materialny to znaczy sakiewki ufnych wiernych. Tu na pewno przebywali doświadczeni dajnowie i naprawdę obdarzeni czarodziejsk... boską mocą. Sami chyba nie byłiby w stanie przeprowadzać magicznego rytuału, ale przeczytać dziesiątki modlitw i rozpalić „biesz próbę” dalej od grzechu — to całkowicie zgodne z ich duchem. Żeby konkurentom, to znaczy nam, nie przypadło w udziale.

Zmartwiona Welka pokręciła się nad brzegiem i machnęła ręką:

— Może to i lepiej. Mało prawdopodobne, że ktoś natrafi na magiczny trójkąt, durniów wśród magów nie brakuje.

Zresztą, korzyść ze źródeł mimo wszystko była: szybko odnowiliśmy magiczną rezerwę i wróciliśmy na polanę, gdzie od razu poczułyśmy się bardziej pewne swoich sił.

Zanim zapadła ciemność zdążyłyśmy obejrzeć całą pustelnię — dokładniej, — ja po kolei łąziłam od celi do celi, a Welka stała przy wejściu, co jakiś czas interesując się, czy mnie już ktoś zjadł czy też nie. Niestety, niezmiennie ją rozczarowywałam, a kiedy dla żartu zaczęłam wyc, w odpowiedzi, przy wyjściu dostałam łopianem po karku. Wewnątrz wszystkie cele wyglądały jednakowo, różniąc się tylko ilością kurzu i pleśni. Najlepiej zachował się pokoik z drzwiami, więc go zajęłyśmy, naznosiwszy do środka świerkowych gałązek.

Przez cały dzień powietrze, ziemia i woda tak się nagrzały, że nawet

zmierzch nie przyniósł ochłody. Zanim wymościłam sobie legowisko, koszula przesiąkła potem, pokrzywy poparzyły mi bosc nogi, a za kołnierz nasypało się świerkowych igiełek. Na szczęście, na brak wody nie mogliśmy narzekać, wręcz przeciwnie. Ale wracać na brzeg wyspy mi się nie chciało — daleko, a do tego nie miałam ochoty znowu przechodzić przez dziurę, a potem szukać jej po ciemku. Będzie szybciej i wygodniej wykąpać się w położonym pośrodku wyspy jezioru.

Welka poszła razem ze mną, nie chcą narazić na pokusę nie raczącego podejść do nas stwora, gdyby ten namyślił się jednak porzucić swoje zaciszne legowisko i z zachwytem znalazł na polanie dobrze odżywną zielarkę.

Księżyc skrył się za kosmatymi chmurami, w słabym świetle gwiazd jezioro wydawało się czarną, bezdenną wyrwą. Wiało od niego źródlanym chłodem, tak że przez chwilę rozważałam wykąpanie się w wannie, ale postanowiłam ograniczyć się do szybciusieńkiego opłukania. Gdy tylko zaczęłam ściągać koszulę przez głowę, Welka krzyknęła:

— Wolha, spójrz tylko na to!

Koszula z pośpiechem wróciła na miejsce, a i kąpać mi się w jednej chwili odechciało: przez wodę przeświecały się na wpół przejrzyste kości smoka, blade promieniejąc od wewnątrz. Pomimo ogromnej głębokości, był widoczny każdy kręg — od długiej szyi do kolczastego ogona, owiniętego wokół ciała, — starannie złożone po bokach skrzydła i długa mordą, opierająca się na przednich łapach.

— Zobacz, jak dziwnie leży — szepnęła Welka. — Zwinął się w kłębuszek, jakby drzemał...

— A powinien był leżeć na pustelni. — Też z jakiegoś powodu ściszyłam głos. — Prawda jest taka, że już dawno temu powinien był rozpaść się na pojedyncze kosteczki. Sprawia jednak takie wrażenie, jakby zdechł pod wodą sam z siebie.

— Może, dajny mimo wszystko okazały wsi uprzejmość i zepchnęły ciało smoka do jeziora?

— Wtedy wieś do tej pory nosiłaby nazwę Wędzisko. A spróbuj ruszyć tę machinę, tu jedne kości przyszłoby się cały dzień ciągnąć!

— No, mag poradziłby sobie w parę godzin. Spójrz, nawet wszystkie kły ocalały! A ja, jak raz, na dniach ostatni kawałek zużyłam...

Smocze kły, a także kości, pazury i grzebień wchodziły w skład mnóstwa napojów, były wykorzystywane do hartowania mieczów i jako podstawa dla amuletów. Popyt na nie znacznie przewyższał oferty, gdyż żywe smoki odnosiły się do idei konfiskaty kłów nader negatywnie i magowie musieli zadowalać się

powypadanymi, zdobycznymi albo takimi, które utknęły w wyplutej zbroi, nie cieszącymi się takim wzięciem, smoczymi siekaczami. I dlatego kosztowały one dość drogo — uderzając każdego zielarza mocno po kieszeni.

— Spróbuję sięgnąć po kilka, — zdecydowała się Welka, podwijając rękaw i trochę szerzej rozstawiając nogi. Zmarszczywszy czoło, zielarka uważnie utkwiała wzrok w wodzie, dla dodania splendoru wyciągnawszy do niej rękę ze zgiętymi palcami. Po upływie kilka sekund dłoń zaczęła leciutko drżeć, obniżając się coraz niżej i niżej, dopóki bezładnie nie obwisła.

— Poddaje się, — zielarka wypuściła z płuc, wstrzymywane dotąd powietrze, wycierając kropelki potu z czoła. — Trzeba chyba razem ze szczęką, ale sama jedna takiej wagi nie pociągnę. Pomożesz?

— Oczywiście.

W wodzie zaklęcie ulegało dużemu rozproszeniu (woda w ogóle dobrze pochłania magiczną energię, aczkolwiek razem lżej było ową szczękę z niej wydobyć), ale jakoś udało mi się „zaczepić” smoka za górny oczny kiel.

— Raz, dwa — ciągnij!!!

Kły nadal siedziały martwym bykiem; widocznie, smok za życia zwracał się do cyrulików tylko w celach gastronomicznych. Nasze połączone siły zmusiły czaszkę do tego, że zaledwie nieco się uniosła i natychmiast plasnęła z powrotem, wzbiwszy mętny obłoczek mułu.

— Zaraza... — Potrząsnęłam dymiącą się dłonią. Czarować po takiej spiekocie było trudniej, niż nosić worki z ziemniakami.

— Nie rozumiem, co go trzyma? — Welka, uchwyciwszy się pnia brzozy, ryzykownie zwiesiła się nad wodą, próbując trochę lepiej przyjrzeć się upragnionym składnikom.

Za dobrze znałam to zachłanne spojrzenie — dokładnie z takim samym Kella, panicznie bojąca się wysokości, wchodziła na jakąś rzadko spotykaną jemiolę, albo na wierzchołek wysokiego na dziesięć sążni dębu, (ściągać ją musieliśmy razem z Lenem — on przez pół godziny namawiał ją do zeskoczenia na rozciągniętą pod drzewem narzutę a ja w tym czasie podstępnie nadłamywałam, przy pomocy magii, oblepioną przez zielarkę gałąź. A Welka tylko patrzeć jak zanurkuje!

— Może, jeszcze raz spróbujemy? Wzmocnimy przez zrównanie Szess, mamy dwie stałe, a wektor można by określić na oko...

— Po co się rozdrabniać, lepiej zaraz osuszmy jezioro — zażartowałam. — Dostaniesz swojego smoka w pełnym komplecie!

Nagle w pustych oczodołach zapaliły się zielone światełka, szkielet poruszył się, gwałtownie machnął skrzydłami i nabierając prędkości, rzucił się

ku powierzchni.

* * *

Ledwie zdążyliśmy się cofnąć, jak woda wystąpiła z brzegów jeziora, utworzyła falę dwa razy wyższą ode mnie i zwała się na nasze głowy, ogłuszając, odrzucając i wciskając nas w ziemię.

„Pełny komplet” z wyciem wzbil się w niebo, zakreślił łuk, złożył skrzydła za plecami i ze zdwojoną prędkością pomknął wprost w kierunku ziemi, w locie rozdziawiając paszczę.

Pierwsza się zorientowałam, że nurkować z powrotem do jeziora smok nie ma zamiaru.

— Welka, uważaj!!!

Język bezbarwnego falującego ogniem mirażu przeszedł między naszymi ciałami i ledwie zdążyliśmy potoczyć się w różne strony. Woda zagotowała się i wszystko zasnęła para.

Smok w ostatniej sekundzie wyprostował skrzydła i koszącym lotem przeleciał nad pagórkiem. Wyplunięta woda skierowała się z powrotem do jeziora, porywając mnie ze sobą. Wykręciłam się i spróbowałam ucześcić się rzadkich kępek trawy, pomagając sobie kolanami, ale napór wody był za duży. Lodowata woda nakryła mnie z głową i na arszyn wcisnąwszy w jezioro, zaczęła powoli wypychać z powrotem.

Rozwarłam pełne trawy garście i w zharmonizowany sposób machając rękami i nogami, rzuciłam się w górę do srebrzystego lustra powierzchni. W swobodnym nabraniu powietrza i rozejrzeniu się przeszkodził mi przenikliwy krzyk Welki:

— Wolha, nurkuj!!!

Nie pozostawiłam rady przyjaciółki bez odzewu i już przez wodę zobaczyłam, jak wylaniająca się trawa zaczyna się palić, jak gdyby była sucha. Poczułam jakby ktoś chlusnął mi wrzątkiem po plecach, które szybko ugasił źródłany chłód jeziora. Woda stała się jeszcze przyjemniejsza, ale zabierać się za mycie całkowicie mi się odechciało. Za drugim razem poszczęściło mi się lepiej: smok spróbował odejść na następny krąg, ale, nie zdążywszy nabrać wysokość, po ptasiemu zaczął skakać na krótkich, krzywych łapach, hamując łopoczącymi skrzydłami. Przepłynąwszy odległość kilku zamachów wiosłem, dotarłam do brzegu, złapałam za wyciągniętą nogę Welki (rękami zielarka na amen przylepiła się do brzozy; skłonić ją żeby rozwarła połączone palce mógł tylko widok, nawracającego w naszą stronę smoka) i wygramoliłam się na stały

grunt.

Brzozowe gałęzie szerniały i się skurczyły, drzewo jak gdyby zaczęło się topić, ale w ostatniej chwili rozmyśliło się i buchnęło płomieniem, od korzeni po wierzchołek. Na polanie zrobiło się jaśniej. Wreszcie mogłyśmy przynajmniej dostrzec atakujące nas stworzenie i dopiero wtedy rzeczywiście zrobiło się nam niedobrze. Smok był większy od naszego Lewarka półtora razu (prawda, wychudły i tyczkowaty, jak kot śmietnikowy) i składał się bynajmniej nie z samych kości. W powietrzu kości przestały się świecić, prawie zanikając za przezroczystym jak górski kryształ ciałem, rzucającym mglisty cień.

Spróbowałam zastosować zakłęcie nocnego wzroku — i zakłęłam. Smok całkiem zniknął. Pośpieszna dezaktywacja zakłęcia przyniosła jeszcze większe rozczarowanie, gdyż gad nie tracił na darmo czasu i już radośnie rozdziwiał paszczę w odległości o jakiś sążeń ode mnie, proponując do wyboru dwa rządy wartościowych składników. Nie namyślając się długo, chytrze wyrzuciłam do przodu rękę, wkładając w cios czystą nie uformowaną w zakłęcie siłę. Zębata morda odskoczyła, jakby od wymierzonego policzka. Stworzenie zakrzusilo się płomieniem i rozkaszało kłębami czarnego dymu. Nachyliłam się i dałam nurka między jego łapy. Przemknawszy pod brzuchem, zaczęłam wdrapywać się na górę po zboczu... gdy nagle zauważyłam Welkę, z wielkim powodzeniem udającą posąg z bladozielonego marmuru, wkopany na brzegu jeziora.

Nabrawszy tchu, smok gniewnie zaryczał i przestawił się na bardziej uległą zdobycz. Zielarka z zimną krwią czekała, aż obróci w jej stronę głowę, a wtedy celnie chlusnęła mu w oko z jakiegoś flakoniku, po czym z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku zaczęła osuwać się w omdleniu na ziemię. Przeszkodziłam pomyślnemu zakończeniu tej sprawy, wyrwawszy przyjaciółkę za kołnierz spod nowego strumienia płomienia — na szczęście, puszczonego na oślep. Parę wymierzonych Welce policzków żywo pomogło jej się otrząsnąć i nie czując pod sobą nóg, ręka w rękę pomknąć ze mną na szczyt wzgórza. W ślad za nami leciało straszne wycie, łopotały skrzydła i smagał po ziemi ogon, pozostawiając odczuwalne drzenie pod naszymi nogami; zdaje się, że radykalne, uzdrowicielskie metody Welki nie wprawiły smoka w zachwyty. Oczywiście, na honorarium również nie miała co liczyć. Osiągnawszy skraj pustelni, nie namyślając się długo, zeskoczyłyśmy w dół. Rzuciłam się do swojego miecza, nieopatrznie wetkniętego w ziemię koło pustelni, a Welka (widocznie, z inercji) — do leżącego obok łopianu. Zresztą, atakować smoka jednoręcznym mieczem odważyłby się tylko jakiś dureń, nacytawszy się bajek, tak że szanse zabicia gada posiadanymi na podorędziu środkami były u nas (mnie i zielarki) mniej więcej równe.

Smok nadleciał szybciej, niż się spodziewaliśmy. Z lekkim wiatrem przeleciawszy nad naszymi głowami, dźwięcznie grzmotnął o ziemię i widząc, że zdobycz lada chwila zniknie w wąskiej dziurze pustelni, rzucił się naszym śladem, z pośpiechu przebierając łapami w miejscu.

Na progu przyhamowałam, wyrwałam Welce leczniczy łopian, zamachnęłam się i rzuciłam nareczem w rozdziawianą do kolejnego płomiennego wybuchu paszczę. Zielarka żałośnie jęknęła, smok odruchowo zamknął szczęki i natychmiast zaczął rozpaczliwie pluć. Popchnęłam osłupiałą Welkę w plecy, zapędzając do wejścia i dałam nurka jej śladem.

Gdy tylko przemknęłyśmy korytarzem i oparłyśmy się o ściany po obu stronach otworu, za nami wdarł się falujący ognisty miraż, docierając prawie do środka celi. Nasze boki oblało gorąco, a prowizoryczne leżanki zapłonęły wysokim, trzaskającym płomieniem, wyraźnie oświetliwszy celę.

— W ostatniej chwili... — Welka wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze i trzymając się ściany, powoli usiadła na podłodze.

— Aha. Cofam wypowiedziane przez mnie słowa, wyjątkowe zioło i naprawdę zasługujące na najwyższą pochwałę!

Zielarka ponuro spojrzała na mnie z ukosa, ale nic nie powiedziała. Na zewnątrz wściekle zaryczał smok, także obrażony w swych uczuciach.

— Może wytłumaczysz mi, Mistrzu praktycznej magii, co to za paskudztwo?

Także usiadłam, objąwszy kolana rękami:

— Oceniając po wszystkim, cmentarne ghyriszcze w parze z zachłannym umarlakiem.

— Co?

Uspokoiwszy się, doprowadziłam myśli do porządku i spróbowałam wytłumaczyć bardziej zrozumiale:

— Po wsi chodzą słuchy, że w okolicy dzieje się coś niedobrego — ludzie giną bez śladu, samopas ulatuje domowe bydło... i mam takie niedobre przeczucie, że te niewinne psoty obciążają sumienie tej miłej jaszczurki na zewnątrz, bawiącej się przy pustelni. Za dnia siedzi w głębinie, a nocami przyprawia skrzydła krowom, a też i pechowym przechodnim. Poluje daleko od swojego legowiska, żeby nikt niczego nie podejrzewał, a zauważyć go w locie jest praktycznie niemożliwe...

Zacięłam się, dając się wypowiedzieć trzeciemu uczestnikowi „czulej” rozmowy. Po ściankach korytarza skrobnęła pazurzasta łapa, potem dało się słyszeć wyraźne sapanie i nad podłogą zakłębił się wzbity kurz. Ku wielkiemu zmartwieniu smoka, na tym jego możliwości się wyczerpały. Pluć grudkami

plamieni od zderzenia z przeszkodą, rozchodzącymi się we wszystkie strony, widocznie, nie umiał, a tak w ogóle szczególnym rozumem się nie odznaczał — nasz Lewarek nie zniżyłby się do wydłubywania ludzi z podejrzanych dziur i już tym bardziej nie zacząłby się tak szczerze wściekać ze złości. Smok — istota chytra, zdradziecka i cierpliwa, znajdzie tysiąc innych sposobów na zepsucie wam życia.

— Tu by tego starostę, — w gniewie rzuciła Welka. Zielarka wiedziała, że smoki praktycznie są odporne na zaklęcia, a warstwę łusek przebija tylko ciężki, dwuręczny miecz albo harpun balisty. Przy użyciu strzał i zwykłych mieczy istnieje niewielka szansa na osiągnięcie celu — w dolną szczęką, w podstawę skrzydeł i łap, których smok, oczywiście, woli nie demonstrować agresywnie usposobionym do niego rycerzom i magom. — Niech by on tego gada „jednocześnie” zdechnął agitował... Słuchaj, załatwmy temu stworzeniu niestrawność ze skutkiem śmiertelnym? Mam w torbie klika przeterminowanych eliksirów, jeżeli je zmieszamy i wzmocnimy kilkoma zaklęciami...

— Mamy jeszcze jeden problem, Wel, — przerwałam z westchnieniem.

— Jaki?

— On i tak zdechł.

* * *

— A mówiliście — nie przyda się! — Gdyń triumfująco odczepił od koziej głowy kolejnego raka i wrzucił go do łodzi.

Starosta tylko westchnął. Tą frazę setnik powtarzał po wyciągnięciu kolejnego trofeum przepuściwszy tylko jeden raz, kiedy któryś rak wymyślił sposób wywinięcia się — capnąć rybaka za palec i zdezerterować z powrotem do wody. Zresztą, wtedy Gdyń także nie zmilczał...

Będący w pełni księżyc wyraźnie posrebrzył taflę wody, która do północy zdążyła się uspokoić. Dookoła płycizny w kształcie klina, zawalonej naniesionymi przez prąd rupieciami — kłującymi ścięgnami wodorostów, gałązkami, sitowiem i dumnie sterczącym w centrum pniem — mieniły się maleńkie fale. Na pniu, z wyrazem męczeńskiej boleści na twarzy, siedział dryblas w czerwonej koszuli, zastanawiając się, czy dwa tuziny raków zdoła zbawiennie wpłynąć na nastrój małżonki, która pewnie już z godzinę temu wróciła z gościny i odkryła, że mężowska krzątanina w domu ograniczyła się do poszukiwań i późniejszej kradzieży dokładnie schowanej przez nią butli samogonu.

— A mówiliście!

Na dnie łodzi zaczął się ruszać jeszcze jeden rak. Starosta podkulił nogi i spojrzął z ukosa na wyspę, która z dala wydawała się czarną zębatą skałą z góry oblaną srebrno-zielonym fosforem. Do brzegu, na którym leżała wieś było jeszcze dalej, ale wcale nie wyglądał przytulniej — wysypisko sączących się przez okna światełek i ognisko na przystani robiące za latarnię morską, specjalnie dla amatorów nocnego połowu ryb.

Pomału wszystkie raki, które skusiło wiedźmie trofeum przeniosły się na łódź i Gdyń zatęsknił za następnymi.

— Może, zmienimy miejsce? — zaproponował, łapiąc za wędkę i krytycznie badając z lekka poskubaną przynętę. — O tam, na płyciźnie, także dobrze biorą, jeśli od zawietrznej strony można by się zatrzymać...

Dryblas w milczeniu przelażł na wioślarską ławę, Gdyń wygodnie usadowił się na rufie, udając, że nie wie nawet, do czego służą wiosła, a już na pewno, że nie umie z nich korzystać. Starosta zaczął wyciągać kotwicę — brukowiec, obwiązany na krzyż sznurem.

Ale nie zdążył ani razu przesunąć rękami po mokrej linie, gdyż jej drugi koniec, który był przywiązany do białego z przodu łodzi kółka, jak raz zadrzał w krzywce i wężykiem pomknął z powrotem.

W następnej chwili łódź dotknęła dziobem tafli wody, jednocześnie wierzgnąwszy rufą nie gorzej niż kobyłka wiedźmy i strząsnąwszy „jeźdźców” na swoje dno, rzuciła się do przodu, to wyskakując z wody, to przeorując ją głęboką bruzdą, od której rozchodziły się bałwany piany.

Napreżony sznur wibrował jak struna. Jeśli któryś z bogów i słyszał wezwania pod swoim adresem, to jakoś nie śpieszył się na nie reagować, jawnie nie wierząc podejrzenie hojnym obietnicom, składanym w zamian za udzielenie pomocy, takim jak: rzucenie picia i szlajania się za dziewczkami, naprawienie żonie wszystkich beczulek, i wypłacenie, pierwszemu spotkanemu magowi nie dwudziestu, a całych stu kładni.

Dryblas, gorliwie udawał monotony myśliwski róg, przerywając tylko dla nabrania oddechu, setnik nie porzucił nadziei namówienia kapryśnego bóstwa (widocznie, jeszcze nie wiedzącego, że łatwiej spełnić prośbę Gdynia, niż się od niego uwolnić), starosta cichuteńko leżał na samym dnie łodzi, wśród mściwie szczypiących raków i z zimną krwią (gdyż wyżej wymieniony płyn stygł w żyłach wszystkich trzech) zastanawiał się nad sytuacją. Rusalki, jeśli i wpływały do Pstrąga, ograniczały się do handlowych kontaktów z miejscowymi kupcami i na podobne wyskoki sobie nie pozwalały. Wodnik, nędzny stwór z gębą jak kępa trawy czasami wypełzający na płyciznę i żebrzący u rybaków o ćwiartkę²⁷,

²⁷ **Ćwiartka** – pół litra alkoholu

nie dałby rady pociągnąć łodzi z trzema wielkimi chłopami. Wir, miejscowego kozojedcy został wiorstę dalej, a podobnych grzeszków nie należało się po nim spodziewać. Co innego dla zwykłego kaprysu wywrócić łódź, a potem złośliwie poryczeć na nieboraków poddanych przymusowej kąpieli, żeby rękami i nogami przebierali wesoło — owszem, zdarzały się takie rzeczy. W takim razie, co to może być? Starosta, co prawda słyszał, że w morzu za Elgarem żyje straszna ryba-zwierzę z tysiącem kłów, ale należy do rodzaju tych, co wolą połykać rybaków żywcem, niż z wietrzykiem pchać ich po rzece. Czyż może jakiś niedobry sum skusił się na kamień wiszący na sznurze?! Być może poszarpie się, poszarpie i zdechnie. Jednocześnie i ogromną rybę zdobędą, do domu zawłoką, nasolą, owędzą... Starosta aż się oblizał, mocniej uchwycił się burty i przymrużył oczy. Z takiego powodu, chyba i warto po cierpieć!

Cierpieć, właściwie, przyszło się całkiem krótko. Dno łodzi ciężko zaskrzypiało po kamienistym dnie, a potem sunąc, z całej siły wyrznęło w coś twardego i zadrżawszy z trzaskiem się zatrzymało. Wokalny akompaniament migiem ucichł. Chłopi, którzy w pierwszej chwili przygotowywali się do odbycia wycieczki do nieba teraz gorączkowo się zastanawiali — zabiorą ich tam mimo wszystko czy też nie.

W końcu Gdyń z lękiem uniósł głowę znad burty i czknął ze zdziwienia.

Łódka tkwiła w ziemi, w odległości pięciu sążni od brzegu. Rolę hamulca odegrał przysadzisty dąb. Ciągający łódź „sum” z rozpędem... przeskoczył przez pień, zostawiwszy w nim ogromną dziurę, w którą łódź się jednak nie wpasowała, na szczapy zdruzgotawszy dziób. Po tej stronie poniewierał się kamień, już bez zawiązanego sznura, z czterema wyraźnymi wgnieceniami, od których wiły się pęknięcia.

A właściwie to dąb rósł na brzegu wyspy.

* * *

— Oto dlaczego — zajęczała zielarka, — nie uczyłam się na magapratyka! Wy w sytuacji „gorzej już być nie może” zdolni jesteście tylko radośnie zapewnić, że często nawet bywa jeszcze gorzej, a co więcej, że teraz właśnie będzie gorzej! I jeszcze niechętnie wytłumaczycie, jak to właśnie teraz zrobiłaś!

Rzeczywiście nie znosiłam dzielić się swoimi domysłami:

— Przypomnij sobie systematykę: plugastwo bywa warunkowo żywe — te, które zdolne jest do rozmnażania się, ma ważne dla życia organy i mniej więcej typowy metabolizm — upiorne i właściwie martwe są: zombi i umarlaki. Do

zjawy, zgodzisz się, nie podobny, lecz zakłęcie nocnego wzroku, oparte na aurze żywych komórek, nie podziałało na niego!

Co jak co, ale na pamięć Welka nie narzekała:

— A aksjomat Oleszera? Umarlaki takiego dużego rozmiaru są niestabilnie i oprócz pożywienia do utrzymania realnego kształtu, potrzebują stałej magicznej pożywki. I jeszcze żadnemu magowi nie udało się ulepić zombi ze smoka!

— Ponieważ nie mieli trójkąta — szybko zaprotestowałam, bojąc się zgubić myśl. — Magiczny środek przypada jak raz na centrum jeziora, a co jeszcze jest potrzebne umarlakowi do szczęścia?!

— Parę dziewczyn na deser — westchnęła zielarka i nagle się zaniepokoiwszy, zauważyła: — Coś zanadto cicho!

Smok w rzeczy samej przestał, jak wyraziłby się jeden znajomy troll, „uwijać się nad klientem”. Na zewnątrz zapanowała niezwykła i dlatego złowieszczą cisza. Leżanka wypaliła się aż do słabo żarzących się węgielków, w gardle drapało od dymu, powoli cofającego się w czarną dziurę wejścia. Dostrzec, co dzieje się na zewnątrz było niemożliwe.

— Jak myślisz, on tam jeszcze jest? — Welka oczami pokazała na otwór.

Sapanie ucichło, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło — smok nie potrzebował powietrza, korzystał z systemu oddechowego tylko do wytrysku płomienia, węszenia albo przedstawienia zwinnej zdobyczy swojej uczciwej, bezstronnej opinii.

Niezdecydowanie wzruszyłam ramionami: Z jednej strony, stwór odznacza się bezgraniczną tępotą z drugiej — rzadkim uporem i tak po prostu ze zdobyczy nie zrezygnuje — czy też nie przestawi się na inną. A w połączeniu ze smoczą zawziętością...

Zielarka, zdecydowawszy się, głęboko westchnęła, zmrużyła oczy i przebiegła na moją stronę celi.

Żadne sprzeciwy ze strony smoka nie nastąpiły. Czy naprawdę wyniósł się do siebie, czy też wyczekiwał bardziej sprzyjającego i lepszego momentu, żeby potraktować nas ogniem. Smoczy płomień nie da się strząsnąć nawet z żelaznej zbroi, nie mówiąc już o odzieży. Welka bardzo ryzykowała, ale szczekać zębami w pojedynkę było jeszcze straszniej.

— Mamy dwa wyjścia — stanowczo oznajmiłam, podnosząc na duchu przyjaciółkę, a jednocześnie (żeby tego starostę leszy wziął!) i siebie. — Pierwsze — poczekać do rana. Może promienie słoneczne zapędzą go z powrotem pod wodę.

— Może?

— Nie gwarantuję. Nie wszystkie nocne stworzenia boją się światła. Daleko nie szukając: strzyga, zatraciwszy się, może kontynuować pościg i za dnia, a upiór wraz z nastaniem świtu oślepnie i pozostanie w tyle.

— A drugie wyjście?

— Wyjść i natłuc smoka po mordzie, żeby mu się raz na zawsze odechciało.

— Bardzo śmieszne — mruknęła Welka.

— Nie żartuję. Gdybym miała masywny miecz i ogniotrwałą zbroję, można byłoby zaryzykować.

— W torbie mam maść przeciwko oparzeniom — przypomniała sobie zielarka. — Wczoraj przy jej pomocy wyjmowałam z węgla ziemniaki, jednocześnie i... tfu, mnie od tego słowa już trzęsie! Ogólnie, maść daje niewielki odmładzający efekt.

— „Salamandra”? Wspaniale, dawaj ją tu. Teraz ten gad zatańczy tak, jak mu zagramy!

— Ty tak na poważnie! — Przeraziła się Welka.

— Nie, po prostu idę na zwiad — uspokoiłam przyjaciółkę, otwierając szczelnie przytwierdzoną pokrywkę. Do spalenizny dołączył ostry zapach mięty. — Jakby co, ona wytrzyma jeden smoczy oddech. Sprawdzaliśmy to razem z Lewarkiem, nie mając nic lepszego do roboty. Potem przez dwa tygodnie perlówkę²⁸ po lekcjach przebierałam, gdyż wpadłam na pomysł, żeby przeprowadzić ten efektowny eksperyment przy ścianie szaletu, na skutek czego cała Szkoła przez kilka dni wstydliwie korzystała z okolicznych krzaczków... Od tamtej pory nie mogę patrzeć na tę kaszę!

Szczodrze posmarowawszy twarz i włosy szczypiącym skórę śluzem, rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś półeczki albo występu — żeby umieścić na nim słoiczek, póki będę nacierać ręce. I utkwiałam spojrzenie w ścianie celi, dopiero teraz zwróciwszy uwagę na ozdabiającą ją płaskorzeźbę. Nic szczególnego, gruba, gliniana sztukateria, wypłowiała i obłupana. Taka, jakie widziałam w innych pokojach. W rogach — symboliczne oznaczenia czterech bogów: klonowa gałąź, wyskakująca z wody ryba, mocno rozgałęziona błyskawica i ptak z rozpostartymi skrzydłami. Na środku, w miejscu kolejnej pouczającej sceny z żywota świętych, wzrok przyciągał szczegółowy plan pustelni.

Jednocześnie pstryknęłyśmy palcami. Po bokach płaskorzeźby zapaliły się dwa pulsary — złocisty i zielonkawy.

— Spójrz tylko, wcześniej żadnych choinek tu nie było — prosta palisada z

²⁸ **Perlówka** – kasza perłowa in. pęcak, pęczak

bramą — zauważyłam w zdumieniu.

— A jezioro zaznaczone, przy czym razem ze źródłami! — Pulsar Welki przesunął się do samej ściany. — Zaczekaj, a to co?

— Podobne do runy. — Pośliniłam palec i potarłam podejrzany skrawek w centrum płaskorzeźby. — Tylko, jakiej?

— „Łowy”? — Założyła Welka, zaglądając przez moje ramię.

— Chyba nie, o tu, zdaje się była kreseczka — trochę niżej punkt po niej został. „Tchnienie”?

— Bardzo specyficzne, trzeba zauważyć, — chrząknęła przyjaciółka. — Stój, a jeśli to nie łuk, lecz kółko i do tego jeszcze przekreślone? Wtedy wychodzi...

— „Odźwierny”, — uprzedziłam. — To już bardziej prawdopodobne! O ile dobrze pamiętam z kursu teologii, najcenniejsze relikwie dawniej pieczętowali zaklęciem... tfu, modlitwą do Odźwiernego, ducha — stróża czterech niebiańskich tablic. W większości przypadków to zaledwie widowiskowy obrzęd, ale, jeśli zuchwali pustelnicy uznali, że zasługują na zaszczyt, aby zapalić pentagram, dla pewności wezwać prawdziwego demona i zainstalować go w smoczych kościach?

— Odźwiernego, — odruchowo poprawiła, Welka. — Ale, na co był im potrzebny taki wściekły smok? On przecież w ogóle nikogo do jeziora nie dopuszcza! Coś oni przealchemicyli ze swoimi modlitwami...

W zamyśleniu zadrapałam paznokciem brzeżek płaskorzeźby.

— Popatrz, ile warstw farby. Ona ma ze trzydzieści lat, nie mniej. A „wyć i huczeć” zaczęło całkiem niedawno.

— Odchodząc, pustelnicy mogli nałożyć na Odźwiernego powstrzymujące zaklęcie — zaproponowała Welka, — które z czasem osłabło albo w ogóle przestało działać.

— Może. Ale tak aktywnie czuwający stwór nie może długo obchodzić się bez jedzenia, w przeciwnym razie jego ciało zacznie się rozpadać. Chyba, że dawniej codziennie rzucali w jezioro po krowie albo ochotniku, a śpiący twardo jak kamień na dnie Odźwierny do niczego nie był im potrzebny. I tym samym zdechły smok, jak raz stał się przyczyną ich... hm... pośpiesznego odjazdu.

Pustelnia zadrżała z takim hukiem, jakby przeszło po niej, niewidziane w tych stronach przez całe życie, trzęsienie ziemi. Kawałek obitego deskami sufitu runął w to miejsce, gdzie jeszcze minutę temu stała Welka i natychmiast zniknął pod wysoką górką ziemi. Płaskorzeźba w mgnieniu oka pokryła się rysami i z cichym szelestem obsypała się na podłogę, drobnymi, glinianymi okruszkami.

Z przerażeniem wymieniłyśmy spojrzenia.

Czy też smok przypomniał sobie doświadczenia, jakie miał za życia w kontaktach ze zdradzieckimi pustelnikami, czy też na nowo domyślił się, że załamać wierzchołek pustelni o wiele lżej, niż rozdzierać umocnione kamieniami i belkami wejście.

* * *

Starosta i dryblas ponuro obserwowali, jak Gdyń sapiąc, stara się wyjąć zaklinowane wiosło z dulki. Na cóż mu ono miało się przydać, setnik i sam sobie nie był w stanie wytłumaczyć, ale zasada „przyda się” jeszcze nigdy go nie zawiodła. Łódka w ogóle to należała do starosty, ale ten pochopnie powiedział, że, niby to jego oczy, większego koryta jak te nie widziały i przegapić takiej możliwości chciwy setnik w żaden sposób nie mógł.

— Byleby wiosła były, to łódź się naprawi! — Triumfująco sapnął Gdyń, zarzucając na ramię wiosło, które w końcu się poddało. — No to, idziemy, o co chodzi?

— Dokąd? — Ponuro mruknął dryblas. — Musimy tutaj do świtu koczować, dopóki rybacy na połów nie ruszą! Po ciemku to nawet nie ma, po co nawoływać, nikt nie odpłynie. Dobrze będzie, jeśli za dnia jakiegoś chłopaka, który zechce się wykazać brawurą, nakłonimy.

— To przynajmniej w tym lasku nazbieramy chrustu, rozpalimy ognisko i wysuszemy odzież. — Gdyń niedbale machnął wiosłem na brzezinę i go zatkało.

Między lasem a chłopami — pojawiwszy się dosłownie z znikąd i jak gospodarz rozstawiwszy rude, muskularne łapy — stał, ogromny czarny pies z nie mrugającymi oczami.

— D-d-dobry piesek — z krzywym uśmiezkiem wydusił Gdyń, oglądając się w poszukiwaniu wsparcia, ale koledzy, tchórzliwie schowali się za jego plecami, uczciwie zakładając, że psina rzuci się na najbliższego burzyciela spokoju i być może, to nim się nasyci.

Bestia wyszczerzyła się pożądliwie, pokazując wszystkie trzy setki kłów (być może, starosta i pomylił się o dwa tuziny, jednak na ogólne wrażenie to nie wpłynęło), a następnie nie wydając żadnego dźwięku zerwała się z miejsca, ale nie na wprost przed siebie, a po łuku, zachodząc chłopów z boku.

Zranieni w samo serce taką perfidią, zgodnie zaczęli przeraźliwie krzyczeć i doznawszy zupełnie słusznej chęci znalezienia się gdzieś dalej, natychmiast i nader energicznie przystąpili do jej realizacji.

Pies rzucał się to w prawo, to w lewo i chociaż już ze sto razy mógł capnąć kogokolwiek bądź za kostkę, nie dostarczył sobie tej kulturalnej przyjemności, ukierunkowanie zaganiając mężczyzn do dziury w choinkach. Kiedy wreszcie szczęśliwie do niej trafili, gwałtownie zahamował i usiadłszy na kusym ogonie, westchnął z ulgą, zupełnie jak człowiek.

* * *

Smok, po szturmowaniu skokami wzgórza, zrobił przerwę i znowu zaczął się naprzeciwko wejścia, jak kot przy mysiej norze, z rozdrażnienia kręcąc ogonem i od czasu do czasu, profilaktycznie ziejąc w korytarz płomieniem. Wierzchołek wzgórza przeobraził się w czarne wgłębienie, ale przekłete człowieczki schowały się w ocalały zakamarek, obok samego przejścia, gwałtownie kaszląc, jednakże nie pragnąc wychodzić na świeże powietrze, co doprowadzało smoka do jeszcze większej wściekłości.

Obudzony przez ludzi, zew natury u smoka robił się coraz to głośniejszy i bardziej natarczywy i nakazywał mu w pierwszej kolejności zniszczyć nieproszonych gości. Wiedźmy znalazły się w nieodpowiednim miejscu, o nieodpowiedniej porze i powinny za to zapłacić najwyższą cenę.

Smok rozpostarł szeroko skrzydła, jak bocian wygiął szyję, odrzuciwszy głowę w tył do samych pleców, zaniósł się bezdźwięcznym wizgiem, poruszającym liście. Ale usłyszał go tylko ten, komu był on przeznaczony.

I w tym momencie, w wypięty smoczy tył z rozpędem wyrznęło trzech rozdzierająco wrzeszczących mężczyzn.

Nie od razu zorientowawszy się, o co chodzi, uczestnicy zderzenia tępo spojrzeli na siebie nawzajem, po czym zdumiony taką bezczelnością smok, jak jaskółka podfrunął do w połowie zrujnowanej pustelni, (tak jak szlachetnie urodzona panna na widok trzech myszek wskakuje na krzesło), a krzyki Gdynia wzniosły się na ultradźwiękową tonację.

Zrozumiawszy, że na świętość targnęli się raptem kolejni łajdacy, stworzenie wyrażając niezadowolenie zazgrzytało zębami i zjadliwie sycząc zionęło na sprawców obrazy. Niestety (zależy, z której strony patrzeć, oczywiście), nerwowy wstrząs przeszkodził mu dobrze wycelować i płomień przeszedł górą, osiadłszy na piórze pionowo zadartego wiosła. Przez parę chwil, Gdyń z kolegami z powodzeniem przedstawiali słynny, złotem tkany gobelin „Święty Knarij i jego dwaj uczniowie przynoszą ludziom boski ogień”, ozdabiający główną starmińską świątynię, ale potem „święty” z trzaskiem zawałił misję dostarczenia płomienia wdzięcznej ludzkości, upuściwszy wiosło i

razem z „uczniami” rzuciwszy się tam gdzie oczy poniosą.

Na szczęście, oczy mężczyzn kierowały się w różne strony i na razie smok gorączkowo zastanawiał się, kogo by wyróżnić. Z pustelni, chwiejąc się, wyskoczyły na wpół uduszone od dymu, powalane ziemią i spalenizną dziewczyny. Ruda, gwałtownie kaszłąc w rękaw, mieczem wskazała przyjaciółce na przejście w ogrodzeniu. Innego wyjścia istotnie nie było, ale zielarki ono nie natchnęło — między nim a dziewczynami szalał smok, kręcąc się jak bąk we wszystkie strony. To tu, to tam, ciemność rozcinały wysokie języki płomieni, ale mężczyźni biegali znacznie lepiej niż wiosłowali, tak że cierpiało głównie świerkowe ogrodzenie, które płonęło już w kilku miejscach.

Wreszcie ciemnowłosa zdecydowała się i pochyliwszy się zaczęła obchodzić na palcach pochłoniętego polem ostrzału smoka. Ruda z napięciem obserwowała, z jakiegoś powodu nie śpiesząc się podążyć za jej przykładem i niebezpiecznie wysunęła się na otwartą przestrzeń.

Do wyjścia pozostawało nie więcej niż pięć sążni, gdy nagle smok, jak gdyby go ktoś potracił w bok, obrócił w stronę zielarki, wąską, wyciągniętą mordę i do tego z takim złośliwym uśmiechem, jakby cały ten zamęt był wszczęty tylko w jedynym celu — wywabić dziewczyny z pustelni.

Zielarka się cofnęła i potknąwszy się, z krótkim okrzykiem upadła na ziemię.

Gad, triumfująco klasnąwszy skrzydłami, rzucił się do niej i... przeraźliwie ryknąwszy przebiegł obok. Wiedźma z zakłopotaniem opuściła rękę, świecące niebieskawo strzepy wsiąknęły z powrotem w jej cienkie palce.

Za smokiem, zapierając się wszystkimi czterema łapami, co jednak nie przynosiło żadnego efektu, ciągnął się czarno-rudy pies, zaciskając kły na cienkiej części ogona, między łuskowatym koniuszkiem, a jego kolczastą, górną częścią. Sądząc po patrzących z beznadziejnością, zmrużonych psich oczach i wytrzeszczonych smoczych, ani gryząca, ani gryziona strona nie odczuwała z tego procesu najmniejszej przyjemności.

Zakreśliwszy dwa pełne koła dookoła pustelni, smok wreszcie wpadł na myśl, by zmienić taktykę i zatrzymawszy się, gwałtownie smagnął ogonem po najbliższej brzozie. Pień rozleciał się na pół, hojnie trysnąwszy drzazgami. Liściasty czubek zwodniczo, powoli przechylił się na bok i z szelestem osunął się na ziemię. Pies, który wydawałoby się, powinien stać się rozgniecioną na miazgę malowniczą plamą, jakimś cudem utrzymał się na smoczym ogonie, ale po kolejnym machnięciu zdecydował, że tej dobroci na razie wystarczy. Otworzywszy szczęki, psina z kocią zręcznością wylądowała na wszystkich czterech łapach, z niezadowoleniem machnęła łbem i podkuliwszy pozostałość

ogona, czmychnęła do jednej z cel pustelni.

Chwilę później wpadła tam nieszczęsna trójca, która z przestrachu nie potrafiła znaleźć dziury w choinkach i pomiotawszy się po polanie, znowu zbiła się w jedną gromadę.

Smok szczęknął zębami w ślad za nimi i wydaje się, że nie chybił — rozległ się trzask, rozdzierający duszę krzyk i całe towarzystwo kupą zważyło się na podłogę.

— Moja noga! — jęczał Gdyń, znalazłszy się na górze. — Ten gad odgryzł mi nogę! I to jaką! Sam ciosałem, miała tylko dziesięć lat, wcale nie była znoszona!

— Niech by się nią udławił... — marzycielsko powiedział starosta, próbując wyleźć spod dryblasza.

Drewienko istotnie nie przypadło smokowi do gustu — rycząc z oburzenia kręcił się w miejscu i drapał mordę łapami, wydłubując z zębów drzazgi. Podczas gdy Gdyń zawodząc badał wyrządzoną mu szkodę, dryblas ustalił, że ich straty nie ograniczyły się tylko do nogi — razem z małokaloryczną kończyną w smoczym żołądku zakończyła swoją ziemską drogę tak niezbędna w gospodarce kozia głowa. Z worka, w którym zwisała przy pasie u setnika, została tylko nierówno odgryziona gardziel. Powiedzieć o tym Gdyniowi dryblas się nie odważył, słusznie się obawiając, że w przeciwnym razie setnik w ogóle nie da im żyć swoim biadoleniem. Zresztą, teraz bardziej niepokoił go czarny pies, który zastygł przy wejściu niby milczący posąg. Ale ten, chwala bogom, jakby zapomniał o nieproszonych gościach, skierowawszy nie mrugające oczy w ciemne wyjście.

Ciemnowłosa jakoś się podniosła i potykając się, szczęśliwie dokuśtykała do ogrodzenia i znikła w dziurze.

A ruda stanowczo się wyprostowała i wysunawszy rękę z mieczem, ruszyła wprost na smoka.

* * *

Jeszcze jedna i to najistotniejsza różnica między zielarzem a praktykiem — ten drugi nie tylko posługuje się magiczną mocą, ale i bezbłędnie wyczuwa każdy jej przejaw... nad swoją głową.

Kiedy tępy stwór, do tej pory stosujący wobec przeciwników ordynarną siłę, promieniuje potężną mocą, nikt nie jest w stanie zgadnąć, na co skieruje magiczne pluśnięcie, to po prostu zmusza do myślenia o czymś niedobrym!

O Welkę można się już było nie niepokoić, ale nierozłączna trójca, (jaki

leszy ją tu przyniósł?! Czyżby starosta zawstydził się i postanowił wreszcie odpracować przepite kładnie? Nie na długo jednak wystarczyło mu entuzjazmu do pracy... trójca ukryła się w pustelni. Mogłam pójść za ich przykładem, ale niestety, na pierwszym planie „kto kogo przeczeka” stał smok. Jedna sprawa — wzmocnić zaklęciem sufit i złośliwie po podśmiewać się troszkę z na próżno skaczącego po wzgórzu smoka a całkiem, co innego — co sekundę spodziewać się z jego strony rewanzu w postaci magicznej podłości. Już lepiej dostać ich hurtem i raz na zawsze ustalić, kto na tej wyspie rządzi. Albo przynajmniej określić, co ten rządzący dopiero, co zrobił.

Smok z jawnym wysiłkiem coś przełknął, odwrócił się w moją stronę i zamarł w zdumieniu, oczekując jakiegoś podstępu.

Przybliżałam się. Bezdźwięcznym, płynnym, powolnym krokiem, jakiego bez powodzenia próbował nauczyć mnie Len. Oczywiście, bez żadnego efektu. Ludzie, jeżeli i poddawali mnie krytyce, to tylko w tych momentach życia, kiedy niespodziewanie pojawiałam się przed samym ich nosem.

Trzydzieści kroków.

Miecz zaczął mi odczuwalnie ciążyć w prawej ręce, ale przerzucenie go do drugiej oznaczało natychmiastowe przerwanie kruchej, prawie nierealnej pajęczej ciszy w samym sercu burzy. Tak jakbym słyszała, jak napinają się jedna za drugą jej nici, wydając kryształowo czysty dźwięk, nie dające już rady powstrzymać ciągle narastającego nacisku.

Dwadzieścia.

Zresztą, szybciej upuściłabym miecz. Lewą rękę musiałam mieć wolną.

Melodyjne słowa układały się w formułę, a ta obrastała realnym kształtem zaklęcia, wciągając ściśle wyliczoną moc. W ten sposób łucznik wykonuje strzałę — struga drzewce, umieszcza i przytrzymuje wyszczerbioną nasadkę, dokładnie napina pośladki ... i spuszcza cięciwę.

Dziesięć.

Smok chyba nie zrozumiał tego, co właśnie zrobiłam, ale nawet martwy miał wystarczające zdolności, żeby wyczuć skierowaną przeciwko niemu magię. No i oczywiście, to się mu nie spodobało.

Stworzenie przywarło do ziemi, rozdziawiło paszczę i zobaczyłam, jak w jej wilgotnej głębi zaczyna się gotować i rozrastać, kłębiąca się naprzeciwko mnie, grudka ognistego mirażu.

Ale chwilę wcześniej strzała znalazła cel. A raczej, cel przyciągnął strzałę, na chwilę błysnąwszy szmaragdowym płomykiem z tyłu smoczej głowy.

Opuściłam głowę i nabrawszy trochę więcej powietrza, rzuciłam się naprzód. Wokół ciała, purpurowym kokonem wybuchł wywołany od zetknięcia

się z celem płomieni.

Jeśli on zdąży zrobić drugi wydech, nic już nie zdążę zrobić.

Nie mogłam dostrzec, gdzie kończy się ten nieprzenikniony potok i zaczyna się właściwie smok, pozostało więc tylko liczyć stawiane na oko kroki, żeby z rozpędu całkiem nie minąć gada.

W ostatniej chwili ostro szarpnęłam się w bok i obiema rękami uczepiwszy się rogowych narośli po obu stronach smoczycych szczęk, jednym rozpaczliwym zrywem siadłam okrakiem na łuskowatej szyi. „Salamandra” przeobraziła się w dymiący się kopeć²⁹, równą warstwą pokrywając mnie od stóp do głów. Dziwne, ale siedzisko okazało się całkiem wygodnie a nawet przytulne — jednej z płyt grzebienia nie było, dwie sąsiednie spełniały rolę przedniego i tylnego łęku, a pod nogami znalazły się nastroszone łuski, nadające się w zupełności na strzemiona. Od stworzenia niósł się ledwie wyczuwalny zapaszek rozkładu, już dawno powinien był coś przekąsić albo wrócić do jeziora i nasiąknąć magiczną mocą.

Zdumiony smok utkwił wzrok w martwym punkcie przed swoją mordą, na wszelki wypadek nawet uderzył go przednią łapą. Potem poczuł coś niedobrego, wykręcił szyję i podskoczył z oburzenia.

Przejawiając czarny humor, pomachałam mu ręką.

Nie można powiedzieć, żeby smok ucieszył się z okazanej mu ten sposób uwagi. Podskoczywszy na sążeń, gad zaczął wywijać po polanie, jak mysz na rozgrzanej patelni. Zdrapać mnie łapami nie mógł, ogonem także nie mógł dosięgnąć, a ogniem pod takim kątem nie mógł we mnie plunąć. Ale kto powiedział, że nie próbował?!

Kurczowo trzymając się rękami, rozbieganym wzrokiem wodziłam po jego potylicy. Niewiadomo gdzie, może, trochę wyżej i bardziej na lewo... Aha!

Cztery samorodne kryształki, rozmiaru małego palca, zebrane na podobieństwo kwiatu z jednym brakującym płatkim. Prawie zlewające się barwą z łuską, ale z rzadka dyskretnie pulsujące niebieskawym światłem. Szafiru? Turkusa?

Uniósłszy się w „strzemionach”, prawie mogłam dosięgnąć do nich ręką. I niemal mi się udało, gdy nagle smok chlasnął skrzydłami i wzbił się w powietrze.

Nie mogłam powiedzieć, żeby to okazało się dla mnie takim wielkim wstrząsem. Kilka razy jeździłam na smokach — prawda jest jednak taka, że wtedy właściwie mnie wożono, a nie próbowano strząsnąć. Jadąc wierzchem na tak dużej istocie, czujesz się bardziej bezpieczna, aniżeli na takiej miotle, gdyż

²⁹ **Kopeć** – osad z sadzy lub gęsty ciemny dym.

ona nie może manewrować z szybkością wrony. Nawet zaczynała mniej trząść a rozmyte skrzydła i ciemność ukrywały przede mną oddalającą się szybko ziemię.

Moja ręka zamarła w odległości jednej piędzi od celu. Leszy tylko wie, co to za amulet! A jeśli na amulet jakiś mądrała, taki jak ja, położył ochronne zaklęcie? Albo, jeszcze gorzej, amulet nie daje smokowi w spokoju spocząć na dnie jeziora w zgodzie z aksjomatem Oleszera? Bez niego gad natychmiast skorzystałby z okazji i bultnął do jeziora nie wiadomo z jakiej wysokości?

Amulet, ponownie zapulsował. Ale w odwrotnym kierunku, nadchodzący skądś z zewnątrz. Zewnętrzne końce kamieni wyraźnie rozbłysły, smużki płomyków zbiegły się do jednego punktu i jak gdyby wsiąkły w środek amuletu.

Smok zadrżał. Drżenie ustało, stworzenie wyrównało lot i zawisło w powietrzu, miarowo podnosząc i opuszczając skrzydła. Powoli obróciło w moją stronę głowę, zimno i pogardliwie zmrużyło rozumne, żywe oczy.

„To znowu ty, wiedźmo! Strasznie mi się już sprzykrzyłaś...”

Nie zdążyłam nawet się zdziwić, gdy poczułam, jak między nami zaczyna gęstnieć już nie płomień, lecz magia. Silna, mroczna i zła, współzawodniczyć z którą z wyraźnie zabezpieczonym przed zranieniem smokiem, było jeszcze mniej efektywne niż z krzykiem „sio!” machać na niego ręką.

Długo się nie namyślając, wczepiłam się w amulet i z całych sił pociągnęłam.

Wyszedł niespodziewanie lekko, od pierwszego szarpnięcia — cienki drut z czarnego metalu, o długości dwóch piędzi. Palił dłoń, a w następnej sekundzie stał się zimniejszy od lodu.

Zapach rozkładu nasilił się gwałtownie.

Cudzy rozum z nienawiścią i rozpaczą zaczął miotać się w martwym ciele, ale utrzymać go samą siłą woli nie był w stanie.

Oczy zgasły. Smok, konwulsyjnie się wygiął, ledwo nie złożywszy się wpół, potem zwiotczał i runął w dół, jednocześnie spadając na plecy. Nie życzyłam sobie stworzyć z nim kompani, przedkładając indywidualny pomnik od niejasnego określenia: „A w tym oto miejscu, smok rozgniół wiedźmę na placek, tak i nie odkopano!” I, zapałszy się nogami, z całych sił się odepchnęłam i skoczyłam gdzieś w bok.

Cios trafił w lewą skroń. Przyniosła go ziemia, a nie woda, zagadnienie wesela rozwiązałoby się samo. A tak zrobiło mi się „zaledwie” ciemno przed oczami, chrupnęło w szyi i z przerażeniem poczułam, że tracę świadomość...

... Nie pamiętam, jak wynurzyłam się i dotarłam do brzegu, ale ostatecznie oprzytomniałam już na nim. Obok, przygarbiwszy się, siedział czarny, krępy

pies. Z jego brody i oklapniętych koniuszków uszu kapłała woda. Pochwyciwszy moje stosunkowo przytomne spojrzenie, niespodziewanie otworzył szeroko paszczę i w uśmiechu wywalił jęzor, zerwał się na nogi i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, pobiegł truchtem do wody. Zatrzymał się na skraju jeziora, westchnął z poczucia szczęścia, zanurzył mordę w wodzie i... zaczął w nią bezdźwięcznie ściekać, przeobrażając się w czarne, śliskie stworzenie.

Odzwierny wrócił na swoje legalne miejsce.

Podniosłam do oczu rękę, w której przez cały czas trzymałam zaciśnięty w pięści amulet, przyjrzałam się i z nerwowym chichotem znowu ją opuściłam. Brakowało jednego kamienia, w oprawie zostało puste gniazdo z rozgiętymi zębami, i mogłam przysiąc, że właśnie ten jeden odpowiadał za bezgłośny wyłot smoka z jeziora. Mag miał wiele szczęścia, inaczej już dawno temu pazerni mieszkańcy, wykryliby jego stworzenie i je zniszczyli.

— Wszystko z tobą w porządku?! — Welka z rozmachem rzuciła się na kolana, obok mojego, z dużym prawdopodobieństwem żywego ciała.

— T-tak, — niepewnie potwierdziłam, nie śpiesząc się z wykonywaniem jakiegokolwiek ruchu, żeby potem nie przekonać się z powrotnym, że jednak nie wszystko ze mną w porządku. Smok nie trafił w jezioro, ale rozciągnąwszy się na grzebieniu spadł na wzgórze — jedno skrzydło było przygniecione bokiem, drugie bezwładnie zwisało z brzegu pustelni. — Wel, obiecaj mi jedną rzecz...

— Jaką? — uczynnie zareagowała zielarka, pomagając mi usiąść.

— Kiedy następnym razem zamyślisz kopać swoje łopiany, udamy się po nie na głuchy, bezludny, aż rojący się od upiorów cmentarz... tak się stęskniłam za lekką i spokojną pracą!

* * *

Starosta statecznie, jak gospodarz obszedł naokoło smoka. Rzeczowo kopnął nogą w zwiotczały bok, najpierw przekonawszy się, że między nim a łbem smoka są inni kandydaci do podsmażania — zielarka z potężnym otoczkami w ręce, która przysiadła na kolanach obok uchylonej paszczy i ruda wiedźma, przy świetle czarodziejskiego płomyka, badająca jakąś bierkę z kamyczkami. „Pewnie ze smoczyczych zasieków³⁰ capnęła, — z zawiścią pomyślał starosta — trzeba by je jak najszybciej stąd spławić, dopóki jeszcze czegoś nie świsnęły. Smok, oczywiście, strasznie pazerny, jednakże wiedźmy jeszcze bardziej chciwe!”

Zielarka odłożyła kamień, wyprostowała się i z wysiłkiem zarzuciła na

³⁰ **Zasiek** – miejsce do przechowywania materiału w spichlerzu, w stodole były to sąsiedki

ramię mocno wypchaną torbę.

— Cóż, Wolha, z nawiązką zapracowałaś na swoje dwadzieścia kładni! Prawda, starosto?

— Jakie kładnie? — sztucznie zdziwił się chłop. — Akurat, a do czego tu więdźma? A owszem, pomogła troszeczkę... wspólnie. Prawda, dzieci?

Gdyń z dryblasem pokiwali głowami, ale każdy inaczej, po czym z aprobatą chrząknęli.

Zielarka straciła oddech z oburzenia:

— A co wy zrobiliście, a?

— Wszelako smok, on przecież tego... — Starosta w skupieniu wyteżył umysł i rozpromienił się: — Połknął kozi łeb, a on mu rogami w poprzek gardła stanął i w ten sposób gada śmierć dosięgła!

— A mówiliście — nie przyda się... — nieśmiało odezwał się Gdyń.

Zielarka spojrzała na niego w tak „czuły” sposób, że setnik, podskakując na jednej nodze, pośpiesznie schował się za szerokimi plecami dryblasa.

— Ach wy, złodziejaszki! Tak ja wam...

Ale więdźma spokojnie wsunęła błyszczące cacko do kieszeni, pociągnęła przyjaciółkę za rękaw i z wyrzutem pokiwała głową:

— Przestań, Wel, niezbyt mi się i chciało, za nieszczęsne dwadzieścia kładni... Otóż za sześćdziesiąt to bym jeszcze się i zastanowiła!

Zielarka i chłop tak samo się zmieszali. „Naprawdę, niespełna rozumu”, — z lękiem i jednocześnie z ulgą pomyślał starosta.

— Tak więc my... tego... tratwę pójdziemy wziąć, — spróbował rozładować sytuację Gdyń. — Jak raz do świtu zdążymy... — I przypochlebnie dodał: — Zwłaszcza, jeśli pani więdźma z życzliwości poczarować raczy...

— Nie ma problemu. — Więdźma wzruszyła ramionami.

Zielarka nadal patrzyła na nią z otwartymi ustami.

— Może. Trzeba było jej, chociaż parę monet dać, a? — Niepewnie zaburczał pod nosem pełen skrupułów dryblas, przełaząc bokiem przez przepaloną przez smoka dziurę w ogrodzeniu. — Łeb to ona zdobyła i to ją smok przypiekl — kto nie da, czystym kołtunem będzie!

— Może i damy, — łaskawie zgodził się starosta. — Wy we wsi to języków szybko nie rozpuszczajcie, jutro z rana tutaj wrócimy i „szukaczami” w jeziorze poszperamy — zobaczysz, jeszcze i smocze dziedzictwo wyłowimy. A wtedy więdźmie szcudrze jakiegoś srebrnika i odżałujemy!

Woda w jeziorze poruszyła się, grzywkami fal połaskotała brzegi. Ale, jak zawsze, przemilczała.

* * *

— Wolha co ci się stało?! — Naskoczyła na mnie Welka, kiedy trójca znikła z widoku.

W zamyśleniu przyglądałam się swoim krwawiącym, obtartym smoczą łuską, dłoniom. Szyja bolała, w uderzonej skroni pulsowała krew, rozlewając się siniakiem na całym policzku.

— Wel, możesz to zaleczyć? Po prostu strasznie boli mnie głowa, w żaden sposób nie mogę się skoncentrować...

— Oczywiście — zreflektowała się zielarka, sięgając do torby. — Ale... Wolha, czy ty naprawdę puścisz im to płazem?! Przecież teraz oni cały rok po wsi będą chodzić, jako bohaterowie, wszystkim opowiadać, jak smoka gołymi rękami pokonali i wiedźmę na dudka wystrychnęli!

— Welka. — Wreszcie podniosłam na przyjaciółkę wzrok i roz płynęłam się w szerokim, z wysiłkiem powstrzymywanym przez ostatnie pięć minut uśmiechu. — Dwadzieścia kładni nie jest warte tego, żeby brać na siebie odpowiedzialność za przemianowanie nazwy wsi na Duże Zaduchowieje. A sześćdziesiąt to on nam sam jutrzejszego wieczoru przyniesie, jakim Najwyższa Wiedźma Dogewy! Gwarantuję — takiego „sprzyjającego” wiatru i pachnącego smoka ta wieś jeszcze nie widziała ani i nie wahała...

* * *

CZEŚĆ TRZECIA

Sprzedawcy wiedźm

*Czasem człowieka prościej zabić, niż mu wyjaśnić,
czemu on ci się nie podoba!*

Sentencja przypisywana Św. Fenduliju

Szadael powoli umoczyła pióro w kałamarzu, popatrzyła z upodobaniem na nabrzmiewającą na końcu kroplę i nie strąsając, doczekała się, aż ta sama opadła z powrotem. Dokładnie, rozkoszując się samym procesem, wyprowadziła ostatnią runę i zakończyła ją pełnym wdzięku zakrętasem przypominającym wygięcie wstążki jak u tancerki driady. Posypała pergamin, drobnym rzeczonym piaskiem. Odczekawszy chwilkę, strząsnęła i jeszcze pomachała w powietrzu, chwyciwszy za róg dwoma palcami, z manikiurem na paznokciach, aby nadzwyczaj ważny rachunek o sprzedaży, niejakiemu Zagłydzie Klutikowi dwóch wozów mąki i worka klonowego cukru, w całości i w stanie nienaruszonym trafił do opasłej książki przychodów i rozchodów, leżącej tuż obok na stole, żeby spocząć w niej na wieczność.

Elfka zupełnie nie miała gdzie się spieszyć, a i księgowością zajęła się po prostu z nudy. Nie dlatego jednak trzymano ją w kantorze.

Dziewczyna odchyliła się na oparcie krzesła i z wdziękiem zarzuciła na stół idealne nogi, w pantoflach na tak wysokich, cienkich obcasach, że przy dobrych chęciach można było się nimi posługiwać nie gorzej niż mieczem. W naturalny sposób defilować w takich butach po kocich łbach, umiały tylko elfki i driady, i jeszcze, niech i tak będzie, wampiry. Elegantki ludzkiej rasy, ku uciechu gapiów, jak nic grzęzły w pierwszej napotkanej szczelinie między kamieniami, a chwiejny krok upodabniał je do przeskakujących z kępy na kępę żab.

Kantor zajmował się hurtowym handlem sypkimi materiałami, wszystkim po kolei, zaczynając od węgla drzewnego, a kończąc na elgarskich diamentach.

Z tymi ostatnimi wprawdzie powstał niewielki problem: właściciel wziął zadatek, obiecał jeszcze do końca zeszłego miesiąca obsypać klienta klejnotami, ale z powodu złej pogody, wysłana w góry karawana tylko dopiero co wyruszyła w powrotną drogę. I oto już drugi tydzień jakieś ponure typy, z owiniętymi skórą pałkami, regularnie odwiedzały sklep, bynajmniej nie w celu zakupu gryczanej kaszy pytając o właściciela (rozsądnie przeczekującego u swojaków), takimi „dobrymi” głosami, że człowiek dostawał gęziej skórki. Szadael niewinnie mrugała ogromnymi szmaragdowymi oczami, z konsternacją rozkładała ręce i czułym, mruczącym głosikiem interesowała się, w czym może pomóc wielce szanownym klientom. „Panowie” patrzyli na czarującą, srebrnowłosą ślicznotkę, kurczowo przełykali ślinę, obniżali ton i obiecywali „wstąpić trochę później”.

Za oczy i głos dopłacano jej oddzielnie, gdyż Szadael tak samo wspaniale umiała miotać błyskawice, swoimi pięknymi oczami jak i piszczeć nie gorzej od harpii, wymagając od właściciela dodatku za szkodliwość.

Niechętny, ale natarczywy trel przypomniał dziewczynie o jej prostych obowiązkach. Elfka nie wstając, z gracją przeciągającej się kotki, uwolniła lewą nogę z pantofla i założyła ją nad telepatofonem. Błogo zmrużyła oczy, wsłuchując się w napływające obrazy. Z zadowoleniem pokiwała głową. Wreszcie koniec! Pomocnik właściciela towarzyszący karawanie, obiecywał skontaktować się z kantorem, jak tylko dotrze do Witjagu. Może Szadael i nie osiągała zbyt wielkich sukcesów w czarowaniu, za to miała dyplom ukończenia Szkoły Magów (wydział Pytii, katedra telepatii), więc dziewczyna nawet nie dotykając urządzenia bez trudu mogła ustalić od kogo nadszedł sygnał. Witjagskiego telepatę znała doskonale — to był jej były kolega z roku.

„Co dobrego mi powiesz?” Elfka jednym płynnym ruchem zabrała nogi ze stołu i przysunęła się do odbiorczej obręczy.

* * *

Nie zważając na wczesną godzinę i wilgotną, zimną pogodę, tłum gapiów obok miejskiego ratusza się nie rozchodził. Trzech ponurych czarodziejów — nijaki typ z nieprzyjemnymi rybimi oczami i dwaj chłopcy pomocnicy — zbierało talizmany, które okazały się bezużyteczne i dokładnie ścierało wykreślony na ziemi pentagram, żeby jakiemuś idiocie nie przyszło do głowy dla żartu, powtórzyć tylko co wykonany przez nich obrzęd. Żarty żartami, a w pentagramie szczątkowa moc mogła się zachować. Na taki drobiazg, jak zburzenie ratusza, zupełnie wystarczy.

Niestety, czasami prościej jest rozebrać wieżę kamyk po kamyczku, niż wyjaśnić, co wydarzyło się w niej dwie godziny temu.

Rozzochrana, zapłakana, tłuściutka gosposia już dziesiąty raz z takim samym powodzeniem u słuchaczy powtarzała swoje opowiadanie, „przypominając sobie” kolejne pełne grozy szczegóły, w rodzaju zachlapanego krwią sufitu, złowieszczo skrzypiących okiennic i migającego za oknem cienia („to na trzecim piętrze!”).

Mag skrzywił się tylko z obrzydzeniem. Tak naprawdę, kobieta niczego nie widziała — od momentu, w którym jego kolega, otrzymał telepocztą wezwanie (mimoходом rzucone słowa — bardzo ważne i długo oczekiwane), posłał ją po herbatę i aż do tej pory, jak ona z tą herbatą wróciła, i znalazła na podłodze w nienaturalny sposób poskręcane go trupa.

Dwóch strażników, groźnie pokrzykując na rozstępujących się w pośpiechu ludzi, wyniosło na noszach, przykryte przez rogożę³¹ ciało. Na bezładnie zwisającej ręce, porysowanej przez purpurową smużkę krwi, pobłyskiwał srebrny pierścień z jaspisem. A raczej z tym, co z niego zostało — zielonkawa mała obręcz z okopconą w środku dziurą.

— Poczekajcie.

Strażnicy posłusznie się zatrzymali. Mag podszedł do noszy i pochyliwszy się, ściągnął pierścień. W zamyśleniu pokręcił go w palcach i oddał pomocnikowi.

— To też.

Chłopak kiwnął głową i otworzywszy inkrustowaną bursztynem szkatułę, rzucił zepsuty amulet na kupkę odebranych wcześniej rzeczy.

Może to jakoś pomoże Konwentowi Magów. Ale wielkiej nadziei nie można było z tym wiązać. Jeśli pies strażników nie zdołał podjąć świeżego tropu, to nawet specjalnie szkolony wyżeł chyba nie podjąłby starego śladu.

* * *

Ptak o ostro zakończonym dziobie i z purpurowymi oczami prześliznął się nad wierzchołkami drzew, jak klinga puszczonej wprawą ręką. Wąskie skrzydełka, jak u ważki, delikatnie trzepotały, rozmywając się w mgielkę po bokach ciała. Naprężywszy się, jastrząb przesunął po nim baczny spojrzeniem, ale z gałązki i tak się nie ruszył. Ghyr dogonisz. A jak go utłuc?

Wysypisko dziwacznych wież i budowli za wysokim płotem, które wyrosło

³¹ Rogoża - mata upleciona z sitowia. <http://www.sjp.pl/co/rogo%BFa>

na drodze ptaka, bynajmniej go nie spieszyło. Nie zmniejszając szybkości, zwiastun wiadomości przeleciał wprost przez kolorowy witraż strzelistego okna i zanim Ksander zdążył z sensem go obejrzeć, rozpląnął się w powietrzu sinym strzępem dymu, o zapachu liliowych perfum. Na stół upadł mały, zapieczętowany czekoladowym lakiem zwitek.

Arcymag skrzywił się z niezadowoleniem. Zamamrotał:

— Pozerstwo... telepoczta przecież byłoby szybciej — i wyciągnął rękę do posłusznie sunącemu w jego stronę pergaminowi.

Charakter pisma Galiany, mistrza trzeciego stopnia, Ksander poznał natychmiast. Ale, wbrew przyzwyczajeniu, rządki, zlewających się run nerwowo skręcały w dół, jakby pedantyczna do obrzydliwości magiczka pisała w pośpiechu, umieściwszy kartkę na pierwszej napotkanej powierzchni. Na odwrotnej stronie zwitka bieleły plamy z wapna.

W miarę czytania, krzaczaste brwi arcymaga powoli pelzły w górę, aż praktycznie prawie zetknęły się z włosami. Zapomniawszy o godności, stary mag zerwał się z miejsca, z hukiem wywróciwszy krzesło. W pośpiechu, obiema rękami nakreślił w powietrzu zawily znak.

Nie minęło nawet pięć sekund, jak powietrze pośrodku pokoju zawirowało migoczącym lejem, aby po upływie chwili iskrami opaść do nóg Almita.

—... bko wróć a tylko spróbujcie ściągać! — Dokończył jeszcze trochę dymiący się mistrz już w gabinecie dyrektora. Pytająco spojrzął na zwierzchnika, a ten bez słowa podał mu list.

O wiele bardziej rozemocjonowany Almit nie ograniczył się do kursujących brwi:

— Co?! Tak przecież po prostu nie może być! Co z ochronnymi polami? Wbudowanymi talizmanami? Własnymi blokadami w najgorszym razie?!

— Promień rażenia — dwadzieścia wiorst, — bezlitośnie wyrecytował dyrektor Szkoły Magii, Wróżbiarstwa i Ziellarstwa, jak gdyby najbardziej próbował przekonać siebie, że to zły sen. — Moc oddziaływania wzrastała od brzegów do środka — dwóch telepatów trzymających kamienie zginęło na miejscu, jeden nieodwracalnie stracił zdolności, gerincka elfka i jeszcze kilku ludzi wykręciło się utratą przytomności albo krwawieniem z nosa. Wszyscy — równocześnie. Całe szczęście, że wokoło był las i pustkowie, bo ofiar mogło być jeszcze więcej.

— To przecież oznacza...

— Owszem. Galiana próbuje się z nimi połączyć, ale na razie bezskutecznie. Dolina jest zamknięta dla interesantów i znajduje się w mocy naturalnych anomalii nieprzepuszczających wiadomości. Najwyższa Wiedźma

już od kilku miesięcy jest nieobecna na swoim miejscu pracy, przy czym gdzie się znajduje, nie wiadomo.

— Pan myśli, że to znowu... — Dzisiaj, arcymag i mistrz zrozumieli się w pół słowa, co bynajmniej nie było powodem do radości.

— Na to wygląda. — Ksander westchnął i dobitnie podkreślił — Natychmiast zwołujemy Radę Konwentu Magów!

* * *

— Na pewno tam ono najmilsza i siedzi! — Kategoriecznie ogłosiła babka, dolnym końcem sękatego kostura szturchając w podziemne wejście o szerokości dłoni. — Nachyl no się, spójrz trochę lepiej!

Nie chcą się kłócić pochyliłam się, chociaż i tak doskonale widziałam w połowie zasypaną norę w ziemi, okoloną kolorowym kurzem puchem.

— Niżej, niżej! — Ten sam kostur stanowczo wbił się w moje lędźwie, ledwo nie powaliwszy na kolana przed tylną ścianą kurnika. — No i jak tam? Siedzi?

— Nie, tam nikogo nie ma — zameldowałam ze znużeniem.

Znaleźć pokój w przeddzień święta Ostatniego Kłosa, na który zjeżdżają się tłumnie ludzie z całej Belorii i Winessy, nie jest wcale takie proste. I jeżeli już zdecydowałam się zapłacić za nocleg własną pracą, jako wiedźma, powinnam przynajmniej stwarzać jakieś pozory mojej burzliwej działalności. No, chociażby ziewać nie tak demonstracyjnie.

— A jeśli ręką machnąć kilka razy?

— A czemuż pani sama ręki tam nie wsunie? — Nie wytrzymawszy, odezwałam się zjadliwie.

— Tak ja i wkładała! — Babka, dumnie zademonstrowała mi zabandażowany palec, rozmiarem i formą bardziej podobny do wysokogatunkowej gruszki. — A ono jak nie ugryzie!

Pośpiesznie odsunęłam rękę i się wyprostowałam.

— No dobrze, wierzę wam na słowo... to znaczy na palec. I cóż to za „ono”, według pani?

— Wupir! — Triumfalnie ogłosiła babka.

Westchnęłam. Wieśniacza klasyfikacja stworów nieco odbiegała od ogólnie przyjętej magicznej, obejmując w sumie trzy rodzaje: „wupir”, „womper” i „coś takie zębate”.

— A pani go widziała?

— A po co mi na niego patrzeć?! — z oburzeniem zazgrzytała zębami stara

jędza. — Na pewno one chorują, jużci napatrzyłaś się!

Mówiąc prawdę, żadne choroby kurom już nie groziły. Piętnaście zimnych tuszek, ułożonych w rzędzie na trawie, w milczeniu wołało o pomstę do nieba. Nastroszony kogut z dachu, niziutkiej pochylonej chatki spoglądał z boleścią na przedwcześnie zmarłe kury. Jedyne pióro w jego ogonie smętnie obwisło. Składać zeznań wieźmie, w charakterze świadka, w oczywisty sposób nie zamierzał. A ja ich i nie potrzebowałam. Kuna albo tchórz — trochę się zabawili, podusili wszystkie kury, odgryźli i zabrali tylko głowy. Nocą zaś na pewno bestyjka wróci się po świeżynkę. Innym razem poradziłabym babce postawić przy dziurze myśliwski potrzask i nie zwracała sobie głowy głupstwami, ale już się ściemniało, kropił deszcz i wiał przesywający wiatr, a w zajeździe domagali się pięciu z trzech kładni, których nie posiadałam.

Także przemysławszy sprawę, pokiwałam głową, z troską zacmokałam językiem i polazłam do kurnika na nocny dyżur, a babka uroczyście zamknęła za mną drzwi na zewnętrzny hak.

Zmarszczywszy nos, dobrze znanym gestem stworzyłam pulsar i się rozejrzałam. Kurnik wewnątrz okazał się niespodziewanie przestronny; widocznie, przerobiono go z obory albo ze stajni. Ku sufitowi schodkami wspinały się oblepione brudem grzędy, obok stało kilka wydłubanych i zasłanych świeżą słomą koryt — dla niosek. Za przegrodą przyjaźnie chrząkały kłapouche świnię, pchając się ryjkami w szpary pomiędzy poprzeczkami.

Mocno wionęło kurami, a jeszcze bardziej — wartościowym, naturalnym nawozem.

No tak, nie o takim noclegu marzyłam przez ostatni tydzień wędrówek po lasach — z bez przerwy padającym deszczem, o którym nawet nie ma sensu mówić, gdyż chmury zasnuły całe niebo na dziesiątki wiorst wokół... Niech będzie, wszystkiego jedną noc, e tam — trzy dni święta i cała szopa na siano do mojej dyspozycji! Chcąc, można by nawet było urządzić, w parze ze Smółką, orgię.

Usadowiłam się na jednym z koryt, szczelnie stuliwszy poły skórzanej kurtki. Z przeciwległego kąta złowrogo patrzył się na mnie kogut, nieprzekonany o równowartości zamiany. Po dachu krytym słomą szeleściły krople deszczu — to z większym lub z mniejszym natężeniem, ale nie cichnąc ani na minutę. Jeśli tak dalej będzie, staroście wsi Opadiszcze przyjdzie się nurkować za Ostatnim Kłosem — to właśnie jemu przypadał zaszczyt ścięcia ostatniej łądyżki pszenicy, specjalnie w tym celu, pozostawionej pośrodku pola.

„Z trzy tygodnie po Aernatenna!” — Stanowczo powiedziała mi na pożegnanie Najwyższa Zielarka Dogewy. Wampiry także obchodziły to święto,

choć nazywały je inaczej.

W zamyśleniu spjrzałam na zaręczynowy pierścień. Złoty, masywny, piękny... bezduszny. Rodzinny pierścień rodu Szeonell, który przede mną nosiły dziesiątki wybitnych, wysoko urodzonych, nieziemsko pięknych wampirzyc. O wiele bardziej stosownie wyglądałby na Lereenie. Dlaczego Len mi go dał? Dlaczego go przyjął?! Nie nadaję się do roli koronowanej małżonki i kiedyś on to zrozumie... jeżeli już nie zrozumiał.

Owszem, Len złożył mi propozycję — oficjalnie, uroczyście i górnolotnie, w obecności Kelly i Rady Starszych, po czym oboje z ulgą westchnęliśmy i najspokojniej w świecie wróciliśmy do zwykłych przyjacielskich stosunków. Len zajmował się swoimi obowiązkami władcy, ja — wiemy, czasem tygodniami przepadając na traktach czy też w Starminie gdzie pod kierunkiem Profesora pisałam i broniłam dysertacji, w celu uzyskania tytułu Mistrza 4-tego, a teraz i 3-ego stopnia. W Dogewie także nie miałam, kiedy się nudzić — tylko, jak ona wcześniej bez magii egzystowała?! Każdego ranka przy ganeczku ustawiał się sznur, uskarżających się: na zęby, to na żołądek a to na zapalenie koniuszków nerwowych, zawsze ze stojącym na czele Kajelem; potem przychodziła kolej na życiowe problemy w rodzaju przepędzenia ze spichlerza bezczelnych myszy, zamawiania dachu od przeciekania, wezwania deszczu nad usychającą rzepą albo stworzenia fantomu stracha na wróble na polu pszenicy (i to tak skutecznego, żeby na jego widok bez zastanowienia uciekały nie tylko kruki, ale i przypadkowi przechodnie). Nawet nie lubiąca towarzystwa Kella przyzwyczała się zaprzęgać mnie do produkcji leków, gotujących się przy pomocy magii kilkakrotnie szybciej.

Tylko czasem zostawały nam wolne wieczory, w ciągu których i tak zdążyliśmy, jak mawiała zielarka, „splamić własny honor niegodnymi Władcy i Najwyższej Wiedźmy wybrykami”, tj. na wyścigi, z dzikim pokrzykiwaniem przebiec nocą po Dogewie, a potem do świtu przesiedzieć przy ognisku opowiadając bajdy, zachwycając się gwiazdami i pałaszując pieczone ziemniaki, ukopane bez pozwolenia na najbliższym polu.

I wszystko było po prostu cudowne, póki nie gruchnęła ta przeklęta wieść ze ślubem...

Potrząsnęłam głową, przepędzając ponure myśli. W czym bardzo mi pomogło, bezdźwięcznie wyslizgujące się z dziury i zastygające w bezruchu przede mną, zwierzątko.

Nie, nie tchórz. A i do kuny amator kurzyny podobny był tylko rozmiarami — z dużą kotką. Drżący pod sufitem pulsar wcale go nie spieszył. Po bokach

ostro zakończonych pyszczka, czujnie drżały rozczapierzone wibryssy³², to wydłużając się do kilku werszków, to błyskawicznie wciągając się z powrotem. Na lekko uniesionej, zastygłej w bezruchu, przedniej łapce potrzaskiwały pazurki.

Zdarzało się, zwłaszcza w surowe i głodowe zimy, że te stworzenia zbijały się w liczące setki stada — a wtedy z ich drogi starały się schodzić nawet wilki. Ale samotny, dobrze odżywiony egzemplarz przedstawiał niebezpieczeństwo, co najwyżej dla dwuletniego dziecka, dlatego nie śpieszyłam się na niego reagować podpuszczając bliżej.

Jak na złość, sensowne zakłęcie przeciwko temu paskudztwu nie istniało, — jak i na sto procent dające efekt trucizny przeciwko ich bardziej pospolitym krewniakom. Oba gatunki w mgnieniu oka przystosowywały się do każdych warunków, jadły wszystko co popadnie a to co zostawało psuły, co rozumie się, nie powodowało wśród ludzi entuzjazmu.

Chytre oczka, jak paciorki, prześliznęły się po mnie szybkim spojrzeniem, ale widocznie za godnego przeciwnika nie uznały, gdyż szczurołak z zapalem szczęknął zębami i więcej nie zaprzatając sobie głowy podobnymi głupstwami, otwarcie rzucił się na koguta.

Nie spodziewając się takiej bezczelności, szybko poderwałam się z miejsca wyciągając miecz, ale poślizgnęłam się na kurzym pomociu³³ i z zadartymi nogami plasnęłam z powrotem w kłodę, na amen w niej utkwivszy. Nieszczęśliwy kogut, wyciągnąwszy szyję i głośno trzepocząc skrzydłami, rzucił się dać drapaką wzdłuż ściany, to podskakując, to podlatując na łokieć lub dwa.

Zawywszy z bezsilnej złości, tak się szarpnęłam, że kłoda rozpadła się na dwie połówki, a słoma skoczyła w górę do samego sufitu. Widocznie szczurołak nie był zanadto głodny, bo z entuzjazmem podjął udział w zabawie, to szczękając zębami przy samym ogonie ofiary (raczej, z tego miejsca, z którego wcześniej wyrastał) zmuszając ją do podlatywania na łokieć lub dwa z przenikliwym gdakaniem, to samemu pozostając trochę w tyle. Za nim, potrząsając obnażonym mieczem, goniłam ja, ale niestety, niedostatecznie szybko: po piątej czy szóstej rundzie kogut mnie dogonił i spróbował ukryć się na mojej głowie, ale się nie utrzymał i z oszałamiającą wirtuozerią przekształciwszy moją fryzurę w ozdobione brudem i piórami gniazdo, zsunął się po moich plecach. Stworzenie, nie namyślając się długo, skoczyło w ślad za nim, jak wiewiórka rozczapierzywszy w locie łapy i wyciągnąwszy w strunę

³² **Wibryssy** - u wielu ssaków występują tzw. *włosy zatokowe*, czyli wibryssy, zwykle na głowie, np. wąsy kota (włosy czuciowe).

³³ **Kurzy pomiot** – kurzy obornik inaczej kurze gównno.

długi, łuskowaty ogon.

Odrzuciwszy sprzed oczu włosy i wyplunąwszy piórko, poczęstowałam je łokciem w nos. Kurtka, uszyta w Zaduchowiejach, z honorem wytrzymała próbę. Z ilością srebrnych nitów krawiec także nie za szachrował. Wątpliwe jednak, aby użył metalu o najwyższej próbie, ale dla moich celów całkowicie nadawał się i techniczny.

Srebrne kolce jednocześnie ukłuły i oparzyły drapieznika, a on ze skomleniem odwróciwszy się w powietrzu, runął na plecy. Butem nie zdążyłam go sięgnąć — podskoczywszy, jak sprężyna, gadzina wbiegła po pionowej ścianie, na chwilę zawisała na suficie, obnażywszy zaostrzone, podobnie do kłów siekacze i ze zjadliwym syczeniem, z miejsca na skos przez pół strychu, skoczyła w dziurę. Odruchowo machnęłam mieczem w ślad za nią, ale naturalnie, nie zdążyłam. Ostrze, jakby zawiedzione, zawibrowało i przygasło.

— Wybacz — mruknęłam. — Mimo wszystko nie jestem świętą. A gdzie się podział ten wstrętny ptak?!

Kogut znalazł się nad moją głową, na najwyższej grzędzie. Taki potargany i nieszczęśliwy, że cała moja złość w jednej chwili wyparowała.

„Niech to leszy weźmie, przecież nawet ani razu się nie pocałowaliśmy... — z tęsknotą pomyślałam, ze złością wsuwając miecz do pochwy. — Narzeczona Władcy Dogewy powinna skakać z radości w przededniu ślubu, przymierzać suknię, wybierać fryzurę, rozsyłać własnoręcznie podpisane zaproszenia i nie zajmować się niczym więcej niż haftowaniem dla narzeczonego weselnej wyprawy na pierwszą noc poślubną, i zanosić modły żeby bogowie ustrzegli przed złamaniem paznokcia przed uroczystością albo przed dostaniem sińców pod oczami... a ja, zamiast tego, siedzę tu po kolana w...” Ponuro spojrzałam na koguta, a on odpowiedział mi takim samym nieprzyjaznym spojrzeniem.

A najokropniejsze jest to, że — całkowicie mi to pasowało!

* * *

Święto Ostatniego Kłosa obchodzone jest pod koniec lata, kiedy tylko nadarzał się wolny tydzień pomiędzy końcówką zbożowych żniw a początkiem kopania ziemniaków. Ściśle określonej daty w obchodzenia tego święta nie było, gorącym latem — wcześniej, zimnym i deszczowym — później. W Winessie i Belorii święto obchodzono w tym samym czasie świętując i urządając imprezy.

Wieś Opadiszcze leżała równiutko na granicy tych majątnych państw, tak że we wschodnim jej końcu mieszkańcy mówili jeszcze po belorsku, a w

zachodnim już pełną parą trajkotali winesskimi słóweczkami. Jak się niebawem wyjaśniło, od miejsca zamieszkania to nie zależało — wystarczyło jakiemuś wieśniakowi przekroczyć niewidoczną linię naprzeciw studni, gdy automatycznie przechodził na odpowiedni język.

Obok studni znajdowała się i karczma, trafnie nazwana „Złotym środkiem”. Ustalić, w jakim języku w niej mówiono, było w ogóle niemożliwe: belorski, wineskki, trolli, okrowy i elfi splatały się w jakiś niezwykły, ale — o dziwo! — zrozumiały dla wszystkich dialekt. Karczmarz, w każdym przypadku, potrafił poprawnie interpretować nawet niewyraźne mamrotanie i poszturchujący w kufelek palec — jeżeli oczywiście w drugiej ręce klienta połyskiwała moneta.

Tam oto, w danym momencie się kierowałam. Zła z niewyspania, głodna, śmierdząca kurami i umazana brudem. Wypisz wymaluj, prawdziwa wiedźma. Szczurołak do kurnika nie próbował więcej włączyć, ale śmigał w pobliżu, (o czym starannie meldował mi poszukiwawczy impuls). Wyczekiwał, aż wyniosę się na własne śmieci, żeby bez przeszkód kontynuować biesiadę. Jego dziurę zatkałam, ale wygryźć w spróchniałych kłodach nową z tymi jego zębami i pazurami — to zajęcie na parę godzin. A jeszcze prościej — wbiec po zewnętrznej ścianie przez wywietrznik pod dachem. A to stworzenie nie uspokoi się, dopóki z czystej wredności albo sportowego ducha, nie wyrznie całego pogłowia kur w szopie, na daną chwilę, reprezentowanego w osobie a raczej w dziobie, jedyne koga.

Gdyby babka miała złego psa, problem rozwiązałby się bardzo szybko: na noc zamknąć go (psa, rozumie się, że nie babkę) w kurniku — i gościnne przyjęcie dla szczurołaka zapewnione. Jeśli zdoła się wymknąć, czubka nosa tam więcej nie pokaże. Ludzie przecież za te stworzenia nawet miedziaka nie dawali. Przed świtem wreszcie się wyniósł, ale każdy dureń rozumiał, że wraz z nastaniem ciemności znowu powróci spróbować szczęścia.

Deszcz, co o poranku jakby ścichł, znowu zawisł w powietrzu szarą mżawką nieco większą od mgły. Narzuciłam kaptur i włożyłam ręce do kieszeni. Bez dachu nad głową trudno się będzie obejść, a na razie nie mogę przedstawić babce zimnych zwłok „wupira”, o szopie na siano nie mogło więc być i mowy. Można, oczywiście, bez zgody właściciela przenocować w czyimś stogu, ale nie można mieć pewności, że stogi nie są już oddane przyjezdnym za odpowiednią opłatę. A i przyznawać się do wiedźmiej bezsilności przed jakimś drobnym ogoniastym paskudztwem nie chciałam.

Drogą przebiegło psie wesele: maleńki, rudy kundelek o potarganej sierści z uroczą mordką, oklapniętymi uszkami i kosmatą miotelką zamiast ogona, a za

nim — z pół tuzina, pokracznych, jakby zdechłych psów wszystkich maści i rozmiarów. „Panna na wydaniu” co rusz nerwowo się oglądała, za każdym razem wzdrygając się: „A wy wszyscy do mnie?! ” — ale ratować się ucieczką z jakiegoś powodu się nie spieszyła. Samce, pochwyciwszy jej oceniające spojrzenie, uniżenie wyszczerzyły zęby i z całych sił machały ogonami, próbując wyrzucić na damie jak najlepsze wrażenie.

„Niech to leszy weźmie, a ja uciekłam od jednego narzeczonego bez chwili namysłu!

Z zazdrością spojrzełam w ślad za psami. One nie muszą rzucać ukochanej pracy dla „domowego ogniska”, ani bawić się w subtelności w rodzaju „rasowy” — „kundel” ich nie niepokoi...

Pomimo niepogody, ulica roiała się od ludzi w o wiele lepszym niż u mnie nastroju. Pierwszy dzień święta Ostatniego Kłosa był zaledwie rozgrzewką przed głównym wydarzeniem, przypadającym na drugi dzień. Chciałam je obchodzić właśnie w Opadiszczach z kilku przyczyn: po pierwsze, tu od dawien dawna, jeszcze przed powstaniem Winessy i Belorii, w dniu święta Ostatniego Kłosa odbywały się wspaniałe jarmarki. Po drugie, handlowano na nich bez naliczania opłat celnych. „Za co więc mamy płacić? — sztucznie oburzali się kupcy. — Że z jednego końca wsi na drugi wóz marchewki przewieźliśmy?! „Zresztą podatek od utargu płacili uczciwie, tak że monarchowie obu krajów chociaż i się krzywili, to patrzeli na opadiszczeńskie jarmarki przez palce — skarbowi państwa wszyscy jednakowo przynosili odczuwalny dochód.

Jak mawiali ludzie, „jeżeli nie zdołałeś czegoś kupić na opadiszczeńskim jarmarku, oznacza to, że to coś w ogóle nie istnieje”.

No a po trzecie, (ale do ostatniej jeszcze daleko!) chciałam popatrzeć, jak wschodnia i zachodnia części wsi będzie tradycyjnie wyjaśniać, kto w przyszłym roku będzie wypasał krowy na łączce z różnymi gatunkami traw, położonej między dwoma lasami. Rozstrzygnąć tą palącą kwestię było bardzo prosto — bić się, przy czym wziąć udział w tym godnym przedsięwzięciu mogli wszyscy chętni. Mało tego — wieśniacy, zrzuciwszy się, wynajmowali prawdziwych wojaków, którzy potrząsając tępych mieczami i na wszelki wypadek trochę bardziej nasunawszy hełmy, odgrywali zażartą bitwę w pierwszych rzędach, teatralnie kładąc się albo układając się w sztapel³⁴ od jednego uderzenia.

Uczciwie mówiąc, żadnymi szczególnymi zaletami sporna łąka się nie odznaczała, tak samo jak i stado, ale wśród opadiszczan od dawna było tak przyjęte, że tradycja jest tradycją, a jaka przyjemność — spotkać przy studni

³⁴ Sztapel – (niem. *Stapel*) – ogólnie ładunek (np. skrzynie, worki, paczki, deski) ułożony warstwami.

sąsiadkę z drugiej połowy wsi i triumfująco oświadczyć: „A łączka to w tym roku znowu nasza!”

Zamyśliwszy się, przyśpieszyłam kroku, zupełnie nie patrząc na boki i natychmiast wpadłam na potężnego trolla, który nie spodziewając się takiej rzeczy, upuścił nadgryzioną gruszkę.

— Patrz, gdzie przesz, chwyba ślepa jesteś! — Gniewnie zaryczał ten, odwracając się. I już bardziej przyjaźniej uściślił: — Foczka, tobie co — pałą po głowie trzasnęli? Klin klinem nie chcesz?

— Zaryzykuję zdrowiem, — uśmiechnęłam się, wyciągając rękę z kieszeni.

Wal z całego serca ścisnął, aż zachręściły moje kosteczki i z zadowoleniem wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy z jękiem pomachałam dłonią. Tak oto, dlaczego wojownicy wymieniają uściski dłoni przed pojedynkiem — żeby całkiem pozbawić przeciwnika możliwości trzymania miecza, nie mówiąc już o ryzykownym wymachiwaniu!

— Foczka, jesteś winna mi dwa miedziaki. — Troll z żalem spojrział na rynsztok z brudną wodą, powoli podnosząc z niego gruszkę.

— Nie ma problemu. Zaraz wystawię ci skrypt dłużny, podejdziesz do Władcy Dogewy i odbierzesz należność na poczet mojej pensji.

Widocznie Wal, wyobraził sobie twarz Lena po przedłożeniu rachunku, ponieważ jego własna wyraźnie posmutniała. Zażądać od samego trolla chociażby jednego miedziaka byłoby zadaniem ponad siły, dowiedzieć się powodów niezapłacenia było niemożliwym przy całym wysiłku. Tenże cechę Wal bardzo cenił u innych istot, tak że z niemałym zainteresowaniem i przyjemnością wysłuchałam pogodzenia się trolla ze stratą tej kolosalnej sumy.

A może osuszmy kufelek czegoś? — Zaproponowałam, wskazując głową w kierunku karczmy, do której zostało jakichś pięć sążni.

— No pewnie — chętnie zgodził się najemnik. — U nich tu piwo dobre, warokczańskie. Wczoraj próbowałem, wcale nie rozcieńczają!

— Wolę kwas — szybko zaprotestowałam.

Nasze drogi dość często się krzyżowały, więc i pracowaliśmy często razem, tak że naszym przypadkowym spotkaniem ani trochę się nie zdziwiłam. To Wal skusił mnie Opadiszcami. Sam troll regularnie uczestniczył w świątecznych bitwach po stronie winessian albo belorców na zmianę — kto zapłaci więcej. Dziwne tylko, że sam jeden — zwykle najemnicy zjeżdżali się na tak intratne przedsięwzięcia hałaśliwymi kompaniami, które zresztą, podobno łatwo klóciły się ze sobą i się rozpadały.

Uchyliłam drzwi i odsunęłam się na bok. Karczma roiała się od ludzi, do stolików ledwie można było się dopchnąć, a co dopiero usiąść. Prawdopodobnie

zdecydowała się tu zjeść śniadanie dobra połowa przyjezdnych a uwzględniając pogodę — jednocześnie i obiad, skracając sobie czas rozmowami i popijawą.

— Ty co, foczka, usnęłaś? — Wal poufale szturchnął mnie w plecy, tym samym zmuszając do przekroczenia progu.

— A jest sens? Wszystko jedno, wolnych miejsc nie ma.

— Jak to nie ma? — Szczerze zdumiał się troll. Wal podszedł do najbliższego stołu, i chwyciwszy za kark siedzącego tam gnoma uniósł w górę i wskazawszy palcem na jego krzesło, beztrąsco zapytał: — Ejże, broda, to miejsce jest wolne?

Ten usilnie zaczął kiwać głową, przebierając w powietrzu nogami.

— Widzisz foczka, trzeba tylko nie wstydzić się zapytać! — Protekcyjnie zakończył troll, puszczając gnoma. Współbiedniacy owego zgodnie doszli do wniosku, że już zasiedzieli się w tej gościnnej gospodzie i stół na cztery osoby został oddany do naszej całkowitej dyspozycji.

W karczmie płonął kominek, od którego rozchodziło się ciepło, tak że w pierwszej chwili zajęłam się zdjęciem i strząśnięciem deszczu z kurtki, razem z torbą rzuciwszy ją na sąsiednie krzesło.

— Foczka, kto cię tak? — Ze zdumieniem gwizdnął troll, oglądając długie zarysowania na powierzchni kurtki, miejscami tak głębokie, że sięgające aż do podszewki.

— Kogut stratował — palnęłam bez zastanowienia.

Przez parę sekund Wal nic nie rozumiejąc tępo gapił się na mnie, a potem zaczął tak rechotać, że za późno zorientowałam się, jaki wielki błąd popełniłam. Pozostało mi tylko wymyślić, byle jakie, żarłoczne stworzenie.

— A to proszę bardziej szczegółowo, foczka! Do Dogewy chyba nie tak już daleko, a jej Władca, sądzę, także będzie ciekawy dowiedzieć się, co to za koguty jego narzeczona tu depczą!

— A ty co, do śledzenia mnie żeś się najął? — Nie mogąc się pohamować, zbyt szorstko się odgryzłam.

— Uhm, — niewzruszenie potwierdził troll. — Przywlekłem się tak za tobą przez pół Belorii!

Obok nas, w pytającym pół ukłonie zgiął się właściciel karczmy. Płacić należało z góry, tak więc, odliczywszy mu pięć monet, jednocześnie wysypałam na stół zawartość całej sakiewki, dla kontroli. Nietęgo — miedziaki na wpół ze srebrem i samotna, złota kładnia.

— Kiepsko czarujesz foczka — uszczypliwie zauważył najemnik, wnosząc swoją część.

— Z pracą w ostatnim czasie kiepsko — z westchnieniem wyznałam. —

Prawda, wczoraj jacyś młodzi wieśniacy, podpiwszy na stypie, dawali mi dziesięć kładni za wskrzeszenie z grobu „sprawcy uroczystości”, teścia obu zleceńodawców. Powiadają, że niby „szef posiedziałby z nami w kompani, popatrzał, jak my tutaj dla niego zorganizowaliśmy imprezę...”, ale takimi bzdurami się nie zajmuję.

— Ja też golec. Co prawda dostałem wczoraj zamówienie, żeby jedną ohydłą babę trzasnąć... — Życzliwie uśmiechająca się dziewczka przyniosła nasze zamówienie i głos trolla, który dobrał się do piwa, utonął w tryumfującym bulgotaniu.

— Kogo? — w roztargnieniu się zainteresowałam, rzucając się na smażone w śmietanie grzybki. Jeśli Wal, od wczorajszego wieczoru nie miał ani kropli w ustach, to ja — okruszków.

Troll, mrużąc oczy z zadowolenia, odstawił opróżniony do połowy kufel i bezwstydnie beknął wprost mi w twarz.

— Ciebie.

Borowik zrobił się nie lepszy od sromotnika, trafiając nie w tą dziurkę co trzeba. Wal uniósłszy się i przegiąwszy się przez stół, czynnie poklepał mnie po plecach.

— Co-o-o?! — Wreszcie udało mi się wydobyć głos, uchylając się przed łapą, która nie przypadła mi do gustu. — I zgodziłeś się?!

— No co ty, foczka?! — Obraził się Wal. — Oczywiście, że nie!

Z ulgą westchnęłam.

Troll przysunął do siebie talerz z parującymi jeszcze ziemniakami i z oburzeniem dodał:

— Trzeba nie lada bezczelności — żeby zaproponować mi nic nie warte czterdzieści kładni za bojowego maga! Zresztą, powiedziałem, że pomyślę...

— Wal, ja ciebie teraz sama zabiję — z uczuciem w głosie obiecałam. — Za darmo, w imię starej przyjaźni!

Troll, nic sobie nie robiąc z moich deklaracji, ułamał kawałek chleba od położonego na środku stołu bochna i zabrał się do jedzenia, najpierw wykonawszy niezbędne sanitarno-higieniczne zabiegi, to jest wytarłszy ręce o spodnie.

— No zastanowiłem się, — kontynuował z pełnymi ustami. — Może by tak, zabrać się za ten interesik razem?

— Ze mnie trup, z ciebie pośrednik usługi? — Odezwałam się zjadliwie.

— No, może nie całkiem, — „pocieszył” mnie troll. — Obejdziemy się jakąś charakterystyczną częścią!

Głośno postukałam się w czoło kosteczkami palców, ale najemnik

zinterpretował ten gest po swojemu, z zainteresowaniem spojrzął z ukosa na moją głowę. W pośpiechu cofnęłam rękę.

— Ręka też może być! — Chciwe zapewnił Wal. — Zwłaszcza taka, z pierścionkiem. Jego, nawiasem mówiąc, także mi bardzo szczegółowo opisali...

— Kto? — Odruchowo obróciłam pierścień na palcu, przekręciwszy pieczęcią do środka.

— Miałem pokusę odsunąć mu kaptur, ale obawiam się, że to oznaczałoby ostateczne zerwanie umowy — mruknął troll. — Foczka, czego ty się tak trzęsiesz? Pożyczysz pierścionek, wygrzebiemy na cmentarzu jakąś babę w miarę świeżą, odciachamy jej rękę, przekazemy klientowi, podzielimy pieniążki, a potem podpatrzemy, gdzie on ją wyrzuci i zabierzemy!

Grzybki już nie wydawały mi się takie apetyczne. Demonstracyjnie ścisnęłam zaobrączkowaną rękę w pięść i z ponurym wyglądem podsunęłam ją trollowi pod nos, żeby nawet nie miał nadziei.

— Jak on mniej więcej wyglądał?

— Mężczyzna, średniego wzrostu, w długim płaszczu z pasem, jak u dajnow, tylko czarnym. Z wyglądu bardzo przypominał czarownika i zwyczajnie także miał paskudne — głos niezbyt głośny, przymilny, ruchy płynne, ale ghyr za nimi nadażysz. — Wal w zamyśleniu zamieszał w kuflu resztką piwa i dodał: — I zdaje się, że z nim było jeszcze dwóch typów, tylko nie razem, a trochę z boku. Udawali, że gadają między sobą, ale tak naprawdę zerkali w naszą stronę.

— Jeśli jeszcze raz ich zobaczysz — poznasz?

— Jeszcze pytasz! — Z urazą prychnął najemnik. — A czym według ciebie zajmuję się cały ranek? Wypatruję tych dchurów³⁵, ale na razie bez skutku. Widać, przeczekują gdzieś, nie chcą się ludziom rzucać w oczy...

— Chcesz powiedzieć, że się zgadzasz? — Docięłam.

— Powiedzieć to ja im i tak mogę — dali mi do zrozumienia, że jutro sami się do mnie zgłoszą. Chciałem się po prostu dowiedzieć, gdzie się zatrzymali. Nie lubię na oślep pracować: wykończysz klienta, a zleceniodawca jak kamień w wodę przepadł! I co wtedy mam z twoją głową zrobić?! Może narzeczonemu zmagającemu się z wszelkiego rodzaju kondolencjami podarować — niech w salonie nad kominkiem na pamiątkę przybije...

— Wal!!!

— Dobrze już dobrze, pożartować już nie wolno? — Troll, nic sobie nie robiąc, kontynuował picie na zmianę z zakąską. — Odpręż się foczka, kolegów po fachu nie sprzedaję!

— Chyba, że za pieniądze, — przytaknęłam, wzdychając z uczuciem

³⁵Dchurów – słowo z języka trolli

beznadziejności. — Czemu od razu ich nie sprawdziłeś?

— Nie pozwolili, — mlaszcząc, niechętnie przyznał najemnik. — Zawodowcy, ghyr hatt w droppu³⁶! Tymczasem czarownik wcale się nie ukrywał, z miejsca się nie ruszyli, a potem w różne strony się rozeszli. Ja także nie gblíh³⁷ smarkacz, żeby któregoś z nich śledzić — na pewno w niecałe pięć minut w tył głowy bym zarobił. Jestem pewny, że oni siebie nawzajem asekurowali i potem ponownie zbili się kupę. W dodatku i nie za bardzo podkradniesz się do tego wampira...

Z godziny na godzinę coraz gorzej! Czyżby znowu łożniaki?! Nie ma żadnej gwarancji, że wyłapaliśmy wszystkich arlisskich metamorfów, oni na mnie ostrzą nie tyle zęby — co kły w trzech rzędach! Ale po minionych wydarzeniach, wszystkie belorskie osiedla zostały obwieszane ochronnymi amuletami, łożniaki do nich i na wiorstę podejść się nie odważą. Tak, ale co to za idiotyczna historia z czterdziestoma kładniami?! Nie prościej zawładnąć ciałem mojego dobrego znajomego i wyciągnąwszy mnie gdzieś na odludzie, niespodziewanie dźgnąć kindząłem pod zebro.

— Wampiry?! Jesteś pewien?

— No, jeden tak jakby. Przez krzaki na przełaj polazł — przynajmniej gałązką by poruszył! — Z mieszaniną irytacji i zachwytu zauważył troll.

— Może elf? — Założyłam z nieśmiałą nadzieją.

— A po co elf przyklejał by brodę? Do tego osobników o piwnych oczach wśród nich — jak raz i na palcach, można policzyć. — Wał pomilczał i już na poważnie, dodał: — Foczka, a ty jesteś pewna, że biały strój, w którym cię pragną zobaczyć w Dogewie — to właśnie suknia ślubna?

— Co ty sugerujesz?!

Troll skrzywił się:

— Foczka, to ty przed ślubem masz nierówno pod sufitem. Nie mam na myśli twojego drogocennego wampira, chociaż na jego miejscu nie ponosiłbym wydatków na najemników a udusił cię osobiście. Komuś musiałaś nieźle podpaść. Jestem pewny — te typy wiedzą, czyją jesteś narzeczoną. I wiedząc o tym, zgodzą się otworzyć kiesę z powodu otarcia, skąpej wampirzej łezki.

— Ale to zupełnie nie znaczy, że oni są z Dogewy! — Oburzyłam się. — Mało to, komu plany pokrzyżowałam! A zresztą, przecież do gęby im nie zaglądałeś. Może to wcale nie wampir! Albo półkrwi, który nie musi przestrzegać prawa. Słuchaj, jeśli oni już tak bardzo chcą zdobyć moją głowę, to może nie będą mieli nic przeciwko i całej reszcie? Wtedy im się osobiście

³⁶ **Hatt w droppu** – słowa z języka trolli (z kontekstu wynika, że huj im w dupę)

³⁷ **Gblíh** – słowa z języka trolli

dostarczę i wręcę!

Troll z wåtpliwością pokiwał głow, ale mimo wszystko obiecał:

— Jak tylko oni się zjawia, od razu gwizdnę. Ale „honorarium” wspólne!

— Moesz chociaby całe zabierać! — Rzucił w złości, dopijając kwas.

Wal zajrzał do swojego, take osuszonego kufelka, przychylnie chrząknął i zademonstrował mi wypalony na dnie napis „Wypij jeszcze!”. Śpieszyć się nie było dokd, take poszliśmy za dobr rad. Wal pierwszy rzucił karczmarzowi monetę, a ten, nie zorientowawszy się w czym rzecz, odliczył mu resztę jak za dwa kufelki, chocia do tej pory kade z nas płaciło za siebie. Troll, gniewnie zasapał, ale jak na niego dziwne nic nie powiedział.

W zamyśleniu wyprawiał do ust ostatniego grzybka, prawie nie poczuwszy jego smaku. Dopijając reszkę kwasu, przechylił do tyłu głowę, ale natychmiast się zakrztusił i z pośpiechem odstawił kufelek na bok. Po sufitowej belce, (bo strychu w karczmie nie było) powoli i w określonym kierunku, kroczyło szare, ogoniaste stworzenie, chciwie spoglądając na zawieszony na belce, upleciony z czosnku i kłosów pszenicy warkocz. Chyba go jednak nie ciągnęło do ostrego ani mcznego jedzenia. Prawdopodobnie, końcowym celem była taca z pasztecikami, nieostronie postawiona przez słuącą na barze, pod wyej wymienionym warkoczem.

Wal podżył za spojrzaniem, moich drapieżnie zwięzonych oczu i ze zdumieniem chrząknął.

— Widzicie t niezwykłość, w miejskich chaszczach te stworzenia jak koty w biały dzie pod nogami śmigaja!

— A to — wyjaśniłm złowrogo — ju mój klient!

Szczurołak dotarł do skrzyowania belki z pionow podpor, spróbował obejść j przy brzeku, ale nie utrzymał się i ześliznął się z belki. Niestety, nie spadł, w niczym mu te to nie wydłuyło drogi, po prostu znalazł się na niszej wysokoci.

W ogóle, to w karczmie nie uznawano rzucania bojowymi pulsarami ni z tego ni z owego, ale grzechem byłoby przepuci tk okazję!

Postarałm się zlepić maksymalnie małą grudkę energii, przy czym nie dając jej przekształci się w świetln. Jeszcze tego by brakowało, ebym podpałiła albo w ogóle, całkowicie rozniosła dach gospody! Samonaprowadzający się pulsar na takim dystansie nie wyjdzie, ale cel doć duy, a i na zdolnoć oceny na oko nie narzekałm.

Wal, wstrzymawszy oddech, gorliwie obserwował rozwój wypadków odchyliwszy się na oparciu krzesła. Sam najemnik bez adnego problemu „zdjałby” szczurołaka jednym rzutem noa czy te samym kufelkiem, ale

pomagać wiedźmie bez jej wyraźnej prośby (a raczej, obietnicy podzielenia się honorarium) nie miał zamiaru.

Oparłam się łokciem o stół, przymierzyłam się, celując ręką. I nagle — jakbym wypuszczała na wolność, trzepoczącego skrzydełkami w lekko zgiętych palcach, motylka — rozwarłam pięść.

Czy to szczurołak coś zwęszył, czy też po prostu sprzykrzyło mu się zwisać głową w dół, ale czekać na pulsar nie zamierzał i niespodziewanie skoczył na chwijający się z oburzenia warkocz.

Zakląłam półgłosem. Pulsar bez żadnego skutku prześliznął się wzdłuż belki, urwawszy u podstawy czosnkowy warkocz i szczurołak razem z dymiącym się warkoczem szmyrgnął wprost na upragnione pierogi.

Kiedy po karczmie ni z tego ni z owego zaczynają gwizdać pulsary, przynajmniej połowa interesantów przestanie melancholijnie ruszać szczękami i zainteresuje się takowym faktem. Kiedy jednak w ślad za tym, bezpośrednio z sufitu spada niczego sobie, szare stworzenie i rozlega się przenikliwy pisk służącej, jak raz biorącej za półmisek, powszechna uwaga zapewniona!

Szczurołak przypochlebnie stulił uszy, wbił zęby w najbliższy pasztecik i zamaszystym skokiem przeskoczył na ścianę, wyróciwszy półmisek. Długo przesiadywać tam także nie zamierzał, bo ze względu na taką bezczelność, o przyzwoitości zapomniała nie tylko wiedźma. W kłodę z trzaskiem weszło około tuzina najrozmaitszych noży — od eleganckiej elfiej „pszczołki” o długości dłoni, do masywnego orkowego jatagana³⁸. I jeszcze tyle niehonorowo obsypało się na podłogę. Merdnawszy ogonem, stworzenie po mistrzowsku przemknęło między palisadą z ostrzy, zeskoczyło na podłogę i porobiwszy pętle wśród bezsensownie tupiących nóg, czmychnęło w kocie przejście pod drzwiami i to by było na tyle.

— Foczka, czterdzieści kładni to chyba już nie taka i obraźliwa suma, — wyszczerzył się troll.

— Ty także nie trafileś — odgryzłam się.

— A mi za to płacili? — Zripostował najemnik i poszedł wyrywać kindżał.

W karczmie powoli zapanował spokój. Służąca zebrała porozrzucane pierogi i zamiotła szczątki półmiska. Karczmarz, sapiąc polazł na bar — zawieszać z powrotem ścięty warkocz.

Troll zagadał się z jakimś znajomym, a mi nie chciało się czekać na jego powrót — więc na pożegnanie machnęłam mu ręką i narzuciwszy kurtkę, opuściłam karczmę. Niebo nadal było równomiernie szare, ale gdzie niedzie

³⁸ **Jatagan** – biała broń sieczna o podwójnej krzywiznie ostrza, średniej długości (dłuższa od kindżału, ale krótsza od szabli). Nie posiada jelca, a głowica rękojeści jest rozdwojona, tworząca sylwetkę motyla. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Jatagan>

zaczynało się przejaśniać. Przynajmniej deszcz przestał padać.

Rzucone przez Wala słowa nie dawały mi spokoju. W czarnych kolorach wyobrażałam sobie to Radę Starszych, to Kellę a to z jakiegoś powodu Kajela, którzy pod osłoną nocy i kapturów spiskowali z osobnikami najbardziej nikczemnego pokroju, zmieniawszy głos do nosowego szeptu. A nie, to wierutna bzdura, to przecież właśnie oni nie chcieli puścić mnie z Dogewy! Więc kto? I za co?!

Za plecami rozległo się delikatne pokaszływanie:

— Pani wiedźma, jak mniemam?

Nie odpowiadając, gwałtownie odwinęłam się na obcasach, zmusiwszy mówiącego do odskoczenia z lękiem i nieco mętneho przedstawienia się:

— Jam to jest najwyższą opadiszczeńską głową w osobie, Oldeja Pohlebatko. Dokładnie, winesskoj joj czasti. Na porządek w joj mam baczenie, no i stał się dla mene zaszczyt. Widzielim, jak pani w karczmi czarowała, no i pomyślawszy, szo trza podejść, zaznajomić się...³⁹

W zamyśleniu obejrzałam cherlawego, wąsatego chłopinę, próbując określić, gdzie właściwie jest przechowywany sugerowany zaszczyt — w łapciach, w wysokiej czapce, czy w zwężających się ku dołowi spodniach czy może w długiej siermiędze, przepasanej tradycyjnym, szerokim i czerwonym winesskim pasem z frędzelkami.

— Wolha. Zapoznaliśmy się. Bardzo mi miło. I co?

Chłop jeszcze raz zakaszłał i widząc, że nie skłaniam się do serdecznej rozmowy o pogodzie, od razu wziął byka za rogi:

— Mene werny ludzi nu donieśli, szo belorcy, maga ku sebe do drużyny zwerbowali. Toż ten pies oden, za dziesięć kładni naobiecywał taku zabawu winessjanom zorganizować, szo, ni by to, my se prze tydnia po nioj nie zbierem. No i pomyślawszy: my so gorsze?! Newże dziesięć kładni za takse zgarnie azali nie nazbieramy? A? — Starosta przypochlebnie spojrział mi w oczy.⁴⁰

— W zasadzie to ja także belorka.

Tak naprawdę po prostu szukałam wiarygodnego pretekstu żeby odmówić. Umiejętności Mistrza praktycznej magii niepoważnie zmieniać na jarmarczne

³⁹ W języku winesskim: „— Sprawuję, w Opadiszczy najwyższą władzę, nazywam się Oldej Pohlebatko. Dokładnie w winesskiej jej części. Odpowiadam tu za porządek. Pani obecność tutaj to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Widziałem, jak Pani czarowała w karczmi i pomyślałem, że wypadaloby podejść i zawrzeć znajomość...”

⁴⁰ W języku winesskim: „— Wierni mi ludzie już donieśli, że belorcy, zwerbowali do swojej drużyny maga. Toż ten pies jeden, za dziesięć kładni naobiecywał taką zabawę winessjanom zorganizować, że niby to, my się przez tydzień po niej nie pozbieramy. Tak więc pomyślałem sobie: przecież nie jesteśmy gorsi?! Nawet jeśli u maga taryfa wynosi dziesięć kładni, to co, nie nazbieramy? No to jak? — Starosta przypochlebnie spojrział mi w oczy.”

sztuczki. Ale z drugiej strony... gdy w kieszeni ma się mniej niż dwie kładnie, grymasić nie wypada. Oczywiście, można wrócić do Dogewy — skoro do niej wszystkiego półtora dnia drogi — i zażądać swojej pensji za trzy miesiące pracy jako Najwyższa Wiedźma (poprosić o pieniądze Lena tak po prostu się wstydziłam, a mieszkając w Dogewie za nic nie płaciłam — nie licząc prezentów od wdzięcznych klientów!). Oddać to mi ją oddadzą, ale natychmiast zmuszą do odpracowywania spraw, które zdażyły się pod moja nieobecność nagromadzić. A potem Kella zaprzęgnie mnie do przedślubnej krzątaniny i żegnajcie trzy ostatnie tygodnie wolności. O nie, już lepiej dziesięć kładni tu, niż sto — tam!

— No ta szo?⁴¹ — szczerze zdumiał się Oldej i nagle w najczystszyim języku belorskim kontynuował: — W ogóle, to mój rodzony brat żyje po tej stronie wsi, a przechodzi na naszą — jeśli, oczywiście, nie pokłócimy się w przeddzień. I pozostali tak robią, dlatego, że wieś jedna i każdy każdemu swojak!

Rozejrzałam się i zorientowałam, że rzeczywiście przeszliśmy obok centralnie położonej studni, minąwszy potrzebny mi zakręt. Trzeba będzie wracać.

— Czego właśnie ode mnie chcecie?

— A to już pani wie lepiej, pani wiedźmo. No, nastraszcie ich jakoś, błyskawicami tam pobłyskajcie, kłopotów jakichś nasprawdzajcie... żeby, aż zasyczało, zahuczało i zaświstało! — Winesjanin mimiką i rękami, z natchnieniem przedstawił wymagany zakres przerażenia, który powinien zmusić wojsko przeciwnika do haniebnej ucieczki.

Słuchając z wielką uwagą, znowu minęłam rozwidlenie drogi ze studnią i zdecydowawszy się więcej nie ryzykować, zatrzymałam się. Omówiwszy jeszcze jakieś organizacyjne pytania, rozstaliśmy się bardzo zadowoleni z siebie nawzajem. Oldej nie pożałował przekazać mi trzech kładni zaliczki i nawet napomknął o premii. Ze swej strony, obiecałam zaskoczyć belorców takimi wcirami, że co najmniej przez miesiąc będą odczuwać ich skutki.

Niech będzie, a teraz zajmijmy się poważnymi sprawami. W końcu skręciłam tam, dokąd się kierowałam i razem z hałaśliwym tłumem przeszłam przez bramę prowadzącą na jarmark.

* * *

Opadiszczeński jarmark naprawdę robił wrażenie. W głąb odchodziły nieskończone hale targowe, po obwodzie ustawiły się handlowe wozy. Bliżej

⁴¹ No ta szo? – w języku winesskim: No to co?

wejścia handlowano warzywami i owocami, dalej były widoczne ostre wierzchołki namiotów z chałupniczymi towarami.

Zamierzałam przejść na wylot wzdłuż rządów, ale się zatrzymałam oczarowana stertami jasnoczerwonych winesskich jabłek. Zdaje się, że najtańsze i najpiękniejsze owoce znalazły się u handlarki o szachrajskim wyglądzie. Przez parę minut, niewinnie patrząc sobie nawzajem w oczy nad oburzonym skrzypieniem wagi, wyjaśniałyśmy sobie co przeważy — magia czy też przywiązany do szali wagi sznureczek. Zwyciężyła przyjaźń, to jest zapłaciłam za prawdziwą wagę. Wsypawszy jabłka do torby, ruszyłam dalej, ale idący przede mną tragarz potknął się o psa i z barwnymi komentarzami jak długi rozciągnął się pośrodku drogi, zapełniwszy ją brzoskwiniami z upuszczonego kosza. Ludzie, rozumie się, rzucili się zbierać, wtrącił się więc właściciel dobra, a potem i dwójka pilnujących porządku strażników, powodując jeszcze większe zamieszanie.

Nie czekając, aż droga się oczyści, bokiem precisiłam się między dwoma straganami i dalej już poszłam aleją w sąsiednim rządzie. Pod nogami chrzęściły łupiny z orzechów, nad głową z ćwierkaniem przeleciało stadko wróbli. Potok kupujących powoli pełznął wzdłuż straganów, porywając mnie ze sobą. Oprócz jednej dziewczyny, zastygłej jak słup soli pośrodku przejścia i dlatego ostro wyróżniającej się z tłumu. Na popychania i wymysły jakby nie zwracała uwagi, w skupieniu wypatrując kogoś w sąsiednim rządzie. Nawet uniosła się na palcach, na chwilę obróciwszy się w moją stronę zdumiewająco znajomym profilem. Rozpłynęłam się w radosnym uśmiechu i zaczęłam intensywnie przepychać się do przodu, wywołując spore oburzenie ludzi, póki nie znalazłam się bezpośrednio za jej plecami.

— Orsana, cześć!

Reakcja była, lekko mówiąc, dziwna. Wzdrygnąwszy się i przysiadłszy, jak gdybym wcale nie pociągnęła ją żartobliwie za warkocz, a co najmniej niespodziewanie wrzasnęła do ucha albo zamachnąwszy się, z całej siły zdzieliła po głowie zakurczonym workiem, przyjaciółka odwróciła się z wyrazem takiego autentycznego przerażenia na twarzy, że szybko obejrzałam się przez ramię, nie mogąc zrozumieć, co też ją tak wystraszyło.

— W-wolha? — Z wysiłkiem wydusiła Orsana, wykrzywiając wargi w wymuszonym uśmiechu. — Szo ty tu robisz?!

Zrozumiałam, że to „serdeczne” przyjęcie przeznaczone było właśnie dla mnie. Spojrzawszy na moją zmieszaną i markotną twarz, dziewczyna w pośpiechu, jak gdyby obawiając się, że zaraz zawrócę i sobie pójde, złapała mnie za rękaw i z trudem próbując przywołać na twarz wyraz życzliwości

zamiast grymasu zawile zatrajkotała:

— Wolha, wybacz, wcale nie chciałam cię obrazić! Po prostu nie spodziewałam się ciebie tu zobaczyć, myślałam... — Orsana zająknęła się i zmieszała się jeszcze bardziej.

— Co?

— Że cię tu nie zobaczę! — Całkiem już bezsensownie zakończyła przyjaciółka i nagle, rozjaśnwszy się, z radosnym krzykiem wzięła mnie w objęcia: — Wolha, jakże się cieszę, że ciebie widzę!

Zupełnie już niczego nie rozumiejąc, odruchowo złączyłam ręce za jej plecami. O ile się orientowałam, Orsana w wieku dwudziestu czterech lat nabrała rozumu na tyle, aby dosłużyć się stopnia setnika i z powodzeniem kontynuowała karierę w tym samym duchu, rozczulając tym, tak samo walecznego tatusia. Co ona robi w Opadyszczach, jeżeli jakiś miesiąc temu sama chwaliła mi się w liście, że właśnie jej sotni⁴² powierzono ochranianie królewskiego pałacu podczas świątecznego balu?! Przyjemność, oczywiście wątpliwa, ale za to jaki zaszczyt!

— Orsana, co się stało? — Stanowczo oswobodziłam się z uścisku i odsunawszy przyjaciółkę na długość ramienia, badawczo spojrzałam jej w oczy. Właściwie mówiąc, spróbowałam.

— Nic — szybko zaprzeczyła Orsana, umykając przede mną wzrokiem.

Zrozumiałam — nie przyzna się, chociażby ją kroili.

Jeszcze jedna przykra niespodzianka — na jej szyi, przy dekolcie, wisiał jakiś amulet, osłaniający jej myśli przed telepatią. I to nienajgorszy, szpiegowski. Przy dobrych chęciach, pokonałabym jego moc, przyprawiając siebie i ją o ból głowy, ale niepostrzeżenie przeczytać myśli już się nie dało. Amulet zareagował nawet na próbę penetracji — delikatnie zawibrował, zmusiwszy dziewczynę, aby odruchowo przycisnęła go ręką przez kurtkę.

— Orsana, wstąpiłaś do tajnych służb?!

— Nie, no co ty! — oburzyła się przyjaciółka, uradowana, że może szczerze odpowiedzieć przynajmniej na jedno pytanie. — Ja tu... w osobistej sprawie.

— Jasne. — Wzruszyłam ramionami i przybrałam taki wyraz twarzy, jakbym miała zamiar odejść. — Szkoda, że jesteś taka zajęta... osobistymi sprawami. Zgoda, pogadamy jakoś innym razem...

— Nie, no co ty! — Orsana uczepiła się mojego łokcia z taką samą szczerą gorliwością z jaką jeszcze pięć minut temu marzyła żeby znaleźć się gdzieś dalej ode mnie. — Przyjechałam świętować, zabawić się i będę rada z towarzystwa,

⁴² **Sotnia** – pododdział wojska. Nazwa wywodzi się od setki żołnierzy (ros. *setka*, *secina*). <http://pl.wikipedia.org/wiki/Sotnia>

tym bardziej twojego!

Nie mam pojęcia, co najemniczka miała na myśli mówiąc „zabawić się”, ale na wierzchu, przeciętnej polowej odzieży, na dziewczynie srebrzyła się lekka kolczuga, potem i krwią... tfu, miotłą i szwabroj⁴³ zdobyta w smoczym legowisku. Zza lewego ramienia wystawała rękojeść, zdobytego w ten sam sposób miecza, zza prawego — mocno nabity kołczan. Wzdłuż biodra, dwoma płynnymi skrętami, wił się przytroczony do pasa łuk ze zdjętą cięciwą.

Gołym okiem było widać, że z przyjaciółką dzieje się coś niedobrego, porzucać jej w takim stanie, oczywiście, nie miałam zamiaru. Niech będzie, zechce — to sama powie, a nie zechce — wcześniej czy później samo wyjdzie na jaw.

— Na kogoś czekasz? — Zapytałam na wszelki wypadek.

— Nie — przyjaciółka znowu rzuciła ukradkowe spojrzenie. — Tak sobie... rozglądałam się.

— Coś wypatrzyłaś?

— Nie. Wszystko mi jedno, dokąd pójdziemy, jeżeli ty o tym.

Pomału rozmowa się ułożyła. Orsana starannie obchodziła temat swojego pojawienia się w Opadiszczach, ale na inne pytania odpowiadała chętnie. Zjadłyśmy po bułeczce ze śliwkami i tradycyjnie poplotkowałyśmy o królach, przyjaciółka opowiedziała kilka legionowych bujd, ja — wiedźnich.

Rozumie się, że w końcu rozmowa zeszła na zbliżające się wesele.

— Wolha — niespodziewanie poważnie i z troską w głosie powiedziała Orsana. — Do weseliska zostało wszystkiego trzy tygodnie, co ci stoi na przeszkodzie wrócić do Dogewy i samej zająć się jego przygotowywaniem? A i Len, z pewnością przeżywa, gdzie się podziałaś...

Teraz przyszła moja kolej zbywać pytania milczeniem.

— Nie kochasz go?

Wyrażając niezadowolenie kopnęłam ogryzek, który nawinął mi się pod nogę i z westchnieniem przyznałam się:

— Kocham, Orsana. I zdaje się, że z każdym dniem coraz więcej i więcej... I tu jest pies pogrzebany. Nie chcę wszystkiego zepsuć tym idiotycznym ślubem!

— Idiotyzm jakiś! — Oburzyła się przyjaciółka. — Mój tatko do tej pory mamę na rękach nosi! To znaczy nosiłby, jeśli dałby radę podnieść...

Nie zważając na to, że pełne kształty w Winessie były uważana za synonim piękna, wyobrażony przez mnie obrazek nie natchnął mnie pozytywnie: ja, jako mężatka ważąca mniej więcej z siedem pudów — i Len, jak dawniej, młody i

⁴³ **Szwabra** – długa łykowata (sznurowa) szczotka do wycierania podłóg, Przygoda z I cz. Opiekunki

zgrabny, z przerażeniem przymierzał się przenieść ten „skarb” przez strumyczek, co przedtem robił nie namyślając się. Na widok tej barwnej sceny zakończonej pluskiem i stłumionym chrypieniem z dołu, delikatnie zaczęłam jęczeć na głos. Orsana ze zdziwieniem spojrzała na mnie, ale wyjaśnień, oczywiście się nie doczekała.

— Poczekaj. — Wreszcie przypomniałam sobie, z jakiego powodu właściwie wstąpiłam na targowisko. — Poczekasz tu na mnie?

Przyjaciółka niechętnie kiwnęła głową, nie wiadomo po co przesunąwszy ręką po głównej miecza.

Ktoś założył, że purpurowy półmrok i świecący się kryształ na wysokim trójnogu, okryty wijącą się pajęczynką błyskawic, nadadzą sklepieniowi tajemniczości. Ale mi taka oprawa sceniczna wydała się dosyć pospolita, jak w katedrze teoretycznej magii, która kształciła wykładowców, projektantów opracowujących zaklęcia i mistrzów amuletów. Ci ostatni, byli mi potrzebni.

Zasuszony staruszek w ciemnoniebieskim płaszczu powoli zamknął książkę i pytająco spojrzał na klientkę zza lady. Przymilnie przepowiadać: „Podejdź, że bliżej, o młoda panno i znajdź to, czego tak długo szukałaś — cała potęga magii jest zawarta tu, w tym oto amulecie, który chroni przed wszystkim, tylko za trzy i pół kładni” — albo coś w takim samym reklamowym duchu, nie zaczął, bezbłędnie rozpoznawszy kolegę po fachu. Przyjacielsko kiwnęłam głową w geście powitania i od razu przeszłam do rzeczy:

— Jak pan sądzi, co to takiego?

Mag, nie okazawszy najmniejszego zdumienia, delikatnie wziął z moich rąk „rumianek” kryształów na zaostrzonym żelaznym pędzie. Schował w dłoni, złożonej na kształt filiżaneczki i wsłuchując się, przymknął oczy. Potem rytmicznie, jak gdyby czytając z kartki zaczął mówić:

— Samorodne ametysty. Nieoszlifowane, wprost z druzy⁴⁴. Prawdopodobnie, elgarskiego pochodzenia, tylko tam spotyka się taki nasycony fioletem kolor. Magiczny komponent... hm... szczątkowe ślady zaklęcia, po jednym na każdy kamień. Zbyt słabe, tak że trudno określić, jakie dokładnie. Samoróbka, zaczarowana dość topornie, ale z zachowaniem wszystkich zasad, z wykorzystaniem prostego kontaktu ze źródłem mocy.

— Nekromancja czy naturalne źródło? — Uściśliłam na wszelki wypadek.

— Szybciej już... hm... magia krwi. Dobrowolnie oddanej, najprawdopodobniej swojej. Aczkolwiek nie gwarantuję, że tak było istotnie. Amulet niedawno został dezaktywowany i do powtórnego wykorzystania już się nie nadaje, ale pani może te kamienie w zupełności zaproponować jubilerowi.

⁴⁴ Druza – skupisko, rozetka wolno rosnących kryształów. [przypis Olgi Gromyko]

Trzeci sklepik w siódmym rzędzie.

— Dziękuję. — Położyłam na ladzie ostatnią monetę.

Mistrz, spokojnie strzepnął ją do skrzynki i lekko się uklonił — niby, że wstąpcie jeszcze.

W zamyśleniu przytrzymałam rwące się trzasnąć drzwi. Na próżno. Gospodarz smoka nie zwracał się o pomoc do mistrzów, robił wszystko sam od A do Z. A miałam nadzieję wytropić go przez sprzedawcę, który być może i przypominałby sobie klienta...

Zresztą, w ogóle miałam wątpliwości, że kopię w właściwym kierunku. Minał już miesiąc, dawno zdażyłam wydać i zapomnieć uzyskane za ducha zaduchowiejskiego smoka kładnie. Ale nie posiadając innych wariantów, postanowiłam sprawdzić chociażby ten.

„Jakże ty mi się sprzykrzyłaś, wiedźmo!”

Ciekawe, kiedy to zdażyłam mu się sprzykrzyć? Wychodzi na to, że spotykaliśmy się przynajmniej dwukrotnie. I oba razy, z jakiegoś powodu go nie natchnęły.

Leszy niech to weźmie, nie w porę utopiłam torbę z brudnopisem dysertacji! Oczywiście, większą część materiału mogłam odbudować z pamięci, ale coś zdażyło całkiem w niej zblaknąć. Zwłaszcza mało znaczące na tę chwilę drobiazgi, w których, być może i kryło się rozwiązanie zagadki.

W myślach zrobiłam przegląd wszystkich znajomych magów. Właśnie „znajomych”. Przyjaciół wśród nich można było na palcach policzyć. Jak zresztą i wrogów. Większość zachowywała w odniesieniu do konkurentki uprzejmą neutralność. Wrogowie woleli być niegrzeczni. Ale odgrywać się, żeby taki Karrek Czarny, któremu spod nosa sprzątnęłam dobrze płatną robótkę, polegającą na konwojowaniu po Wilukie, spławianego z prądem drzewa (tamtejsi wodnicy robili na wodzie w poprzek rzeki zatory z wodorostów, żądając za przejazd czynszu odkupnego⁴⁵; flisacy zdecydowali, że postraszyć ich raz magiem — wyjdzie taniej), za taki drobiazg umawiałby się z miejscowymi mętami w celu zakupu mojej głowy?! Nie, już raz próbował odkręcić ją ręcznie i od tej pory starannie obchodziliśmy jeden drugiego bokiem...

Musiałam komuś zaleźć za skórę o wiele bardziej. Ale jeżeli to dawny wróg, dlaczego podjął takie burzliwe i do tego idiotyczne działanie, polegające na wynajmowaniu zabójców właśnie teraz?! To nie wygląda na zemstę, a raczej

⁴⁵ **Czynsz odkupny** - czerpanie zysku z użyczenia. Aby uniknąć tępionej przez Kościół lichwy, dokonywano zamiast pożyczki na procent kupna renty, a więc prawa do corocznego dochodu z ziemi dłużnika aż do czasu spłacenia długu (stad: czynsz odkupny, wyderka). http://gospodarka.gazeta.pl/gospodarka/1,59925,9566079,Od_zakazu_do_akceptacji.html?as=3

jakby po prostu chciano się mnie pozbyć. W jakikolwiek sposób. Żebym się nie naprzykrzała. I jeszcze te wampiry...

— Wolha, możesz nie odpowiadać — nie wytrzymała przyjaciółka, bezskutecznie próbując przyłączyć się do mojego marszu bez celu, gdzieś na przełaj, przez śmietnik, na odległy skraj bazaru. — Ale wydaje mi się, że masz jakieś problemy!

— Mogę nie odpowiadać — w roztargnieniu potwierdziłam, zatrzymując się i z konsternacją rozglądając na boki.

Dokąd to mnie zanosło? Wokół piętrzyły się sterty spleśniałych warzyw, strzępy kapuścianych liści, szczątków skrzynek, gnatów kości z resztkami mięsa, pękniętych kół od wozu i innych bazarowych śmieci, nad którymi fruwały wrony. Bazarowe rzędy zostały z tyłu i z boku, z przodu szczyrzył zęby parów. No tak, tędy się nie przedostaniemy, trzeba zawrócić do bramy...

Dziewczyna prychnęła z urazą i skrzyżowała ręce na piersi, ale otrzymała tylko mściwy uśmiezek. Wplątywać przyjaciółki w swoje magiczne rozważania nie zamierzałam. Jeśli ten typ nie pogardził skorzystaniem z usług najemnika, nie cofnie się i przed...

— Padnij!!! — Wrzasnęła Orsana, jednocześnie z całych sił popychając mnie w bok.

Jeden bełt z chłupotem utonął w stercie na wpół zgniłych jabłek, drugi odleciał gdzieś w dal. Wrony z krakaniem wzbiły się w powietrze, jednym okiem wypatrując gwałciciela spokoju, a drugim zerkając z ukosa w naszą stronę — czy nie rzucimy im jakiegoś zeschniętego, spleśniałego twarogu? Ku ich ogromnemu zmartwieniu, szybko odpełzliśmy pod osłonę najbliższej sterty, zostawiając za sobą czerwony ślad rozgniecionych pomidorów. Gdy z obrzydzeniem strząsałam z piersi kawałki zgniłego kabaczka, Orsana szybko i sprawnie przygotowała łuk. Brzdęknęła palcem po cięciwie, umieściła na niej strzałę, a na kolanie — jeszcze kilka, ale nie spieszyła się wypatrywać celu. Ponieważ cel, najpewniej w tym czasie wypatrywał nas.

— Jak w ogóle potrafiłaś go dostrzec?!

— Przypadkowo się obejrzałam i zobaczyłam wysuwającą się zza śmieci kuszę. W porę zaczęłam przeraźliwie krzyczeć — nie zdążył więc dobrze wycelować, zdenerwował się, wystrzelił dubletem i spudłował.

— Znaczący, że teraz gorączkowo przeładowuje kuszę i można go wziąć z zaskoczenia? — Ożywiłam się i spróbowałam ostrożnie wyjrzeć zza krawędzi sterty. Bez większego powodzenia. Wszystko, co zobaczyłam — to wysypisko takich samych stert, za niektórymi z nich można było stać w pełni wyprostowanym.

— Jakszo ce⁴⁶ „on”, a nie „oni” — ostudziła mój zapał przyjaciółka. — Do tego, sama widziałam w jednym z jarmarcznych namiotów ostatni krzyk sezonu — trójstrzelną orkową kuszę. Niezbyt wyważona, ale z dwudziestu sążni trafi nawet dziecko. Na jego miejscu, jak najszybciej zmieniałabym pozycję — zaszła ofiarę od tyłu, a tam już bez pośpiechu załadowała.

Wypowiedziawszy autorytatywnie swoje zdanie, Orsana zafrasowała się, a ja razem z nią. W pobliżu tak dużego skupiska ludzi zwiadowczy impuls był bezskuteczny. Impuls nie chciał iść w stronę bazaru, gdyż ulegał rozproszeniu od emanacji tłumu, a po powrocie z niepokonanego dla niego parowu tak mocno się zniekształcił, że mogłam tylko ze zmartwieniem stwierdzić: strzelający w nas typ nigdzie nie uciekł, przyczaiwszy się gdzieś niedaleko. Dochodzący z targowiska szum mógł zagłuszyć maszerujące wojsko, nie mówiąc już o parze podkradających się do nas bandytów. Nawet gdyby demonstracyjnie tupali.

Oczywiście, można postawić magiczną tarczę, (co i zrobiłam), ale ona, tak samo jak i zwykła, osłoni nas tylko z jednej strony. Kolista zaś zabiera zbyt wiele energii i jest niezgodna z większą częścią bojowych zaklęć. A i zwykłej dłużej niż godzinę nie dam rady utrzymać. Posłużenie się, jakimkolwiek bądź dokładnie splecionym, druzgocącym zaklęciem w rodzaju ognistego gradu spopielającego wszystko w promieniu stu sążni, bliżej niż na wiorstę od ludzkiego osiedla, zostało zabronione magicznym kodeksem. Najpierw trzeba wywabić tego łotra w szczere pole albo przynajmniej po prostu na otwartą przestrzeń.

— Dawaj, wysuniemy but na kiju i popatrzymy, skąd on wystrzeli.

Orsana znacząco wytrzeszczyła oczy:

— Wolha, gdzie ty widziałaś człowieka, który wylazi zza sterty nogą do góry?!

— Można wysunąć z boku.

— Jeden ghyr. Jeśli ten złoczyńca nie jest kompletnym idiotą, to nie zacznie strzelać do podejrzanego beztrojskich butów. Już w głowę — co innego...

Teraz przyszła moja kolej z oburzeniem krzywo patrzeć się na przyjaciółkę. Podobno moja głowa została najpopularniejszym towarem na tutejszych targach. I dlaczego od razu nie domyśliłam się, że Wal nie może być jedynym najemnikiem, jakiemu powierzono zadanie przymusowego oddzielenia mojej głowy od reszty figury?! Nie poszczęści się jednemu — to może drugi będzie miał więcej szczęścia. Sam czarownik na razie wolał się nie wychylać — czy to obawiając się zostawić ślad swoich czarów, po którym mógł go wysledzić Konwent, czy też po prostu bał się spotkać ze mną twarzą w twarz.

⁴⁶ **Jakszo ce** – w języku winessjańskim: Skąd wiesz że, Jesteś pewna że

— Zgoda, zaryzykujemy — zdecydowałam się. — Trzymaj łuk w pogotowiu!

Zniosłam przeszkadzającą tarczę i kilkoma natchnionymi gestami wyczarowałam rudowłosy fantom w czarnej kurtce. Wyobrazić sobie z drugiej strony, jest dość skomplikowane i rezultat zdecydowanie mi się nie podobał, ale miałam nadzieję, że strzelec nie będzie tracił czasu na drobiazgowo studiowanie tej strasznej mordy, a ucieszywszy się na mój widok, jak najszybciej spuści spust.

Tak się i stało. Fantom nie zdążył nawet w połowie wyłonić się zza sterty, jak zdwojony połączony świst dał do zrozumienia, że przynęta została połknięta razem ze szałwikiem. Orsana także nie zasypywała gruszek w popiele. Bełty i strzała przeszły iluzję z przeciwnych kierunków i ona, nie wytrzymawszy takiego traktowania, na znak protestu pękła. Zza odległej sterty rozległ się krótki zdławiony okrzyk, ni to bólu, ni to przerażenia, ale przedśmiertnego charczenia i dźwięku upadku nie było. Teraz przynajmniej znałyśmy kierunek i upewniłyśmy się, że napastnik jest jeden. I zdecydowanie zwarłszy szeregi, pod osłoną tarczy rzuciłyśmy się szturmować nieprzyjacielską stertę.

Niestety, strzelec nie raczył na nas poczekać, zostawiwszy w charakterze trofeum zaledwie kilka odcisków butów i plamę krwi o rozmiarze dłoni, z której ciągnął się rzednący łańcuszek kropel. Pochyliłam się, w zamyśleniu przeciągnęłam nad nim palcami. Mężczyzna, elf, nieznajomy. Ten, kogo Wal uznał za wampira albo przypadkowy najemnik?

— A jeśli on znowu gdzieś się przyczaił i przeładowuje?

— Waham się. Zdaje się, że przestrelałam mu ramię. — Orsana zdemontowała łuk i przytroczyła do biodra. — Ale proponuję jak najszybciej wrócić na bazar, w tłumie bezpieczniej. I może jednak wytłumaczysz mi, co się dzieje?!

Jeszcze raz spojrzałam na plamę i się skuliłam, czując chłód. Pogłoski o odporności magów są silnie przesadzone. Tak więc nie zleknie się wyjść jeden na jednego przeciwko upiorowi, który do tego zeżarł tuzin rycerzy w pełnej zbroi, nawet się nie zakrztusiwszy. Ale kiedy śledzę stworzenie po dzikim uroczysku, wszystkie moje zmysły są napięte do granic wytrzymałości a do tego i wyostrzone odpowiednimi zaklęciami czy też ziółkami. Nie mogę przecież ciągle chodzić po ulicach na palcach, nerwowo oglądając się za siebie, nasłuchując i przy najmniejszym niebezpieczeństwie ciskać pulsarami albo nurkować w łopianach! A kiedy spać?! Jeśli do tego nieznany czarodziej stara się wykończyć mnie najemnikami, to za parę dzionków zajrzy osobiście i weźmie gołymi rękami?! Nie, zdaje się, że jednak bez pomocy się nie obejdem...

— Ktoś na mnie poluje — przyznałam się niechętnie, już podchodząc do namiotów na rynku.

— Oczywiście, nigdy bym się nie domyśliła! — Przyjaciółka z udawanym zdumieniem zacmokała językiem. — Jesteś pewna?

Wskazałam głową pod swoje nogi. Pośrodku drogi poniewierały się szczątki umazanej krwią strzały.

— Trzeba było wziąć wykutą z metalu — mściwie mruknęła Orsana, pochylając się nad okuciem. — Czymże mu tak dokuczyłaś?

— Nie wiem. Ale jeżeli złapię, to jeszcze i przypieprzę! — Rozczapierzyłam ręce i krytycznie obejrzałam wyszmelcowaną od góry do dołu kurtkę.

— I zupełnie nie masz żadnych domysłów?

Wolno pokiwałam głową, przygryzłszy dolną wargę. Przyjaciółka, widocznie uwierzyła i rzeczowo zapytała:

— Gdzie się zatrzymałaś?

— W kurniku, z perspektywą na szopę na siano. A ty?

— Dopiero co przyjechałam. Trafiłam do zajazdu, ale tam zajęte nawet ławeczki pod daszkiem. Dobrze, że chociaż konia pozwolili na parę godzin przywiązać.

— Pójdziemy do mnie — zaproponowałam. — Może, uda się dogadać z moją gospodynią. Ona, co prawda, boi się obcych ludzi na nocleg przyjmować, ale coś wymyślę...

* * *

— Co?! — Babka, splótnszy ręce na szczycie kostura, podejrzliwie świdrowała Orsanę maleńkimi kłującymi oczkami.

— Wampir wasz, mówię, to okropnie zajadły i niebezpieczny potwór, tak więc sama z nim w żaden sposób nie dam sobie rady! — Wrzasnęłam tracąc cierpliwość. — Więc znajomą sobie na pomoc zawołałam! Potrzyj wampira, gdy ja go będę zaczarowywać!

Orsana wzdrygnęła się, ale natychmiast wzięła się w garść i wyraziła wielką chęć przyczyniania się do sukcesu tej potrzebnej i niebezpiecznej sprawy.

— No skoro tak... — wreszcie zmiłowała się staruszka. Skrzypnęły drzwi, brzęknął hak i znalazłyśmy się w mroku kurnika już we trójkę. Kogut spojrzął z ukosa na przybywający harem jeszcze bardziej smutno, usilnie podejrzewając, że jego gospodyni na stare lata odbiło, jeżeli zamiast kur wpycha mu te wstrętne baby. Zresztą, obowiązek ponad wszystkiego — kogut otrząsnął się, spojrzął na

mnie okrągłym okiem i niepewnie się zainteresował:

— Ko-ko-ko?

— Wybacz, ale jestem zaręczona z innym. Dawaj, zostańmy po prostu przyjaciółmi — ze śmiechem zaproponowałam.

Po obiedzie się wyspałam, Orsana popilnowała. Teraz nastąpiła moja kolej. Zmęczona długim dniem przyjaciółka, błogo wyciągnęła się na naręczu słomy, zawczasu przyniesionym z najbliższego stogu. Wianek ze Smółką stały w sąsiadującej z kurnikiem stajni. Przez wywietrznik pod dachem było słychać, jak chrupią owies ze wspólnego koryta, skąpo prychnąc na siebie nawzajem. Kogut, który schronił się na moich kolanach, napuszył się i zaczął drzemać, z rzadka przez sen kłapiąc dziobem. Orsana także zasnęła prawie natychmiast.

Dziś przygotowałam się do wizyty szczurołaka bardziej solidnie: postawiłam odwrotny ochronny krąg, czyli przepuszczający do środka, ale niepozwalający z niego wyjść, kilka magicznych potrzasków i — czyż leszy nie żartuje? — jeden zwykły, pożyczony u tutejszego kowala. Sterceć tu jeszcze jedną noc nie zamierzałam i byłam całkowicie zdecydowana zniszczyć parszywca za wszelką cenę. Nawet, jeśli z kurnika zostaną tylko drzazgi.

Zdażyłam zjeść trzy jabłka, kiedy widoczny tylko dla mnie krąg mrugnął i rozszedł się maleńkimi, szybko wygładzającymi się falami. Nie, nikt nie próbował go przejść ani cichaczem przełamać, najprawdopodobniej zareagował na ogólną zmianę magicznego tła.

Gdzieś w sąsiedztwie czarowano.

Szybko zgasiał pulsar, w jego miejsce wyszeptawszy zakłęcie nocnego widzenia. Bezszelestnie zaczęłam wyciągać miecz z pochwy i drgnęłam, zatrzymawszy się w połowie. Znak u podstawy jaskrawo, natarczywie migotał, tak samo jak w Zaduchowiejach. Co za bzdura?! Ani przed ani po fendulijańskiej klindze takiego nie widziałam. Pobłykiwał, odrobinę się rozgrzewał, jak każdy artefakt przy aktywacji...

Oblał mnie zimny pot. A co, jeśli znak uprzedza o jednym i tym samym?! O ile pamiętałam ze szkolnego kursu, każdy artefakt ma podstawowe przeznaczenie i (ale niekoniecznie) kilka pośrednich, jakby ubocznych efektów. Na przykład, złoty pierścień Profesora pozwalał mu szybko i przy minimalnym wysiłku otwierać teleporty, przy tym będąc potężnym zbiornikiem magicznej energii, jak moja agatowa bransoleta. Rear Lena mimochodem chronił przed telepatią, a przy pomocy kryształu dwóch żywiołów starmińscy magowie nie tylko sterowali pogodą, ale i z powodzeniem uzdrawiali reumatyzm.

Co, jeśli odbijanie zaklęć i skuteczność przeciwko stworom — to zaledwie drugorzędne efekty klingi? Wtedy jakież przeznaczenie przydzielił swojemu

mieczowi szachrajski święty?! Ech, szkoda, że nie pomyślałam, żeby go pokazać mistrzowi amuletów... a teraz przyjdzie się wyjaśniać eksperymentalną metodą.

Stanowczo wyciągnęłam klingę do końca, położywszy pochwę koło Orsany. Na wszelki wypadek wepchnęłam pogodzonego z losem koguta do torby i nie budząc przyjaciółki, przeszłam wprost przez drzwi.

Na niebie, po raz pierwszy w ciągu ostatniego tygodnia ukazały się gwiazdy. Z głównej ulicy jeszcze dochodziły rzadkie krzyki, śpiew i śmiech rozchodzących się do domów hulaków. Ledwie minęła północ.

Wyciągnęłam rękę otwartą dłonią do przodu, przesunęłam z lewej strony na prawą i z powrotem.

Czarowano dość daleko stąd, aż za obrzeżem wsi. To tylko w niewielkim stopniu mnie uspokoiło, ale jednocześnie i obudziło czujność. Komu i co tam było potrzebne o tej porze?!

„Kiedy to wszystko się skończy wrócę do Kruczych Szponów i plunę mu do świętego sarkofagu” — pomyślałam ponuro. Nie zdecydowałam się iść po oświetlonej pochodniami ulicy, wszędzie jeszcze pełnej ludzi, tak że musiałam leżeć ogrodami, przez opłotki. Spuszczone na noc z łańcucha psy, co i rusz podejmowały próby uraczenia się moją częścią polędwicy, ale wystarczył przyciszony ryk przez zęby, żeby cofnęły się ze skomleniem. Krew byłej Opiekunki, tak samo skutecznie pomagała w nie potykaniu się w ciemności na niezliczonych wybojach.

Pokonując dziesiąty opłotek usłyszałam cichy trzask i poczułam swobodę ruchów poniżej pasa, do której nie byłam przyzwyczajona. Fendulij, a z nim i wszyscy znani mi bogowie, usłyszawszy tak płomienne i szczerze wezwanie pod swoim adresem, koniecznie powinni byli się zawstydzic i zesłać mi nowe spodnie. Na szczęście, ten ogród okazał się ostatnim — wyszłam na wiejską bramę, która z okazji święta była otwarta szeroko na oścież. Za nią było widać szczerze pole, nad którym smętnie wiał wiatr.

Jeszcze raz sprawdziłam kierunek. Zaklęcia pleciono trochę bardziej na lewo, na wyznaczonej na jutrzejszą zabawę łączce. Sumiennie, bez pośpiechu, wyciągając magię z zabranego ze sobą zbiornika — koło Opadiszczy nie występowały naturalne źródła, wyczułabym. Co właśnie tam robiono, z takiej odległości (ćwierć wiorsty, nie mniej) rozpoznać nie byłam w stanie. Dziwne, ale jakimś zagrożeniem od tej magii nie wiało. Jakieś rutynowe zaklęcie, na nikogo konkretnego nieskierowane. Może, etatowy mag zaledwie zamawia pogodę na jutrzejsze święto. Czyżbym się pomyliła i miecz w tak oczywisty sposób, zareagował na coś innego? A Orsana została tam sama jedna, śpiąca!

Z niepokojem odwróciłam się w stronę wsi i o mało co nie wrzasnęłam z przerażenia: wprost przed moim nosem bezdźwięcznie trzepotał skrzydłami nietoperz, fosforyzując oczami w świetle księżyca. Nie zdążyłam machnąć ręką i się uchylić, gdy pierzchnął w bok i jakby rozplynął się w ciemności.

Mimo wszystko wrzasnęłam — barwne, wymyślne i pożegnalne błogosławieństwo pod jego adresem. Zrobiło mi się od tego trochę lżej, chociaż serce tłukło się jak szalone. To się robi nie do wytrzymania, czy ja jestem jakieś chodzące nieszczęście! Szczurołak, kogut, ślub, wynajęty zabójca, wampiry, spodnie — a teraz jeszcze i nietoperz!

Kiedy echo mego wrzasku zgubiło się w mrocznej dali, a ja się opamiętałam, okazało się, że mag już zakończył swoją pracę i dokładnie zatarł wszystkie jej ślady. I słusznie, również tak robię, chociaż za kilka godzin same zwyczajnie by się rozwiały. Ale lepiej się asekurować — czasami, szczątkowa magia samoistnie ulega kondensacji i powstaje leszy wie co: od zakrzywienia przestrzeni po stwory.

Nie było sensu iść dalej. Praktycznie żadnych szans na to, że uda mi się znaleźć miejsce w którym czarowano i gdzie, mimo wszystko, można jeszcze określić kto to robił i dlaczego.

Z powrotem wróciłam ulicą, odprowadzana śmiechem i złośliwymi komentarzami włóczących się do późna przechodniów. Wiatr, złośliwie dał w rozdarcie w spodniach, ale zdejmowania i łatania ich magią na środku drogi tym bardziej nie zaryzykowałam.

Orsana już nie spała. Z pochmurną miną stała na progu kurnika, oparłszy się o futrynę otwartych szeroko drzwi.

— No i gdzie się szlajasz?! — Ze słabo ukrywaną ulgą zawołała przyjaciółka, nerwowo bawiąc się jakąś dziwną siekierą na długiej, zakrzywianej ręczce.

— A tak, przywidziało mi się coś i wyszłam sprawdzić — przyznałam się ze skruchą. — A co się stało?

Orsana demonstracyjnie odsunęła się na bok. W jednym z potrzasków zwinął się w kłębek szczurołak, w pozostałych — dwóch, tak samo zmartwionych tą okolicznością typów, o najbardziej łotrowskiej powierzchowności — gnom i człowiek.

— Najemnicy? — Zainteresowałam się tęsknie. Goście, wymieniwszy między sobą spojrzenia, potaknęli z uczuciem rezygnacji.

— Po głowę?

Zgodne, pełne skruchy westchnienie wydobyło się z gardeł najemników. Gwałtownie rozłączyłam ręce, między którymi prześliznęło się złociste

wyładowanie.

— Won stąd!

Najemnicy, mamrocząc coś, co miało wyrażać skruchę i wdzięczność, w pośpiechu zaczęli opuszczać niegościnną szopę.

— Może, toporek mój oddacie? — Obejrząwszy się w pół drogi, przymilnie zapytał się gnom. — Przecież to moje narzędzie pracy, bez niego no w żaden sposób...

— Won!!!

Zabójcy westchnęli jeszcze smętniej i utykając na różne nogi (każdy na inną) pokuśtykali do furtki. Kiedy okazało się, że w gniewie dezaktywowałam wszystkie potrzaski, jednocześnie z kręgiem, było już za późno — szczurołak przeskoczył przez próg. Kogut, nagle się ośmieliwszy, wyfrunął z torby i ze zwycięskim zewem rzucił się na szare stworzenie, z nalotu dziobiąc je w tył głowy. Szczurołak wtulił głowę w ramiona i nawet nie pomyślałszy o oporze, zaczął w te pędy uciekać z podwórza, na chwilę utkwivszy między łożami wiklinowego płotu i otrzymawszy jeszcze kilka dziobnięć w ogoniasty tył.

Niesamowicie dumny kogut, wysoko podnosząc nogi, wrócił do nas i wyciągnawszy szyję, przenikliwie zapiał, wzbudziwszy w odpowiedzi raban w całej wsi.

— Wolha, jak ci nie wstyd?! — Rzuciła się na mnie Orsana. — Budzę się w środku nocy od okropnych krzyków przenikliwie niecenzuralnej treści, w szopie roi się od morderców, niczym od ogromnych szczurów, drzwi otwarte, a ciebie nigdzie nie ma...

— Wybacz — tak naprawdę było mi nawet bardziej niż wstyd. — Pomyślałam, szybciotko spojrzę i wrócę...

— No i? — Trochę spuściła z tonu zaciekawiona przyjaciółka.

Tylko westchnęłam, czując się jak kompletna idiotka.

Orsana, prychnawszy pogardliwie, wepchnęła mi w ręce zdobyczną siekiere i zeskoczyła z progu, stanawszy twarzą w twarz ze mną.

— Wolha, zbyt dobrze cię znam, żeby coś ci odradzać czy też prosić żebyś na siebie uważała — przemówiła z uczuciem, starannie dobierając belorskie słowa. — Ale będę ci bardzo wdzięczna, jeśli następnym razem przyjdzie ci do głowy coś sprawdzać, raczysz mnie przynajmniej uprzedzić. A nie to... nie to... nie będziesz już moją przyjaciółką! Jasne?!

— Jasne, — z pośpiechem zgodziłam się, ciesząc się, że tak łatwo się wykręciłam. Uf, dobrze by było jeszcze wiedzieć, czemu ona taka wyrozumiała...

* * *

Resztę nocy spędziłyśmy w uczciwie zapracowanej szopie na siano (myślę, że szczurołak do końca życia wyrzeknie się łakomienia na taką agresywną kurzynę!), pouczająco wetknąwszy w drzwi siekierę (najpierw ją zaczarowawszy — ghyr wyrwiesz!) i zawiesiwszy na jej trzonku pas z mieczem odebrany przez Orsanę drugiemu zabójcy. Czy to podziałało, czy też więcej durni nie było w ich cechu, ale do rana nie zjawili się inni chętni, którzy chcieliby powiększyć swój dobytek o czterdzieści kładni.

Przez noc się roz pogodziło (a może miejscowy mag dołożył wszelkich starań) i wylaniające się zza horyzontu słońce szybko zlizowało poranną mgłę. Zrobiło się gorąco i duszno, nieustająca od tygodnia wilgoć, gęsto parując kłębiła się w powietrzu. Ludzie zdjęli kurtki, przyoblekli się w jaskrawe kaftany i suknie. Zewsząd niosła się muzyka, pieśni i radosny gwar. Święto, które wyczuwało się na każdym kroku, nawet nas wprawiło w dobry nastrój.

— Więc, jaki mamy plan? — Rzeško zapytała przyjaciółka.

— Teraz idziemy na pole za obrzeże wsi, tam jak raz zaczyna się zabawa. Zanim się rozpocznie, chyba mimo wszystko niczego się nie dowiemy, tym bardziej, że biorę udział w wielkiej bitwie o łąkę.

— Dlaczego, nie zabrałaś więc wtedy ze sobą wtedy toporka? — Zachichotała Orsana i zerknąwszy na studnię, szybko się poprawiła: — Szo że ty wtedy tepera nie zebryłaś so som?

— Mój toporek zawsze ze mną. — Zdecydowanie złapałam ją pod rękę i zawróciłam z powrotem, postanowiwszy poprowadzić na pole okreśną drogą. — Przecież jestem przede wszystkim wiedźmą, a niepolegającym na jakimś żelastwie najemnikiem!

— Tym nie mniej, to żelastwo może porządnie zatruć życie nawet wiedźmie — beztrąsko kontynuowała dziewczyna, w zapale rozmowy nie zauważywszy mojego manewru. — Niech będzie, na pole to na pole. Ale teraz muszę na pół godziny się oddalić. — Ze zmieszaniem dodała: — Sprawy polityki.

Z wyrzutem chrząknęłam, ale powiedziałam:

— Nie martw się, za dnia sama mogę się o sobie zatroszczyć. Chcesz, spotkamy się przy wiejskiej bramie, tuż po ceremonii ścięcia Ostatniego Kłosa?

— Pięknie — z jawną ulgą zgodziła się przyjaciółka i pozostała w tyle, na rozstaju dróg.

Na obrzeżach zebrał się już ogromny i ciągle napływający tłum, mniej więcej po równo rozdzielając się na dwie strony łąki. Między nimi kręcili się odstępcy, czy to rozstając się z jedną stroną, czy to pałając patriotyzmem do

drugiej. Widzowie półkolem rozsiadali się na zboczu o niskim, łagodnym stoku.

Rozejrzałam się próbując wyszukać w tłumie Oldeja, ale bezskutecznie. Udało mi się tylko określić, że z lewej strony — to „nasi” winesscy.

Obok spichlerza najemnikom rozdawano już świąteczną broń — cherlawe miecze i ciężkie, starodawne kolczugi, żeby, uchowajcie bogowie, tak naprawdę nikogo nie okaleczyć. Trochę z boku stał blady jasnowłosy elf, z ponurą fizjonomią, którą bez wysiłku tłumaczyła wisząca na temblaku ręka. Spod ciemnoszarego płaszcza wyzierał brzeżek, podwójnie ładowanej kuszy.

Posłałam mu złośliwy uśmiech. Elf złowrogo wykorzystał zdrową rękę do pokazania mi nieprzyzwoitego gestu. O ile znałam kodeks najemników, tego już także można się było nie obawiać.

Obok mnie, łuskając pestki z jednego słonecznika, głośno gadali dwaj chłopci. Mimo woli przysłuchiwałam się. „Słyszał ty, Graś? Jakaś ta gady, szob ich rzucawka złapała, po ściernisku szlajali się nocą i Ostatni Kłos na śmierć rozdeptali, przyszło się szubciusieńko inny wtykać i podwiązywać, szob święta nie popsuć”. Oczywiście, stratę miejscowej wyjątkowości najłatwiej przypisać miejscowym opojom, ale zeszłej nocy po moich plecach prześliznął się nieprzyjemny dreszczyk, zmuszając mnie do rzucenia na pole jeszcze jednego czujnego spojrzenia. Starosta, tak samo jak wcześniej, gdzieś się ukrywał, za to zauważyłam wlokącego się kaczkowatym chodem w moją stronę Wala. Troll, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, dźwigał na ramieniu, nieukochany jednoręczny miecz, a potężną, tępą i na wskroś przerdzewiałą halabardę na długiej tycze.

— Mieczami tylko durnie w pierwszym szeregu rąbią — pogardliwie opędził się troll na moje nieme pytanie. — A ty będziesz zza ich pleców halabardą bić po głowie wrogów — stuk, stuk! Jarmarcznie i gniewnie.

Znając Wala, tylko chrząknęłam. W prawdziwej walce troll nie chował się za cudzymi plecami, ale rozbijać łba dla cudzej uciechy nie zamierzał. Łeb, jeszcze dla poważnych spraw mu się przyda.

— Tak, foczka, z klientem się dogadałem — niespodziewanie zmienił temat troll. — Spotykam się z nim jak się ściemni w „Złotym środku”. Przekazuję trofeum i żądam pieniążków, a potem zjawiasz się ty i urządzasz awanturę. Tylko nie wcześniej niż on uiści należność, w przeciwnym razie, w rzeczy samej, ja ciebie zatłukę!

— Ty na nie najpierw zapracuj — dociełam.

— Już. Na, popilnuj, dopóki będę stukać. — Troll wepchnął mi w rękę, jakiś wyświechtany worek.

— A co tam jest?

— Twój łeb — mruknął najemnik, dla rozgrzewki wymachując halabardą.
— Chcesz, pozachwycaj się na ostatek...

— Co?! — Z obawą wyprostowałam gardziel worka. Na dnie leżała niedojrzała, żółto-zielona dynia z chropowatą skórą — zdaje się, wydłubana w środku, inaczej ważyłaby o wiele więcej. W zasadzie, wystarczyłaby i sama dynia, ale Wal, widocznie zdecydował się, chociaż w niewielkim stopniu złagodzić możliwy (i nader prawdopodobny!) smutek klienta po tak oryginalnej wymianie. W rezultacie na dyni pojawiło się dwoje ogromnych, skośnych oczu namalowanych węglem i uzupełnionych gorsząco długimi rzęsami, nos z krzywej marchewki, zębaty uśmiezek i biała, jak u staruszki zawiązana chustka, spod której sterczała słomiana grzywka.

— Podobna, co? — Zaśmiał się troll, zręcznie łapiąc worek, który wypadł z moich osłabłych palców. — Z daleka wcale nie odróżnisz!

— Ty co, szydzisz?! Okropność jakaś!

— Nie okropność a element niespodzianki, — pobłażliwie wyjaśnił najemnik, zawiązując worek i znowu wpychając mi go w rękę. — Jeśli ty się przejęłaś to może i jego, dajcie bogowie, udar chwyci! A jeśli nie — przynajmniej na parę sekund go zamuruje, zawsze to mniejszy kłopot!

— Po co w ogóle tę całą szopkę z workiem umyśliłeś?

— No przecież z pustymi rękami nie wypada do niego iść — wzruszył ramionami Wal — jeszcze domyśli się, że coś jest nie w porządku i ucieknie przed czasem.

— Ale on jest przecież magiem, do tego i telepatą!

Troll tylko zachichotał:

— Foczka, pamiętasz, jak razem z twoim wampirem, do nocy można by wspominać, w Moltidurze pod moim kierunkiem się włóczyliśmy⁴⁷? Ghyr by mi on, co zapłacił, jeżeli bez problemu mógłby w łeb zajrzeć! A ta historia z arlisskim porwaniem? Nie na próżno był mu przecież potrzebny troll-pośrednik do okupu, wampira albo człowieka ta gwyba⁴⁸ płowowłosa od pierwszego spojrzenia by rozgryzła!

Pośrodku łąki zaśpiewały trąby przerywając naszą rozmowę. Wal zarzucił halabardę na ramię, nasunął przyłbicę hełmu i pospieszył na swoją stronę łąki. Czyli i moją. Miejsce magów tradycyjnie znajdowało się z tyłu za wojskiem, ale jako pierwsi rozpoczęli uderzenie, tak że ulokowałam się trochę z boku, żeby móc widzieć całe pole.

Ruch między „armiami” ustał i w końcu zobaczyłam Oldeja i jego

⁴⁷ Przygoda z drugiej część Zawód Wiedźma

⁴⁸ Gwyba – w języku trolli

belorskiego kolegę, wychodzących na środek pola. Rosły mężczyzna, z wąsami koloru pszenicy, potężnej budowy ciała, protekcjonalnie spoglądał na nastroszonego Oldeja, który przy nim wydawał się jeszcze drobniejszym. Winesska połowa Opadiszczki przegrywała trzeci rok z rzędu, tak, że zaszczyt wygłoszenia wstępnej mowy przypadła belorcy. W geście powitania potrząsnął nad głowę złączonymi rękoma, wywoławszy odwzajemniony ryk aprobaty tłumu i radośnie wrzasnął:

— No, stało się, znowu zebraliśmy się tutaj z tak pożytecznego powodu, żeby winesjanom przetrzepać skórę, to znaczy w uczciwej walce pokazać im gdzie raki zimują! A w takim razie, nie ma po co się na mnie gapić z rozdziawionymi gębami, wcześniej zaczniemy — wcześniej wypijemy!

I starostowie szybciotko wycofali się z niebezpiecznej strefy.

I chociaż odnosiłam się do powierzonego mi zadania nader sceptycznie, chałturzyć nie zamierzałam. A i pracować z iluzjami zawsze lubiłam.

Pierwszy na myśl przyszedł mi, rozumie się, smok, ale to fantom o zbyt dużych rozmiarach, żeby go długo podtrzymywać. Zacznie jeszcze migotać albo zanikać kawałkami w największym wirze walki, wywołując niezdrowy śmiech publiczności... Gryfon — zbyt banalny, żerpaga — za drobna...

Porozmyślawszy, zatrzymałam się na górskim mraskanie. To bliski krewny bazyliuszka tylko z dziesięć razy większy a i wygląda imponująco: najeżona kolcami łuska, długowaty ogon z wyszczerbionym zakończeniem, na wylot przebijającym pancerz zbroi, drapieźnie wydłużona mordą z jaskrawo-czerwonymi oczami i dwie pary skrzydeł o grubej skórze. U siebie w górach poluje przeważnie na kozy, ale nie gardzi i pasterzami. Chociaż pierwszy, jeśli go nie rozzłościć, nigdy nie napada.

Oczywiście, nawet nie pomyślałam, żeby wdrapywać się elgarskim żlebem, wyszukując legowisko mraskana i ustanawiając tam teleport, żeby we właściwym momencie go aktywować przy pomocy talizmanu, jak niekiedy postępowano w prawdziwych wojnach. Postarałam się i zrobiłam fantom możliwie najbardziej malowniczo, nawet przejście teleportacyjne przedstawiłam.

Skrzywiłam się wyrażając niezadowolenie: nad przeciwległą stroną łąki, otworzył się dokładnie taki sam lej, skąd wyleciał drugi mraskan. Na przerabianie czegokolwiek było już późno — stworzenia, wydając zamówione „to huki, to świsty”, rzuciły się na siebie nawzajem. Ludzie z zachwytem aż przysiedli, łapiąc się za czapki, chłopcy z zachwytem skakali i wrzeszczeli, młodsze dzieci z piskiem wtuliły się w matczyne spódnice rycząc ze strachu. Chyba niepotrzebnie się martwiłam — wyszło w sam raz, bardzo widowiskowo

i realistycznie: dwa, praktycznie jednakowe, skrzydlate stworzenia szarostalowego i piaskowo-żółtego koloru, za sprawą bojowych magów starły się w powietrzu.

Praktycznie jednakowe. Oprócz jednego, maciupiękłego szczegółu.

Belorski mraskan okazał się prawdziwy.

Przeszedł przez mój fantom, jak jastrząb przez obłok i kamieniem spadł w dół, rozczapierzywszy pazurzaste łapy i wykręciwszy tylne skrzydła pokrytą kolcami stroną.

Chociaż tłum wokół mnie pragnął widowiska, wolał cieszyć się nim na odległość, dlatego więc w pośpiechu cofnął się na boki, zostawiwszy mnie w należnym bohaterowi osamotnieniu. I tłum, nie rozczarowawszy się, z zachwytu aż jęknął: w mgnieniu oka przybrałam klasyczną bojową postawę magapratyka, z pulsarem w jednej ręce i odbijającym jego światło mieczem — w drugiej.

Stworzenie szybko się zbliżało, trzepocząc skrzydłami, jak ogromny nietoperz. Osłoniłam oczy wąskim ostrzem — do patrzenia w zupełności wystarczały kawałeczki z góry i dołu miecza. Mraskan to nie bazyliszek, wyposażyć plac w żywe, rzeźbiarskie kompozycje nie potrafił, ale samym spojrzeniem mógł w zupełności oślepić na kilka godzin. I zachwycać się okolicą z jakiegoś powodu nie chciał, bez wahania wybrał właśnie mnie z tysięcznego tłumu.

W ostatniej chwili uchyliłam się do tyłu, jednocześnie machnąwszy mieczem. Przed oczami mignęło mi pokryte kolcami skrzydło i kurczowo zaciśnięte pazury. Wionęło mdłym, smoczym smrodem.

Zadrasnęłam go samym koniuszkiem klingi, wykreśliwszy na boku w kolorze piasku, pasek długości dłoni, który od razu zaczął nabrzmiewać czarnymi kropkami. Miecz przyjął na siebie zamach ogona mraskana, na jakąś piędź nie dosięgając do mojego oka, ale zniwelować siły ciosu nie potrafił i runęłam plecami na udeptaną ziemię. Wstawać nie było czasu, wypuściłam miecz i wysunęłam przed siebie obie ręce, zdążywszy złapać mraskana na odwrót, plecami w moją stronę. Stworzenie ze skomleniem stukło się w dymiącej się spirali, chlaszcząc ją pazurami i głośno trzepocząc skrzydłami. Natężając wszystkie siły, odrzuciłam je do tyłu, tam gdzie pulsował, zamykając się, widziany tylko przez mnie kanał teleportu. Jeszcze jeden wysiłek — i teleport, błysnąwszy dodatkowo napelnioną mocą, oplątał i gościnnie połknął jazgoczącego gada.

Podniosłam miecz i opierając się na nim wstałam. Rozejrzałam się w oszołomieniu. Ludzie entuzjastycznie bili brawo, gwizdali i głośno urągali, do

moich nóg srebrzystym deszczem sypały się monety. Żywo wyobraziłam sobie nie mniej zaskoczoną mordę mraskana z zapalem krążącego nad górskimi szczytami i bezskutecznie próbującego zrozumieć, skąd się wszyscy wzięli i gdzie znów zginęli. Niech no tylko spotkam tego czarownika!!!

Ale w tym momencie, potrząsając mieczami i halabardami najemnicy rzucili się naprzód, i na łące zapanował taki zamęt, że przedostać się na jej drugą stronę udałoby się tylko idąc po głowach. Najpewniej, ten łajdak, tak jak ja, stał z tyłu „wojska” i zrozumiałwszy, że zapachniało spalenizną, szybko się pożegnał. Do czasu, gdy obiegnę ten tłum, śladu po nim nie zostanie.

Pozostało mi tylko z gniewu tupnąć nogą i złośliwie zakląć. Niech go leszy, przecież nocą poczułam jak nastawiał teleport! Gdyby nie ten przeklęty nietoperz i zniechęcający krzyk szubrawca!

Stop. Nietoperz! Będąc w Dogewie, pomyślałabym...

Tłum zaryczał tak samo jak poprzednio, widzowie zerwali się z miejsc. Zwyciężyli winessjanie. Nie wiadomo, jak oni to określili, gdyż „szlachetny bój” bardzo szybko przekształcił się w potężne zwałowisko owiane sławą i pyłem. Ale gdy pierwsza fala osiągnęła apogeum, to druga się osunęła, belorcy wyrażając niezadowolenie rzucali czapki na ziemię, a winessjanie z radosnymi okrzykami rzucili się huścić Oldeja. Chcieli i mnie, ale pośpiesznie znikłam im z oczu i zgubiłam się w tłumie.

Jako dodatek do łąki staroście zwycięskiej połowy przypadał w udziale wielki zaszczyt ścięcia Ostatniego Kłosa i ludzie radośnie ruszyli na gromadzkie pole, pośrodku którego smutno sterczała jedyna słomka (w celu uniknięcia powtórzenia nocnego incydentu strzeżona przez dwóch uzbrojonych w widły mieszkańców wsi).

Uroczyście opuszczony na ziemię Oldej dźwięcznie popstrykał nożycami i podszedł do kłosa. Niestety, podwiązując owego miejscowi mistrzowie nieco przesadzili, przyczepiając do nadwerężonej słomki — „żeby na pewno!” — gruby stalowy pręt. Przez parę minut starosta uczciwie mozolił się i skrzypiał nożycami o unikatową roślinność, krzesząc iskry, potem ukradkiem obejrzał się i — a, było nie było! — wyrwał kłos razem z prętem.

Święto doszło do skutku. Po długotrwałej owacji ludzie rozleźli się po łączce, gdzie już przemykały handlarki z najrozmaitszymi smakołykami, nawoływali na przedstawienie właściciele wędrownych cyrków, zapraszali na zapasy przejezdni siłacze i brzdąkali strojąc struny, gęślarze-bajarze. Nic z tego mnie nie interesowało i przypomniałszy sobie rozmowę z Orsaną, zaczęłam pomału wydostawać się z tłumy.

Przyjaciółka już czekała na mnie koło bramy, niecierpliwie przechadzając

się tam i z powrotem.

— Kto zwyciężył?

— Nasi — odpowiedziałam lakonicznie. — A ha, a oto i Wal.

Obok trolla szedł jakiś brodaty mężczyzna w zardzewiałej kolczudze, w oczywisty sposób z opadiszczeńskiego boju, z takim samym unikatowym mieczem pamiętającym czasy Dziewiętej wojny. Po nazbyt ożywionej rozmowie można było się domyślić, po kim przeszło się Walowe „stuk-stuk”.

— Cześć Wolha! — Mężczyzna radośnie pomachał mi ręką i ze zdumieniem rozpoznałam w nim Rolar, który zdaje się, że nie ścinał włosów od naszego ostatniego spotkania. Związane nisko w ogonek włosy i grzywka z dwoma przedziałkami przydawały mu jeszcze bardziej niedbały wygląd niż zwykle. Nawet ja nie mogłam uwierzyć, że ten czupurnie uśmiechający się typ lat trzydziestu — to stu pięćdziesięcioletni arlisski doradca.

Potem Rolar zauważył Orsanę i nastąpiła jego kolej na dziwienie się. Zresztą, niedługo. Obydwoje się rozpromienili i rzucili się sobie w objęcia, ale w ostatniej chwili się rozmyślili i zatrzymawszy się na dwa kroki, z szacunkiem wyciągnęli do siebie nawzajem ręce. Wampir, co prawda, do uścisku dłoni się nie ograniczył, po takowym zręcznie obróciwszy łapkę Orsany dłonią w górę i soczyście cmoknąwszy najemniczkę w nadgarstek. Dziewczyna oblała się pąsem, co zresztą nie przeszkodziło jej z oburzeniem krzyknąć i wyrwać ręki, gdyż wampir, skończywszy z całowaniem, już znacząco oblizywał się na niebieskawe niteczki żył pod opaloną skórą.

— Wspaniale się spisałaś, foczka! — Troll z radości tak klepnął mnie w ramię, że ledwo kolana się pode mną nie ugięły. Widocznie, premia za zwycięstwo była aż taka ciężka. — Powiadają, że belorski czarownik, jak cię przy robocie zobaczył, natychmiast dał drapaka i cały bojowy duch walki zabrał ze sobą, tak że jedną ręką ich pokonaliśmy!

— A jużci, spisałam się... — burknęłam, nie wdając się w szczegóły. — Rolar?!

Wampir wziął się pod boki:

— Ja tutaj...

— W sprawach osobistych, — sarkastycznie dokończyłam.

— Jak się domyśliłaś? — Zdumiał się arlisski doradca, bardziej utalentowany od Orsany. — A ty dlaczego nie w Dogewie? Właśnie, a kiedy ostatni raz się z nią komunikowałaś?

— Miesiąc temu. A co? — Zaniepokoiłam się.

— A nic, tylko pytam. — Rolar przez głowę ściągnął kolczugę i rzucił ją przy płocie, obok miecza i halabardy Wala. — Len się niepokoi. Jutro, jak raz

jadę do Dogewy, może dotrzymasz mi towarzystwa?

— Nie, dziękuję, mam tu jeszcze jakąś sprawę do załatwienia — szybko odmówiłam.

— Spadamy stąd, dopóki nas razem nie namierzyli, — bezceremonialnie przerwał nam troll. — Trzeba wyszukać jakieś ustronne miejsce i umówić się jak łeb foczki będziemy sprzedawać.

— Wal mi wszystko opowiedział — wyjaśnił wampir. — Ja w drużynie, jeśli nie masz nic przeciwko... a nawet, jeżeli masz coś przeciwko!

— Ja także! — Stanowczo oświadczyła Orsana, jeszcze nie wiedząc, o co chodzi, ale bezbłędnie ufając intuicji.

— Zgoda, idźcie za mną, — westchnęłam, wyobraziwszy sobie, jak będę klarować babce, że to — cieszący się największym autorytetem światowi specjaliści w dziedzinie łapania wampirów, z którymi zamierzam urządzić naukowe konsylium w jej szopie na siano...

* * *

Okazało się, że wyglądający atrakcyjnie w ciemności krzew bzu rósł pół na pół z pokrzywą. Złośliwe syczenie i wściekłe drapanie się nie cichło ani na chwilę, ale przyznawać się do taktycznego błędu nikt nie chciał. Tym samym był to jedyny sposób żeby niepostrzeżenie podkraść się do karczmy.

— Postaraj się maksymalnie ekranizować, — pouczał mnie, Rolar. — Hamuj emocje, zamknij się na telepatię, nie patrz im prosto w oczy. W karczmie jest teraz pełno ludzi, istnieje szansa, żeby się wśród nich zgubić, ale pamiętaj: jeśli rzeczywiście będzie tam wampir, który przez cały czas stara się ciebie wywęszyć, wystarczy jeden błąd — i on cię wyczuje.

— Tak pamiętam, pamiętam — burknęłam z urazą. — Nie ucz Najwyższej Wiedźmy jak ma czarować, bo w przeciwnym razie to ja zacznę tobie doradzać!

— Zgoda, wybacz. No i jak, wszyscy gotowi?

— Ugh. Tak jak się umówiliśmy — czekacie, dopóki klient nie zacznie awantury, a potem wszyscy razem!

Rolar i Orsana bezszelestnie obeszlili karczmę z dwóch stron, przyczaiwszy się koło okien. Podkrađłam się do ganku i oparłam o ścianę, obok otwartych na oścież drzwi, jak gdybym zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem.

A Wal przeszedł prosto przez próg, demonstracyjnie machając workiem.

Podglądania przez szparę nie zaryzykowałam, bo i tak wszyscy oczywiście byli. Czarownik z kumplami usiedli w najdalszym kącie, w osobnym wykuszu, gdzie jeszcze za dnia, przezornie podłożyłam kawałeczek górskiego kryształu, (dzięki któremu bardzo wygodnie można podsłuchiwać, szczególnie, jeżeli chce

się to zrobić w możliwie niezauważalny magiczny sposób), ustalwszy, że lepszego miejsca dla przestępczych celów nie można by znaleźć.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Łowcę głów przyjęto bez chwili zwłoki ze źle skrywaną niecierpliwością. Głos „zleceniodawcy” wydał mi się trochę znajomy, chociaż rozmyślnie go zniekształcał i w ogóle, starał się używać tylko słów typu „tak”, „no” albo niewyraźnie pochrząkiwał.

— Najpierw pieniądze! — beczelnie zażądał najemnik. Coś głucho brzęknęło. Potem w odpowiedzi klapnęło. Element niespodzianki pokazał się w całej swojej urodzie.

Niestety, atak apopleksji nie trafił klienta, chociaż rzeźenie, które podążyło za oglądanym trofeum, było bardzo zbliżone do przedśmiertnego.

— Ty co, szydzisz sobie ze mnie, najemniku? — Kipiącym z wściekłości głosem zainteresował się czarownik.

— Dlaczego? — Udając głupka, zdziwił się Wal. — No pogmiotła się trochę, dopóki doniosłem...

— Pogmiotła się?! To przecież dynia, idioto!

Widocznie, klient wydobyl „zamówienie” z worka i rzucił je najemnikowi w ręce. Troll nie odmówił sobie przyjemności pozachwycania się swoim dziełem przez parę sekund:

— Ty zobacz, rzeczywiście — dynia! A jaka podobna, widocznie, pomieszałem w ciemności...

Natychmiast po tej uwadze, wymagającej głębokiego namysłu, rozległ się soczysty chrzęst i gniewny krzyk, przechodzący we wściekle kipienie. Rolar i Orsana jednocześnie skoczyli przez okna, a ja — przez drzwi. I na wyścigi rzuciliśmy się do wykuszu, z którego jak raz plecami do przodu wyskakiwał Wal, w skoku wyciągając miecz. Lekkie rzeźbione drzwiczki otworzyły się na całą szerokość, w ślad za trollem przepuszczając czterech nieprawdopodobnie rozwścieczonych mężczyzn, z już obnażonymi klingami. Za nimi wynurzyła się chwiejąca się figura, w czarnym płaszczu niemal do samej podłogi z moją głową. A raczej z dynią.

W następnej chwili drzwiczki się przymknęły, a kiedy znowu się rozeszły, szczątki skóry z dyni poniewierały się po podłodze, a spod kaptura widać było tylko brodę.

— Za tych — jeszcze po dychu! — Zachrypniętym głosem krzyknął i tak nierozpoznany zleceniodawca. Ponieważ, wskazujący moich przyjaciół gest okazał się nader ogólnikowy, pozostali klienci karczmy postanowili nie ryzykować i jak najszybciej porzucili ją wszystkimi dostępnymi drogami. Na bojowym posterunku pozostał tylko właściciel „Złotego środka”, nurkujący za

barem razem z, w pośpiechu złapanym, zwitkiem i kałamarzem, żeby potem przedstawić każdemu z awanturników (albo ich nieutulonym w żalu krewnym) szczegółowy rachunek za poniesione przez zakład straty.

Owi nie omieszkali wykonać rozkazu. Sądząc po krzyku czarownika, przynajmniej jeden z jego towarzyszy był kolejnym najemnikiem, podjudzanym, żeby się wzbogacić czterdziestoma kładniami. Znalazło się dwóch. Może w innych okolicznościach zaczęliby się targować, żądając podwyżki, ale bijatyka już się zaczęła, a dziesięć złotych kładni wszak było lepsze, niż nic.

Jako pierwsze ucierpiało jedno z krzeseł, z rozdrażnieniem odrzucone z drogi przez podchodzącego do Orsany mężczyznę. Ten, sądząc po ponurym błysku w oku, najemnikiem nie był i sam by chyba dopłacił za przyjemność zarżnięcia kogoś.

Dziewczyna się cofnęła, zmusiwszy przeciwnika do osłabienia nieco czujności, a potem niespodziewanie zanurkowała pod stół i wymknąwszy się z drugiego końca, podskoczyła, jakby zamierzała wskoczyć na blat stołu, ale zamiast tego z całej siły walnęła nogami po jego brzegu.

Stół stanął dęba, przeciwległym brzegiem deski wyrznawszy zuchwalca w szczękę. Orsana wykręciła się w powietrzu i jak kotka wylądowała w odległości łokcia od z hukiem, przewracającego się stołu. Z jego przeciwległej strony, nie mniej efektownie, runął bandyta.

Dalej obserwować bójki nie miałam czasu: mag już coś mruczał sobie pod nosem, a między jego palcami iskrzyło kształtujące się zakłęcie. Przyjrzałam się i z oburzeniem prychnęłam. Atakować mnie, maga ognistego żywiołu, banalnym „lodowym wichrem”?! Ha! Wyrzuciłam do góry ręce, niedbale i na pierwszy rzut oka bezładnie klasnęłam nimi w powietrzu, tworząc odbijającą tarczę Weresa. Jedno z moich ukochanych zaklęć, dawno już przeszło do kategorii wykonywanych odruchowo wymagając tylko wzmocnionej mocą gestu wyćwiczonego do takiego stopnia, że tylko arcymag mógł je przebić.

Odczucie było takie, jakbym skrzyżowała wykwintną elfią klingę z kutym pogrzebaczem. Odrzuciło mnie w tył i zaznajomiło ze ścianą, wszystkie moje wypukłe części ciała. W zgnieceniu ich przeszkodziła tylko tarcza w niewielkim stopniu łagodząca uderzenie. Czarownik wydawał się być zaskoczonym, ale tym nie mniej, dużo bardziej zadowolonym. Zanim jego uśmiezek stał się nie do wytrzymania, wyprostowałam palce w formule Dekka. Rezultat znowu okazał się zupełnie nie do przewidzenia: mag, który dopiero co prawie rozsmarował mnie po ścianie z kłód, zgiął się z bólu od najprostszego zaklęcia. Tymczasem, gdy obydwójce gorączkowo usiłowaliśmy nabrać do płuc powietrza i powiedzieć sobie nawzajem jeszcze coś tak samo serdecznego jak wcześniej, bitwa w

karczynie nabierała obrotów. Najemnicy żądni zarobienia obiecanych kładni we dwóch naraz napadli na Wala. Troll nader negatywnie odnosił się do tej idei, tak samo zręcznie operując obiema rękami — z mieczem i ciężkim myśliwskim nożem. Draśnięcie w poprzek policzka tylko go podnieciło.

Orsana goniła swojego przeciwnika dookoła baru, jak kozła kijem. Uwzględniając, że „kijaszek” był sześciu piędzi długość i obosieczny, sprawa była sporna — bandyta nie zdążył jeszcze pozbierać się po ataku stołu i tylko słabo parował ciosy.

U Rolara sprawy szły już nie tak pomyślnie. Jego rywal naprawdę okazał się wampirem, który wyszczerzył kły i z szelestem rozwinął skrzydła. Arlisskiego doradcę stać było tylko na to, żeby blokować i się cofać. W wampirzym wykonaniu wyglądało to bardzo widowiskowo — po zwierzęcemu warcząca i trzepocząca skrzydłami para, jak wichur przeszła po karczynie zamieniając stoły i krzesła w drewniany miął. Dostało się nawet sufitowej belce, przeciętej prawie na pół.

Karczmarz, co i rusz wyzierając zza baru, jak strachliwa wiewiórka z dziupli, pisał z szybkością olejarni⁴⁹.

Wreszcie zdołałam się podnieść, mag także się wyprostował, ale zdaje się, zaczął pleść zaklęcie nieco wcześniej. Nie udało mi się go rozpoznać — po prostu poczułam, że coś się zbliża, lepkie, grzęznące w zębach i osiadające na piersi, jakby ziemia wibrowała pod nogami na chwilę przed tym, jak po niej przebiegnie tabun dzikich koni.

I nagle zauważyłam, że przeciwnik z taką samą wyteżoną uwagą i podejrzeniem przygląda się mi.

Szum, teraz słyszalny nawet przez huk starcia, nadchodził skądś z zewnątrz, narastając z każdym uderzeniem serca. To nie bicie kuleczek gradu, to nie szelest liści, nie to... trzepotanie tysięcy skrzydeł.

Nietoperze runęły do karczmy ze wszystkich szpar jednocześnie. Kominek jakby zadymił w odwrotnym kierunku, a zza okien i drzwi w ogóle płynął nieprzerwany, kłębiący się potok czarno-szarego koloru, rozlewając się po pokoju jak mgła. Sądząc po mojej i czarownika reakcji, tak masowa wizyta „na iskierkę” okazała się niespodzianką dla nas obojga. Podobne zaklęcia, odbiły się rykoszetem od siebie nawzajem, tak wstrząsając karczmą, że jej właściciel zmuszony był zrobić wypad po drugi zwitek, a rezultat okazał się bardzo daleki od zamierzonego. Bestyjki, które zgubiły orientację, zaczęły się miotać po karczynie zaczepiając o wszystko i wszystkich po kolei. Jedna ostrymi pazurami wpiła mi się we włosy, jeszcze pięć sztuk, nie przerywając trzepotać skrzydłami

⁴⁹ **Olejarnia** – urządzenie do tłoczenia oleju.

zawisło na kurtce. Orsana, która nawet zwykłych myszy się bała, a cóż już mówić o nietoperzach, z przenikliwym dziewczęcym piskiem wyskoczyła z karczmy, a za nią — obaj najemnicy, którzy w końcu zrozumieli, że pieniądze w życiu — nie są najważniejsze. Najbardziej ze wszystkich z jakiegoś powodu dostało się Walowi (widocznie, z powodu rozmiarów albo bardziej obfitego owłosienia). Troll nawet rzucił miecz i cofnął się pod ścianę, zakrywając twarz rękami. Strząsnęłam nietoperza z rękawa, ale na jego miejsce od razu zawisły dwa następne. Od jazgotania i pisku zatykało uszy.

Już zamierzałam pluć na wszystko i pójść za przykładem Orsany, gdy czarownik wznosił ręce do sufitu i pośrodku karczmy urósł słup szafirowego płomienia. Kaptur ześliznął mu się na ramiona, co niestety mało mi pomogło — przez krążące nietoperze widziałam tylko niewyraźny zarys sylwetki w szafirowych odbłaskach. Zanim zdążyłam się zorientować, jaką podłóż umyślił tym razem, potłuczony stołem rozbójnik obejrzał się i bez wahania dał nurka w płomień. Jego kolega-wampir, jednym zwierzęcym skokiem przez pół karczmy podążył za nim, zostawiwszy swój miecz w Rolarze. A raczej, u niego pod pachą — arlisski doradca w ostatniej chwili uchylił się od kłującego ciosu pod żebro i wrogie ostrze tylko rozpruło koszulę z boku, głęboko usadowiwszy się w ścianie.

Ostatni w płomieniu zniknął czarownik, który iskrami prysnął na boki, zostawiwszy po sobie gryzący zapach palonej sierści.

W tejże chwili nietoperze, jakby oprzytomniawszy, na sekundę jak oszalałe zawisły w powietrzu albo zamarły tam gdzie siedziały, a potem zgodnie poszły w rozsypkę. W parę minut w karczmie zostało tylko kilka rozrzuconych po podłodze martwych grudek.

Razem z Walem, nieufnie się wyprostowaliśmy, przysłuchując i rozglądając się z obawą.

— No to jak? Rozpoznałaś hwybnika⁵⁰? — Niewzruszenie zainteresował się troll, czubkiem buta niewinnie postukując w jedyny ocalały stół w nadłamaną nogą. Ten runął z trzaskiem i w zdemolowanej karczmie zapanował idealny bałagan.

— Zauważyłam tylko, że był podobny do mnie — burknęłam ponuro masując nadgarstek.

Rolar w zamyśleniu, z niezadowoleniem stuknął palcami po głowni wibrującego miecza, potem obiema rękami złapał za krzyżak i pociągnął. Przeciwnik zasłużył na sławę, wyciągnąć miecz udało się dopiero za drugim podejściem.

⁵⁰ **Hwybnik** – słowo z języka trolli

Zza drzwi nieśmiało wyjrzała Orsana, przestraszona i zażenowana na całego. Nie zdążyła odetchnąć z ulgą, ujrawszy nas całych i zdrowych, chociaż z trochę uszkodzonym wyglądem, kiedy wampir, migiem wykorzystując sytuację, ze szlochom osunął się na kolana, przytrzymując miecz nieprzyjaciela łokciem. Ze zdziwieniem utkwił wzrok na sterczącej „z piersi” rękojeści, przechylił głowę do tyłu i gwałtownie zajęczał:

— Oto wybiła moja ostatnia godzina...

Oczy dziewczyny robiły się coraz większe, co było godną nagrodą dla poległego bohatera.

— Chcesz, to dobijemy, żebyś się dłużej nie męczył? — Wielkodusznie zaproponował troll.

Rolar zrobił opieszawy gest na znak protestu i zgaszonym głosem kontynuował: — I tylko łyk krwi z szyi niewinnej panny może uratować mnie od nieuchronnej zguby...

Orsana bez wahania rzuciła się do niego, z trzaskiem rozdzierając kołnierz koszuli. Wampir, chętnie wziął ją w objęcia i miecz z brzękiem upadł na podłogę.

Okazało się, że na nieuchronną zgubę równie dobrze pomaga zwykły policzek. Przyjaciółka na wszelki wypadek zmusiła Rolara do przyjęcia podwójnej porcji tego cudotwórczego środka, żywo stawiającego na nogi, a dla utrwalenia rezultatu nagrodziła umykającego wampira kopniakiem w tyłek. Niemały wkład w tak szybkie uzdrowienie miały również nieliczne słowa, których niewinne panny w ogóle to i znać nie powinny.

— Ot mahabr⁵¹ wszawy! — Oburzył się Wal, przeliczywszy „honorarium”. — Trzech monet brakuje! I jak teraz ludziom wierzyć?

Pochyliłam się i podniosłam z podłogi, mały zwęglony pierścionek. Nie do wiary, że był w stanie dać taki słup ognia. Czarownik tylko aktywował amulet szybkiej teleportacji. Bardzo niebezpieczna i niepewna sztuka, promień działania pół wiorsty, w zależności od mocy, za to szybka i efektywna. I nie do wysłędzenia. Szukaj ich teraz! Jeszcze i po różnych miejscach pewnie ich rozrzuciło...

Wampir, przekonawszy się, że Orsana już nie domaga się natychmiastowego ścięcia mu głowy, oparł się łokciami o parapet, przezornie zostając na zewnątrz karczmy.

— Gdzieś tego typu widziałem... — Rolar, marszcząc brwi, pokręcił w rękach zdobyczny miecz. — Ale zabij, nie pamiętam kiedy i w jakich okolicznościach...

⁵¹ Mahabr – słowo z języka trolli

— Jeśli to ci chociaż troszkę pomoże, to jestem na twoje usługi — złośliwie zaproponowała dziewczyna, bawiąc się swoją klingą. — Wolha, a u ciebie jak sprawy?

— Dokładnie tak samo.

Pierścionka tym niemniej nie wyrzuciłam. Zajdę jutro do mistrza amuletów, poproszę by porównał jego magią z ametystową.

Orsana z obrzydzeniem popchnęła jednego nietoperza nogą i z piskiem odsunęła się, kiedy ten nagle zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze. Wal machnął mieczem, ale nietoperz, zręcznie się wykręcił, a Rolar, odwrotnie, usunął się na bok, przepuszczając go.

— Chyba na ulicy na was poczekam, — nabrawszy tchu, mruknęła dziewczyna. I wyskoczyła z pokoju, tym razem, starannie omijając rozpląszczone bestyjki.

Rolar został w karczmie, aby załagodzić sprawę (raczej, jej żalosne resztki). Karczmarz, kategorycznie odmówiwszy wyjścia do wampira spod baru, w sprawach handlowych przejawiał godną podziwu nieugiętość, głosem jak zza grobu nadając ze swojego schronienia: „... a tako, że kaftan pracowniczy, nietoperzami do zupełnej rozpusty zapaskudzony, — jedna sztuka...” Wal i Orsana burzliwie udowadniali pięciu strażnikom i obu starostom, że w karczmie zdarzyła się zaledwie przyjacielska bójka i jej właściciel bynajmniej nie ma nic przeciwko przekrzywionemu dachowi i rozjechanemu wieńcowi⁵². Tłum ciekawskich rósł jak na drożdżach.

Wyszłam z karczmy ostatnia i szczególnej uwagi nie przyciągnęłam. Przepychać się wśród gapiów, raczej nie było sensu, a przyjaciele wiedzieli gdzie mnie szukać.

Gdy od domu babki dzieliło mnie już tylko trzy podwórza, zawołał mnie kupiec lat czterdziestu, tęgi, o owalnej twarzy, ściskający w rękach małego, sinego gołąbka:

— Ha, pani wieżma, jaki fart, że się z panią spiknąłem! Interesik mam do pani, nieduży.

— Jaki?

— Otóż liścik trzeba natychmiast z gołąbkim wysłać, a on, leń, nocą latać nie chce! — Żartem pożalił się mężczyzna. — Czy nie przemówcie do rozsądku ptaszkowi?

Prośba ani trochę mnie nie zadziwiła. W ciemności, gołębie jak i wszystkie dzienne ptaki źle widzą i odleciawszy na parę wiorst, szukają okazji, aby

⁵² **Wieniec** - wzmocnienie ścian budynku w postaci belki okalającej ściany nośne, zabezpieczającej przed ich rozsunięciem się lub przewróceniem

spędzić noc gdzieś w lesie na gałęzi. Dlatego, jeśli jest sprawa niecierpiąca zwłoki, na ptaka nakłada się specjalne czary, pozwalające mu bez ustanku pędzić do celu nawet w bardzo ciemne noce.

Odeszliśmy na stronę, szybko stworzyłam potrzebne zaklęcie, zwróciłam gołębia handlarzowi i bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości zapytałam:

— Taka duża wieś i nie ma w niej telepatofonu? Czy też wiadomości są na tyle poufne?

— A jakie tam sekrety! — Z kpiną machnął ręką handlarz. — Pomocnik mój jutro rano z taborem do Witjagu miał zamiar jechać, a ja już tutaj dwadzieścia wiązek lisich skórek za bezcen dokupiłem, tak niech nie jedzie. Za pomocą telepatii wiadomość doszłaby naprawdę i szybciej, i pewniej, ale akurat teraz jest na nią zakaz, więc i radzimy sobie jak umiemy.

— Jaki zakaz? Czyj? — Już tak naprawdę się zainteresowałam.

— Akurat wasz przecież — chętnie poinformował mnie gadatliwy chłop. — Magów z Konwentu. Niby to, jakieś straszne czary u nich przez tę sprawę się przydarzyły — ktoś rozum stracił, a ktoś i na miejscu umarł, nawet pisnąć nie zdążył. W Kamienioderżce mówią, że całkiem ani jednego telepaty nie zostało. Więc dopóki starmińscy magowie nie zorientują się, kto, co i skąd, nie można wysłać żadnych depesz. Oni to tam analizują, a ja przez to mam przestoje w handlu! Nie mogę przecież codziennie po dziesięć gołębi rozsyłać i jeszcze potem wróżyć: doleczą — nie doleczą... same straty są od waszego bractwa!

Mężczyzna, żartobliwie mrugnął porozumiewawczo okiem, wyciągając w moją stronę obiecywanego srebrniaka. Odruchowo zacisnęłam monetę w pięści, natychmiast o niej zapomniawszy.

— Kiedy to się stało?!

— Akurat minęło już więcej niż dwa tygodnie. — Kupiec podrzucił gołębia w powietrze, otrzepał ręce i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, dodał: — Ale nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Stołeczne władze o tym milczą, a wszyscy ludzie tylko jedno szepczą — w wampirzej dolinie, w bogom przeciwnej Dogewie, także strata. Na następny już dzień, królewskich ambasadorów stamtąd ze świstem pogonili — niby, że teraz mają dość swoich problemów i jeszcze cudzych im nie potrzeba. Starmiński arcyomag osobiście udał się z pokorną prośbą do wampirów — nie inaczej jak zapewniać, że obecność przedstawicieli Konwentu w niczym nie zaszkodzi — i jego też nie wpuścili. Dobrze, że chociaż w ogóle nie zagryźli... a może i zagryźli — któż się przyzna?

— Jak tam dojechać?! — Przerwałam.

— A pani to tam po co? — Speszył się chłop.

— Więc!!! — Wrzasnęłam i wystraszony kupiec zatrajkotał:

— No, jest Zaboriszczański trakt, co naprzeciwno Gerina w Witjagski przechodzi. Dziesięć wiorst po nim przejedziecie i na drugim rozstaju na wampirzy skręćcie. Tam droga dobra, wyjeżdżona. Jest i krótsza droga, Mrakobiesee Wąwoziki. Wieśniacy czasem po niej owce pędzą i wozy ciągną. Droga, chociaż wśród wąwozów i kluczy, ale sześć godzin dokładnie zyskacie... Ejże, pani wiedźma, dokąd to pani?!

Tam, skąd w ogóle nie powinnam była wyjeżdżać.

* * *

Dopiero jak kobyłka skoczyła, zrozumiałam, że to była jama wielkości sążnia, a nie cień rzucany przez wzgórze. Ominąć jej Smółce się nie chciało, chociaż już od godziny pędziła zwariowanym galopem. Zwyczajna kobyłka dawno pokryłaby się pianą, a ta tylko trochę głośniej stukała kopytami, ale tak samo jak na początku z łatwością wzbijała się nad przeszkodami.

Mrakobiese Wąwoziki całkowicie usprawiedliwiały swą nazwę. Polna droga kurczowo próbowała wcisnąć się między licznymi lasami, wąwozami, jarami, zatechłymi sadzawkami i pagórkami, to rozszerzając się do kilku sążni, to zwążając się najwyżej do trzech łokci. Widoczność z przodu i z tyłu była ograniczona do trzech, czterech setek sążni, do kolejnego zakrętu.

Po oddaleniu się na pięć wiorst od Opadiszczy zorientowałam się, że porzuceni bez uprzedzenia przyjaciele na pewno będą się niepokoić i rzucą się mnie szukać. Siodłając Smółkę, myślałam tylko o jednym: za k'iardem, nawet półkwi, nie nadążą najlepsze konie. Przyjaciele na pewno chcieliby pojechać ze mną, ale tylko by mnie opóźniali. I w czym by mi pomogli?!

Ale kilka słów to mogłam skreślić! Ach, dostanie mi się od nich...

Myśl przemknęła i bez śladu znikła pod nawalem dużo poważniejszych spraw. Niech to leszy z nimi, mogą mnie nawet na kawałeczki rozerwać, aby tylko pogłoski okazały się po prostu pogłoskami! A jeśli nie... będzie mi już wszystko jedno.

Odruchowo popędziłam kobyłkę. Smółka prychnęła i rozdrażniona wierzgnęła: przecież nie uczę cię jeździć, tak ty nie ucz mnie skakać!

„Nie wyjeżdżaj”.

O bogowie, jakąż okazałam się idiotką! Dlaczego go nie posłuchałam?! W końcu, od wesela z wampirem jeszcze nikt nie umarł! Przecież świat nie kręci tylko wokół bojowej magii?! Napisałabym dysertację o zaklinaniu pogody w

warunkach efektu brudnopisu⁵³ — unikalny temat, obroniłabym z największą przyjemnością! Za to stale byłabym przy nim i w razie czego stanęłabym ramie w ramie, do ostatniego tchnienia... a nie fałszywie mrugała oczami przed przyjaciółkami: „Och, jak ja go kocham!”

Pomyślisz, wesele! A choćby jutro za mąż wyjdę!

Jeśli jeszcze będzie za kogo...

Do reszty obrażona kobyłka usiłowała ukąsić mnie w nogę.

— No już dobrze, dobrze, więcej nie będę! Pod kopyta lepiej patrz!

Droga zagłębiła się w piaskownię⁵⁴. Czy tu naprawdę wydobywano kiedyś piasek czy też rozpadlina w ogromnym pagórku pojawiła się za sprawą trzęsienia ziemi, ale wyglądała tak: pół wiorsty ciągnących się wzdłuż drogi zboczy, do połowy o łagodnych stokach, a wyżej o pionowych, z bardzo twardej gliny podziurawionej przez nory jaskółek brzegówek. Rozpełznąć się wszere piaskowni, nie pozwalała gruba warstwa darni i rosnące na skraju drzewka, które solidnie przeniknęły korzeniami górną warstwę ziemi.

Głośny tupot ustąpił miejsca chrzęstowi. Koń po pęciny grzęznąc w osypującym się ze zboczy piasku, gwałtownie zmniejszył szybkość. „Krótka droga”, żeby ją! Zresztą, śladów było tu pełno — od szerokich kopyt koni pociągowych, płóz przejeżdżających włóków i psich łap do wilczych. Nawet przewiesiłam się w siodle, żeby się upewnić. Naprawdę wilcze — duże ślady przednich łap zgłębione nie aż tak mocno w piasku; łapy dobrze trzymają zwierzę, na kruchej, śnieżnej szreni⁵⁵. Tylko wilków, obok lasu, brakowało mi jeszcze do pełni szczęścia,...

Księżyc w pełni na bezchmurnym niebie zalewał piaskownię trupioblady światłem, ostro zarysowując wszystkie załamania zboczy. Rzucające cień krzaki przypominały wąskie, strzelnicze otwory w murach fortecznych. Skuliłam się. Wydawało mi się, że jeszcze jeden krok — a stamtąd wylecą strzały z ostrym świstem, przecinające chłodne jesienne powietrze.

Przymrużywszy oczy, ogarnęłam spojrzeniem brzegi piaskowni — i drgnęłam. Z lewej strony coś mignęło. Czy to zakołysała się gałązka, czy ktoś — A może coś? — na chwilę wyjrzało z krzaków i czmychnęło z powrotem.

— Widziałas? — Przechyliwszy się nad przednim łękiem, zapytałam szeptem.

Smółka prychnęła na znak zgody i przyśpieszyła kroku.

⁵³ **Efekt brudnopisu** – zniekształcenie płaszczyzny przestrzeni zmiętej jak pokreślona kartka. Efekt brudnopisu został opisany dokładnie w pierwszej części Zawód Wiedźma.

⁵⁴ **Piaskownia, piaskarnia** – miejsce odkrywkowego wydobycia i przetwórstwa piasku lub pospółki. Po zakończeniu eksploatacji piaskownia może zostać zalana wodą, powstaje wtedy sztuczny akwen.

⁵⁵ **Szren** - rodzaj pokrywy śnieżnej przekształconej pod wpływem częściowego rozmrożenia i ponownego zamarznięcia, o łamliwej złodowacialej powierzchni. Często mylona z lodoszrenią, której powierzchnia z kolei jest tak mocna, iż utrzymuje ciężar człowieka. W języku potocznym spotyka się też często pleonazm "szren łamliwa".

Nie mogłam skorzystać ze zwiadowczego impulsu — piaskownia była zbyt głęboka, aby zakłęcie, osiągnąwszy brzeg przeszło przez niego i poszło dalej. Najlepiej działało na równej powierzchni, omijając wzgórza u podstawy, na co nieraz pokusili się niedoświadczeni magowie, kiedy zdawało się im, że „ni stąd, ni zowąd”, na szczycie kamiennego bloku widzą skaczącą bestię.

Jeszcze jeden ledwie dostrzegalny ruch. Po zboczu z pieszczotliwym szelestem, osunął się cienki strumyk piasku.

Popędząć kobyłki, co zrobiłby każdy normalny człowiek, nie zamierzałam. Wręcz przeciwnie — trochę ją osadziłam, zachęcająco poklepawszy po szyi. Smółka z niezadowoleniem stuliła uszy, ale się podporządkowała. Czarowanie, na skaczącym koniu — to nie najlepszy wariant, ale jeśli nagle ruszymy do przodu to tylko spowoduje drapieżnika. A tak istnieją szansa, że zaskoczymy go swoją zuchwałością — i być może uzna, że na tyle pewna siebie amazonka to nie na jego zęby i przepuści. Cóż, za piaskownią może będzie warto przyśpieszyć, tam przynajmniej będzie miejsce do manewrów. Po piasku nie da się za bardzo rozpędzić, a wspinanie się po zboczu także nie wchodzi w grę, ale za to i nie da się zeskoczyć — za wysoko, będzie z dwadzieścia sążni.

Może, ono także czeka, póki nie wyjedziemy na równą powierzchnię? Za piaskownią rozciąga się pagórek porośnięty rzadkim lasem, gdzie chętnie zapuszczają się i leśne, i stepowe wilki. Ale goniące zdobycz stado zazwyczaj wyje, a przecież z góry nie dochodził żaden dźwięk. Zwykle upiory.

Na wszelki wypadek postanowiłam sprawdzić, jak wychodzi z pochwy miecz. I poczułam nienaturalne ciepło rękojeści.

Przeliczyłam się — ono jednak skoczyło, szybko i zręcznie wylądowawszy na krótkich, niedorozwiniętych skrzydłach przeznaczonych właśnie do takiego ataku, a nie latania. Długie pazury, wszystkich czterech łap głęboko wpiły się w koński zad, nad moim uchem kłapnęły zęby. Smółka pisnęła i nie namyślając się, koziołkując potoczyła się po ziemi przygniatając sobą tajemnicze stworzenie. Zdażyłam zeskoczyć i nawet, jako tako się skupić. Gdyby droga była twarda, obeszląbym się paroma siniakami, a tak prawa noga ugrzęzła w przeklętym piasku, utkwiwszy w szczelinie między niewidocznymi pod nim kamieniami, podczas gdy ciało dzięki swojej inercji poruszało się w dalszym ciągu do przodu.

Rozległ się głośny chrzęst, który po upływie chwili ustąpił miejsca nieznośnemu bólowi w prawej nodze. Nie zdarzyło mi się jeszcze ani razu złamać nogi i nowość wrażeń uzewnętrzniła się w strasznym krzyku, wielokrotnie wzmocnionym przez piaskownię i wynagrodzonym osypaniem się piasku w kilku miejscach. Zresztą, schlebiałam sobie — dźwięk wcale się tak

nie niósł. Do piaskowni ześliznęło się jeszcze kilka stworzeń, to skacząc w dół po zboczu to z głośnym trzepotaniem skrzydeł podjeżdżając na piaszczystej lawinie. Troje z nich z różnych stron atakowało Smółkę, która dopiero co zerwała się na równe nogi; pierwsze bezsilnie kłapnęło zębami i runęło na ziemię z połamanym grzbietem. Następne rzuciło się prosto na mnie.

Nic podobnego w życiu nie widziałam — kosmate ciało na długich, sprężystych łapach, ogromna paszcza cała w kłach i nieruchome, jak u zombi, fosforyzujące oczy, a za tą robiącą wrażenie kompozycją — urocze, kosmate uszka, za które chciało się potargać.

Kobyłka głośno kopnęła pazurzastymi kopytami jedno ze stworzeń, kłapnęła kłami przed nosem drugiego, a kiedy te ze skomleniem odskoczyło, przemknęła obok niego i pomknęła do wyjścia z piaskowni, tak że trzecie wylądowało już na pustym miejscu. I ze wściekłym ryczeniem rzuciło się w pogoń razem z pozostałymi, powoli, ale sukcesywnie doganiając zdobycz.

Zacisnąwszy zęby, jakoś uniosłam się na zdrowym kolanie i niezgrabnie, wyszarpnęłam miecz z pochwy. Pod takim kątem, powinien był nieuchronnie utknać w pół drogi, ale w ostatniej chwili jakby się wykręcił, śpiesząc się znaleźć na wolności. Blask bijący od znaku na mieczu zmusił stworzenie do cofnięcia się, ale natychmiast zaatakowało z boku, szarpnąwszy zębami za rękaw. Srebrne nity ani trochę nie zrobiły na nim wrażenia, jedynie przeszkodziły w porządnym wsadzeniu kłów, które tylko prześliznęły się po łokciu, wydarłszy po strzępie skóry, zarówno ze mnie jak i z kurtki. Złożyć się do ciosu mieczem nie zdążyłam, tak że po prostu przywaliłam mu głownią po łbie. Gadzina zaskomlała cieniutkim głosikiem, zupełnie jak szczenię i odskoczyła, kręcąc łbem i drapiąc go łapami, jakby po użądleniu przez szerszenia.

Szum skrzydeł w porę zmusił mnie do obejrzenia się. Pulsar wpasował się wprost w otwartą szeroko paszczę, odrzuciwszy stworzenie na dobre sto łokci. Jeszcze jedno z wprawą wystartowało w powietrze, wylądowawszy dwa sążnie dalej, za moimi plecami i natychmiast skoczyło, wycelowawszy w moją szyję. Miecz, prawie nie napotkawszy oporu, rozciął je od mostka po pachwinę. Krew, jak kulki rtęci, zwinnie osypała się po ostrzu, nie zostawiwszy na zimnej, błyszczącej stali nawet plamki. Gadzina zwała się na bok obok mnie, konwulsyjnie bijąc łapami piasek i ucichła.

Po czym kłapoucha przyszła do siebie i zaatakowała znowu. Już mądrzej, krótkimi szybkimi wypadami, przypadając na przednie łapy i natychmiast odskakując, jak pies dookoła zaszczutego wilka. Nie pozwalając zbliżyć się myśliwemu i jednocześnie wypatrując okazji, aby samemu zatopić kły w

przypadkowo odsłoniętym gardle.

Płynnym ruchem wypisywałam mieczem ósemki, nie podpuszczając stworzenia za blisko i nie reagując na prowokacje. Lewa ręka z rozszarpanym rękawem drżała coraz bardziej, gadzina z lekkością uchyliła się przed cherlawym pulsarem. Nie zamierzałam więcej ryzykować. Żeby spleść zakłęcie, potrzeba kilku sekund. Żeby z odległości trzech łokci dać nurka pod wymierzony miecz, wystarczy jedna.

Pomyliłyśmy się obie — ja, kiedy usłyszałam w oddali rozdzierający koński pisk i drgnąwszy, nieco przekręciłam głowę i ona, kiedy doszła do wniosku, że zdąży.

Nie zdążyła.

Odczekawszy, rozwarłam palce i kłapoucha z głuchym jękiem osunęła się na ziemię. Razem z wbitym po samą rękojeść mieczem.

I nastąpiła cisza. Ciężka, niezdrowa, rozbrzmiewająca w uszach dźwiękiem pulsującej krwi.

Coś było nie w porządku. I to znacznie bardziej niż powinno być o północy na przesiąkniętym krwią piasku ze złamaną nogą, w otoczeniu martwego i zdychającego stworzenia.

Od podrapanego łokcia rozpełzały się lodowe igiełki, które zaczynały już kłuć pod pachą. A potem wbiły się jeszcze głębiej. Księżyc nagle zmatowiał, odpływając na bok. Zachwiałam się i runęłam w piasek, vi za vi z ohydą zwierzęcą mordą, z przebłyskami wilgoci na jadowitych kłach.

Dolna szczeka powoli zaczęła opadać w dół, jakby próbowała coś powiedzieć. Świeące oczy nagle ożyły i zogniskowały się na mnie. Nie było w nich widać zwierzęcej wściekłości, ale świadomy triumf i otwarte upajanie się moim stanem.

„A jednak dostałem cię, wiedźmo!”

Wydało mi się, że słyszę donośny, oddalający się śmiech i wrażenie cudzej obecności znikło.

— A jednak przypominałam sobie ciebie.

... Napływające ze wschodu chmury przedarły się przez rzekę, wyczuwszy w jej szerokim mulistym rozlewisku przyjazną duszę. Gęsto spadające krople zaszeleściły po słomianym dachu, zastukały po nowusieńkiej dachówce karczmy, malując przeplatającymi się kręgami małe jezioro w centrum wyspy.

Wystrzelił z wody wraz z piątym albo szóstym grzmiotem pioruna, machnął potężnymi skrzydłami i wyciągnąwszy szyję, w potoku ulewy pomknął na zachód razem z chmurami, ku ośmiu strzelistym w niebo wieżom. Na wpół przezroczystym cieniem prześliznął się koło samych murów, zatoczył szerokie

koło i poleciał z powrotem.

Już z jeźdźcem...

Paszczka tak i nie zamknęła się. Oczy zgasły, powoli pokrywając się półprzejrzystymi trzecimi powiekami... i prawie natychmiast skrzydła i pazury zaczęły się zapadać, a ciało kurczyć, jak bryłka rzuconego na węgle śniegu. I po upływie paru sekund leżał przede mną zwykły kundel — rudy, kosmaty, z uroczą kłapouchą mordką, na której zastygły zdumienie i żal. Obok zaś rozciągnięty łąciaty pies, a nieco dalej — jeszcze dymiący się psi szkielet.

— Nie ma co, zepsułyśmy sobie nawzajem wesele... — wyszeptałam.

Jakimż głupstwem wydają się wszystkie nasze problemy w obliczu śmierci. Wtedy ważne jest tylko to, czego się nie zrobiło i nie powiedziało do końca...

I w tej pełnej grozy, pustoszącej, nieubłaganej zbliżającej się ciemności, poczułam czyjaś niewidzialną obecność — i strach ustąpił, zmieniawszy się w nieprawdopodobną ulgę.

Gdy zaczęłam się w nią zapadać, ostatnimi resztkami świadomości rozsunałam drętwiejące wargi — albo mi się tylko zdawało, że otworzyłam — i wraz z ostatnim wydechem wyszeptałam najważniejsze w moim życiu słowo:

— Len...

* * *

— O ja w ystkim wynna⁵⁶ — Po urywanym, zbolalym głosie i częstym pociąganiu nosem można było się domyślić, że Orsana połyka słowa na wpół z łzami. I, zdaje się, że u kogoś na piersi, z rzadka się od niej odrywając, ponieważ szlochanie brzmiało to ciszej, to głośniej. — Przeca obicalam, szo niespuszczę z niej oka!

„Lewa połowa wsi” — mimochodem pomyślałam.

Rozległ się głuchy brzęczący dźwięk, jakby kogoś dla dodania otuchy poklepywano po kolczudze na plecach. A potem zażenowane pokasywanie Rolara.

Czoła dotknęła delikatna, zimna ręka i Welka przesadnie rześko oznajmiła:

— Wydaje się, że odtrutka podziałała; niewielka gorączka, ale to nawet dobrze. Myślę, że wszystko będzie w porządku. Prawda, koleżanko?

Lakonicznego pochrząkiwania Kelly z niczym nie można było pomylić. Dogewska Zielarka doprowadzała niektórych, zwłaszcza podejrzanie chorych, do omdleń, patrząc sceptycznie na ofiarę zwykłego przeziębienia, jakby brała miarę na trumnę.

⁵⁶ O ja w ystkim wynna - To ja jestem wszystkiemu winna

— A jeśli jednak wykituje, jeśli już i tak się stanie, to zwrócę ci zadatek. — Wal pomyślał i dodał: — Połowę, musicie mi przynajmniej wydatki za transport zrekompensować! Do tego wczoraj sześć kubków kwasu na mój rachunek wychłęptała oraz pieniążka...

„Co?!” — Oburzyłam się nie na żarty, zaczynając powoli orientować się, że serdeczne mowy jakoś nie są podobne do mszy żałobnej. Chociaż od takiego „błogosławieństwa” nawet martwy wyskoczyłby z trumny, żeby dać nauczkę za wcześniej cieszącym się przyjaciółom i bliskim. Tak że nie przeszkodziłoby i mi się wtrącić...

Ostatnią kroplę przeważył łagodny, trochę zmęczony baryton, nad samym uchem:

— Owszem, niech wam będzie, nikogo przecież nie oskarżam. Ważne, że wszystko dobrze się skończyło.

Poznać, to go poznałam od razu, ale żeby uwierzyć, wypadło otworzyć oczy i z szarpnięciem usiąść na łóżku. W nodze odezwał się ostry ból, ale takie drobiazgi mi już nie przeszkadzały.

— No, jak się czujesz? — Jak gdyby nigdy nic zainteresował się Len, leżąc na kołdrze w komfortowej pozycji, tj. założywszy ręce za głowę, wyciągając się na szerokim łóżku przy mnie.

Patrzałam na niego z góry na dół i myślałam, że teraz albo rzucę się go całować — bez różnicy, gdzie się znajduję, — albo go uduszę, żeby mu się raz na zawsze odechciało tak mnie straszyć.

— Jeszcze nie wiadomo, kto kogo więcej nastraszył! — Odparował Len, siadając. — Dwa tygodnie temu otrzymuję wiadomość telepocztą niby od ciebie — ze szczęścia, tak rzuciłem się do telepatofonu, że ten spadł na podłogę i rozleciał się w drzazgi, — a potem okazało się, że wielu porządnych telepatów nagle przeniosło się na tamten świat! Co miałem pomyśleć?! Oczywiście, tylko to, że cię zakopali gdzieś pod krzaczkiem, skoro ośmielili się tak otwarcie wystąpić w twoim imieniu! Oczywiście, rzuciłem wszystkie sprawy...

Kella z dezaprobatą prychnęła i skrzyżowała ręce na piersi. Wampir, z przyzwyczajenia nie zwracając na nią uwagi, kontynuował:

— ...włączyłem w twoje poszukiwania naszych wspólnych przyjaciół i zaczęliśmy przeczesywać Belorię z czterech stron, w każdym napotkanym osiedlu rozpytując o rudą wiedźmę na czarnej kobyłce, tymczasem...

— Ciche Rossochy, — uśmiechnąwszy się, przerwał Rolar. — Tamtejszy daj, był bardzo przygnębiony twoją niechęcią uszczęśliwienia pobożnych wieśniaków osobistą obecnością na radośnie trzaskającym ognisku pośrodku placu...

— A ja wysłodziłam cię od samego Rozdroża! — Pochwaliła się Orsana. — Ale dogoniłam dopiero w Opadiszczach. Wydawało mi się, że zauważyłam cię na jarmarku w tłumie, a gdy wypatrywałam, sama do mnie podeszła! Tak się pogubiłam, że z początku nie mogłam w to uwierzyć!

— Od Zaduchowiej razem doganiałyśmy — z zazdrością poprawiła Welka. — Nie mogłam przecież przyglądać się bezczynnie z boku, kiedy jakaś nieznajoma, uzbrojona po zęby dziewczyna wypytuje mnie o moją przyjaciółkę, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo!

Wal nie śpieszył się, opisywać swojej poszukiwawczej działalności, a przy tym tak wieloznacznie się uśmiechał, jakby naprawdę włókł się za mną przez pół Belorii.

— Zaczekajcie — Złapałam się za głowę, próbując zorientować się w potoku zalewających mnie informacji. — Z czego wywnioskowaliście, że zamachy na mnie i na Lena są jakoś ze sobą powiązane? Wątpię, żeby parszywy czarownik z Kruczych Szponów ośmielił się dokonać zamachu na Władcę Dogewy, żeby zepsuć mi nastrój! To znaczy zepsułyby, oczywiście, ale za jaką ceną!

— Otóż to, próbowaliśmy się dowiedzieć udając się z tobą do karczmy, — westchnął Rolar.

— Pomimo mojej... prośby — nie wytrzymawszy, z wyrzutem wtrącił Len. Ciemnowłosy ze skruchą pochylił głowę.

— I co?

— No nie taki już on i parszywy — wymijająco zauważył Rolar.

— Obwiesił się amuletami i to wszystko! — Oburzyłam się. — Nic nie szkodzi, teraz wiem, kim jest i odszukać go w Opadiszczach przy pomocy magii będzie tyle, co splunąć!

— Nie jesteśmy już w Opadiszczach, — zaoponowała Welka. — To Błyskawica, nieduża wioseczka w odległości pół wiorsty od piaskowni. Tu mieszka moja dalsza ciotka, ale teraz wyjechała. Znają mnie tu, tak że sąsiadka nie zadając zbędnych pytań, dała mi klucze do jej chaty.

— A po tych paskudnikach już dawno ślad ostygnął — z rozczarowaniem zameldowała Orsana. — Do wsi oni tak i nie wrócili, nawet konie przy karczmie porzucili...

— Nic nie szkodzi, przed nami nie uciekną — złowrogo obiecał Len. — Wolha, czy marzyłaś kiedyś, żeby mieć wiernych przyjaciół i nieutulonego w bólu ukochanego, którzy pomszczą twoją śmierć? Chyba, sprawiliśmy ci tą przyjemność jeszcze za życia!

Ponownie zwróciłam się w jego stronę, zmieszana, zażenowana,

oszołomiona, wariacko szczęśliwa i oburzona jednocześnie:

— Ale dlaczego urządziłeś ten spektakl z wygnaniem ambasadorów?

— Nie wygnaniem, a uprzejmą prośbą o przyjazd w innym terminie — poprawił Władca Dogewy. — Ambasador — to w dodatku na pewno i szpieg, a ja nie chciałem, żeby zauważono moją nieobecność w dolinie. Albo żeby wiedzieli, że żyję. Niech już lepiej gubią się w domysłach i szerzą pogłoski o mojej śmierci — nam to tylko na rękę.

— Ale jeśli czarownik jest przekonany, że oboje jesteście martwi, dlaczego tak pośpiesznie uciekł ze wsi?

— Zdradziłem się — niechętnie przyznał wampir. — Wczoraj, w karczmie.

— Tak więc to były twoje nietoperze?! — Zrozumiałam.

Len ponuro skinął głową:

— Już wjeżdżałem do Opadiszczy i nie wytrzymałem. Najpierw chciałem, po prostu przekonać się, że z tobą wszystko w porządku, ale zobaczyłem, co się dzieje i postanowiłem się wtrącić...

— Po co?! Już prawie zwyciężyliśmy a ty pomogłeś im uciec!

— Prawie przegraliście a ja ich przepędziłem! — Nie mniej niż ja oburzył się Władca Dogewy. — Wolha, nie poradziłabyś sobie z nim!

— A to dlaczego? Wątpisz w moje zdolności?!

— Po prostu nie wątpię w jego zdolności!

— Tak dobrze go znasz?! — Zmieszałam się.

— Nie. Ale szybko poznam. — Len gwałtownie wstał z łóżka. — Na nas już pora, zbieramy się! I tak straciliśmy dużo czasu, teraz trzeba będzie jechać po ciemku.

— Zaczekaj, wczorajszej nocy też mnie szpiegowaleś?! Ten nietoperz, który przeszkodził mi wejść na obrzeża wsi i dobrać się do skóry tego gada?

Po twarzy wampira prześliznął się jakiś cień, ale przemilczał. Zmarkotniał i Rolar.

— A gdzie jedziemy? — Za późno się zreflektowałam.

— Właściwie, to jedziemy — podkreślił Len. — A ty ze swoją nogą — a raczej, bez niej — zostajesz tutaj!

— Co-o-o?! — Spróbowałam wyrazić gniew wstając, ale natychmiast z jękiem zwałam się z powrotem. Prawie nie poruszyłam tą przeklętą nogą, a poczułam jak bym ją na nowo złamała.

— To — spokojnie odparł wampir. — Weleena i Kella się tobą zaopiekują.

— Ale mogę połączyć kości magią!

— Żeby znów za parę dni rozleciały się na kawałki, jak twoja rozerwana i w pośpiechu zaczarowana kurtka?

Nastroszyłam się. Oto ghyrowy telepata — wie, że naprawdę noga zrośnie się, w najlepszym wypadku za tydzień, a zakłęcie po prostu przytrzyma ją we właściwej pozycji, zamiast zwykłego łupka. Bardzo wygodny sposób, pozwalający przemieszczać się po domu bez pomocy kul albo siedzieć w siodle, ale o wspinaniu się po parowach albo o bitwie na miecze, można zapomnieć. Z drugiej strony, w czym przyjaciołom będzie przeszkadzać magiczna pomoc ze strony, trzymającej się na uboczu więdźmy? Przecież nie nogami rzucam zakłęcia, a Smółka wszędzie przejdzie...

Len nagle się speszył i kaszlnąwszy, utkwił wzrok w podłodze, jak gdyby zastanawiając się, od czego zacząć nieprzyjemną, ale ważną rozmowę.

— O co chodzi? — Zaniepokoiłam się.

— Wolha, obawiam się, że nie masz już konia. Sądząc po śladach, pogalopowała w las, a wtedy nie mieliśmy czasu by jej szukać... I... wydaje się, że ją także parę razy zadrasnęli pazurami.

— K'iardry są odporne na większość trucizn, więc być może, wszystko będzie dobrze — pośpiesznie dodała Kella, spojrzawszy na moją zmienioną twarz.

— Ale w lesie było pełno wilków, a Smółka była ranna i nie była w stanie sama się obronić! Jak mogliście ją tam zostawić?!

— Wolha — surowo przerwał Len. — Nie mieliśmy czasu żeby ratować was obie i wybraliśmy ciebie. Wybacz.

Czasami po prostu nienawidzę tego wampira. Zwłaszcza, kiedy ma rację.

— No dobrze, — przełykając podchodzącą do gardła grudkę, nienaturalnie spokojnym głosem powiedziałam. — Mogę wziąć... innego konia.

Innego! Po mojej wrednej, upartej, bezczelnej, bezcennej Smółce!

— Mamy tylko cztery konie. We dwoje na jednym siodle długo nie wysiedzimy, a koń nie będzie w stanie szybko skakać z takim ciężarem, zwłaszcza, jeśli przyczepi się do nas pogoń albo przytrafi się z rozpędu brać przeszkody. W obecnym stanie tobie w ogóle potrzebny jest wóz, ale nawet gdybyśmy go mieli i tak nie wzięlibyśmy cię ze sobą.

— Dlaczego?!

— Ponieważ tak powiedziałem — odciął się wampir, obracając się w stronę Kelly. — Tha werrin dou sha?

— Fessp tkerr — z powagą przytaknęła zielarka.

— Z jakiej to racji decydujesz za mnie?! — Druga próba utrzymania się w godniejszej pozycji doprowadziła do takiego samego żalostnego rezultatu.

— Może ją przywiązać? — W zamyśleniu rzuciła Welka.

Rzuciłam na zdrajczynię tak piorunujące spojrzenie, że gdyby nie zdążyła

na czas pstryknąć palcami, z jej wspaniałego warkocza zostały się tylko zwęglony ogonek.

— Ponieważ nie chcę zostać wdowcem, pomijając stadium męża. — Len, nie zwracając uwagi na mój uzasadniony gniew, w skupieniu uderzał rękoma po kieszeniach — od tych na piersi do tych na spodniach, — sprawdzając, czy wszystkie niezbędne dla celu wyprawy drobiazgi, w rodzaju krzesiwa i scyzoryka, są na miejscu.

— Foczka, jeśli cię to pocieszy — przywieziemy ci głowę tego łabarra⁵⁷, — z uśmiechem obiecał troll, naciągając czarne skórzane rękawiczki z uciętymi palcami.

— Zatrzymajcie się, — opamiętałam się niespodziewanie. — A dlaczego wcześniej nic mi nie powiedzieliście? Ani o zamachu na Lena, ani że już od dwóch tygodni szukacie mnie po całej Belorii?!

Zapadła grobowa cisza. Orsana i Wal spojrzeli z ukosa na Rolara, a ten, razem z Kellą i Welką — na Władcę Dogewy. Ponieważ Len — przygryzłszy wargę kontynuował w pośpiechu zapinanie kurtki — znajdował się z brzegu.

— Len? Le-e-en! — Gwałtownie przesunęłam dłonią z góry na dół.

— I dlatego ci nie powiedzieliśmy — burknął troll, gdyż wampir ze zmieszaniem utkwił wzrok w toczącym się po podłodze guziku — bo na pewno będziesz chciała wetknąć swój nos we wszystko. Więc ktoś przezorny zapłac... to znaczy poprosił nas, byśmy trzymali język za zębami.

— Tak więc po prostu mnie sprzedaliście — wyszeptałam cała wstrząśnięta. — Sprzedaliście temu podłemu typowi! No ładnie, jeszcze rozumiem, że Wal, o Rolarze i Kelly w ogóle nie wspomnę — wampiry, nie ma czego im się dziwić! Ale ty, Orsana! Welka! Moje najlepsze przyjaciółki! Jak mogłyście?!

„Sprzedawcy wiedźm” zgodnie zaczęli sapać i pociągać nosem. Natomiast Len, który zawsze jakoś potrafił znaleźć sposób na przybranie niewinnego i skruszonego wyglądu tak, aby mi sprawić radość, nie wytrzymał:

— Ten podły typ, między innym, to twój mąż, i chroni cię jak może!

— Nic podobnego, moje wesele dopiero za trzy tygodnie!

— Pamiętam — sarkastycznie potwierdził Len. — Moje także! Ale co to zamienia?

— To wszystko zamienia! Wszystkie moje plany, całe moje życie! Czy po ślubie też tak będziesz mnie stale... „chronić”?!

— Jeśli będzie trzeba, — nie mrugnawszy nawet okiem uściślił wampir.

— A to nie, dziękuję, takiego szczęścia nie chcę nawet za darmo! — Do

⁵⁷ **Labarr** – słowo w języku trolli

reszty się rozjuszyłam. — Zabieraj więc swój pierścień i szukaj do niego bardziej ustepliwej ręki, moja — wybacz! — potrzebna mi jest do pracy, a nie do cerowania twoich skarpetek!

— Tak więc i zabiorę — nieoczekiwanie chłodno powiedział Len, wyciągając dłoń. — Oddawaj. Ja, Arr'akktur tor Ordwist Sz'eonell, zrywam zaręczyny. Wszyscy słyszeli? Teraz, mam nadzieję, że jesteś zadowolona?

Coś ścisnęło mnie za serce i zamarło. W oczach pociemniało i powoli na oślep ściągnęłam ocierający skórę pierścień. Z trudem, cudem nie zacząwszy szlochać, wydusiłam:

— Zupełnie.

I nie oddając, z rozmachem wyrzuciłam pieczęć przez otwarte szeroko okno.

— Pięknie. — Len, nawet nie spojrzawszy gdzie poleciał, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Przyjaciele, z poczuciem winy nie patrząc mi w oczy i mamrocząc pozostające bez odpowiedzi słowa pożegnania, jak najszybciej podążyli za nim.

Wygląda na to, że belorskim strzygom i wilkołakom nie udało się wykręcić od mojej dysertacji starania się o tytuł Mistrza 3 – ego stopnia. Bo za nią pójdzie obrona 2 – ego i 1 – ego, a to do tego i naukowa praca arcymaga na czterdzieści zwitków, od których już nic nie będzie w stanie mnie odciągnąć.

A jeszcze tydzień temu nawet bym nie pomyślałam, że będę z tego powodu płakać...

* * *

CZEŚĆ CZWARTA

Sezon pogoni

Lepsze od gór mogą być tylko góry!

Linijka z gnomiego hymnu

Teren stawał się coraz bardziej pagórkowaty. Jeszcze trzy dni temu, na wszystkie cztery strony, rozciągała się ponura równina, na której miarowo falowała pożółkła ostnica, ale od jakiegoś czasu ziemia rozeszła się falami, wyszczerzyła się lasami i popękała marnymi rzeczulkami, o głębokości jak koniowi po kolana. Z każdą wiorstą „fale” rozciągały się wzwyż i wszere, tak że droga ostatecznie zmęczyła się wspinaniem na nie i wołała je omijać. Iglaste lasy zmieniły się w liściaste, o nieznanych Orsanie drzewach, rozłożystych, z ogromnymi, jak dłoń liśćmi. Wal nazwał je „wagórcnymi zbyrrami”, Rolar złagodził określenie do „wilczych orzechów”, nietrujących, ale niezbyt jadalnych. Miejscami pnie całkowicie zasłaniał porastający je bluszcz pokryty kiściami drobnych kwiatków. Z nastaniem ciemności kwiaty zaczynały wydzielać nektar i mdły aromat, od którego ścisnęło w skroniach. Orsana nie mogąc się powstrzymać, nadstawiła dłoń i zlizwała kilka słodkich kropelek. Otruć się nie otruła, ale pokryła się takimi kolorowymi jasno-szafirowymi plamami, że widząc ją rankiem, na wpół śpiący Rolar z Walem, z przerażenia chwycili za miecze, a Len — za brzuch.

Dziewczyna obraziła się na wszystkich trzech i nie rozmawiała z nimi do obiadu, udając, że nie zwraca uwagi na ich dwuznaczne spojrzenia i późniejsze, stłumione uśmieszki.

U podnóża wzgórz dość często trafiały się wioseczki — małe domki kupkami tłoczyły się na nizinie, w górę, po zboczach, ciągnęły się pasy uprawnych pól i sadów, a patrząc na nie odnosiło się wrażenie, że miejscowi sadownicy przywiązują każde jabłuszko sznureczkiem, żeby potem nie szukać

ich wiorstę poniżej, w pokrzywie. Żyły tu najczęściej gnomy, a także i osiadłe orki — te wołały zamiast uprawą roli, zajmować się stadami rozdzierająco beczących owiec, czasem na kwadrans zagradzających drogę. Zresztą, spotykało się i ludzkie osiedla, i mieszane. Odróżnić je można było po tychże sadach i bydłe — gnomy wysadzały drzewa owocowe długimi, wąskimi pasmami, a same jabłonki bardziej przypominały krzewy, ledwie sięgające idącemu człowiekowi do czubka głowy. Małe ciemno-rude kozy chciwie patrzyły na nie z ukosa, zza solidnego ogrodzenia. Ludzie woleli bardziej solidną żywność, w rodzaju krów i koni, pasących się wśród przysadzistych drzew.

A potem horyzont zaciągnął się szaroniebieską mgiełką, po jeszcze dziesięciu wiorstach, zgęstniał w pasek z zębatym wierzchem.

— Elgar.

Rolar uniósł się w strzemionach, chociaż dodatkowa para werszków chyba nie mogła nic zmienić — podróżnicy i tak stali na szczycie bardzo wysokiego wzgórza. Dokładniej, Len na Wolcie i Rolar na Kianiance⁵⁸ pełnej wdzięku kobyłce-k'iarde, oryginalnego, złocistego umaszczenia, z ciemnokasztanowymi podpaleniami na nogach i pysku. Wianek Orsany, schyliwszy pysk, wytrwale wdrapywał się w górę, a następna w kolejce zdechłina Wala ze wstrętem spoglądała na wzgórze, nie chcąc zaczynać wspinaczki nawet pod groźbą przerobienia na kielbasę, co ze szczegółami opisywał troll.

— Daleko jeszcze?

— Zwodniczy dystans. Jeśli po prostej — dwa dni jazdy. Ale musimy przejechać jeszcze nie mniej niż trzy. Może zrobimy postój i coś przekąsimy?

Len obejrzał się na zasapaną, ale zadowoloną Orsanę, która przez ostatnie czterdzieści sążni, ciągnęła za uzdę konia i kolejny już raz ledwie powstrzymał się od śmiechu. Pod wieczór dziewczyna nieco wyblakła, ale mimo wszystko nadal robiła wstrząsające wrażenie.

— No to tak zróbmy. Potem zejdziemy po przeciwległym zboczu, Wal, jak raz zdąży objechać.

Troll już i sam stracił nadzieję na obudzenie w swojej gadzinie, ducha górskiego kozła, skierowawszy ją na lewo od drogi. Brudno-bura szkapa w rzeczywistości okazała się niezmordowana, pozostając w tyle za k'iardem i Wiankiem podczas galopu, ale niezmiennie ich doganiając, kiedy te wyczerpawszy siły przechodziły w trucht.

Orsana zwała się na trawę, namacała i odwiązała od pasa manierkę, zrobiła kilka zachłannych łyków.

⁵⁸ **Kianianka** – roślina z rodziny powojowatych: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Kianianka>, odzwierciedla charakter konia (jak się do czegoś/kogoś przyczepi to trudno się jej pozbyć.)

— Uf... dobrze, że Wolha z nami nie pojechała — tu i zdrowy nogi połamie! Wygląda na to, że tobie rzeczywiście udało się ją mocno rozzłościć...

Len tylko westchnął, schodząc z konia.

— Ale — kontynuowała dziewczyna, zatykając manierkę, — jesteś pewny, że wystarczająco mocno?

— Znajac Wolhę? — Władca Dogewy podrapał za uchem, łaszącego się ogiera, jeszcze raz spojrzał na góry i z przygnębieniem pokiwał głową. — Nie.

* * *

Posępnie zajrzałam do kubka, wypełnionego po brzegi jakąś kisielopodobną cieczą zielonkawego koloru, wydającą z niczym, niedający się porównać, aromat pomyj z wiadra.

— Wypij skarbenku, — z wyglądem doświadczonej trucicielki zagruchała Kella. — Od razu ci ulży!

— W sensie, że będzie po wszystkim?

Wampirzyca prychnęła z urazą i już bez specjalnych ceremonii wepchnęła mi kubek w ręce.

Smak niczym nie ustępował zapachowi, ale znałam Kellę i dalsze kapryszczenie było niebezpieczne. Zabandażowana noga, ułożona na wysokiej poduszce, miała się całkiem dobrze — dopóki nie próbowałam używać jej zgodnie z przeznaczeniem. Ale jako ozdoba łóżka doskonale się nadawała się. Welka spoglądała na solidne dzieło swoich rąk z kiepsko skrywaną dumą. Magicznego łupka nie zamierzała dodatkowo nakładać i mi nie pozwoliła — niby, żebym czuła powagę swojego stanu.

Przekonawszy się, że kubek jest już pusty, Kella z uśmiechem klapnęła mnie po brodzie, zmusiwszy taką niespodzianką do połknięcia, przetrzymywanego przez mnie w ustach leku (jak raz kombinowałam, gdzie by go niepostrzeżenie wypluć). Ignorując oburzone sapanie pacjentki zielarka zabrała ze sobą świecę i wyszła do kuchni, zamknąwszy za sobą drzwi.

Zmęczona oparłam się o poduszkę, patrząc w szary kwadrat okna. Od chwili wyjazdu przyjaciół, na ulicy nie cichła śłota. Wiatr zrywał z drzew resztki liści, z wilczym skowytym pędził na zachód niskie, kudłate chmury, coraz to rozpętujące się deszczem na znak protestu. Miałam ociążałą głowę i lekkie dreszcze, ale o śnie nawet nie myślałam.

Tak więc, gdzie ich poniosło?! Pierwsza niepohamowana złość na Lena (żeby cię szlag trafił, łajdaku!) zmieniła się zwyczajną (jeszcze ci pokażę!), potem w niepokój (a jeśli naprawdę szlag go trafi?), a jeszcze później w

prawdziwą panikę (a jeżeli już go szlag trafił?!). Leszy z nimi, z zaręczynami, niezbyt ich chciałam! Moi przyjaciele gdzieś tam przedzierają się przez huragan, mokną na deszczu, walczą za mnie, a może i giną, a ja wyleguję się w łóżku, obraziwszy się z powodu jakiegoś durnego pierścienia! Niedoczekanie!

Zielarki cichutko szeptały w kuchni, czasami tylko z rezerwą chichocząc i pobrzękując flakonikami — widocznie, dzieliły się doświadczeniem, nie podejrzewając, jaką czarną niewdzięcznością planuje im się odplacić ich podopieczna.

Co prawda, plan na razie nie miał racji bytu. Wyjść niepostrzeżenie z domu, tak żeby Kella nie widziała — niewykonalne, wampirzyca wykryje mnie już na progu. Można, oczywiście, uspić ją zaklęciem, ale wtedy natychmiast rzuci się na mnie Welka. Nie będę przecież rzucała w nią bojowymi pulsarami!

Nie żeby wstyd, (mimo wszystko najlepsza przyjaciółka!) ale przecież jak zaświeci w odwecie pulsarem — wiele nie zdziałam! I co potem? Torba leżała na krześle, miecz wisiał na jego oparciu, ubranie, najprędzej w szafie, ale co z koniem? Piechotą daleko nie zajdę, a wioszczka głucha, czy tu w ogóle, można zdobyć wyścigowego konia, tym bardziej nocą. Żywo wyobraziłam sobie, jak jadę wierzchem na tłustej szkapie, wlokącej się w tempie orka po rzadkim lesie i oburzone zielarki, lekkim truchtem biegnące po obu stronach i na wyścigi prawiające mi morały. Brr... Skuliłam się i wyżej naciągnęłam kołdrę. Nie, trzeba wszystko, dokładnie przemyśleć! Mam tylko jedną szansę, potem te harpie nie omieszkają przykuć mnie do łóżka w dosłownym sensie — łańcuchem ze studni, na którą Kella z pożądaniem spojrzała z ukosa przy słowach Lena, ale widocznie, zdecydowała się wykorzystać tę radykalną metodę w ostateczności.

I nagle ktoś załomotał do drzwi i do tego tak głośno i desperacko, jak gdyby zamierzał przebić w nich dziurę na wylot, jeżeli gospodarze nie otworzą. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka. Skrzypnęło krzesło, a po nim — zasuwa. Szum deszczu przybrał na sile, od drzwi pociągnęło wilgocią i zapachem mokrej ziemi.

— Dziewuszki miłe, ratujcie! — Zatrajkotał łkający męski głos, coraz to zanosząc się szlochom. — Moja żona tam rodzi, cała doba już minęła i jakoś nic, w żaden sposób, umęczyła się już całkiem... czy nie racycie spojrzeć? Zapłacę, nie miejcie wątpliwości!

Rozległo się ściszone brzęknięcie. Widocznie, jedna moneta wysliznęła się z trzęsących się rąk, upadła na podłogę i przetoczyła się przez całą kuchnię.

— Tam — to gdzie? — Rzeczowo uściśliła Kella.

— Na drugim krańcu wsi, dwadzieścia domów dalej! Szwagierka powiedziała mi — niby to, że zatrzymały się u jej sąsiadki dwie znachorki,

całkiem młodziutkie, ale jakie kompetentne, w ciągu pięciu minut wyleczyły ją z jęczmienia, więc pomyślałem — może, raczą...

— Jasne — przerwała trzystuletnia wampirzyca. — Poczekajcie chwilkę na ulicy, naradzimy się.

Mężczyzna bez słowa sprzeciwu wysliznął się na podwórze. Moneta, zdaje się, tak i nadal leżała gdzieś pod stołem.

Sądząc po ciszy, która zapadła, narada zielarek polegała na wymianie wiele mówiących spojrzeń.

— Pójdę ja — zdecydowała wreszcie Kella. — Odbierałam już porody u ludzkich kobiet — mało skomplikowane, ale zasada taka sama. A ty nie spuszczaaj oka z naszej rudej jędzy (w myśli pogroziłam zielarce pięścią). Mam przeczucie, że ona coś zamyśla.

— Po dziesięciu kroplach „Miodowego marzenia sennego”? — sceptycznie prychnęła Welka.

— Ona była Opiekunką, a na wampiry ludzkie leki działają słabiej. Sama potrzebowałabym, nie mniej niż czterdzieści.

„Zapamiętam” — pomyślałam mściwie.

— Na pewno teraz jeszcze nie śpi — kontynuowała Kella, utwierdzając mnie w przekonaniu, że mając takich przyjaciół nie potrzeba wrogów. — Tak, że na wszelki wypadek nie opuszczaj pokoju do mojego powrotu.

— Dobrze. Weź parę ręczników i te oto flakoniki, z ciemną nalewką... — Zielarki zamieniły ze sobą jeszcze parę fachowych zdań i szybko się pożegnały.

Dwoje drzwi — wejściowe i wewnętrzne — trzasnęły równocześnie.

Jak najszybciej zamknęłam oczy i wyrównałam oddech. Welka podeszła do łóżka. Pochyliła się, oglądając moją podejrzanie spokojną fizjonomię. Chciałam zachrapać, aby być bardziej wiarygodną, ale pomyślałam, że to będzie przesada. Zadowolona z oględzin zielarka usadowiła się na krześle koło okna, plecami do niego, postawiwszy na parapecie spodeczek z palącą się świecą i położywszy na kolana opasy folia⁵⁹.

Podstępnie obserwowałam przyjaciółkę spod przymkniętych powiek. Cień rzucany przez rzęsy dawał wspaniałe maskowanie. Kella wróci nie wcześniej niż za godzinę, albo i na całą noc ugrzęźnie. Zobaczymy ile Welka wytrzyma! Pamiętam, że gdy po nocach przygotowywałyśmy się razem do egzaminów, to raz po raz nawzajem szturchałyśmy się w bok — sam wygląd zapisanych małym drukiem stron wywoływał niepohamowane ziewanie.

— Wolha — cicho zawołała dziewczyna, odrywając się od książki i patrząc wprost na mnie.

⁵⁹ **Foliał** (inaczej foliant) - wielka, gruba księga formatu połowy arkusza drukarskiego, tj. 30 na 42 cm:

Potrzebowałam wszystkich sił, żeby nie drgnąć. Za to zielarka odczekawszy chwilkę, z ulgą westchnęła i się odprężyła, założywszy nogę na nogę. Uniosła wyżej książkę i ledwo nie zaczęłam jęczeć ze złości — Welka trzymała w rękach elfją powieść o miłości, do tego jeszcze i z rycinami. Nad taką książką, swobodnie mogła przesiedzieć do świtu.

Minęło około pół godziny. Ziółka zaczęły działać, ale jak Kella i przewidywała, nie tak silnie, a ja uparcie walczyłam z snem. Zielarka cicho szlochała w chusteczkę z rzadka wynurzając się z niej, żeby przeczytać jeszcze parę ckliwych linijek i zacząć zalewać się łzami z nową siłą. Uwzględniając, że wszystkie, porządne historie miłosne kończą się albo weselem, albo śmiercią, sprawa w oczywisty sposób skłaniała się ku drugiemu wariantowi.

Deszcz zmienił się w zacinającą ulewę, gniewnie łomoczącą po dachu. Niebo przecięła rozgałęziona błyskawica, gdzieś na zachodzie, zrzędliwie odezwał się grzmot. Welka czując chłód, wzruszyła ramionami i nie odrywając wzroku od książki, odsunęła się od okna. Nie minęło i pięć minut, jak od okna znowu chlusnęło zimnym białym światłem, w którym mignęła i natychmiast rozplynęła się w ciemności czarna, straszna, szczerząca się mordą z płonącymi oczami.

Chyba nawet kubek lodowatej wody, nie wywarłby na mnie tak orzeźwiającego efektu. Senność jakby wiatr zdmuchnął, kurczowo wpiłam się palcami w materac. Uciekaj!!! Przynajmniej przesunij się w bok, za róg domu, póki ona ciebie nie zauważyła!

Płomień świecy zaskwierczał i zamigotał, poruszywszy cieniami. Zielarka przelotnie spojrzała w okno i uspokojona, znowu pogrążyła się w czytaniu.

Tak, teraz przede wszystkim — wziąć się w garść i się skoncentrować. Problem nie w tym, czy potrafię to zrobić, ale czy uda mi się wcielić plan w życie tak, aby zamyślona Welka niczego nie zauważyła? Chociaż doskonale włada praktyczną magią, to takiego wyczucia na magię nie ma... i jeśli po-owli, delikatnie, skoncentruję się na dachu tej tam szopy za ogrodem i wyładuję wystarczającą ilość mocy...

Wnętrze chmury błysnęło brudno-purpurowym płomieniem. W następnej chwili strzeliła stamtąd łamana, rozdwajająca się w dół błyskawica, która rozwścieczoną zmija z hukiem i trzaskiem wbiła się w szopę zębami. Snop iskier skoczył w górę, powyżej drzew, płonąca słoma przyskała na wszystkie strony. Nie zważając na deszcz, płomienie objęły szopę od góry do dołu. Wewnątrz rozdzierającą zaryczała krowa, zabeczały owce.

Gdyby Welka nie była tak zaskoczona, domyśliłaby się, że sąsiadka na pewno uprzedziłaby ją o zamkniętym w chlewku bydle. Tak i kto trzymałby

krowę w zbitej z desek szopie, pośrodku ogrodu?! Upuściwszy książkę zielarka zerwała się na nogi i rzuciła do drzwi, a potem z powrotem, z zakłopotaniem utkwivszy we mnie wzrok. Nie otwierając oczu mruknełam coś niewyraźnie żalosego i odwróciłam się do ściany, naciągnawszy kołdrę po sam czubek głowy.

Nie zdążyła zgrzytnąć zasuwa, gdy już siedziałam na łóżku, bardzo szybko szepcząc zaklęcia. Jednym machnięciem, wślizgującego się w rękę miecza rozprułam i zdarłam stertę bandaży razem z łupkami, opuściłam nogi na podłogę i rzuciłam się do krzesła z ubraniem.

Zaraza!!!

Dodała składnik znieczulający. Parę razy dotknęłam przygryzionej wargi i zlizalam krew z palców, złapałam się za oparcie łóżka i jakoś wstałam. Opuchnięta, o wesolutkiej niebieskiej barwie noga, z trudem przecisnęła się przez nogawkę, stanowczo odmówivszy zgięcia się w tym celu. Dokuśtykałam do okna, otworzyłam szeroko okiennice. Podjudzony, wiatrem deszcz smagnął mnie po twarzy jak mokrą miotłą. Pomimo pośpiechu, Welka szybciej niż zazwyczaj zaczarowała drzwi tak, że nie nawet nie zdążyłam się dokładnie zorientować, jakiego zaklęcia użyła. Zielarka bardzo szybko zorientuje się, że duża część płomieni — jest iluzoryczna, tak jak i wołających o pomoc krasul nie daje się zauważyć w szopie...

Zacisnąwszy zęby, sięgnęłam do okna. Do połowy proces szedł dość pomyślnie, ale potem skończyła się moja zdrowa część i zaczęła niezginająca. Myśl, że ucieczka nie powiedzie się tylko dlatego, że utknęłam w oknie dodała mi jednak siłę, aby się jakoś wygramolić i plasnąć w jakieś kwiaty pod parapetem, jak dla mnie mające nader przeżuty wygląd.

— Smółka!!! — krzyknęłam wysilonym szeptem.

Słyszałoby tylko szum deszczu na liściach i daleki trzask, gasnącego pożaru. Zastygłam na kolanach, czując, jak z nową siłą ogarnia mnie rozpacz. Czyżby mi się przywidziało? Co też jeszcze Kella domieszała do swoich ziółek?! I cóż mam teraz zrobić?!

A potem kobyłka, bezszelestnie wysliznęła się z ciemności za moimi plecami, ufnie szturchnawszy mnie w policzek aksamitnymi chrapami. Mokra, rozczochrana, z wyrwanym z grzywy strzępem, ale żywa i taka droga, że ledwo się nie rozplakałam.

— Wybacz mi, dziewczynko — mruknełam, drżącą ręką wymacując koński kłęb. — Też nie jestem w najlepszej formie, ale powinnyśmy to zrobić... Ghyr jopp kurat⁶⁰!!! Smółka, nie mogłabyś przysiąc? I z dwiema nogami

⁶⁰ Ghyr jopp kurat – słowa z języka trolii.

ledwie do twoich pleców doskakiwałam...

Kobyłka głośno westchnęła i odczekawszy chwilę, ugięła kolana. Jakoś wdrapałam się na siodło, uczepiłam się przedniego łuku i delikatnie pchnęłam kobyłkę lewą piętą. Smółka z jawnym wysiłkiem się wyprostowała, zastękała jak staruszka, ale bądź co bądź ruszyła z miejsca. Wymacałam lewe strzemie i tęsknie spojrzałam na prawe. Trzeba było od razu włożyć w nie nogę, w wiszącej pozycji prawie się nie poruszała. Zgoda, niech zwisa, wszystko jedno i tak prawie jej nie czuję...

Prawie wyjechałyśmy już z bramy, kiedy kolejna błyskawica na chwilę wybieliła okolicę, zarysowawszy w otworze ogrodowej furtki sylwetkę straszniejszą od upiora, gorszą od bazyliuszka i niebezpieczniejszą od smoka.

— Wolha!!!

Zadrzałam i jeszcze bardziej wcisnęłam się w siodło jak kotka, która zrobiła szkodę. Zresztą, w pojawieniu się rozgniewanej zielarki były i pozytywne elementy: ze strachu, jakimś cudem znalazłam sposób, aby podciągnąć i wepchnąć złamaną nogę w strzemie. Smółka, połapawszy się, że gospodyni, takim oryginalnym sposobem nie okazuje chyba radości ze spotkania z tym cudownym widokiem, zwiększyła tempo — w dół wzdłuż ulicy, gdzie łatwiej było wiać. Parę razy się potknęła, potem jakby przysła do siebie i poszła ciężkim galopem.

Grom uderzył z dużym opóźnieniem, gdzieś daleko za lasem. Burza przechodziła. W chmurach pojawiły się prześwity, ale na razie nadal padał z nich rzadki deszcz. Wieś tonęła w mroku. Okienka świeciły się tylko w naszej i jeszcze jednej chałupie do bramy, której jak raz podjeżdżałyśmy. Zaciekawiona, skrzypieniem drzwi, nie mogąc się pohamować, rzuciłam okiem na podwórze i po raz pierwszy na poważnie zastanowiłam się, dlaczego też bogowie tak mnie nie lubili: na ganku ukazała się Kella. Za nią, nieustannie się kłaniając i mamrocząc: „Niech bogowie ci błogosławią, dziecko!” — dreptał niedawno widziany chłop, próbując wepchnąć wampirzycy, jeżeli nie sakiewkę to chociażby płócienny worek, z którego wystawały dwie nieruchome kaczki łapy. Na drugim planie, z oburzeniem, na dwa głosy wydzierały się nowo narodzone dzieci. Zielarka wymawiała się oziębło, ale wyglądała na zadowoloną.

Właśnie dopiero co „wyglądała”. Potem zobaczyła mnie ze Smółką.

Jak na złość, wzdłuż długasnej ulicy, zwartą ścianą ciągnęły się płoty wysokie na dwa arszyny. Innym razem kobyłka z łatwością wzięłaby taką przeszkodę, ale dzisiaj zdecydowanie nie był nasz dzień (powiedziałabym nawet, że miesiąc). Powrotną drogę zagradzała Welka i logicznie doszłam do wniosku, że jedno warte drugiego. Chociaż...

— Wolha-a-a!!! — Głos Kelly przeszedł w ultradźwięk.

Niestety, aż za dobrze wiedziałam, co to oznacza i dlatego patrzeć z lubością na dalszy rozwój wydarzeń, nie miałam najmniejszej chęci. I bojaźliwie nasunawszy kaptur, aż na sam czubek nosa, ze wszystkich sił uderzyłam konia zdrową nogą.

Możliwe, że ominęłam to, co najbardziej pasjonujące — na przykład, ojca dołączającego do rodziny, malowniczo popadającego w omdlenie, bynajmniej nie ze szczęścia, — ale wcale nad tym nie ubolewałam. Ledwie zdążyliśmy przelecieć koło bramy, jak z niej (a dokładnie, już nad nią) z zamiarem, przecięcia nam drogi wystrzeliła grudka mgły o dużych kłach, głośno trzepocząc skrzydłami. Nie zdążyła, przeleciała za naszymi plecami chlasnąwszy wiatrem i z zawiedzionym wyciem poleciała zrobić nawrót, w górę i na lewo.

Na Smółce płot także wywarł wrażenie. Jeśli wcześniej deski w płocie po prostu migwały przed oczami, to teraz zwały się w nieprzerwane pasmo, w którym ciemnymi plamami przemykały bramy pod szerokimi daszkami. Zaczynający drzemać pośrodku drogi pies, w ostatniej chwili ze skomleniem wywinął się spod końskich kopyt; kobyłka potknąwszy się, szarpnęła się w bok, a nad nami zaszeleścił i daleko wyprzedziwszy, wyrznął w drzewo jasnozielony pulsar. Nie eksplodował, a jak gdyby rozsmarował się po pniu, w jednej chwili oplątując go migoczącymi nićmi łowczej sieci.

Machnęłam głową i kaptur spadł na plecy. Następny pulsar wykonał pełną wdzięku pętlę i udał się pod adres zwrotny. Oczywiście nie doleciał, ale przynajmniej przeszkodził Welce stworzyć jeszcze jednego. Przecież ta ulica musi wreszcie skręcić albo się skończyć?! Widać nas tu jak na dłoni, zielarka nie musi nas nawet koniecznie widzieć, żeby walić zaklęciami!

Wizg zbliżał się nieubłaganie. Moje włosy, nie wytrzymawszy zmagania się między nim, a idącym z naprzeciwka wiatrem, stanęły dęba. Z trudem, powstrzymawszy się od pokusy rzucenia cugli i zatkania uszu dłońmi, wykrzyknęłam kilka słów, nie usłyszawszy własnego głosu. Wampirzycę odrzuciło w bok i kilka razy obróciło w powietrzu, ale do rezygnacji z pościgu nie zmusiło. Wreszcie, z przodu wyłoniła się palisada obrzeża wsi, a za nią — ciemne pole z kompletnie już nieprzeniknionymi bryłami, przenikających się nawzajem zagajników. Skrzydła wrót powoli zaczęły się rozsuwać, ciężko skrzypiąc osnutymi przez mgiełkę skobelkami. Otworzyły się mniej więcej w jednej trzeciej, drgnęły, zamarły i pomyślawszy trochę, zakołysały się i z powrotem zaczęły się zamykać. Zaciśnęłam zęby. Pomimo nocnego chłodu, po skroni prześliznęła mi się kropla potu.

Wrota jednym szarpnięciem otworzyły się na całą szerokość i tak samo

chętnie się zatrzasnęły. Która z nas jest w końcu Mistrzem praktycznej magii?!

Wzmocniłam nacisk. Welka także się nie poddawała. Wrota, przybliżyły się z niebezpieczną szybkością, kłapiąc skrzydłami, jak smok paszczą. Smółka nie widząc dla nas nadziei, stuliła uszy i przymknęła oczy, ale nie zwolniła biegu gdyż z tyłu znowu narastał niewiele mniej obiecujący krzyk.

Ostatnie, rozpaczliwe pluśnięcie mocy — i skrzydła zamknęły się na samym koniuszku końskiego ogona, zatrzymawszy sobie na pamiątkę kosmyk. Krzyk urwał się głuchym uderzeniem, wrota wygięły się i zaspężynowały z powrotem. Było słychać, jak zachłystywał się szczekaniem pies. W chatach, jedna za drugą zapalały się światełka.

Kobyłka na podobieństwo, wystrzelonego z kuszy bełtu wleciała w las, jak burza przeszła po krzakach i gdy tylko zostawiła za sobą trzysta sążni leśnej gęstwiny, przeszła w kłus, a potem w stęp. Nad głową, w prześwitach między koronami drzew a skrawkami chmur, migotały gwiazdy. Przesiąknięte wilgocią gałązki trzaskały pod kopytami, w głębi lasu ponuro pohukiwały sowy. Spadające z gałązek krople stukały po kurtce i ziębiły nieosłonięty czubek głowy. Kaptur wydawał się czymś dalekim i niedostępnym.

Wyczerpana, przytuliłam się do końskiej szyi i zamknęłam oczy.

* * *

— Nie było tu takich, dobry panie. — Chłop nerwowo oblizwał wargi. — Już dwa tygodnie nikt tą drogą nie przejeżdżał, aha!

— Bresze⁶¹, — bezlitośnie skomentowała dziewczyna, wydawałoby się całkiem pochłonięta zaplataniem długiego jasnowłosego warkocza.

— I chata pewnie sama z siebie się spaliła? — Drugi rozbójnik, skinał głową na jeszcze dymiący się zrąb pośrodku wioseczki.

W sąsiednich domach słychać było przyciszony rwetes, ale oprócz trzęsącego się ze strachu miejscowego opoja nikt nie odważył się wyjść do podróżników. A i tego najprawdopodobniej, po prostu wypchnięto na stracenie.

— Aha. — Pijaczyna jak zaczarowany wytrzeszczał oczy na jasnowłosego przywódcę szajki. Wybór był nieduży, za to sugestywny: z roztargnieniem, bawiący się nożem troll, z nieukrywaną złośliwością uśmiechający się wampir i ponura, płamista dziewczyna, uzbrojona nie gorzej od niejednego najemnika. — Szyber, nieszczelnie na noc zasunęliśmy, więc węgielek i wypadł...

— I prosto na słomę — z fałszywym współczuciem przytaknął wampir.

— Aha... na przygotowaną na następny dzień rozpałkę. Wtedy ona i

⁶¹ Bresze – łże, kłamie

zaczęła się palić...

— Jakie nieszczęście — z kamienną twarzą okazała współczucie dziewczyna.

— Nie — spokojnie powiedział jasnowłosa, także z naciskiem patrząc na chłopca, ale rozmawiając jakby sam z sobą. — Przez Zajęczy Gaj nie pojedziemy i nie namawiajcie mnie do tego. Tam jar na jarze i na pewno zamieszkały przez jakieś mięsożerne paskudztwo. A i jazda okrężną wschodnią drogą także nam nic nie da....

Nieszczęsny „rozmówca” wyczuł, że pozostali usłyszeli, jak szczękają u niego zęby. Ciemnowłosa kontynuował w zamyśleniu badanie szczątek chaty. Dookoła całkiem spalonego zrębu, nie było widać nawet małej otoczki wypalanej trawy, a na sąsiednich dachach — ani jednego czarnego punktu od iskier, jak gdyby pogorzeliśko skądś przyniesiono i ciśnięto pośrodku nietkniętego ogródka. Gasić go także nie próbowano. Najprawdopodobniej, nikt nawet nie zdążył okiem mrugnąć, jak magiczny płomień pochłonął wszystko, co mogło się palić.

— I cóż nam, nieszczęsnym, pozostało? — w zamyśleniu kontynuował nieznajomy, cicho uderzając się dłonią po udzie. Wyglądał całkiem zwyczajnie i dlatego niewypowiedzianie strasznie. Czarny ogier stał pod nim jak wkopany, błyskając złymi jak u żmii oczami. — Najwygodniejsza i najkrótsza ścieżka prowadzi przez koniczynową dolinkę, po której byśmy i pojechali, żeby nie wasza przyjacielska rada. Którą ja, ohydny wyrodek, paskudztwo z piekła rodem, żeby szlag mnie trafił, chyba zlekceważę...

— D-d-daryjcie... — tylko tyle potrafił wydusić chłop czując, że dusza lada chwila sama wyleci ze odrętwiałego ciała, nie doczekawszy się logicznego zakończenia „rozmowy”.

— Co? — Jasnowłosa ze zdumieniem wygiął brew. — Wyście przecież niczego podobnego mi nie powiedzieli. Bądźcie zdrowi, dobry człowieku! I dziękuję za pomoc.

W powietrzu błysnęła srebrna moneta, plasnawszy w pył. Czarny ogier, zachrapał i gwałtownie stanął na tylnych nogach. Jeździec nawet się nie poruszył, jak gdyby zespolił się z nim w jedną całość. Złocista klacz, bezszelestnie z kocią gracją, powtórzyła za ogierem półobrót, podporządkowując się ledwie dostrzegalnym ruchom jeźdźcy. Pozostali, po prostu krzyknęli na konie, szarpiąc za cugle.

— N-n-nie ma za co, — szczerze zabeczał chłop i ledwo jeźdźcy skryli się za pagórkami, siadł wprost na drodze, bezmyślnie wytrzeszczając oczy na błyszczący krążek z wytłoczonym królewskim profilem.

Dawno już mu się nie przytrafiło napić się z tak wartościowego powodu. Pewnie na cały miesiąc starczy i to nie jemu jednemu...

* * *

— Orsana, poczekaj. Nie tam skręciłaś.

Dziewczyna, gwałtownie osadziła mijającego rozstaje ogiera i wycofała do tyłu. Jeszcze raz spojrzała na drogowskaz, a potem, ze zdziwieniem — na wampira:

— Ale przecież powiedziałaś...

Len przecząco pokręcił głową dając przyjaciółom znak, aby podjechali bliżej.

— On wie, że za nim gonimy. W przeciwnym razie nie zaczęłyby tak demonstracyjnie zastraszać wieśniaków, żeby ci z wypisanym wręcz na twarzach kłamstwem, wskazali nam zły kierunek. No i jeszcze ta chata. Każdy dureń domyśli się, że to nieczysta sprawa, tu nawet nie trzeba być telepatą. Na to pewnie i liczył. A do tego jeszcze, że ani jeden normalny człowiek i tak nie wpakuje się w poryte jarami uroczyso.

— I co też mnie podkusiło żeby zadać się z nienormalnymi wampirami — westchnęła Orsana, w ślad za przyjaciółmi zawracając konia ku Zajęczemu Gajowi. — Dlaczego zadali sobie tyle trudu? Czy naprawdę nie można było po prostu przejechać obok wsi, lasami?

— „Po prostu” nie wyszło. Pod jednym z nich padł koń i zabrali wierzchowego konia tutejszemu staroście, a kiedy ten spróbował protestować, spalili jego chatę. — Len spojrział z ukosa na siwą nitkę dymku, wypływającego jak gdyby z wierzchołka pagórka i, odczekawszy chwilkę, niechętnie dodał: — Razem z nim i jego żoną.

Dziewczynnie przebiegł po plecach zimny dreszcz. Wampir kontynuował:

— Ponieważ, czegoś takiego i tak nie da się ukryć, łajdacy postanowili wyciągnąć z zaistniałej sytuacji dodatkową korzyść — skierować nas na fałszywy ślad... albo urządzić zasadzkę. Sensowne drogi są tu dwie — prosta i okrężna. Prawdopodobnie, obu im się zamknąć nie udało i chcieli być pewni, że wybierzemy pierwszą.

— Ale dlaczego nie wybraliśmy drugiej? — Żałośnie zainteresowała się Orsana, gdy Wianek potknął się na pierwszej jamie o mało nie pozostawiając zgrzytającej zębami dziewczyny bez języka.

— Ponieważ nam się śmiesz, a druga droga jest trzy razy dłuższa, chociaż bezpieczniejsza. Zresztą, — Władca Dogewy obrzucił winessjankę, a po niej i

pozostałych, badawczym spojrzeniem, — czy ja kogoś zmuszałem, aby ze mną jechał?

— Ale i przepędzić nie możesz! — Zuchwale odparowała setniczka.

Rolar i Wal tylko się uśmiechnęli — niby, że nawet nie miej nadziei, kochaneczku, nigdzie od nas nie uciekniesz. Zaprzeczyć, jak i w poprzednich sto trzydziestu dwóch razach, nie było potrzeby. Zawsze przestrzegający starego zwyczaju Len, złapał sam siebie w pułapkę i teraz pozostało mu tylko, wyrażając niezadowolenie, ponaglać ogiera obcasami.

Zajęczy Gaj okazał się pochmurnym, świerkowym borem, opasanym polną drogą, która to nosiła dumną nazwę okrężnej. Pod prostym kątem odgałęziała się od niej prowadząca w gęstwinę ścieżka, nie można powiedzieć, żeby wydeptana, ale zupełnie wyraźna. Widocznie, dość często zachodzili tutaj drwale i myśliwi, przyciągnięci wiele obiecującą nazwą.

Orsana nie lubiła takich lasów. Jakby niezbyt gęstych i nieprzebytych, ale mrocznych i nieprzyjaznych, z ciągłym wrażeniem czyjegoś wzroku na plecach. W końcówce lata z ptasich głosów w wierzchołkach drzew zostało tylko rzadkie krakanie wron, nieustępujące żywołością nawet wilczemu wyciu.

Przyjaciele spojrzeli dyskretnie po sobie, gdy Wianek jakby „przypadkowo” przegrupował się z końca w środek łańcuszka.

Do pierwszego jaru wdarli się już po upływie kwadransa. Zejść po łagodnym zboczu udało się dość łatwo, Len i Rolar nawet nie zsiadli z koni. Za szeroką, omszałą kotliną wznosiła się praktycznie pionowa ściana, z groźnie wysuniętymi pazurami, rudych świerkowych korzeni. Ścieżka, nawet nie próbując się do niej przybliżyć, pewnie zawijała na prawo. Podróżnicy nie zamierzali się z nią sprzeczać.

— Żeby, chociaż nie zaprowadziła nas w bagno — zaniepokoił się Rolar, zauważywszy na kępach drobnolistne łądyżki tylko co zaczynającej różowić żurawiny.

— Po prostu nizina. Prawdziwych trzęsawisk tu nie ma. — Len, nie mogąc się powstrzymać, ryzykownie przewiesił się przez siodło i wyrwał z puszystego mchu zdrowiusieńkiego, pękatego borowika. Droga prowadziła pod górkę, ale zbocze się nie pięło, a stopniowo wyrównywało i wkrótce Woltowi udało się na nie wskoczyć. Koń, podnosząc wysoko nogi, dumnie kroczył przy samej krawędzi, dopóki nie przyłączyła się do niego Kanianka, a za nią i pozostałe konie.

Ścieżka znowu prowadziła w gęstwinę, wracając na dawny kurs. Orsana zażarcie walczyła z kleszczem, który wykazał wzmożone zainteresowanie jej szyją. Rolarowi, który nawet się nie zająknął, że „na jego miejscu powinienem

być ja...”, w odwecie zademonstrowała wyraziście spadającego krwiopijcę.

Kanianka zrównała się z Woltem i próbowała capnąć go za kłęb.

— Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? On nas stale wyprzedza. — Rolar pociągnął za lejce z prawej strony i kły kobyłki bez żadnego efektu kłapnęły o piędź od celu. Ogier prychnął złościwie, ale nawet pyska nie obrócił ku impertynentce wiedząc, że sprawa na tym się zakończy. — I nie chodzi mi o odległość.

Len posepnie potaknął głową. Jeszcze ani razu nie udało im się zapobiec uderzeniu — a zaledwie zredukować jego następstwa do minimum. Nawet teraz, przedostając się jarami i upajając się własną przenikliwością, grali według narzuconych im z góry reguł i na polu przeciwnika.

— Masz rację. Mam takie same odczucie, że oni nie tylko wiedzą o pościgu... ale i liczą na niego.

— Proponujesz zawrócić?

— Proponuję. Wam.

Arlissjanin pokornie opuścił głowę i z wyszukaną kurtuazją próbował wybadać sytuację:

— A nie poszlibyście... jarem, Władco?

— Już idę — uśmiechnął się Len, kierując Volta w przelom następnego jaru po dnie, którego powoli płynął szeroki, ciemny strumień. — Nie mam wyboru, Rolar. Sprzykrzyło mi się siedzieć i czekać na następny cios w plecy. Żeby to w swoje. Ale jej im nie oddam. Nawet, jeśli dla mnie ona będzie stracona na zawsze.

Kopyta ześlizgnęły się po miękkim igliwiu i Wolt, przeorawszy z rozpędem szeroką bruzdę, po sam brzuch wpadł do strumienia. Len szybko podkurczył nogi, ale wtedy koń poślizgnął się już na mule i przysiadł na zadzie, zamoczywszy siodło po brzeg łęku. Towarzystwo z góry zachichotało i z niemniejszą złościwą satysfakcją zarżało. Władca Dogewy, po bohatersku powstrzymawszy się (od pierwszego, jaki przyszedł mu do głowy) komentarza w trollim języku, pogroził szydercom pięścią, a Wolt, gniewnie zarżawszy, naprężył się i z głośnym pluskiem wyskoczył z wody.

Zanim odszukali bardziej pewne i łagodne zejście, i je sprowadzili, a potem wepchnęli konie na przeciwległą stronę, umęczeni tak, że natknawszy się na polankę z miejscem po ognisku, postanowili zrobić postój. Zebrane po drodze grzyby oczyścili i zsypali do wspólnego kociołka, Len wylał wodę z butów i przysiadł się do ogniska, doglądać procesu gotowania i zarazem, żeby się osuszyć. Wal, który wedle żołnierskiego przyzwyczajenia starał się wykorzystać każdą nadarżającą się minutę do odpoczynku, rozciągnął się po drugiej stronie

ogniska i natychmiast zaczął chrapać przez nos. Rolar udał się na zwiady, z trudem pozbywszy się niemogącej się do niego odczepić Kianki — koń koniecznie chciał dotrzymać towarzystwa uwielbianemu właścicielowi, prychnając i kęsając na próby obrócenia jej natrętnego pyska w stronę obozowiska.

Orsana podwiązawszy worek z owsem Wiankowi, spróbowała niepostrzeżenie oddalić się w krzaczki, ale Len nie odwracając się, machnął ręką w przeciwnym kierunku.

— Lepiej będzie w tamte krzaki.

Dziewczyna oblała się rumieńcem po same uszy, ale tym niemniej, zapytała wyzywająco:

— A co, te już siebie zarezerwowałeś?

— Nie, po prostu w tych upiór siedzi — beztrósco wyjaśnił wampir, próbując borowika, wyłowionego z gotującej się polewki. Grzyby już się ugotowały, a wsypana do kociołka kasza poprawiła jakość potrawy.

— Szo-o? — Orsana rzuciła okiem na tak przytulnie wyglądającą leszczykę. Rozejrzawszy się, podniosła z ziemi ciężki kawałek konaru i cisnęła nim w gęstwinę gałęzi. Krzaki z niezadowoleniem zaburczały, w prześwicie przemknęło coś szarego i bezwłosego.

— Teraz w porządku — wsłuchawszy się, oświadczył Len. — Możesz iść, czmychną!

— Dziękuję, ale jakoś mi się odechciało — mruknęła dziewczyna, nieufnie spoglądając na kołyszące się na wietrze liście. — A nie mogłeś wcześniej uprzedzić?!

— Po co? On jeden, a nas wielu, a przy tym stwór zwykle nie naraża się na kontakt z wampirami. Nie chciałem niepokoić cię takim głupstwem.

— Istotnie, jaki drobiazg — zaledwie upiór, któremu ślinka cieknie w oczekiwaniu na pierwszego, kogo przypili... przespacerować się! — Zjadliwie odezwała się winessjanka. — A... on na pewno uciekł?

— Na pewno. Słowo honoru Władcy.

Najwyższa Wiedźma, usłyszawszy ten związek wyrazowy, w jednej chwili przyjęłaby myśliwską postawę, ale nieobeznana tak w kontaktach z Władcami Orsana, zawahawszy się, mimo wszystko zdecydowała się oddalić z polanki. Bardzo blisko i na krótko.

Len ucieszył się w duchu, że nie wygadał się jej o głodnej wywernie, już od dawna skradającej w ślad za podróżnikami, ale również w żaden sposób niedecydującej się na przekąszenie, co nieco. W porównaniu z tym, co czekało ich na krótkiej drodze, to i tak naprawdę było błahostką.

Rolar wrócił z pokrzepiającymi wiadomościami — do skraju lasu zostało mniej niż ćwierć wiorsty i zaledwie jeden jar i do tego niegłęboki. Do tego węż doświadczonygo najemnika obudził trolla w ciągu sekundy, jak tylko Len spróbował kaszy i uznał ją za gotową. Nie posiadając misek, podejrzone ciemno-brązowe jedzenie rozdzielili po kubkach i parząc usta, spałaszowali zanim zdążyło ostygnąć. Szybko zebrali się, zagasili ognisko i znowu ruszyli w drogę.

W porównaniu z dwoma poprzednimi, trzeci jar wydał się rowkiem. Bez sprzeciwów raczyła do niego zejść nawet uparta szkapa Wala, przy wejściu zaledwie parę razy kopnąwszy lekko popychającego jej zad Rolara. Orsana osobiście wykryła wywernę, przy czym niewiadomo, kto przestraszył się bardziej; w każdym razie, stworzenie dało drapaka na wszystkich ośmiu nogach, szczerze żalując, że nie ma czym zatkać sobie uszu.

Z lasu wydostali się akurat w tym miejscu, gdzie od określonej drogi, jakby na zamówienie, odchodziła prowadząca na południowy wschód ścieżka. Żartobliwie pogratulowali sobie nawzajem sukcesu, wytrząsnęli z włosów igły i znowu skierowali konie lekko na ukos do niebieskawego brzegu na horyzoncie.

Przejechali nie więcej niż pół wiorsty, gdy Orsana przypadkowo się obejrzała i jęknęła:

— Patrzcie!

Nad pozostawionym z tyłu lasem unosił się wysoki słup ognia, rozlewający się czerwono-szkarłatnymi wzorami po lewej stronie obłoków. Zgadnąć, gdzie się zaczął — nad prostą czy też okrężną drogą — z takiej odległości było niemożliwe. Jak i wyobrazić sobie, że stało się to przez nieostrożnego podróżnika. I kim on mógł być.

Przyjaciele, nie umawiając się, jednocześnie podcięli konie.

* * *

Okazało się, że wszystko wyglądało nie aż tak źle. Kobyłka wprost w oczach odżyła pod moimi palcami, delikatnie obmacującymi ją od stóp do głów i przy okazji, leczącymi drobne skaleczenia i zadrapania. Głębokich ran miała w sumie trzy albo cztery — na kłębie, za który widocznie chwycili zębami. Rany były trochę zaognione, ale poważniejszych skutków ukąszenia nie znalazłam. Prawda, oczy u Smółki były jakieś dzikie, z nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami, ale sądząc po przejawionym przez kobyłkę zwiększonym zainteresowaniu moim śniadaniem, w rodzaju wymiętej pajdy chleba, nagły zgon jej nie groził. Świt zastał nas niedaleko jakiejś wioseczki. Tęsknie

spojrzałam z ukosa na dymiące kominy, obiecujące ciepło i gorące śniadanie, ale na wjechanie w osiedle się nie zdecydowałam. A nuż już tam na mnie czekają z otwartymi ramionami, albo jeszcze gorzej, skrzydłami? I dlatego jakoś zsunęłam się z kobyłki obok najdalej położonego stogu na zżętym polu za opłótkami i zakopałam się głęboko w słomie, czy to obudziwszy się, czy to ocknąwszy się, gdzieś koło południa.

Smółka, wdzięcznie wbiła mi pysk w ucho, ledwo nie zwaliwszy z nóg. A raczej, z jednej nogi — na złamanej starałam się nie opierać, trzymając ją nieco wysuniętą na bok. Magia z powodzeniem powstrzymywała ból i zapalenie, obrzęk zmniejszył się o połowę, tak, że czułam się nieszczególnie, ale znośnie. W każdym razie litować się nad sobą nie było kiedy — pora przystąpić do rzeczy. Przez ziółka Kelly i tak straciłam masę czasu.

Puściwszy koński kłęb, usiadłam wprost na ziemi, obok stogu. Przyciągnęłam do siebie torbę i oczyściwszy skrawek ziemi, zaczęłam w skupieniu kreślić na nim ostrzem, krótkiego rytualnego noża.

Smółka nachyliła głowę, sceptycznie obwąchała moje dzieło i kichnęła. Z urazą odepchnęłam ją łokciem. Też mi znalazł się krytyk! Czteroramienna gwiazda tak naprawdę wyszła krzywo, ale kierunki na niej określiłam i podpisałam prawidłowo: północ — wschód — południe — zachód.

Zacisnęłam palce na rękojeści noża i uniosłam go nad środkiem rysunku.

Tak, kogo by tu „złović”? Lena można od razu wykluczyć, jego nawet zwiadowczy impuls nie wykryje. Z Rolarem także wątpliwe czy coś wyjdzie, Wala nie znam zbyt dobrze, a Orsana... jeżeli się nie mylę, do tej pory nosi mój prezent — wisiołek-kropelkę z kociego oka? Mam dla was radę: jeżeli sami nie jesteście magami, nigdy nie bierzcie pochodzących od naszego bractwa rzeczy (albo chociażby parę godzin będących w ich w rękach)! A jeżeli już wzięliście, śpieszcie się oddalić na odległość nie mniejszą niż trzydzieści wiorst. Przyjaciele chyba nie zdążyli tyle przejechać — muszą przecież także odpoczywać.

Oczywiście, wisiołek podarowałam Orsanie na urodziny, nie mając nic takiego na myśli, ale teraz jak raz się nada. Zamknąwszy oczy, postarałam się jak najbardziej wyraźnie wyobrazić sobie półprzejrzysty, dwukolorowy kamyczek i tak naprawdę przypominający żółto-zielone oko bezczelnego, wędrownego kota. Oprawa — ze srebra, łańcuszek — wymyślnego gnomiego splotu, tzw. „żmijka”. Stworzywszy w myśli wyraźny obraz ozdoby, przełączyłam się na jego właścicielkę. Co, jak co, ale wyobrażenie sobie żywego obrazu dzielnej winnessjanki nie nastęczało mi żadnego problemu — nawet wydało mi się, że stoi tuż obok.

Wyrzuciwszy z głowy wszystkie obce myśli i uczucia, śpiewnie wyszeptalam zaklęcie poszukiwania. Ostrze zadrzało i pociągnawszy za sobą ulegle rozluźnioną rękę, dziabnęło w dół.

W zamyśleniu wyrwałam nóż. W pozostawioną przez ostrze szczelinę wetknęłam słomkę z wymłóconego kłosa. Zamyśliłam się, patrząc w niebo. Miejmy nadzieję, że są już w drodze, a nie śpią koło ogniska. Dzisiejszy dzień niezbyt nadawał się na przejażdżki w celach rozrywkowych, ale na deszcz jakby na razie się nie zanosilo. Może trochę później i słoneczko wyjrzy. A i lato w tym roku jakieś bezsensowne: to praży, to leje! Żeby, chociaż jesień nie zawiodła. Tak żywo wyobraziłam sobie na wskroś przemokniętych gości, pobity deszczem tort i pierwszą noc poślubną przy nieprzerwanym akompaniamencie kichania, że nie od razu uzmysłowiłam sobie, że to już mi nie grozi. No i dobrze, narzeczony z wozu — narzeczonej lżej! Ale z posterunku Najwyższej Wiedźmy nikt mnie nie zwalniał a chronienie Władcy Dogewy — to obowiązek dużo ważniejszy od małżeńskiego. Czy mogę przekazać go przyjaciołom, niechby nawet najwierniejszym i najpewniejszym?! I za nic nie rozumiem, jak zamierzają łapać czarownika bez pomocy wiedźmy! Jeśli on mnie mało co po ścianie nie rozmazał, to ich całkiem na proszek zetrze!

Właściwie to, co ja o nim wiem? Mag-samouk, specjalizujący się w powietrzu. Doskonale zna się na truciznach i amuletach, dysponuje ogromną mocą, ale w obronie i bojowych zaklęciach, wymagających błyskawicznej reakcji, znacznie mi ustępuje. Całkiem możliwe, że kilka lat spędził w Szkole Czarodziejów, a potem za coś go stamtąd wypędzono. Jest ode mnie starszy o dziesięć lat, tak, że nie natknęliśmy się chyba na siebie w korytarzach. Wtedy dyrektorem Szkoły był Pitrim, ale o sprawach dotyczących wydalenia adeptów zawsze rozstrzygano na ogólnej radzie, Profesor na pewno mógłby go sobie przypomnieć. Niestety, telepoczta nie pracuje, a czekać na zwiastuna wiadomości nie mam czasu, chociaż magiczne stworzenie lata dwa razy szybciej od gołębia i w odróżnieniu od niego nie jest przywiązane do gołębnika — wystarczy, że zna przykładowe miejsce pobytu adresata. Zresztą, to nie takie już i ważne. Profesor może rozpoznać go i potem — po, jak wyraził się Wal, „charakterystycznej części”. Najważniejsze — to dogonić przyjaciół, zanim oni dogonią tego łajdaka.

Znowu chwyciłam za nóż. Doskonale! Dwa werszki od słomki, to bardziej niż wiarygodny wynik. Oni przesuwają się naprzód, na południowy wschód, przy czym dość szybko, wyprzedzając mnie najwyżej o dwadzieścia wiorst. Przynajmniej z kierunkiem ucieczki poszczęściło się nam ze Smółką — nie musimy wracać z powrotem. Wystarczy nieco odbić na wschód.

Rozłożyłam przy rysunku mapę tak, aby strzałka w jej górnym lewym rogu pokryła się z północą na mojej gwiazdzie.

Tak i co my mamy na południowym wschodzie? Dużych miast nie ma, po praktycznie bezleśnym stepie, porozrzucane są z rzadka osiedla. Nieco bardziej na południe — Witjagski trakt, ale zdaje się, że przyjaciele go zignorowali. Jechać po udeptanej drodze, oczywiście i szybciej, i bezpieczniej, ale o tej porze roku trakt zatłoczony jest przez handlowe podwody, tam za bardzo nie da się pogalopować — jeżeli, oczywiście, nie chce się przyciągnąć uwagi pokrytych pyłem kupców, zajadle wymyślających w ślad za śpieszącymi się ludźmi. A ściągać uwagi na wampira naturalnie nie chcą... Ale dokąd oni aż tak się śpieszą?

W myśli przedłużyłam linię jeszcze dalej i ku mojemu niemałemu zadowoleniu, oparła się na schematycznie narysowanych dwóch, połączonych łukiem wieżyczkach, na wzór bramy wbudowanej w zwarte pasmo górskich szczytów, odgradzających Belorię od morza.

Znaczy, Kort-ogł-Elgar, słynny gnomi tunel, jedyne wyjście z portu i stoczni na brzegu Srebrno-wodnego Morza. Ot i was złapałam, gołąbeczki! Wątpię, czy tropicie czarownika, (który sądząc po tak imponującej, dziarskiej demonstracji, tfu, magicznej siły, zdolny jest razem z końmi i towarzyszami podróży teleportować się na dziesięć i jeszcze drugie tyle wiorst w dowolną stronę) po śladach, które jeszcze nie zdążyły ostygnąć; szybciej już znaleźliście jakiś sposób, aby dowiedzieć się, gdzie ma kryjówkę i prosto tam pędzicie. A nadmorskie miasteczko Włastok — to raj dla wszelakiego rodzaju rozbójników i łotrzyków. Stałych mieszkańców jest tam niewielu, ulice zapelniają przyjezdni, dokładniej, przypływający wyspiarscy kupcy, marynarze z handlowych, wojskowych, przemytniczych i pirackich (spróbuj dowieść!) statków i na odwrót — dopiero szykujący się do wypłynięcia belorscy kupcy, czy też chętni zaciągnąć się na statek poszukiwacze przygód, na pożegnanie wodzący duszę po licznych karczmach. Zawieruszyć się wśród nich — to jak raz splunąć!

Zdecydowanie, jadę ku Elgarskiemu tunelowi. Droga zajmie nie mniej niż pięć dni, ale i oni chyba szybciej nie zdążą. Z teleportacją w nieznanym miejscu lepiej nie ryzykować, a i nie wiedzie mi się coś z nią — to nie dołot, to przelot. Nic nie szkodzi, o własnych siłach dotrzemy. Kilka wzmacniających zaklęć — i można jechać bez przerwy, potem znajdziemy czas, żeby odespać.

Nawiasem mówiąc, w czym by przeszkadzał im mag w drużynie?! I byłaby jeszcze drużyna...

Podczas pracy, jako Najwyższa Wiedźma, wystarczająco zorientowałam się z wampirzej etykiety, żeby wiedzieć: poza granicami doliny Władcy

powinno towarzyszyć minimum dwóch Strażników z elitarnej sotni.

Dlaczego Len udał się w drogę tylko z Kellą (po Starszych Rodu — najbardziej zacieklej strażniczką owej etykiety)? Niezbyt zadowolonej z obrotu sprawy, ale w ogóle, nieprotestującej? I tak lekko puściła go całkiem samego, tylko leszy wie gdzie? Troll, człowiek i zwyczajny wampir się nie liczą, oni nie obronią go przed niczym takim, z czym nie mógłby poradzić sobie i sam.

W takim razie, dlaczego zabrał ich z sobą? Dla towarzystwa, żeby w drodze nie było nudno? Znajac Lena...

Gwałtownym ruchem ręki starłam rysunek.

Nie.

* * *

Kort-ogl-Elgar powitał ich dymem, wiatrem, zgiełkiem i kotami.

Największa góra (dokładniej, jeden z setek, przysadzistych elearskich szczytów, rozchodzących się łańcuszkiem na wschód i zachód) przypominała gigantyczne mrowisko, które powoli żarzy się od wewnątrz i lada chwila wybuchnie w całości. Z licznych otworów służących, jako kominy wentylacyjne dla gnomich kuźni i przetapialni, wydobywały się czarne strużki dymków, układające się w kółeczko obłoku dryfującego dookoła wierzchołka góry. Gdzieniegdzie, wpychało się pomiędzy niskie chmury i dla towarzystwa wypuszczało się w drogę razem z nimi, ale natychmiast na jego miejscu zaczynało rosnać nowe.

Tutejsza grubość Elgara nie przekraczała sześciuset sążni, podczas gdy niektóre płaskowyzę rozciągały się wszcz na dziesiątki wiorst. Najbardziej odpowiednie miejsce dla przechodzącego na wylot tunelu — ogromnego półokrągłego łuku o dwudziestu łokciach wysokości i koło czterdziestu — szerokości. Zza Kort-ogl-Elgar to całą masą, to porywami, smagał dość silny wiatr, zmuszając tutejszych mieszkańców do przytrzymywania kapelusza, zupełnie odruchowym gestem a nieprzezornych przyjezdnych — do gonienia z wymysłami za owymi po sto sążni.

W oficjalnych dokumentach Kort-ogl-Elgar nazywał się „Gestem dobrej woli, przyjaźni i wzajemnego zrozumienia między naszymi bratnimi narodami”. Ale niektórzy złośliwie mielili jęzorami, jakoby najbardziej braterskim z narodów – gnomom, ten tunel – dar przyjaźni – na ghyr był potrzebny, po prostu obsunęło się u nich parę sztolni, zgodnych z kierunkiem złotej żyły, z chciwości wydrążonych za blisko siebie, a nie było żadnej możliwości kontynuowania ich dalszej eksploatacji bez rozebrania zawału do ostatniego kamyczka. Ponieważ

umacnianie, chwiejącego się spiętrzenia kamiennych brył — to czysta strata belek i czasu, szybsze i pewniejsze okazało się przedłużenie sztolni w obydwie strony, jednocześnie i sprawa z odpadami się rozstrzygnęła: po tej stronie gór, usunięty przez gnomy kamień rozebrano na brukowanie dróg i wznoszenie zamków, po tamtej — wykorzystano do budowy miasta, mola i falochronów a także, jako balast dla statków.

Tak czy owak, korzyść z tej „przykrej niedogodności” gnomy odniosły bardzo szybko. Przez setki lat, w rzeczy samej, doskonale obchodziły się bez tunelu, w razie potrzeby przecinając górę po swoich krętych korytarzach, z dobrym tysiącem wyjść po obu stronach. Miały też u siebie i nieduży port, liczący pięć i drugie tyle statków. Więcej nie było potrzebne: gnomy nie pały szczególną miłością do morskich przejażdżek i odważały się na nie tylko w celach handlowych, a wyspiarzom mogły zaproponować najwyżej szlachetne kamienie i broń, które dużo miejsca nie zajmowały.

I tu pojawili się ludzie: zubożali mieszkańcy wsi, którzy postanowili zamienić się w rybaków i kupców. Najbardziej tymi rybakami zainteresowani byli mieszkańcy wysp, którzy zaczęli często przybywać do portu na swoich załadowanych tropikalnymi owocami okrętach. Proste dojście do Belorii doskonale rozwiązywało problem dostawy delikatnych i szybko psujących się produktów.....

Przez parę miesięcy gnomy w zamyśleniu drapały się po głowach, patrząc na ciągle narastający potok piechurów w obie strony, a potem, nie inaczej jak w celu jeszcze mocniejszego zaciśnięcia międzyrasowej współpracy, zagroziły dziurę wzajemnego porozumienia drągiem na rohatynach⁶² i zaczęły przeprowadzać z przyjezdnymi serdeczne rozmowy, w celu odwzajemnienia dobrowolnego gestu w postaci pięciu-trzech miedziaków. Z czasem drąg zmienił się w kutą bramę o wysokości trzech sążni, o złowieszczym skrzypieniu mechanizmu, zamykającego się na noc i otwierającego się z pierwszym promieniem słońca. Naturalnie, to unowocześnienie nie mogło się nie odbić na cenie, świadczonych przez gnomy usług i bratni naród z kretelem się rozzuchwalił, żądając po jednej kładni za pieszego, dwóch — za konnego i od trzech do dziesięciu za przewóz wozu. Zresztą i tak wychodziło taniej, niż ciągnięcie towarów dookoła gór albo przełęczami, do tego też o wiele lżej i szybciej, tak że podróżni chociaż i zrzędzili, to płacili.

Kiedy zaś kolejny król Belorii zapragnął sprawić sobie morski port i flotę, (choć wybrzeże oficjalnie było pod jego panowaniem, to tylko spróbuj tam

⁶² **Rohatyna** – odmiana włóczni posiadająca grot zaopatrzony w hak. Zazwyczaj nie przekraczała długości dwóch metrów. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Rohatyna> <http://portalwiedzy.onet.pl/24498,...,rohatyna.haslo.html>

dotrzeć!) gnomy do reszty utwierdziły się w przekonaniu, że idea przebicia tunelu była zesłana im z góry, gdyż teraz codziennie korzystało z niego do tysiąca przedstawicieli wszystkich ras, starannie dowodząc górskiemu ludkowi swojej przyjaźni.

Najbardziej chodliwym towarem w tutejszych okolicach były, rozumie się, owoce morza — od delikatesowych ostryg i korzennych wodorostów do praktycznie lichej kilki⁶³, którą latem karmiono świnie i kaczki, a zimą, po lekkim mroziku, dowożono aż do Starminu i sprzedawano na wagę, żądając dziesięć razy wyższą cenę. Zresztą, handel wrzał tu o każdej porze roku. Ponieważ prościej i taniej było zapłacić gnomom za przewóz kupieckiego wozu, niż za wejście i wyjście setkom nabywców, bezpośrednio koło tunelu szumiał i roztaczał aromat bazar. Tu, oprócz ludzi, tak samo beztrosko czuły się obok siebie elfy, orki, trolle, leszaki, gobliny, driady i nawet — okropność jakaś! — wampiry, które bezczelnie rozjeżdżały się wzdłuż rzędów na k'jardach, demonstracyjnie machając skrzydłami i w uśmiechu pokazując kły w całej okazałości. Zresztą, kupcy nie byłiby kupcami, jeśli nie potrafiliby dogadać się, z kim tylko chcieli. I chociaż pod ladą, na wszelki wypadek leżała główka lub dwie czosnku, nie wpływało to na ożywienie i rezultat targów.

Kotów zaś w okolicy było takie mnóstwo, że pochopnie próbująca wyrzeć z nory mysz, powinna była paść na sam widok chmary o różnej maści z pomrukiwaniem, rojącej się wokół stert śmieci, składających się w jednej czwartej z rybnych odpadków. Przerażliwe zawodzenia kotów zastępowały dobrze znane dla wielkemiejskich bazarów krakanie i ćwierkanie, i tak w ogóle Orsana na razie nie zauważyła tu ani jednego ptaka, oprócz krążącego na niedosiętej wysokości orła i smoka, rozprostowującego skrzydła nad górskim grzbietem

Len narzucił kaptur na głowę i rozmyślnie się przygarbił. Wampiry, chociaż i były tu zwykłą sprawą — niedaleko jak raz rozmawiała dwójka kupców: dogewski i arlisski, żywo gestykulując rękami i skrzydłami — ale Władca i do tego przecież ze złotą obręczą, ścigałby na siebie zupełnie niepożądaną uwagę. Obok bramy schodziło się pięć dużych dróg i niezliczona ilość ścieżek, po których nawet teraz, chłodną wieczorową porą, z zalewającymi podgórze cieniami, trwał w dalszym ciągu ożywiony ruch — podróżni śpieszyli dostać się do portu albo Belorii przed nastaniem ciemności, żeby potem nie wypadło im czekać do świtu.

Wal, nie śpiesząc się, kupił u krzykliwej przekupki wielką płótkę i teraz energicznie walił nią o przedni łęk siodła, zmuszając swoją szkapę do

⁶³ **Kilka** - to małe, morskie rybki (śledziki i szprotki), które konserwuje się w soli i przyprawach, a także sardele (anchois).

nerwowego podrygiwania i stulania uszu. Orsana, nie wytrzymawszy, ukradkiem gryzła wyciągnięty z torby suchar. Pokonując ostatni według ich obliczeń odcinek, przyjaciele zdecydowali się nie tracić czasu na szykowanie obiadu i niewiadome było, kiedy uda im się zjeść kolację. I czy w ogóle im się to uda.

Rolar, bardziej dla pozoru potargowawszy się z flegmatycznym, ale nieugiętym strażnikiem przy wejściu do Kort-ogl-Elgar, uparcie odmawiającym uznać żadaną od podróżników sumę za „bezwstydną rabunek i zdzierstwo”, razem z Lenem (w milczeniu stojącym obok) wrócił do czekających z boku i niecierpliwących się przyjaciół.

— No szo? — Zainteresowała się Orsana, ledwo nie udławiwszy się w pośpiechu połkniętym kawałeczkiem.

— Przejechali przez bramę. Wszyscy. Wczoraj wieczorem. — Len obiema rękami przytrzymał coraz to zrywający się do odlotu kaptur. Jego towarzysze nie mogli powstrzymać się od wydania pełnego rozczarowania jęku. Wygląda na to, że ziściły się ich najgorsze obawy — czarownik skorzystał jednak z teleportu i wyprzedził ich o całą dobę.

— Myślisz, że oni jeszcze są w Włastoku? — Rolar spojrzał z ukosa na Kort-ogl-Elgar.

Kolejny kupiec z taborem, cieniutkich elfich tkanin próbował, jeżeli nie wzbudzić w strażniku sumienia, to przynajmniej zawiadomić go o istnieniu tak potrzebnego i pożytecznego dla bliskich uczucia. Gnom wszystkim tym płomiennym przemówieniom przysłuchiwał się z taką samą filozoficzną obojętnością, doskonale zdając sobie sprawę, że jedynym ważnym powodem obniżenia ceny mogłaby być tylko zdrowa konkurencja, która nie występuje i o której nie może być nawet mowy.

— Mamy tylko jeden sposób żeby się tego dowiedzieć. — Len wziął Volta za uzdę. — Za kilka godzin zamkną tunel, a przez Elgar nie da się teleportować, tak że jeżeli oni ukrywają się gdzieś w porcie, to będziemy mieć całą noc na poszukiwania.

Strażnik spoglądał życzliwie na zbliżających się podróżnych, jak dójka na wracające z pastwiska krowy.

— Dziesięć kładni, — leniwie zakomunikował, poparłszy słowa szerokim ziewnięciem.

— Jak to dziesięć?! — Zmieszał się Rolar — Nas czworo, po dwie monety za każdego, wychodzi osiem!

— Należy się osiem — flegmatycznie potwierdził gnom. — A płacić, trzeba dziesięć, dlatego, że po dwie za jeźdźców i oddzielnie za wóz koniny!

Wolt prychnął z oburzeniem, a Kaniańska nawet sięgnęła kasać, ale przywykły, do wszystkiego strażnik, celnie stuknął ją po chrapach koniuszkiem kopii, zmusiwszy do cofnięcia się. Rolar, którego doradczą duszą nie wytrzymała takiej ekonomicznej samowoli, uszczypliwie zainteresował się rozmiarem kary za uduszenie gнома, ale Len powstrzymał go władcym gestem dłoni i sam sięgnął do kieszeni. Na pozór, odliczywszy dla strażnika dziesięć kładni w srebrze i złocie wampir, niespodziewanie strząsnął część monet na drugą dłoń i wyciągnął do gнома obie ręce.

— To żebyście nie musieliście się fatygować podziałem monet, — uprzejmie wyjaśnił. — Jak to macie w zwyczaju robić: osiem do tego kufra z pieczęcią gnomiej kasy, a dwie do woreczka przy waszym pasie. Przy okazji, jak się nazywacie, dzielny strażniku? Na pewno postaram się szepnąć za wami słówko przed waszym naczelnikiem, czcigodnym Agorom-e-Nokom i spodziewam się, że on wedle zasług wynagrodzi waszą ciężką pracę dla dobra Elgaru.

Wygląda na to, że oficjalna zapłata za „ciężką pracę” wynagradzana była nieco innym, nie tak efektywnym i produktywnym sposobem. Gnom, w mig utraciwszy całą ważność, rzucił się w tył od pieniędzy, jak dajń od kuszącego go mrakobiesa, omalże nie przeżegnawszy się znakiem krzyża.

— Ale co też, panie szanowny, jaki ze mnie strażnik?! Mnie tu po prostu... e-e-e... kopię poproszono bym potrzymał, aż jej właściciel do kancelarii pobiegnie! Tak, że jedźcie sobie, dopóki nie wrócił i niech to zostanie tylko między nami!

— Dogadaliśmy się — uśmiechnął się Len, chowając pieniądze.

Co jak co, ale gnomy to doskonali mistrzowie. Niekiedy wyrzeźbione w ścianach figury wyglądały jak żywe i zdawało się, jak gdyby jechało się przez zastygły w miejscu czas. I wystarczy jednym nieostrożnym słowem spuścić go, jak cięciwę napiętej kuszy — a zerwie się do szybkiego lotu kontynuując schwymane przez ręce mistrzów rzeźbiarstwa ruchy: koń zacznie harcować na tylnych nogach, z chrapaniem gryząc wędzidło, zabrzmie smętne wycie wilczycy z tęsknymi ludzkimi oczami, a puszczone przez maga pulsary wzniesie się purpurową łuną nad zębami fortecznych murów. Len ledwo nie zwałił się z konia, próbując trochę lepiej obejrzeć wyłaniającą się z masy granitu kobiecą sylwetkę z wzniesionymi rękami i długimi rozwiewającymi się włosami, wydającymi się mu dziwnie znajomymi. Nie zatrzymał się jednak żeby wracać i sprawdzać. To już wydawało się aż za bardzo nieprawdopodobnym.

Większość płaskorzeźb poświęcona była Konfrontacji, największej bitwie ubiegłego stulecia. O dziwo, nie międzypaństwowej i nawet nie międzycyrklowej,

w drodze wyjątku — właściwie między dobrem a złem, jak lubią śpiewać minstrele. Bądź co bądź, nie inaczej jak dla potwierdzenia odwrotnej reguły, dobro zwyciężyło — za cenę ogromnych strat i nie mniejszego bohaterstwa. Z gnomiej strony w takiej liczbie, która pozwoliła im ostatecznie upewnić się w swojej wielkości (zresztą, oni i wcześniej nieszczególnie w to wątpili).

Uspokojone konie ostrożnie stapały po kamiennej drodze, złudnie oświetlonej niebieskawym migotaniem, specjalnych kopalnianych grzybów rozwieszonych między płaskorzeźbami w garnuszkach na cienkich łańcuszkach. Sądząc po wyraźnych nadgryzieniach na brzegach kapeluszy, przypominały one nie tylko Orsanie, najeżony stosik blinów⁶⁴. Sama dziewczyna, rozważnie powstrzymała się od degustacji — nieszczęsne plamy i bez tego zdobyły delikatny, trupi odcień skóry, zmuszający jadące w przeciwnym kierunku wozy do ustępowania jeźdźcom z pospiechem z drogi, chociaż zdawałoby się, że powinno być na odwrót. A jeśli plamy jeszcze i się zaświecą... Winesjanka, wzdrygnąwszy się, zmusiła się do oderwania spojrzenia od bardzo apetycznego grzybka.

W miarę jak biała plamka rosła z przodu, pomału zaczynając rozdzielać się na błękit i turkus, grzyby blakły, dopóki nie zgasły zupełnie. Jeszcze kilka sążni — i podróżnicy łapczywie wciągnęli do płuc, świeże słonawe powietrze z posmakiem wodorostów. Jak gdyby wydostali się z grobowca.

Błękit okazało się niebem, a turkus — morzem, między którymi granica zanikała w zaciągającej horyzont mgiełce z białymi piórkami żagli. Od zniżającego się daleko z prawej strony zachodzącego słońca, rozlewała się plama, na której tle port wydał się ciemnym a stojące przy cumowisku okręty — ostro zarysowanymi cieniami. Z lewej strony rozciągała się stocznia, przypominająca ogromną pajęczynę z pomostów z desek, rusztowań i lin, w którą zaplątało się nieco szkieletów okrętów. Wokół niej, jak dzielne pajęczki uwijali się robotnicy, słychać było stukanie młotków, skrzypienie dźwigów, zgrzytanie pił i przeklinania budowniczych.

Sam Wostok półkolem lepił się do gór, szukając okazji, aby wspiąć się wyżej, żeby uchronić się od zachłannych sztormowych bałwanów. Przy samym brzegu stała tylko bardzo wysoka, kamienna latarnia morska, nad którą z krzykiem krążyły mewy. Teraz morze zaledwie poruszało falami, nie próbując nawet zapędzać się dalej niż na ćwierć, wygładzonej przez nie plaży. Piasek zdążył już podeschnąć i jak na całym morskim wybrzeżu, przybrał delikatny, srebrzysty odcień, bez najmniejszej żółci.

⁶⁴ **Bliny** – danie regionalne: placek z ciasta drożdżowego, smażony na tłuszczu lub ciasto na placki ziemniaczane pieczone w formie.

— Tak więc, dokąd teraz? — Troll, nie raz bywający we Włastoku, uhonorował miasto tylko jednym rzutem oka i soczystym splunięciem. I sam zaraz zaproponował: — Można do zajazdu wpaść, tam ludek sprytny, pewnie ktoś coś i słyszał. Możemy też połączyć po porcie, powinienem tam kilku znajomych znaleźć.

Oba warianty wywołały burzliwą dyskusję „za” i „przeciw” zakończoną, podjęciem decyzji o rozdzieleniu się. „Najbardziej głodni”, jak dociął Wał, to jest Rolar i Orsana, zabrawszy ze sobą wszystkie konie, mieli udać się na zwiad, a jednocześnie i po zakup prowiantu do karczmy, gdzie, jeżeli nie pojawią się żadne problemy, powinni byli aż do zmroku czekać na powrót przyjaciół z portu.

— A jeżeli nie wrócić? — Z niepokojem uściśliła dziewczyna.

— Znaczy, nie doczekacie się, — filozoficznie wzruszył ramionami Len i coś szepnąwszy na ucho Woltowi, który opuścił głowę, przekazał cugle Rolarowi.

— Tylko nie waż się... bez nas, — znacząco przypomniał ten.

Władca Dogewy skrzywił się, ale zmilczał.

* * *

Zrozumiałam, że jeżeli teraz się nie zatrzymamy, czegoś nie zjemy i nie prześpiemy się, to po prostu runiemy ze zmęczenia.

Zrozumiałam to bardzo prosto — runęłyśmy. Wprawdzie kobyłka natychmiast ponownie zerwała się na nogi, z urazą smagnąwszy się ogonem po spoconych bokach, ale, spojrzawszy na siebie, jednomyślnie zdecydowałyśmy uznać podwiniętą pod jej kopyta gałąź za palec boży, niedwuznacznie wskazujący na położone w pobliżu osiedle.

Palec to jest gałąź okazała się nader koślawa. Na dodatek — ze złośliwie wybrzuszonym środkiem.

Gdybym nie była tak wykończona drogą i nieprzerwanie doskwierającym bólem w nodze, już niepoddającej się zamawianiu, w żadnym wypadku nie zaczęłabym dzwonić w dzwon przy masywnej, okutej żelazem bramie, od której na kilka sążni cuchnęło potężną, ochronną magią. W ogóle, to z daleka zauważyłabym, że na dwie dziesiątki domów za solidną, równusieńką jak zęby w grzebieniu palisadą, przypada wszystkiego pięć-sześć ogrodów, a w środku sterczy strażnicza wieża.

Ale było już za późno — mocno poruszony dzwon zabrzmiał nisko i zjadliwie, jak orkowy gong. Legionowy fort? A na co się może przydać w takiej

głuszy? Do najbliższej granicy parę setek wiorst, a gnomy i tak nieprzyjacielskiej armii przez Kort-ogł-Elgar nie przepuszczą — „według ich cennika” ani jednemu agresorowi nie wystarczy pieniędzy.

Drzwi uchyliły się dokładnie na tyle, żeby ukazać mi postawne chłopisko w zakurzonej zbroi.

— Droga i żywioł? — Przymilnie zainteresował się, bardziej dla porządku niż z potrzeby — opuszczając halabardę.

— Ostrze i płomień — odruchowo wyrecytowałam, demonstrując przypiętą do wewnętrznej strony kołnierza odznakę maga-praktyka.

Brama otworzyła się na całą szerokość, czyjaś usłużna ręka bez pytania złapała kobyłkę za uzdę, prowadząc ją w głąb. Strażnik i bez tego podejrzenie uprzejmie, zaczął się przypocholebiać:

— Proszę przejeżdżać mistrzyni, proszę przejeżdżać, od wczorajszego wieczora na panią czekamy! Pewnie z samego Starmina do nas zawitaliście?

— T-tak, — zająknąwszy się potwierdziłam, nie uściślając, że ostatnim razem byłam w stolicy zimą.

— Właśnie widzę, kobyłka cała w pianie... a jaka z niej ślicznotka, odpowiednia dla właścicielki! I całkiem całkiem, teraz ją wytrzymy, wybornego owsa nasypimy... Proszę, przytrzymam nóżkę, pani!

Całkiem już oszołomiona pozwoliłam mężczyźnie zsadzić się z kobyłki. Smółka była zbyt zmęczona, żeby kłapać na impertynenta kłami, a usłyszawszy o owsie i ślicznotce, bez sprzeciwu pobiegła truchtem za stajennym.

„Nie legionowy, lecz magiczny”, oceniłam. Po Konfrontacji Konwent porozstawiał podobne forty po całej Belorii, żeby uniknąć nowego wyłomu. Zwykle rozmieszczano w nich trzech-czterech magów-praktyków o różnych rangach, jednego lub dwóch teoretyków i koło tuzina legionistów.

Dobrze czy niedobrze, jeszcze nie zdecydowałam. Z jednej strony, u kolegów zawsze można liczyć na pomoc, bezpłatny stół i nocleg, co z uwagi na moją markotnie wyglądającą sakiewkę było bardzo aktualne. Z drugiej — jawnie uznano mnie za jakąś ważną szychę. Niech i tak będzie, okaże się na miejscu!

„Miejsce” wyglądające z zewnątrz jak zwykła wiejska chałupa, wewnątrz okazało się dwupiętrowym, kamiennym, bogatym domostwem. Chętnie potwierdziłam zginającemu się w ukłonie kamerdynerowi, że chcę wszystko — i kolację, i łóżko, i wannę z czystą bielizną. Ostatecznie składki na Konwent płacę regularnie, tak więc dlaczego by chociaż raz nie otrzymać czegoś w zamian? Niechby i przez pomyłkę.

Pokój i wannę w postaci cebra z gorącą wodą o pojemności trzydziestu

wiader zapewniono mi bezzwłocznie, a kolację obiecano nieco później, w towarzystwie komendanta fortu. Łaskawie zgodziłam się na tą łyżkę dziegciu w beczce miodu, odesłałam służącą i postępując z bólu i rozkoszy, wlałam do cebra. Po sam nos zanurzywszy się w pachnącą różami i jałowcem wodę, ostrożnie zgięłam i obejrzałam złamaną nogę. Wyglądała nieszczęśliwie. Nie odpadała, oczywiście, ale i zrastać się nie zamierzała, zdecydowanie protestując przeciwko takiemu bezlitosnemu obchodzeniu się z nią, jak całodobowy galop, z przerwami w najlepszym wypadku na godzinę lub dwie, a i to tylko po to żeby odświeżyć zaklęcia.

Zamknęłam oczy i z westchnieniem oparłam się o brzeg cebra. Unosząca się z nad wody para przyjemnie łaskotała twarz, cały budynek nie natarczywie, otulała czysta, naturalna magia — forty stawiano na jej źródłach, żeby w razie czego magowie nie musieli ograniczać się w zaklęciach. Tu jej nawet wchłaniać nie potrzeba, wystarczy się rozluźnić i pozwolić energii swobodnie płynąć przez ciało, a już ona sama rozpozna, gdzie jest potrzebniejsza — w aurze czy też rezerwie...

Po paru godzinach obudziło mnie natarczywe stukanie do drzwi, przypominające o konającym z głodu komendancie. Woda zdążyła wystygnąć, tak, że bez szczególnego żalu wygramoliłam się z cebra. Czułam się dość dobrze, inna sprawa — nie było, z kim porównać. Np. w porównaniu do zombi nawet bardzo dobrze się trzymałam!

Sądząc po chełpliwie zawieszonym na szyi orderze, komendant, tak samo jak ja, był Mistrzem czwartego stopnia bojowej magii. Ale przypominał raczej tępawego, wysługującego się wieśniakami, posiadającego tysiące bogacza — krepiego, łysiejącego (słuszniej, dołysiewającego) mężczyznę z okrągłą dobroduszną twarzą, w której w kącikach warg kryły się surowe zmarszczki. Ale ze sławnym gościem, cóż, był samą grzecznością. Zaproponował krzesło, obsypał komplementami i napełniwszy kielichy winem, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, usiadł naprzeciwko mnie, niecierpliwie wsadziwszy za kołnierz śnieżnobiałą serwetkę.

Nie mogąc się powstrzymać od grymasu bólu, wyprostowałam złamaną nogę. Komendant zinterpretował to po swojemu:

— A jużci, większą część drogi na koniu przegalopować — żadna przyjemność. Wybaczcie, że sprawiono pani tą niewygodę z „pajęczynką”... ale zarządzenie Konwentu, sami rozumiecie...

Skinęłam głową udając, że rozumiem. „Pajęczynka”. Cienkie jak brzytwa smużki magicznej próżni, w których przerywa się każda teleportacja. Oto dlaczego w forcie tak mało ludzi, pozostali widocznie podtrzymują niewidoczną

„granicę”, albo patrolują ją w celu wykrycia nieprzytomnych ciał — opuścić teleport w całości i w nienaruszonym stanie jest samym w sobie trudnym zadaniem, a jeżeli już wyciągają cię stamtąd siłą... Ciekawe, na kogo też ją „spletli”?

— Szanowna koleżanko, — mojego przypuszczalnego imienia komendant tak i nie wymienił, a i sam nie spieszył się przedstawić, naiwnie zakładając, że jestem dobrze we wszystkim zorientowana — proszę mi pozwolić dowiedzieć się, czemu zawdzięczam zaszczyt tak przyjemnej, ale, nie ukrywam, nieco tajemniczej wizyty? Zakomunikowano o niej tylko w najogólniejszych zarysach, z zastrzeżeniem, że pani wytłumaczy wszystko po przybyciu.

— Po kolacji, w cztery oczy — zapewniłam znacząco, zamierzywszy się widelcem na faszerowanego kalmara. Ghyr oni by dla zwyczajnej wiedźmy tak dołożyli wszelkich starań, w najlepszym razie daliby kubek zsiadłego mleka i miskę kaszy z podrobami! Mściwie nałożyłam sobie na talerz jeszcze dobrą połowę czerwonego kawioru z miniaturowego spodeczka.

— Nie śmiem nalegać. — Widocznie i sam komendant nie chciał psuć sobie apetytu służbowymi rozmowami. Na apetyt właściwie, nie narzekał, na wyścigi ze mną pałaszując wszystkie potrawy po kolei.

Ale mimo wszystko, spokojnie zjeść nam nie dano. Prawdziwa strzała, drgając przydymionymi skrzydłami, przebiła kamienną ścianę jak wodę — ta tylko nieznacznie zakołysała się w miejscu wylotu zwiastuna. Zapieczętowany lakiem zwitek opadł wprost do talerza komendanta.

— Tak-tak-tak... co my tu mamy? — Mistrz, nie przestając rytmicznie poruszać szczękami, złamał doskonale znaną mi pieczęć ze smokiem i kijem. Nierówne połówki rozwiały się czerwonym dymkiem, powiadomiwszy znajdującego się daleko nadawcę, że jego list został dostarczony zgodnie z przeznaczeniem. — Tak więc rozumie się, kolejny rozkaz! Widocznie, jak raz na temat pani przyjazdu. Che, che, to na pewno nie jest pisemna nagroda! I co też tym razem Konwent ode mnie chce?

Komendant nie spiesząc się wygładził zwitek, (który okazał się długi przynajmniej na łokieć) i jak krótkowidz mrużąc oczy, obrócił się bokiem do okna.

— No nie, niech pani posłucha! — zachłysnąwszy się, po upływie kilku sekund z oburzeniem wykrzyknął. — „W otwarte starcie się nie wdawać, ale spróbować ich rozdzielić i schwytać osobno”. Genialnie! I jak oni to sobie wyobrażają? Mam rozpedzić bandę składającą się z wampirów, magów i najemników machając rękami i krzycząc „a kysz”?! A i jeszcze „bezzwłocznie powiadomić”...

Komendant pogrążył się w czytaniu, marszcząc brwi i coraz bardziej purpurowiejąc na łysinie. Siedziałam jak na szpilkach, ledwie powstrzymując się, żeby się nie zerwać, wyrwać mu zwitek i szybko przebiec po nim oczami.

— Hm... szczególne znaki... aha... Coś podobnego! Gruba ryba... po co mu to było potrzebne? Niejaka W. Red-na... nawet, odpowiednie imię dla więdźmy.... Oho! Jeszcze i Najwyższej Więdźmy Dogewy... a więc jasne, że się ośmielił... ta-a-ak, do pełni szczęścia nam tylko konfliktu z Winessą brakowało... A wy, pani mistrzyni, nie zwracajcie na mnie uwagi, jedzcie, bardzo panią proszę! — Zreflektował się mistrz, spojrzawszy na mój i tak niedoniesiony do ust widelec. I kontynuował czytanie już dla siebie, bezdźwięcznie poruszając wargami.

Z ogromnym wysiłkiem zmusiłam się do przełknięcia, pozostałej na talerzu sałatki, zmiałam serwetkę i czarująco uśmiechając się, poprosiłam o pozwolenie oddalenia się na parę minut. Komendant w roztargnieniu tylko machnął ręką. Jako doświadczona, zahartowana w wędrówkach i bojach ze stworzeniami więdźma, doskonale wiedziałam, kiedy pora dać drapak. I tym właściwie się zajęłam, przy czym bezzwłocznie i z przeogromnym entuzjazmem. Zamknawszy drzwi wyznaczonego mi pokoju, w pośpiechu narzuciłam kurtkę, na wierzch zarzuciłam pas, pochyliłam się po stojącą na podłodze torbę... i zamarłam, patrząc przez otwarte szeroko okno.

Przy bramie, zażarcie dyskutowała z markotniejącym w oczach strażnikiem, popisująca się jazdą na karym koniu, kobieta w średnim wieku z wspaniałymi kędziorami kasztanowo-rudego koloru. Raczej, we wspaniałej peruce, której kopię jeszcze na trzecim roku szcudrze posmarowałam szewskim klejem, przepuściwszy z tego powodu pasjonującą imprezę w postaci uroczystej kolacji z okazji zakończenia sesji. W sumie oboje (Enka stał na szpicie) zostaliśmy jeszcze i bez śniadania, i obiadu, i żeby nie wstawiennictwo Profesora — to i bez Szkoły. Za to otrzymaliśmy trzy naprawdę bezcenne lekcje. 1) z Mistrzem 1 - go stopnia lepiej nie zadzierać chociażby do uzyskania 2 – go stopnia; 2) klej dobrej jakości lepszy jest od każdej magii i 3) klej w sklepiu „Dwa leprechauny” jest bardzo dobrej jakości. Kobieta, zirytowana durnymi sporami po prostu zmiotła koniem, odsuwającego się strażnika, przygalopowała do samego ganku i zmrużywszy oczy, bacznie spojrzała w górę. Chociaż i miałam wątpliwości, czy może zobaczyć mnie przez otaczającą budynek iluzję szybko klapnęłam na czworaka, wtuliwszy głowę w ramiona. Od Katissy Łabskiej, wykładowczynie bojowej magii, nad wyraz wściekłej i podstępnej kobiety, można było oczekiwać wszystkiego. A już ona to doskonale wiedziała jak wygląda „niejaka W. Redna”!

Usłyszałam jak przyspieszyły po schodkach wysokie, cienkie obcasy, sprowadzające takie przerażenie na adeptów, siedzących w egzaminacyjnej Sali wykładowej. Trzasnęły drzwi. Jedyne w budynku. Jeśli nie wydostanę się z fortu zanim Katissa zamieni parę słów z komendantem, koniec ze mną — nic ją nie będzie kosztować, żeby tak zaczarować wyjście, że nawet nie zdołam go znaleźć. Dlatego więc trzeba wyjść Mistrzynie naprzeciw i jakoś ją wyminąć wzdłuż jedyne korytarza. O nie! Nawet nie zamierzam przepuścić jej koło pokoju i wyczekiwać, aż skryje się w jadalni — alarm podniesie się wcześniej, nim zdążę dobiec do schodów.

Coś mnie niepokoiło, naturalnie, wcale nie wanna i zjedzony kawior, wzięte za darmo. A i Katissa nie zacznie chyba przemieniać mnie we wronę, i oskubywać po jednym piórku, jak obiecywała, będąc pod wrażeniem w cudowny sposób przyrośniętych włosów. Ale pozwolić się „rozdzielić i złapać” także w żaden sposób nie mogłam. Nie wiem, po co byłam potrzebna Konwentowi, ale teraz było mi do niego zupełnie nie po drodze!

Obcasy już ledwo słyszalne wystukiwały pierwszą porcję na stopniach zasłanych dywanem. Prześwit, korytarz, prześwit, korytarz i — komendant. Na miękkich czubkach butów (nie driad, ale także niczego sobie!) prześlizgnęłam się w dół po schodach, bezlitośnie szarpiąc chorą nogę. Zresztą, noga przejęta wagą chwili przestała w ogóle odczuwać cokolwiek. Na drugi prześwit już nie zdążałam, korytarz pośrodku pierwszego piętra rozszerzał się do niedużego holu, z długim, bankietowym stołem. Koronkowy obrus zwisał do dwóch trzecich nóg stołu, na nim stało kilka lichtarzy i kosz z owocami.

Tak, a teraz — w bok, przytulić się do ściany, złączyć dłonie i skoncentrować się na formule maskowania...

Ale na widok tej koszmarnej baby, wyłaniającej się zza zakrętu, wszystkie zaklęcia w jednej chwili wyleciały mi z głowy i, jak dziesięcioletnia adeptka, bezmyślnie dałam nurka pod stół i wstrzymałam oddech czując, jak serce rozpaczliwie tłucze się w piersi domagając się, aby je wypuścić z tego okropnego miejsca.

No i wpadłam! A powiadają, że durniów na magów nie biorą! Jeśli ona także zdążyła mnie zauważyć?!

Katissa zwolniła krok. Zatrzymała się koło stołu, w zamyśleniu pobębniła po nim palcami. Obcasy znalazły się przy samej mojej twarzy. Okazały się być wyrzeźbione z czarnych kłów kościotrupojada. Zacisnęłam zęby na rękawie kurtki, żeby nie zacząć skomleć z przerażenia. Słowo honoru, lepiej by było,

żeby błąkała się tam prawdziwa banszi⁶⁵, a nie posiadaczka tego imienia, jako uzasadnionej przystawki, czyniącej aluzje do smutnego braku własnej czupryny, szeptem i z ostrożnością wspomnianego między adeptami! Zaakceptować fakt, że teraz to zaledwie tylko jedna z moich koleżanek po fachu, w żaden sposób nie potrafiłam.

Kobieta pochyliła się. Ściągnęła lewy pantofel i wytrząsnęła z niego kamyczek. Ponownie włożyła, zakołysała się od pięty po palce i chrząknawszy z zadowoleniem poszła dalej. Od opadającego napięcia pociemniało mi w oczach, minęło kilka sekund, zanim wygramoliłam się spod stołu i pędem rzuciłam się do drzwi. Mistrzynie jak raz zdążyła zniknąć za zakrętem, obcasy, oddalając się, stukały po drugich schodach. Może i lepiej, że nie zaczęłam czarować. Magicznie zamaskować się przed (trzeba Łysej Banszi oddać sprawiedliwość) specjalistką takiego poziomu jest nadzwyczaj skomplikowane, ale ona mimo wszystko jest człowiekiem, a nie jakimś odmieńcem⁶⁶, żeby zwęszyć mój zapach albo usłyszeć bicie serca.

Wyskoczyłam na ganek, zatrzasnęłam drzwi i niewiele myśląc zagwizdałam na dwóch palcach, płosząc drzemiące na dachu gołębie. Gdzieś za szopami rozległ się głośny trzask, i Smółka galopem podbiegła do mnie, jak gdyby nie zauważając ciągniętego za sobą stajennego.

— Dziękuję, — podziękowałam uprzejmie, przejmując od niego cugle.

Chłopak wymamrotał niewyraźnie coś obraźliwego, rozwarł zaciśnięte na cuglach dłonie i całym ciałem runął w pył. Przemieścić się z ganku na siodło było sekundową sprawą. Strażnik, spostrzegłszy nasz energiczny start, z chwalebą gorliwością odskoczył w bok, w przeciwnym razie, otwierająca się na oścież brama przecisnęłaby go do palisady.

Zdążyłam odjechać dość daleko, gdy z tyłu rozległy się jakieś dźwięki, podejrzenie przypominające gniewne krzyki, jednak ani odgłosy użycia magii ani tupot pogoni za nimi nie nastąpiły. Ale znając Katisę, nie było warto się łudzić, jak i zatrzymywać się wcześniej niż w Kort-ogł-Elgar, już zarysowującym się na horyzoncie nieruchomym pierścieniem ciemnej chmurki.

„Darmowy kawior tylko w wiedźmim sprycie” — ponuro pomyślałam, wygodniej moszcząc się w siodle, które całkiem już mi obrzydło.

* * *

⁶⁵ **Banszi** – „Banszi (banshee) — stworzenie średnich rozmiarów, z rodziny upiorowatych, znana z charakterystycznego przeszywającego zawodzenia wieczorową porą. Według legendy, zawodzenie banszi, niosące się głównie z naturalnych wzniesień albo w razie nieposiadania takowych od fortecznych murów, zwiastowało czyjąś szybką śmierć, nic w tym dziwnego, ponieważ banszi mięsożerne i nader żarłoczne (patrz: Podręcznik do nauki o istotach nadprzyrodzonych pod redakcją K. D. Perłowa z 5 – ego roku)” [przypis O. Gromyko] Banshee występuje również, jako szyszymora.

⁶⁶ **Odmieniec** – coś, co potrafi się przemieniać np. wilkołak

— A-a-a-a! Wamp-i-iry!!!

Rolar już miał się cofnąć, wycacując schowany pod płaszczem gword, ale niespodziewanie zorientował się, że te krzyki odnoszą się wcale nie do niego. Tak w ogóle, co tu wampirów nie widzieli?! Dwie z dwunastu dolin, położone są na wyspach, skąd dość często przyplływają handlowe statki, a po gnomach i trollach przeważających w traktierniach⁶⁷ przy zajazdach, obecność wampirów nie powinna nikogo dziwić. Nie ma to jak we trzech osuszyć, (nie młodą dziewczę, rozumie się), a butelkę najmocniejszego rumu z przemytu.

Nie widziano tu, jak się okazało, winessjanek ucharakteryzowanych na żywych nieboszczyków. Rolar, pośpiesznie zasłoniwszy sobą dziewczynę, zapewnił zrywających się z miejsc marynarzy, że to wszystko to tylko rzucone przez złego czarownika przekleństwo, w języku potocznym zwane, koroną cnoty, ale jeżeli ktoś zaryzykuje i...

Rozgniewana „upiorzyca” tak soczyście wyrznęła wampira łokciem w bok, że dobrowolni uzdrowiciele postanowili nie śpieszyć się z pomocą bez wyraźnej potrzeby.

Gdy traktierna, ponownie wypełniła się gwarem Rolar ściszym głosem pogawędził z pulchną gospodynią zakładu, ale niczego ciekawego się nie dowiedział. Czarodziej ze współnikami tutaj nie zachodził — zapamiętałaby. Teraz imprezują tu załogi dwóch przybyłych za dnia statków, tak, że o portowe plotki wypytywać ich nie ma sensu.

Zawiedziony Rolar uścił należność i zebrawszy ze sobą tacę z zamówieniem, wrócił do zajętego przez Orsanę stołu. Telepatią, niestety, nie władał, ale jak i wszystkie wampiry (a już tym bardziej doradcy!) doskonale wyczuwał, kiedy ludzie kłamią.

— Jeśli nie zatrzymali się w zajeździe — w zamyśleniu powiedziała dziewczyna, zaspokoiwszy pierwszy głód — znaczy, że albo mają w mieście przyjaciół, albo udali się prosto do portu. I stamtąd już nie wrócili.

— W mieście wcześniej czy później ich znajdziemy. — Rolar upił z kubka, skrzywił się i odstawił go dalej. Piwo, albo szcudrze rozcieńczono morską wodą, albo nie zwracając sobie głowy, zaczerpnięto prosto z morza. — Ale oni nie z tych, co pozwolą się zapędzić w kozi róg i obawiam się, że dawno temu ulotnili się z portu...

— Tylko dokąd? — Orsana markotnie podparła brodę pięścią, utkwivszy wzrok w drzwiach traktierni. Jak gdyby spodziewała się, że zaraz otworzą się na oścież i na progu ze złośliwym: „A oto jestem!” — ukaże się nieuchwytny czarownik.

⁶⁷ Traktierna – podrzędna gospoda

I drzwi naprawdę się otworzyły. Gospodyni traktierni dostrzegłszy klienta przepędziła z twarzy dyżurny uśmiech i kontynuowała besztanie leniwej służącej. Zgrzybiały dziadek, nie obraziwszy się ani trochę, rześko zastukał kosturem w kierunku najbliższego, hałaśliwego towarzystwa i wcisnąwszy się na brzeżek ławy, niespodziewanie głośnym i przenikliwym głosem zapiszczał:

— Ech, młodziez, młodziez i co wy tam możecie wiedzieć o prawdziwych wojazach? Jeden albo dwa razy popłynęliście z handlową karawaną na wyspę i myślicie — wilkami morskimi zostaliście? Otóż całe moje życie to może, które wzdłuż i wszerz przemieżyłem, a czego to ja nie widziałem! Może, mógłbym i wam opowiedzieć... ale cos w gardle zaschło...

Marynarze tylko się uśmiechnęli, nie zaszczycając dziadka uwagą, — doskonale rozumiejąc, co on umyślił, — dla bezpłatnej popijawy.

— Wy so, myślicie, że ja jakis jarmarczny łgarz? — nie poddawał się ten. — Tak mnie w tym porcie kazdy pies zna, a ja go i tym bardziej! Oto, powiem, w pozapieszłym roku...

— A szo, dziaduś, — rozbrzmiał na całą traktiernię dźwięczny, dziewczęcy głos, — czy dacie radę wyliczyć nam wszystkie statki, które wypłynęły z elgarskiego portu... no przynajmniej w ciągu ostatniej doby? Stawiam butelkę, że i połowy sobie nie przypomnijcie!

Starucha zatkąło z oburzenia i zapomniawszy o kosturze, jak młodzieniaszek podreptał do stolika impertynentki, z jawnym zamiarem zawstydenia jej opisem najdrobniejszej śrubki na wszystkich statkach — od majestatycznych elfich galer do najgorszych orkowych łódeczek — bywających w porcie przez ostatnie dziesięć lat.

Towarzystwo z uśmiezkami spojrzało po sobie i przyzywająco zamachało do roznosicielki rumu.

* * *

Ilka zagwizdał cicho przywołując przyjaciół, aby pozachwycali się jego zdobyczą. Niedbale rzucone wprost na piasek ubranie, sakwa, buty, a na to — jakaś laska z bursztynową rączką. Gołym okiem widać, że bardzo droga i zabytkowa.

— Widać, kapać się polazł, — wywnioskował rudy, tyczkowaty chłopak, najstarszy i główny w bandzie „lepkich rączek”, jak ironicznie nazywali siebie portowi, bezdomni oberwańcy. A gdzie oni tylko tych rąk nie wsadzali! — Ilka, zobacz!

Pomocnik posłusznie pobiegł do skraju cumowiska. Na najbliższym statku

z ożywieniem o czymś czy to rozmawiało, czy też awanturowało się dwóch trolli, ale w wodzie nikogo nie było.

— Cóż, topielcowi one do niczego, a gapie i nie wstyd dać nauczkę — roztropnie doszedł do wniosku rudy.

Już radośnie zaczęli rozchwytywać bezpańskie drobiazgi, gdy z cienia między dokami wymknął się potężny pies. Szczupły, z długą mordą, z wiszącym, ale bynajmniej nie tchórzliwie opuszczonym ogonem. Nie wiadomo, jak to się działo, ale stąpił się silnie z cieniami, wyłaniając się z nich tylko w świetle. Jak gdyby zwichrzona bryzą sierść w mgnieniu oka zmieniała kolor z mgliście-szarego na śnieżnobiały.

Złodziejaszki zastygły w dziwacznych pozach, nie decydując się ani na danie drapaka, ani upuszczenie kradzionych rzeczy. Pies nie miał obroży, ale dzieci z jakiegoś powodu nie miały żadnych wątpliwości, że pies odnosi się do ich działalności z wie-elką dezaprobatą.

Rudy spróbował zagwizdać, ale rozdygotane wargi nie usłuchały. Pies zatrzymał się sam. W odległości sześciu łokci albo jednego skoku... kiedy uzna, że potrzeba. Wygodniej rozstawił łapy, nienaturalnie nisko opuścił głowę, zjeżywszy garbik na karku.

Ilka nie mógł wyjaśnić dlaczego, ale na cumowisku pies wyglądał dziwnie obco. Bardziej stosownie byłoby spotkać go w głuchym lesie... a lepiej nie spotykać nigdzie i nigdy.

— Wi-i-ilk! — pierwsza pisnęła Nastka, jedyna dziewczucha w bandzie.

I jeszcze mówią, że z bab żadnego pożytku! Ghyr by oni bez jej krzyku się ruszyli i porzuciwszy łup, dali drapaka!

Zwierzę, nie ruszając się z miejsca, bez przerwy patrzyło w ślad za nimi. Spokojne, szare spojrzenie ziębiło Ilce łopatki, dodając nogom niezwyklej prędkości.

Jak gdyby czytał w myślach.

* * *

Len nie zamierzał wchodzić do środka. Przysiadł na balustradzie traktierni przerobionej z dwumasztowego stateczku, z przodu której bardzo naturalnie szemrał rynsztok i długo, w milczeniu patrzył na obejmujący niebo i morze zachód słońca. Potem, nie odwracając się, zadał pytanie dla jakby bezszelestnie podchodzącego Rolara:

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Od wczorajszego dnia z portu wypłynęło siedem statków. Wszystkie w różne strony, tak że obawiam się... — rozłożył rąk arlissianin nie zdążył.

— „Czarny Lis”. Portowa chuliganeria widziała, jak oni już po północy wchodzili na jego pokład.

Pauza przeciągnęła się. Len ze zdziwieniem obejrzał się na przyjaciela i domyśliwszy się, niewesoło zażartował:

— Wyrzucić to z siebie. Gorzej, niż myślę, już nie będzie.

— Dzisiaj po obiedzie statek odpłynął... — Rolar zaciął się i ze skrucłą opuścił wzrok. — ... do Lesku.

Władca drgnął ledwie dostrzegalnie. Chociaż innej odpowiedzi się nie spodziewał.

— Len, może...

— Nie mogę. Płyniemy, Rolar. — Jasnowłosa ze znużeniem potarł ręką czoło, poprawiając obręcz. — Takiego czegoś się nie wybacza.

— Czegoś takiego też. — Rolar znacząco spojrzał na morze. — Ty też nadal nie masz Opiekuna.

Arlisski doradca nie odwodził, a jak gdyby przypominał — taktownie, nienatrętnie. Tak, jak gdyby można było o tym zapomnieć...

— Wszystko jedno, tam Opiekun i tak by mi nie pomógł. Do mojego Kręgu nie zdążylibyśmy dotrzeć, a na Leski, jasna sprawa, nie ma co liczyć ani marzyć. — Len odruchowo dotknął piersi, namacawszy rear przez cienką tkaninę koszuli. Najwyższa Dogewska Wiedźma nie raz znacząco napomykała — niby, że ma doświadczenie tak, dlaczego by nie...

Nie. Wolałby umrzeć, niż jeszcze raz narazić ją na takie ryzyko.

— Myślisz o niej? — Rolar oparł się łokciami o balustradę obok Władcy, udając, że jest pochłonięty płynącymi rynsztokiem śmieciami. Właściwie, jedno jabłuszko było bardzo nawet niczego sobie, aż żal, może czymś zaczepić.

— Aż tak widać? — Kącikiem warg uśmiechnął się jasnowłosa.

— Owszem, aż tak. I po tobie i po niej. Len, jakiego ghyra wy dotychczas się nie pobraliście?

— Ona nie chce. Boi się, wydumała sobie wszelakiego rodzaju okropności, a nie chce jej zmuszać. Kella niepotrzebnie zaczęła tę historię z weselem... a już teraz... — Władca, beznadziejnie machnął ręką.

— A ty?

Len, nie odpowiadając spoglądał w dal. Zachodzące słońce pomalowało mierzeję na złocistorudy kolor, od którego nie można było oderwać spojrzenia. W rzeczywistości tak samo iskrzyły, mieniły się pod promieniami zachodzącego słońca krótkie rozczochrane włosy, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył — osiemnastoletnią, zdesperowaną, wystraszoną dziewczynę, za uzdę prowadzącą do wody białego konia...

On także się bał. Ale i rozumiał, że jeżeli nie zrobią tego kroku razem, to dalej przyjdzie się im iść przez życie w samotności. Do końca życia, ponieważ nic podobnego już nigdy im się nie zdarzy, a na nic mniejszego się nie zgodzą...

— Trzeba iść do kierownika portu — stanowczo powiedział Władca Dogewy, odwracając się plecami do morza. — Tak będzie szybciej, niż obchodzić wszystkie statki i wypytywać, dokąd i kiedy one płyną. A nie możemy sobie pozwolić na stratę ani minuty.

* * *

— Ejże, dokąd-d?! — z opóźnieniem zareagował strażnik, kiedy końskie kopyta, nawet nie zatrzymawszy się, spokojnie przestukały koło posterunku. W jednej ręce przytrzymując nieco przyduży hełm, w drugiej — wystawiając do przodu kopię, gnom w te pędy puścił się w ślad za podstępny naruszcycielem przepisów porządkowych. Poprawnie, naruszcicielce — A tunelową opłatę, kto będzie płacić?!

Rudowłosa amazonka bez sprzeciwu osadziła kobyłkę. Dała do tyłu i zaoponowała z lekkim zdziwieniem:

— Tak przecież jest napisane — dla wiedźm wejście bezpłatne!

— Gdzie? — Zmieszał się gnom.

— A właśnie tam! — Dziewczyna machnęła ręką. Ze złożonych w szepołe⁶⁸ palców wystrzelił niebieskawy strumień światła i przy zetknięciu się ze ścianą prysnął granitowymi okruszkami. Gnom aż usiadł z wrażenia, a kiedy ostrożnie uniósł nasunięty na oczy hełm, nad wejściem do tunelu widniał jeszcze trochę dymiący się napis, wykonany na wymyślną, elfią modłę — z zawijasami i silnym pochyleniem na prawo.

Czarna kobyłka, niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, ale wiedźma nie puszczając napiętych cugli, spokojnie czekała na odpowiedź, niewinnie mrugając oczami, z których biła szczerą prawdą. „Patrząc prosto rozmówcy w oczy jakby się u wampirów uczyła” — ze złością pomyślał strażnik.

— A, tak-tak, — wymamrotał, — kompletnie zapomniałem. Oczywiście, że bezpłatny! Przejeżdżajcie pani, wybaczcie zwłokę!

Dziewczyna, filozoficznie wrzuciła ramionami — niby, że nie ma żadnych pretensji, lepiej późno zareagować niż nie zareagować wcale — i trąciła kobyłkę obcasami.

Odczekawszy póki nie zniknęły w półmroku tunelu, gnom ściągnął hełm i otarł dłonią spocone czoło. Nie, dzisiejszy dyżur zdecydowanie się nie wie...

⁶⁸ Szpolta – złożenie trzech palców razem: kciuka, wskazującego i środkowego

Naczelnik portu przebywał na czwartym piętrze wieży obserwacyjnej — powyżej niej była tylko latarnia morska. Z wychodzącego na morze okna — na pół ściany, od podłogi aż do samego sufitu, — rozpościerał się doskonały widok na cały port, stocznię i nawet na część miasta z karczmą. Obok stał teleskop, z jakiegoś powodu skierowany nie w majestatyczną dal morza czy też na gwiazdy, w których zapisany jest los człowieka, ale na skromny budynek z czerwoną latarnią przy wejściu. Wal nie namyślając się spojrział przez teleskop i obrzydliwie się uśmiechnął, zmusiwszy naczelnika portu do lekkiego zmieszania się. Ale tylko do lekkiego. Gnomy w ogóle bardzo trudno zawstydić, tak że oparte na stole nogi ani myślały przenieść się na dół, a ich właściciel z dezaprobatą spojrział na nieproszonych gości sponad rozwiniętego zwitka.

— No i wam tego samego — burknął w odpowiedzi na uprzejme powitanie. — Czego chcecie?

— Dostać się do Lesku, i to jak najszybciej. — Len niedbale obrócił w palcach złotą monetę, którą gnom zaszczycił bardzo dużą uwagą. — Czy dzisiaj tam odpływa jakiś statek?

— Nie-a. — Nogi Naczelnika portu w końcu trafiły ze stołu na podłogę. I wielce znacząco patrząc na wampira, dodał: — ale jest statek, który tam NIE płynie. Oto ten, „Gołąbek”. Właściciel na pokładzie, za dnia widziałem, jak go tam zanoszono, uprzednio wyrzuciwszy z traktierni. Możecie z nim się dogadać i jutro rankiem on was nigdzie nie powiezie...

Wal i Orsana ze zdumieniem spojrzeli na siebie, ale Len spokojnie skinął głową i rzuciwszy na stół monetę skierował się do wyjścia. Rolar, także nie okazawszy zdumienia, podążył za nim.

— Leskich statków w porcie teraz nie ma — wyjaśnił Len już w drodze do cumowiska. — Są rozładowywane, załadowywane i natychmiast odpływają. Ale jest tutaj bardzo dużo przemytników, którzy opuszczają port pod pozorem morskiej przejażdżki w celach rozrywkowych, nie wskazując w urzędzie celnym prawdziwego celu podróży, żeby nie płacić cła eksportowego. Ostatecznie nikt przecież nie zabrania pływać po morzu, zapchawszy ładownie wiązkami futer albo workami ziemniaków. Cóż z tego — bali się, że zejda z kursu i pomrą z głodu i chłodu, a kiedy zaczął się huragan, wyrzucili całe dobro za burzę.

— Oczywiście, a wyspiarski urząd celny?

— Importowe płacą, tu już się nie wykręcisz, — podchwycił zaznajomiony z tutejszymi zwyczajami Arlissjanin. — Lescy Strażnicy nie dopuszczą do

brzegu ani jednego obcego statku, czy to za dnia, czy nocy. Ale wszystko jedno, wychodzi korzystniej.

Jeśli opłatę za postój przy cumowisku naliczano by na podstawie zewnętrznego wyglądu statku, to „Gołąbkowi” port na pewno jeszcze by i dopłacił. Gdy zaspany junga⁶⁹, zwabiony krzykami potencjalnych klientów, raczył w końcu oprzeć się łokciami o burtę, rozległ się wyraźny trzask, który zmienił się w smętny zgrzyt gdzieś we wnętrzu ładowni. Wbity w rufę pierścień i konopna cuma była związana z grubą, zniszczoną, po której na brzeg dzielnie migrowały wyliniałe, okrętowe szczury.

— Mam nadzieję, że opinia właściciela o tym statku różni się od mojej w lepszą stronę — z wątpliwością szepnął Rolar, pochylając się ku Orsanie. — Ponieważ mi, jako nieprofesjoniście, najbardziej przypomina on koryto z dwiema szwabrami i pięcioma rozwieszonymi na nich szmatami do podłogi.

— W gorszą — posępnie mruknął Len, patrząc na kapitana, który raczył pokazać się na pokładzie. — On ma jeszcze i przeciek w ładowni, i ten typ kombinuje, uszczelnić go, czy też i tak ujdzie...

— Może usiądziemy na kłodzie i powiosłujemy rękami? — Markotnie zaproponowała Orsana.

Ale było już za późno — zgniła burta wyraźnie wygięła się pod właścicielem statku. Junga z szacunkiem pośpieszył przytrzymać kapitana za pasek, żeby nie stracić go razem z częścią takielunku.

Kapitan „Gołąbka” był podobny do gнома i orka równocześnie i, najszybciej, był ich wspólnym potomkiem — karłowaty, śniady z ciemnymi wypukłymi oczami, rzadką rudawą brodą i długimi włosami, zebranymi w kucyk z tyłu głowy. Wśród żeglarzy, rozbójników i najemników w ogóle wielu było półkrwi, sensownie nieprzyjętych do żadnej rasy, którzy z powodzeniem wybierali rzemiosło niezależnych ochotników.

— Passaże-er-rowie?! — Nieufnie przeciągnął, jakby nie dowierzając własnym oczom. — Nawet i nie wiem... wcześniej jakoś się nie zdarzało... a tu jeszcze i ba... to jest kobieta, a one na statku to całkowite nieszczęście!

— Na ziemi nie lepiej — „pocieszył” go Rolar. — No to jak, zabierzecie? Czterdzieści kładni. Jeśli szybko odstawicie, jeszcze pięć dorzucimy.

Kapitan włożył łapę w wycięcie grubej koszuli i w zamyśleniu podrapał owłosioną pierś.

— A po co wam do Lesku? Tam przecież tego... wampiry. Ichnia dolina.

Len spokojnie odrzucił kaptur, błyskając w uśmiechu kłami. Co

⁶⁹ Junga – (chłopiec okrętowy) kilkunastoletni chłopiec, który zanim zostanie marynarzem pokładowym, pełni różne posługi na statku

dziwniejsze, na kapitanie wywarło to bardzo pozytywne wrażenie. Nawet uśmiechnął się szachrajsko w odpowiedzi:

— Zgoda, w takim razie żaden problem. Przychodzicie o świcie, ale uwzględnijcie — więcej niż godzinę nie będziemy czekać!

Półork-półgnom odsunął się od burty (junga rozwarł palce dłoni i z westchnieniem ulgi oparł się o maszt, który także, nawiasem mówiąc, jakoś podejrzenie zaskrzyphiał) i kaczym chodem poszedł z powrotem do kajuty.

„Będziecie jak baranki — uśmiechnął się do siebie Len. — A my wrócimy nawet wcześniej”.

* * *

— Odplynął z pół godziny temu, — ziewnął naczelnik portu nie odrywając oczu od zwitka. „Ależ ci ludzie zabiegani. Wpadła — ledwo drzwi z rozpędu nie przebiła, ani dzień dobry, ani proszę, jeno pytania: wstępowali? Dokąd? Kiedy?”

— Naprawdę?! — Rudowłosa z rozpaczą wypuściła powietrze.

— Uh. Tak oto on, pod samym horyzontem, jeszcze z okienka widać...

Do horyzontu dziewczyna się nie ograniczyła — gorączkowo obrzuciła spojrzeniem cały port, zatrzymawszy się na szeroko otwartych drzwiach pustego doku. Konwulsyjnie przełknęła ślinę, zaciskając pięści do wyraźnie zarysowujących się kosteczek.

— Pan nie będzie oponował, — nieznajoma z wysiłkiem dobierała słowa, wyraźnie ją trzęsło, — jeżeli na chwilę skorzystam z tego tam pomieszczenia?

— A mnie to co... — zaczął gnom, ale po dziewczynie już i ślad ostygnął.

Naczelnik portu powiercił się na krzesło, jednak skoncentrować się na obliczeniach tak i mu się nie udało. Nie wytrzymałszy, gnom podszedł do okna, z ciekawością odsunął firankę.

Rudowłosa wyskoczyła z drzwi, ledwo nie zbiwszy z nóg, wspinającego się po stopniach elfa i utykając pobiegła do doków. Czarna kobyłka zostawiła w spokoju pękniętą skrzynkę z rybami i pobiegła truchtem w ślad za właścicielką, w biegu dozuwając srebrzysty śledziowaty ogon.

Przy drzwiach doku dziewczyna zatrzymała się, ukradkiem rozejrzała się na boki. Rozsiodłała i rozkiełznała kobyłkę, rzuciwszy uprząż wraz z rzemieniem siodełkowym i torbami wprost na ziemię. Sobie zostawiła tylko miecz i sakwę. Objęła koński pysk dłońmi, na chwilę przytuliła do niej czoło, jakby coś szepcząc, potem wyprostowała się i rozkazująco machnęła ręką. Kobyłka zawróciła i pewnie pogalopowała do Kort-ogl-Elgar.

Dziewczyna wśliznęła się do środka, z wysiłkiem zamknęła za sobą ciężkie

str. 226

drzwi. Gnom poczekał minutkę. Dwie. Dziesięć. Potem nie wytrzymał i gwizdem przywołał chłopca-pomocnika:

— Skocz, zobacz, co ona tam robi?

Chłopak wrócił porządnie wystraszony i zaskoczony:

— Tam nikogo nima, panie, tylko na podłodze gryzmoły jakieś się dymią, i sierścią spaloną o zgrozo jak śmierdzi. I krwi tak jakby nakapane...

Gnom półgłosem wspomniął Kowrużną Matkę. Pomyślał i dla towarzystwa dodał do niej Kulawego Suchorękiego i Podziemnego Cmoka. Wiedźma!

— Widzicie ją, zbierz jej rzeczy i do dołu na śmieci wyrzuć, żeby nie wpadły w oczy portowemu magowi, — polecił.

Tylko problemów z Konwentem mu brakowało! Spróbuj potem udowodnić, że nikt jej w rękę nie trącał...

— A cóż jej pan powie, kiedy wróci? — nie zrozumiał pomocnik.

Teleportować się na płynący statek, z którego została tylko niewyraźna plamka na horyzoncie? Tak na to nawet arcymag się nie odważy — trochę pokręcił się po brzegu, w gniewie za brodę się poszarpał i wyniósł się nic nie wskórawszy.

— Nie wróci. Wyrzucaj.

* * *

„Udało się” — z niewypowiedzianą ulgą uświadomił sobie Len, na wszelki wypadek trzymając się w pewnym oddaleniu od burty. Za rufą z szumem pieniała się woda a sprzyjający wiatr, chętnie zaprzął się w żagle. „A może, mimo wszystko słabo ją znam? Albo... coś się stało?! „Niech to leszy weźmie, w przypadku Wolhy beczynnienie czekanie przeraża ją jeszcze bardziej niż stawienie czoła rzeczywistemu niebezpieczeństwu! Wampir wyrażając niezadowolenie potrząsnął głową i odwróciwszy się, poszedł na przód statku. Przyglądać się już i tak nie było na co. Port zniknął z pola widzenia.

CZEŚĆ PIĄTA

Wiekopomny Bój

Bywa, że i kobyłka lata!

Chłopskie porzekadło

— Co dla wampira dobre, to dla człowieka śmierć — filozoficznie wygłosił Rolar, patrząc na „konającą” Orsanę.

Dziewczyna z wysiłkiem obróciła się w jego stronę, ale wymyślić i powiedzieć czegoś równie złośliwego nie zdążyła, ponownie z pośpiechem przechylając się przez burzę.

— Może przynieść ci wody? — Zlitował się wampir. Wody dziewczynie całkowicie wystarczało za burzą. I napomykać o tym zupełnie nie było po co.

— Wiadro — zachrypiała, gdy tylko ponownie była w stanie podnieść głowę. — Ja cię w nim umieszczę i będę tam trzymać, dopóki się nie zamkniesz!

Rolar prychnął z urazą i umilkł. Ale daleko nie odszedł, kątem oka na wszelki wypadek przyglądając się nieszczęsnej męczennicy (nie można powiedzieć, żeby pokornie, ale wytrwale znoszącej trudności drogi). W nocy był lekki sztorm, który ukołysał nie tylko Orsanę, ale i dobrą połowę załogi, tak że statek sprawiał wrażenie wymarłego. Kapitan drzemał w hamaku między dwoma masztami, Len i Wal po cichu rozmawiali, pochyliwszy się nad mapą. Do Lesku pozostały około trzy doby rejsu — jeżeli oczywiście, wiatr się nie zmniejszy albo nie zmieni. Pewne obawy wywoływał tylko unoszący się w powietrzu rumowy oddech, dotkliwie się wzmagający podczas zbliżania się do podejrzenie wesołego szypra, ale „Gołębek”, jak stary wół roboczy, szedł pewnie dobrze znanym kursem, nie dając się z niego zepchnąć natchnionymi szarpnięciami koła sterowego. Rolar podejrzewał, że szyper w ogóle nie pracował. Ale podejść i sprawdzić wampir się nie odważył.

Kiedy całe zjedzone przez Orsanę śniadanie demonstracyjnie oddaliło się w szafirową głębię, dziewczynie zrobiło się lepiej. Na wszelki wypadek nie śpieszyła się odchodzić od burty, ale odróżnić niebo i morze była już w stanie. Więcej niczego ciekawego od zawietrznej strony nie było. Ani obłoków, ani ptaków — tylko oślepiające oczy słońce. I tak przez cały dzisiejszy poranek i dużą część wczorajszego dnia.

Od fal mieniło się w oczach. Dziewczyna mrugnęła, ale najbardziej natrętny punkt nie zniknął. Co więcej — zaczął pomału rozrastać się, aż urósł do wielkości czarnego trójkątka, a po upływie kwadransa rozdzielił się na kwadraciki żagli i jęczyczek bandery. Wyczerpana dziewczyna niemrawo obserwowała jego zbliżanie się, aż nagle zorientowała się, że nie zaszkodziłoby jakoś zareagować.

— Hej, tam jest jakiś statek! — Orsana, cofnąwszy się do hamaka, z przejściem potrząsnęła kapitana za ramię.

— Ta? — Ten w połowie uchylił lewe oko, zerknął nim na morze, szeroko ziewnął i obojętnie machnąwszy ręką, odwrócił się na drugi bok. — Zdaje się, że piraci...

Winesjanka ze zdumieniem utkwiała wzrok w huśtającym się hamaku. Potem znowu spojrzała na czarny szkuner, na burcie którego wyraźnie już wyłaniał się napis „Łapownik”.

— Ale... oni przecież, wydaje się, zamierzają nas atakować!

— Na to wygląda, — flegmatycznie potwierdził kapitan. Piraci, istotnie bardzo się starali, żeby ich zamiary w żadnym wypadku nie zostały wzięte za pokojowe i przyjazne. Oblepiwszy olinowanie od nawietrznej strony (nieszczęsny stateczek mocno przechylił się na prawo, ledwo nie nabierając burtą wody), morscy rozbójnicy potrząsali długimi, krzywymi klingami, wolnymi kończynami wyrażając coś niezbyt zrozumiałego, ale nadzwyczaj obraźliwego, gwizdząc przy tym, hukając i głośno urągając.

Na „Gołąbku” zainteresowali się nimi tylko Orsana i kok⁷⁰ łuskający pestki przy burcie (przy czym odnosiło się wrażenie, że dla rozkoszowania się medytacyjnym procesem obróbki i pochłaniania pestek pasowałby mu każdy inny widok, aby tylko wiatr nie przeszkadzał wypluwać łupin za burte).

Tymczasem statki zeszły się tak blisko siebie, że wytrząśnięte przez koka śmieci z szelestem zrosiły pokład pirackiego statku, a jednocześnie i jego kapitana. Trochę niezadowolony z tej okoliczności, ryknął na całe gardło: „Do abordażu!” — i w burty „Gołąbka” ze szczękiem wpiło się około pół tuzina haków, z długimi ogonami lin. Chwyciwszy za ich końce, stojący w szeregu

⁷⁰ **Kok** – kucharz okrętowy

piraci z chwalebna gorliwością zaparli się nogami o pokład, przyciągając do siebie nawzajem statki. Po upływie kilka sekund statki z hukiem uderzyły o siebie burtami i morscy rozbójnicy, w ilości około półtora tuzina, runęli na „Gołąbka”, znajdując jakoś sposób, aby wydawać głośnie i przerażające dźwięki nawet przez ściskane w zębach kindżały.

Przemytnicy kontynuowali ich obserwację z nader umiarkowanym zainteresowaniem, nie odrywając się od codziennej krzątania w rodzaju łuskania pestek, popołudniowej drzemki czy też gry w kości.

Abordaż, skonsternowany takim obojętnym przyjęciem, zatrzymał się w odległości jednego sążnia od burty. Piraci z zakłopotaniem ustawili się w krzywy rząd, ze zdumieniem szturchając siebie nawzajem łokciami i próbując się porozumieć, mimo zaciśniętych na klingach zębach.

W końcu do przodu wystąpił fircykowato wystrojony człowiek, w nieokreślonym wieku, z jawną domieszką trollej i elfiej krwi, które obdarzyły go wielgachnym, cienkim nosem i skośnymi oczami. Teatralnie wysunąwszy lewą nogę, przybrał dziarską postawę i przez nos oznajmił:

— Poddajcie się panowie i żwawo wykładajcie gotówkę, gdyż my — tak, tak, nie pomyliliście się! — to sławni piraci, postrach i groza tutejszych wód!

Na pokładzie ukazał się ponury junga, z wiadrzem wody przelewającej się przez brzeg. Zastanowiwszy się, chłopak zamaszystym gestem chlusnął ją wprost pod nogi nowo przybyłego, opadł na czworaka i zaczął energicznie szorować deski szeroką szczotką. Piraci, zbici do reszty z tropu, posłusznie się cofnęli.

— A my — Len i Rolar równocześnie szeroko rozpostarli skrzydła, promiennie demonstrując charakterystyczny zgryz — wampiry!

— Nie wiem nic na temat tutejszych wód — dodał Rolar, — ale w waszych krainach z jakiegoś powodu opowiadają o nas wszelakie podłości...

Herszt upewnił się, że „klienci” nie żartują i wyraźnie posmutniał. Niektórzy praktycznie bez zbytecznych rozmów poleźli z powrotem na „Łapownika”, pozostali ze zmieszaniem wypluli kindżały, pochowali je za plecami i zaczęli przestępować z nogi na nogę, z niewinnym wyglądem pogwizdując i spoglądając na niebo.

— Słuchamy was bardzo uważnie! — Szczerze zapewnił Len, wymachując gwórdem jak laską. Suche trzaski to wyskakujących, to błyskawicznie chowających się w rękojeści ostrzy, zmuszały piratów do nerwowego podrygiwania i rejterowania z powrotem na szkuner w zdwojonym tempie.

— Tak więc... e-e-e... — Hersztowi nerwowo drgnął policzek, ale natychmiast potrafił się znaleźć: — Ot i zapoznaliśmy się!

— Bardzo nam miło! — Dodał przypochlebnie ktoś z abordażowej załogi.

Wampiry wymieniły spojrzenia i uśmiechnęły się jeszcze bardziej wieloznacznie. Herszt z trudem przełknął ślinę i odwzajemnił pełen zębów uśmiech.

— Kto mógł przypuszczać, że Państwo zadacie się z tymi szalbierzami? — Wyrwało się hersztowi z głębi duszy. — Państwo zwykle tylko na leskich statkach podróżujecie!

— Wybaczcie, że wprowadzono pana w błąd — ironicznie rozłożył ręce Rolar. — Wcale nie chcieliśmy was niepokoić!

— Ależ to żaden problem! — zareagował pirat. — Radzi byliśmy Państwa odwiedzić! Tak więc, chyba popłyniemy dalej?

— Płynicie! — Majestatycznie pozwolił Len. — Tylko...

— T-tak?! — Z obawą zachrypiał herszt, na daną chwilę zostając na „Gołąbku” jedynym przedstawicielem „sławetnych piratów”. Czarny szkuner już przestawił żagle i pasmo dzielącej okręty wody rośło w oczach.

— Zabierzcie swoje zabawki, proszę... — Wampir wskazał palcem na abordażowe haki, żałośnie chwiejące się na burcie „Gołąbka”.

Herszt, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, pośpiesznie przebiegł się wzdłuż brzegu pokładu, wyrywając i zgarniając pirackie mienie w brzęczącą wiązkę. Z przypochlebnym uśmiechem przyglądał sterczące z desek drzazgi, podreptał przy burcie, kłaniając się. Minał jungę ze szczotką, jeszcze raz mamrocząc przeprosiny i „jaskółką” skoczył do wody.

W ślad za nim gruchnął dziki śmiech. Len z rozmachem usiadł na pokładzie, zakrywszy twarz dłońmi, Rolar uściskał się z masztem, a Orsanę nawet przestało mdlić.

— A ja sobie głowę łamałem, dlaczego to nasz kapitanik tak łatwo zgodził się nas wieźć! — Mruknął Wal. — Może, warto zaciągnąć się u niego na statek, jako etatowy wampir? Wystarczy raptem — przyczepić kły i przywołać na facjatę bezczelny wyraz!

— Z facjatą u ciebie wszystko w porządku — uspokoił trolla Rolar. — Ale można też nadziać się i na piratów o ustalonej renomie, którzy zaryzykują nawet utratę połowy załogi, żeby wyjaśnić, co też takiego wartościowego jest przewożone pod ochroną wampira!

— I nie tylko piratów — poważniejąc, dodał Len, jak nożem ucinając ogólną wesołość.

* * *

Pod wieczór wiatr znowu się wzmógł. Najpierw po prostu posepnie pogwizdywał po olinowaniu, potem zaczął jakoś podejrzenie łopotać żaglami, zmusiwszy kapitana do wydania rozkazu zwinięcia kilku brytów⁷¹. W powietrzu wyczuwało się niedobre, wyczekujące napięcie.

Pierwszy zauważył to Len. Ale nic nie powiedział, pozostawiając Orsanie prawo do wydania pełnego zdumienia okrzyku.

Na przemytniczym korycie podniósł się niespotykany dotąd rwetes. Załoga „Gołębka” zaczęła miotać się po pokładzie jak tuzin, zaskoczonych w pustej skrzyni myszy, to łapiąc się za olinowanie, to z pośpiechem oplątując sznurem zwalony przy burtach ładunek; gnom pełniący wachtę, to podskakiwał jak pchła w swojej beczce na szczycie masztu, to niebezpiecznie przechylał się przez jej brzeg, desperacko gestykulując i strojąc grymasy. Na dole, z niemniejszym entuzjazmem wywijał kapitan, przeplatając rozkazy z barwnym opisem kar za ich niewykonanie, zmuszających Wala do aprobującego pochrząkiwania.

Morze na horyzoncie pociemniało, powlekając się zmarszczkami, jak gdyby cienkim strumykiem wlewano w nie szybko rozplływającą się w wodzie farbę. Nie minęło i pięć minut, jak statek zatańczył na zbliżających się z lewej strony falach, zalotnie kołyszając się z boku na bok. Orsana przełknęła podchodzącą do gardła grudkę i mocniej objęła maszt. Wampiry nadal niewzruszenie stały przy burcie bez widocznego wysiłku zachowując równowagę chociaż obok, co i rusz z hukiem toczyły się nieprzymocowane beczki, a za nimi z krzykiem uganiali (a nawet toczyli) się marynarze.

A potem zobaczyli i sam „strumyczek” — wirujący skrętek trąby morskiej⁷², z lejem przyssanym do firmamentu. Nieco rozmyty z dołu, tam gdzie powietrzny potok przekształcał się w rozciągający się naprzeciw niego potok wodny, przypominał Orsanie nitkę, zwijaną z kądzieli niskich chmur, z białymi puszystymi wierzchołkami i w szafirowo-czarnym zestawieniu. Za nią zaś zaczynała się taka nieprzenikniona, kłębiąca się mgła, jakby morze urywało się przy brzegu ziemi ogromnym wodospadem — z głuchym, nieprzerwanym jękiem, daremnie próbując ucześcić się powietrza grzebieniami z piany.

— Idzie prosto na statek — samymi wargami wyszeptał Rolar.

Ślepi ani zapaleni dyskutanci się nie znaleźli.

⁷¹ **Bryty** – pasy materiału (kiedyś płótna), z których po zespoleniu (kiedyś zszyciu) powstają żagle. W żaglach prostokątnych bryty biegną prostopadle i równoległe do lików, w żaglach skośnych najczęściej prostopadle lub równoległe do tylnego liku. Brytom można również nadawać specjalne kształty w celu nadania żaglomżądanego profilu. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Bryt>

⁷² **Trąba wodna (trąba morska)** - to zjawisko meteorologiczne polegające na formowaniu się pionowego chmurzastego wiru w kształcie leja, występującego nad powierzchnią wody, połączonego z chmurą kłębiastą. Pod tą postacią jawi się jako nadwodne tornado, które wznosi wodę. Jest znacznie słabsza od swego lądowego odpowiednika. Trąby wodne są w dużym stopniu przezroczyste i w początkowej fazie można je zauważyć tylko dzięki śladowi jaki pozostawiają na powierzchni wody. http://pl.wikipedia.org/wiki/Tr%C4%85ba_wodna

On nie szedł sobie tak po prostu, ale konsekwentnie doganiał stateczek, jak samonaprowadzający się pulsar, już dwa razy zmieniwszy kierunek w ślad za nim.

— Wolha by się tu przydała — mimo woli wyrwało się Orsanie.

— Uczciwie mówiąc, to do ostatniej chwili byłem pewny, że ona się do nas przyczepi — przyznał się Rolar, widząc, że Władca nie podtrzymuje, ale i nie przerywa rozmowy na drażliwy temat. — Ale jesteśmy już w drodze więcej niż dobie, a następną statek wyjdzie z portu dopiero za dwa dni — pytałem.

— No tak, w porcie foczka przegapiła swoją ostatnią szansę — przytaknął Wal. — Chociaż miałem ogromną pokusę zejść do ładowni i na wszelki wypadek ostukać beczki z peklowanym mięsem!

— Przestań. Ile tam tego „Gołąbka” — Len by ją migiem wyczuł.

— O nie! — Niespodziewanie zajęczał Władca i zaskrzypiały poręcze, przygniecione naciskiem jego palców. — Nie, tylko nie to!!!

* * *

Ocknęłam się, gdy moją twarz z zainteresowaniem obwąchiwał siedzący mi na piersi szczur. Gdy fakt ten dotarł do mnie, fala dźwiękowa po prostu zniosła nieszczęśliwe zwierzątko z mojej piersi! Wyrównawszy oddech, z obawą przysłuchiwałam się i usłyszałam tak wiele, że mogłam nie obawiać się o następstwa: jeżeli krzyk i przedostał się na zewnątrz, chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tam zajmowano się własnymi problemami. Tu też skrzypiał sufit i grodzie, po podłodze przetaczały się jakieś beczki a w ściany bezustannie uderzało coś ciężkiego, tak że całe pomieszczenie huczało i drżało.

„Jestem na statku — odetchnęłam z ulgą. — Wygląda na to, że w ładowni, a na zewnątrz panuje nieszczęśliwa pogoda”. Ciekawe ile minęło czasu? Dwanaście godzin, nie mniej, mocno zdążyłam odleżeć boki na stercie worków, ściśle napchanych jakby grochem. Cóż, tak nawet lepiej — póki poniewierałam się bez świadomości, Len nie mógł mnie wykryć przy pomocy telepatii, a teraz trzeba jak najszybciej postawić blok i się stąd wydostać. Jeśli i zauważy, dojdzie do wniosku, że mu się przywidziało. A jak nie, przecież nie wyrzucą mnie za burtę!

Uczepiwszy się jakiejś deski, spróbowałam stanąć i wybuchłam jeszcze jednym krzykiem: po teleportacji przeklęta noga wróciła do dawnego, połamanego stanu. Blok także zdmuchnęło jak wiatrem. Zacisnąwszy zęby, po kolei powtórzyłam wszystkie trzy zaklęcia. W skroniach zaszumiało i już w następnej chwili, po ciele rozlało się dobrze znane uczucie wyobcowania i

ociężałości, ale ciało podporządkowało się bez zarzutu. Jakby było kierowanym zombi. I tym ono, właściwie i było, tylko kierowałam nim sama.

Rozejrzawszy się, zobaczyłam prowadzącą w górę drabinę, a nad nimi — szary kwadrat otwartego wjazdu, skąd to, raz po raz padały duże krople. Dobrze, jakoś sobie poradzę...

Już złapałam się za ostatnią poprzeczkę, kiedy czyjaś ręka, bezceremonialnie złapała mnie za kołnierz i jednym szarpnięciem wyrwała z ładowni.

Spotkanie Najwyższej Wiedźmy i Władcy Dogewy odbyło się na bardziej niż nieoficjalnym poziomie. Dokładnie — to — na wyższym poziomie pokładu, ponieważ Len nie śpieszył się rozluźnić ręki.

— Co tu do ghyra robisz?!

— Rozkoszuję się leczniczym morskim powietrzem! — Spróbowałam go kopnąć zdrową nogą. Spudłowałam, ale wampir nie chcąc kusić losu wypuścił rozjuszona wiedźmę i się cofnął.

— Cóż — ryknął, kiwając głową na coś za moimi plecami. — Rozkoszuj się!

Obejrzałam się — i zdrętwiałam.

Niewtajemniczonym mogło się wydawać „zaledwie” wzburzonym splotem wody i wiatru, ale wiedźmi wzrok w mgnieniu oka wydzielił trzeci składnik, a dokładniej, kształtujący i nakierowujący się rdzeń. Magia powietrza, spleciona w potężne, ale jak zawsze, dość prymitywne zaklęcie. Nawet nie było warto mieć nadziei na jego zakłócenie lub zniweczenie.

Wydstające się spod obręczy włosy trzepotały na wietrze białym płomieniem. Odrzucanie ich z twarzy było bezsensowne, więc Len nawet nie próbował. Szare oczy płonęły gniewem i taką rozpaczą, że poświęciłabym i zrobiłabym wszystko, czego sobie życzy, żeby tylko nie widzieć go w takim stanie. Oprócz idiotycznego rozkazu, żeby nic nie robić i po prostu zostać, i wylegiwać się w łóżku.

— Odejdź.

Prawdopodobnie, nie wyglądałam najlepiej, ponieważ Len zacisnął zęby i się podporządkował.

Głęboko westchnęłam i splotłam palce. Podniosłam je do warg i zaczęłam cicho szeptać napływające posłusznie z pamięci słowa. Wkute na pamięć do takiej automatyczności, że nie warto było wnikać w ich sens, gdyż inaczej — natychmiast się myliło.

Trąba morska zaczęła poruszać się szybciej. Jak pies, biegnący po śladzie i wreszcie widzący zwierzynę. Z ogromnym trudem powstrzymałam się od

pokusy przyspieszenia melodyjnego recitativo. W zasadzie określona szybkość czytania magicznych formuł nie istnieje, ale wybrany na początku rytm powinien pozostać niezmiennym, a wyplatane zaklęcie koniecznie trzeba wypowiedzieć od początku i do końca. Tu nie popaplasz. Zwłaszcza — w tym wypadku.

... — Nie podoba mi się to uderzenie — burknęłam, niechętnie wychodząc na środek placu treningowego. Przyszli koledzy, złośliwie chichotali za plecami. Sądząc, po dopiero co pokazanym ćwiczeniu, wykładowczyni szermierki wymyśliła szczególnie wyrafinowany sposób odsiewu adeptów i nie mogła się doczekać, aby wypróbować go w praktyce.

— Nie podoba się — nie odbijaj! — Spokojnie zauważyła Mistrzynie, podrywając treningowy, ale z tego powodu nie mniej groźny, dwuręczny miecz, do ciosu, którego odbić nie udałoby się i dorosłemu mężczyźnie.

Ale uchylić się od niego, opuściwszy nieprzyjacielski miecz po ostrzu swojej klingi, zdoła nawet adeptka piątego roku...

Uparcie pochyliłam głowę i gwałtownie wyrzuciłam do przodu rękę, nie rozluźniając palców. Po falach rozchodzących się klinem przeszła zmarszczka, jak gdyby naprzeciw trąbie morskiej rzucił się lekki wietrzyk. Z elegancją przemknął z lewej strony pod ostrym kątem... i jakby przypadkiem zaczepił „bokiem” na ukos.

Krótką, drewnianą klingą skrzyżowała się z dwuarszynową, stalową.

...Nie złamać się, wytrzymać pierwszą chwilę, póki miecz, który zderzył się z przeszkodą zastanawia się — czy prześliznąć się mu wzdłuż niej czy też przeciąć na pół. Kiedy lekkie drewniko wypełnia się jakby ołowiem, wykręcając się z rąk, nie można go wypuścić ani ustąpić — w przeciwnym razie, stal bezlitośnie dokończy zamach...

„Trzymaj, więdźmo!”

Czarny lej wygiął się w moją stronę. Potoki zmagających się mocy smagnęły się i poprzeplatały, jak rozwścieczone smoki, wbiwszy w siebie nawzajem jadowne kły.

„Trzymaj-y-y.”

Wydało mi się, że słyszę zgrzyt ścinanej strużyny⁷³, ból w nadgarstkach stał się nieznośny... a potem od razu ustąpił.

Trąba przeszła brzegiem zmarszczek i znalazłszy się daleko za statkiem, niespodziewanie rozerwała się pośrodku. Złapana przez wichur woda z szumem opadła do morza, górna część skrętka zassała się z powrotem w obłok, który

⁷³ **Strużyna** – wióry powstałe przy obróbce drewna i metalu http://pl.wikipedia.org/wiki/Wi%C3%B3r_%28technika%29

zaczął się szybko rozjaśniać i wprost w oczach rozpadać się na nikiące strzępy. Fale, jak szczury przyłapano przy przegryzaniu worka, rozbiegły się ze zmieszaniem w różne strony, a na miejscu trąby została tylko rozlewająca się plama zielonkawej piany.

Tak!!!

Opuściłam ręce, wydawało się, że drzące każdym mięśniem oddzielnie. Triumfalnie obróciłam się w stronę przyjaciół, szykując się na przyjęcie zasłużonych gratulacji i podziękowań... i poczułam się jak dobrze odkarmiona mysz, pod spojrzeniami czterech głodnych żmij. Nie było po nich widać źle skrywanej radości ze spotkania... ale raczej jakąś bardzo niedobrą, powiedziałabym nawet, że złowieszczą!

— A więc jednak — ze znużeniem powiedział Len, wyciągając miecz z pochwy. — Teraz sam ją zabiję. Przynajmniej będzie jakaś gwarancja, że leży spokojnie na miejscu!

Cofnęłam się, oglądając się w poszukiwaniu wsparcia, ale na próżno. Przyjaciele z aprobującym zainteresowaniem obserwowali scenę wiedzmobójstwa. Wal nawet postawił na pokładzie swój dwuręczny miecz i oparł się łokciami o krzyżak, mając przedsmak długiego i barwnego widowiska.

„Gołębkiem” zakołysało. Len zręcznie zabalansował, ale moja świeżo złamana noga okazała się niezdolna do takiego wyczynu i boleśnie plasnęłam na dupę. Obserwowanie rozgniewanego wampira od dołu do góry, okazało się dla moich nerwów jeszcze cięższą próbą.

— Oj, jak mnie boli noga! — Uciekłam się do ostatecznego środka, zamykając oczy.

— Kłamiesz — bezlitośnie odciął się Len, ale miecz opuścił. Schylił się, złapał mnie pod pachy i postawił na nogach. Odsunawszy się na krok, krytycznie obejrzał chwiejący się rezultat, bezceremonialnie wziął na ręce i gdzieś poniósł. Jakby nie do burty, tak że awanturowałam się i broniłam więcej dla przyzwoitości niż z potrzeby.

Wampir dał nurka pod dolny brzeg żagla, kopnięciem otworzył szeroko niskie drzwi, pochylił się i nie wypuszczając mnie z rąk, bokiem przecisnął się do malutkiej kajuty. Jak najbardziej ostrożnie i obojętnie wyładował brzemię na łóżko, robiąc to wszystko w milczeniu, zawrócił i wyszedł, po drodze złapawszy tkwiącą przy progu torbę. Zrozumiałam, że to była jego kajuta. I gdzież on teraz się podzieje? Będzie spać wprost na pokładzie?

Usiadłam i posepnie podciągnęłam zdrowe kolano pod brodę, objąwszy zgietą nogę rękami. I oni zwą się przyjaciółmi — przynajmniej dziękuję by powiedzieli! I nawet nie wstawili się, gdy ten nikiemny wampir wywlekł mnie

z pokładu! Może chciałam jeszcze pospacerować, rozejrzeć się, świeżym powietrzem pooddychać!

Ale prawdę mówiąc, w tej chwili morskie widoki interesowały mnie najmniej. Zaszyć by się w jakiś zaciszny zakątek, wyleżeć się w ciepłe i ciszy, z głową otuloną kołdrą... I co najobrazliwsze — Len to doskonale zrozumiał. Tak, że nawet pomstować na niego nie ma za co, a tak by się chciało!

Zresztą, uniesienie walką i podniecenie awanturą szybko minęły. Po ciele znowu zaczęła rozlewać się zdradziecka słabość. Uciekania się do magicznych stymulatorów nie zaryzykowałam — wszystkie działały na mnie słabiej i wołałam zapłacić za ich stosowanie teraz, póki dług nie stał się całkiem nie do udźwignięcia. Ale wylegiwać się w łóżku bez przytomności i opływać potem z gorączki — to mimo wszystko żadna przyjemność...

* * *

Następne dwa albo trzy dni przeleżałam w łóżku, w stanie mało przydatnym i do magicznych starć i dla innych radości życia. Wydaję się, że nawet bredziłam, od kogoś się odrywałam, kogoś rozpaczliwie się chwyciłam, wołałam...

Ale kiedy w końcu oprzytomniałam, nikogo obok nie było, chociaż wilgotna szmatka na czole jeszcze nie zdążyła się ogrzać, a resztki ziołowego wywaru w kubku — ostygnąć. Pokornie leżeć i czekać, aż ktoś raczy się mną zainteresować, rozumie się, że nie zamierzałam. I odświeżywszy zakłęcia (oprócz stymulatora — on jeszcze ujdzie, jakoś i sama sobie poradzę!), wygramoliłam się z łóżka, a dalej i z kajuty.

Jak w ogóle udało mi się wyczarować coś do rzeczy podczas sztormu — nie mogłam zrozumieć. Teraz, nawet przy stosunkowo spokojnym morzu, musiałam kurczowo złapać się za pierwszą napotkaną linę i przesuwając się wzdłuż niej. Oczywiście, przyjaciele natychmiast mnie zauważyli, ale demonstracyjnie zignorowali, nie podchodząc i milknąc, gdy się zbliżałam. Niestety, jeśli takim sposobem spodziewali się wyrazić wobec mnie zbiorową naganę, to towarzystwo bardzo się przeliczyło. Ponieważ wystarczyło abym się zachwiała, albo wydała męczeński jęk, jak potępiający mnie towarzysze migiem porzuciliby swoje konspiracyjne zgromadzenie i rzucali mi się na pomoc, dla pozorów, niezmiennie odtrącaną „wam-przecież-wszystko-jedno-czy-jestem-

żywa-czy-zluzuję-rzutki⁷⁴-w-strasznych-mękach”. Parę razy, kiedy nie symulowałam, kupił to nawet Len. Tak, że jeszcze nie wiadomo, kto kogo bojkotował!

Jak się okazało, ocknęłam się w samą porę. Po upływie pół godziny załoga rzeczowo zaczęła się uwijać koło olinowania, raz po raz spoglądając na niegodny uwagi obłoczek przy samym horyzoncie. Obłoczek nie ruszał się z miejsca, ale pomału rósł i jakby zaczął się zielenić, a woda pod nim zabarwiać się na intensywny granatowy kolor.

„Lesk” — w końcu to zrozumiałam. Z lewej strony wyłoniła się jeszcze jedna wyspa. Pomimo takiej samej odległości — z pięknie rozróżnialną plażą, drzewami i domkami. Widocznie, w Lesku, jak i w Dogewie, działał zniekształcający „efekt brudnopisu”.

Z takiej okazji osądzający i osądzana zgodzili się troszkę ze sobą razem wytrzymać i stłoczyli się na dziobie „Gołąbka”, z zainteresowaniem i obawą oglądając upragnioną ziemię.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że marynarze wcale się nie śpieszą, aby jak najszybciej przybić, a wręcz przeciwnie, zwijają żagle. Statek stopniowo zwolnił i zatrzymał się.

— Kontrola graniczna — cicho wyjaśnił Rolar, uprzedzając tym samym pytanie Orsany.

Zza zasnuwającej wyspę mgły wynurzyły się trzy mewy, po spirali nabrały wysokość i jak gdyby ześliznąwszy się z lodowej górką, po zwisającej linie pomknęły na statek.

— To nie mewy — nienaturalnie spokojnym głosem zaproponował Władca Dogewy, rozpinając pas z pochwą i razem ze swoim gwórdem rzucając go Walowi.

— A co?

Nad morzem rozległ się przenikliwy krzyk, przypominający jastrzębi. Orsana zadrżała i sięgnęła do wiszącego na ramieniu łuku, ale Rolar przechwycił jej nadgarstek:

— Tha’arshie. Wyspiarskie k’iardy.

Jasne płamki szybko się zbliżały, przekształciwszy się najpierw w ptaki, a potem — w długoskrzydłe konie, z lwimi ogonami i przylizanymi wiatrem grzywami.

⁷⁴ **Rzutka** - stosunkowo cienka lina, (8-12 mm średnicy), z włókien naturalnych lub syntetycznych, z obciążeniem na końcu, (tradycyjnie używano gałki bosmańskiej, woreczek z piaskiem, obecnie specjalne obciążniki z gumy. W rozwiązaniach prowizorycznych lub w miejscach o niskim standardzie można spotkać kawałek metalu) używana głównie przy manewrach cumowania statku. Ponieważ cumy są zbyt ciężkie, aby przekazać je na odległość większą niż kilka metrów, w momencie, gdy statek znajduje się kilkanaście metrów od nabrzeża, ze statku rzuca się rzutkę (ręcznie lub, rzadziej, za pomocą specjalnej wyrzutni). Po przywiązaniu rzutki do końca cumy można cumę przeciągnąć na nabrzeże i tam zamocować. <http://mec.fundacjamorska.org/index.php/Rzutka>

— Z przodu biały — szepnął Rolar.

— Widzę. — Len ze ściągniętą, nieprzeniknioną twarzą obserwował ich zniżenie się.

Obie z Orsaną zamilkłyśmy, wyczuwszy coś niedobrego. Kapitan nerwowo wytarł o spodnie spocone dłonie, załoga próbowała udawać elementy takielunku.

Śnieżnobiały koń, dźwięcznie stuknął kopytami o pokład, pomachał skrzydłami i starannie złożył je po bokach, uniósłszy płynnie zaokrąglone zgięcia. Nie miał siodła, a tylko cienką uzdę ze splecionych w warkoczyk rzemyków. Jeździec miękko, bezszelestnie zeskoczył na pokład. Potrząsnął głową, odrzucając na ramiona mlecznobiałe włosy, przyciśnięte na czole przez złotą obręcz, z trójkątnym rubinem w środku.

Nieopodal, zręcznie lawirując między olinowaniem, opuścili się rudoskrzydłaci i rudogrzywi. „Straż” — zrozumiałam, patrząc na nieprzeniknione twarze jeźdźców, którzy pozostali w siodłach — osadzili tylko rwące się do przodu konie, a te zastygły jak posągi.

A białowłosy już szedł ku nam — drapieżnym, sprężystym krokiem rysia biegnącego truchtem do znajdującego się we wnyku zająca. Otwarcie i bez pośpiechu, wiedząc, że zdobycz już nigdzie nie ucieknie. I oczy miał odpowiednie — nieczułe, przejrzyście zielone, jak morska woda. Lekka bryza targała luźną białą koszulę, z rozwiązany kołnierzem i podwiniętymi rękawami.

Zatrzymał się w odległości dwóch kroków od Lena, jak gdyby nie zauważając wszystkich pozostałych. Władca Dogewy i Władca Lesku skrzyżowali się spojrzeniami jak klingami.

— Arr'akktur tor Ordwist Szeonell, — szyderczo rozciągając słowa, powiedział białowłosy. Z wyglądu wydawał się starszy od Lena, bardziej żyłasty, z ostrymi liniami twarzy. — Reassten k'atar? Di kann't shere lerd?

— Sia-werden tor Ordlpael Virr'ta? — ledwie dostrzegalnie skłonił się Len, nie odrywając wzroku od twarzy kolegi. — Tesh derena, all'ka nerrs lekk.

— Lekk? — Ironicznie uściślił białowłosy i w tej samej sekundzie przed nosem Lena wystrzeliło i otworzyło się trzypłatkowe ostrze. Obie z Orsaną tylko jęknęłyśmy, nie zdążywszy zauważyć, jak wiszący za plecami u obcego gword prześliznął się do niego w ręce. — Ujepp pa ga, Lesk, jaKkaga kazzCza!

— Sheitt. — Len ani mrugnął.

— Olle tta'ka?

— Sheitt — Władca Dogewy nieugięcie skrzyżował ręce na piersi.

— Darre-ta kor?

Len tylko wzruszył ramionami. Gdyby wampiry były magami, iskrzyłoby się między nimi.

Władca Lesku, gwałtownie cofnął gword, jednocześnie zamykając ostrza. Przerzucił za plecy, nieszkodliwą z pozoru laskę. I już wskakując na konia, pogardliwie rzucił przez ramię, jakby splunął:

— V'ka ferr shain. Takk renny, Arr'akktur!

Śnieżnobiały i rudoskrzydłaci równocześnie wzbili się w powietrze, zakreślili krąg nad masztami i złapawszy wiatr, pomknęli do brzegu.

— Spójrz, nawet wjazdowego cła nie zażądali... — rozdziawił usta kapitan. — Ogren, Ryży, żwawo do żagli! Zawijamy do portu, dopóki Straż się nie opamiętała! Jak najszybciej dokonujemy rozładunku — i na składy, potem ghyr kto czego dowiedzie!

Na pokładzie podniosła się krzątanka, zaczęto biegać. „Gołębek”, znowu postawiwszy żagle, ruszył z miejsca, szybko nabierając prędkości. Len w milczeniu zabrał od Rolara swoją broń i ukrył się w jednej z kajut. Ukradkiem wytarłam pot z czoła, bardziej bezpośrednio ode mnie najemniczka wydała z uczuciem ulgi „ufff...” i oparła się plecami o maszt.

Rolar spojrział na nas ze szczerym zdumieniem:

— Co z wami, dziewczyny? Nie było żadnego niebezpieczeństwami... przynajmniej w danej chwili. Otwarty gword oznacza: „Ty mój wróg, ale teraz nie czas i nie miejsce”. I on nie zacząłby atakować nieuzbrojonego, to poniżej jego godności.

— Wcześniej nie mogłeś powiedzieć? — Oburzyłam się. — Dusza mi w pięty uciekła i ledwo się do ładowni nie zwała!

— Wprost przed nosem Werda? — Chrząknął Rolar. — Niby, że nie zwracaj uwagi na tego typu, teraz on poskacze naokoło nas, pomacha gwordem i zabierze się na własne śmieci?

— Tak. Teraz to Werd, — westchnęłam z uczuciem beznadziejności. — Tylko nie mów, że to jeszcze jeden z powodzeniem porwany narzeczony twojej siostrzyczki!

Wampir trochę się zmieszał:

— Jestem przecież Doradcą, od czasu do czasu wypada mi utrzymywać stosunki ze wszystkimi Władcami. Arliss i Lesk są w dobrych stosunkach, eksportują owoce morza — jakoby gnomiej produkcji, rozumie się, a my...

—... elfie sery — dokończyłam. — Pamiętam. O czym rozmawiali?

— Tak więc, Werd zainteresował się... po co przyjechaliśmy — zająknął się Rolar i domyśliłam się, że Władca Lesku użył innego wyrażenia. — Len odpowiedział, że bardzo przeprasza, ale zmuszony jest do naruszenia granicy

Lesku, nie ma wyboru i jest tu w bardzo ważnej sprawie. Następnie nastąpiła zwykła wymiana grzeczności...

— Niczego sobie grzeczności! — sarkastycznie prychnęła Orsana. — Ledwie nosa Lenowi nie odciachał!

— Według mnie, nie ucieszył się na nasz widok — poparłam przyjaciółkę.

— Naturalnie — niewzruszenie, potwierdził wampir. — Między rodami Szeonell i Virr'ta istnieje śmiertelna wrogość i jeżeli ktoś z nich wkracza na cudze terytorium, automatycznie ogłasza, że jest poza prawem. „Takk renny, — powiedział Werd. — Strzeż pleców”.

— Co?! — Moja dusza znowu próbowała zdezerterować do ładowni. — I co teraz będzie?

Rolar wzruszył ramionami:

— Wojna wiele zmieniła. Po niej w Lesku zostało zaledwie trzech jasnowłosych... a od jakiegoś czasu w ogóle jeden, Werd. Według mnie, krwi i tak przelało się więcej niż dość, chyba nie...

— Chyba nie?! — Przerwałam. — Akurat on tylko i czeka, kiedy się odwrócimy, powiedział to otwartym tekstem!

— Wolha, nie pleć bzdur. Zza winkła nikt nam w plecy nie będzie strzelać. W najgorszym przypadku Werd wyzwie Lena na pojedynek i jeżeli mu się poszczęści, rozplynie się przed nami w przeprosinach. Nawet pomnik na swoje konto postawi i każdego roku wieńce będzie przysyłać. To przecież nie byle jaki wróg a krewniak, przy czym ostatni z rodu!

— I ty o tym mówisz tak spokojne?! — Oburzyłam się. — A myślałam, — że Len to twój przyjaciel!

Wampir uśmiechnął się:

— Obaj są moimi przyjaciółmi. Dlatego i się nie martwię. Wolha, doskonale znam ich obu. Len nie zawadiaka, a Werd nie dureń. Doskonale rozumie, że może i tak się zdarzyć, że przeproszać nieutulonych w bólu krewnych może się przydarzyć i Lenowi, nie zacznie więc ryzykować pomyślnością swojej doliny. To rytualny zwrot, oznacza zaledwie, że nie znajdziemy w Lesku wsparcia. Ale dał nam trzy dni, żebyśmy mogli załatwić swoje sprawy i wynieść się stąd, inaczej wyrzucą nas z o wiele bardziej mniejszymi honorami... — Rolar w zamyśleniu podrapał się za uchem. — A biorąc pod uwagę, że początkowo nie byli tak znów...

Z niepokojem spojrzeliśmy na siebie i zrozumieliśmy, że jakoś niepostrzeżenie się pogodziliśmy.

— Niestety ty nasze! — tylko powiedziała Orsana. — I szo my teraz z tobą poczniemy?

Uśmiechnęłam się niezbyt pokornie:

— Sama z sobą wyśmienicie sobie poradzę. Lepiej opowiedzcie, co mnie ominęło?

— Wydaje mi się — nie bez aprobaty chrząknął Wal, — że ominęło nas nie mniej. Wyłuszczaaj, foczka! A później zdecydujemy, ot tak cię za burtę wyrzucać, czy też z rozhuśtaniem.

* * *

Szyper, pewnie nakierował statek prosto w przybrzeżną mgłę, ale gdy „Gołabek” praktycznie dotknął jej dziobem, mgielkę jakby krowa językiem zlizwała. Przed nami odsłonił się widok na cichy port, po brzegach zarośnięty jaskrawo-pąsowymi morskimi lotosami, a w jego głębi — nieduże cumowisko, obliczone najwyżej na pół tuzina statków. Obok niego znajdowały się w sumie dwa żaglowce i z dziesięć łodzi. „Czarnego Lisa” wśród nich nie było.

— Może został rozładowany i stoi na redzie gdzieś za wyspą? — Przypuścił Wal.

— Wypytam znajomych Strażników jak tylko przybijemy — obiecał Rolar. I natychmiast poprawił się sceptycznie: — jeśli przybijemy.

Rezultat harmonijnych wysiłków szypra, kapitana i załogi najbardziej przypominał cumowanie ze słuchu. W końcu ze wstydem, statek wpasował się do połowy w przydzielone mu gniazdo i rozległo się długo oczekiwane „rzucić kotwicę!”. Między burtą a cumowiskiem położono szeroką deskę (wyglądającą na wskroś przegniłą, ale żeby nie zapeszyć, wypowiedzieć tego przypuszczenia na głos nikt się nie ośmielił). Pierwszy, chwając się, zbiegł po niej, jedyny zapamiętany przeze mnie z ładowni szczur (chyba szczerze żałując, że nie zszedł na brzeg jeszcze w belorskim porcie). Rolar, nie ryzykując, z rozpędu od razu przeskoczył na cumowisko i po kolei podał nam obu (mnie i Orsanie) rękę. Wal na wszelki wypadek najpierw przerzucił miecz, a potem już przeszedł sam.

Len zatrzymał się, aby rozliczyć się z kapitanem, a my kontynuowaliśmy rozmowę już na przystani.

— A nuż się pomyliliście i „Czarny Lis” wcale nie płynął do Lesku? W tej części morza jest pełno wysp — i ludzkich, i elfich, i w ogóle niezamieszkanym. Co jemu zależało zmienić kurs?

— Możliwe. Wątpię jednak, żeby Władca osobiście wylatywał do każdego handlowego stateczku. — Jedna z rej z przeraźliwym skrzypieniem przekrzywiła się i runęła na pokład, okrywszy żaglowym płótnem dwóch marynarzy, którzy nie zdążyli się rozbiec. Rolar filozoficznie odprowadził ją

wzrokiem i dodał: — Tym bardziej do koryta ze szwabrami. I ani on, ani Straż nie mogli wyczuć innego Władcy, i do tego jeszcze z takiej odległości. Znaczący, ktoś powiadomił jego o naszym przyjeździe.

— Wygląda na to, że masz rację. Ale Werd chyba nie okaże nam podobnej grzeczności i nie zdradzi swojego informatora — westchnęłam. — A Lesk to duża dolina?

— Trochę mniejsza od Dogewy. Ustronnych miasteczek jest tam wystarczająco, jeżeli o tym mówisz. Nawet dla człowieka, tym bardziej — maga.

— Za to z wyspy on nie ma gdzie uciec — zauważyła Orsana.

— Najpierw trzeba upewnić się, że ten medrk⁷⁵ w ogóle tutaj wysiadł — sceptycznie burknął troll, podciągając i umieszczając za plecami miecz. — List dla głównego wampira mógł i przez pomocnika przekazać, a to całkiem tak samo jak z myszą...

— Wy — zrozumiałam i dokończyłam. — Ależ oczywiście! A jeszcze snułam domysły, jakim cudem udało się wam tak szybko zebrać razem w Opadyszczach...

Głośny, złowróżbny trzask zmienił się w taki sam plusk — na szczęście, już za Lenem. Wampir obejrzał się na pływające w wodzie odłamki i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Idziemy — rzucił zdawkowo, przechodząc obok. Wyraz jego twarzy nie spodobał mi się nie tylko dlatego, że rozmowa natychmiast się urwała, ale ponieważ potulnie pomaszzerowaliśmy za nim — po szerokiej, prowadzącej w górę, brukowanej drodze. Tuż za portem zaczynało się miasto — a raczej typowe, dla wampirzych dolin wysypisko domków tonących w zieleni drzew. Jesień jeszcze nie zdążyła dotknąć tutejszej trawy i liści, chociaż na jabłoniach nie został już ani jeden owoc, a jarzębiny pyszniły się jasnoczerwonymi gronami. Wypielegnowane podwóreczka przyciągały spojrzenie, jaskrawymi przeplatającymi się kwiatami wszystkich odcieni czerwonego koloru — od niemal czarnego do jasnoróżowego, płożącymi się po klombach albo zwisającymi ze stojących na parapetach doniczek. Ruda dachówka i pobielone ściany upodobały domki do zabawkowych.

Brakowało tylko nastroju, żeby się nimi całkowicie zachwycić.

— O-o... — z uczuciem przygnębienia wypuścił powietrze Rolar.

O natychmiastowym wypytywaniu Strażników nie mogło być mowy, gdyż ci pozostawali „w trakcie pełnienia służbowych obowiązków” i z takim samym powodzeniem mogliśmy prowadzić przyjacielską rozmowę z wyszczerzonymi

⁷⁵ Medrk — słowo z języka trolli.

kamiennymi gargulcami⁷⁶, stojącymi przy wejściu do Muzeum Wiedzy Nadnaturalnej. Nie, w oficjalny rząderek wzdłuż drogi się nie ustawiali, ale jednocześnie byli wszędzie — w zaułku, w padającym od domu cieniu, wśród tłumu... zastygłszy w napięciu, z drapieżnie rozwiniętymi skrzydłami i ze złożonymi do ciosu gwordami, nie spuszczać z nas oka.

Czy to honorowa warta, czy też... eskorta w drodze na szafot.

W Dogewie patrzono na Lena, jeśli nie jak na samego boga to, co najmniej jak na jednego z jego szczególnie zaufanych świętych — z pełnym czci drzeniem, w wykonaniu nazbyt wrażliwych panien, przechodzącym w szczenięcy zachwyty z rozmarzonymi przydechami.

W Lesku — jak na trędowatego. Nawet mnie, wiedźmę, nigdy w życiu nie obrzucano podobną nienawiścią i pogardą, zmieszaną z przerażeniem. Nawet Wał, zderzywszy się z jednym takim spojrzeniem, potknął się i od tego momentu wołał patrzeć sobie pod nogi.

A Len szedł. Wysoko podniósłszy głowę, z zupełnie nieobecny spojrzeniem, tak jak gdyby nie zwracając uwagi na rozstępujące się przed nim wampiry. My, nie umawiając się, zbiliśmy się wokół niego, żeby bronić go przed gotowymi, lada chwila posypać się ze wszystkich stron kamieniami i plunięciami. Ale przed tą grobową ciszą obronić go nie mogliśmy. Ponieważ, dla niego żadnej ciszy nie było.

Delikatnie dotknęłam jego ręki, ale on, sądząc po wszystkim, nawet tego nie poczuł.

Wydawało się, że ta ulica nigdy się nie skończy i kiedy Len niespodziewanie skręcił do jednej z furtek, mało co nie przemknęłabym obok. Wampir pewnie przeciął podwórko i zatrzymał się przed niemłodą wampirzycą, jakoś nieuchwytnie przypominającą Krynę — jeżeli oczywiście tej przysłoby do głowy stanąć na progu własnego domu, z dumnie wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi na piersi rękami, gotowej raczej zginąć, niż wpuścić do środka najeźdźców, bezczelnie spacerujących po bliskiej jej sercu dolinie.

Ale Len nie zaczął przepychać się na siłę. Odczekawszy chwilę, nie za głośno, ale zdecydowanie powiedział:

— Tylko jeśli nie będę miał wyboru.

Wampirzyca kilka sekund beznamietnie, badawczo patrzyła mu prosto w oczy, potem uprzejmie skłoniła głowę i usunęła się na bok:

— Gościć Was w moim domu — to dla mnie prawdziwy zaszczyt, Władco.

Len na chwilę przymknął oczy, na jeden oddech i znowu wzięwszy się w

⁷⁶ **Gargulec** - (rzygacz, garłacz, pluwacz, plwacz) – w architekturze, dekoracyjne, ozdobne, wystające poza lico muru, zakończenie rynny dachowej, z którego woda deszczowa ma swobodny odpływ. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Rzygacz>

garść, przestąpił próg:

— Dziękuję pani, Taell'in.

O ile sobie przypominam, tak ogromnie chciałam zatrzaskać za sobą drzwi tylko podczas zajęć praktycznych z nekromancji (drzwi były okute srebrem i prowadziły do poświęconego, rodzinnego grobowca, ćwiczenia odbywały się na modelowo-wzorcowym, niespokojnym cmentarzu i tamtejsze stwory chętnie demonstrowały adeptom, swoją różnorodność i możliwości; takiej obfitości nie spodziewał się i sam wykładowca, jako pierwszy dobiegając do grobowca...).

W środku domek okazał się wystarczająco przestronny i przytulny. Znalazło się po jednym pokoju dla Lena, dla mnie z Orsaną i dla Wala z Rolarem, a także jadalnia, gdzie się i zebraliśmy, urządziwszy się na nowym miejscu. Oprócz Lena. Rolar wsunął się do jego pokoju, aby go ponaglić, ale natychmiast z zażenowaniem, starając się nie hałasować, zamknął drzwi:

— Zgoda, niech odpocznie przez ostatnie trzy dni oka nie zmrużył.

— Dlaczego? — Zająknęłam się i natychmiast zacięłam ze zmieszania. No nie, czy ja go niby o coś prosiłam! Pędź tu na złamanie karku (i nogi!) na pomoc, walcz ostatkiem sił z trąbą morską, to i jeszcze zrobią cię winną!

Zjedliśmy obiad we czwórkę. Gospodyni nie dotrzymała nam towarzystwa — nakryła stół, uczciwie powiedziała smacznego i poszła sobie. Po pitraszeniu okrętowego koka nawet gotowane ziemniaki wydawały się najbardziej wyszukany jedzeniem, a Orsana na widok wędzonej słoniny ledwo się nie popłakała. Żeby urwać sobie kawałek tego smakowitego produktu, trzeba było skorzystać z telekinezy, gdyż przyjaciółka, bezwstydnie zaciągnęła na swój brzeg stołu cały półmisek.

— Wyjaśnijcie mi, jak zamierzaliście walczyć z magiem, którego możliwości bynajmniej nie ograniczają się do kradzieży tłuszczu? — Zapytałam, pośpiesznie wpychając w usta swoją zdobycz pod oburzonym spojrzeniem winesjanki.

— My nie — niechętnie przyznał się Rolar po przeciągającej się pauzie. — Len. Większa część zaklęć na niego nie działa, najważniejsze to — podejść na długość klingi.

— W tym właśnie sęk, że istnieje i ta mniejsza część — jak chociażby w rodzaju tej trąby morskiej! No dobrze, przypuśćmy, że mu się powiedzie, ale dlaczego zabrał was ze sobą?!

— Uczciwie mówiąc — Rolar z Orsaną ze zmieszaniem wymienili między sobą spojrzenia, a Wal odchylił się na oparciu krzesła i z zadowoleniem wyszczerzył zęby w uśmiechu na całą gębę — nas nikt nie zabierał. Nawet wręcz odwrotnie. W przypadku powodzenia obiecano nam takie radości życia,

że lepiej samemu pójść i się powiesić!

— Tak więc dlaczego wy...

— A ty? — Nie mrugnawszy okiem przerwał mi wampir.

— Bo... jestem przecież Najwyższą Wiedźmą Dogewy... to mój święty obowiązek wobec wypłaconej za półtora roku płacy! — Gorączkowo zaczęłam się wykręcać. — I w ogóle, Mistrz praktycznej magii nie może stać z boku, kiedy po jego ojczystym kraju, bezczelnie przechadza się banda łotrów, niedająca żyć uczciwym ludziom i wampirom!

— W lustrze lepiej się przejrzyj, Mistrzu, — westchnął Rolar.

Przez głupotę spójrzałam. No tak... Do pełni obrazu brakowało jeszcze tylko zbutwiałego w połowie całunu. Zresztą, całkowicie zastępowała go wyswiechtana kurtka, która jeszcze dwa miesiące temu była całkiem nowa. Ale to przecież nie powód żeby mnie zakopywać!

— Trele morele — burknęłam. — Po prostu trochę się zmęczyłam.

— A do tego jeszcze trochę złamałam nogę i odrobinę zmizerniałam aż do kości — przytaknęła Orsana, a Wal z zabójczą szczerością podsumował:

— Nie, foczka, wdepnęliśmy w jedno i to samo zdrybu thaja⁷⁷, przy czym, w odróżnieniu od tego złego wampira, doskonale zdając sobie sprawę, w co się pakujemy!

— Nawiasem mówiąc, ktoś mi mówił, że za darmo to tylko upiory wyją — dociełam. — A to zajęcie wybitnie dobrowolne, w ramach pracy społecznej! Skąd więc taki entuzjazm?

— Foczka — Wal pobłażliwie klepnął mnie w ramię, — wybitnie dobrowolnych zawieruszek, podczas których zwycięzcy cokolwiek rzeczywiście by nie przypadło w udziale, po prostu nie ma! A nasz wampir niech się i rzuca, ale nie posiada się z radości, że się do niego przyczepiliśmy, chociażby i tylko dla moralnego wsparcia, za które potem z niego zedrzymy!

Ponieważ dla trolli najemników najbardziej zbliżona do pojęcia „bezinteresownie” była zgoda na pracę bez zaliczki, z szacunkiem przeciągnęliśmy „o-o-o-o...”, a ja ukradkiem ściągnęłam jeszcze kawałek słoniny.

— Już wystarczy — westchnęła Orsana, na wszelki wypadek przykrywając półmisek rękami, — wydaje się, że oprócz nas, Lena nikt tutaj nie zamierza wspierać. I po czemu oni tak na niego naskoczyli, szo?

Rolar zupełnie odruchowo wzruszył ramionami — znał odpowiedź:

— Widocznie uznali, że Len przyjechał do Lesku, aby wyrównać rachunki z ich Władcą. Przed wojną coś takiego się zdarzało i czasami nawet po kryjomu

⁷⁷ **Zdrybu thaja** - „Dosłownie (od trzeciego): bardzo duża ilość świeżego smoczego gówna.” [przypis Olgi Gromyko]

się spotykano, jednak wtedy wynik pojedynku nie decydował o losie całej doliny. Wątpię, żeby w Dogewie Werda czekało serdeczniejsze powitanie.

— O, Strażnicy sobie poszli! — z ulgą zauważyłam, przypadkowo spojrzawszy w okno.

— Doskonale! — Rolar odsunął talerz i podniósł się zza stołu. — Pójdę więc i się przejdę po dolinie.

— A czy to nie niebezpiecznie? — Zaniepokoiła się Orsana, na chwilę zostawiwszy słoninę bez opieki i natychmiast straciwszy jeszcze kilka kawałków, tym razem po prostu capniętych przez Wala.

— Nie. Jak tylko nas wpuszczono do jednego z domów, przestaliśmy być uważani za obcych. Przynajmniej, niewymagających stałego nadzoru.

Winessjanka pochwyciła zamyślane spojrzenie Wala „co by tu jeszcze na ruszt...” i demonstracyjnie przestawiła półmisek na kolana.

— A mogli nie wpuścić? — Zdziwiłam się.

— Z łatwością. — Rolar ściszył głos, patrząc z ukosa na zamknięte drzwi do pokoju gospodyni. — Uczciwie mówiąc, byłem pewny, że nie wpuszczą. Ale Len potrafił jednak odszukać, czy też nieco namówić jedyną serdeczną mieszkankę Lesku. Nie mogę zrozumieć, jak to mu się udało wśród tylu... hm... nieprzyjaźnie nastawionego tłumu, a przy tym nie załamać się i nie zwariować. Nie, jednak dobrze, że nie jestem Władcą... a w młodości to jeszcze siostrze zazdrościłem, głupek ze mnie!

— Ale co takiego jej powiedział?

— Zapewnił, że pierwszy nie chwyci za gword, jeżeli Werd sam nie rzuci mu wyzwania. A ten w ogóle, to ma prawo do zrobienia tego w każdej chwili, jeżeli dojdzie do wniosku, że wróg nadużył jego cierpliwości. Ale jak już mówiłem, Werd nie dureń i jakoś nas ścierpi przez trzy dni.

— A po czemu ona nazwała go Władcą, i jeszcze z takim szacunkiem? — przypomniała sobie Orsana. — Przecież ma swojego.

— Tak naprawdę białowłosych od niepamiętnych czasów nazywają Władcami Śmierci — odezwał się Rolar już od progu. — I z nich właśnie wybierano Władców Dolin. A ponieważ po walce wypada wybierać w najlepszym wypadku z dwóch, te tytuły są praktycznie synonimami. Dobra dziewczyny, my idziemy, nie kłóćcie się tu bez nas!

W ostatniej minucie do wampira przyłączył się Wal, zdecydowany rozprostować nogi i popatrzeć na Lesk, uchodzący za najpiękniejszą z wampirzych dolin. Zostało mi tylko smętnie posapać w ślad za nimi, wygodniej moszcząc nogę na drugim krześle.

W czasie, gdy obie z Orsaną gadałyśmy o różnych głupstwach, przy sposobności próbując przywrócić jej naturalną barwę skóry, (ale uzyskałyśmy tylko równomiernie niebieskawą; racja, poszperawszy w pamięci pocieszyłam ją, że za dwa-trzy tygodnie upiorna twarz wyblaknie sama z siebie), ściemniło się. Gospodyni domu, nienatrętnym cieniem snując się po jadalni, rozpałała ogień w kominku i zabrała puste naczynia, na zamianę postawiwszy na środku stołu półmisek z gorącymi bułeczkami.

Apetyczny zapach i stukanie kubków w końcu wywabiło z pokoju Lena — zaspanego, rozczochranego i z jeszcze bardziej zmęczonym wyglądem. Podszedł do stołu, na minutę zamarł, ukrywając twarz w dłoniach, potem zdecydowanie potrząsnął głową, nalał sobie mleka z dzbanka, wyciągnął rękę po bułeczkę i, przelotnie spojrzawszy na mnie zauważył:

— I dlaczego tak gniewnie milczysz!

Zamilkłam jeszcze gniewniej. Możliwe, że stałoby się to początkiem ożywionego omawiania spraw o szczególnie osobistym charakterze, a już bardziej, awantury między „kochankami”, ale wtedy wrócili Wal z Rolarem.

— „Czarny Lis” w ogóle nie zawijał do portu — wprost od progu zaskoczył nas arlissjanin. — I nie przybijał nigdzie do brzegu, a na redzie teraz nie ma ani jednego statku.

— I gdzie go teraz będziemy szukać? — z rozczarowaniem zauważyła Orsana.

Arlissjanin bezradnie rozłożył ręce. Ze złości grzmotnęłam pięścią w stół:

— Wychodzi na to, że na próżno tutaj przyплыliśmy?

— Zależy z czyjego punktu widzenia. — Len spokojnie dopił mleko, podniósł się i pod naszymi pełnymi zdziwienia spojrzeniami podszedł do drzwi — jak raz w tej samej chwili, kiedy krótko i gwałtownie w nie zastukano.

Skuliłam się od wpuszczonego do pokoju wiatru. Stojący na progu Strażnik, ostentacyjnie, ale oficjalnie przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął w stronę Lena, przewiązany czarną wstążką zwitek, sklejonny czarnym lakiem z pieczęcią.

— Wr'aest tharn, — sucho powiedział Władca Dogewy.

Posłaniec wstał, skłonił się i nadal cały czas milcząc przepadł w ciemności. Len zamknął drzwi, ale na nas jakby nadal wiało chłodem i przytłaczającym przecuciem kolejnego świństwa ze strony do reszty rozzuchwalonego losu. Nikt się nie poruszył, póki wampir, trochę odczekawszy, w złowieszco brzmiącej ciszy, z chrzęstem nie złamał pieczęci, potem jeszcze jednej, i

pobieżnie, jakby dla formalności, przebiegł oczami po rozwiniętym liście. Czy to ironicznie, czy też potwierdzająco chrząknął.

— No szo tam? — Nie wytrzymała Orsana.

Władca Dogewy powoli zgniótł papier i rzucił go w ogień. Pergamin poczerniał i jaskrawo buchnął płomieniem oświetliwszy poprzecinaną cieniami, jak gdyby wyciosaną z granitu twarz wampira.

— Władca Lesku, Sia-werden tor Ordlpael Virr'ta, wyzwiał mnie na pojedynek. Dzisiaj o północy, na rytualną broń.

* * *

— Nie możesz się z nim bić!

— Rolar, zabierz ją ode mnie. — Len, stojąc przy oknie, lewą ręką w skupieniu zaciągał sprzączki prawego karwisza.⁷⁸

Z pozostałym ekwipunkiem już się uporał: czarny obcisły bezrękawnik pod szyję, z wycięciami na skrzydła, na nogach — w takim samym stylu spodnie i wysoko, gęsto sznurowane buty. Włosy zaplecione w krótki — góra na trzy palce — warkoczyk, z którego po bokach wydobyło się, po kilka krótkich kosmyków włosów. I gword, na razie niedbale oparty o ścianę.

Rolar zabrał mnie w dosłownym znaczeniu tego słowa — objął za plecy, przycisnąwszy ręce po bokach, mimo gniewnych krzyków odniósł do wyjścia, ostrożnie wystawił za próg i zatrzasnął drzwi. Chciałam kopnąć je nogą, ale w porę przypomniałam sobie, że nie mam już ich tak wiele i tracić ostatniej przez jakiegoś wampira nie było warto. Niech będzie, popilnuję na ganeczku — przez komin przecież nie wylecą!

Długo nie czekałam, najwyżej dziesięć minut. Jeśli Len miał nadzieję, że się znudzę i sobie pójdę, albo pożre mnie jakiś nierozważny wilkołak, to srodze się rozczarował, ale nawet brew mu nie drgnęła, gdy przechodził obok mnie, jak obok pustego miejsce.

— Wolha, może jednak tu na nas poczekaasz? — Nieśmiało poprosiła Orsana. Spojrzałam na nią w tak znaczący sposób, że przyjaciółka tylko westchnęła i wyciągnęła do mnie rękę, ale ostentacyjnie ją zignorowałam.

⁷⁸ **Karwasz** – jeden z elementów broni ochronnej. Karwasze służyły do ochrony całego przedramienia wojownika, czasami zachodząc także na łokieć. Najczęściej spotykane były dwa typy: skórzany szeroki pas zapinany na przedramieniu za pomocą klamer lub rzemienia, bądź żelazne składające się z dwóch odpowiednio ukształtowanych kawałków płytowych, przedniego i tylnego, łączonych za pomocą zawiasów i spinanych małymi sprzączkami na skórzanych paskach. Karwasze były również stosowane przez łuczników, jako ochrona przedramienia przed uderzeniami cięciwy. Karwasze łucznicze wykonane były z grubej świńskiej skóry przewiązanej rzemieniami.

<http://www.google.pl/search?q=karwasz+obrazki&hl=pl&biw=1024&bih=605&prmd=ivns&tbm=isch&tbo=u&source=univ&sa=X&ei=kEzdTYaZB43LtAaG9bTIDg&ved=0CBoOsAQ>

W sumie procesja (inaczej nazwać tego ponurego pochodu język nie potrafił) wyglądała tak: na jej czele stanął Len, w czarnym ubraniu, wydający się przez to trupioblady; po jego bokach, pozostając w tyle o krok, szli Rolar i Orsana. Za nimi, zrzuciwszy na ramię dwuręczny miecz, kaczym chodem maszerował Wal za pomocą drzazgi, dogłębnie eksploatujący pokłady wartościowych kopalin między zębami.

Z tyłu, w pewnym oddaleniu, kuśtykałam ja (z takim tryskającym, „zdrowiem” wyglądem, w sam raz żeby iść akurat na przedzie przy smutnej muzyce), z złośliwą satysfakcją zauważając, że przyjaciele raz po raz rozglądają się z niepokojem. Oprócz Lena. Zresztą, nie miałam wątpliwości, że działałam mu na nerwy nie mniej niż on mnie.

Czy to my się spóźniliśmy się, czy też Werd się niecierpliwił, żeby jak najszybciej zacząć i skończyć, ale stał już (w towarzystwie dwóch Strażników) na umówionym miejscu. Prawda, wyraz twarzy miał ponury i niezadowolony, jak gdyby to nie on, lecz my wyrwaliśmy go z łóżka i zmusiliśmy, jak idioci, do przestępowania z nogi na nogę na małej polance pośrodku lasu. Ale Władca Lesku nie zaczął czynić nam wyrzutów za spóźnienie i ledwie zaszczycił przeciwnika skinieniem głowy, zdjął i niedbale rzucił swoją kurtkę, jednemu ze Strażników. Drugi z szacunkiem podał mu gword.

Len niósł sam swoją broń i tylko ujął ją obiema rękami, ale nie spieszył się wysuwać ostrzy, czekając, póki Werd nie zajmie bojowej pozycji na przeciwległym brzegu polany.

Rytualny gword przypominał dwuarszynową laskę z twardego, czymś nasączonego drewna o czerwonym odcieniu, pokrytej w jednej trzeciej części żelazem. Żadnych deseni, ozdób, grawerowań — tylko wypolerowane przez dłonie drzewo i imponująca ilość zadrapań na okuciu. Ważył niewiele więcej od zwykłego miecza, ale trzymać go należało obiema rękami, na dwie piędzi odsunawszy się od końców. W środku ukrywała się klinga — trzy szczelnie przyciśnięte do siebie nawzajem ostrza, zrównoważone ciężką rękojeścią o wyglądzie wilczego pyska — u Lena, a orlej głowy — u Werda. Jeśli w zwykłym gwordzie klinga wyskakiwała i rozchodziła się automatycznie przy uderzeniu, to tutaj wojownik mógł sam regulować długość i kąt jego otwarcia, ograniczwszy się do klutej rany, albo dosłownie do wypatroszenia przeciwnika. Len pewnego razu pokazywał mi, jak to się robi, ale nawet ze zwykłym mieczem nie umiałam za dobrze żyć w zgodzie, a co dopiero poprawnie obliczyć nachylenie, szybkość i moment obrotowy gworda w każdej chwili zadania ciosu nie potrafiłabym tym bardziej.

Polankę oświetlał tylko sierp księżycyca i jasno świecące stradeńskie⁷⁹ gwiazdy. Trawa pod nogami, krótka i miękka, wydawała się jak gdyby specjalnie ją wysiano, ale zdaje się, że już dawno nikt jej nie niepokoił, dawszy spieść się w gęstą i szczelną darni.

Na polanie nikogo nie było, oprócz nas i Strażników. Przyszło mi na myśl, że mieszkańcy Lesku nie podejrzewają nawet, co się dzieje w najświętszym lasku za miastem. Cóż, trzeba oddać Werdowi należyty honor? — Z tej przewagi nie skorzystał. Spróbujcie stoczyć walkę z przeciwnikiem, którego wspiera wielotysięczny tłum, gotowy w przypadku jego porażki rozerwać zwycięzcę na strzępy!

Rolar pociągnął mnie za rękaw, zmusiwszy do wycofania się w cień pod drzewami.

Werd w końcu powoli doszedł do potrzebnego miejsca (nawet ja bym szybciej dokuśtykała!). Przeniósł ciężar z nogi na nogę, pochylił się i podciągnął cholewę buta. Wyprostował się. Gwordem w prawej ręce zrobił powolny półobrót i z cichym klaśnięciem położył na nim drugą dłoń. Werd z zamyśleniem spojrzał na podrapane okucie i... nie, nie przesunął się, a bezdźwięcznie, błyskawicznie przyjął bojową postawę. Len jak gdyby w lustrzanym odbiciu powtórzył nieuchwytny dla ludzkiego oka manewr.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Oczywiście i wcześniej zdawałam sobie sprawę, że idziemy na spacer bynajmniej nie w celach rozrywkowych, ale jedna sprawa — zdawać sobie sprawę a całkiem inna — na własne oczy zobaczyć, że żartować tu naprawdę nikt nie ma zamiaru! Udać omdlenie, czy może, przewrócić się? Nie, z wampirami ten numer nie przejdzie... tylko wyśmieją albo też w ogóle w milczeniu za nogi gdzieś w krzaki odciągną, żebym nie przeszkadzała.

— Tekkst er? — Czy to zapytał się, czy też uściślił Władca Lesku.

— Wei'kk, — kiwnął głową Len.

Widziałam już jak walczą wampiry... ale nie jasnowłose. Nie było żadnego ostrzeżenia, ani pozorowanych ciosów-wypadów — tylko złudna cisza „do” i zwariowany wicher „po”. Pojąć, gdzie Len, a gdzie Werd, było niemożliwe — po polanie miotła się, zdławionym głosem ryczała, łopotąła skrzydłami jednolita bryła ciemności, w której było widać przebliski błyskawic ostrzy.

Drzewa dookoła polany rosły dość rzadko, ale żaden z wampirów nie przeciął nienamacalnej granicy nawet brzeżkiem ubrania, jak gdyby wojowników i widzów oddzielała magiczna ściana. Wydawało się: wysuń za nią podniesioną z ziemi gałązkę — a ona natychmiast rozleci się w drobne drzazgi.

⁷⁹ Stradeń — w języku bel orskim: ostatni miesiąc lata. [przypis Olgi Gromyko]

Napięcie narastało. Im dłużej nic się nie działo, tym wyraźniej się stawało, że lada chwila, nieuchronnie coś się wydarzy. A kiedy z czyjegoś gworda, zakreślającego w locie łuk, zerwały się i gwiazdkami rozprysły się po mojej kurtce ciemne krople, nie wytrzymałam. I zmrużywszy oczy, rzuciłam się w największy gąszcz walki, malowniczo wyobrażając samą siebie w zamkniętej trumnie.

Zatrzymali się natychmiast, w takich swobodnych pozach, jak gdyby jeszcze nie zaczęli pojedynku. Obaj patrzyli na mnie, jak szlachetnie urodzone damy na karalucha, który podczas dyplomatycznego przyjęcia spadł z sufitu na środek stołu. Kto kogo zranił, tak i nie udało mi się dowiedzieć.

— Arr'akktur, tokkin wa shainn, — znużonym głosem poprosił Werd.

Z gniewu nawet tłumaczenie nie było mi potrzebne.

— Nie jestem jego narzeczoną! Ale przyjaciółką i nie pozwolę...

— Przyjaciele — szyderczo przerwał Władca Lesku, — nie wtykają nosa w nie swoje sprawy, jeżeli nie chcą do końca życia nosić go w kieszeni. Sam dokonał wyboru i ponosi tego konsekwencje. Zabieraj się z kręgu, dziewczyno!

— Wolha, odejdz!

Nie zaszczyciłam Lena nawet jednym spojrzeniem, a już tym bardziej nie zamierzałam posłuchać się Werd.

— Ghyr z wami dwoma! To z mojego powodu Len przyjechał do twojej parszywej doliny, chociaż wcale go o to nie prosiłam! I jeżeli tak już nie możesz wytrzymać żeby go zabić, to zacznij ode mnie!

Na niewyrażającej żadnych uczuć twarzy Władcy Lesku po raz pierwszy przemknęło coś ludzkiego. Słuszniej, naturalnie wampirzego.

— To on przysłał mi wyzwanie, — powoli powiedział Werd, patrząc mi prosto w oczy. Skuliłam się, chociaż wiedziałam, że odczytać moich myśli nie może — niejednym raz wypróbowywany na Lenie magiczny blok wytrzymywał dwadzieścia minut. — Twoim zdaniem, powinienem być odmówić?

— Ja! — tak szczerze zmieszał się Len, a razem z nim i my, że Władca Lesku przestał się w końcu sarkastycznie uśmiechać i ze zdumieniem wzruszył brwiami. — Sia-werden, z całym szacunkiem, Pańska odrąbana głowa interesuje mnie w taki samym stopniu, co — cała!

Znacząco prychnęłam i skrzyżowałam ręce na piersi. Zdumiona wymiana spojrzeń wszystkich ze wszystkimi zajęła pięć minut. Szczególnie starała się Orsana.

— Pokażcie zwitek — niespodziewanie pokojowo poprosił Werd, stawiając gword ostrzami do góry i opierając się na nim, jak na kopii.

— Spaliłem go — ze zmieszaniem wyznał Len. Władca Lesku potaknął

głową:

— Ja również. To tradycja. Rolar?

Arisjanin z szacunkiem pochylił głowę:

— Widziałem posłańca i wyzwanie na własne oczy.

— Teraz już nie będziecie walczyć, prawda? — Żałośnie zapytałam czując, że zaraz się rozplacę. Jasnowłosi wymienili spojrzenia.

— T'ta melli karr'st, Arr'akktur — ironicznie zauważył Werd. Przeciągnął po złączonych ostrzach opuszkami palców, potem znacząco dotknął ich językiem. — K'kan allaen..

— Shenn ta — wyrażając niezadowolenie rzucił Władca Dogewy, opuszczając gword i wychodząc z kręgu.

Werd tylko się uśmiechnął, nie szyderczo, jak wcześniej, ale jakby ze współczuciem. Chociaż rozróżnić cokolwiek w ciemności było trudno. Władca Lesku zatrzasnął gword i poszedł sobie, nie oglądając się. Skrzydlata świta, nie wymówiwszy ani słowa, bezszelestnie przesunęła się w ślad za nim. Len, nie zwracając uwagi ani na nich, ani na nas, takim samym szybkim krokiem udał się z powrotem do domu. Coś podpowiedziało nam, że wołać go albo gonić za nim nie powinniśmy.

— Kto zadał to uderzenie? — Szepnęłam, licząc na to, że Rolar zobaczył więcej ode mnie i Orsany. Odczekawszy chwilę wampir niechętnie wyznał:

— Werd jest o wiele starszy i... hm... bardziej doświadczony. Len jeszcze nigdy nie musiał walczyć z jasnowłosym. Zresztą, do pierwszego razu trzymał się całkiem nieźle — pośpiesznie dodał wampir, spojrzawszy na moją i Orsany twarz.

— A w ogóle miał jakąś szansę? — Zdrętwiawszy, uściśliłam.

Arlisjjanin przemilczał, grzebiąc w ziemi noskiem buta i bacznie studiując rezultat.

— Ależ oczywiście, postawiłbym na niego parę miedziaków, jeden do pięciu, — chrząknął bardziej cyniczny troll. — Dobra, idziemy stąd, bo mnie już komary do reszty zgryzły!

W końcu do nas dotarło, że tkwić pośrodku wilgotnego ciemnego lasu, kiedy z takim samym powodzeniem, można porozmawiać po drodze, to głupota.

— Przecież mówiłeś, że doskonale ich znasz! — Nie mogąc się powstrzymać, wypomniałam Rolarowi. — A pojedynek o mało co się nie odbył, a ty nawet palcem w bucie nie kiwnąłeś, żeby temu przeszkodzić!

— Widzisz, Wolha... — Wampir na wszelki wypadek odgrodził się ode mnie Walem i dopiero wtedy, tłumiąc śmiech dokończył: — Ja równie dobrze znam ciebie.

— Ddd... doradca — byłam w stanie tylko wypuścić głośno powietrze. Sił, aby obiec trolla nie miałam, i tak wlokłam się na równi z przyjaciółmi ostatkiem sił, a raczej, dumy.

— Za to — optymistycznie zauważyła Orsana, — teraz wiemy, szo jakiś drań po Lesku wciąż hula! Wyzwanie przyniosła nam wcale nie myszka. Jak sobie chcecie, jak nie sam czarownik, to jego wampir, a Werd na pewno wie, gdzie go szukać!

Znacznie otrzeźwieliśmy. Po ożywionej dyskusji zostało postanowione, że szukanie wampira po ciemku — to zły pomysł, należy poczekać do rana (z tego powodu jak raz nikt nie rozpaczał, wszyscy szalenie chcieli spać albo chociażby po prostu się położyć), a dopiero potem rozwinąć burzliwą działalność z zastosowaniem magii, telepatii, krasomówstwa i bacznej obserwacji, (co czasami okazuje się najbardziej skuteczne) tym bardziej, że dysponowaliśmy specjalistami we wszystkich tych dziedzinach.

Pochłonięci rozmową z przyjemnym zdziwieniem odkryliśmy, że już dotarliśmy do domu, kiedy tylko oparliśmy się o drzwi. A gdyby nie troll, znany ze swojej praktyczności, przesterczelibyśmy na progu bitą godzinę, burzliwie gestykulując w takt układanego planu.

Drwa w kominku zdążyły się już przepalić, w domu było ciemno i cicho. Mimo woli ściszyliśmy głosy i natychmiast zgodnie zaczęliśmy ziewać. Życząc sobie nawzajem spokojnej nocy, przyjaciele rozeszli się po pokojach, a ja po omacku udałam się szukać wiadra z wodą, (ponieważ z lenistwa nie chciało mi się tworzyć pulsara) i nawet bardzo dźwięcznie znalazłam (zadźwięczało, gdy na nie wpadłam). Łapczywie napiwszy się i zmoczywszy skronie (zmęczenie, zamiast się cofnąć, ogarnęło mnie z podwojoną siłą; musiałam nawet oprzeć się o ścianę, aby złapać oddech), pokuśtykałam do naszego wspólnego z Orsaną pokoju, z mocnym postanowieniem zwalania się w butach prosto do łóżka i niech tylko ktoś odważy się mi w tym przeszkodzić!

Ale zamiast tego z jakiegoś powodu uchylłam drzwi do sąsiedniego pokoju.

Len, jak poprzednio, cały ubrany na czarno, leżał na kołdrze na łóżku, założywszy ręce za głowę i utkwivszy wzrok w suficie. Nieśmiało zakasłałam:

— Mocno cię zranił?

— To tylko draśnięcie.

Kiedy to mówił, nawet nie spojrział w moją stronę!

„Dość tego — ponuro pomyślałam, — moja cierpliwość się skończyła!” I ze złością zatrzaskałam drzwi... zostawszy wewnątrz pokoju.

Ignorowanie, agresywnie nastawionej wiedźmy w zamkniętym

pomieszczeniu o wymiarach półtora na dwa sążnie, okazało się o wiele trudniejsze. Len powinien chociaż zerknąć na mnie okiem, żeby w razie czego wiedzieć, w którą stronę uciekać.

W zasadzie mogłabym ograniczyć się do myśli, ale chciałam usłyszeć, chociaż jeden głos na swoją korzyść. Choćby i mój własny. Tak że nabrałam trochę więcej powietrza i z patetycznym zadęciem (och, przesadziłam... mimo woli pobrzmiwające w moim głosie wycie zmieszało mnie samą, a Len w przerażeniu podskoczył na łóżku, wreszcie obróciwszy się do mnie twarzą) zaczęłam:

— Zmuszona jestem Was rozczarować, Władco: chcecie tego czy nie, ale już tu jestem! Z nogą czy bez nogi — Was to nie dotyczy, ponieważ sama decyduję, co i jak mam rob...

Natchniona mowa została przewidziana na pięć minut, ale przeklęta noga nie chciała wysłuchać jej do końca, ugięła się w najbardziej niewłaściwym momencie. Kiedy magia kolejny raz przepędziła zasnuwający wzrok ból, Len siedział obok mnie na podłodze.

— Wszystko porządku — wycedziłam przez zęby. — Zapomniałam odnowić zaklęcie znieczulające...

Władca Dogewy milczał, uparcie wpatrując się w podłogę, jak gdyby posiadał jeszcze i zdolność widzenia przez przedmioty, a w piwnicy stała beczka z miodem pitnym. Domyślić się, o czym myśli, było niemożliwe. Speszyszy się, nieco spuściłam z tonu:

— No dobrze, to, że nie chcesz się ze mną ożenić... przynajmniej zrozumiałe... — Powiedzenie tego okazało się nieprawdopodobnie skomplikowane, za to dalej poszło dużo łatwiej i bardziej zdecydowanie: — Ale po jakiego ghyra odmawiasz mi w prawa do bycia twoim przyjacielem? Za co?!

Wampir wreszcie podniósł głowę, i ze zdumieniem zrozumiałam, że nie tylko nie jest zły, a wydaje się przygnębiony i zmieszany nie mniej niż ja.

— Wolha, chcę tego najbardziej na świecie. Od pierwszej chwili, gdy cię po raz pierwszy ujrzałem. — Len wziął moje ręce w swoje, czule pogłaskał białą, nieopalony paseczek na moim serdecznym palcu i dotknął go wargami. Potem zdecydowanie spojrział mi w oczy. — Ale wolę już w ogóle nie mieć żony, niż gdyby miałyby być martwa. To już lepiej, żebym to ja był martwy.

Zabrakło mi tchu, ale jednak znalazłam w sobie siły żeby zadziornie zaprotestować:

— A skąd ci przyszło do głowy, że martwy mąż mnie także nie porywa?! Oczywiście, na potrzeby wesela mogę zrobić z ciebie nawet bardzo rześkiego zombi... — W tak realny sposób wyobraziłam sobie narzeczonego w welonie (w

celu uniknięcia nieszczęśliwych wypadków wśród gości o słabych nerwach) i narzeczoną o kulach, że tego już wampir nie wytrzymał i się roześmiał. — Ale Len, niepokoję się o ciebie nie mniej niż ty o mnie! Wolę z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, majestatycznie przejechać się w białych pantofelkach przed Trójcą Starszych Rodu, z Kellą do pełnego kompletu, niż gorliwie łkać nad świeżym grobem! Przy czym, do tego jeszcze go kopać, a potem przez całe życie pielić! Ale dość już tego!

Łkać Len zgodził się i sam, przy czym już zaczął trenować. Wychodziło mu nawet nieźle, tylko nazbyt optymistycznie.

— Krótko mówiąc — nabrawszy otuchy, dokończyłam, — odstępować ci tego zaszczytu nie zamierzam, nie miej nadziei! Tak, że albo będziemy rozwiązywać problem obłąkanego czarownika razem, albo zabieram się za niego w pojedynkę, a ty się wstydz!

— Zgoda. Poddaję się. — Wampir wsunął jedną rękę pod moje kolana, a drugą objął w poprzek plecy. — Chwyć się!

— Co robisz?! — Nie zdążyłam się opamiętać, kiedy już się wyprostował, jakby nie czując mojego ciężaru.

— Chcę zanieść cię do łóżka. Wolisz, żebym zawłókł cię za nogi? — Len udał, że chętnie mi się podporządkuje i instynktownie złapałam go za szyję. — Jutro mamy wiele spraw, tak, że bądź tak łaskawa i wyśpij się jak należy, Najwyższa Wiedźmo! I jeśli jakimś cudem — a po cóż nam jeszcze potrzebni magowie? — wrócimy do Dogewy, możesz liczyć na nagrodę w wysokości połowy uposażenia!

— A dlaczego tylko połowy?! — Z ogromnym trudem udając sprawiedliwy gniew, podniosłam głos. — A dodatek za godziny nadliczbowe? A chorobowe?!

— Jeszcze i o delegacji nie zapomnij! — Chrząknął wampir, opuszczając mnie na łóżko.

— Wyzyskiwacz!

— Szantażystka!

— Sknera!

— Wiedźma!

— Upiór!!! Len?

— Tak? — Nagle i bez żadnego zdziwienia przeszedł na spokojny, życzliwy ton.

— Nie odchodź — cicho poprosiłam, przytrzymując go za rękaw. — Posiedź ze mną przynajmniej dopóki nie zasnę...

— Nie odejdę. — Len ostrożnie, żeby nie poruszyć mojej chorej nogi,

ulożował się na skraju łóżka. I już po chwili, w gęstniejącej, subtelnej ciszy ledwie słyszalnym głosem dodał: — Nigdy.

* * *

Chyba niezręcznie przekreśliłam się we śnie, bo obudziłam się z doskwierającym bólem w nodze. Szybko zrobiłam z nim porządek, ale o wiele bardziej skomplikowanie okazało się doprowadzenie do ładu, kotłujących się w głowie myśli. Z kwadrans posiedziałam na łóżku, patrząc w zalane przez światło księżycy okienko, potem nie wytrzymałam i zaczęłam stanowczo tarmosić leżącego obok mnie wampira:

— Len... no Le-e-en! Proszę, obudź się! Nie śpij! Mam do ciebie bardzo ważną sprawę!

— Jaka? — Sennie mruknął wampir, robiąc opieszłą próbę ukrycia się przede mną pod poduszką, ale na wszelki wypadek zabrałam i kołdrę. Czekająca nas istotnie poważna rozmowa i rozpraszających czynników powinno być jak najmniej.

— Len, słuchaj... ty to... może, jednak wyjdiesz za mąż za mnie? Tfu, ożenisz się! Co?

— Dobrze, wyjdę... — mruknął Władca Dogewy, obracając się do mnie plecami.

Z zakłopotaniem skierowałam wzrok na dwa złożone skrzydła, nie wiedząc, czy uważać to oświadczenie za oficjalną odpowiedź, czy też za próbę pozbycia się nocnego koszmaru w postaci mojej osoby, gdy nagle Len zaczął po cichu chichotać, a potem roześmiał się na cały głos i gwałtownie się odwróciwszy, wziął w objęcia.

— Wolha, uwielbiam cię! Ależ oczywiście, że chcę się z tobą ożenić! Jesteś wredną, złośliwą, upartą, rudą wiedźmą, ale nie wyobrażam sobie, co bym bez ciebie zrobił. Nie przestanę cię kochać ani za pięćdziesiąt, ani za sto lat i gwizdę na to, że chodzisz w podartej kurtce, ponieważ moja jest jeszcze gorsza. Razem pojedziemy do Jesionowego Grodu, do najlepszego elfiego jubilera i wybierzemy ci nowy pierścień — jakiego tylko zapragniesz, chociażby w nosie, jak u orków i on będzie tylko twój, a o naszym weselu będą krążyć legendy, ponieważ przypomnieć sobie szczegółów tygodniowej zabawy nie będą w stanie nawet najbardziej zahartowani w picciu pitnego miodu i najlepsi w swym fachu minstrele! Ale... tylko wtedy, jeżeli sama będziesz tego chciała. Rozumiesz?

Nie odpowiedziałam. Ponieważ ta chwila należała do czynów, a nie do

słów. Wydłużyła się w godziny, lata, wieki — lub po prostu czas stanął w miejscu i przestał w ogóle mieć znaczenie, jak i moje głupie obawy...

... niepotrzebnie się kiedyś martwiłam — kły zupełnie nie przeszkadzały!..

Ale pierwsze, co zrobię, jako Władczyni Dogewy — to wprowadzę karę śmierci za stukanie do drzwi w nieodpowiednim momencie!!!

Nawet nie podejrzewałam, że Len zna takie słowa. Prawdopodobnie odczytał moje myśli. Potem zerwał się z łóżka i poszedł do drzwi, a ja pośpiesznie naciągnęłam kołdrę aż po same pachy i wyciągnęłam ręce na wierzch, żeby nikt nie zaczął mieć wątpliwości, że wydaję ostatnie tchnienie, a Len z poświęceniem osładza moje ostatnie godziny.

Na progu stał Rolar z ponurą miną, zza jego ramienia zerkała zatrwożona Orsana. Z tyłu, w półmroku, majaczyła ciemna, trollopodobna masa.

— Mamy problem, Len — bez ogródek palnął wampir.

— A któż by wątpił — westchnął Władca Dogewy, wpuszczając przyjaciół do pokoju.

Zobaczywszy mnie, nie tylko się nie zdziwili, ale nawet nie pomyśleli, aby okazać współczucie, wydającej ostatnie tchnienie przyjaciółce. Wal to w ogóle tak niedbałe klapnął na łóżku w moich nogach, jakbym dysponowała ich niewyczerpanym zapasem. Orsana zamknęła drzwi i zatrzęsnęła okiennicę, wcześniej podejrzliwie wyjrzawszy przez okno. Te przygotowywania bardzo mi się nie spodobały, zmusiwszy na wszelki wypadek, do wniesienia swojego wkładu w postaci magicznej osłony przed podsłuchiwaniami.

Len skinął głową, zachęcając Rolara do rozpoczęcia opowiadania.

— W krzakach koło placu znaleziono martwego Strażnika. Jak się okazało, ze ściętą głową... — Arlisjanin zająknął się i ze zmieszaniem poprawił: — całkiem martwego. To Posłaniec, który przyniósł ci zwitek.

Rewelacje te istotnie w jednej chwili zmusiły nas do zapomnienia o wszystkim innym.

— Skąd wiesz?! — wypaliliśmy w tej samej chwili.

— Orsana usłyszała jakiś podejrzliwy rwetes na ulicy i nas obudziła. Poszliśmy na plac i spojrzeliśmy na trupa, a potem udaliśmy się w gości do Werda. Oczywiście, pod przysięgą zapewniwszy go, że to nie ty nas przysłałeś! — Szybko uściślił Rolar.

Władca Dogewy mimo wszystko przeszył go wściekłym spojrzeniem, a ja z wielkim zainteresowaniem zapytałam:

— I co?

— Najpierw potraktowano nas tam na podobieństwo obrażonego bazyliuszka, ale potem dość pokojowo porozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku,

że ktoś w imieniu Werda polecił Strażnikowi wręczyć Lenowi wyzwanie, a kiedy ten szedł zdać meldunek o wykonaniu zadania, zwabiono go w odosobnione miejsce i zabito.

— A w jaki sposób otrzymał zwitek Władca Lasku? — nie mogąc powstrzymać ciekawości, zapytał Len.

— Jakiś wampir przekazał go jednemu z wartowników Domu Narad i natychmiast się oddalił. W ogóle, to takie rzeczy należy przekazywać do rąk własnych — wyjaśnił Rolar dla mnie i Orsany, — ale Werd, oczywiście pomyślał, że to byłem ja i doszedł do wniosku, że po prostu nie chciałem zostać „czarnym zwiastunem”. Nawiasem mówiąc, wiadomość o przyjeździe Lena po prostu podrzucono mu na stół i wartownicy do tej pory gubią się w domysłach, jak nieznany „życzliwy” zdołał przeniknąć do Domu i do tego jeszcze pozostać niezauważonym.

— Wlazł przez okno, ot wielka rzecz — wzruszył ramionami troll. — Popatrzyłem, nie tak znowu i wysoko — wystarczy podskoczyć i podciągnąć się.

— A Straż? — podrzucił myśl Rolar. — Tam nawet mysz się nie prześlizgnie!

— Trzeba tam pójść i zbadać miejsce przestępstwa! — Zapaliłam się do pomysłu. — A jeśli tam utrzymały się jeszcze magiczne ślady zabójcy?!

— Wampira? — Sceptycznie uniósł w górę brwi Len, powściągając mój zapal. Wampira za pomocą magii rzeczywiście ghyr wyśledzisz, a człowiek nie zdołałby zaskoczyć znienacka Straży.

— Tam wystarczy i zwykłych strażników — uspokoił mnie Rolar. — Werd postawił na nogi, cały Leski garnizon i podwoił ochronę granicy. Straż już zaczęła przeczesywać dolinę, tak, że nam pozostaje tylko czekać, aż pułapka na myszy się zatrzaśnie.

— I nagle zamiast myszy w pułapkę wpadnie potężny, przebiegły i ogromnie zły szczur? — Zaniepokoiłam się. — Obawiam się, że przytrzaśnięty ogon nie zrobi czarownika bardziej ugodowym.

— Jeśli czarownik jest gdzieś w Lasku, to czuje się pewnie nieszczególnie — z złośliwą satysfakcją w głosie poparła mnie Orsana. — Przez Wolhę jego plan skłócenia wampirów runął (przybrałam dumną postawę) i najwyraźniej rzucić zabójstwa na poległego w pojedynku Władcę również się nie udało (Len się speszył). Teraz na pewno, podły czarownik miota się po swoim schronie, zastanawiając się, jakby tu jak najszybciej dać z wyspy nogę! A tu jeszcze Straż...

— Nie denerwujcie się, oni nie zaczną się sami do niego pchać. Po prostu

go wywęszą i zawiadomią Władcę, a on nas.

Powstało we mnie silne podejrzenie, że słowo „wywęszą” Rolar użył w dosłownym jego znaczeniu. Cóż, na wilcze stado, istotnie można liczyć. Nawet przy poszukiwaniu czarowników i wampirów.

Len w zamyśleniu zmierzwił sobie włosy, tak, że złota obręcz zsunęła mu się na oczy i o mało, co nie upadła na podłogę. Wampir ledwie zdążył ją złapać.

— Ciekawie, skąd ten łajdak wziął moją pieczęć?

— Każdą pieczęć można podrobić.

— Wolha, to pieczęć mojego Klanu a nie Dogewy, którą po kryjomu rozbijasz orzechy. Tak-tak, nie wywracaj oczami, wiem wszystko! Uczciwie mówiąc i sam nie jestem bez winy... Tak więc, pieczęć przekazywana jest z pokolenia na pokolenie i używana tylko w podobnych przypadkach. Zdobyć jej wzoru po-prostu jest niemożliwe, gdyż jej obecność na dokumencie oznacza, że podlega on bezzwłócnemu spalaniu.

— Bezzwłócnemu? — Uszczypliwie uściśliłam.

— Po wcześniejszym przeczytaniu. Nie bądź wredna, Najwyższa Wiedźmo. Na zewnątrz zwitka stawia się zwykłą pieczęć i nie przełamawszy jej, do klanowej dostać się nie sposób. Logicznie rozumując, podrobić ją mógł tylko Werd, który jako... hm... żywo zainteresowana osoba, doskonale zna ją z opisu, albo i widział na przesłanym jednemu z jego krewnych wyzwaniu.

— Albo jakiś inny Władca, który choć raz otrzymał podobny list! — Oświeciło mnie.

Len drgnął, ale, pomyślawszy chwilę, przecząco pokiwał głową:

— O ile wiem, przez ostatnie trzysta lat mój ród z nikim, oprócz Virr'ta, nie był na wojennej stopie.

— A sam Virr'ta? — Nie ustępowałam. — Przecież jego pieczęć również podrobiono!

— Wspólnych wrogów nie mamy. Ale kto powiedział — zachmurzył się Władca, — że ją podrobiono?

— Pieczęć Werda jest na miejscu, — zaoponował Rolar — Nią się nie posłużono. Prawdę mówiąc, Werd sam ją ledwie znalazł, przy czym w mocno nadgryzionym przez myszy stanie.

— Mógł mieć i zapasową.

— A ty masz? — Sarkastycznie zapytał arlissjanin.

Len już i sam zrozumiał, że robi z siebie durnia, i przestał burczeć pod adresem krewniaka. Jeszcze troszkę naradziliśmy się, ale bez szczególnego powodzenia. Pomóc Straży w żaden sposób nie mogliśmy, pozostawało tylko oczekiwanie na ich doniesienia. A siedzieć w tym celu w pięcioro na jednym łóżku

było całkiem bez sensu.

Musiałam wyjść razem ze wszystkimi — przyjaciele, rozumie się samo przez się, zatrzymali się na progu, czekając mnie.

Pocieszało mnie tylko to, że teraz mogę wrócić o każdej porze.

* * *

Pogodziłam się już z tym, że nie uda mi się normalnie pospać tej nocy i położyłam się dosłownie na minutkę, z przyjemnym zdziwieniem obudziwszy się późnym rankiem. Z jadalni dochodziły to stopniowo podnoszące się, to gwałtownie opadające do szeptu głosy. Tak to bywa, kiedy nie chce się kogoś obudzić, ale czasami się o tym zapomina. Mrużącą sennie oczy wiedźmę powitano okrzykami i z ulgą, i już na cały głos, kontynuowano rozmowę, chociaż jeszcze jedno miejsce przy stole było puste.

— A gdzie Len?

— Poszedł znowu na polanę komary karmić. — Wał obgryzł kurzą kość, celnie rzucił ją do wiadra na pomyje i z kpiną w głosie dodał: — a jeżeli któremuś się poszczęści, to i wrony!

— Co?! — Szybko zajrzałam do pustego pokoju. Gworda w kącie nie było.

— Oni po prostu trenują — uspokoił mnie Rolar. — Len poprosił Werda, żeby ten dał mu parę lekcji.

— I on się zgodził?!

— Oczywiście. — Wampir włożył do ust ogromną łyżkę sałatki, ledwie mieszczącą się między kłami.

Westchnęłam. Nic z tego nie rozumiem — uczyć swojego wroga własnych chwytów? Rolar spojrział na moją zaskoczoną minę i przeżuwszy wyjaśnił:

— Wolha, sens nie w tym, jak dobrze władasz gwordom. Tu większe znaczenie ma zręczność i szybkość, aniżeli to jak bardzo niebezpieczny jest twój przeciwnik, tym większy honor przyjąć śmierć z jego rąk. Nie mówiąc już o tym, żeby zwyciężyć. Zresztą — wampir ściszył głos, — niech lepiej Władcy upuszczą pary teraz i więcej nie będą się dręczyć głupstwami po nocach. A zgodnie z etykietą to jakoś nieprzyzwoicie wygląda — spotkać się i nie stoczyć walki! Choćby dla oczyszczenia sumienia należy tak postąpić.

— Wasz etykieta... — machnęłam ręką, pozwalając Rolarowi samemu się domyślić, gdzie zalecam wsadzić wyżej wymienioną. — Co słyszeć?

— Na razie nic. Siedzimy jak na szpilkach, Straży zostało sprawdzić tylko kraniec wyspy. W ciągu dwóch godzin wszystko powinno się wyjaśnić.

Zastanowiłam się i zaczęłam robić kanapkę z wędzoną rybą. Dzięki temu

przynajmniej mogłam zająć czymś myśli, a do tego i z pożytkiem.

Wrócił Len — ciężko dysząc, w mokrej od potu koszuli, jak gdyby Werd przegalopował na nim parę wiorst. Ale, ku mojej ogromnej uldze, bardziej żywego nigdy go nie widziałam.

— Na razie nic, — lakonicznie odpowiedział na wcześniej zespołowo zadane pytanie. — O, dziękuję!

Otworzyłam usta, żeby z oburzeniem zaprotestować, ale było już za późno — Len zaprzychodował moją kanapkę i wymamrotawszy coś przychylnego, zaczął z parsaniem chlapać się nad stojącym w kącie cebrzykiem. Wypadło z urazą zamknąć usta i robić dla siebie drugą kanapkę — bo mi naprawdę zachciało się jeść.

Niestety, z tą drugą poszcęściło mi się wcale nie lepiej niż z poprzednią — nie zdążyłam przeżuć pierwszego kęsa, jak drzwi znowu się otworzyły bez uprzedzenia.

Werd, widocznie także tylko, co zdążył doprowadzić się do porządku, zapinając koszulę już po drodze. Przekonania, że to właściwa droga, na jego twarzy nie było widać. Całkowicie podzielaliśmy jego wątpliwości, czujnie wbijając wzrok w gościa. Wampir, widząc taką jednomyślność, cofnął się do tyłu, ale w porę przypomniał sobie, że jest przecież Władcą tej doliny, włączając w to dany pokój i zdecydowanie przestąpił próg.

Zresztą, jego pierwsze słowa zmusiły nas do pogodzenia się ze wzajemną obecnością.

— Dopiero, co otrzymałem raport od ostatniego Strażnika. — Werd z premedytacją zrobił efektowną pauzę.

Gdyby przeciągnęła się jeszcze parę sekund — to rzucilibyśmy się wytrząsać z niego informację ręcznie. — w Lesku nie ma zabójcy.

— Szo?!

— To niemożliwe!

— Gdzie więc się podział?!

Komentarz Wala nie nadawał się do tłumaczenia, chociaż z uchwyceniem sensu nikt nie miał problemu.

— Wynika z tego, że Straż go przegapiła, Sia-werden? — Chłodno stwierdził Len.

— Prawie — wiele mówiącym głosem zaproponował Władca Lesku, ponownie przyciągając powszechną uwagę. — O świcie graniczny patrol wyczuł coś niedobrego, jak gdyby czyjaś obecność — zamazaną i nieokreśloną, — ale Straż nikogo nie dostrzegła. Na wszelki wypadek, dokładnie przeczesał podejrzany odcinek, przesłędzili źródło swojego niepokoju, aż do morskiej

granicy Lesku, a gdy już zamierzali lecieć z powrotem, nieoczekiwanie wynurzył się, dosłownie z pustki, w odległości trzydziestu wiorst od brzegu. Żaglowiec, bez nazwy i rozpoznawczych flag. Zdaje się, że pod osłoną niewidzialności stał na kotwicy w nieużywanym porcie na drugim końcu wyspy, a kiedy zaczął płynąć, został namierzony.

— I co? Straż przyprowadziła go z powrotem do portu?!

— Nie, był zbyt daleko, niemal za horyzontem, a czas tej zmiany dobiegł końca i Straż zawróciła do brzegu. Strażnicy zmieniają się, co trzy godziny — tcha'arsze z jeźdźcami męczą się i nie mogą dłużej utrzymać się w powietrzu. Dlatego patrolujemy mniej więcej dziesięć wiorst morza dookoła wyspy, Straż akurat zdąży bez pośpiechu oblecieć swój odcinek i wrócić z powrotem.

„I chwała bogom, że nie dogonili!” — zreflektowałam się z opóźnieniem. Ukryć cały statek z załogą, przy czym nie tylko wizualnie, ale i przed wampirzymi zmysłami, jest w stanie jedynie arcymag. Ze Straży i jednego piórka by nie zostało!

Coś mi to przypomniało... wynurzyło się z podświadomości, ale kiedy spróbowałam się na tym skoncentrować, zawstydziło się i schowało się z powrotem.

Władca Lesku oziębło kontynuował:

— Pomimo słabego wiatru, statek płynął bardzo szybko. Według naszych obliczeń, teraz powinien się znajdować w odległości pięćdziesięciu wiorst od Leska. Tcha'arszy latają z szybkością mniej więcej czterdziestu wiorst na godzinę; kiedy zanosą nas do miejsca, w którym widziano ostatnio statek, on oddali się jeszcze na dwadzieścia — trzydzieści wiorst, jeśli nie więcej.

Szybciutko obliczyłam w pamięci perspektywy powodzenia akcji. Wypadły one jakoś nie szczególnie.

— Na drogę zejdzie dwie — dwie i pół godziny, ale przecież ich trzeba nie tylko dogonić, ale też i znaleźć. Wymknąwszy się Straży, statek mógł całkowicie zmienić kurs, albo znowu stać się niewidzialny!

Werd odpowiedział mi szczerym, wymagającym spojrzeniem.

— I dlatego potrzebna mi pomoc wiedźmy. Przy ganku czekają najszybsze i najbardziej wytrzymałe konie. Tylko dla nas. Z wyliczeniem, że albo odpocniemy na pokładzie, albo... nie wrócimy.

— Korr'ki lein ta irra shainn? — Zmrużywszy oczy w szparki, wyzywająco zainteresował się Len.

— To jednak — przyjaciel czy narzeczona? — Ironicznie uściślił Werd w znanym przez wszystkich języku, ostentacyjnie puszczając mimo uszu pozostałą część frazy.

Razem z Lenem spojrzeliśmy na siebie i zrobiliśmy takie same sceptyczne grymasy. Naturalnie, nic dobrego z tego nie wyszło — przyjaciele, aż sami zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu.

— Powiedzmy, że: przyjacielsko nastawiona narzeczona — wyciągnął wniosek Rolar.

— Jasne — Werd spoważniał. — Miałem na myśli was wszystkich. Włączając w to... Arr'akktura.

Władca Dogewy ukłonił się w milczeniu.

„Mógłby zabrać ze sobą Straż, jak i Lena, — zaniepokoiłam się w myśli. — A zabiera obcych, w dodatku śmiertelnego wroga. Dlaczego?!”

Ale protestować i wypytywać nie było czasu — Werd już wyszedł z domu. Pośpiesznie chwyciliśmy swoje manatki i pośpieszyliśmy za nim, przeżuając śniadanie w biegu.

Przy ganku, jak pies podkurczywszy tylne nogi, siedziała złoto-kasztanowa tcha'arsza, skrzyżowawszy nad grzbietem koniuszki, złożonych po bokach skrzydeł. Rozczochrana grzywka — krótka jak u Smółki, ale nie sztywna, a jak gdyby z cienusieńkich, delikatnych piórek, bezustannie trzepoczących na ledwo wyczuwalnym wietrzyku — nadawała jej wąskiemu pyskowi nieco zakłopotany wygląd.

— To Djerri — wskazał brodą Werd. Konik ze zrozumieniem spojrzął z ukosa na Władcę Lesku, a ten nie przykładając do tego wagi kontynuował, patrząc już na mnie:

— Siadaj!

— Co?! — My z tcha'arszą z wielkim sceptycyzmem obrzuciłyśmy się nawzajem spojrzeniami. Klaczka była może tylko ze trzy razy, większa od kozy, z takimi samymi beczelnymi, skośnymi oczami i z przyzwyczajenia lekko podrygującym ogonem.

— Nie denerwuj się, nie rozgnieciesz — uśmiechnął się Werd.

— A czy ona zechce mnie wieźć?

— Tcha'arszy są zwierzętami stadnymi. Dla nich nie tyle ważny jest jeździec, ile przewodnik stada. Za moim ogierem ona poleci wszędzie, z każdym, kogo on tylko sobie zażyczy.

— Ale przynajmniej kierować nią będę w stanie?

— Dopóki ona widzi przewodnika — tak. Ale jeśli nie wybrała ciebie na swojego jeźdźca, to wyprowadzić jej z tabunu nie będziesz w stanie.

Chciałam zapytać, gdzie są pozostałe bieguny, to znaczy latuny, ale w tym momencie Werd cicho zagwizdał i w następnej chwili niemalże wprost mu na głowę zapikował śnieżnobiały koń, a za nim jeszcze cztery. Len złapał za uzdę,

najbliższego jasno-siwego, pozostałym przypadły w udziale gniade konie o różnych odcieniach sierści.

— Odchylacie się w tył — tcha'arszy obniżają lot, pochylacie się do przodu — wzbijają się w górę. Co robić z cuglami, sami wiecie — krótko poinstruował Werd.

W dotyku szkapina okazała się koścista, jak wysuszona płotka, a uwzględniając, w jakim miejscu ją dotykałam, przez resztę tygodnia czekało mnie chodzenie w rozkroku. Gibkości Smółki nie miała i chociaż chciwie oblizala się na widok mojej kanapki, wrywać mi jej z rąk nieoczekiwanym wypadem, (czym dość często grzeszyła jej koleżanka) nie próbowała. Zlitowawszy się, oddałam jej resztkę kanapki i dobrze zrobiłam: opłaciło się, bo Werd już wskoczył na konia, który rozpostarł skrzydła w wysokim, zamaszystym skoku i nie dotknął już ziemi. Pozostałe tcha'arsze, nie namyślając się, zerwały się w ślad za nim — pod okrzyk kurczowo czepiającej się końskiej szyi Orsany i soczyste komentarze Wala, którzy w ostatniej chwili ledwo zdążyli dosiąść swoich zwierzaków — chociażby i tyłem na przód.

Nieźrównane doznania — gdy zrywami, w ślad za potężnymi machnięciami skrzydeł, unosisz się w górę a żołądek jak gdyby pozostaje w dole i doganiać cię jakoś się nie śpieszy.

— Patrz tylko do przodu lub w górę, dopóki się nie przyzwyczaisz! — Jasnosiwy ogier niemal dotknął mnie skrzydłem i ponownie szarpnął w bok. Sądząc po zielonkawej twarzy Lena, wiedzę tą posiadał metodą prób i błędów.

Tcha'arsze nabrały wysokości i rozpostarły skrzydła w strumieniu powietrza, pomagając mu rzadkimi, płynnymi machnięciami. Szarpnięcia ustały, ustąpiwszy miejsca równemu powiewowi wiatru, który uderzał w twarz i zatykał uszy. Z przyjemnym zdziwieniem zauważyłam, że siedzieć było teraz o wiele wygodniej — w locie ostre kany końskiego grzbietu schowały się gdzieś do środka, między skrzydłami utworzyło się wygodne wgłębienie.

Troll w końcu obrócił się twarzą do przodu i z zemsty tak ścisnął niesforne bydlę kolanami, że te bez słowa sprzeciwu uznało ciężką nogę jeźdźca i przestało miotać się z boku na bok, mieszając szyk bojowy.

Równym klinem pomknęliśmy na zachód. Brzeg oddalał się z przerażającą szybkością, ale kiedy ostatecznie zniknął z pola widzenia, znosić prędkość było znacznie łatwiej. Wokół bezkresne morze odbijało blask słońca i sprawiało wrażenie jakby stało się w miejscu, chociaż robiło się po sto wiorst na godzinę. Prawda, kiedy wyprzedzaliśmy zdumione mewy, zrobiło mi się jakoś niedobrze, ale nowy sposób przemieszczania się zdecydowanie zaczął mi się podobać. Przystosowawszy się (przynajmniej, tak mi się wydało), wyprostowałam

ramiona i dziarsko pociągnęłam za lejce z lewej strony. Djerri z ukosa zerknęła na mnie liliowym okiem: „No, jeżeli rzeczywiście tego chcesz... ale potem nie mów, że cię nie uprzedzałam!” I tak stromo runęła w bok, że horyzont stał się pionowy.

Wypadłszy ze stada, klacz zeszła poniżej dziesięciu sążni i dopiero wtedy wyrównała i skręciła w lewo. Ale mi odechciało się już wszystkiego — oprócz, co najwyżej, niedużego wiaderka. Z trudem stłumiwszy to niezbyt bohaterskie pragnienie, z jeszcze większą ostrożnością chwyciłam za cugle. Klaczka posłusznie opadła nad samą wodę, potem (brakowało jeszcze, żeby z rozpędu wyrznąć w niewidzialny statek!) podniosła się na dawną wysokość.

Pozostałe tcha'arszy szybko zniknęły z oczu — moich, ale nie Djerri. Ona coraz częściej się odwracała, z niepokojem parskając, ale na razie słuchała się uzdy. Nie zatrzymałam się, aby pastwić się nad konikiem i wróciłam na dawny kurs, równoległy do pozostałych. Według moich pobieżnych obliczeń, granicę Lesku już przekroczyliśmy i chociaż na wypatrywanie statku było jeszcze za wcześnie, nie wytrzymałam, i zrobiłam parę zygzaków, bacznie przeczesując wzrokiem morze.

Z góry, jak jastrząb, spadł biały koń. Djerri z lękiem szarpnęła się w bok, ale natychmiast z ulgą zarżała i machnęła skrzydłami w miejscu, zawisnąwszy pysk w pysk z ogierem Władcy Lesku.

— Pani wiedźmo, prosiłem by nie doprowadzała pani zbyt wcześnie do wycieńczenia konia. — Werd naprężył nawinięte na pięść cugle. — Jeszcze nawet nie dolecieliśmy do tego miejsca, gdzie Straż zawróciła z powrotem.

Zmieszałam się, ale natychmiast tryumfalnie wyciągnęłam palec do przodu:

— A to co?!

Na horyzoncie jak raz pojawił się statek, handlowy trójmasztowiec. Prawda, płynął nie z Lesku, a po stycznej do niego, ku zachodniemu archipelagowi. Powiał wiatr — z lewej strony zawisł siwek, nieco wyżej — trójka gniadoszy. Werd, osłoniwszy dłonią oczy przed słońcem, usiłował dojrzeć moje znalezisko.

— Nie, to nie on, — rozczarował nas Władca Lesku. — Według opisu Straży, tamten miał czysto-białe żagle, a ten ma z niebieskim rysunkiem i inną figurę na dziobie — jednorożca zamiast lwa. Chociaż typ statku taki sam. Zresztą, poczekajcie tutaj, podlecę i spytam, czy nie spotkali naszego zbiega!

Biały ogier ostro zapikował w dół i do przodu. Troszkę go odprowadziliśmy i zawiśliśmy w powietrzu w odległości stu sążni od statku, z takiej wysokości, wydającego się zabawką. Tcha'arszy z nateżeniem pracowały

skrzydłami, nie spuszczać oka z przewodnika i z niepokojem parszając. Mnie również coś się nie podobało. Do tego archipelagu, do archipelagu... ale skąd?! Z tej strony nie ma żadnych wysp, a przecież to nie rybacki ani wycieczkowy statek!

— Werd, stój!

Nad statkiem z brzęczeniem i świstem wytrysnął szaroniebieski obłoczek strzał.

Zbyt późno sobie uświadomiliśmy, że zamaskować okręt jest jeszcze łatwiej, niż sprawić, aby stał się niewidzialnym.

W pośpiechu wyrzuciłam do przodu rękę. Strzały, jak gdyby natknąwszy się na niewidoczną ścianę na chwilę zawisły w powietrzu, potem zgodnie zawróciły się ostrzami w dół i pomknęły w stronę statku.

Oprócz jednej.

Śnieżnobiały wydał ostry pisk, prawe skrzydło buchnęło piórkami, złamało się i bezwładnie obwisło. Koń przekoziółkował w powietrzu, jak zraniony ptak, jeźdźca wyrwało z siodła — dokładniej, po prostu wyrwało — i rzuciło w bok.

Len, nie namyślając się długo, tak stromo posłał siwka w dół, że tcha'arszy złożył skrzydła i wszedł w korkociąg. Zdaje się, że strzelali z jednostrzałowych wojskowych kusz, a nie z łuków — zamiast drugiej salwy nastąpiły rzadkie, pojedyncze strzały. Szybciutko rozproszyliśmy się, chociaż takich niezdarnych strzelców świat nie widział.

Zresztą, oni i niezbyt się starali w kogoś trafić — szybciej, usiłowali trzymać nas na odległość, dopóki...

Statek jak gdyby zaczął wpływać w cień rzucany przez obłok — tylko nie blaknąc, a rozplywając się. Zostało z niego nie więcej niż jedna trzecia, kiedy się opamiętałam i z okrzykiem potrząsnąwszy cugłami, po stycznej skierowałam się ku szybko niknącemu pokładowi. Obok skroni przeleciała strzała, ale tylko machnęłam głową, jak gdyby odpędzając natrętą muchę. Mocniej ścisnąwszy kolanami boki konia, oswobodziłam ręce i bez większego mędrkowania strzeliłam w rufę dwoma oszczepami, kłębiącego się płomienia.

Całe szczęście, że w pośpiechu wypuściłam zakłęcie o pół setki sążni wcześniej, niż należało. Nie, odbić go czarownik nie zdążył. Jego własne zakłęcie rozwijało się z taką mocą, że miejsca na jeszcze jedno w tym kawałeczku przestrzeni po prostu zabrakło. Moje czary dosłownie zgmiotło i wypluło z powrotem — już nie w charakterze ognia, lecz czystej mocy.

Scena z karczmy powtórzyła się, z jedyną tylko różnicą: nie było tu ścian.

Niebo i morze kilkakrotnie zamieniło swe położenie, a kiedy Djerri wreszcie wyrównała lot, w miejscu okrętu został tylko rozmyty ślad zakłęcia.

Zacząłam wściekle jęczeć z bezsilności. Magiczna rezerwa mocy opróżniła się więcej niż w połowie, a ten łajdak ani drgnął, pewnie nawet nie zauważył moich wysiłków!

„A jeśli wydałby ci pokwitowanie, że zauważył i ocenił, zrobiłoby ci się dzięki temu lżej?” — oderwałam się od własnych, złych myśli. Trzeba się zastanowić, co robić dalej, a nie opuszczać ręce po pierwszym niepowodzeniu! Nie miałam wątpliwości, że za jedną albo dwie wiorsty statek znów zmieni kierunek, żeby zbić nas z tropu. I najprawdopodobniej, stanie się na powrót widoczny, dlatego, że ukryć przed innym magiem, tak potężne zaklęcie jest jeszcze bardziej skomplikowane, niż ukryć statek. W tym miejscu jest zbyt wiele szczątkowej magii, przeszkadzającej się skoncentrować, jeśli jednak odlecieć trochę w bok, to ustalenie, dokąd się zmył, nie będzie stanowiło specjalnego wysiłku — to zupełnie to samo, co odszukać za zdeptaną polaną samotny łańcuszek śladów na śniegu. Niewidzialność to nie tarcza, a zresztą sama w zupełności mogę z niej skorzystać, runąwszy na koniu, wprost z jasnego nieba, bezpośrednio czarownikowi na głowę.

Nie tu a tam trzeba było! Djerri, nie zwracając uwagi na moje okrzyki i szarpnięcia cugli, pokręciła pyskiem tam i siam i podjąwszy decyzję, miękko wylądowała lotem ślizgowym obok chwiejącej się na falach białej plamy. Rozpostarte skrzydła na razie utrzymywały ogiera na wodzie, ale pióra szybko namakały i się zlepiały. Gnidosze wydając ciągle okrzyki krążyły obok, tak jak mewy nad zniszczonym gniazdem, otwarcie ignorując jeźdźców. Dobrze, że chociaż nie próbowały zrzucić.

Jasno-siwy głośno trzepotał skrzydłami nad samą wodą, z jawnym wysiłkiem utrzymując podwójny ciężar.

— Nie było warto się fatygować — sucho powiedział Werd. — Doskonale pływam.

— Nie mam wątpliwości — spokojnie zapewnił Len, z ciekawością spoglądając w dół.

W tym miejscu, gdzie Władcy Lesku w najbardziej oburzający sposób przeszkodzone wziąć kąpiel, prześliznął się mroczny cień, rozmiarem przypominający pół okazałego żaglowca. Zakreślił szeroki krąg wokół zaczynającego desperacko się miotać konia, za drugim razem wynurzył z wody kawałek sierpowatej płetwy i po dwóch, trzech pulsarach, zrezygnowawszy z idei przekąszenia „czegoś” przed snem, majestatycznie uciekł na głębinę.

Widziałam, jak Werd ze zmieszaniem przygryzł wargę, ale odwracać się do Lena i czegokolwiek dodawać nie zaczął. Tonący koń wyciągnął głowę i żałośnie zarżał. Pozostałe natychmiast zareagowały, opuściwszy się jeszcze

nżej.

— On szybko wróci. — Rolar z niepokojem kiwnął głową na purpurową plamę, rozlewającą się dookoła przebitego skrzydła — te stworzenia potrafią wyczuć krew na kilka wiorst.

Siwek Lena również był w nienajlepszej formie, na naszych oczach bardzo szybko pokrywając się potem. Jakoś zdołałam doprowadzić Djerry bliżej.

— Przechodź do mnie!

Klaczka nie wpadła w zachwyty, ale potulnie pozwoliła Lenowi przeskoczyć sobie na grzbiet. Skrzydła zaczęły trzepotać dwa razy szybciej i głośniej. Położyłam dłoń na końskim kłębie, zakłębem wlewając w nią siłę. Kasztanka z wdzięcznością prychnęła i zastrzygła uszami, ale o dalszej pogoni nie mogło być mowy. Po pierwsze, daleko tak mimo wszystko nie ulecimy, po drugie, bez przewodnika tcha'arszy nigdzie lecieć i nie zamierzały.

— Jak tylko... — Werd spojrział na Albino i nie był w stanie skończyć frazy. — Tcha'arszy zawrócą do brzegu. Nie powstrzymamy ich.

— Można spróbować je zaczarować.

Pomysł nie podobał mi się za bardzo, tak, że zabrzmiał mało przekonująco. Zwyczajne konie nieźle poddawały się hipnozie, ale poruszały się potem jak ogłuszone, na sztywnych nogach i dwa razy szybciej się męczyły. Jak to zakłębem podziała na tcha'arszy (i czy podziała w ogóle, nie można było przewidzieć). Natomiast dokładnie wiedziałam, że mimo magicznej pomocy, Djerry nie dociągnie do brzegu z takim ciężarem. I jeżeli w ciągu godziny nie odzujemy okrętu... Za późno się spostrzegłam, że myślę praktycznie na głos, nie zatroszczywszy się o osłonę myśli. Jakaż ze mnie idiotka!!! Przecież teraz Len, ze swoją samobójczą szlachetnością, na pewno powie...

I oczywiście, powiedział:

— A ten tam się nie nada?

Wampir całkiem spokojnie wskazał palcem na czarną na tle słońca sylwetkę statku, płynącego wprost na nas. Gdybyśmy nie byli aż tak pochłonięci omawianiem naszych ponurych perspektyw, to zauważylibyśmy go już dawno. Chociaż, trzeba przyznać, płynął dość szybko, w jednej chwili zjawiwszy się przed nami w całej swej okazałości: drapieźnie zaostrzony dziób z podwodnym taranem, trzy maszty, wzdłuż burt — mocno wypchane worki do ochrony przed strzałami, po trzy balisty z każdej strony i rozdwojony, jak u żmii język, flaga z jednoznacznym rysunkiem. Słońce zostało nieco z boku, ale i tak go nie rozświetlało.

Statek zatrzymał się na jakieś dziesięć sążni od konia, który z przerażeniem zaczął machać zdrowym skrzydłem. Nie zwijając żagli, nie rzucając kotwicy,

niemal natychmiast, jak karoca z ostro ściągającym, lejce stangretem.

— Podwieźć? — z dobrodusznym uśmiechem zapytał stojący na dziobie człowiek.

Podczas gdy próbowałam poradzić sobie z opadającą szczęką, Djerri bez wahania przyjęła zaproszenie. Niziutko, ostatkiem sił prześliznąwszy się nad burtą, kasztanicha wbiła się pazurami w pokład i natychmiast usiadła, zwiesiwszy zmęczone skrzydła do samych desek.

Zeskoczyłam (dokładniej, rzeško spelzłam) z klaczy, z nieprawdopodobną ulgą poczuwszy pod nogami twardą powierzchnię.

— Co pan tu robi, Profesorze?!

Arcymag z zadowoleniem pogładził brodę:

— No, mógłbym powiedzieć, że morskie powietrze dobrze robi moim starym kościom, ale ty i wcześniej odnosiłaś się do podobnych oświadczeń bardzo sceptycznie, Najwyższa Wiedźmo Dogewy.

Zza jego pleców wyłoniła się wysoka kobieta w ciemnym obcisłym stroju, obwieszona amuletami, z wystającą posrebrzaną rękojeścią miecza nad prawym ramieniem. Nieco powyżej lewego ucha, biały ślad po oparzeniu o szerokości dobrych trzech palców przerywał krótko, na języka ostrzyżone włosy. Zorientowałam się, że po raz pierwszy widzę ją bez peruki. I całkiem nawet nie...

— Witam Was, koleżanko — chłodno powiedziała Łysa Ban... Katissa.

Cofając się przed niespodzianką, natknęłam się na Lena. Wampir uspokajająco przyciągnął mnie do siebie za ramiona.

— Tak więc Konwent wysłał was obydwójce w pogoń za nami?!

— Nie za wami — beznamiętnie zaoponowała magiczka. I prześlizgnąwszy się wzrokiem nad morzem skinęła głową w stronę, gdzie zniknął żaglowiec: — Za nimi.

— Ale skąd...

Profesor uniósł rękę, wzywając nas, abyśmy nieco wstrzymali się z pytaniami i podszedł do burty. Żeby, za pomocą lewitacji przetransportować konia na statek, dyrektorowi Szkoły Czarodziejów było potrzeba, co najwyżej kilka minut. Z boku mogło się wydawać, że w ogóle nie czaruje, a w zamyśleniu obserwuje ogiera, który ze zdumieniem przebierał nogami w powietrzu. Jak tylko ten szczęśliwie wylądował na pokładzie, Profesor z taką samą spokojną troską obrócił się w stronę żagli, a one posłusznie napelniły się wiatrem.

Arcymag pozwolił sobie aprobować chrząknąć i dopiero wtedy uznał potrzebę podjęcia rozmowy:

— Tak się złożyło, że przez ostatnie kilka tygodni Konwent bezskutecznie

poszukuje zbrodniarza, który zabił i okaleczył kilkudziesięciu naszych współpracowników. A sądząc z pogłosek, — arcymag tak przenikliwie na mnie spojrział, że się zarumieniłam i spuściłam wzrok, nawet jeszcze nie wiedząc, o co chodzi, — niejaka ruda wiedźma, jakimś sposobem (jeszcze jedno spojrzenie — i jasnowłosa „sposób” ze zmieszaniem zakaszała nad moim ramieniem) dowiedziała się, gdzie się ukrywa i w dodatku ubzdurała sobie, że zdoła rozprawić się z nim w pojedynkę. Oczywiście, to bardzo chwalebny, ale niezbyt rozsądny zamiar: przecież, wystarczyło jej zaledwie wysłać do Starminu krótką wiadomość — i na jej usługi byłaby moc całego Konwentu. A tak wypada jej liczyć tylko na pomoc, jednego starego maga, który, gdyby nie jeszcze jedna jego koleżanka, tak by i nie dowiedział się, gdzie szukać swojej lekkomyślnej uczennicy...

Nieoczekiwanie dla siebie samej pociągnęłam nosem, zrobiłam krok do przodu i wtuliłam się magowi w pierś, a on z czułym wyrzutem pogłaskał mnie po głowie, jak małą dziewczynkę, ryczącą pod bramą Szkoły. I jak gdyby nigdy nic, spokojnym, nieco gderliwym głosem kontynuował:

— Dowiedziawszy się, że opuściliście port, rozesłaliśmy zwiastuny wiadomości do najlepszych belorskich magów-praktyków, ale nie czekaliśmy na nich. Niestety, nie udało nam się znaleźć płynącego do Lesku statku, tak, że w końcu musieliśmy przekupić rybacką łódź z żaglem i po kolei wspomagać ją zaklęciami, póki oto ci mili ludzie łaskawie nie zgodzili się nas podwieźć.

Mili (jak mimo wszystko, złudny bywa wygląd!) ludzie w wymuszony sposób zaczęli się uśmiechać. Fircykowaty typ z elfimi liniami twarzy i trollim nosem nieśmiało spróbował przedstawić koniuszkami palców coś na kształt powitalnego gestu.

Albino niezgrabnie, dopiero za drugim podejściem, podniósł się na nogi i otrząsnął, opryskawszy nas bryzgami wody. Pozostałe tcha'arszy, czy to znowu podporządkowały się jeźdźcom, czy też za obopólną zgodą, jeden za drugim opuściły się na pokład. Tylko narowista gniadoszka Wala, z tylko jej znanej głupoty usadowiła się na górnej poprzeczce centralnego masztu, stanowczo odmawiając ruszenia się z miejsca, tak, że najemnikowi wypadło złazić stamtąd na własnych nogach. Zresztą, wystarczyło żeby troll stanął na pokładzie, gdy klacz wyprostowała skrzydła i zleciała na dół, z jawną złośliwością szczerząc zęby.

— Skąd w takim razie wiecie o innym statku? — Wreszcie wzięłam się w garść i odsunęłam się od Profesora, podejrzliwie przyglądając się Katissie. — Naczelnik portu nic nie wiedział o czarowniku, wygląda na to, że płynęliście do Lesku właśnie za nami!

— Owszem, ale potem zlokalizowaliśmy potężne magiczne pluśnięcie i zacząwszy podejrzewać coś niedobrego, trochę zmieniliśmy kurs. Rozpoznać zaklęcie maskowania to nic skomplikowanego, a co można chcieć ukryć pośrodku morza? Tylko statek. Wątpię, aby przemytników było stać na taki trik, a ich etatowego maga — na taką siłę. Ale chowającego się przed rozgniewanymi wampirami czarownika, obdarzonego nadzwyczajną mocą — na pewno.

— Logiczne — zostałam zmuszona przyznać im rację, chociaż małe ziarenko wątpliwości mimo wszystko zostało. Zbyt gładko przedstawił to wszystko arcyomag. Jak gdyby zawczasu przeprowadził próbę.

Profesor z godnością skinął głową, jak gdyby uzyskał ode mnie najwyższe pozwolenie na dalsze działania i odwrócił się w stronę Władcy Lesku:

— Mam nadzieję, że dostojny Sia-Werden tor Ordl... l'ael — arcyomag zająknął się, a ja szczerze okazałam mu współczucie. Na oficjalnych przyjęciach w Dogewie, ja także dotychczas czytałam pełne rodowe imię Lena z karteczki, pewnego razu po kryjomu przypiąwszy ją Władcy na plecach między skrzydłami, a potem o niej zapomniawszy... Wyszło to na jaw dopiero na koniec dnia — goście przez grzeczność milczeli albo i korzystali po kryjomu — nie ma nic przeciwko niewielkiej morskiej przejażdżce, zanim odwieziemy go do Lesku?

Werd już stał koło swojego ogiera i objąwszy go za szyję, gładził po mokrej grzywie, coś po cichutku do niego mówiąc. Koń podobnie, zdławionym głosem, poparskiwał, jak gdyby odpowiadając.

— Nie mam nic przeciwko — nie odwracając się, odpowiedział Władca Lesku. — Nawet wręcz przeciwnie. Dogońcie tylko tego łajdaka...

— Dogonimy — spokojnie zapewnił Profesor, ponownie kierując wzrok w stronę żagli.

Tak naprawdę można było się o to nie martwić. Magia magią, ale każdy statek ma swoje granice prędkości i wytrzymałości, po przekroczeniu, których żagle zerwą się razem z masztami, a kadłub ulegnie zgnieceniu, jak skorupka jajka. „Łapownik” jakby został stworzony do wyścigów i chętnie to zademonstrował. Wąski i lekki, jak gdyby frunął nad falami, zarażając nas swoim entuzjazmem. Czarna flaga z czaszką i kośćmi, powiewająca na szczycie masztu prezentowała się bardziej niż właściwie. Ech bogowie, sama bym i nie odmówiła posiedzieć na bukszprycie⁸⁰, z krzykiem wymachując zardzewiałą,

⁸⁰ **Bukszpryt** (dziobak) – drzewce wystające do przodu z dziobu jednostki pływającej o napędzie żaglowym, wyjątkowo na innych jednostkach (na przykład na pancerniku Potiomkin). Położony jest niemal poziomo, lub lekko wznosząco, najczęściej w linii wzniosu pokładu. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Bukszpryt>

abordażową szablą!

— Na pewno, ani jeden statek wam nie uciekł? — z mimowolnym zachwytem zapytałam kapitana.

— No jak wam tu odpowiedzieć... — oblał się pąsem, zadowolony pirat. — Doścignąć tak naprawdę, to nikt nie był w stanie...

Djerri niespodziewanie trąciła mnie pyskiem w plecy. Zreflektowawszy się, podeszłam do białego konia i uważnie zbadawszy postrzelone skrzydło, wzięłam się do leczenia. Len perfidnie wykorzystał tę chwilę, żeby na stronie porozmawiać z Profesorem i Katissą. Niestety, przerwać pracy w połowie nie mogłam, tak, że pozostało mi tylko z niezadowoleniem, krzywo na nich spoglądać przez ramię. Werd asystował mi w milczeniu, żelaznym uściskiem podtrzymując skrzydło w wyprostowanej pozycji, dopóki nie wyciągnęłam odłamującej się nasadki, nie zatamowałam krwi i nie złączyłam brzegów rany. Koń cierpiał potulnie, tylko z rzadka potrząsając głową, albo wierzgając.

Zanim uporaliśmy się z latunem, magowie i Władca rozmówili się, i z niewinnym wyrazem twarzy rozeszli się w różne strony, jawnie nie zamierzając mi o niczym meldować. Przyjaciele, żeby osłodzić przygnębiające oczekiwanie, także rozeszli się po statku — Rolar i Orsana z płonącym wzrokiem oglądali okrętową balistę, przerzucając się krótkimi pełnymi zachwyty replikami, Wal coś żywo tłumaczył kapitanowi, a ten z zainteresowaniem słuchał.

Zastanowiłam się, trochę się po ociągałam, ale jednak nabrawszy odwagi podeszłam ku „koledze”, samotnie opierającej się łokciami o poręcz lewej burty.

— E-e-e... pani Łabska?

— Tak? — Katissa, powoli z całym należnym jej pozycji majestatem, ale tym nie mniej niebezpiecznej harpii obróciła się w moją stronę.

Instynktownie się cofnęłam, jednak znalazłam w sobie siły, żeby zadać następujące pytanie:

— Po co pani przyjechała do fortu?

Mistrzynie przewierciła mnie trochę swoim słynnym spojrzeniem, ale mimo wszystko raczyła odpowiedzieć:

— Jeden z urzędujących tam magów-praktyków podejrzewał, że ktoś zdołał teleportować się między „pajęczynkami”, nie wiadomo w jaki sposób dowiedziawszy się o ich rozmieszczaniu. Konwent skierował mnie do fortu żebym to sprawdziła, a w razie konieczności — i udzieliła bojowej pomocy.

— A o czym było w liście do komendanta?

— Rozkaz zatrzymania mordercy i jego towarzyszy podróży. I zalecenie wedle możliwości skonsultowania się... z kolegą. Stołów tu nie ma, możecie się nie rozglądać. I obrusów także.

Poczułam, jak mimo chłodnego wiatru, zaczynają mnie zdradziecko palić policzki.

— Coś jeszcze, pani Wyjątkowa? — Sarkastycznie zapytała kobieta.

— A gdzie pani... no... — niemądrze palnęłam, wytrzeszczając oczy na jej głowę.

— Zdmuchnęło — z nieprzeniknionym obliczem odpowiedziała Katissa. — Zapomniałam rano podkleić.

Magiczka spojrzała na moją zaskoczoną twarz i niespodziewanie prychnąwszy śmiechem, pokręciła głową i przeszła na dziób statku, stanąwszy obok Profesora.

Zresztą, widniejąca na horyzoncie biała plamka była doskonale widoczna i stąd; tak jak i przewidywałam, po godzinie „Czarny Lis” przestał się ukrywać pod zakłębieniem.

Zamieniwszy ze sobą parę słów, magowie cofnęli się od burty, odwrócili się twarzami do siebie nawzajem i wyciągnęli do przodu ręce. Pozostali z zainteresowaniem podeszli bliżej. Między suchymi, zgrubiałymi i eleganckimi, ze zrobionym manikiurem paznokciami, ale tak samo profesjonalnie wrażliwymi palcami gęstniała, formowała się, mieniająca się wszystkimi kolorami tęczy, sfera. W jednej chwili rozpoznałam zakłębienie przybliżenia. Prościej byłoby oczywiście wziąć lunetę, ale za pomocą czarów można nie tylko obejrzeć nieprzyjacielski pokład, ale też i zajrzeć do ładowni, a jeśli zakłębienie było wykonane przez takich potężnych magów — policzyć wszystkie szczyry okrętowe.

Przełamany przez sferę punkt statku skoczył do przodu na takie zbliżenie, że zaczął być widoczny brud na deskach pokładu. Profesor zasepił się, korygując obraz. Po wypukłym boku sfery przesunął się brzeg żagla, następnie pulchny biust figury na dziobie. Nie jednorożec i nie lew — a obnażona kobieta z rozwianymi lokami i przechodzącymi w ogon-falę nogami.

— „Wileja” — bez wahania rozpoznała Katissa. — Już od roku, uważana jest za zatopioną przez piratów.

— Nieprawda — zaprzeczył kapitan, ale tak na niego spojrzano, że uznał za rozsądne, szybko wrócić na mostek.

— A co z „Czarnym Lisem”? — Zdumiał się, Rolar. — Następna mistyfikacja? Kierownik portu miał u siebie zaprowadzony osobny rejestr na ten statek!

— Mistyfikacja? — Mistrz sceptycznie pokręcił głową. — Nie, chyba nie. Portowy mag natychmiast by zauważył. Widocznie, z Belorii odpłynęli na prawdziwym handlowym statku, a w drodze przesiedli się na czekającą na nich

na otwartym morzu „Wilej” — oczywistym jest, że ona nie mogła pokazać się przy brzegu. Sądzę, że „Czarnego Lisa” już naprawdę nikt nie znajdzie...

— Aha — z zadowoleniem zauważył arcymag, przyciągając powszechną uwagę. Obraz, zachwiałwszy się, zassał się do środka sfery i stał się płaskim i doskonale wyraźnym.

— Tak i myślałem — jednomyślnie, ale z różną intonacją wypuścili powietrze z płuc Władcy. Len — z kiepsko skrywanym triumfem, Werd — jak gdyby to, co zobaczył, trafiło go w samo serce, dotkliwiej niż rytualne ostrze.

Na pokładzie „Wilei”, jedną ręką przytrzymując się za mocno napiętą linę i bacznie wpatrując się w dal, stał czarownik. A obok niego, skrzyżowawszy ręce na piersi, jak gdyby nie zwracając uwagi na kołysanie — stał jasnowłosy mężczyzna w zwyczajnym, szarym ubraniu. Z krótką, modną fryzurą, dość przystojny, ale w porównaniu z nim nawet Lereena wyglądała na bardziej uczynną, a Werd — na dobrodusznego. Zresztą, pewnym kobietom podoba się właśnie taki typ mężczyzn — czarujących łotrów, takich z cicha pęków⁸¹.

Czarownik zmrużył oczy i poruszył wargami. Jego towarzysz tylko się uśmiechnął w odpowiedzi. Paskudnie i z pogardą, na chwilę błysnąwszy kłami.

Stanowczo szarpnęłam obydwu Władców za rękawy:

— Znacie go?

— Osobiście — nie trafiło się — przyznał się Len. — Ale domyślam się, z kim mamy do czynienia.

A Werd...

— Po wojnie zostało nas troje, — powoli powiedział, jakby z bólem wylewając z siebie nawarstwiony ohydny brud, którego nie był już w stanie ukrywać. — Danira, Krosten i ja: Władczyni Doliny i dwaj jej najbardziej zaufani doradcy. Byliśmy obecni na wszystkich obrzędach w świątyni... ale na jeden nie mogłem przyjść. I dla Daniry okazał się ostatnim. Doświadczona, wiele razy zamykająca Krąg Władczyni, z jakiegoś powodu nie zdążyła wyciągnąć sztyletu, a jej Opiekun miesiąc wcześniej zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Na następnego Władcę Lesku wybrano mnie. Praktycznie jednogłośnie, na walnym zgromadzeniu mieszkańców doliny. Krosten aż się skrzywił, w milczeniu odwrócił się i odszedł z placu. Wówczas to i miałem wątpliwości... nie, nic mówić nie zaczął, tak i nic nie udowodnisz... ale widocznie, sam się zorientował, że dawnego zaufania do niego nie będzie i zaraz odpłynął z wyspy pierwszym statkiem.

— Tak oto skąd miał klanowe pieczęcie — mruknął Len. — Twoją

⁸¹ **Z cicha pęk** - powiedzenie odnosi się do sprytnego, przebiegłego człowieka, który – na pozór cichy – ujawnia złe zamiary.— *Krystyna Długosz-Kurczabowa, Uniwersytet Warszawski*

skopiował, a o mojej doskonale się nasłuchał... a i przedostać się do pokoju Władcy nie nastęczało mu żadnych problemów.

— Jak i przysłać do nas Strażnika — dodał Rolar. — Cóż, teraz wszystko ostatecznie znalazło się na swoim miejscu! On...

Czarownik niespodziewanie zmienił kąt patrzenia, skierowawszy wzrok jak gdyby prosto w moje oczy. I bez tego, na jego niezbyt przyjemnej twarzy pojawił się złośliwy grymas. Nagły zamach ręki — i w jednej chwili sfera pękła jak bańka mydlana. Instynktownie się uchyliliśmy, chociaż nic nie poczuliśmy, a lekki zapach ozonu natychmiast uniósł wiatr.

— Silny, zaraza! — Wyrwało się Katissie. Magiczka potarła czoło grzbietem dłoni i z niepokojem spojrzała na arcymaga. Ten niewyraźnie pokiwał głową. Zlokalizowanie i przerwanie zaklęcia podglądania, w gruncie rzeczy, nie jest takie znowu skomplikowanie — pod warunkiem, że przeciwstawia ci się mag stojący o poziom niżej od ciebie. Ale położyć na łopatki arcymaga w parze z Magistrem pierwszego stopnia byłby w stanie chyba, że... byłabym w stanie kiedyś...

— Dość tego, wystarczy! — Uniosłam się, nie wytrzymawszy tak jawnie unoszących się w powietrzu niedomówień. — Niech ktoś wytłumaczy mi sensownie, dlaczego mam takie uczucie, że dookoła mnie już od miesiąca kręci się jakaś niezrozumiała historia, zabijcie mnie, ale nie rozumiem, jaką rolę w niej odgrywam?!

Arcymag westchnął i spojrzał z ukosa na Lena. Ten skinął na znak zgody: niby, że dłużej się tego już nie da odkładać.

— Mylisz się tylko w jednym, Wolha. Ta historia ciągnie się już kilka lat, od twojego pierwszego przyjazdu do Dogewy... a jeśli być już całkiem dokładnym — zaczęła się kilka miesięcy przed nim. Ale masz rację: przyszedł czas poustawiać wszystkie kreski w runach...

— W takim razie powinnam lepiej usiąść — przerwałam i przytrzymując się masztu, ostrożnie opadłam na pokład.

— Oczywiście — potwierdził nieco zbity z pantałyku Profesor. — Podobne nowiny, w rzeczy samej lepiej wysłuchiwać na siedząco, w przeciwnym razie...

— Nie, po prostu noga zaczęła mi doskwierać, a zamierzam nie tylko wyjaśnić wszystko do końca, ale też urządzić komuś głośną i ohydną awanturę. Trzeba oszczędzać siły.

— Ty przecież jeszcze nie wiesz, o czym będzie mowa! — Oburzył się Len.

— Za to dobrze cię znam. — Mrugnęłam porozumiewawczo do

uśmiechającego się mimo woli, Rolara. — A więc, uważnie was wszystkich słucham! Cóż takiego szczególnego wydarzyło się trzy lata temu?

— Napad na ludzi w okolicach Dogewy. A potem i w samej dolinie. Przypominasz sobie?

Prychnęłam z sarkazmem. Czegoś takiego choćbyś chciał — nie zapomnisz!

— Przecież wyjaśniliśmy, że wampiry nie mają z tym nic wspólnego! W Dogewie rozrabiał udający kudłaka mag, a w miastach — jego najemnicy, umyślnie podszywający się pod wampiry!

Zmartwiony arcyomag zacisnął usta:

— Niestety, wszystko nie jest takie proste. Rzecz w tym, że „pod wampiry” podszywały się... wampiry. Osobiście zbadalem kilka trupów i uwierz mi — potrafię odróżnić ukąszenie od dwóch przebitych przez szydło dziurek. I to zaniepokoiło nas najbardziej. Tak, Arr’akktur mógł poręczyć za każdego ze swoich poddanych... ale przestępcy trafiają się nie tylko wśród ludzi.

— I tylko — z goryczą dodał Len, — na ogół nikomu nie przyjdzie do głowy oskarżyć o krwiożerczość ludzkość. Chociaż pijemy krew tylko w ostateczności i odczuwamy z tego nie większą przyjemność, niż wy.

— Zabójcy istotnie kęsali ofiary tylko dla pozoru, już po śmierci. Krew ich nie interesowała — potwierdził Profesor.

Winnesjanka mściwie zmrużyła oczy: zdaje się, że Rolar stracił najlepszy temat do żartów, a Orsana go zdobyła.

— Ale dlaczego oczerniali samych siebie, nawet za pieniądze? — Nie mogłam uwierzyć.

Wal na znak zgody splunął z pogardą. Może kodeks najemników i składał się, co najwyżej z dziesięciu punktów, za to przestrzegano go ściśle.

— A jeżeli obiecano im coś innego? — naprowadzał mnie ku właściwej myśli Profesor. — Co jest najbardziej cenne, ale nie jest na sprzedaż i nie można tego kupić? Co odpowiemy... życie? Przecież ani Arr’akktur, ani Lereena nie zaczęliby zamykać Kręgu dla wypędzonych z dolin przestępców.

— Ten potwór chciał zdobyć Wiedźmi Krąg! — Przypomniałam sobie. — Kiedy walczyliśmy przy fontannie, mówił o jakiejś ukrytej w nim potędze...

— Na początku też tak myśleliśmy, — delikatnie, ale uparcie przerwał mi Profesor. — Ale Kręgow, w gruncie rzeczy jest dużo w całej Belorii, a „zamykać” je mogą tylko wampiry i tylko dla wampirów. Człowiek może wykorzystać Krąg tylko po to, żeby zaczerpnąć z niego magiczną siłę, albo wezwać jakieś stworzenie. Ale w tym celu, znacznie prościej jest wykraść niezbędny do tego obrzędu zestaw kamieni z królewskiego skarbcza i osiedlić się

gdzieś w lesie albo górach. Dlaczego właśnie Dogewa?

— Tak więc... może, potrzebny mu był konkretny Krąg? One przecież działają w różny sposób.

— Przypuścimy. Właściwie, to i my tak założyliśmy, nie na długo jednak rozwiało to nasze wątpliwości. Do corocznego starmińskiego turnieju łuczniczego.

— Obląkany nekromanta, pragnący się odmłodzić... — do reszty się pogubiłam. Co on tu ma do rzeczy?! — Ale przecież potrzebował od Lena tylko jednego! To znaczy, chciał go złożyć w ofierze!

— On — tak. Ale kto mógł wiedzieć i podpowiedzieć magowi, że turkus z królewskiego skarbcza okaże się trzynastym kamieniem dogewskiego Kręgu? Znowu — tylko wampir. Więc zaczęliśmy podejrzewać, że w tej historii jest podwójne dno. Ktoś, uparcie pozostając w cieniu, usiłował pozbyć się Arr'akktura... dokładniej, Władcy Dogewy. Dlaczego?

Najbardziej nasuwająca się odpowiedź — to, taka żeby potem zająć jego miejsce. Innych kandydatów brak. A więc, nasz tajemniczy łotr wymyślił sobie plan zagarnięcia Dogewy przez pośrednika... którego można się potem pozbyć, a w razie niepowodzenia zwalić wszystko na niego.

— Pitrima?

— Najszybciej, chociaż to nie zostało udowodnione — westchnął Profesor. — Niezrozumiałym jest, jak potrafili się dogadać, przecież były dyrektor Szkoły nie mógł ścierpieć wampirów... za to pasjonował się nekromancją. Zwłaszcza jej zakazanymi działami. Być może, obiecano mu schronienie i szerokie pole do eksperymentów. A może — banalne złoto. Ale w rezultacie Arr'akktur zaczął dostawać telepocztą wiadomości z groźbami, w których nieznany typ żądał od niego oraz jego poddanych, wyniesienia się z Dogewy.

— Ale na co mu pusta dolina? — Zdumiałam się. — Kim by tam kierował? Swoimi dziesięcioma pomagierami, udającymi fałszywą przyjaźń?

— Oczywiście, że nie. Najprawdopodobniej nie zamierzał nawet ogłaszać się Władcą Dogewy. To powinni byli zrobić jej mieszkańcy. Oficjalnie i dobrowolnie.

— Oni by tego nie zrobili! — Oburzyłam się.

— Tak? — Niewesoło uśmiechnął się arcyomag. — Przez parę tygodni rządziłby Dogewą wariat, według powszechnej opinii — mag, a potem... Jak myślisz, komu podporządkowałyby się wampiry: powracającemu do ojczystej doliny tchórzliwemu chłopakowi, który oddał ją bez walki, czy bohaterowi, który nie uląkł się wyzwać na pojedynek złego czarownika, żeby zwrócić im Dogewę? A gdyby tak Arr'akktur zginął na skutek „nieszczęśliwego wypadku”,

wszystko byłoby jeszcze prostsze — wampiry zgodziłyby się na wszystko, aby tylko w dolinie znowu pojawił się Władca. Jakikolwiek. Z kolei łotr, aby to osiągnąć, gotowy był na wszystko. W następnym etapie swego planu istotną rolę wyznaczył dla Mael-ine-Kirren, ostoji belorskiego rycerstwa. Zakon Świętego Fendulija, pod kierownictwem nowego przywódcy, miał ogłosić świętą wyprawę przeciwko „bogom ohydnyim potomkom mrakobiesa” — świątynia w ogóle z dezaprobatą traktuje wampiry, z powodu ich dwupostaciowości. Jeśli się nie mylę, w proroczych zwitkach jest nawet odrębna przypowieść o mrakobiesie, który przybrał postać wilka... Czy to pogryzł on tam kogoś ze świętych, czy też skusił — nie pamiętam dokładnie, a zresztą, nie w tym rzecz. Przede wszystkim, chodzi o to, że znowu się wtrąciłaś, świetnie wykrywając spisek.

— Pan i o tym wie? — Zdziwiłam się.

— Razem z Najwyższym Mistrzem jesteśmy starymi przyjaciółmi — uśmiechnął się arcymag. — Właściwie to... poradziłem mu, żeby się do ciebie zwrócił.

— Znaczy, czarownik z Kruczych Szponów to kolejny pionek tego... Krostena, tak?

— Krosten tor Ordnasht Peh'hov — odruchowo poprawił Werd.

Profesor skrzywił się.

— Gorzej. On jest jego...

— Opiekunem — dokończył Len. — Obaj z Rolarem zrozumieliśmy to jeszcze w opadiszczeńskiej karczmie.

Reszty doskonale domyśliłam się sama. Oto powód, dlaczego był taki kiepski, a jednocześnie tak potężnie czarował! Najbardziej skomplikowane w czarowaniu jest poprawne splecenie zaklęcia, a dopiero potem na usługi maga jest cała siła krwi Władcy, płynącej w jego żyłach.

— Ale przecież on jest człowiekiem!

— Półkrwi — poprawił Rolar. — Bez kłów i skrzydeł, co wcale mu nie przeszkodziło pomyślnie przejść transformację w Opiekuna.

— I wyciągać bełty z kuszy jak zwykle drzazgi — przypomniałam sobie ze złością. — Ale dlaczego zatem nie stał mnie na prosek jeszcze w zamku? Mając takie możliwości?

— Ponieważ... — wampir zająknął się, postanowiwszy wytłumaczyć to bardziej namacalnie. — Wolha, a kiedy sama byłaś Opiekunką, czy naprawdę nie zauważałaś, jak przy Władcy wzmagają się twoje magiczne zdolności?

Uczciwie mówiąc, tego całego cholerstwa w zasadzie to nie zauważyłam. Ale myślę, że na awanturę Len już zasłużył!

— Wejść na teren zamku Krosten się nie odważył — kontynuował Rolar, błędnie biorąc wyraz zamyślanej wściekłości na mojej twarzy, za efekt zrozumienia sytuacji. — Ale kiedy trzeba było telepatycznie zaatakować Dogewę, pojawił się jak na zawołanie! W pojedynkę, czarownik nawet będąc Opiekunem, nie zdołałby tak mocno rozwinąć swoich możliwości.

— Wychodzi na to, że pozostali telepaci po prostu trafili na zły humor i nawinęli się pod zbyt zamaszystą rękę?

— Nie, w tym wypadku czarownik akurat bardzo dokładnie wszystko wykalkulował. — Zaoponował Profesor. — Wyobraź sobie jedną wylatującą z lasu strzałę, a potem ich bezgraniczny grad. Byliśmy w stanie ustalić tylko kierunek zaklęcia, ale nie dokładne źródło jego pochodzenia.

Do „Wilei” zostało nie więcej niż trzysta sążni. Przy burcie już nikogo nie było. To dziwne, że oni nie próbują znowu czarować... dziwne i bardzo podejrzane.

— Ale co szkodziło Krostenowi po prostu wyzwać Lena na pojedynek? Na co mu były potrzebne te wszystkie bzdury z magiem, Opiekunem i Leskiem?!

— To wszystko nie jest znów takie proste. Oprócz okazania głowy poprzedniego Władcy, Krostenowi niezbędne byłoby zapewnienie sobie poparcia Rady Starszych i Najwyższej Zielarki Dogewy. Potrafisz sobie wyobrazić, aby Kella głosowała za zabójcą Lena? I do tego jeszcze takiego bezczelnego i bezlitosnego?! I nawet jeśli Rada z ciężkim sercem, dla dobra doliny, wybrałaby to „dobro”, to jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób przyjąłaby jego „wyświadczone dobrodziejstwo” sama dolina. Arr’akktur, choć broni się przed tym faktem rękami i nogami, jest wspaniałym Władcą i innego Dogewie nie trzeba.

Len z ironicznym uśmiechem pokiwał głową, ale było widać, że to mu schlebia.

— A Arliss? — Bez żadnej ukrytej intencji uściśliłam. — Tam również Lereena jako Władczyni jest sama sobie panią, szczególnie po zeszłorocznej lekcji i również nie ma następcy.

Rolar nawet nie pomyślał się obrażać:

— Nasza dolina położona jest na granicy Belorii i Jesionowego Grodu, pośród jezior i głuchych lasów. Ludzi tam jest mało, a elfy i rusalki są w stosunku do wampirów bardzo lojalne i sprowokować ich praktycznie się nie da. Nie mówiąc już o tym, że Lereena za nic nie pomknie z gwordem za złoczyńcą, aby go obedrzeć ze skóry. A zresztą, w ogóle bez potrzeby nie wychyli nosa z doliny. Nie, z Arlissem by mu na pewno nie wypaliło. Chociaż... a nie, z łożniakami nawet Krosten nie ośmieliłby się związać.

— A więc tego się obawialiście, kiedy byłam Opiekunką? — Pomilczawszy chwilę, głucho zapytałam. — Wśród wampirów nie zdarzają się magowie, a ludzie-magowie są ograniczeni przez rezerwę i przywiązani do źródeł mocy. Ale jeśli połączyć by talent z możliwościami...

— Obawialiśmy się — spokojnie przyznał mi rację arcymag. — Ale o ciebie. Dlatego, że tobie nie przyszłoby do głowy wykorzystać tej mocy w służbie zła i złu to by się bardzo nie spodobało. A oprócz magii jest i sztylet, i trucizna...

— I najemnicy — mruknęłam, przypomniawszy sobie, w jaki sposób zginęła dynia, choć w niczym nie zawiniła. — Wygląda na to, że i mój naturalny wygląd mu się nie spodobał.

— A cóż chciałaś, foczka? — Zaśmiał się troll. — Jeślibyś tak, bez żadnej ukrytej intencji przypadkowo, choć przez chwilę poczytała mu w myślach, to znalazłabyś tyle nikczemnych planów usunięcia cię z tego świata, że to się nie mieści w głowie — żeby tego dokonać, trzeba się bardzo postarać! A kiedy zaręczyłaś się wampirem, pewnie doszedł do wniosku, że go prześladujesz! Więc zdecydował się ciebie trzasnąć, żeby nie kusić losu...

— Jakoś późno się zdecydował — zawarczałam. — Mógłby od razu po Kruczych Szponach się za mnie wziąć!

Wtedy jego śladem nie szedł jeszcze Konwent, z którym wcale nie chciał nawiązywać bliższych stosunków, zanim nie stałby się Opiekunem z pełną przynależną mu mocą. — Ostry głos Katissy sprawił, że bezwiednie drgnęłam. Profesor, ze swojej strony, wieloznacznie dodał:

— Do tego wydarzyło się coś jeszcze, co spowodowało, że musiał przyspieszyć bieg wydarzeń.

— Czyli? — Moja głowa okazała się tak zapchana informacjami, że zabrakło w niej miejsca na moje własne domysły.

— Wasz ślub, Wolha. A raczej jego, zgodny z prawami natury, wynik — taktownie napomknął arcymag.

— W sensie? — Dalej nie mogłam pojąć. Tak samo, jak nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszyscy pozostali zachichotali, a Len ze zmieszaniem spuścił wzrok.

Profesor zakaszlał i już bez ogródek wyjaśnił:

— Spadkobierca.

Dobrze zrobiłam, że wcześniej usiadłam.

— Co?!

Arcymag, mimo napięcia chwili, z całej siły starał się ukryć uśmiech:

— Jeśli się nie mylę, Najwyższa Zielarka Dogewy odniosła się do waszego

jesiennego ślubu bardzo odpowiedzialnie. Wszyscy, jako-tako znajomi ludzie i nieludzie otrzymali zaproszenia, a zawiadomienia o ślubie rozlepione zostały prawie po wszystkich słupach, włączając w to haniebny⁸² słup na głównym starmińskim placu...

Oboje z Lenem jednocześnie złapaliśmy się za głowy i zaczęliśmy jęczeć. Wygląda na to, że Kella wykazała zdecydowanie nadmierną inicjatywę!

— Rozumie się, że podobne wydarzenie nie mogło umknąć uwadze łotra — tymczasem kontynuował Profesor. — Zrozumiał, że kolejny rok wyczekiwania na sprzyjającą chwilę, w celu zrobienia następnego świństwa, może doprowadzić do pojawienia się nowego konkurenta... albo konkurentki, legalnie pretendującej do tronu Dogewy. I dopuścić do tego nie zamierzał.

— Statek się zatrzymuje — niespodziewanie odezwała się Orsana. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka. Wszyscy, jak na komendę utkwili wzrok w szybko zbliżającej się „Wilei”. Wydawało się, że ona naprawdę kładła się w dryf⁸³: żagle pełzły w górę, falami przytulając się do rej, biały grzywacz⁸⁴ za rufą opadł i wkrótce zupełnie zniknął.

„Łapownik” również zmniejszył szybkość i lekko skrzył w bok, opływając „Wileję” z lewej strony. Szyper tęnym wzrokiem wpatrywał się w przekręcające się samo z siebie koło sterowe.

Burty zetknęły się z cichym uderzeniem i tak już zamarzyły, jakby się ze sobą skleiły.

— A co z awanturą? — Zjadliwie przypomniał Len, ale mi już nie było do żartów. Jemu zresztą także, a powiedział to pewnie, żeby dodać mi otuchy.

— Och, nie podoba mi się to... — burknęła Orsana, wyrażając powszechną opinię. — Uciekali, uciekali i nagle takie serdeczne przyjęcie? Tak jakby zostało to zaplanowane... szkoda, że nie dla nas.

Na pokładzie wroga było dziwnie pusto. Ani jednego człowieka — ani przy olinowaniu, ani przy kole sterowym — tylko tkwiący na rufie czarownik z dwoma znanymi nam z Opadiszczy opryszkami i z trzema innymi nieznanymi (nie wywołującymi, chęci bliższego poznania) oraz okazale rozparty na składanym fotelu Władca. Wstawać i powitać nas, w oczywisty sposób nie miał zamiaru.

Wypadło, zacisnąwszy zęby, szturmować burty, niczym złodziejaszki wążące do obcego ogrodu. Zresztą, wampiry przesadziły przeszkodę, nawet nie

⁸² **Haniebny słup** - przygoda z drugiej części Zawód Wiedźma

⁸³ **Dryf** – zboczenie statku z kursu wskutek działania wiatru i fali. Stąd stawać (kłaść się) w dryf - pozwalać statkowi na unoszenie go przez wiatr i falę, zwykle dla przetrwania sztormu). <http://www.wydawnictwosel.pl/index.php?id=45>

⁸⁴ **Grzywacz** – jest to załamująca się fala morska powstająca przy wietrze powyżej 5 stopni w skali Beauforta. http://pl.wikipedia.org/wiki/Grzywacz_%28fala%29

zmyliwszy kroku. I udały się prosto ku wrogom, wyprzedziwszy nas o kilka sążni.

Krosten śledził ich zbliżanie się z ciekawością, drzemiącego na słońcu kota, pochopnie uznanego przez stado wróbli za zdechłego. Ale wystarczyło ptaszkom zbliżyć się na długość pazurzastej łapki...

— Znieważyleś mnie, Arr'akktur — teatralnie, z udawanym oburzeniem, powiedział Krosten, kiedy Władców dzieliło już od niego nie więcej jak trzy sążnie. — Prześladując mnie, jak jakiegoś bandytę, rzuciłeś cień na moje dobre imię i zwykle przeprosiny go nie oczyszczą! — I z jawnym triumfem zakończył: — Żądam, żeby rozsądził nas lesset gh'woord shaell! Varset tehhe-ra Doh'gheva.

Wampiry zatrzymały się, jak gdyby natrafiły na niewidoczną ścianę. Werd krótko zaklął, Rolar w złości rzucił miecz na pokład. Len pogardliwie splunął pod nogi, co zresztą całkowicie uchodziło za kiwnięcie głową na znak zgody.

— Topić trzeba było gada, żeby paszczy nie rozdziawił! — Posepnie podsumowywał Wal.

Wyżej wymieniony w końcu raczył się podnieść, zupełnie spokojnie odwrócił się do nas plecami i zamieniwszy parę słów ze swoimi towarzyszami, poszedł do kajuty. Rolar wyraźnie zgrzytnął kłami, postąpił do przodu, ale Len szturchnął go w bok i potępiająco pokiwał głową.

— Niech się udławi. Jeszcze nie zwyciężył.

Arlissjanin, opamiętawszy się, nachylił się, i pod zjadliwymi szyderstwami wrogiej drużyny, podniósł swój miecz.

— Co się stało? — Napadłam na niego.

— Krosten wyzwał Lena na pojedynek. Jako Wyzywający ma prawo do postawienia dodatkowego warunku.

— Jakiego?

— Zwycięzca otrzymuje Dogewę.

— Jakiego gh...

Len zdecydowanie chwycił mnie za ramię i obrócił w stronę pozostałych osób już zbijających się w doradczą gromadkę. Tak samo jak i nasi przeciwnicy. Wydawało się, że oni także nie byli zachwyceni z powodu zbliżającego się przedsięwzięcia, chociaż przejmowali się nim mniej od nas. Niekiedy nawet wyjątkowo nikczemnie się uśmiechali, spoglądając w naszą stronę, szczególnie celował w tym czarownik. Aż mnie korciło, żeby podkraść się do nich na palcach i podsłuchać jaką to podłość nam szykują, ale trzeba było obmyślić własną.

— Rolar, ty przecież znasz wszystkich Władców dolin! Powiedz mi, że ten

typ pierwszy raz w życiu widzi gword i po prostu chce godnie rozstać się z życiem! — Zaczęłam błagać.

Ciemnowłosa ze zmieszaniem zakasłał:

— E-e-e... chciałbym, żeby tak było, ale tak w ogóle, to dwadzieścia lat temu, Krosten był uważany za najlepiej władającego gwordem wampira ze wszystkich dolin.

— A na ostatnim turnieju rozłożył mnie na obie łopatki w ciągu piętnastu minut — pochmurnie przytaknął Werd. — I szczerze wątpię, żeby zamierzał gdzieś uciekać... tym bardziej tam — dodał Władca Lesku, usłyszawszy ostatnią uwagę trolla.

— A przecież, jeżeli on zwycięży — z bezsilną złością zauważył Rolar — Dogewa przypadnie mu w udziale jak najbardziej z mocy samego prawa: znieważony wyzwał sprawcę obrazy na święty pojedynek i wygrał.

— Tylko najpierw musi jeszcze wygrać i ze mną. — Władca Lesku znacząco wyciągnął zza pleców gword i stuknął nim o pokład, jak baśniowy Dziadek Mróz kijem. Śnieżynki, co prawda się nie posypały, ale wrażenie mimo wszystko to wywarło.

— I na jakiej podstawie zamierzasz go wyzwąć? — Nieco sarkastycznie zapytał Len. — Zemsta krwi za śmiertelnego wroga?

— Coś wymyślę. Powiedzmy, zarzucę mu, że pozbawił mnie przyjemności wykończenia cię osobiście.

— O tak, to straszna obraza — z powagą przytaknął Len.

Werd chyba z trudem powstrzymał się, żeby go nie spoliczkować.

— Zresztą, coś się wymyśli. To naprawdę nic skomplikowanego — spokojnie kontynuował Władca Dogewy, patrząc kolejny raz na zasmuconych przyjaciół. Rolar nawet gorliwie zaszurał nogą, za co odpowiednio dostał w twarz, — co prawda, już od Lena.

— A może w ogóle nie będziecie z nim walczyć? — Smętnie zaproponowałam, kompletnie nie mając nadziei na powodzenie tej idei. — Zwiążmy ich imieniem Konwentu, no i będzie kwita!

Spojrzeli na mnie ze zrozumieniem i współczuciem, ale nieugięcie.

— Czarownika z najemnikami — być może, ale winę Krostena jeszcze trzeba udowodnić, a wyzwanie już rzucone, Wolha — westchnął Rolar. — I jeżeli poprzednim razem przeciwnicy tylko czekali na powód, aby móc przerwać pojedynek (Werd cicho chrząknął, ale zaprzeczać nie zaczął; Len otwarcie się uśmiechnął), to teraz, jego uchylene, zmieni się dla jednego z nich w hańbę, a drugiemu da wolność i swobodę, aby nadal mógł podstępnie bruździć nam dalej.

— Sprawne biezczestia — uczciwa walka z ocyjej miar-zotoju⁸⁵! — Nie wytrzymała Orsana, całkowicie dzielając moją opinię. — No to my ich po cichu, jak kapustę poszatujemy i powiemy, szo tak i było, kto się dowie?!

— Arr'akktur będzie znał prawdę — półgłosem odezwał się Werd i zrozumiałam, że wszystkie sprzeciwy są daremne.

— Nic na to nie możesz poradzić, Wolha. — Profesor ze współczuciem położył mi na ramieniu rękę. — Tym razem to rzeczywiste tylko jego walka. Wszystko, w czym możemy mu pomóc — to — nie dać Opiekunowi i najemnikom Krostena wmieszać się w pojedynek... a oni nie dadzą takiej możliwości nam.

Gniewnie wywinęłam się spod ręki Profesora, oponując:

— No to jeszcze zobaczymy, kto nic nie może poradzić!

— Odejźmy na chwilę na bok — stanowczo odezwał się Len i chwyciwszy mnie pod rękę, zaciągnął do burty, jak najdalej od obu kompanii. — Wolha, weź się w garść. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Najbardziej to jego chciałam wziąć w garść, przy czym za fraki i porządnie potrząsnąć.

— Jakim?!

— Od samego początku zamierzałem rzucić mu wyzwanie. Tylko, że na swoich warunkach, ale jest jak jest. Jak to się u was, ludzi, mówi, „nie zawsze trafi się wampirovi dziewica”. Głupio raz po raz zrywać trujące pędy, zostawiając pod ziemią rodzący je korzeń. Dlatego udałem się w pościg, nie za czarownikiem, a za jego zlecniodawcą, żeby rzucić mu wyzwanie, którego nie mógłby nie podjąć, jakim by nie był tchórzem i łajdakiem.

— Dlaczego?

— Wśród wampirów nazywają to Lesset gh'woord shaell. — Len na chwilę się zamyślił, próbując dobrać odpowiednie słowa w powszechnie używanym języku. — „Święte ostrze niebios”. Odwieczny obyczaj Władców. Kiedy uważający się za obrażonego wampir, wyzywa sprawcę zniewagi na pojedynek, to wyniku tego pojedynku się nie kwestionuje i nie może on służyć, jako powód do krwawej zemsty.

— Chcesz powiedzieć — w ogóle, to zrozumiałam to od razu, ale skonkretyzować odważyłam się dopiero teraz — na śmiertelny pojedynek?

— Nie zawsze. W zasadach nie jest to zastrzeżone. Można oszczędzić przeciwnika, a można i dać mu nauczkę, żeby na przyszłość rozważniej wybierał sobie wrogów. — Len celowo beztrząsliwie wzruszył ramionami i

⁸⁵ **Sprawne biezczestia — uczciwa walka z ocyjej miar-zotoju** - „Obejźmy się bez honoru – uczciwa walka nie wchodzi w rachubę”

zrozumiałam, że o tych dwóch wariantach, można zapomnieć. — W każdym razie, ten, kto nie przyjmie wyzwania albo przegra, przyznaje się bezwarunkowo do winy — albo złamania zasad lub oszczerstwa. Dlatego nie przyjąć wyzwania się nie da, tak jak nie można naruszyć jego zasad. Walczącym nie wolno używać żadnej innej broni oprócz gwordów, a ich przyjaciele nie mogą przekraczać linii, dopóki pojedynek się nie skończy. Czarować także — pośpiesznie dodał wampir, czy to odczytawszy moje myśli, czy też po prostu dostrzegłszy zły błysk w oczach.

— Gdybyś opowiedział mi o tym wcześniej, nie pozwoliłabym ci wyjechać nawet z Dogewy, nie mówiąc już o Lesku!

— Otóż to, dlatego też i nie powiedziałem — niewesoło uśmiechnął się Len. — Wolha, jeśli się wtrącis, przegram. Bardzo cię proszę, nie rób tego, w przeciwnym razie wszystko, to, co już zrobiliśmy i czego dokonaliśmy, okaże się daremne.

Zasepiłam się i nic nie odpowiedziałam, a Len nie nalegał. Ponieważ, powiedzieć to na głos było jeszcze trudniej, niż przyjąć do wiadomości.

— A co, jeśli to oni się wtrąca? — Skinęłam głową w stronę przeciwnika. — Len, dlaczego nie zabrałeś ze sobą chociażby z sześciu Strażników? Przynajmniej byłibyśmy trochę bardziej spokojniejsi...

— Nie wtrąca się — z przekonaniem powiedział Len i ze zdumieniem odkryłam, że na pokładzie, z drużyny wroga, został się tylko sam Krosten i jego Opiekun. Pozostali, czy to zamknęli się w kajutach, czy też skryli się w ładowni. A, co jeszcze dziwniejsze, Profesor z Katissą także wrócili na „Łapownika”. — Wedle obyczaju, obecni podczas pojedynku mogą być tylko ci, którzy mają do tego prawo oraz ci, którzy są żywo zainteresowani wymierzeniem sprawiedliwości. Dlatego ani ja, ani dokładnie zorientowany w sytuacji Werd nie zabraliśmy ze sobą Straży. A nasi... przyjaciele — z uczuciem wycedził Len — bezczelnie skorzystali z sytuacji, przyczepiwszy się do mnie pod pretekstem — że też wpadli na ten pomysł! — napuszczenia na nich w karczmie nietoperzy! Pewnie Rolar się wygadał...

— Czyli... oni są jakby po stronie Krostena?! — Speszyłam się.

— Tak jakby — z nerwowym uśmiechem potwierdził Len, — nie mieli do niego osobistych pretensji, on ich nawet palcem nie tknął. Wspólnicy czarownika się nie liczą, ponadto sami ich sprowokowali: czy jest prawo, które zabrania kupować odrąbane głowy rudowłosych wiedźm? A nietoperzami kierowałem osobiście i teraz ta trójca pragnie jakoby otrzymać moralną rekompensatę w postaci malowniczego ścięcia mojej głowy! I najważniejsze — nie można tego podważyć! Krew została przelana. Uroczyście zademonstrowali

mi dziesiątki zadrapań i zapaskudzony kaftan karczmarza, za który Rolar zapłacił z własnej kieszeni, własną krwawicą! Zniewaga uczyniona? I to jeszcze, jaka! Zresztą, myślę, że gdyby nie było nietoperzy, wymyśliliby coś innego, tak samo idiotycznego i zgodnego z prawem...

Krosten w końcu wyszedł z kajuty, ubrany jak się należy — cały w czarni. Coś tam szepnął na ucho swojemu Opiekunowi i zgrywając twardziela, bez pośpiechu przedefilował na środek pokładu, patrząc mi prosto w oczy.

— Len... — w dole mojego brzucha, z nową siłą, rozlał się obezwładniający mnie chłód. — A może by tak? Niech spływa do stu mrakobiesów, przecież, jeśli nawet zrezygnujesz z tego idiotycznego pojedynku, wszyscy wiedzą, jaki z niego łajdak i łotr, i prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż on zobaczy Dogewę!

— Jemu wszystko jedno — nie Dogewa, to Lesk. Nie Lesk, to Arliss, Orikwa, Klatten, gdzie również jest tylko po jedynym Władcy. Nie dzisiaj — to za dwadzieścia lat, kiedy ta historia ulegnie zapomnieniu. Wolha, powinienem powstrzymać go tu i teraz, w przeciwnym razie nie będę w stanie spojrzeć ani wampirom — a także ludziom — w oczy. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Daję uczciwe... hm... no dobrze, słowo honoru.

— Jakie tam dobrze — zaszlochalam, nie mogą się powstrzymać, — skoro jego obawia się nawet Werd!

— Nie obawia się — stanowczo poprawił mnie wampir. — Po prostu uważa go za niebezpiecznego przeciwnika. I ja także. Ale to przecież nie oznacza, że pozwolimy mu nadal zatruwać nam życie!

— Aha, będzie lepiej, jeśli po prostu cię zabije! Nie będzie wtedy, czego zatruwać!

— Ktoś, kiedyś, — Len delikatnie uniósł koniuszkami palców mój podbródek, żeby spojrzeć mi prosto w oczy, — radził mi bardziej ufać szczęściu. Przyszedł czas sprawdzić, czy jestem na właściwej liście.

Leciutki, niemal nieodczuwalny dotyk warg — i z oszalamiającą, przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że pocałunek ten może stać się moim ostatnim wspomnieniem o nim. W następnej chwili Len zrobił krok naprzód i zamarł jak czarna klinga ze złocistą głownią z rozmachem wbita w pokład.

— Vesetta k'or, Krostean.

— D'ha vesetta k'oraell... shwett.

Lenowi nawet brew nie drgnęła, chociaż paskudnie uśmiechający się przeciwnik, jawnie zastąpił jego rodowe imię jakimś pogardliwym przezwiskiem typu „szczeniak”.

W pośpiechu wymruczałam formułę i pstrykałam palcami. Wszyscy podejrzliwie spojrzeli na mnie z ukosa, oprócz czarownika. Ten tylko pogardliwie się skrzywił, ale niczemu się nie sprzeciwił. Zaklęcia przyspieszenia w rzeczywistości nie można było zaliczyć ani do bojowych ani do ochronnych, za to teraz mogłam obserwować pojedynki na równi z wampirami. Niestety, tylko obserwować — poruszać się trzy razy szybciej — zaklęcie nie pozwalało. Poczułam się jakbym była odurzana czymś w rodzaju sławetnego „Miodowego marzenia sennego”.

Tym razem zobaczyłam, jak wampiry rzuciły się naprzód. Wręcz nieprawdopodobnie szybko — nawet cienie za nimi nie nadążały. Gwordy skrzyżowały się najpierw płazami, potem ostrzami. Przeciwnicy na razie tylko się przymierzali, badali nawzajem swoje możliwości, poruszając się po okręgu, chociaż dla ludzkiego oka to na pewno wydawało się zaciekłym starciem. Wszystkie wypady robił Krosten, Len tylko je parował. Nonszalancki uśmieszek tego pierwszego, niesamowicie podkreślała skupiona uwaga tego drugiego. Przekonany o swoim zwycięstwie wojownik, przeciwko zuchwałemu chłopakowi, mającemu nadzieję zastąpić techniką mistrzostwo. Zaledwie jedno celne uderzenie...

Krosten, jak gdyby nie wierząc własnym oczom, dotknął rozciętego rękawa. Uśmieszek spełził mu z twarzy, razem z zabarwionym przez krew palcem.

— We kenna, er'se... — wypuścił powietrze Krosten, do głębi duszy wstrząśnięty takim bluźnierstwem. — Sha-rre kha, pasten!

I wtedy Len błysnął kłami w milczącym uśmiechu, który przez to wydawał się być jeszcze bardziej złowieszczym szczerzeniem zębów, jak u doświadczonego w walce wilczyśka, któremu sprzykrzyło się udawanie szczeniaka skaczącego przed pyskiem rywala.

Zabawa się skończyła. Krosten również błysnął kłami w odpowiedzi i pochyliwszy się, już dużo bardziej ostrożnie zaczął zachodzić Lena z lewej strony. Nagły wypad — i błyskawicznie podstawione ostrze, przyjmujące na siebie uderzenie. Znowu nie doszło do rewanżu.

— Zuch, nie nadstawia karku, czeka na najbardziej sprzyjający moment... — Rolar w napięciu zrobił krok do przodu. Orsana na wszelki wypadek przytrzymała go za kurtkę. — Ale drugi raz Krosten się na to nie nabierze...

Szybka seria uderzeń, które jak gdyby wywoływały oddźwięk w moim brzuchu. Błysnęły iskry, ale przeciwnikowi znowu nie udało się przedrzeć przez zasłonę Lena. Krosten jak gdyby się cofnął — i niespodziewanie się odsłoniwszy, machnął gwordem spod łokcia, wyprowadziwszy cios po szerokim

łuku tuż nad pokładem, maznąwszy jednak Lena po zelówkach. A potem bez przejścia — wykonał nieoczekiwane uderzenie na ukos i do góry, w nadziei, że podskok wybije wroga z rytmu. Pomarzyć dobra rzecz! Prościej byłoby trafić w piórko, które zawsze wyprzedza kijek, dzięki podrywającym je podmuchom wietrzyku.

Zachwiałszy się, Len wylądował niezbyt elegancko. I natychmiast musiał wygiąć się do tyłu, przepuszczając klingę, która świsnęła mu przed piersią, a potem odskoczyła w bok, w ostatniej chwili uchyliwszy się przed ciosem. Zdaje się, że Krosten rozzłościł się nie na żarty, chociaż ani na jego twarzy, ani na kunszcie we władaniu gwordem, to się nie odbiło — wręcz przeciwnie. Ciosy stały się rzadsze, za to bardziej niespodziewane i wyrafinowane. Mimo najlepszych chęci, nie mogłam odróżnić pozorowanego wypadu od prawdziwego. Na szczęście, Lenowi jakoś to się na razie udawało, ale on mógł liczyć tak naprawdę tylko na łut szczęścia — w obronie Krostena nie było nawet najmniejszej luki. Gword zakręcił „młynka”, zmieniając się w ochronną tarczę ze stalowym obramowaniem, a potem nieoczekiwanie, ze strasznie niewygodnej pozycji, dźgnął z taką siłą, że przeciwnik powinien był rozpaść się na dwie części: górną i dolną.

Len uchylił się i zablokował cios.

— Mój blok — z aprobatą mruknął Werd.

Obaj wojownicy tak się zdziwili, że nawet przerwali pojedynek, utkwivszy w sobie nawzajem podejrzliwe i pełne nienawiści spojrzenia. Jednocześnie nabrali tchu. Po kilku sekundach starcie wybuchło z nową siłą i stało się dwa razy bardziej zaciekle i intensywne. Krosten, wzdłuż burty, napierał na Lena, a ten ledwie był w stanie parować jego ciosy. Obeszliby w ten sposób na pewno cały statek, po drodze odrąbując wszelki nawijający się pod gwordy osprzęt (środkowy żagiel i tak już jakoś dziwne się przekrzywił), gdyby Len nie potknął się nagle o „ogon” buchy⁸⁶ i nie upadł na plecy. Krosten natychmiast wykorzystał ten moment i dźgnął wroga w pierś. Jeden błąd pociągnął za sobą kolejny — Len w pośpiechu, byle jak, nadstawił gword i cios trafił w drewnianą część laski, przecinając ją na pół. Kawałek z ostrzami odleciał gdzieś na bok. Lenowi jakimś cudem udało się odparować następne uderzenie pozostałą częścią, mimochodem, uderzając ciężką rękojeścią w kolano zbyt wcześnie cieszącego się ze zwycięstwa przeciwnika. Klinga, nakreśliwszy czerwoną linię wzdłuż policzka Lena, wrąbała się w pokład po samą rękojeść.

Wszyscy naraz wydaliśmy okrzyk zgrozy, ale zanim Krosten zdążył

⁸⁶ **Buchta** - zwój liny ułożony specjalnie w taki sposób, aby można było z tej liny od razu skorzystać (rozwinąć) bez ryzyka splątania

odzyskać równowagę, uwolnić broń i zamierzyć się ponownie, Werd beznamiętnie sięgnął po swój gword (jak ważny kupiec, który doczekał się swojej kolejności przy straganie z gorącymi pasztecikami — po sakiewkę), wysunął ostrze i... niziutko rzucił laską nad deskami pokładu.

Żelazo szczęknęło o żelazo. Len płazem zatrzymał rozpuszczone ostrza przed samym nosem i z całej siły kopnął przeciwnika w krocze, zmuszając go do odskoczenia z bolesnym syknięciem. Sam zaś, z kocią gracją, skoczył na nogi, bezpośrednio z pozycji leżącej. „Pomaleńku” zakręcił cudzym gwodem w prawej ręce, zapoznając się z jego długością i wagą, ponownie przerzucił do lewej i następny atak przywitał w pełnej gotowości bojowej.

Krosten zaryczał z wściekłości, ale widocznie zasady pojedynku nie zabraniały chwycić spadającej prosto w ręce broni, jak i wierzgać wszystkimi kończynami, w nawijające się pod nie miejsca. Próba dosięgnięcia przeciwnika prostym uderzeniem w głowę nie zakończyła się sukcesem — Len, nie oglądając się, lekko i zręcznie wskoczył na brzeg burty. Nawet się nie zachwiał, tylko zamachał skrzydłami, ale składać ich już nie zaczął. Chwilę później przyłączył się do niego Krosten.

Wampiry w podobny sposób, pewnie i zaciekle, kontynuowały pojedynek, na poprzeczce o szerokości góra trzech palców. Wypad — odskok, szczęk, błysk iskier i odpryski drzazg. Burta wyszczerbiła się na długość łokcia, jak gdyby chwycił ja zębami morski potwór. Uderzenie — blok, okropny zgrzyt i znowu — uderzenie, uderzenie, uderzenie, proste, oszukańcze, z obrotu...

I tu szczęście zdecydowało, że czas się wtrącić.

Zachłysnęłam się krzykiem, jak gdyby to moją pierś przebiła trójganiasta klinga, prześlizgnąwszy się obok ostrza, które odrobinę się spóźniło. W każdym razie, Len zdążył i zdołał — wypuściwszy swój gword — obiema rękami złapać się za drzewce wrogiej laski i z głuchym chrypieniem szarpnąć do siebie, tak, że zakrwawione ostrza z trzaskiem otworzyły się już za jego plecami. Krosten rozwarł palce i się uchylił, ale Len nie celował w gardło. Wystarczyło mu chwycić rywala za kołnierz i gwałtowne szarpnąć. Przeciwnik głośno zamachał skrzydłami, bezskutecznie próbując zachować równowagę i obaj, szczepiwszy się ze sobą, runęli do wody.

Po sekundzie zamętu i przyjaciele, i wyskakujący z kajut na mój krzyk wrogowie, rzucili się na wyścigi do burty. Werd dostał się do niej jako pierwszy i nie namyślając się, z rozpędu ją przesadził, wywinąwszy się w powietrzu i prawie bez pluśnięcia wszedł w wodę.

Rolar ledwie zdążył złapać mnie za kołnierz i szarpnąć do tyłu.

— Puść!!! — Wydaje się, że dość mocno i celnie wbiłam mu obcas,

wampir aż stęknął, ale rąk nie rozwarł.

Woda, dopiero, co się uspokoiwszy, ponownie zakipiała — karminowo-purpurową, szybko rozlewającą się plamą, w środku której na chwilę pokazał się i znowu zniknął pod wodą ostry kąt czarnej płetwy.

Bezwładnie zawisłam na kołnierzu. Zdrętwieli nawet wrogowie, zrozumiawszy, że już także nie mają, na co liczyć.

I wtedy, za naszymi plecami, rozległ się niegłośny, ale taki szczery⁸⁷ i zwycięski śmiech, że nie obejrzeć się w jego stronę, było po prostu niemożliwe.

Czarownik stał pośrodku pokładu. Nie miał żadnego powodu, aby śpieszyć się do burty — i tak wiedział, kto zwyciężył.

On.

Niezrozumiałym jest, na co liczył Krosten, na tyle ufając temu łajdakowi, żeby powierzyć mu swój rear — widocznie zamierzał zmienić Opiekuna od razu po pomyślnym zakończeniu sprawy — czarownik, chociażby dla przyzwoitości, nawet nie pomyślał, aby ukryć swoją radość. Wokół jego uniesionej w egzaltowanym geście ręki, kłębiła się, dająca się w niektórych miejscach zauważyć nawet gołym okiem, błękitno-sina magiczna mgielka, jak nad energetycznym źródłem.

Krew poległego Władcy przystępowała do działania. Wyglądało jednak na to, że czarownik nie zamierzał użyć jej zgodnie z przeznaczeniem,.

Bezpośrednio nad statkami, jakby z niczego, zaczęły gęstnieć chmury. Ze specjalnymi, złowieszczymi efektami, bez których, jak piszą w jarmarcznych książeczkach, nie może się obejść ani jeden porządny czarnoksiężnik, nie miały żadnego związku. Całkowicie normalne naturalne zjawisko, wywołane gwałtownym pluśnięciem magicznego pola.

Wyczuwszy coś niedobrego, magowie nie tracili czasu na ponowne szturmowanie burt, ale zmaterializowali się wprost pośrodku „Wilei”. Katissa ze świstem wciągnęła powietrze przez zęby, przywołując posmak, wszystkich życiowych zaklęć i koncentrując się na zbliżającej się bitwie. Statki ze skrzypieniem rozeszły się, zarysowawszy sobie nawzajem poszycie. Piraci, nie będąc durniami, z profesjonalną zwinnością zawrócili „Łapownika”, prawie, że w miejscu i rzucili się do ucieczki.

Czarownik powoli opuścił twarz i utkwiał we mnie wzrok. Morze, niebo, pokład, cały statek jak gdyby znikły, zapadłszy się w inny wymiar, niedostrzegalnie i nieistotne.

Zostaliśmy sami: tylko on i ja.

Rzucającą się naprzód Katisse odrzuciło i przetoczyło po pokładzie — w

⁸⁷ *Szczery śmiech* – „Jak wiadomo, najbardziej szczery śmiech — złośliwy.” [przypis Olgi Gromyko]

chmurze ciemno-czerwonych kropel — przez ostatni sążeń. Kiedy się zatrzymała, nadal leżała na boku, z nienaturalnie wykręconą pod siebie ręką, tj. łokciem wysuniętym do przodu. Oczy miała zamknięte, a z nosa cienką strużką spływała krew.

A przecież jeszcze nie zaczął czarować. Po prostu opędził się od niej, jak od muchy, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Wolcha, połączona tarcza, szybciej!

Nawet nie obróciłam głowy i nie spróbowałam podnieść ręki, żeby spleść swoje zaklęcie z Profesorem. Ponieważ, aż za dobrze rozumiałam, że to daremne. Nie jesteśmy w stanie go powstrzymać, ani przynajmniej na jakiś czas zatrzymać.

Było mi już wszystko jedno, już i tak umarłam. Zostało tylko, jak lubił mówić Wal, „zrelaksować się i czerpać przyjemność”.

To było jak fala przyływu, wznosząca się na dziesięć sążni nad cumowiskiem. Czysta moc, wyrywająca się na wolność z naturalnym krzykiem, nie potrzebująca żadnych obliczeń ani zaklęć. Miażdżąca wszystko na swojej drodze — czy to maszt, czy to wiedźmę. Złocisto-mglista kopuła tarczy rozleciała się z rozbryzgiem od jednego zaledwie dotknięcia, za moimi plecami jęknął i zdaje się, że upadł arcymag.

„Ach, przyjemność? Cóż, dlaczego by i nie!” — Pomyślałam z odepchniętą, ale z tego powodu wcale nie mniej rozszalałą wściekłością. I zrobiłam najbardziej głupią i heroiczną rzecz, jaką tylko mogłam zrobić.

Wyszarpnęłam miecz, który parzył mnie w plecy przez pochwę i wystawiłam go przed siebie.

Fala zatrzymała się i nieco, ale szybko cofnęła się z powrotem, jak gdyby nagle natknęła się na niespodziewanie wyrosłą w poprzek pokładu zaporę. Na deskach zadymiała się i zaczęła szybko ciemnieć linia grubości dłoni. Powietrze zmętniało, jak wokół płomieni, przepołowiwszy statek półprzezroczystą zasłoną. Żagle znalazłszy się w jej zasięgu od razu czerniały, skręcały się i rozlatywały na pół. W powietrzu, wirowały płatki popiołu, osiadając na pokładzie.

Ze znaku cechowego na ostrzu, bił blask, jaskrawo zarysowując jego krawędzie. Rozchodziła się od niego, gwałtownie się rozszerzając, idąca w przeciwnym kierunku „fala”, tylko nie o sinym, lecz blado-srebrzystym, jak księżycowa poświata, odcieniu. Tam, gdzie obie fale się stykały, smagając się mocą, działo się coś takiego, że nawet najbardziej zdeterminowany samobójca wolałby poszukać sobie przytulniejszego miejsca do dokonania rozrachunku z życiem. Chociaż większej gwarancji powodzenia, nikt by już naprawdę mu nie dał.

Zasłona krótkimi zrywami przesuwała się to w jedną, to w drugą stronę. Ciemna linia osiągnęła szerokość arszyna, w obydwu burtach powstały poważne szczyrby.

Miecz delikatnie brzdęknął i zaczął się sypać. Począwszy od koniuszka, srebrzystoszarymi ziarenkami, na przekór wiatrowi, spływającymi po obu stronach ostrza, rękojeści, trzymającym ją ręką... Jak piasek w klepsydrze, odliczającej ostatnie sekundy. Wydało mi się nawet, że słyszę miarowy, ledwo słyszalny szelest, odmierzającego czas piasku, choć w epicentrum tak skoncentrowanej magii nawet grzmot pioruna przeszedłby niezauważony.

Zasłona zaczęła sunąć w moim kierunku, grożąc nie tyle zwykłą śmiercią, ale starciem na pył wraz z duszą, jak gdyby nigdy mnie nie było i już naprawdę miało nie być.

Jedna trzecia część ostrza. Ćwierć. Środek znaku cechowego...

Nie wytrzymałam i zamknęłam oczy. W twarz wionęło mi, ni to ciepłem, ni to chłodem — jednakowo obrzydliwym i nienaturalnym. Wszystko znikło — szelest, bezgłośnie wrzenie pożerających się nawzajem mocy, szepczący nieubłaganie nadciągającej ciemności...

Jedynie maszty skrzypiały, fale pluskały o burtę, z oburzeniem wydzierając się krążąca w górze mewa.

Niezdecydowanie uchylwszy jedno oko, zdążyłam dostrzec twarz czarownika, wydłużającą się w szczerym oburzeniu, że widzi mnie w dobrym zdrowiu i teraz gorączkowo zbierającego siły do nowego ataku. A następnie rozległ się głuchy dźwięk, najbardziej ze wszystkiego przypominający cios głownią miecza w tył głowy. Właściwie, to tak właśnie i było. Wal w zamyśleniu popatrzył na osuwające się u jego stóp ciało i splunawszy, mruknął:

— Nawiasem mówiąc, wiesz mi jeszcze trzy kładnie, wagurc⁸⁸!

Nieśmiało spojrzałam w dół. Równusieńko, po noskach moich butów, przechodziła granica między całym a zwęglonym, jeszcze trochę się dymiącym pokładem. Rękojeść chrupnęła i piaskiem wyciekła przez kurczowo zaciśnięte palce.

— Wiedział... — wyszeptałam do głębi wstrząśnięta. — Od samego początku wiedział, dając mi swój przeklęty, święty miecz... ale co go kosztowało mnie uprzedzić? Chociaż by dać jakoś do zrozumienia?! Przecież wtedy, być może, Len zostałby...

W następnej chwili dotarło do mnie, że siedzę na pokładzie, bez jakiegokolwiek pojęcia, jak i kiedy to się odbyło. Tępo obserwowałam, jak Profesor, postępując, pomaga trupio bladej, ale sądząc po miotanych

⁸⁸ **Wagurc** – słowo z języka trolli.

przekleństwach, bardzo nawet żywej Katissie, podnieść się na nogi. Trudne zadanie, uwzględniając, że lewą ręką magiczka wspierała się na Profesorze i jednocześnie próbowała rzucić zaklęcie na, czy to złamaną, czy też po prostu zwichniętą prawą rękę, a przy tym jeszcze łokciem próbując wytrzeć nadal kapiącą z nosa krew.

Troll obrócił się do popleczników czarownika, groźnie wystawiwszy w ich kierunku miecz, ale ci, z jakiegoś powodu, nie poparli tego miłego przedsięwzięcia, rzuciwszy swoją broń na pokład (do tego, zdaje się, w dużym stopniu przyczynili się chwiejący się, ale bynajmniej nie wyglądający na słabych i nieporadnych, zbliżający się magowie). Profesor, jedną ręką kontynuując przytrzymywanie Katissy w talii, drugą wydobyl z fałd płaszcza i rzucił na pokład coś błyszczącego i żmijowatego, co zwinnie namacało i omotało nadgarstki nieprzytomnego czarownika.

Katissa coś powiedziała i Wal pochyliwszy się, bez zbytecznych ceregieli, zdarł z szyi leżącego, złocisty kamyk na łańcuszku. W zamyśleniu podrzucił w rękę a potem mocno się zamachnął i rzucił daleko w morze.

Rolar i Orsana, jak i wcześniej, uwijali się przy przeciwległej burcie, zaabsorbowani widocznie o wiele bardziej ważną sprawą.

Zupełnie ogłuszona, nie mogłam nie tylko wstać — nawet się poruszyć i tylko bezradnie obserwowałam, jak Werd prychnął na oblepiające mu twarz mokre kosmyki włosów, niepodtrzymywane już przez obręcz, która zginęła w odmętach, i jak z wysiłkiem podciąga się na krawędź burty na lewej, wolnej ręce, a Rolar z pośpiechem ściąga z jego ramienia, i ostrożnie opuszcza na pokład, bezwładne rozplaszczające się na deskach ciało.

Na jedną straszną chwilę wydało mi się, że moje zatrzymujące się serce, nie zacznie bić ponownie, rozleciawszy się na tysiąc kawałków. Ale wtedy Len drgnął, konwulsyjnie odkrztuszając wodę z płuc i spróbował się unieść na rękach, błędnym wzrokiem przetrząsając pokład. Póki nie napotkał mojego spojrzenia.

„Ty zadufany w sobie, bezczelny, wampirzyno, któremu się we wszystkim szczęści — z osłabieniem pomyślałam, opierając się o burzę. — I żadnego innego nie potrzebuję...”

Ten drań wykrzywił sine wargi w złośliwym, tryumfującym uśmiechu, wyrócił oczami i znowu zemdłał. Werd wydał jakąś ostrą komendę, unosząc go i odwracając na bok, a pośpiesznie rzucający się na pomoc przyjaciele, zasłonili mi widok na oba wampiry.

Ale i tak wiedziałam, że najstraszniejsze już za nami i teraz wszystko już będzie bardzo, bardzo dobrze. Otóż tylko...

— Nie, nie będzie żadnego wesela! — Wymamrotałam, patrząc w przejrzyste błękitne niebo. — Nie ma mowy! Inaczej ten bezczelny wampir na pewno doprowadzi do tego, że stracę dla niego głowę... jeżeli już nie doprowadził...

W górze, rozwijając się, łopotały nieliczne ocalałe żagle.
Statek skręcał do Lesku.

POSŁOWIE

Ślub to strasznie pokręcona sprawa

Nie daleś słowa – hamuj się!

A daleś słowo - żeń się!

Ludowa mądrość

— Jeszcze? Jesteś pewna?

— T-tak...

— No, to patrz. — Kella silnym szarpnięciem zmusiła gorset żeby zacisnął się jeszcze na dwa palce. — Tak może być?

Zachrypiałam coś z aprobatą. Dół sukni podobał mi się nawet bardzo — szerokie, rozkloszowane spódnice, z wyhaftowanymi perełkami falbankami, góra także w pełni mnie satysfakcjonowała, jako że była praktycznie nieobecna — suknia sięgała zaledwie do pach, obejmując szyję cieniutką, srebrzystą lamówką, co miało uchronić mnie przed ewentualnym zakłopotaniem. Ale środek...

Kella spojrzała w lustro, uczciwie odbijające całą feerię barw na mojej twarzy, i pośpiesznie rozluźniła sznurówkę. Wreszcie mogłam odetchnąć.

O okienko oparła się łokciami, niecierpliwie wałęsająca się po podwórzu Orsana:

— No szybko wy tam? Przecież jeszcze fryzurę musimy zrobić!

— Zdązycie, do ceremonii zostało więcej niż trzy godziny.

Wywróciłam oczami i cicho zaczęłam jęczeć. Już tylko trzy godziny!

Kella mściwie pociągnęła za sznurówki gorsetu zmuszając mnie do udławienia się kolejną porcją zawodzeń z powodu przedwcześnie

zmarnowanego życia.

— A gdzie Rolar z Renem? — Zapytała zielarka Orsanę.

— Usiłują wepchnąć Lena w czarny garnitur. On twierdzi, że wygląda w nim jak garbaty upiór.

— To niech włoży drugi, jasny!

— Ktoś na nim niechcący usiadł i jest wymięty!

— To pobiegnij po Krynę — ona teraz na polanie szykuje stoły — i poproś ją, by odprasowała!

— Dobrze. — Orsana zniknęła i jej miejsce zajęła Welka. A w zasadzie, jakaś okropna miotła.

— No i jak?

— Co? — Nie zrozumiałam.

— Twój bukiet. Tak jak chciałaś, trzynaście róż i trochę więcej paproci!

— Ale przecież nie miałam na myśli, że ma jej być więcej niż róż! I co to za smętna łodyga sitowia w środku? Prosiłam o bukiet, a nie o błotną kępę!

— I jak zwykle, starasz się, starasz... — Obraziła się Welka, wyparowując razem z miotłą.

Zgodnie z ideą, przyjaciółki narzeczonej i przyjaciele narzeczonego powinni zapewniać moralne wsparcie wyżej wymienionym, ale w Dogewie panowało takie zamieszanie, że usiedzieć w miejscu po prostu nikt nie był w stanie, pętając się od jednego do drugiego domu i powodując jeszcze większy rozgardiasz. A ponieważ Kella pochopnie wzięła na siebie rolę głównego organizatora uroczystości, od samego rana nie dawano jej ani minuty spokoju. W ciągu kolejnych dziesięciu minut okazało się, że: już wystrojona Smółka po cichu oddaliła się w krzaki i zerwała z siebie wszystkie wstążeczki do których zdołała dosięgnąć (a zdołała dosięgnąć wszędzie) i czy Kella nie ma przy sobie zapasowych wstążek, ponieważ nowe w najlepszym wypadku będzie można dostać dopiero jutro rano; że z zamkniętego na kłódkę składziku, tajemniczym sposobem wyparowała beczka wina, za to zmaterializowało się trzech gnomów w gorszącym stanie; że tort weselny zapadł się troszeczkę z lewej strony – czy dodać kremu czy obrócić prawą stroną do gości; że na granicy schwymano następnego podejrzanego typa z warkoczem czosnku, twierdzącego, że to prezent dla narzeczonej, który chce osobiście wręczyć narzeczonemu; że magowie się spóźniają, a smoki wręcz przeciwnie - już przybyły i z nudów ganiają po placu jakiegoś dobrze odżywionego typa w rycerskiej zbroi, który, popisując się przed damami, chlapanął, że zna dziewięć sposobów pozbawienia głowy „podobnym gadzinom” gołymi rękami i jeszcze siedemnaście, przy pomocy podręcznych środków, ale póki co, jakoś ani jednego sobie nie

przypomniał; skąd można wziąć jeszcze parę waz i kto ma klucze od piwnicy z wędzonką⁸⁹.

Potem pojawił się Kajel i konającym głosem zapytał Kellę, czy nie obejrzy czyraka, który wyskoczył mu na nosie, podejrzenie przypominającego morową zarazę.

Wampirzyca zaryczała. Na wszelki wypadek wtuliłam głowę w ramiona, ale zielarka jedynie cisnęła w chroniczne źródło infekcji szczotką, która nawinęła się pod rękę.

Pod oknem znowu zarysowała się sylwetka Orsany:

— Długo jeszcze?!

— Długo!!! — Ryknęła Kella, akurat dostrzegając, że opuściła jedną pętelkę. Zielarka zaczęła z rozdrażnieniem rozsznurowywać gorset, a ja poczułam się jak samotna sosna w czasie huraganu. — Znalazłaś Krynę?

— Nie, ale pożyczyłam od kogoś żelazko i wyprasowałam sama! Od kogo — nie pamiętam, tak że po prostu zostawiłam je na widocznym miejscu.

— A co na to narzeczony?

— Według jego wypowiedzi — jak garbaty upiór w jasnym garniturze...

O dostęp do okna wywiązała się niewielka bójka. Zwyciężył Wal:

— Foczka, przytachałem dla ciebie prezencik! Zabierz ode mnie to paskudztwo, bo trzymać to w rękach jest po prostu wstrętne!

Kella w roztargnieniu rzuciła okiem na ogromny kosz kwiatów, dość dziwnie wyglądający we włochatych łapskach trolla:

— Nieś bezpośrednio na stół, tam akurat koło państwa młodych jest puste miejsce. I powiedz dziewczynom, żeby nie śpieszyły się z rozstawianiem zakąsek, zaraz skończę z naszą wiedźmą na wydaniu i sama przyjdę!

— A może jednak nie trzeba mnie nigdzie wydawać? — Bez nadziei w głosie zaskomlałam, wołając, żeby ze mną skończono raz na zawsze. — Ch-cheee...

— Jeszcze mocniej? — Zjadliwie zapytała zielarka.

— Ni-i-ie, — ledwo wydusiłam z siebie, żegnając się z marzeniem o talii osy. Może jeszcze kiedyś mi się trafi!

Zapakowano mnie wreszcie w gorset i naciągnięto suknię. Wyglądała jakoś inaczej, niż w czasie przedwczorajszej przymiarki — prawdopodobnie dlatego, że włożono mi ją na lewą stronę. Druga próba także nie zakończyła się sukcesem — ze zdumieniem utkwiałam wzrok w ogromnej kokardzie na środku brzucha, a Kella — w moich efektownie wystających z dekoltu łopatkach. Czwartego podejścia byśmy nie przeżyły, ale na szczęście, za trzecim razem

⁸⁹ Wędzonka – wędzone wyroby mięsne (wędlina).

wszystko weszło, zeszło się, dopięło, wygładziło i ułożyło na swoim miejscu.

Orsana z Welką rzuciły się na mnie niczym sępy na żer, ledwie doczekawszy się resztek z pańskiego stołu. Na półeczkę przed lustrem wywaliły kupę słoiczków z kosmetykami, spinek i sztucznych kwiatków, wepchnęły mi w ręce wykrochmalony welon i kazały trzymać go w wyprostowanym stanie, żeby nie stracił formy.

Zmiana egzekutorów na nowo mnie ożywiła, skutkując potokiem zawodzeń:

— Ale przecież jestem jeszcze tak młoda-a-a...

— Usiądź jeszcze i polamentuj sobie przy oknie — szyderczo zaproponowała Orsana. — Będzie i zgodnie z tradycją, i za jednym zamachem odstraszyś ciekawskich.

Nie odwracając się pstryknęłam palcami. Okno zasnuło się mleczną mgiełką, przezroczystą jedynie od wewnątrz. Gapie z rozczarowaniem zaczęli jęczeć i dali za wygraną.

— Należało lamentować w przeddzień ślubu, a nie na dwie i pół godziny przed jego rozpoczęciem, — zaproponowała Wielka, tak szarpnąwszy grzebieniem za splątany kosmyk na czubku głowy, jakby zamierzała wyrwać go sobie na pamiątkę.

— Już tylko dwie?! Y-y-y-y...

— Poprzedniego dnia lamentowała — że hej! Wszystkie dogewskie wilki zawtórowały jej wyciem!

Dwa grzebienie, ciągnące w różne strony, wywoływały odczucia wprost nie do opisania, skuliłam się i tylko popiskiwałam.

— Między innymi, to ty zaproponowałaś, żeby na „na końcu” zaśpiewać pieśń „Gdybym wcześniej wiedziała, że tak źle jest być żoną...” Pod koniec nawet Kryna łkała!

— Uwzględniając, że gdzieś zdobyta przez ciebie beczka „Złotej winnicy” zamiast „na koniec” została zużyta „przed”, nie zdziwię się, jeżeli jutro połowa doliny ucieknie do klasztoru!

Wieczór panieński, zaczął się jak ponure pożegnanie narzeczonej przed wyprawieniem jej na tamten małżeński świat, ale po wyżej wymienionej beczce, nader się ożywił. I Orsanie, a za nią i nam, zebrało się na śpiewanie pieśni. Uwzględniając, że głosy, w odróżnieniu od słuchu, mieli wszyscy, wykonywane kompozycje wzbudzały ożywione zainteresowanie sąsiadów, raz po raz, podejmujących próby rozpedzenia sabatu mrakrobiesów. Ale wystarczyło, aby ktoś z nich „przyjaźnie” załomotał pięścią w drzwi, a ze środka rozlegało się wielogłose „aaaaa!”, drzwi otwierały się na oścież i naruszającego nieład w

kilka par rąk wciągano do domu, obiecując pod przysięgą rozejść się, jak tylko on wypije z nimi za zdrowie „za tą garną⁹⁰ dzieuchę, która żegna w tę noc swoją niezależność!”. Po czym Dogewa zaczynała trząść się jeszcze intensywniej. Zwabić do siebie całej doliny nie udało nam się tylko z jednej przyczyny — z przeciwległej strony dochodziło nie mniej rozdzierające duszę wycie w męskim wykonaniu...

Znowu spróbowałam zwrócić uwagę na swój smutny los:

— Ja nie chcę za-a-a mąż!

— Ty znowu swoje? — Groźnie krzyknęła Welka, trzasnąwszy mnie grzebieniem w tył głowy, żebym się nie wierciła. — Mam powiedzieć wampirowi, żeby się rozbierał?

— Ni-i-ie... — Pociągnęłam nosem.

Niech ten łajdak też się męczy! Bogowie, po co zgodziłam się na ten przeklęty ślub?! A przecież wszystko tak dobrze się zaczynało...

Nowiny z weselnych frontów nadchodziły bezustannie — to zaglądała przebiegająca obok Kella, za każdym razem krytykując rezultat wspólnych wysiłków przyjaciółek, to bezskutecznie szukające jej wampiry, to na chwilę wpadła Kryna, w której domu odbywało się to całe nikczemne znęcanie się nad panną młodą.

Typ z czosnkiem okazał się Temarem i został ujęty powtórnie przy próbie zamiany figurek z cukru na tortach na takie same, ale w nieprzyzwoitych pozach. Nawiasem mówiąc, Walowi to się spodobało i gorąco nalegał na, jak się wyraził, bardziej realistyczny wariant, na co Kella wykazała się wspaniałą znajomością nie tylko ałladara⁹¹, ale i języka ojczystego trolla, czym „wstrząsnęła nim do głębi” i nawet zgodził się dźwigać stoły razem z Starszymi Rodu. Klucz od piwnicy się nie znalazł, ale jakiś chłopak przelał przez okienko i przez nie podawał kucharkom szynki i kielbasy. Smoki pogodziły się z rycerzem i wszyscy razem, zjadliwie komentowali proces powtórnego przystrajania Smółki, ale sami nie pomagali.

— A propos, kto zaprosił tych trzech gnomów, którzy pili za szczęściu i gdzie się potem podzieli? — Zainteresowała się Welka.

— Przeca to nasi starzy i najlepsi przyjaciele... przynajmniej, tak zapewniali. Zdaje się, że Wolha obiecywała teleportować ich do domów.

Przypomniałam sobie i się wzdrygnęłam. Nie, nie wiedzie mi się z tym zaklęciem! Nawiasem mówiąc, z jakiegoś powodu, wydawało mi się, że gnomów było dziewięciu...

⁹⁰ Garną - piękną

⁹¹ Alladar – język biesa, czyli najgorsze przekleństwa

Nie mogąc się zdecydować, która będzie moją druhną zwałam tę sprawę z jednej na dwie głowy pozostawiając Welce z Orsaną rozwiązanie sprawy samodzielnie. Czego teraz okrutnie żałowałam: przyjaciółki bezczelnie oświadczyły, że będą pełnić tę zaszczytną misję po kolei, ale na razie rozdzielić tych harpii mi się nie udawało. Jak i porozmawiać na osobności. Rolar będący drużbą, widząc co się święci, wpadł w panikę i także znalazł sobie zastępcę. A raczej, wynajął. Wal uroczyście obiecał, że w razie czego uspokoi przyjaciółki tradycyjną metodą, znaczy kiścieniem⁹²...

— Przynajmniej oryginalnie, — zdecydowały wreszcie dziewczyny, odchodząc trochę dalej, aby popatrzeć z upodobaniem na swoje arcydzieło.

Spojrzałam w lustro i pomyślałam, że ślub chyba jednak nie dojdzie do skutku. Ponieważ zaraz dostanę udaru, a jeśli nie ja, to Len.

— Brr... — Potrząsnęłam głową i godna para — garbaty upiór i poczwara w swobodnym locie — przeobraziła się w zwykłą poczwarę. Przyjaciółki, zgodnie wydały gniewny okrzyk, ale na szczęście, akurat w tym momencie przyszła Kryna, która przepędziła moje dręczycielki żeby przyozdobiły drzwi i ganek, a sama uzbrojona w grzebień i wałki do włosów, w przeciągu jakiejś godziny ułożyła moje włosy w malowniczą kaskadę loków i warkoczyków. U góry przypięła wianek ze srebrzystych elfich nieśmiertelników, a do niego przyczepiła welon.

Teraz w ogóle bałam się poruszyć się i stałam nieruchomo przed lustrem czując się nieprawdopodobnie krucho, jakby w stanie nieważkości i jakoś obco. Ale — o zgrozo! — te doznania szalenie mi się podobały...

Przez drzwi przemknęły tajemniczo chichoczące przyjaciółki i po wydaniu przepisowej porcji zachwyconych ochów i achów, spróbowały ponownie wziąć mnie w obroty, ale wykonania makijażu przez Orsanę, a tym bardziej Welkę (sądząc po przerażającej ilości słoiczków, zielarka zamierzała wysmarować mnie od stóp do głów) odmówiłam stanowczo, sama umalowałam rzęsy i wargi.

Nie osiągnąwszy sukcesu z oknem, Ważek i Enka nie cofnęli się przed przeniknięciem przez ścianę, żeby osobiście, z uroczyście bolesnymi minami, wręczyć mi wielki srebrny krzyż — „niezastąpiony środek podczas domowych awantur”.

— Dobrze, że chociaż nie wpadli na pomysł żeby przynieść dwuosobową trumnę — westchnęłam, kiedy oburzone przyjaciółki wyrzuciły obrzydliwie chichoczących impertynentów na zбитy pysk.

⁹² **Kiścień** – rodzaj broni obuchowej, składającej się z drewnianego trzonka, do którego łańcuchem, sznurem lub rzemieniem przymocowano bijak, służący do zadawania ciosów przeciwnikowi. Zwany także mylnie korbaczem lub morgenszternem. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Ki%C5%9Bcie%C5%84> **Kiścień**, w dawnej polszczyźnie **basalyk**, kula ołowiana na rzemieniu (do rzucania).

— W takim razie, kto ci ją podarował?! — Szczerze zdziwiła się Welka.

Wśród tymczasowo zwalonych na podwórzu Domu Narad prezentów naprawdę stało coś, co w swojej naiwności wzięłam za rozszerzającą się ku górze szafę z rzeźbionego dębu. Przyjrzawszy się dokładniej, dostrzegłam wijący się z boku napis: „Żyćcie w miłości i zgodzie!” i z drzeniem wyobraziłam sobie, jak razem z Lenem, dysząc, zażarcie ciągniemy za zbyt wąski całun każdy w swoją stronę.

Jak najszybciej odwróciłam się od okna, ale w tej samej chwili rozległo się stłumione wołanie Orsany: „Idą!”. I w domu rozpętało się leszy wie co. Przyjaciółki z piskiem zaczęły miotać się po pokoju, zderzając się: ze sobą nawzajem, z narzeczoną i z elementami wyposażenia, objając się o te trochę większe i upuszczając te trochę drobniejsze. Kryna, ledwo zdążyła się sama ubrać i zrobić makijaż, w pośpiechu nanosząc ostatnie poprawki w mojej fryzurze. Tęsknie, z narastającą paniką spojrzałam z ukosa na tylne drzwi, ale tam, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją, stała już Kella, z bardzo widocznymi, krótkimi kielkami, które potrafiła zrobić sobie jakimś sposobem. Talenty Najwyższej Zielarki Dogewy od dawna ujawniały się nieoczekiwanie, zawsze w najmniej odpowiednim miejscu i czasie, i od dawna były przedmiotem powszechnego zainteresowania, ale bardziej niewłaściwych okoliczności niż te, nie mogłam sobie w tym momencie przypomnieć. Przy czym, jeśli normalnie wyglądała po prostu mrocznie, to weselno-mroczny wariant, w zestawieniu z czarną rozwiewającą się szatą i obficie napuszonymi lokami, mógł przyprowadzić przypadkowo zderzającego się z nią po ciemku gościa o zawał serca albo (jeżeli miał mocne nerwy) doprowadzić na wierzchołek drzewa. Jaskrawo-szkarłatne wargi i paznokcie tylko potęgowały wrażenie.

Wreszcie wszystko jakoś się ułożyło, suknie zostały wygładzone, noski przypudrowane, upuszczone rzeczy podniesiono lub też z pośpiechem wepchnięto nogami pod stół i łóżko. Wszyscy przemieścili się do sieni. Orsanę, jako najbardziej bojową, wypchnięto do drzwi wejściowych, a mnie zapędzono w kąt za piecem pozwalając obserwować, co się będzie działo przez szczelinę w kotarach.

W drzwi głośno i napastliwie zastukano.

— Oj, a któż tam tak stuka? — Z udawanym zdumieniem zainteresowała się Orsana.

— To tylko my, wampiry! — Cieniutkim falsetem zaskrzeczał męski głos. Pozostałe słowa utonęły w rechocie i szumie. Kiedy wszyscy trochę się uspokoili, Rolar normalnym już głosem oświadczył: — Rozeszła się po

Dogewie wieść, jakoby w tutejszym ogródku zakwitł cudowny kwiat...

— Lulek⁹³! — Chórem wyskandowali Temar, Ważek i Enka.

— ... a jeszcze, powiadają, że słyszano tu śpiew dziwnego ptaszka...

— Krakanie!

—... i widziano...

— Krótko mówiąc, — zagłuszył wszystkich leniwy, trolli bas, — mamy kupca, a wy babkę! Więc szybko otwierajcie, bo i tak, ona nikomu więcej na gchyr nie potrzebna!

— Szo?! — Oburzyła się Orsana, ale drzwi jednak otworzyła. — Zara se przekonemy, szo to za kupiec! Mogu i ta byt, szo i szkoda mu sprzedać nawet krzywe prosię, a tu taka pikna dzioucha!⁹⁴ A no pokażcie swojego kupca... ta-a-ak... a tyłem? I niechże pomacha skrzydłami — ujdzie, niech błysnie kłami! Hm... no może, sama nie wiem... ma jakiś podejrzany zgryz...

— To może sobie pójde? — Szczerze ucieszył się ironiczny, przejmujący mnie do szpiku kości baryton i widocznie spróbował się ulotnić, ale go ze śmiechem zatrzymano.

— Ożesz, zara sprawdzimy, jaki to z ciebie kupiec! — Groźnie obiecała Orsana. — A no, wyjmuj sakiewkę!

Ponieważ zadawać zagadki, podstępnie uśmiechającemu się narzeczonemu było bezużyteczne, przyjaciółki postanowiły ograniczyć się do wykupywania⁹⁵ i konkursów. Szybko rozłożywszy narzeczoną na czynniki pierwsze: „czułe spojrzenie” (no-no, to ci dopiero!), „łabędzi krok” (nie wytrzymałam ze śmiechu – chód miałam od dziecka zamaszysty, męski, ponad to mimo wszystko nadal jeszcze z lekka utykałam) i „piękność nieopisaną” (w tym akurat wypadku nie miałam żadnych zastrzeżeń), dziewczyny zaczęły po kolei sprzedawać ten podejrzany towar drużynie narzeczonego, w sumie wymyśliwszy sposób, aby uzyskać sześć kładni, trzy srebrniki, czterdzieści osiem miedziaków, butlę samogonu, szklanekę soku pomidorowego, podawaną przez rozswawolonego Rolara, jako ciepłutką świeżutką krew od jednego z gości, („co ty, on ani trochę nie miał nic przeciwko, leży sobie cichutko pod płotem — zmęczył się z pewnością!”), desperacko drącego się kota w worku i co mnie szczególnie oburzyło, jakiś wyjątkowo cuchnący kwiat na krzywej łodydze, na widok którego Welka w jednej chwili straciła zainteresowanie wykupem i razem z Kellą zagłębiła się w ożywioną dyskusję na temat tej zadziwiającej flory i

⁹³ **Lulek** (*Hyoscyamus* L.) – rodzaj roślin należący do rodziny psiankowatych. http://herbarium.0-700.pl/Hyoscyamus_niger.html

⁹⁴ — **Zara se przekonemy, szo to za kupiec! Mogu i ta byt, szo i szkoda mu sprzedać krzywe prosię, a tu taka pikna dzioucha!** — Zaraz się przekonamy, co to za kupiec! Może, się okazać, że szkoda mu sprzedać nawet krzywe prosię, a co dopiero taką przepiękną dziewczynę!

⁹⁵ **Wykupowanie** – ślubny zwyczaj wykupu panny młodej z rąk druhen przez narzeczonego z družbą.

napoju z niej sporządzanego, póki pozostali stanowczo nie przypomnieli im po co właściwie się zjawili.

W końcu, na znak dobicia targu, strony uderzyły się po rękach i Orsana uroczyście wręczyła narzeczonemu, mieszczący pół wiadra wody ze studni, garnek.

— Co to?! — Z oszołomieniem zainteresował się Rolar, chociaż po wydłużającej się minie Lena można było poznać, że nic dobrego.

— Klucz do serca narzeczonej — chętnie wyjaśniła Welka i wszystkie obecne kobiety zaczęły głośno skandować:

— Do dna!!!

Pan młody żałośnie obejrzał się na drużynę, ale ta zgodnie umknęła wzrokiem i małodusznie się cofnęła. Wycofywać się było już za późno i po upływie kilku minut nieco zasmucony Len wydobył z garnka ogromny zardzewiały klucz, sądząc po gniewnym okrzyku Kelly — od piwnicy z wędzonką.

Nastąpił uroczysty moment. Wyciągnięto mnie z za pieca, jeszcze raz, krytycznie obejrzano i lekko popchnięto ku uczynnie otwartym na całą szerokość drzwiom.

O matko jedyna...

Radośnie wrzeszczącym na mój widok tłumem było zapchane nie tylko nasze podwórko (obficie przyozdobione, kwiatami i wstążkami), ale i przylegająca do niego ulica z placem włącznie. Po jego bokach ulokowały się smoki, od czasu do czasu porykując i wypuszczając efektowne języki płomieni. Naraz dwudziestu muzyków zagrało powitalne fanfary na wszystkich instrumentach po kolei, od gnomich bębnow po elfie kobzy do których radośnie podłączyły się wilki.

Zobaczywszy to wszystko, utknęłam w drzwiach, cichutko wtórując wyciem z przerażenia. Potem spróbowałam się cofnąć, ale Kella z Orsaną miały się na baczności, tak że numer nie przeszedł.

Publiczność i bez tego nader ożywiona, z entuzjazmem odniosła się do procesu wypychania towaru w stronę nabywcy, przy czym ja uczepiłam się futryny oburącz. Naprzeciw mnie, z nie mniejszymi wysiłkami, pchano zapierającego się Lena z kolejną modyfikacją miotły, do której tylko pomiotła⁹⁶ brakowało.

I wtedy zobaczyliśmy siebie nawzajem, i jednocześnie osłupiawszy momentalnie zaprzestaliśmy oporu. Jaki tam garbaty upiór! Narzeczone z całego

⁹⁶ Pomiotło - miotła na długim kiju, służąca niegdyś do czyszczenia pieców piekarskich. <http://www.sjp.pl/co/pomiot%20>

świata spotkałyby się w śmiertelnym boju o prawo do posiadania takiego narzeczonego, a zwyciężczynie umarłaby na miejscu ze szczęścia! Jeśli bym oczywiście tydzień temu nie uganiała się za nim, ze skonfiskowanym u kolejnego wiedźmina osikowym kołkiem po całym Domu Narad, wrzeszcząc: „Ja ci dam <<w tajemnicy przede mną>> kłamać wołmeńskim ambasadorom, że mam stopień magistra z nekromancji!”. A ja cały wieczór nie mogłam zgadnąć — dlaczego oni tak dziwnie, krzywo na mnie patrzą?!

Nie wiem, co pomyślał Len, ale wampir, nie odrywając ode mnie błyszczących oczu, podszedł do ganka i przyklękawszy na jedno kolano, ceremonialnie i z jawną ulgą wepchnął mi w rękę koszmarną miotłę, która na dodatek okazała się być strasznie kłująca. Po czym tak samo milcząc wycofał się i wskoczył na Wolta, a mi podprowadzono Smółkę, która w pośpiechu dozuwała drugi komplet ozdób. Na widok panny młodej przypominającej właścicielkę, biedna kobyłka zakrzuszyła się i spróbowała stanąć dęba, ale z Renem ten psikus nie wyszedł. Zresztą, kiedy się odezwałam kobyłka zorientowała się, że gdzieś wewnątrz tego białego koszmaru ukrywa się jej właścicielka, przerażenie na jej pysku zmieniło się wyczekującą złośliwość. Dlaczego — wyjaśniło się bardzo szybko. Czy próbowaliście kiedykolwiek wleźć na konia w pantoflach na obcasach, we wspaniałej sukni ślubnej i ze ściśniętym pod pachą bukietem?! Liczba osób chętnych podepchnąć mnie w górę rosła w ciągu arytmetycznym z każdą próbą, a histerycznie się śmiejących — w geometrycznym. Zdaje się, że narzeczonego, również śwędziały ręce, ale po obrzędzie nie mógł więcej podchodzić do mnie przed ślubem. Tak, że chętnie przyłączył się do drugiej grupy.

— Byłoby lepiej gdybym pojechała wozem, — zaburczałam, wgramoliwszy się wreszcie na siodło i próbując wyplątać się z welonu, póki przyjaciółki z pośpiechem poprawiały zadartą i z przodu, i z tyłu suknię. Dobrze, że przynajmniej nie musieliśmy się martwić o cugle, konie prowadzono za uzdy. Wolta wzięła Kella, gniewnie błyskająca na mnie oczami: Najwyższa Zielarka cały tydzień odradzała mi jechać do ślubu wierzchem. Ale mi wydawało się, że tak będzie efektowniej... zresztą, wyrzecz na gościach wrażenie, naprawdę mi się udało.

Tłum rozdzielił się na trzy części — większa część udała się na miejsce zawarcia ślubu krótszą drogą, po zagięciu brudnopisu (jak się później okazało, orientowali się w nim bynajmniej nie wszyscy, tak że Straże musiały do samego rana wyprowadzać z dogewskich lasów gości, którzy zabłądzili). Dwie mniejsze grupy, składające się z najbliższych przyjaciół, podażyły za rozjeżdżającymi się w różne strony młodymi. „Żeby w końcu odetchnąć świeżym powietrzem”, —

zdążył dociąć Rolar, zanim zajął swoje miejsce w drużynie narzeczonego.

Beresklet⁹⁷ w porównaniu z zimną wiosną i deszczowym latem okazał się wspaniałym, ciepłym i suchym miesiącem. Dzisiejszy dzionek nie był wyjątkiem. Po lesie jeszcze na całego fruwały motyle, a chociaż pod końskimi kopytami szeleściło już spadające listowie, drzewa dopiero zaczynały przymierzać złoto i miedź, gubiące się w ogólnej zieleni. Jasne plamki, przedostających się przez gałęzie promieni słonecznych, przeplatały się z liliowymi kępkami przedwcześnie zakwitłych, delikatnych jesiennych kwiatów w rodzaju krokusów.

Z tyłu szeptano i chichotano, ale do mnie nikt się nie odezwał. Niby, że to ostatnia możliwość opamiętania się — nikt nie powinien mnie rozpraszać.

Opamiętałam się już trzy sążnie wstecz, ale spróbuj teraz zejść z tej kobyłki! Dlaczego nie posłuchałam Kelly?! Teraz bym tylko zebrała spódnice, skoczyła przez burtę wozu — i szukaj wiatru w polu!

Na polanę wjechaliśmy z Lenem prawie jednocześnie (ku radości Kryny — niby, że to dobry znak). Goście już dawno tam byli, zachłannie spoglądając na suto zastawione stoły z lewej strony. Na przeciwległym brzegu wznosiła się opleciona przez bluszcz altana, długa, otwarta, z niziutkimi balustradami i trzema wejściami — dwa wąskie boczne i jedno szerokie centralne. Dąb, z którego wyrzeźbiono konstrukcję słupy, schodki, pomost z desek i drewnianą koronkę⁹⁸ pod dachem z dachówki, szerniał z upływem czasu, wzbudzając pełne czci drżenie i całkowicie słuszne obawy. Pośrodku stało żelazko — miejsce istotnie było widoczne.

Orsana z rumieńcem wstydu na twarzy rzuciła się do altany, złapała nieszczęsny sprzęt i schowała za plecami.

Smółkę doprowadzono do lewego wejścia, Wolta — do prawego. Próba „zapomnienia” na siodle miotły, zakończyła się niepowodzeniem. Wypadło mi ciągnąć to paskudztwo ze sobą. Moja skwaszona mina w pełni oddawała mój entuzjazm wobec tej wspaniałości.

Pierwsza na pomost weszła Kella i stanawszy na środku, uroczyście wzniosła ręce do nieba, domagając się uwagi. Za plecami zielarki, rzędkiem ustawili się Starsi Rodu. Przy wolnej i przejmującej muzyce szłam pod rękę z Orsaną, a Len — z Rolarem wspięli się po złowieszczo skrzypiących schodkach i stanęli w odległości trzech kroków od siebie nawzajem. Doprowadziwszy nas do celu, przyjaciele złożyli Kelly ceremonialny ukłon i wycofali się.

⁹⁷ **Beresklet** - pierwszy jesienny miesiąc (po bielorsku). [przypis Olgi Gromyko]

⁹⁸ Koronka pod dachem – wyrzeźbiony w drewnie ornament pod okapem dachu przykłady:

<http://www.skanseny.net/zdjecie/658?lang> <http://www.podbrodzie.info.pl/foto.php?type=gallery&name=41.jpg>

Jeden ze Starszych Rodu podał Najwyższej Zielarce, małą płaską szkatułkę. Muzyka zamilkła i w ciszy wyraźnie rozległ się trzask, otwierającego się wieczka. Wewnątrz na czarnym aksamicie leżały dwa srebrne pierścienie. Kella zamaszystym gestem zademonstrowała je gościom, a potem zaproponowała nam.

Sięgnęłam po większy, ale Len mnie uprzedził. Moja ręka zawisła nad szkatułką. Zmieszana podniosłam wzrok na Kellę, ale ta jak gdyby nie zauważyła pomyłki Władcy.

— No bierz żesz! — Ponagliła Najwyższa Zielarka.

Nie miałam wyboru. Z zakłopotaniem wzięłam pierścień, który pozostał. Sama go sobie na palec powinnam włożyć, czy co?! O weselnych obrzędach wampirów miałam bardzo niejasne pojęcie, bo nie znalazłam wolnej chwili, aby przeczytać podsunięty mi przez Kellę archaiczny, dwustuletni foliał w staropowszechnym języku, o wadze jednego puda, a Len beztrząsco zapewnił mnie, że „nic szczególnego, prawie jak u ludzi, a przynajmniej — z tym samym rezultatem”.

— A więc, rozpoczynamy ceremonię! — Kella dźwięcznie potrząsnęła szkatułką. — Szanowni mieszkańcy Dogewy i honorowi goście doliny, zebraliśmy się tu dzisiaj z... całkowicie oczywistego powodu (szanowni i honorowi chętnie zachichotali) — zaświadczyć o wstąpieniu w związek małżeński Władcy Dogewy Arr’aktura tor Ordwist Szeonella i Najwyższej Wiedźmy Dogewy, Wolhy Rednej!

Tłum gwizdem i rozproszonymi krzykami potwierdził, że zebrał się właśnie w tym celu i gotowy jest przystąpić do swoich obowiązków. Po czym wstrzymałam oddech i nad placem zwiśla przygniatająca cisza.

Rozejrzałam się ze zdumieniem. Żadnych pytań, czy ja dobrowolnie zgadzam się zejść do grobu, ani propozycji wymiany płyt nagrobnych, tfu, obrączek! Tym niemniej wszyscy zachłannie się na mnie gapili, jawnie czekając na jakieś działania z mojej strony. Len, z jakiegoś powodu założywszy ręce za plecy, ze wszystkich sił starał się powstrzymać uśmiech.

— Co? — Nie wytrzymałszy, zainteresowałam się z irytacją.

— Poproś go o obrączkę — szepnął Rolar, zgodnie z prawem drużby, stojący przy samej altanie.

— Po co?!

— Zgodnie z naszym zwyczajem, powinniście przekonać siebie nawzajem, a jednocześnie i nas, o konieczności waszego małżeństwa. Jeżeli uda ci się go do tego namówić, odda ci obrączkę i po wypowiedzeniu rytualnej frazy włożysz mu ją na palec. A potem on tobie.

Zrobiło mi się całkiem niedobrze. Jeszcze i namawiać?!

— Len — niepewnie zaczęłam. — Oddaj mi obrączkę!

Wampir wznosił oczy do nieba i zaczął beztrząsco pogwizdywać udając, że w ogóle nie ma z tym nic wspólnego — tak, jakby tylko przechodził obok. Tłum poruszył się ze śmiechem.

— No pro-o-oszę...

Gwizd zamienił tonację i wyraźnie rozpoznałam motyw „Gdybym wcześniej wiedziała...”. Orsana histerycznie załkała i zsunęła się po słupie altany. Pozostali także nie narzekali na zły nastrój. Rozzłościwszy się zrobiłam nagły zryw i spróbowałam odebrać obrączkę siłą, ale Len zręcznie się uchylił i jak wcześniej, nie mówiąc ani słowa, kpiąco uniósł lewą brew.

— Uwzględnij, że potem przyjdzie twoja kolej prosić! — Zjadliwie postraszyłam.

Wampir drgnął, ale wytrwał.

— Ach tak? Nie to nie! — Obraziłam się, odwracając się, i z ponurą miną krzyżując ręce na piersi. Ale co mu powinnam powiedzieć? Że tak już ma być, pora schować miecz do komórki, ustatkować się, prać mu skarpetki i każdego ranka podawać krew do łóżka?!

Odwróciwszy się, pochwyciłam jego spojrzenie — niespodziewanie poważne, współczujące, rozumiejące... i nagle pojęłam, że powinnam plunąć na to, czy odda mi tę przeklętą obrączkę, czy też nie. Dlatego, że jeśli nawet nie odda, wszystko jedno zostanę z nim, a on — ze mną i — co tam jakaś śmierć! — nawet małżeństwo nas nie rozłączy...

I wtedy Len zrobił krok naprzód, wyciągnął rękę i w moją dłoń wśliznęła się ciepła srebrna obręcz.

— Jest!!! — Radośnie zaczął krzyżeć Rolar i plac zadrżał od potwornego wycia, ryku, wizgu, gwizdu i tupotu.

— No, połowa za nami — z jawną ulgą ogłosiła Kella, kiedy entuzjazm w niewielkim stopniu ucichł, a rzuconą przez Ważka racę, z wszelkimi możliwymi przeprosinami, wyciągnięto z dekoltu Lereeny. — Arr’akktur?

Len spojrzał na mnie, uśmiechnął się i przenikliwie zapytał:

— Wolha, oddasz mi swoją obrączkę?

„Przecież wiesz, że tak. A spróbuj tylko nie wziąć!” Przez kilka sekund w zamyśleniu patrzyłam na niego a potem ku zachwytowi publiczności chytrze zmrużyłam oczy i głosem pełnym złości oświadczyłam:

— Marzyciel!

A co się wtedy zaczęło dziać... Len na kolanach przysięgał, że nie tylko nie będzie przeszkadzać mi w pisaniu dysertacji, ale własnoręcznie nałapie do niej

„praktycznego materiału” w najbliższym parowie; że po krew będzie chodził sam, chociaż byłoby lepiej, oczywiście, zdobywać ją bezpośrednio na miejscu; a w praniu skarpetek ufa tylko Kelly („Co?!” — Krzyknęła oburzona zielarka). „Złamałam się” na trzykrotnym podwyższeniu uposażenia plus dodatek za szkodliwość. Obrączka wreszcie przeprowadziła się do Lena i Kella przystąpiła do oficjalnej części ceremonii, przemówiwszy przepojonym uczuciem głosem:

— Mam nadzieję, że dobrze rozważyliście swoją decyzję i później ani razu jej nie pożałujecie, gdyż małżeństwo — to nie tylko...

Następne dziesięć minut Naczelną Zielarkę z emfazą, barwnie opisywała czekające nas potworności wspólnego życia w rodzaju „dzielenia trudów, smutków i obowiązków”, a goście zachwycali się stopniowo wydłużającymi się twarzami nowożeńców. Zdaję się, że Lena, najbardziej przeraziło żądanie „nie ukrywania przed nią swoich czynów ani pomysłów”, a ja ostatecznie upewniłam się, że godną „strażniczką domowego ogniska” nigdy się nie stanę. Zostać Opiekunką Władcy o wiele łatwiej!

— A zatem, — w końcu uroczyście ogłosiła Kella, podnosząc głos o ton wyżej, żeby nadać pytaniu należyte znaczenie, — mimo wszystko, czy ty Wolha Redna zgadzasz się...

Tłum jak zaczarowany ucichł, wsłuchując się w każde słowo, a ciemnowłosy rycerz w ostatnim rządzie, z rozczulonym uśmiechem uniósł rękę i nakreślił w powietrzu znak świątynnego błogosławieństwa.

Kella zacięła się w pół słowa, gdyż narzeczona zerwała się naprzód z takim drapieżnym wyrazem na twarzy, że nie wiadomo było, kto z państwa młodych jest wampirem. Przy czym bardzo głodnym.

Len, w ostatniej sekundzie, zdążył złapać mnie za kokardę, która na szczęście była fałszywa, to znaczy przyszyta na amen.

— Wolha! — syknął błagalnym tonem. — On nigdzie przed nami nie ucieknie, a w razie czego wiemy, gdzie jest zakopany!

Spojrzałam na wytrzeszczone oczy obecnych, opamiętałam się i wróciłam „do szeregu”. Po placu przetoczyło się westchnienie ulgi i jednocześnie rozczarowania — widocznie, połowa gości do ostatniej chwili powątpiewała w moją decyzję o ślubie i na wszelki wypadek zawarła z drugą połową zakłady.

Zielarka, odkaszlnawszy, powtórzyła pytanie.

— Tak — odpowiedziałam w roztargnieniu, próbując wyłuskać z tłumu beczelnego świętego.

— Czy ty Arr’akktur zgadzasz się...

— Tak, — pośpiesznie potwierdził Len, póki znowu nie spróbowałam zwiać.

Kella z trudem powstrzymała westchnienie ulgi i obrzuciwszy nas zaniepokojonym spojrzeniem, wygłosiła kulminacyjną frazę:

— W takim razie — na mocy władzy nadanej mi przez Radę Doliny, ogłaszam was mężem i żoną! I na znak tego znamiennego wydarzenia proszę was, abyście na oczach wszystkich tu zebranych wymienili się obrączkami.

Trzęsły mi się ręce, a Lenowi, chociaż nie tak wyraźnie — także, ale mimo wszystko jakimś cudem znaleźliśmy sposób żeby wycelować i trafić — czy pierścieniami na palce, czy też palcami w pierścienie.

Znowu rozległ się tusz orkiestry i Kella musiała się bardzo postarać, żeby go przekrzyczeć:

— A teraz pan młody może pocałować swoją małżonkę!

Ze zmieszaniem i niezręcznie przyciągnęliśmy się do siebie nawzajem. Tłum z rozrzewnieniem zaczął wydawać ochy i achy, Kryna sięgnęła do kieszeni po chustkę do nosa.

W następnej chwili rozległ się głośny trzask i wszystkie postacie dramatu, w obłoku pyłu, zniknęły z oczu zdumionych gości. Muzyka urwała się ostrymi piśnięciami i rżeniem, przyjaciele, kichając, rzucili się do pomostu, kółeczkiem zawisając nad obszarpanym wyłomem.

— Hej, jesteście cali?

— Żyjecie?

— Chociaż ktokolwiek?!

— A ghyr z nimi, najważniejsze — pocałować zdążył?!

Z dołu doszło moje niepewne: „Jakby tak...” i zduszony głos Lena: „O ile szanowni Starsi Rodu i Najwyższa Zielarka wreszcie raczą ze mnie zejść, to dowiem się, kto mianowicie!”

— O bogowie... — Kella, chwyciwszy się za jedną z tuzina uczynnie wyciągniętych rąk, wdrapała się na szczątki pomostu. W ślad za nią, wspólnymi siłami, wydobyto Starszych Rodu. — Tej dwójki razem nawet dębowe deski nie wytrzymały!

Len, uśmiechając się, przyciągnął do siebie nieco sfatygowaną pannę młodą.

— Dla pewności — wyjaśnił minutę później. W górze zaklaskano i jeden drugiemu przekazywał radosną nowinę, że małżeństwo, bądź co bądź, doszło do skutku.

Kiedy wszyscy zostali uwolnieni i otrzepali się z pyłu i pajęczyny, Kella wreszcie pozwoliła zasiadać do stołów. Wygłodniali goście nie dali się dwa razy prosić. Mimo bardzo ciepłej i przyjacielskiej atmosfery, ludzie usiedli razem z ludźmi, wampiry z wampirami, a gnomy z gnomami (zresztą tylko na dwie

godziny, bo potem, wszystkie rasy szczęśliwie się pomieszały i zaczęły zapewniać siebie nawzajem o dozgonnej miłości. Cały jeden stół zajęły trolle, z których, tak w ogóle, to zaproszono jednego tylko Wala, ale przepędzić pozostałych nikt się nie odważył.

I zaczęła się ucztą!

Takiej obfitości i różnorodności w życiu nie widziałam. Każda dogewska gospodyni uznała za swój obowiązek przyszykować na wesele ubóstwianego Władcy coś wyjątkowego. Oczywiście, nie wszystko, co zostało przez Kellę poddane krytycznej degustacji, znalazło się na stole, ale na obrusach i tak ledwie zostało miejsca dla talerzy i kwiatów, a także trunków każdego rodzaju — od mocnego gnomiego samogonu, wyciskającego łyżę nawet u wampirów, po ludzkie wina i ziołowe miody praktycznie niepijących elfów (butelki, co jakiś czas się płątały, a odmawiać było niegrzecznie, tak że niebawem wybuchła ogólna wesołość.

Zjeść, jak należy, nam się nie udało — już po drugiej łyżce sałatki usłyszałam złowróżbne potrzaskiwanie gorsetu i postanowiłam nie ryzykować, a Lena ciągle jeszcze wołano o klucz do składziku i pierwsze dwie godziny zostały z lekka zepsute jego częstym oddalaniem się. Do tego jeszcze ustawicznie odrywali nas od siebie znajomi z życzeniami i najczęściej z ironicznymi kondolencjami, (przy czym, tym bardziej szczerymi, czym lepiej ci znajomi nas znali) albo podle krzyczano: „Gorzko!”

Z każdym kolejnym razem wychodziło nam to coraz bardziej profesjonalnie, wyraźnie w tym zasmakowaliśmy.

Pod stołem, pod osłoną długiego obrusa, raz po raz podejmowano próby wykradzenia pantofelka pannie młodej, ale byłam nastawiona agresywnie i mający chrapkę na moje obuwie niezwłocznie to odczuwali na sobie. Wtedy łądacy zmienili taktykę. Po kolejnym zgodnym krzyku o oburzająco gorzką wódkę Len siedział dalej, spoglądając na mnie pochmurnie i jednocześnie z poczuciem winy.

— Nie mogę wstać! — Wysyczał z tragizmem w głosie w odpowiedzi na moje zdumione spojrzenie.

— Dlaczego? — Zmieszałam się.

— Dlatego, że jakaś swołocz przed chwilą gwizdnęła mi but!

— I nie zauważyłeś?!

— Myślałem tylko o tobie, — z zabójczą szczerością wyznał wampir, sprawiwszy, że zarumieniłam się po same uszy.

Złodziej, — co prawda — nie omieszkał przyznać się do winy.

— Tylko podziwiająta se, jaki garny trzewok⁹⁹! Orsana, wskoczywszy na ławkę, tryumfalnie potrząsała nad głową swoją zdobyczą. Na seledynowej sukni najemniczki wyraźnie widniał odcisk mojego pantofla, dokładnie taki sam ozdabiał kołnierz Rolara. Uwaga gości, którzy już trochę podjedli, skierowała się na przyjaciółkę i jej bojowe trofeum.

— Tak więc, kto pragnie — dziewczyna w zamyśleniu powąchała cholewę wywołując tym dziką salwę śmiechu przy stole (Len z oburzeniem syknął: „Nieprawda, on jest całkiem nowy!”), — osuszyć do dna tę honorową czarkę za zdrowie państwa młodych?

Goście uważnie oszacowali rozmiar „czarki” i między trollami wywiązała się niewielka bójka. Zwyciężył Wal, nie tak zwyczajnie wypijając, a raczej, wlewając zawartość dobrej butli w swoje bezdenne gardło. Len, z żalem, wziął dwoma palcami za brzeżek ociekającego wódką buta i postawił pod stołem obok bosej stopy. Niezwłocznie gwizdnięto go znowu, a potem zaczął w ogóle krążyć obiegami wśród trolli. Kella zlitowała się wreszcie i przyniosła panu młodemu nowe buty z cholewami.

Przy okazji Najwyższa Zielarka z oburzeniem odkryła, że stojący obok nas, podarowany przez trolle kosz z kwiatami jest wytwornie owinięty czarną wstążką z złotym napisem „od niepokieszanej wdowy”. Zdaje się, że bezczelny najemnik po prostu podprowadził go z najbliższego cmentarza. Po niedługiej, ale pełnej wyrazu (w sensie bogatej w wyrażenia) kłótni, kosz zabrano precz, z dala od moich oczu.

Na wykupywaniu „trzewika” Orsana nie poprzestała i przy żarliwym współudziale Welki zorganizowała jeszcze kilka wesołych konkursów — ku ogromnej uciechu widzów i zakłopotaniu uczestników. Nam oberwało się najwięcej, gdyż narzeczony z narzeczoną byli zbyt wyróżniającymi się figurami, żeby nurkować pod stół, uprzedzając drapieżne spojrzenia przyjaciółek wypatrujących ofiarę do kolejnego szyderstwa.

Gdy do reszty się ściemniło, na stołach zapalono świece, a do drzew przymocowano jaskrawo płonące pochodnie. Gdzieniedzie pobłyskiwały i pulsary, chociaż żywy płomień był bez porównania bardziej przytulny. Muzykanci, stanowiący dotąd nienatretne tło na drugim planie, otrząsnęli się z odretwienia i dla rozgrzewki zagrzmili belorską pieśń ludową „Oj niosą mnie nóżki!” a potem — dziarski gnomi taniec, do którego jakimś sposobem wciągnięto nawet Radę Starszych i Kellę, i całkiem już rubaszny winesski

⁹⁹ Tylko podziwiająta se, jaki garny trzewok - Tylko podziwiającie, jaki ładny trzewik.

hopak¹⁰⁰, w którym trzeba było jedynie skakać jak najszybciej i donośnie wrzeszczeć „hop, hop, e-he-hej!”.

Kiedy nogi odmówiły nie tylko niesienia, ale i utrzymywania, goście porozchodzili się po polance i otaczającym lesie, rozkoszując się świętem i w końcu zostawiając młodych w spokoju. Muzycy przerzucili się z utworów tanecznych na bardziej liryczne, piękny dziewczęcy głos snuł pieśń o złotych smokach. Lewarek i Gerda, rozłożywszy się obok siebie, mrużyli oczy z zadowolenia i od czasu do czasu nostalgicznie wzdychali.

Obok fontanny, Smółka w zsuniętym na jedno ucho wianku, przyjaźnie sobie poprychiwała z mantikorą. Tyśka, rozpoznawszy nas, wygięła plecy i z pomrukiem przylazła się witać, ledwo nie zwaliwszy mnie z nóg. W pobliżu nie było nigdzie widać Kuźmy z Bakalarzem Zielarstwa, a od rudej mordy z uszami zakończonymi pędzelkami, podejrzenie zalatywało wędzoną rybą.

Werd i Lereena, zapomniawszy o niedopitych kielichach, żywo o czymś dyskutowali. Władczyni Arlissu wyraźnie się zaczerwieniła i chichotała, zupełnie jak nie ona, a jak całkiem zwykła dziewczyna. Władca Lesku zjawił się na ślubie całkiem niespodziewanie dla nas i zdaje się, że dla siebie samego, chociaż zaproszenie, zawahawszy się, mimo wszystko mu wysłaliśmy. Oczywiście, ze zwyczajną pieczęcią. W Dogewie na Werda, jak i na Lena w Lesku, najpierw patrzono ostrożnie z ukosa, ale po przyjacielskim uścisku dłoni Władców, przyjęto go bardziej niż gościnnie. I, sądząc po więcej niż żarliwej rozmowie, swego przyjazdu (a dokładniej przylotu) bynajmniej nie żałował.

W dwóch miejscach widziano Tiwalija, a w trzech — Fendulija, (jednemu z uwolnionych z winiarni gnomów, ukazał się jednocześnie) który to, łajdak jeden, cichaczem zdążył wygłosić kilka natchnionych kazań, położyć ręce na wszystkich chorych, którzy zdążyli się napatoczyć (Kajel na wszelki wypadek podchodził dwa razy), przekabacić na dajna jednego z magów i doprowadzić do skruszonych łkań złodzieja, który przypadkowo wpakował się między gości. Na szczęście dla nad wyraz aktywnego świętego, nie udało mi się go spotkać, chociaż pod koniec wesela poszukiwaniami konkurenta zajmowała się już dobra połowa mistrzów z Profesorem na czele.

O północy przyszła pora na krojenie tortu weselnego i znowu przypomniano sobie o młodych. Wręczono nam ogromny nóż i goście z talerzami w pogotowiu ustawili się w kolejce. Pojawiła się nieduża przeszkoda — na torcie znowu prezentowały się sprośne figurki. Temar zrobił tryumfujący

¹⁰⁰ **Hopak** – ukraiński taniec ludowy w metrum 2/4. Jest to także sztuka walki. Powstała na Siczy Zaporowskiej. Została w nim zakodowana sztuka walki przy pomocy kopnięć i podcięć, a w wersji z szablą walka tą bronią. Charakterystyczne jest to, iż zazwyczaj tańczy się go na koniec występu i jest to najbardziej popisowy taniec. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Hopak>

gest zaciśniętą w pięść ręką i pośpiesznie zgubił się w tłumie.

Otrzymaawszy, w zamian za każdy kawałek tortu, życzenia i prezent, (kto „uszcześliwił” nas trumną, pozostało zagadką) wyszłam na środek polany i z olbrzymią ulgą podrzuciłam bukiet, mściwie celując w Welkę, ale przeleciał nad jej głową i wpadł prosto w ręce Lereeny. Władczyni skrzywiła się, ale nic nie powiedziała.

Cieszyłam się niedługo, gdyż nadszedł ostatni, najważniejszy i najbardziej odpowiedzialny moment weselnego przedsięwzięcia.

Odprowadzić nas krótszą drogą do Domu Narad (lewa połowa służyła za mieszkanie dla samego Władcy Dogewy) podjęłyby się dobra połowa gości. „By się”, ponieważ nikt ich nie prosił, ale oni mimo to radosnym tłumem ruszyli naszym śladem, nie chcąc przepuścić takiej rozrywki.

W progu, Len przy akompaniamencie hałaśliwych oklasków, wziął mnie na rękę, wniósł do domu i celnie kopnął nogą, zatrzasnął za nami drzwi. Opuszczona na podłogę, podkradłam się na palcach do okna, odsunęłam brzeżek zasłony i wzdrygnęłam się. Odprowadzający nie zamierzali wcale się rozchodzić, rozsiadłszy się bezpośrednio na trawie koło domu. Dookoła powoli przechadzała się Kella, udając, że w skupieniu napawa się świeżym powietrzem. Ważek z Temarem i Enką, nie osiągnąwszy sukcesu w próbach magicznego podsłuchiwania (chyba niepotrzebnie poprzedniego dnia bitą godzinę zamawiałam dom od wszystkiego po kolei, z wampirzym węchem włącznie, oczekując czegoś podobnego?!) najzwyczajniej w świecie przyłożyli uszy do drzwi, z niecierpliwością oczekując upragnionej sceny łóżkowej. Zresztą, urzeczywistnić jej, przy dochodzących z ulicy wybuchach śmiechu i zachęcających okrzykach nie byłoby w stanie nawet trolle (właściwie to, same trolle nie tylko zachęcały, ale i dawały też szczegółowe instrukcje).

Popatrzyłam... posłuchałam... spojrzałam z ukosa na Lena... na męskie i urzekająco piękne linie twarzy, złociste włosy opadające na obnażone ramiona, szeroką pierś i muskularny brzuch... szczególną uwagę poświęciłam bez pośpiechu rozpinanemu pasowi... i pomyślałam, że teraz zacznę wyć na głos i wleżę pod łóżko, i ghyr on mnie stamtąd wyciągnie!

— Rozbieraj się — stanowczo polecił mąż.

— N-nie mogę... — wycodziłam, zmrużywszy oczy z uczuciem beznadziejności, mając na myśli zarówno brak dostępu do sznurówki jak i ogarniające mnie osłupienie.

— Obróć się.

Moje serce zamarło, gdy poczułam palce Lena zręcznie przebiegające po pętelkach sukni, a potem i gorsetu. Puszyste spódnice zaszeleściły koło mej

twarży i osunęły się na krzesło. Zrobiło się swobodnie, zimno i strasznie, jak na pierwszym ćwiczebnym cmentarzu.

„Żywcem się nie dam”, — pomyślałam posepnie.

W następnej chwili Len tak samo bezceremonialnie... naciągnął na mnie koszulę. Nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, zaplątałam się w rękawy i kołnierz, a kiedy przepchnęłam się tam gdzie trzeba, wampir zapinał już swoją starą kurtkę. Garnitur „garbatego upiora” niedbale wisiał na oparciu łóżka.

— Co robisz? — Zainteresowałam się w oszołomieniu.

Len, nie odpowiadając, w skupieniu obejrzał mur wokół kominka, postukał w jeden kamień, drugi... a potem napał całym ciężarem ciała na prawy brzeg kominka, a ten z lekkim zgrzytem przekreślił się dokoła własnej osi. Za wąskim, ciemnym przejściem widać było tyły domostwa.

— Jak zaopatrujesz się na temat małego spacerku? — Mrugnął porozumiewawczo wampir.

— Zobaczą nas z ulicy — zaoponowałam nieśmiało, niemniej jednak zrzuciłam pantofle i naciągnęłam spodnie.

Len przebiegle się uśmiechnął i bokiem zrobił krok w otwór, natychmiast rozpląnąwszy się w nim, jak legendarny wampir w nocy. Ponieważ dotychczas nie zauważyłam, aby takie sztuczki wykonywały zwyczajne wampiry, pozostawienie tego fenomenu bez dokładnego zbadania zjawiska, było ponad moje siły. Podskakując na jednej nodze i próbując w powietrzu zasznurować but na drugiej, w ślad za Lenem precyzyjnie się przez przejście i...

Znalazłam się pośrodku głuchego lasu. Z zakłopotaniem pokręciłam głowę, stale natrafiając spojrzeniem na drzewa i krzaki, póki nie zorientowałam się, że wszystko wskazuje na to, że na styku z tylną ścianą Domu znajduje się węzeł „efektu brudnopisu”, który w mgnieniu oka przeniósł nas, wampir wie gdzie. Wyrozumiale poczekawszy, póki nie poradzę sobie z zasznurowaniem obuwi, Len pewnie poszedł naprzód. Po weselnym rejwach, mroczna leśna cisza wydawała się majestatyczną i tajemniczą. Tylko liście szeleściły pod nogami, jak gdyby szepcząc z opuszczonymi koronami drzew.

— Gdzie idziemy? — Nie wytrzymałam.

— Jak to gdzie? — Bezbarwnym głosem, nie obracając się do mnie, odezwał się Len. — Dalej w las, w celu odprawienia ostatecznego, potwornego i krwawego rytuału — pożerania naiwnej dziewczicy przez krwiożerczego wampira. A jak sądzisz, po co ta cała historia w ogóle została wszczęta? Rytuał sięga korzeniami zamierzchłych czasów, przeprowadza się go jesienią każdego roku maskując ślubem, żeby nie szokować pozostałych ras...

Roześmiałam się i szturchnęłam go w bok:

— Kłamiesz!

—... nawiasem mówiąc, bardzo korzystny zwyczaj, — już sam dławiąc się ze śmiechu, kontynuował Len. — I Władca doliny jest syty, i tradycje zachowane, i mieszkańcy na weselu się zabawili i żadnych roszczeń — sama się zgłosiła, jeszcze i ze łzami w oczach błagała...

— Ja?!

Dogonić nikczemnie śmiejącego się szubrawca jak zwykle, mi się nie udało, ale uczciwie się starałam, póki nie zabrakło mi powietrza w płucach. Len, przekonawszy się, że niebezpieczeństwo minęło, wrócił i oparł się plecami o to samo drzewo, tylko z drugiej strony pnia.

— A może, by tak zrobić odwrotnie? Naprawdę chce mi się jeść... — żałośnie wyznałam.

— Mi też. Tylko, w odróżnieniu od ciebie, domyśliłem się, że będziemy głodni i zagarnęłam ze stołu pięto kielbasy i chleb.

— Len! — Migiem poczułam się podniesiona na duchu i zainteresowałam się z nadzieją: — Przecież mnie kochasz, prawda?

— Oczywiście. Ale tą cenną kielbasę, — Len zrobił słodkie oczka do wyciągniętego z kieszeni pakunku, — kocham zdecydowanie bardziej... Hej, no już dobrze, dobrze, podzielę się! Tylko na skraj lasu wyjdźmy, to już tu obok.

Poznałam miejsce, gdy tylko wyłoniła się przede mną rozległa łąka pod zboczem. Po jej środku, w unoszącej się po kolana mgłę, pasły się jednorożce. Nawet stąd było słyhać, jak skubią trawę i poparskują. Len szarmancko rozłożył na ziemi swoją kurtkę, wielkodusznie zostawiłam mu jej kawałek. Po krótkiej kłótni, kielbasa i chleb zostały podzielone na stosunkowo równe kawałki i z westchnieniem ulgi wreszcie wbiłam zęby w coś konkretnego.

— A oni niech sobie sterczą przed drzwiami, gołąbeczki, — mściwie burknęłam z pełną buzią. — Nawet, jeżeli Enka w końcu przełamie osłonę...

— Uh, — ze złośliwą satysfakcją odezwał się Len. — Na próżno mają nadzieję!

— A skąd wiedziałeś o ukrytym przejściu?

— Badałem pozostawione przez poprzedników dokumenty i natrafiłem na plan Domu. Zdaje się, że to przejście ratowało nie jedno pokolenie Władców Dogewy — przynajmniej przez nie bardzo wygodnie zwiewać przed natrętnymi interesantami w rodzaju Kajela.

— To już z niego korzystałeś?

— Z rzadka, — ze śmiechem przyznał się wampir. — Inaczej Starsi Rodu domyśliliby się, że coś tu jest nie w porządku.

— Czekał. — Ocknęłam się. — Przecież „efekt brudnopisu” działa w obie

strony! To znaczy, że każdy może tak samo łatwo przedostać się z lasu wprost do naszej sypialni?! Ujdzie, jeżeli to będzie parka komarów albo zając, a jeżeli trafi się jakiś narwany wiedźmin? Wtedy udowadniaj mu, że wampir jest tam, a ja tylko na minutkę wstąpiłam z wizytą!

Len żartobliwie pogroził mi kawałkiem kiełbasy:

— Nie przejmuj się, za kilka minut kominek wróci na swoje miejsce i zamknie się jak zwykle przejście, ale przestrzenne.

— A w jaki sposób sami wrócimy?

— Najzwyczajniej w świecie — okrężną drogą. — Filozoficznie wzruszył ramionami wampir. — Mam nadzieję, że do tego czasu wszyscy żartownisie rozejdą się i spokojnie wejdziemy do Domu przez tylne wejście.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę, częściowo pochłonięci własnymi myślami a częściowo — kiełbasą. Dwa jednorożce, stanąwszy dęba, dla żartu mierzyły swoje siły, przebierając kopytami i krzyżując rogi. Światło gwiazd igrało na koniuszkach sierści i prześwitywało przez rozwiewające się ogony, stwarzając wrażenie, jak gdyby jednorożce lekko fosforyzowały. Nad łąką, czarnymi wylęknionymi strzępkami latały nietoperze.

Wepchnęłam do ust ostatni kawałek... i niespodziewanie zrozumiałam, że w swoją pierwszą i najprawdopodobniej jedyną noc poślubną, siedzę na skraju urwiska, z zimna otulam się kurtką, służę za pożywienie komarom, zachłannie razem ze skórką, zjadam wyrwaną wampirowi w walce kiełbasę, gadam z nim o różnych bzdurach, zachwycam się widokiem doliny w nocy... i czuję się całkowicie szczęśliwa!

— No co, — przymilnie zapytał Len, — źle ci w małżeństwie?

Nieźłomnie prychnęłam i skrzyżowałam ręce na piersi.

Z nim dobrze się czułam nawet, jako mężatka.

A ghyr on doczeka się, żebym się do tego przyznała!!!

... a pierwszy małżeński poranek nadszedł jakoś sam z siebie...

K O N I E C